

JOHN GRISHAM

ULUBIONY PISARZ AMERYKI

DZIEŃ ROZRACHUNKU

CO ZMIENIA DOBREGO CZŁOWIEKA W ZABÓJCĘ?

ALBATROS

CZYTELNICY PRAWNICZYCH THRILLERÓW GRISHAMA NIE
BĘDĄ ZAWIEDZENI, A CI, KTÓRYM NIE WYSTARCZAJĄ
SĄDOWE PRZEPYCHANKI W ATMOSFERZE
AMERYKAŃSKIEGO POŁUDNIA, DOSTANĄ ZNACZNIE WIĘCEJ!

Clanton, Missisipi, rok 1946.

Pete Banning jest powszechnie szanowanym właścicielem plantacji bawełny, wzorowym ojcem rodziny i bohaterem wojennym.

Pewnego dnia budzi się wcześnie, jedzie do miasta i zabija pastora ze swojego kościoła. Jakby morderstwo samo w sobie nie było dość szokujące, szeryfowi, a potem prawnikom i ławie przysięgłych oświadcza jedynie: „Nie mam nic do powiedzenia”.

Wobec milczenia oskarżonego obrońcy pozostaje tylko jeden argument: niepoczytalność. Na to jednak jego klient absolutnie nie chce się zgodzić.

Wszystko wskazuje na to, że Pete'a Banninga czeka krzesło elektryczne, a jego dorosłe już dzieci bój o zachowanie rodzinnego majątku. I – co najgorsze – życie z pytaniem: DLACZEGO?

JOHN GRISHAM

DZIEŃ ROZRACHUNKU

Z angielskiego przełożył
ANDRZEJ SZULC

ALBATROS
Wydanie elektroniczne

JOHN GRISHAM

Współczesny amerykański pisarz, autor ponad czterdziestu powieści (w tym siedmiu dla młodzieży), fabularyzowanego reportażu oraz zbioru opowiadań. Jego książki ukazują się w 50 językach, a ich łączny nakład przekroczył 300 milionów egzemplarzy.

W 2011 r. otrzymał prestiżową nagrodę literacką Harper Lee.

Po twórczość Grishama chętnie sięgają filmowcy takiej miary jak Sydney Pollack, Francis Ford Coppola, Robert Altman czy Alan J. Pakula, a ekranizacje jego powieści, m.in. Raport Pelikana z Julią Roberts i Denzelem Washingtonem, Firma z Tomem Cruise'em, Czas zabijania z Matthew McConaugheyem, Sandrą Bullock i Kevinem Spacey czy Zaklinacz deszczu z Mattem Damonem, stały się megahitami.

jgrisham.com
facebook.com/JohnGrisham

Tego autora w Wydawnictwie Albatros

FIRMA
KANCELARIA
ZAKLINACZ DESZCZU
KRÓL ODSZKODOWAŃ
WIĘZIENNY PRAWNIK
OSTATNI SPRAWIEDLIWY
CALICO JOE
KOMORA
DARUJMY SOBIE TE ŚWIĘTA
UŁASKAWIENIE
NIEWINNY CZŁOWIEK
RAPORT PELIKANA
GÓRA BEZPRAWIA
CHŁOPCY EDDIEGO
KLIENT
SAMOTNY WILK
ADEPT
WERDYKT
DEMASKATOR
ŁAWA PRZYSIĘGŁYCH
WEZWANIE
WSPÓLNIK
BAR POD KOGUTEM
WYSPA CAMINO
DZIEŃ ROZRACHUNKU

Jake Brigance

CZAS ZABIJANIA
CZAS ZAPŁATY

Theodore Boone

MŁODY PRAWNIK
UPROWADZENIE
OSKARŻONY
AKTYWISTA
ZBIEG
AFERA

Tytuł oryginału:
THE RECKONING

Copyright © Belfry Holdings, Inc. 2018
All rights reserved
Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2020
Polish translation copyright © Andrzej Szulc 2020

Redakcja: Anna Walenko
Zdjęcie na okładce: Mailson Pignata/Getty Images
Projekt graficzny okładki: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

ISBN 978-83-8215-073-5

Wydawca
WYDAWNICTWO ALBATROS SP. Z O.O.
Hłonda 2a/25, 02-972 Warszawa
www.wydawnictwoalbatros.com
Facebook.com/WydawnictwoAlbatros |
Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu oraz wszystkich użytkowników chomikuj.pl. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie

w technikach cyfrowych lub podobnych – jest legalne i nie podlega
właściwym sankcjom.

Przygotowanie wydania elektronicznego: Michał Nakoneczny, hachi.media

Spis treści

Część pierwsza. Zabójstwo

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Część druga. Trupiarnia

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

[Rozdział 24](#)

[Rozdział 25](#)

[Rozdział 26](#)

[Rozdział 27](#)

[Rozdział 28](#)

[Rozdział 29](#)

[Rozdział 30](#)

[Rozdział 31](#)

[Rozdział 32](#)

[Rozdział 33](#)

[Rozdział 34](#)

[Rozdział 35](#)

[Część trzecia. Zdrada](#)

[Rozdział 36](#)

[Rozdział 37](#)

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 46](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Od autora](#)

[Przypisy.](#)

Część pierwsza

ZABÓJSTWO

Rozdział 1

W chłodny ranek na początku października 1946 roku Pete Banning zbudził się jeszcze przed wschodem słońca i wiedział, że już nie zaśnie. Leżąc w łóżku, długo wbijał wzrok w ciemny sufit i po raz tysięczny zadawał sobie pytanie, czy starczy mu odwagi. W końcu, gdy za oknem zrobiło się szaro, pogodził się z twardą rzeczywistością: z tym, że musi zabić. Przymus, który mu to nakazywał, był tak silny, że Pete nie mógł dalej normalnie funkcjonować. Nie mógł być tym, kim był, dopóki tego nie zrobi. Zaplanowanie zabójstwa było łatwe, choć trudne do wyobrażenia. Jego reperkusje miały się ciągnąć przez dziesięciolecia i odmienić życie tych, których kochał, i tych, których nie kochał. Bezwzględność, z jaką dokona tego czynu, miała przejść do legendy, choć z pewnością nie zależało mu na sławie. Zgodnie ze swoją naturą, wolałby uniknąć rozgłosu, lecz było to niemożliwe. Nie miał wyboru. Prawda wyszła powoli na jaw i kiedy zdał sobie z niej w pełni sprawę, zabójstwo stało się tak samo nieuniknione jak wschód słońca, na który patrzył.

Powoli się ubrał – po nocy jego pokiereszowane na wojnie nogi były jak zawsze sztywne i obolałe – a potem przeszedł przez pogrążony w ciemności dom do kuchni, zapalił przyćmione światło i nastawił kawę. Kiedy się parzyła, stanął sztywno wyprostowany przy kuchennym stole, splótł ręce na karku i ostrożnie ugiął oba kolana. Skrzywił się, gdy nagły ból

przeszył go od bioder aż do kostek, ale wytrzymał w tej pozycji całe dziesięć sekund. Następnie wyprostował się i kilkakrotnie powtórzył ćwiczenie, za każdym razem kucając niżej. W lewej nodze miał metalowe druty, w prawej odłamki szrapnela.

Nalał sobie kawy, posłodził ją i dodał mleka, po czym wyszedł na tylną werandę i omiół wzrokiem swoją ziemię. Słońce wyłoniło się już z za horyzontu i żółtawe światło kładło się na morzu bieli. Pola były gęste i ciężkie od przypominającej dziewiczy śnieg bawełny i każdego innego dnia Pete uśmiechnąłby się na myśl o obfitych zbiorach. Ten dzień nie skłaniał jednak do uśmiechu; tego dnia miały się polać łzy, wiele łez. Ale nie zabijając, okazałby się tchórzem, a to było do niego niepodobne. Popijając kawę, delektował się pięknem swojej ziemi i czerpał z niej otuchę. Pod białą pierzyną bawełny leżała warstwa żyznego czarnoziemu, który należał do Banningów od ponad stu lat. Ci, którzy dzierżyli władzę, dopadną go i zapewne skażą na śmierć, ale ziemi nikt nie ruszy i dalej będzie żywiła jego rodzinę.

Posokowiec Mack obudził się z drzemki i dołączył do niego na werandzie. Pete zagadał do psa i pogładził go po łbie.

Bawełna sypała się z torebek nasiennych i zbieracze już wkrótce mieli wsiąść na wozy i wyruszyć w odległe krańce plantacji. Jako chłopak Pete towarzyszył podczas zbiorów czarnym robotnikom i przez dwanaście godzin dziennie ładował z nimi do worków bawełnę. Banningowie byli właścicielami ziemskimi, ale w przeciwieństwie do żyjących z cudzego znoju dekadentkich plantatorów nigdy nie uchylali się od pracy fizycznej.

Sącząc kawę, patrzył, jak robi się coraz jaśniej i coraz bielszy jest bawełniany śnieg. Z oddali, z za obory i kurnika, dobiegały głosy czarnych, którzy zbierali się przy szopie z ciągnikami przed kolejnym długim dniem pracy. Znał tych ubogich mężczyzn i kobiety od najmłodszych lat, ich przodkowie obrabiali tę ziemię od stulecia. Co się z nimi stanie po tym, jak dokona zabójstwa? Tak naprawdę nic

straszego. Niewiele potrzebowali, by przeżyć, i niewiele wiedzieli. Jutro staną w milczeniu w tym samym miejscu, poszepeczą przy ognisku i wyruszą na pole, bez wątpienia z ciężkim sercem, ale pragnąc jak zwykle wykonać to, co do nich należy, i odebrać zapłatę. Zbiory będą trwały nadal, niezakłócone i obfite.

Dopił kawę, postawił filiżankę na balustradzie i zapalił papierosa. Pomyślał o swoich dzieciach. Joel studiował na ostatnim roku na Uniwersytecie Vanderbilta, Stella na drugim roku w Hollins; cieszył się, że nie ma ich w domu. Wyobrażał sobie, jak bardzo będą cierpieć i wstydzić się tego, że ich ojciec siedzi za kratkami, ale wiedział, że jakoś to przeżyją, podobnie jak robotnicy rolni. Oboje byli inteligentni, zrównoważeni, no i zawsze będą mieli ziemię. Ukończą studia, ona wyjdzie dobrze za mąż, on się dobrze ożeni i będzie im się wiodło.

Pałac papierosa, wziął filiżankę, wrócił do kuchni i podszedł do telefonu, by zadzwonić do swojej siostry, Florry. Była środa, dzień, kiedy spotykali się na śniadaniu, więc Pete potwierdził, że wkrótce u niej będzie. Wylał fusy, zapalił kolejnego papierosa, zdjął z kołka na drzwiach kurtkę, po czym przeciął razem z Mackiem podwórko i ruszyli ścieżką biegnącą wzdłuż ogrodu, w którym Nineva i Amos uprawiali warzywa dla Banningów i ich domowników. Kiedy mijał oborę, usłyszał, jak Amos przemawia do krów, szykując się do dojenja. Przywitał się z nim i rozmawiali przez chwilę o pewnym tłustym wieprzu, którego mieli zarznąć w sobotę.

Ruszył dalej, nie utykając, mimo że bolały go nogi. Obok szopy z maszynami rolniczymi zebrani przy ognisku czarni rozmawiali i pili kawę z cynowych kubków. Na jego widok umilkli.

– Dzień dobry, Mista Banning – pozdrowiło go kilku i grzecznie im odpowiedział.

Mężczyźni mieli na sobie stare brudne kombinezony, kobiety – długie sukienki i słomiane kapelusze. Nikt nie nosił butów. Dzieci i podrostki siedziały obok wozu, okryte kocem,

zaspane i z poważnymi minami, drżąc na myśl o kolejnym długim dniu zbiorów.

Dzięki dotacjom pewnego bogatego Żyda z Chicago na terenie posiadłości Banningów działała szkoła dla czarnych dzieci – ojciec Pete’a wzniósł jej budynek za własne pieniądze. Banningom zależało, by czarne dzieci skończyły przynajmniej osiem klas. Jednak w październiku, kiedy priorytet miały zbiory, szkołę zamykano i uczniowie pracowali w polu.

Pete zamienił kilka słów z Bufordem Provine’em, białym nadzorcą. Mówili o pogodzie, o tym, ile zebrano poprzedniego dnia, i o cenie bawełny na giełdzie w Memphis. W szczycie sezonu zawsze brakowało zbieraczy i Buford liczył na brygadę białych robotników z Tupelo. Poprzedniego dnia mieli przyjechać ciężarówką, ale się nie pokazali. Właściciel plantacji położonej trzy kilometry dalej zaproponował im podobno pięć centów więcej za funt bawełny, lecz takie pogłoski krążyły zawsze w czasie zbiorów. Drużyny zbieraczy jednego dnia tyrały od rana do wieczora, drugiego dnia znikwały, a potem zjawiały się ponownie, kiedy zmieniały się płace. Tylko czarni nie mogli się rozglądać za lepszą robotą, ale wiadomo było, że Banningowie wszystkim płacą tyle samo.

Zagrały silniki dwóch ciągników marki John Deere i robotnicy weszli na przyczepy. Pete patrzył, jak kołysząc się i kiwając, znikają między zaspami bawełnianego śniegu.

Zapalił kolejnego papierosa i minąwszy szopę, ruszył z psem połą drogą. Florry mieszkała półtora kilometra dalej, na własnym kawałku ziemi, i ostatnio Pete zawsze chodził tam piechotą. Było to bolesne, ale lekarze powiedzieli, że długie spacery wzmocnią po jakimś czasie jego nogi i ból może ustąpić. Raczej w to wątpił i pogodził się z faktem, że nogi będą go rwać i boleć do końca życia, które na szczęście ocalił. Kiedyś już uznano go za zmarłego i rzeczywiście był bardzo bliski śmierci, dlatego każdy dzień traktował jak dar od losu.

Aż do teraz. Ten dzień będzie dla niego ostatnim dniem życia, jakie znał, i przyjął to do wiadomości. Nie miał wyboru.

* * *

Florry mieszkała w różowym domku, który zbudowała po tym, jak ich matka zmarła i zostawiła im ziemię. Była poetką i choć zupełnie nie znała się na uprawie roli, przywiązywała dużą wagę do dochodów, jakie stąd płynęły. Jej część, o powierzchni dwustu sześćdziesięciu hektarów, była tak samo żyzna jak część Pete'a, dlatego Florry oddała mu ją w dzierżawę za połowę zysków. Była to umowa przypieczętowana uściskiem dłoni, oparta na wzajemnym zaufaniu i równie zobowiązująca jak podpisany notarialnie kontrakt.

Kiedy przyszedł, Florry była na tyłach domu i przechadzała się po swojej ptaszarni z drucianej i sznurowej siatki, sypiąc karmę i gawędząc z najróżniejszymi papugami, papużkami i tukanami. W stojącej obok ptaszarni klatce trzymała tuzin kurczaków. Jej dwa goldeny siedziały na trawie, bez większego zainteresowania obserwując karmienie egzotycznego ptactwa. W domu miała pełno kotów, stworzeń, których ani Pete, ani psy nie darzyły zbyt dużą sympatią.

Pete wskazał Mackowi miejsce na werandzie, a sam wszedł do środka. Marietta krzątała się po kuchni, w której unosił się zapach smażonego bekonu i placków kukurydzianych. Przywitał się i usiadł przy stole. Marietta naląła mu kawy, a on zaczął czytać poranną gazetę z Tupelo. Ze starego patefonu w salonie płynęła śpiewana sopranem smutna aria. Pete zadawał sobie często pytanie, ile osób w hrabstwie Ford, poza jego siostrą, słucha opery.

Skończywszy zajmować się ptakami, Florry weszła przez tylne drzwi, powiedziała bratu „Dzień dobry” i usiadła naprzeciwko niego. Nie było żadnych uścisków ani całusów. Ci, którzy znali Banningów, uważali ich za ludzi chłodnych i zdystansowanych, unikających okazywania emocji i mało serdecznych. Było to prawdą, ale nie wynikało ze świadomego wyboru; tak po prostu zostali wychowani.

Czterdziestoosmioletnia Florry miała za sobą krótkie nieudane małżeństwo w młodości. Była jedną z nielicznych rozwódek w hrabstwie i dlatego patrzono na nią trochę z góry, jakby naruszało to w jakiś sposób jej cześć i świadczyło o niemoralnym prowadzeniu się. Specjalnie się tym nie przejmowała. Miała kilka przyjaciółek i rzadko opuszczała swoją posiadłość. Za jej plecami często określano ją mianem Ptasiej Damy i nie mówiono tego z życzliwością.

Marietta podała im grube omlety z pomidorami i szpinakiem, placki kukurydziane polane masłem, bekon i dżem truskawkowy. Oprócz kawy, cukru i soli wszystko, co było na stole, pochodziło z ich własnej ziemi.

– Dostałam wczoraj list od Stelli – powiedziała Florry. – Idzie jej dość dobrze, choć ma pewne trudności z rachunkami. Woli literaturę i historię. Zupełnie jak ja.

Dzieci Pete'a miały wysyłać przynajmniej jeden list w tygodniu do ciotki, która pisała do nich co najmniej dwa razy w tygodniu. Pete'owi nie zależało, by do niego pisali, i powiedział im, że mogą sobie to darować. Ale jeśli chodziło o listy do ciotki, nie wolno było im się migać.

– Nie miałam żadnych wiadomości od Joela – dodała.

– Na pewno jest bardzo zajęty – odparł Pete, przewracając stronę gazety. – Nadal spotyka się z tą dziewczyną?

– Chyba tak. Jest o wiele za młody na miłość, Pete. Powinieneś z nim porozmawiać.

– I tak mnie nie posłucha. – Pete zjadł kawałek omletu. – Chcę tylko, żeby szybko skończył studia. Mam już dość płacenia czesnego.

– Zbiory są chyba dobre. – Florry prawie nie tknęła jedzenia.

– Mogłyby być lepsze, a wczoraj znów spadła cena. Mamy w tym roku za dużo bawełny.

– Cena ciągle rośnie i spada, prawda? Kiedy jest wysoka, bawełny brakuje, a kiedy spada, jest jej za dużo. I tak źle, i tak niedobrze.

– No właśnie.

Zastanawiał się, czy nie zdradzić siostrze, co się wkrótce wydarzy, ale na pewno źle by na to zareagowała, błagałaby, żeby tego nie robił, wpadłaby w histerię i w końcu by się pokłócili, co nie zdarzyło im się od wielu lat. Wiedział, że zabójstwo dramatycznie odmieni jej życie. Z jednej strony było mu jej żal i czuł się w obowiązku jakoś to wytłumaczyć, ale z drugiej – zdawał sobie sprawę, że wytłumaczyć tego nie można i nawet gdyby spróbował, nie dałoby to pożądanego rezultatu.

Trudno było sobie wyobrazić, że to śniadanie może być ich ostatnim wspólnym posiłkiem, ale właściwie wiele rzeczy tego ranka działo się po raz ostatni.

Musieli teraz porozmawiać o pogodzie i zajęło im to kilka minut. Według almanachu następne dwa tygodnie miały być chłodne i suche, idealne na zbiory. Pete ponownie podzielił się z siostrą swoimi obawami z powodu niedostatecznej liczby zbieraczy, a ona przypomniała mu, że wiecznie się na to skarży. I rzeczywiście, tydzień temu również ubolewał nad brakiem pracowników sezonowych.

Pete nie zamierzał się objadać, zwłaszcza w taki straszny dzień. Głodował podczas wojny i wiedział, jak niewiele potrzebuje ciało, by przetrwać. Kiedy ktoś mniej waży, nie obciąża tak bardzo nóg. Zjadł kawałek bekonu, wypił parę łyków kawy i przewrócił kolejną stronę gazety, słuchając, jak Florry opowiada o krewnej, która właśnie zmarła w wieku dziewięćdziesięciu lat, według niej zdecydowanie zbyt wcześnie. Ostatnio dużo myślał o śmierci i zastanawiał się, co napisze o nim w nadchodzących dniach miejscowa gazeta. Na pewno zamieszczą jakiś artykuł, może nawet kilka, choć nie cierpiał zwracać na siebie uwagi. Było to nieuniknione, ale bał się, że zrobią z tego wielką sensację.

- Niewiele jesz – zauważyła. – I chyba trochę schudłeś.
- Ostatnio nie mam apetytu – przyznał.
- Jak dużo palisz?
- Tyle, ile chcę.

Miał czterdzieści trzy lata, ale wyglądał, przynajmniej jej zdaniem, na starszego. Gęste ciemne włosy posiwiały mu nad uszami, a czoło przecinały długie zmarszczki. Przystojny młody żołnierz, który poszedł na wojnę, starzał się zbyt szybko. Na pewno ciążyły mu przykre wspomnienia, ale zachowywał je dla siebie. Okropności, które przeżył, nie miały nigdy zostać ujawnione, w każdym razie nie przez niego.

Raz w miesiącu zmuszał się, by zapytać siostrę o jej pisaninę, jej poezję. W ostatnich dziesięciu latach kilka jej utworów zostało opublikowanych w mało znanym magazynie literackim, ale było tego niewiele. Mimo braku sukcesów uwielbiała zanudzać brata, jego dzieci oraz mały krąg przyjaciół opowieściami o swych najnowszych dokonaniach na literackiej niwie. Mogła bez końca rozprawiać o swoich „projektach”, o wydawcach, którzy uwielbiali jej poezję, ale po prostu nie potrafili znaleźć dla niej miejsca, albo o rozsianych na całym świecie wielbicielach, przysyłających jej listy. Nie była znana aż tak szeroko i Pete podejrzewał, że list, który otrzymała przed trzema laty od jakiejś zagubionej duszy z Nowej Zelandii, był jedynym, jaki przyszedł z zagranicy.

Nie czytał poezji i po tym, jak został zmuszony przeczytać wiersze siostry, ostatecznie się zniechęcił. Wolał prozę, zwłaszcza pisarzy opiewających Południe, a najbardziej Williama Faulknera, człowieka, którego spotkał raz przed wojną na przyjęciu koktajlowym w Oxfordzie.

Tego ranka wolał nie rozmawiać o wierszach siostry. Musiał wypełnić paskudny obowiązek, dokonać czegoś strasznego, czego nie mógł zaniechać ani odłożyć na później.

Odsunął od siebie talerz z niedojedzonym omletem i dopił kawę.

– Jak zawsze było mi bardzo miło – powiedział z uśmiechem i wstał.

Podziękował Marietcie, włożył kurtkę i wyszedł z różowego domku.

Mack czekał na stopniach werandy. Florry pożegnała brata z ganku, a on, nie odwracając się, pomachał do niej.

Maszerując z powrotem zakurzoną drogą, wydłużył krok, żeby pozbyć się sztywności po półgodzinie siedzenia. Słońce było coraz wyżej i wypalało rosę, a wszędzie dokoła torebki nasienne kołysały się na łądygach, nie mogąc się doczekać zbiorów. Szedł różnym krokiem przed siebie, samotny mężczyzna, którego dni były policzone.

* * *

Nineva, stojąc przy kuchence gazowej, robiła przetwory z pomidorów. Pete przywitał się z nią, nalał sobie świeżej kawy i przeszedł z kubkiem do gabinetu, gdzie usiadł przy biurku i zaczął porządkować papiery. Wszystkie rachunki były opłacone, wszystkie konta na plusie. Z wyciągów bankowych wynikało, że ma dostateczną ilość gotówki. Napisał jednostronicowy list do żony, zaadresował kopertę i przykleił znaczek. Włożył książeczkę czekową i kilka dokumentów do teczki i postawił ją przy biurku. Z dolnej szuflady wyjął swojego colta kalibru .45, sprawdził, czy w magazynku jest sześć naboju, i schował broń do kieszeni kurtki.

O ósmej powiedział Ninevie, że jedzie do miasta, i zapytał, czy czegoś nie potrzebuje. Nie potrzebowała, więc zszedł po stopniach werandy, razem z podążającym za nim krok w krok Mackiem. Otworzył drzwi swojego nowego forda pick-upa z 1946 roku i pies od razu wskoczył na miejsce pasażera. Mack prawie zawsze towarzyszył mu podczas jego wypadów do miasta i tym razem nie miało być inaczej, przynajmniej dla psa.

Dom Banningów – wspaniała rezydencja w stylu Colonial Revival – zbudowany przez rodziców Pete'a jeszcze przed wielkim kryzysem z 1929 roku, stał przy drodze numer 18, na południe od Clanton. Drogę wyasfaltowano rok wcześniej za pieniądze z powojennego funduszu federalnego. Miejscowi

sądźili, że Pete użył swoich wpływów, by fundusze wykorzystano w ten sposób, ale się mylili.

Do Clanton było siedem kilometrów i Pete jechał powoli, jak zawsze. Droga była pusta, jeśli nie liczyć obładowanych bawełną i zaprzężonych w muły wozów, które zmierzały do odziarniarki. Kilku największych plantatorów w hrabstwie, takich jak Pete, miało już ciągniki, ale transport w większości odbywał się za pomocą mułów, podobnie jak orka i sadzenie. Korporacje John Deere i International Harvester starały się udoskonalić proces mechanicznego zbioru bawełny, który pewnego dnia miał wyeliminować potrzebę zatrudniania tylu robotników, ale Pete nie bardzo w to wierzył. W gruncie rzeczy nie było to teraz ważne. Liczyło się tylko czekające go zadanie.

Bawełna, którą wiatr zwiął z wozów, osiadała na poboczach szosy. Dwóch zaspanych kolorowych chłopaków, stojących przy wylocie polnej drogi, pomachało mu, podziwiając jego pick-upa, jednego z dwóch nowych fordów w hrabstwie. Pete nie odwzajemnił gestu. Zapalił papierosa i kiedy wjeżdżali do miasta, powiedział coś do Macka.

Zaparkował przed pocztą nieopodal głównego placu i patrzył, jak ludzie wchodzi tam i wychodzą. Nie chciał natknąć się na kogoś, kogo znał albo kto być może znał jego, bo po zabójstwie każdy przypadkowy świadek skłonny jest do wygłaszania banalnych spostrzeżeń w rodzaju: „Widziałem go i zachowywał się całkiem normalnie”, podczas gdy ktoś inny mógł oznajmić: „Wpadłem na niego przy poczcie i miał obłąkane spojrzenie”. Po tragedii nawet ci, którzy nie mieli z nią nic wspólnego, lubią podkreślać swoje znaczenie i udział.

W końcu wysiadł z pick-upa, podszedł do skrzynki na listy i wrzucił list do żony. Odjeżdżając stamtąd, okrążył budynek sądu, z jego szerokimi ocienionymi trawnikami i gazonami, i wyobraził sobie nagle, jakim spektaklem może stać się proces. Czy wprowadzą go tam w kajdankach? Czy ława przysięgłych okaże mu współczucie? Czy jego adwokaci użyją jakiejś sztuczki i go uratują? Wiele było pytań, na które nie

znał odpowiedzi. Przejeżdżając obok Tea Shoppe, gdzie co dzień rano przesiadywali nad gorącą kawą i bułeczkami na maślanie bankierzy i adwokaci, zastanawiał się, co będą mówić o zabójstwie. Sam rzadko zaglądał do tej kawiarni, bo był farmerem i nie miał czasu strzepić języka po próżnicy.

Niech gadają. Nie oczekiwał współczucia ani od nich, ani tak naprawdę od żadnego mieszkańca hrabstwa. Gwizdał na ich współczucie, nie zależało mu, by go zrozumieli, i nie zamierzał tłumaczyć się ze swoich czynów. W tym momencie był żołnierzem, który miał misję i rozkaz do wykonania.

Zaparkował w cichej uliczce, przecznice za kościołem metodystów. Wsiadł, rozprostował nogi, zapiął kurtkę pod samą szyję, powiedział Mackowi, że niedługo wróci, i ruszył w stronę kościoła, który siedemdziesiąt lat wcześniej pomagał budować jego dziadek. Odległość była niewielka i po drodze Pete nie spotkał nikogo. Później nie znaleziono nikogo, kto by go wtedy widział.

* * *

Wielebny Dexter Bell objął obowiązki duszpasterskie w kościele metodystów w Clanton trzy miesiące przed Pearl Harbor. Był to jego trzeci z kolei kościół i gdyby nie wojna, zostałyby już z pewnością, jak wszyscy inni duchowni metodystów, przeniesiony gdzie indziej. Braki kadrowe spowodowały jednak wydłużenie posługi i zakłóciły proces wymiany. Normalnie w kościele metodystów pastor zmieniał się najpóźniej po dwóch, trzech latach. Wielebny Bell przebywał już w Clanton pięć lat i wiedział, że wkrótce go odwołają i wyślą w inne miejsce. Niestety, odwołanie nie przyszło na czas.

Siedział przy biurku w swoim gabinecie, w przylegającym do kościoła budynku parafii, sam jeden, jak zwykle w środy poranek. Sekretarz parafii pracował tylko trzy popołudnia w tygodniu. Wielebny odmówił poranne modlitwy i teraz miał

przed sobą otwartą Biblię oraz dwa kompendia. Obmyślał właśnie następne kazanie, gdy ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążył coś powiedzieć, drzwi się uchyliły i do środka wszedł Pete Banning z chmurną, zdeterminowaną miną.

– Dzień dobry, Pete – odezwał się Bell, zaskoczony tą nagłą wizytą.

Miał zamiar wstać, ale Pete wyciągnął nagle rewolwer z długą lufą.

– Wiesz, po co tu przyszedłem – oświadczył.

Bell zastygł w bezruchu i wbił przerażony wzrok w rewolwer.

– Co ty robisz, Pete? – zdołał wyjąkać.

– Zabiłem wielu ludzi, pastorze. Wszyscy byli dzielnymi żołnierzami i zginęli na polu bitwy. Ty jesteś pierwszym tchórzem.

– Pete, nie, nie! – Bell podniósł ręce i odchylił się na krześle, wytrzeszczając oczy i otwierając szeroko usta. – Jeśli chodzi ci o Lizę, wszystko wyjaśnię! Nie, Pete!

Pete zbliżył się o krok, wycelował w Dextera i pociągnął za spust. Jako snajper umiał posługiwać się wszelką bronią i używając jej na polu walki, zabił więcej ludzi, niż chciałby pamiętać. Poza tym przez całe życie polował w lasach na dużą i małą zwierzynę. Pierwsza kula trafiła Dextera prosto w serce, podobnie jak druga. Trzecia przebiła jego czaszkę, tuż nad nosem.

W małym pomieszczeniu strzały zabrzmiały głośno jak z armaty, ale usłyszały je tylko dwie osoby. Żona Dextera, Jackie, była sama na plebanii po drugiej stronie kościoła i kiedy dobiegł ją hałas, sprzątała akurat kuchnię. Opisała go później jako stłumiony odgłos kilku kłaśnieć w dłonie i w tamtej chwili nie miała pojęcia, że to strzały z broni palnej. Nie przyszło jej do głowy, że właśnie zginął jej mąż.

Hop Purdue sprzątał kościół od dwudziestu lat. Kiedy rozległy się strzały, od których niemal, jak mu się zdawało, zatrzęśły się mury parafii, był akurat na korytarzu. Drzwi gabinetu się otworzyły i zobaczył, że wychodzi przez nie Pete

Banning, nadal trzymając w ręce rewolwer. Ujrzawszy Hopa, wycelował w jego twarz i wydawał się gotowy wystrzelić. Hop padł na kolana.

– Proszę, Mista Banning, nie zrobiłem nic złego! – zawołał.
– Mam dzieci, Mista Banning.

Pete opuścił broń.

– Dobry z ciebie człowiek, Hop – powiedział. – Idź i zawiadom szeryfa.

Rozdział 2

Stojąc w bocznych drzwiach, Hop patrzył, jak Pete wychodzi z budynku parafii i spokojnie chowa rewolwer do kieszeni kurtki. Kiedy farmer zniknął mu z oczu, Hop pokuśtykał – jedną nogę miał o pięć centymetrów krótszą – z powrotem do gabinetu, wślizgnął się tam przez otwarte drzwi i zerknął na kaznodzieję. Wielebny Bell miał zamknięte oczy i przekrzywioną na bok głowę, z nosa kapiała mu krew. Oparcie krzesła zabrudzone było krwią i mózgiem. Biała koszula pastora robiła się czerwona, pierś nie unosiła się w oddechu. Hop stał tam przez kilka chwil, minutę albo dłużej, by zobaczyć, czy wielebny się nie poruszy. Zdał sobie sprawę, że nie zdoła mu w żaden sposób pomóc. Gabinet wypełniała ostra woń prochu strzelniczego i Hop bał się, że zaraz zwymiotuje.

Ponieważ był jedynym czarnym, który znalazł się na miejscu zbrodni, uznał, że na pewno o coś go obwinia. Sparaliżowany lękiem, niczego nie dotykał i w końcu udało mu się powoli wycofać z pokoju. Zamknął drzwi i zaczął szlochać. Wielebny Bell był łagodnym człowiekiem, który traktował go z szacunkiem i troszczył się o jego bliskich. Szlachetny, podziwiany przez swoich parafian kapłan, ojciec rodziny. Bez względu na to, jak uraził pana Pete'a Banninga, nie zasłużył na śmierć.

Hop uświadomił sobie, że strzały mógł usłyszeć ktoś jeszcze. Co będzie, jeśli przybiegnie tutaj pani Bell i zobaczy męża martwego, zalanego krwią? Hop długo stał w miejscu, próbując się opanować. Wiedział, że brakuje mu odwagi, by poszukać pani Bell i przekazać jej tę wiadomość. Niech to zrobią biali. W kościele nie było poza nim nikogo i w miarę jak mijały kolejne minuty, zaczynał zdawać sobie sprawę, że wszystko jest w jego rękach. Ale nie na długo. Jeśli ktoś go zobaczy, jak ucieka z kościoła, stanie się bez wątpienia pierwszym podejrzanym. Najspokojniej, jak tylko potrafił, wyszedł z budynku parafii i ruszył tą samą ulicą, którą wcześniej oddalił się pan Banning. Po chwili przyspieszył kroku, obszedł plac i wkrótce zobaczył areszt.

Zastępca szeryfa Roy Lester wysiadał właśnie z policyjnego samochodu.

– Dzień dobry, Hop – powiedział i nagle zauważył, że sprzątacze ma zaczerwienione oczy i łzy na policzkach.

– Wielebny Bell nie żyje – wyjąkał Hop. – Został zastrzelony.

* * *

Lester, z siedzącym obok niego i wciąż ocierającym łzy Hopem, popędził cichymi uliczkami Clanton i już kilka minut później wjechał na zwirowany parking przed parafią, wzbijając tuman kurzu. Obaj zobaczyli, jak otwierają się nagle frontowe drzwi budynku i z krzykiem wybiega przez nie Jackie Bell. Ręce i sukienkę, a nawet twarz miała poplamione krwią. Wyła i zawodziła, nie wydając żadnego artykułowanego dźwięku – po prostu krzyczała przeraźliwie, z twarzą wykrzywioną w grymasie przerażenia. Lester złapał ją i próbował uspokoić, lecz udało jej się wyrwać.

– On nie żyje! – zawołała. – Nie żyje! Ktoś zabił mojego męża!

Lester złapał ją ponownie, nie chcąc, by wróciła do gabinetu Bella. Hop patrzył na to wszystko i nie miał pojęcia, co robić. Wciąż obawiał się, że ktoś może go obarczyć winą, i wolał się za bardzo nie angażować.

Mieszkająca po drugiej stronie ulicy pani Vanlandingham usłyszała krzyki i przybiegła, z kuchenną ściereczką w ręce. W tej samej chwili na parking przed parafią wjechał szeryf, Nix Gridley, i wysiadł z samochodu.

– On nie żyje, Nix! – zawołała na jego widok Jackie. – Dexter nie żyje! Ktoś go zastrzelił! O mój Boże! Pomocy!

Nix, Lester oraz pani Vanlandingham przeszli z nią przez ulicę i wspięli się na werandę, gdzie Jackie opadła na wiklinowy fotel bujany. Pani Vanlandingham próbowała wytrzeć jej twarz i ręce, ale Jackie ją odsunęła. Schowała twarz w dłoniach i jęcząc głośno, zachłystywała się szlochem.

– Zostań z nią – polecił Nix Lesterowi i wrócił na drugą stronę ulicy, gdzie czekał już na niego zastępca Red Arnett.

Weszli razem do budynku parafii i zajrzeli do gabinetu. Wielebny Bell leżał na podłodze obok krzesła. Nix przykucnął i ostrożnie ujął jego prawą rękę.

– Nie ma tętna – oświadczył po kilku sekundach.

– Trudno się dziwić – mruknął Red. – Nie potrzebujemy chyba ambulansu.

– Raczej nie. Zadzwoń do domu pogrzebowego.

– Zastrzelił go Mista Pete Banning – oznajmił Hop, który wszedł za nimi do gabinetu. – Słyszałem, jak to zrobił. Widziałem broń.

Nick wyprostował się i zmierzył go surowym spojrzeniem.

– Pete Banning?

– Tak, on. Stałem wtedy w korytarzu. Wycelował we mnie z rewolweru, a potem kazał mi iść i pana znaleźć.

– Co jeszcze powiedział?

– Że dobry ze mnie człowiek. To wszystko. A potem wyszedł.

Nix skrzyżował ręce na piersi i spojrzał na Reda. Ten pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Pete Banning? – wymamrotał.

Obaj spojrzeli na Hopa, jakby nie bardzo mu wierzyli.

– To prawda – powiedział sprzątac. – Widziałem go na własne oczy. I ten jego rewolwer z długą lufą. Celował dokładnie tutaj. – Dotknął palcem czoła. – Myślałem, że mnie też zabije.

Nix zsunął kapelusz na tył głowy i potarł twarz. Kiedy zerknął na podłogę, zauważył, że kałuża krwi się rozszerza, odpływając coraz dalej od ciała. Spojrzał na zamknięte oczy Dextera i po raz pierwszy, choć z pewnością nie ostatni, zadał sobie w duchu pytanie, co sprowokowało tę zbrodnię.

– Rozumiem, że mamy już sprawcę – odezwał się Red.

– Na to wygląda – potwierdził Nix. – Ale zrobmy kilka zdjęć i poszukajmy łusek.

– Co z rodziną? – zapytał Red.

– Też o tym pomyślałem. Przyrowadź panią Bell z powrotem na plebanię i poproś jakieś panie, żeby z nią posiedziały. Ja pojedę do szkoły i porozmawiam z dyrektorem. Mają trójkę dzieci, prawda?

– Chyba tak.

– Zgadza się – powiedział Hop. – Dwie dziewczynki i chłopca.

Nix spojrział na niego.

– Ani słowa o tym, co się tu stało, Hop, rozumiesz? Mówię serio. Nikomu ani słowa. Jeśli puścisz parę z gęby, przysięgam, że cię zamknę.

– Nie, jasna sprawa, panie szeryfie. Nikomu nic nie powiem.

Wyszli z gabinetu pastora i zamknęli za sobą drzwi. Po drugiej stronie ulicy, wokół werandy Vanlandinghamów, gromadziło się coraz więcej ludzi. Były to w większości gospodynie domowe, które z wytrzeszczonymi oczami stały na trawniku i zasłaniały dłońmi usta w geście niedowierzania.

* * *

Do ostatniego zabójstwa dokonanego przez białego doszło w hrabstwie Ford przed ponad dziesięcioma laty. W 1936 roku dwaj dzierżawcy poszli na wojnę o bezwartościowy skrawek ziemi. Wygrał ten, który celniej strzelał. Na procesie oświadczył, że działał w obronie własnej, i go uniewinniono. Dwa lata później niedaleko osiedla Box Hill zlinczowano czarnego chłopaka, który odezwał się wulgarnie do białej kobiety. W 1938 roku na Południu, a w szczególności w Missisipi, linczu nie uznawano za zabójstwo ani w ogóle za jakiegokolwiek złamanie prawa. Tymczasem za wypowiedziane do białej kobiety niewybredne słowo można było zapłacić gardłem.

Ani Nix Gridley, ani Red Arnett czy Roy Lester, ani żaden mieszkaniec Clanton poniżej siedemdziesiątki nie pamiętał morderstwa tak szacownego obywatela. Fakt, że głównym podejrzanym był jeszcze szacowniejszy obywatel, sprawił, że całe miasto zamarło z wrażenia. W budynku sądu sekretarze, adwokaci i sędziowie, zapominając o swoich sprawach, powtarzali to, co przed chwilą usłyszeli, i kręcili głowami. W sklepach i biurach wokół placu sprzedawcy, urzędnicy i klienci szeptem przekazywali jeden drugiemu szokującą wiadomość i głęboko wstrząśnięci patrzyli sobie w oczy. W szkołach nauczyciele przerywali lekcje, zostawiali uczniów w klasach i zbierali się na korytarzach. Na zacienionych uliczkach wokół placu mieszkańcy stawali przy swoich skrzynkach pocztowych i starali się w najprzeróżniejszy sposób wyrazić jedną nurtującą ich myśl: „To nie mogło się zdarzyć”.

A jednak się zdarzyło. Zgromadzeni na podwórku Vanlandinghamów ludzie wyciągali szyje, wpatrując się w zwirowany parking po drugiej stronie ulicy, gdzie stały trzy policyjne samochody – cała flota biura szeryfa hrabstwa – oraz karawan z Domu Pogrzebowego Magargela. Jackie Bell odprowadzono z powrotem na plebanię, gdzie siedziała z zaprzyjaźnionym lekarzem i kilkoma paniami z kościoła. Pobliskie uliczki były już wkrótce zastawione pick-upami

i innymi pojazdami ciekawskich. Jedni przejeżdżali powoli, bez żenady gapiąc się przez otwarte okna, inni parkowali, gdzie tylko się dało, jak najbliżej kościoła.

Karawan przyciągał ludzi niczym magnes i kiedy zaczęli wchodzić na parking, Roy Lester kazał im się cofnąć. Tylne drzwi karawanu były uchylone, co oczywiście znaczyło, że już wkrótce zwłoki zostaną wyniesione i wyruszą w krótką drogę do domu pogrzebowego. Jak w przypadku każdej tragedii – zbrodni lub wypadku – ciekawscy chcieli przede wszystkim zobaczyć ciało. Choć oszołomieni i wstrząśnięci, w milczeniu podchodzili bliżej, zdając sobie sprawę, jaka trafiła im się gratka. Byli świadkami dramatycznej i niewyobrażalnej historii i aż do końca życia mogli opowiadać, że widzieli, jak ciało wielebnego Bella wynoszono do karawanu.

Szeryf Gridley wyszedł z budynku parafii, popatrzył na tłum i zdjął z głowy kapelusz. Za nim pojawiły się nosze, trzymane z jednej strony przez starego Magargela, a z drugiej przez jego syna. Ciało było przykryte czarną tkaniną i widać było tylko brązowe buty Dextera. Wszyscy mężczyźni natychmiast zdjęli kapelusze i czapki, a wszystkie kobiety pochyliły głowy, lecz nikt nie zamknął oczu. Kilka osób cicho szlochało. Kiedy ciało załadowano do karawanu, stary Magargel siadł za kierownicą i ruszył z miejsca. Nigdy nie marnował okazji, by dodać swoim działaniom dramatyzmu, kluczył więc przez jakiś czas bocznymi uliczkami, a potem dwa razy powoli okrążył plac, żeby całe miasto mogło się przyjrzeć karawanowi.

Godzinę później szeryf Gridley zadzwonił z poleceniem, by ciało przewieźć do Jackson, gdzie będzie przeprowadzona sekcja zwłok.

* * *

Nineva nie pamiętała, kiedy ostatnio pan Pete poprosił, by siadła z nim na werandzie. Miała na głowie ważniejsze rzeczy.

Amos ubijał masło w stodole i powinna mu w tym pomóc. Później miała jeszcze zawekować fasolę i groszek i zrobić pranie. Ale skoro szef kazał jej usiąść w fotelu bujanym i trochę popróżnować, nie mogła odmówić. Ona popijała mrożoną herbatę, a on kurzył papierosy, więcej niż zwykle, uświadomiła sobie później, kiedy opowiadała o tym Amosowi. Pana Pete'a bardzo interesował ruch na oddalonej o niecałe pół kilometra drodze. Przejechało nią kilka samochodów osobowych i pick-upów ciągnących przyczepy z bawełną, którą wieziono do odziarniarki w mieście.

– Już jedzie – oznajmił Pete, gdy na ich podjazd skręcił wóz szeryfa.

– Kto? – zapytała.

– Szeryf Gridley.

– Czego chce?

– Przyjechał mnie aresztować, Ninevo. Za morderstwo. Dziś rano zastrzeliłem Dextera Bella, pastora metodystów.

– Co też pan mówi?! Że co pan zrobił?

– Słyszałaś, co powiedziałem. – Pan Pete wstał, podszedł do jej fotela, pochylił się i wycelował w nią palcem. – A ty nikomu nie piśniesz ani słowa, Ninevo. Słyszysz?

Oczy miała wielkie jak spodki i otworzyła szeroko usta, ale nie wydobyło się z nich ani jedno słowo. Pete wręczył jej małą kopertę, którą wyciągnął z kieszeni kurtki.

– Wejdz teraz do domu, a kiedy mnie zabiorą, zanieś to Florry.

Wziął ją za rękę, pomógł wstać i otworzył siatkowe drzwi. Znalazszy się w środku, Nineva wydała z siebie bolesny jęk, od którego Pete aż się wzdrygnął. Zamknął drzwi, odwrócił się i obserwował zbliżający się samochód szeryfa. Nixowi Gridleyowi wcale się nie spieszyło. Zaparkował obok pick-upa Pete'a, wysiadł, razem z Redem i Royem, podszedł do werandy i zatrzymał się u stóp schodów. Przez chwilę patrzył na Pete'a, który nie wydawał się zbyt przejęty.

– Lepiej będzie, jak z nami pojedziesz, Pete – powiedział.

Pete wskazał głową swojego pick-upa.

– Rewolwer leży na przednim siedzeniu – oznajmił.

– Weź go – polecił Nix Redowi.

Pete powoli zszedł z werandy i zbliżył się do samochodu szeryfa. Roy otworzył przed nim tylne drzwi. Pochylając się, by wsiąść, Pete usłyszał zawroźnienie Ninevy na tylnym podwórkę i kiedy podniósł wzrok, ujrzał, jak z listem w ręce biegnie truchtem w stronę stodoły.

– Jedźmy – mruknął Nix, siadając za kierownicą.

Red, trzymając rewolwer, zajął miejsce obok szefa. Roy i Pete siedzieli z tyłu, niemal dotykając się ramionami. Kiedy samochód ruszył podjazdem, a potem skręcił na szosę, nikt się nie odzywał, zupełnie jakby wszyscy wstrzymali oddech. Stróże prawa wykonywali swoje czynności w stanie niedowierzania, wstrząśnięci, tak jak wszyscy. Popularny kaznodzieja został z zimną krwią zamordowany przez słynnego syna tego miasta, legendarnego bohatera wojennego. Sprawca musiał mieć jakiś cholernie ważny motyw i ujawnienie go było tylko kwestią czasu. W tym momencie jednak zegar stanął w miejscu i wszystko wydawało się nierealne.

W połowie drogi do miasta Nix zerknął we wsteczne lusterko.

– Nie zamierzam pytać, dlaczego to zrobiłeś, Pete – powiedział. – Chcę tylko, żebyś potwierdził, że to ty.

Pete wziął głęboki oddech i spojrzał na pola bawełny, które mijali.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł.

* * *

Budynek aresztu hrabstwa Ford pochodził z poprzedniego stulecia i nie nadawał się zbyt do zamieszkiwania przez ludzi. Pierwotnie pełnił funkcję magazynu, potem był adaptowany na różne cele, aż w końcu kupiło go hrabstwo i przedzieliło na dwie części ceglany murem. Z przodu

wydzielono sześć cel dla białych więźniów, z tyłu osiem dla czarnych. Nie zdarzało się raczej, by wszystkie, zwłaszcza te od frontu, były zajęte. Obok był mały aneks, który hrabstwo dobudowało później, na biuro szeryfa i siedzibę miejscowej policji. Od głównego placu dzieliły areszt tylko dwie przecznice i widać było z niego budynek sądu. Podczas spraw karnych, które należały do rzadkości, oskarżony często siedł do sądu pieszo, pod eskortą zastępców szeryfa.

Przed aresztem zgromadził się teraz tłum, by zobaczyć zabójcę. Nadal wydawało się niewiarygodne, że Pete Banning zrobił to, co zrobił, i raczej wątpiono, by trafił za kratki. Kogoś tak znanego jak pan Banning z pewnością obowiązywały inne zasady. Choć na wypadek gdyby Nix rzeczywiście go aresztował, zebrano się tam sporo gapiów, którzy chcieli ujrzeć to na własne oczy.

– Rozumiem, że wieści się rozeszły – mruknął Nix, skręcając na niewielki zwirowany parking przed aresztem. – Nikomu ani słowa! – przypomniał podwładnym.

Samochód zahamował i otworzyły się jednocześnie wszystkie jego drzwi. Nix złapał Banninga pod łokieć i ruszył z nim do wejścia. Red i Roy ochraniali tyły. Oniemiały tłum nie ruszał się z miejsca i dopiero reporter z „The Ford County Times” dał krok do przodu i zrobił zdjęcie. Błysk flesza zaskoczył nawet Pete’a.

– Będziesz się smażył w piekle, Banning! – usłyszał, wchodząc do środka.

– Święta prawda, święta prawda – zawołał ktoś inny.

Podejrzany nawet nie mrugnął, jakby w ogóle nie zwracał uwagi na zgromadzonych ludzi. Po chwili wszedł do środka i zniknął im z oczu.

W ciasnym pomieszczeniu, w którym spisywano wszystkich podejrzanych i przestępców, był już mecenas John Wilbanks, znany w mieście adwokat i stary przyjaciel Banningów.

– Czemu zawdzięczamy tę przyjemność? – mruknął Nix, najwyraźniej niezbyt zachwycony jego obecnością.

– Pan Banning to mój klient i jestem tu w charakterze jego pełnomocnika – oznajmił Wilbanks, po czym bez słowa wymienił uścisk dłoni z Pete’em.

– Najpierw załatwimy nasze sprawy, a potem będzie pan mógł załatwić swoje – odparł Nix.

– Dzwoniłem już do sędziego Oswalta i dyskutowaliśmy na temat kaucji.

– Znakomicie. Kiedy ta dyskusja przyniesie jakiś rezultat, sędzia z pewnością nie omieszka mnie zawiadomić. Na razie jednak, panie Wilbanks, ten człowiek jest podejrzany o zabójstwo, a ja będę stosownie do tego postępował. Czy mógłby pan teraz wyjść?

– Chciałbym porozmawiać z moim klientem.

– Nigdzie się stąd nie wybiera. Proszę wrócić za godzinę.

– Rozumiem, że nie będzie żadnego przesłuchania?

– Nie mam nic do powiedzenia – oświadczył Banning.

* * *

Florry przeczytała list na werandzie swojego domu, na oczach Ninevy i Amosa, przerażonych tym, co się stało, i dyszących ciężko po długim biegu.

– Zabrali go? – zapytała, kiedy skończyła czytać.

– Przyjechali po niego szeryf i jego ludzie, panno Florry – odrzekła Nineva. – Spodziewał się tego.

– Powiedział coś?

– Że zabił kaznodzieję – odparła Nineva, ocierając łzy z policzków.

W liście Pete prosił Florry, żeby zadzwoniła do Joela na Uniwersytecie Vanderbilta i do Stelli w Hollins i zawiadomiła ich, że aresztowano go za zabicie wielebnego Dextera Bella. Mieli o tym z nikim nie rozmawiać, zwłaszcza z prasą, i aż do otrzymania następnych instrukcji pozostać na swoich uczelniach. Było mu przykro z powodu tak tragicznego obrotu wydarzeń, ale miał nadzieję, że pewnego dnia wszystko

zrozumieją. Prosił także siostrę, by odwiedziła go nazajutrz w więzieniu, bo chce omówić z nią różne sprawy.

Od tego wszystkiego Florry zrobiło się niedobrze, ale nie mogła okazać słabości przy służbie. Złożyła list, wetknęła go do kieszeni i odprawiła ich oboje. Nineva i Amos oddalili się, jeszcze bardziej przerażeni i skołowani niż wcześniej. Patrzyła za nimi, aż zniknęli jej z oczu, po czym usiadła z jednym ze swoich kotów na wiklinowym fotelu bujanym i próbowała opanować emocje.

Pete rzeczywiście wydawał się nieobecny duchem podczas śniadania, zaledwie kilka godzin wcześniej, ale prawdę mówiąc, coś było z nim nie tak od powrotu z wojny. Dlaczego jej nie uprzedził? Jak mógł zrobić coś tak niewiarygodnie złego? Co z nim teraz będzie? Co będzie z jego żoną i dziećmi? Z nią, jego jedyną siostrą? I z ziemią?

Florry nie była praktykującą metodystką, lecz wychowano ją w religijnym duchu i czasami brała udział w nabożeństwach. Nauczyła się nie nawiązywać bliższych relacji z pastorami, bo przenoszono ich, nim zdążyli się zadomowić. Ale Bell należał do najlepszych.

Pomyślała o jego ładnej żonie i dzieciach i w tym momencie coś w niej pękło. Marietta wyszła na werandę i stanęła przy swojej pani, gdy ta zaniósła się szlochem.

Rozdział 3

Mieszkańcy miasta oblegli kościół metodystów. Kiedy tłum zgęstniał, diakon kazał Hopowi otworzyć drzwi. Wstrząśnięci żałobnicy usiedli w ławkach i szeptem powtarzali sobie najnowsze wieści. Modlili się, płakali, ocierali łzy i z niedowierzaniem kręcili głowami. Wierni członkowie wspólnoty, którzy dobrze znali Dextera i darzyli go szczerą miłością, zbijali się w małe grupki i opłakiwali go, pogrążeni w rozpacz. Dla mniej bogobojnych, tych, którzy uczestniczyli w nabożeństwach nie co tydzień, lecz raz w miesiącu, kościół był niczym magnes, przyciągający ich do tragedii. Nawet niektórzy z zajadłych odszczepieńców pojawili się, by wziąć udział w żałobie. W tym okropnym momencie każdy był metodystą, chętnie widzianym w kościele wielebnego Dextera Bella.

Zamordowanie kaznodziei zdruzgotało ich fizycznie i emocjonalnie. A fakt, że sprawcą był jeden z ich współobywateli, początkowo nie mieścił się nikomu w głowie. Joshua Banning, dziadek Pete'a, pomógł zbudować ten kościół. Ojciec Pete'a był tu przez całe dorosłe życie diakonem. Podczas wojny większość obecnych siedziała w tych samych ławkach, modląc się bez końca za Pete'a. Byli zrozpaczeni, gdy z Departamentu Wojny nadeszła wiadomość, że prawdopodobnie zginął. Czuwali przy świecach na wieść, że jednak ocalał. Płakali ze szczęścia, gdy on i Liza pojawili się

w kościele tydzień po kapitulacji Japonii. W każdą niedzielę rano, przez całą wojnę, wielebny Bell odczytywał listę walczących na różnych frontach żołnierzy z hrabstwa Ford i odmawiał za nich specjalną modlitwę. Pete Banning, miejscowy bohater, figurował na tej liście jako pierwszy i wszyscy byli z niego tacy dumni. Wiadomość, że zabił ich kaznodzieję, była po prostu zbyt nieprawdopodobna, by ktoś mógł w nią uwierzyć.

Jednak w miarę jak docierała do ich świadomości, ludzie zaczęli szeptać między sobą i po tysiąc razy zadawano sobie kluczowe pytanie: „Dlaczego?”. Tylko nieliczni ośmielali się sugerować, że miało to coś wspólnego z żoną Pete’a.

Tak naprawdę żałobnicy chcieli przytulić do siebie Jackie i dzieci i zapłakać gorzko razem z nimi, jakby mogło to złagodzić jej ból. Jednak żona pastora podobno zamknęła się z trójką dzieci w sypialni na plebanii i nie chciała nikogo widzieć. W domu pełno było jej przyjaciółek; niektóre, nie mieściły się w środku, więc czekały na werandzie i podwórku, gdzie mężczyźni o posępnych twarzach palili papierosy i biadolili. Kiedy część kobiet wychodziła, by zaczerpnąć świeżego powietrza, inne zajmowały ich miejsce. Jeszcze inne szły do świątyni.

Wciąż pojawiali się nowi ciekawscy i kolejni, przybici tragedią, wierni; samochody osobowe i pick-upy stały jeden za drugim w uliczkach wokół kościoła. Ludzie podążali małymi grupkami do świątyni, stąpając powoli, jakby nie wiedzieli do końca, co będą tam robić, lecz mimo to czuli się potrzebni.

Kiedy na dole zajęto wszystkie ławki, Hop otworzył drzwi na balkon. Sam skrył się w cieniu za dzwonnica, aby nie rzucać się nikomu w oczy. Szeryf Gridley nieźle go nastraszył i biedny Hop w ogóle się nie odzywał. Podziwiał jednak, jak biali, w każdym razie większość z nich, panują nad swoimi emocjami. Zabicie popularnego czarnego kaznodziei wywołałoby o wiele bardziej żywiołową reakcję.

Diakon zasugerował pannie Emmie Faye Riddle, że przydałaby się jakaś oprawa muzyczna. Od kilkadziesiąt lat

grała na kościelnych organach, ale nie była pewna, czy to odpowiedni moment. Szybko się jednak zgodziła i kiedy zagrała pierwsze nuty The Old Rugged Cross, ludzie zaczęli głośniejszuchać.

Na zewnątrz jakiś mężczyzna podszedł do grupy tych, którzy w cieniu drzew palili papierosy.

– Pete’a Banninga zamknęli w areszcie – powiedział. – Mają również jego rewolwer.

Wiadomość przyjęto z aprobatą, skomentowano ją, a potem przekazano dalej, aż dotarła do wnętrza kościoła, gdzie powtarzano ją sobie z ławki do ławki.

Pete’a Banninga aresztowano za zamordowanie ich kaznodziei.

* * *

Kiedy stało się jasne, że podejrzany naprawdę nie zamierza nic powiedzieć, szeryf Gridley wprowadził go do skąpo oświetlonego małego pomieszczenia. Po obu stronach biegły stalowe pręty. Były tam trzy cele po prawej stronie i trzy po lewej, każda wielkości schowka na szczotki, każda bez okna. Przypominało to ciemne wilgotne lochy, miejsce zapomniane przez Boga i ludzi, w którym nie zauważa się upływu czasu. I miejsce, w którym najwyraźniej wszyscy palili tytoń. Gridley wsunął duży klucz do zamka w drzwiach jednej z cel, otworzył ją i dał znak podejrzanemu, by wszedł do środka. Poza stojącą przy przeciwległej ścianie lichą pryczą i rozklekotanym krzesłem nie było tam żadnych sprzętów.

– Trochę tu ciasno, Pete – powiedział szeryf. – Ale to w końcu więzienie.

Pete wszedł do celi i rozejrzał się.

– Widziałem gorsze – odparł, po czym podszedł do pryczy i usiadł.

– Łazienka jest przy końcu korytarza – wyjaśnił Gridley. – Jeśli będziesz chciał z niej skorzystać, po prostu zawołaj.

Pete wbił wzrok w podłogę i wzruszył tylko ramionami. Gridley zatrzasnął drzwi i wrócił do swojego biura, a Pete wyciągnął się na pryczy, zajmując całą jej długość. Miał metr osiemdziesiąt osiem wzrostu; posłanie nie było takie długie. W celi panował przenikliwy chłód i pachniało stęchlizną; kiedy sięgnął po złożony w kostkę koc, okazało się, że jest kompletnie wytarty i w nocy na niewiele się przyda. Zbyt nie tym nie przejął. Niewola nie była dla niego niczym nowym: udało mu się przeżyć w warunkach, które teraz, cztery lata później, wciąż wydawały się trudne do wyobrażenia.

* * *

Niespełna godzinę później John Wilbanks wrócił do biura szeryfa i przez chwilę spierali się, gdzie dokładnie ma się odbyć spotkanie adwokata z klientem. W budynku nie było żadnego przeznaczonego do tego pomieszczenia. Adwokaci wchodzili zazwyczaj do bloku więziennego i oddzieleni prętami krat od klientów, naradzali się z nimi, podsłuchiwani przez innych więźniów. Adwokat mógł też podejść do swojego klienta na zewnątrz, na spacerunku, i zamienić z nim kilka słów przez siatkę. Najczęściej jednak obrońcy w ogóle nie odwiedzali podejrzanych. Czekali, aż ci trafią do sądu, i tam ucinali sobie z nimi pogawędkę.

Jednak John Wilbanks uważał, że wszyscy inni adwokaci w hrabstwie Ford, a może i w całym stanie, nie dorastają mu do pięt, a jego nowy klient z pewnością nie był pierwszym lepszym więźniem. Status jednego i drugiego wymagał, by zapewniono im właściwe miejsce na spotkanie, a takim wydawało się biuro szeryfa. Gridley w końcu uległ – niewiele osób wygrywało słowne potyczki z Wilbanksem, który swoją drogą zawsze popierał szeryfa w trakcie wyborów. Szeryf postawił kilka łagodnych warunków i mamrocząc pod nosem, poszedł po Pete'a. Przyprowadził go bez kajdanek i oświadczył, że daje im pół godziny.

– No dobrze, Pete, pomówmy o samej zbrodni – odezwał się mecenas, kiedy zostali sami. – Jeśli ją popełniłeś, chcę to od ciebie usłyszeć. Jeśli jej nie popełniłeś, powiedz, kto to zrobił.

– Nie mam nic do powiedzenia – odparł Banning i zapalił papierosa.

– To za mało.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– To ciekawe. Czy w ogóle zamierzasz współpracować ze swoim obrońcą?

Pete wzruszył ramionami i zaciągnął się papierosem.

Wilbanks przywołał na twarz profesjonalny uśmiech.

– Oto jaki jest scenariusz – zaczął wyjaśniać. – Za dzień albo dwa zabiorą cię na salę rozpraw i staniesz przed obliczem sędziego Oswalta. Zakładam, że nie przyznasz się do winy, i zamkną cię tu ponownie. Mniej więcej za miesiąc zbierze się wielka ława przysięgłych i oskarży cię o zabójstwo pierwszego stopnia. Przypuszczam, że w okolicach lutego lub marca Oswalt będzie gotów wszcząć proces, w którym mogę podjąć się twojej obrony, jeśli zechcesz.

– Zawsze byłeś moim adwokatem, John.

– Dobrze. A więc musisz ze mną współpracować.

– Współpracować?

– Owszem, Pete, współpracować. To, co zrobiłeś, wydaje się na pierwszy rzut oka zabójstwem popełnionym z zimną krwią. Daj mi coś, na czym mógłbym się oprzeć, Pete. Miałeś chyba jakiś motyw.

– To sprawa między mną a Dexterem Bellem.

– Nie, teraz to jest sprawa między tobą a stanem Missisipi, który jak wszystkie inne stany nie pochwala morderstw popełnianych z zimną krwią.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– To nie jest właściwa linia obrony, Pete.

– Być może nie mam żadnej linii obrony... w każdym razie takiej, którą zrozumieliby zwykli ludzie.

– Cóż, członkowie ławy przysięgłych będą musieli coś zrozumieć. Pierwszym i w zasadzie jedynym pomysłem, jaki

przychodzi mi do głowy, jest złożenie wniosku o umorzenie postępowania ze względu na niepoczytalność sprawcy.

– Nie ma mowy. Jestem tak samo poczytalny jak ty.

– Ale ja nie robię wszystkiego, żeby trafić na krzesło elektryczne, Pete.

Pete wypuścił z ust obłoczek dymu.

– Ja też tego nie robię.

– To świetnie. W takim razie daj mi jakiś motyw, jakiś powód. Daj mi cokolwiek, Pete.

– Nie mam nic do powiedzenia.

* * *

Joel Banning szedł właśnie na dół schodami prowadzącymi z Benson Hall, kiedy usłyszał swoje nazwisko. Student pierwszego roku, którego luźno znał, wręczył mu kopertę.

– Dziekan Mulrooney chce, żebyś zgłosił się natychmiast w jego gabinecie – powiedział. – To pilne.

– Dziękuję. – Joel wziął od niego kopertę i przez chwilę patrzył w ślad za nim.

Wewnątrz, na oficjalnym papierze listowym Uniwersytetu Vanderbilta, była odręczna notatka z prośbą, by stawił się bezzwłocznie w gabinecie dziekana w budynku administracyjnym Kirkland Hall.

Joel miał za piętnaście minut zajęcia z literatury, a prowadzący je profesor patrzył niechętnym okiem na tych, którzy je opuszczali. Gdyby się pospieszył, mógłby pobiec do biura dziekana, dowiedzieć się, o co chodzi, a potem spóźnić się trochę na zajęcia, z nadzieją, że profesor będzie w dobrym humorze. Pognał przez dziedziniec w kierunku Kirkland Hall i wbiegł na trzecie piętro, gdzie dowiedział się od sekretarki dziekana, że ma poczekać do godziny jedenastej, kiedy to zadzwoni do niego ciotka Florry. Sekretarka twierdziła, że nie wie, o co chodzi. Rozmawiała wcześniej z Florry Banning, która zadzwoniła na uczelnię z telefonu podłączonego do

wiejskiej wspólnej linii i bała się, że ktoś ją podsłuchuje. Powiedziała sekretarce, że pojedzie do domu znajomej w Clanton, by skorzystać z prywatnej linii.

Czekając na telefon, Joel doszedł do wniosku, że ktoś umarł, i nie mógł nie pomyśleć o wszystkich tych krewnych i znajomych, których wolałby stracić zamiast innych. Rodzina Banningów była niewielka: składała się z jego rodziców, Pete'a i Lizy, jego siostry Stelli oraz ciotki Florry. Dziadkowie już nie żyli. Florry pozostała bezdzietna, więc on i Stella nie mieli żadnego ciotecznego rodzeństwa. Krewni matki pochodzili z Memphis, ale rozproszyli się po wojnie.

Przemierzał tam i z powrotem sekretariat, ignorując zniecierpliwione spojrzenia sekretarki, aż uznał w końcu, że chodzi o matkę. Przed kilkoma miesiącami trafiła na zamknięty oddział szpitala psychiatrycznego i rodzina nadal się po tym nie pozbierała. Od tamtego czasu on i Stella nie widzieli się z nią ani razu i matka nie odpisywała na ich listy. Ojciec nie chciał rozmawiać na temat zdrowia żony i szczerze mówiąc, w całej tej historii było wiele znaków zapytania. Czy jej stan się polepszy? Czy wróci do domu? Czy ich rodzina kiedykolwiek jeszcze będzie prawdziwą rodziną? Joel i Stella mieli w związku z tym wiele pytań, ale ojciec, kiedy w ogóle z nimi rozmawiał, wolał poruszać inne tematy. Ciotka Florry też niewiele wniosła do sprawy.

Zadzwoiła punkt jedenasta. Sekretarka podała Joelowi słuchawkę i cofnęła się za róg pokoju, skąd pewnie nadal mogła wszystko słyszeć. Joel mruknął „Halo” i czekał całą wieczność na odpowiedź. Florry, kiedy się w końcu odezwała, wyjaśniła, że jest w mieście, w domu panny Mildred Highlander, kobiety, którą Joel znał od niepamiętnych czasów, i że przyjechała do niej, ponieważ muszą porozmawiać w pełnej dyskrecji, a nie można na to liczyć, kiedy dzwoni się z wiejskiej wspólnej linii, o czym świetnie wiedział. I faktycznie, w mieście trudno było w tej chwili liczyć na dyskrecję, bo jego ojciec zaledwie kilka godzin wcześniej podjechał pod kościół metodystów i zastrzelił wielebnego

Dextera Bella, a teraz siedzi w areszcie, i cóż, jak można się było spodziewać, miasto jest w szoku i wszystko stanęło w miejscu. Nie pytaj, dlaczego to zrobił, i gdziekolwiek teraz jesteś, Joel, nie mów niczego, co ktoś mógłby usłyszeć, ale to coś okropnego i niech Bóg ma nas w swojej opiece.

Joel oparł się o biurko sekretarki, bo zrobiło mu się słabo. Zamknął oczy, wziął głęboki oddech i słuchał dalej. Florry poinformowała go, że właśnie rozmawiała ze Stellą, która nie przyjęła tego dobrze. Zajęła się nią pielęgniarka w gabinecie rektora. Pete, dodała, przekazał jej dokładne instrukcje na piśmie, z których wynikało, że Joel i Stella mają pozostać na swoich uczelniach i nie wracać do Clanton aż do odwołania. Powinni spędzić Święto Dziękczynienia ze swoimi znajomymi, jak najdalej od hrabstwa Ford. I jeśli skontaktują się z nimi reporterzy, śledczy, policja i w ogóle ktokolwiek, nie wolno im puścić pary z gęby. Ani słowa o ich ojcu i rodzinie. Ani słowa, kropka. Na koniec Florry powiedziała, że bardzo go kocha, że napisze mu zaraz długi list i żałuje, że nie może być razem z nim w tej strasznej chwili.

Joel bez słowa odłożył słuchawkę i wyszedł z budynku. Przez jakiś czas włóczył się bez celu po kampusie, aż zobaczył schowaną za krzewami pustą ławkę. Usiadł na niej i powstrzymując cisnące się do oczu łzy, starał się odnaleźć w sobie stoicyzm, którego uczył go ojciec. Biedna Stella, pomyślał. Była tak samo nadpobudliwa i emocjonalna jak ich matka i wiedział, że jest teraz kompletnie rozbita.

Przerażony i zszokowany, patrzył na opadające z drzew liście. Nagle ogarnęło go pragnienie, by natychmiast wrócić do domu. Mógł wsiąść w pociąg, dojechać do Clanton jeszcze przed zmrokiem i dowiedzieć się wszystkiego na miejscu. Po chwili jednak ta myśl umknęła i zaczął się zastanawiać, czy w ogóle tam kiedyś wróci. Wielebny Bell był utalentowanym i popularnym pastorem i w tym momencie ludzie na pewno nie odnosili się do Banningów z sympatią. Zresztą ojciec stanowczo zabronił jemu i siostrze wracać do domu. Dwudziestoletni Joel nie pamiętał, by kiedykolwiek sprzeciwił

się ojcu. Z wiekiem nauczył się z nim kulturalnie nie zgadzać, ale nigdy nie okazałby nieposłuszeństwa. Ojciec był dumnym żołnierzem, zwolennikiem surowej dyscypliny, który niewiele mówił i cieszył się dużym autorytetem.

Było po prostu niemożliwe, by ktoś taki mógł popełnić morderstwo.

Rozdział 4

W budynku sądu, a także w sąsiadujących z nim przy placu sklepach i biurach urzędowanie kończono w dni powszednie o piątej. O tej godzinie wszystkie drzwi były już zazwyczaj pozamykane, światła pogaszone, a chodniki opustoszałe. Tego dnia jednak mieszkańcy miasta pozostali tam dłużej, licząc, że pojawią się nowe fakty lub plotki na temat zabójstwa. Od dziewiątej rano nie mówiło się o niczym innym. Wstrząśnięci ludzie najpierw przekazywali sobie wiadomość o tym, co się stało, a potem uzupełniali ją o kolejne szczegóły. Stali, chyląc z szacunkiem głowy, kiedy stary Magargel objechał plac karawanem, w którym można było dostrzec zarys okrytego czarną tkaniną ciała. Niektórzy wchodzili nawet do kościoła metodystów i brali tam udział w czuwaniu i modłach, a potem wracali na plac, przynosząc zapierające dech w piersiach doniesienia z pierwszej linii frontu. Baptyści, prezbiterianie i zielonoświątkowcy byli w gorszej sytuacji, bo nie mogli się pochwalić bliskimi związkami ze sprawcą i jego ofiarą. Za to metodyści znaleźli się w centrum uwagi i każdy z nich opisywał łączące go z bohaterami dramatu relacje, które w miarę jak mijał dzień, stawały się coraz bliższe. Tego dnia kościół metodystów w Clanton miał więcej wiernych niż kiedykolwiek wcześniej.

Większość mieszkańców Clanton, a ściślej mówiąc, większość białych, czuła się zdradzona. Dexter cieszył się

wielkim szacunkiem i popularnością. Pete Banning był postacią niemal mityczną. To, że jeden zabił drugiego, kompletnie nie miało sensu, więc boleśnie dotknęło prawie wszystkich. Motywy do tego stopnia wymykały się zrozumieniu, że trudno było na ich temat spekulować.

Co wcale nie znaczyło, że tego nie próbowano; plotek i tym razem nie brakowało. Mówiono, że już nazajutrz Banning stanie przed obliczem sądu i że odmawia wszelkich wyjaśnień. Że jego obrońca złoży wniosek o umorzenie postępowania z powodu niepoczytalności sprawcy. Że John Wilbanks nie przegrał w swojej karierze ani jednego procesu i tego też nie przegra. Że sędzia Oswalt przyjaźnił się z Banningami, a może raczej z Dexterem Bellem. Że proces zostanie przeniesiony do Tupelo. Że z Pete'em coś było nie tak już od zakończenia wojny. Że Jackie Bell jest pod działaniem środków uspokajających. Że jej dzieci są zdruzgotane. Że Pete zastawi swoją ziemię i już jutro wyjdzie za kaucją.

Nie chcąc na nikogo się natknąć, Florry zaparkowała w bocznej uliczce i ruszyła szybkim krokiem do kancelarii. John Wilbanks został po godzinach i czekał na nią na pierwszym piętrze.

* * *

W 1946 roku w hrabstwie Ford było dwunastu adwokatów i połowa z nich pracowała w firmie Wilbanks & Wilbanks. Cała szóstka była ze sobą spokrewniona. Od ponad stu lat rodzina Wilbanksów grała pierwsze skrzypce w miejscowej adwokaturze, polityce, bankowości, nieruchomościach i rolnictwie. John i jego brat Russell studiowali prawo na północy i kierowali kancelarią, która prowadziła chyba większość cywilnych spraw w hrabstwie. Kolejny brat był prezesem największego banku w hrabstwie, a także właścicielem kilku firm. Kuzyn miał osiemset hektarów ziemi. Inny kuzyn zajmował się nieruchomościami i był ambitnym

członkiem stanowej izby reprezentantów. Krążyły plotki, że raz na rok, w pierwszym tygodniu stycznia, rodzina potajemnie się spotyka, liczy zyski i dzieli pieniądze. Podobno było ich niemało.

Florry знаła Johna Wilbanka od szkoły średniej, ale była od niego trzy lata starsza. Jego kancelaria od zawsze zajmowała się obsługą prawną Banningów, która do tej pory nie nastroczała wielu problemów. Dość trudna okazała się sprawa wyekspediowania Lizy do szpitala psychiatrycznego, ale John dyskretnie pociągnął za właściwe sznurki i wszystko odbyło się zgodnie z planem. W podobny sposób John i jego brat zamietli pod dywan kwestię dawnego rozwodu Florry, po którym w archiwach hrabstwa nie zostało prawie żadnego śladu.

Wilbanks uściskał ją mocno na powitanie i ruszyli razem na piętro, do jego wielkiego, najbardziej reprezentacyjnego w mieście gabinetu, z tarasem i widokiem na budynek sądu. Na ścianach wisiały posępne portrety zmarłych przodków. Śmierć była wszędzie. John wskazał elegancką skórzaną sofę i Florry usiadła.

– Byłem u niego – oznajmił, zapalając krótkie czarne cygaro. – Nie był zbyt rozmowny. W gruncie rzeczy nic mi nie powiedział.

– Ale o czym, na litość boską, John? – zapytała Florry ze łzami w oczach.

– Niech mnie diabli, jeśli wiem. Niczego nie przeczuwałaś?

– Oczywiście, że nie. Znasz Pete'a. Nie mówi dużo, zwłaszcza o sprawach prywatnych. Pogada z tobą chwilę o dzieciakach, a potem, jak wszyscy plantatorzy, o pogodzie, o cenie ziarna i innych głupotach. Ale nie wyciągniesz z niego nic osobistego. A o czymś tak okropnym jak to... nie... nigdy nie powiedziałaby słowa.

John zaciągnął się cygarem i wypuścił pod sufit obłok błękitnego dymu.

– Więc nie wiesz, o co w tym wszystkim chodzi?

Florry otarła oczy chusteczką.

– Jestem zbyt wzburzona, by cokolwiek z tego pojąć, John. W tym momencie trudno mi złapać oddech, a tym bardziej racjonalnie myśleć. Może jutro, może pojutrze, ale nie teraz. Na razie mam mętlik w głowie.

– A co z Joelem i Stellą?

– Rozmawiałam z obojgiem. Biedne dzieciaki... z dala od domu, cieszyły się urokami studenckiego życia, tak naprawdę nie mając żadnych zmartwień. I nagle dowiadują się, że ich ojciec zabił pastora, człowieka, którego tak podziwiałały. I że nie mogą wrócić do domu, bo Pete dał na piśmie wyraźne instrukcje, że nie wolno im tego zrobić, dopóki nie zmieni zdania. – Florry przez jakąś minutę cicho szlochała, a John palił spokojnie cygaro. W końcu zacisnęła zęby i ponownie otarła łzy. – Przepraszam – mruknęła.

– Nie krępuj się, Florry, płacz, ile chcesz. Sam chętnie bym to zrobił. Wyrzucić to z siebie, to absolutnie normalna reakcja. Nie pora teraz brać się w garść. Emocje są jak najbardziej uzasadnione. To z pewnością paskudny dzień i pamięć o nim będzie nas ścigać przez nadchodzące lata.

– Co nas czeka, John?

– Nic dobrego, to jedno mogę powiedzieć. Rozmawiałem dziś po południu z sędzią Oswaltem, który kategorycznie wykluczył możliwość zwolnienia za kaucją. Całkowicie go rozumiem. Mamy w końcu do czynienia z morderstwem. Spotkałem się również z Pete'em, ale nie jest skłonny do współpracy. Z jednej strony nie zamierza przyznawać się do winy, z drugiej nie chce opracować jakiejś linii obrony. To może się oczywiście zmienić, ale oboje dobrze go znamy. Wiemy, że kiedy wbije sobie coś do głowy, trudno mu to wyperswadować.

– Jaka może być linia obrony?

– Nasze opcje są raczej ograniczone. Działanie w obronie własnej, nieodparty impuls, być może jakieś alibi. Nic tutaj nie pasuje, Florry. – John ponownie zaciągnął się cygarem i wypuścił pod sufit kolejną chmurę dymu. – Jest coś jeszcze. Dziś po południu dostałem pewną informację i udałem się do

biura ksiąg wieczystych. Trzy tygodnie temu Pete przepisał swoją ziemię na Joela i Stellę. Nie miał żadnego uzasadnionego powodu, by to zrobić, i najwyraźniej nie chciał, żebym się o tym dowiedział. Skorzystał z pomocy adwokata z Tupelo, który jest tu mało znany.

– Co z tego wynika? Przepraszam, John, musisz mnie oświecić.

– Chodzi o to, że Pete planował to od dłuższego czasu i pragnąc zabezpieczyć ziemię przed ewentualnymi roszczeniami ze strony rodziny Dextera Bella, oddał ją dzieciom, wykreślając swoje nazwisko z aktu własności.

– I rzeczywiście ją w ten sposób zabezpieczył?

– Bardzo wątpię, ale to jest inny problem i zajmiemy się nim kiedy indziej. Twoja ziemia należy oczywiście do ciebie i nie podlega żadnym roszczeniom.

– Dzięki, John, ale nie przyszło mi to nawet do głowy.

– Zakładając, że dojdzie do procesu, a nie widzę powodu, żeby miało do niego nie dojść, przepisanie ziemi na dzieci będzie świadczyło o działaniu z premedytacją. To wszystko było starannie zaplanowane, Florry. Pete myślał o tym od dłuższego czasu.

Florry przycisnęła chusteczkę do ust i przez kilka minut wpatrywała się w podłogę. W gabinecie panowała cisza; z dołu nie dobiegały żadne uliczne hałasy. John wstał, zgasił cygaro w ciężkiej kryształowej popielniczce, po czym podszedł do biurka i zapalił następne. Stał przy drzwiach prowadzących na taras i przez chwilę przyglądał się stojącemu po drugiej stronie ulicy budynkowi sądu. Zbliżał się zmierzch i na trawnik padały długie cienie.

– Ile czasu Pete spędził w szpitalu po tym, jak uciekł? – zapytał, nie odwracając się.

– Wiele miesięcy. Nie wiem, może nawet rok. Miał rozległe rany i ważył niespełna sześćdziesiąt kilogramów. Trochę to trwało.

– Ale w jakim był stanie psychicznym? Miał jakieś problemy?

– Cóż, jeśli nawet, to jak to on, nic o nich nie mówił. Ale jak można mieć równo pod sufitem po tym wszystkim, przez co przeszedł?

– Czy został zdiagnozowany?

– Nie wiem. Po wojnie stał się zupełnie innym człowiekiem, ale trudno się temu dziwić. Jestem pewna, że wielu chłopców wróciło z wojny pokiereszowanych.

– Pod jakim względem był inny?

Florry schowała chusteczkę do torebki, jakby chciała powiedzieć, że nie będzie już więcej płakać.

– Liza mówiła, że na początku miał koszmary, było wiele bezsennych nocy. Ostatnio wydawał się bardziej ponury, zdarzały mu się długie okresy milczenia. Ale mówimy o człowieku, który nigdy nie był zbyt rozmowny. Pamiętam, że kiedy wrócił do domu, miałam wrażenie, że jest całkiem szczęśliwy i odprężony. Wracał do zdrowia, nabierał wagi i dużo się uśmiechał: po prostu cieszył się, że żyje i że wojna dobiegła końca. Ale to nie trwało długo. Widziałam, że między nim a Lizą nie bardzo się układa. Nineva twierdziła, że kompletnie się nie dogadują. To było naprawdę dziwne, bo im więcej Pete nabierał sił i im szybciej wracał do formy, tym bardziej pogarszał się stan Lizy.

– O co się kłócili?

– Nie wiem. Przed Ninewą nic się nie ukryje, więc musieli być ostrożni. Opowiadała Marietcie, że często odprawiali ją z domu, żeby móc swobodnie porozmawiać. Liza czuła się coraz gorzej. Pamiętam, że kiedy spotkałyśmy się krótko przed jej wyjazdem, wydała mi się mizerna, krucha, jakby stłamszona. Nie jest tajemnicą, że nie byłyśmy w bliskich stosunkach, więc nigdy mi się nie zwierzała. On zresztą też.

John wypuścił z ust dym, usiadł ponownie obok Florry i uśmiechnął się do niej, tak jak uśmiechają się starzy przyjaciele.

– Jedyńm, co może łączyć wielebno Bella i twojego brata, jest Lizy Banning – powiedział. – Chyba się ze mną zgodzisz?

– Nie jestem w stanie z czymkolwiek się zgadzać lub nie zgadzać.

– Daj spokój, Florry, postaraj się mi pomóc. Jestem jedyną osobą, która ma szansę uratować Pete'a przed wyrokiem śmierci, choć w tym momencie nie wydaje się to zbyt prawdopodobne. Ile czasu Dexter Bell spędzał z Lizą, kiedy myśleliśmy, że Pete nie żyje?

– Wielki Boże, John, nie mam najmniejszego pojęcia. Te pierwsze dni i tygodnie były po prostu straszne. Liza była wrakiem człowieka, dzieci kompletnie zdruzgotane. W domu nie zamykały się drzwi, bo wszyscy mieszkańcy hrabstwa wpadali a to z szynką, a to z golonką, a także z dziesiątkami pytań i ramieniem, na którym można by się wyplakać. Dexter też tam oczywiście był i pamiętam również jego żonę. Łączyły ich bliskie stosunki z Pete'em i Lizą.

– Ale nic, co by odbiegało od normy?

– Odbiegało od normy? Sugerujesz, że mogło do czegoś dojść między Dexterem Bellem i Lizą? To oburzające, John.

– Owszem, oburzające, podobnie jak to morderstwo, którego sprawcy podjąłem się bronić, jeśli w ogóle okaże się to możliwe. Pete nie zabił Dextera Bella bez powodu. Jeśli sam tego nie wyjaśni, to ja będę musiał odkryć motyw.

Florry podniosła rękę.

– Jestem wykończona. To był stresujący dzień, John, i nie mam już siły tego ciągnąć. Może innym razem.

Powiedziawszy to, wstała i ruszyła w stronę drzwi; John szybko je przed nią otworzył i pomógł jej zejść po schodach. Uściskali się przy frontowych drzwiach, obiecując sobie, że wkrótce znów się spotkają.

* * *

Pierwszym posiłkiem, który Pete spożył jako więzień, była zimna zupa fasolowa z kromką czerstwego kukurydzianego chleba. Siadając na skraju pryczy, z miską w ręce, zastanawiał

się, jaką trudność sprawiłoby podanie więźniom zupy, póki była jeszcze ciepła. Z pewnością dałoby się to zrobić, ale nie zamierzał tego nikomu sugerować. Nie chciał się skarżyć, bo przekonał się na własnej skórze, że skargi często tylko pogarszają sytuację.

Po drugiej stronie przejścia siedział na pryczy inny więzień, posilając się w słabym świetle wiszącej na kablu gołej żarówki. Nazywał się Leon Colliver i należał do rodziny znanej z pędzenia znakomitego bimbru, którego flaszkę miał schowaną pod pryczą. Dwa razy w ciągu popołudnia zaproponował Pete'owi, żeby sobie golnął, i za każdym razem spotkał się z odmową. Ze słów Collivera wynikało, że wkrótce wyślą go do stanowego więzienia w Parchman, gdzie spędzi pięć lat. Miała to być jego druga odsiadka w tamtym zakładzie karnym i nie mógł się doczekać przenosin. Każde miejsce było lepsze od tych lochów. W Parchman osadzeni spędzali większość czasu na świeżym powietrzu.

Colliver miał ochotę pogadać i ciekawiło go, za co Pete trafił za kratki. Z upływem dnia plotki dotarły również do czterech innych białych więźniów i o zmierzchu wszyscy wiedzieli, że Pete zabił pastora metodystów. Colliverowi nigdzie się nie spieszyło i chciał poznać szczegóły. Niczego nie uzyskał. Nie mógł wiedzieć, że w swoim czasie Pete Banning był postrzelony, bity i torturowany, że próbowano go zagłodzić, zamykano w zagrodach z drutu kolczastego, ładowniach statków, bydłych wagonach i obozach jenieckich i jedną z wielu rzeczy, których nauczył się podczas tej gehenny, było to, żeby nigdy nie zwierzać się komuś, kogo się nie zna.

Po kolacji zajrzał do bloku więziennego Nix Gridley. Przystanął przy celi Pete'a, a ten wstał i podszedł do stalowych prętów.

– Słuchaj, Pete – mruknął cicho szeryf. – Mamy tu paru wścibskich reporterów, którzy nam się naprzykrzają i kręcą się wokół aresztu. Chcą rozmawiać ze mną, z tobą, z każdym,

kto się napatoczy. Chciałem się po prostu upewnić, że nie jesteś tym zainteresowany.

– Nie jestem zainteresowany – potwierdził Pete.

– Przyjechali z najróżniejszych miejsc: z Tupelo, Jackson, Memphis.

– Nie jestem zainteresowany.

– Tak też myślałem. Jak ci tu jest?

– Nieźle. Bywało gorzej.

– Wiem. Słuchaj, Pete, chcę, żebyś wiedział, że dziś po południu zajrzałem na plebanię i zamieniłem kilka słów z Jackie Bell. Myślę, że jakoś się trzyma. Ale dzieciaki są kompletnie zdruzgotane.

Pete zmierzył go spojrzeniem, w którym nie było cienia życzliwości. Przeszło mu przez głowę, żeby udzielić jakiejś ciętej odpowiedzi, w rodzaju: „Przekaż jej, proszę, moje uszanowanie” albo: „A niech to, powiedz jej, że mi przykro”, ale tylko zmarszczył brwi, jakby szeryf był idiotą. Po co mu to mówił?

Kiedy stało się jasne, że Pete nie zamierza tego skomentować, Nix cofnął się dwa kroki.

– Jeśli będziesz czegoś potrzebował, daj mi znać – mruknął.

– Dzięki.

Rozdział 5

O czwartej nad ranem Florry pogodziła się w końcu z tym, że nie zaśnie, i poszła do kuchni zrobić sobie kawę. Marietta, która mieszkała w suterenie, usłyszała hałasy i pojawiła się na górze, w koszuli nocnej. Florry wyjaśniła, że nie może spać, niczego nie potrzebuje, i odesłała ją z powrotem. Po dwóch filiżankach kawy i wylaniu kolejnych potoków łez pomyślała, że może ten koszmar wzbudzi w niej kreatywność. Przez godzinę dłubała przy pewnym wierszu, o świcie jednak porzuciła te próby i zwróciła się ku literaturze faktu: zaczęła pisać dziennik poświęcony tej tragedii. Darowała sobie kąpiel i śniadanie i o siódmej rano była już w Clanton, w domu Mildred Highlander, mieszkającej samotnie wdowy, która z tego, co Florry wiedziała, jako jedyna w mieście rozumiała jej poezję. Popijając gorącą herbatę i jedząc bułeczki z serem, rozmawiały wyłącznie o tym koszmarze.

Mildred przyniosła do salonu poranne gazety z Tupelo i Memphis i obie panie, które spodziewały się najgorszego, nie były zawiedzione. Na pierwszej stronie gazety z Tupelo widniał wielki tytuł: „Bohater wojenny aresztowany za morderstwo”. W gazecie z Memphis, mniej zainteresowanej tym, co działo się na południu, w Missisipi, relację zamieszczono na pierwszej stronie działu miejskiego, pod nagłówkiem: „Popularny kaznodzieja zastrzelony w kościele”.

Te dwa artykuły różniły się nieco, jeśli chodzi o fakty. Brak komentarzy ze strony adwokata podejrzanego i policji. Całe miasto jest w szoku.

Ich własna gazeta, „The Ford County Times”, była tygodnikiem i trafiała do kiosków w każdą środę rano, więc cała sensacja ominęła ich o jeden dzień i musieli czekać do następnego tygodnia. Jej fotograf uchwycił jednak Pete’a Banninga, kiedy ten wchodził do budynku aresztu, i tę fotografię zamieściły na swoich łamach redakcje z Memphis i Tupelo. Widać było na niej kroczącego z obojętną miną Pete’a, którego eskortowało trzech zacnych południowych gliniarzy w niedobraniach kapeluszach i mundurach.

Ponieważ wyglądało na to, że wszystkim mieszkańcom Clanton odjęło mowę, reporterzy skupili się na barwnej przeszłości Pete’a jako bohatera wojennego. Opierając się głównie na informacjach z archiwum, obie gazety opisały szczegółowo jego wojskową karierę i heroiczne czyny, których dokonał w trakcie wojny na Pacyfiku. W obu też zamieszczono małe fotografie Pete’a, zrobione, gdy rok wcześniej powrócił do Clanton. Ta z Tupelo zamieściła również zdjęcie Pete’a i Lizy z uroczystości przed budynkiem sądu.

Vic Dixon, mieszkający naprzeciwko Mildred, był jednym z niewielu mieszkańców Clanton, którzy prenumerowali poranną gazetę z Jackson, największą w stanie, lecz poświęcającą niewiele uwagi północnym hrabstwom. Tego ranka, przeczytawszy ją przy kawie, przeszedł na drugą stronę ulicy i oddał Mildred, która specjalnie go o to poprosiła. Przy okazji przywitał się z Florry i przekazał jej kondolencje, wyrazy współczucia czy co tam można przekazać siostrze człowieka, który został oskarżony o morderstwo i chyba je popełnił. Zanim Mildred go przegoniła, wymogła na nim obietnicę, że będzie odkładał następne numery.

Florry potrzebowała jak najwięcej danych do swojej relacji, która miała przybrać postać teczki, zeszytu z wycinkami lub spisywanego na gorąco dziennika. Chciała je wszystkie zebrać, zapisać i zachować. Nie wiedziała dokładnie po co, ale na jej

oczach rozgrywała się długa, smutna i naprawdę jedyna w swoim rodzaju historia i Florry nie zamierzała z niej niczego przegapić. Chciała móc odpowiedzieć na wszystkie ich pytania Joela i Stelli, kiedy wrócą w końcu do domu.

Była jednak zawiedziona, gdy zdała sobie sprawę, że gazeta z Jackson, oddalonego od Clanton bardziej niż Tupelo czy Memphis, zamieściła o wiele mniej informacji i zdjęć. Całość opatrzone raczej mało chwytliwym tytułem „Aresztowanie czołowego plantatora w Clanton”. Mimo to wycięła kupon subskrypcyjny, by wysłać go do redakcji razem z czekiem.

Korzystając z prywatnej linii Mildred, zadzwoniła do Joela i Stelli i próbowała ich przekonać, że sytuacja w domu nie jest tak katastrofalna, jak mogłoby się wydawać. Nie bardzo jej się to udało i kiedy w końcu się rozłączyła, zarówno jej bratanica, jak i bratanek mieli łzy w oczach. Ich ojciec siedział w celi, oskarżony o straszne morderstwo. Oboje chcieli wrócić do domu.

O dziewiątej Florry wzięła się w garść, wsiadła do swego lincolna rocznik 1939 i pojechała do więzienia. Samochód miał na liczniku niecałe trzydzieści tysięcy kilometrów i rzadko opuszczał granice hrabstwa, głównie dlatego, że jego właścicielka nie miała prawa jazdy. Dwa razy oblała egzamin i kilkakrotnie zatrzymywała ją policja, ale nigdy nie została ukarana, na mocy niepisanej umowy z Nixem Gridleyem, któremu obiecała, że będzie jeździła tylko do miasta i z powrotem, i nie po zapadnięciu zmroku.

Weszła do biura szeryfa, przywitała się z Nixem i Redem i oznajmiła, że chce się zobaczyć z bratem. W ciężkim wiklinowym koszyku miała trzy powieści Williama Faulknera, półtora kilograma zamówionej u dystrybutora w Baltimore kawy Standard, a także kubek, dziesięć paczek papierosów, zapałki, szczoteczkę i pastę do zębów, dwie kostki mydła, dwa słoiczki aspiryny, dwa słoiczki środków przeciwbólowych oraz pudełko czekoladek. O to wszystko poprosił ją wcześniej brat.

Po krótkiej niezręcznej rozmowie Nix zapytał w końcu, co ma w koszyku. Nie pokazując jego zawartości, wyjaśniła, że to kilka niegroźnych drobiazgów dla brata, rzeczy, o które ją prosił.

Obaj gliniarze odnotowali w pamięci, by poinformować o tym prokuratora. Podejrzany zaplanował swoją zbrodnię tak dokładnie, że sporządził nawet listę rzeczy, które siostra miała mu dostarczyć do więzienia. Oczywisty dowód, że działał z premedytacją. Popełniony w szczerzej wierze błąd Florry mógł mieć poważne konsekwencje.

– Kiedy prosił cię o to wszystko? – rzucił lekkim tonem Nix, jakby nie miało to większego znaczenia.

– Zostawił Ninevie list – odparła skwapliwie Florry. – I poprosił, żeby mi go przekazała, kiedy go aresztują.

– Rozumiem – mruknął Nix. – Powiedz mi, Florry, co wiedziałaś o jego planach?

– O niczym nie wiedziałam, przysięgam. Absolutnie. Jestem tak samo wstrząśnięta jak wy, a nawet bardziej, bo to mój brat i nie potrafię sobie wyobrazić, jak mógł zrobić coś takiego.

W tym momencie Nix zerknął na Reda. W jego oczach malowało się powątpiewanie. Nie bardzo wierzył, że Florry nic wcześniej nie wiedziała, że nie znała motywów tej zbrodni i że jest teraz szczerą. To porozumiewawcze spojrzenie zaskoczyło Florry i zdała sobie sprawę, że powinna trzymać język za zębami.

– Czy mogę zobaczyć się z bratem? – Zabrzmiało to jak żądanie.

– Jasne – odrzekł Nix. – Przyrowadź więźnia – zwrócił się do Reda i kiedy ten wyszedł, wziął koszyk i zaczął przeglądać jego zawartość.

– Czego tam szukasz, Nix? Noży i pistoletów? – zapytała Florry, którą bardzo to zirytowało.

– Co on ma zrobić z tą kawą? – mruknął szeryf.

– Wypić.

– Mamy własną kawę, Florry.

– Nie wątpię, ale jeśli idzie o kawę, Pete jest bardzo wybredny. Wzięło się to z wojny, kiedy o kawie mógł tylko pomarzyć. To musi być Standard Coffee z Nowego Orleanu. Tyle przynajmniej możecie dla niego zrobić.

– Jeżeli podamy mu Standard, taką samą kawę będziemy musieli podawać innym więźniom, w każdym razie białym. Nikt nie może być traktowany w preferencyjny sposób, rozumiesz, Florry? Ludzie i tak już podejrzewają, że Pete ma u nas specjalne fory.

– Całkowicie rozumiem. Mogę wam przywieźć tyle Standard Coffee, ile chcecie.

Nix wziął do ręki kubek: ceramiczny, w kolorze złamanej bieli, z jasnobrązowymi plamami, najwyraźniej od dawna używany.

– To jego ulubiony kubek – rzuciła Florry, zanim zdążył się odezwać. – Dali mu go w szpitalu wojskowym, kiedy dochodził do zdrowia. Nix, nie zamierzasz chyba zabronić bohaterowi wojennemu pić kawy z jego ulubionego kubka.

– Chyba nie – mruknął szeryf, po czym zaczął wkładać przedmioty z powrotem do koszyka.

– On nie jest twoim pierwszym lepszym więźniem, Nix, musisz o tym pamiętać. Zamknąłeś go w areszcie razem z Bóg wie kim, najprawdopodobniej z bandą złodziei i przemytników, ale pamiętaj, że to jest Pete Banning.

– Zamknąłem go w areszcie, bo zabił pastora metodystów, Florry. I w tym momencie jest tutaj jedynym mordercą. Nie będzie traktowany w specjalny sposób.

Drzwi otworzyły się i do gabinetu wszedł Pete, eskortowany przez Reda. Zmierzył obojętnym spojrzeniem siostrę i stanął sztywno pośrodku pokoju, zerkając na Nixa.

– Domyślałam się, że chcesz znów skorzystać z mojego gabinetu – odezwał się szeryf.

– Dzięki, Nix, to bardzo miło z twojej strony – powiedział Pete.

Nix niechętnie wstał, wcisnął na głowę kapelusz i wyszedł razem z Redem. Na wieszaku w rogu zostawił tkwiący

w kaburze pistolet.

Pete przysunął sobie krzesło, usiadł i spojrzał na siostrę.

– Ty idioto – brzmiały jej pierwsze słowa. – Jak mogłeś okazać się takim głupim, samolubnym, krótkowzrocznym durniem? Jak mogłeś to zrobić swojej rodzinie? Nie pomyśleć o mnie, o plantacji i o ludziach, którzy są od ciebie zależni. Nie pomyśleć o przyjaciółach. Jak, do licha, mogłeś to zrobić swoim dzieciom? Są zdruzgotane, kompletnie przerażone i skołowane. Jak mogłeś?

– Nie miałem wyboru.

– Co ty powiesz! Może mi to wyjaśnisz?

– Nie, nie mogę, i mów, z łaski swojej, trochę ciszej. Niech ci się nie wydaje, że nas nie podsłuchują.

– Nie obchodzi mnie, czy nas podsłuchują.

Pete zmrużył oczy i wycelował w nią palec.

– Opanuj się, Florry. Nie mam ochoty słuchać twoich tyrad i nie dam się wyprowadzić z równowagi. Nie zrobiłem tego, co zrobiłem, bez powodu i być może pewnego dnia to pojmiesz. Na razie jednak nie mam na ten temat nic do powiedzenia, a ponieważ tego nie rozumiesz, proponuję, żebyś powściągnęła swój język.

Florry natychmiast stanęły w oczach łzy i zadrżały jej usta.

– Więc nie chcesz o tym mówić nawet ze mną? – zapytała, spuszcżając głowę.

– Z nikim, nawet z tobą.

Przez dłuższy czas wbijała wzrok w podłogę, zastanawiając się nad jego słowami. Za ledwie dzień wcześniej, w środę, jedli jak zwykle razem śniadanie i nic nie zapowiadało tego, co miało się wydarzyć. Ostatnio Pete taki właśnie był: małomówny, wycofany, nieobecny myślami. Spojrzała mu prosto w oczy.

– Chcę cię zapytać dlaczego – odezwała się.

– A ja nie mam nic do powiedzenia.

– Co takiego zrobił Dexter Bell, że go to spotkało?

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Czy to ma jakiś związek z Lizą?

Pete przez sekundę się wahał i Florry wiedziała, że dotknęła czułej struny.

– Nie mam nic do powiedzenia – powtórzył w końcu i zajął się skomplikowaną czynnością wysuwania papierosa z paczki, stukając nią jak zwykle, z jakiegoś niepojętego powodu, w zegarek, po czym zbliżył do papierosa płomyk zapalniczki.

– Czujesz jakieś wyrzuty sumienia wobec jego rodziny? – zapytała.

– Staram się o nich nie myśleć. Owszem, przykro mi, że musiało do tego dojść, ale nie ja tego chciałem. Będą musieli żyć z tym, co się wydarzyło, jak my wszyscy.

– Tak po prostu? Sprawa załatwiona, Dexter nie żyje. Wielka szkoda. Ale życie toczy się dalej. Chciałabym zobaczyć, jak przedstawiasz swoją teorię trójce tych wspaniałych dzieci.

– Możesz już wyjść – mruknął Pete, ale Florry otarła tylko oczy chusteczką.

Obłok dymu, który wypuścił, unosił się przez chwilę nad ich głowami. Słyszeli dobiegające z oddali głosy, śmiech szeryfa i jego zastępców, którzy zajmowali się swoimi sprawami.

– Jak masz tu warunki? – zapytała w końcu Florry.

– Jak to w areszcie. Bywało gorzej.

– Karmią cię?

– Jedzenie jest w porządku. Bywało gorzej.

– Joel i Stella chcą wrócić do domu i się z tobą zobaczyć. Są zszokowani, Pete, sztywni z przerażenia i co całkiem zrozumiałe, kompletnie zagubieni.

– Wyraziłem się jasno: nie mogą wrócić do domu, dopóki im nie pozwolę. Koniec kropka. Przypomnij im o tym. Wiem, co jest dla nich dobre.

– Bardzo w to wątpię. Byłoby dla nich lepiej, gdyby ojciec był w domu, zajmował się plantacją i starał się posklejać pogruchotaną rodzinę, a nie siedział za kratkami, oskarżony o bezsensowne morderstwo.

– Martwię się o nich – odparł, ignorując to, co powiedziała
– ale są silni i mądrzy i dadzą sobie radę.

– Nie jestem tego taka pewna. Biorąc pod uwagę, przez co przeszedłeś, łatwo ci myśleć, że są tak samo silni jak ty, ale to wcale nie musi być prawdą. Nie możesz zakładać, że twoje dzieci wyjdą z tego bez szwanku.

– Nie chcę wysłuchiwać takich kazań. Możesz mnie odwiedzać i będę ci za to wdzięczny, pod warunkiem że nie będziesz mnie za każdym razem pouczała. Spójrzmy na to od jasnej strony, dobrze, Florry? Moje dni są policzone. Postaraj się ich nie zatruć.

Rozdział 6

Sędzia Rafe Oswalt od siedemnastu lat orzekał w hrabstwach Ford, Tyler, Milburn, Polk i Van Buren. Ponieważ mieszkał w Smithfield, stolicy sąsiedniego hrabstwa Polk, nie miał okazji poznać ani oskarżonego, ani jego ofiary. Jak wszystkich, zaintrygowała go jednak cała historia i z chęcią podjął się sądenia sprawy. W trakcie swojej dość zwyczajnej kariery miał na wokandzie kilkanaście zabójstw – do których dochodziło podczas aktów przemocy domowej, pijackich awantur oraz bójek na noże w spelunach dla czarnych. Wszystko to były zbrodnie w afekcie, które kończyły się krótkimi procesami i długimi wyrokami. Ofiarą zabójstwa nigdy jeszcze nie padł ktoś tak ważny.

Sędzia Oswalt przeczytał relacje w gazetach i dotarły do niego pewne plotki. Rozmawiał dwa razy przez telefon z mecenasem Johnem Wilbanksem, którego wielce ceniał. Rozmawiał również z prokuratorem okręgowym, Milesem Truitem, którego ceniał mniej. W piątkowy ranek woźny sądowy uchylił drzwi do gabinetu sędziego i poinformował go, że na sali rozpraw zebrał się liczny tłum.

I tak też było w istocie. W piątek na wokandzie stawały na ogół drobne sprawy kryminalne i wysłuchiowano stron w sprawach cywilnych. W hrabstwie Ford od wielu miesięcy nie odbył się żaden proces z udziałem ławy przysięgłych i na co dzień tego rodzaju nudne posiedzenia toczyły się bez

widzów. Nagle jednak w ludziach wezbrała ciekawość – wstęp na salę rozpraw był bezpłatny – i nie dotyczyło to tylko paru starych bywalców, którzy czekając, aż coś zacznie się dziać, strugali figurki z drewna i żuli tabakę w cieniu starych dębów na trawniku przed sądem. Ciekawość zżerała wielu mieszkańców hrabstwa Ford i o dziesiątej rano w ławkach siedziało już kilkadziesiąt osób pragnących zobaczyć Pete’a Banninga. Pojawili się reporterzy z kilku gazet, jeden przyjechał aż z Atlanty. Było sporo metodystów, obecnie zdeklarowanych wrogów Banninga, którzy zajęli miejsca za stołem prokuratora. Po drugiej stronie przejścia siedzieli różni znajomi Pete’a i Dextera Bella, kilku stałych bywalców sali rozpraw oraz wielu innych mieszkańców Clanton, którym udało się wyskoczyć na moment z pracy. Na balkonie powyżej było kilku czarnych, którzy siedzieli tam z powodu koloru skóry. Do sądu, w odróżnieniu od większości urzędów w mieście, wolno im było wchodzić frontowymi drzwiami, ale nie mieli wstępu na parter. Oni także chcieli popatrzeć na podejrzanego.

Na posiedzeniu nie było nikogo z rodzin ofiary ani sprawcy. Bellowie byli w żałobie i przygotowywali się do pogrzebu, który miał się odbyć następnego dnia. Banningowie trzymali się jak najdalej od budynku sądu.

Dwunastu praktykującym w okolicy adwokatom pozwolono, jako osobom związanym z prawem, wejść za barierki i tam zająć miejsca. Przybyli w komplecie, wszyscy w swoich najlepszych ciemnych garniturach, wszyscy udający przed obserwującymi ich ludźmi, że mają do odegrania ważną rolę. Urzędniczki, normalnie ospałe, jeśli nie pogrążone w letargu, przerzucały energicznie swoje papiery.

Nixowi Gridleyowi podlegali dwaj pełnoetatowi zastępcy – Roy Lester i Red Arnett – oraz trzech zatrudnieni w niepełnym wymiarze godzin i dwaj ochotnicy. Tego ważnego dnia stawiła się na sali, dając imponujący pokaz siły, cała jego drużyna, wszyscy w stosownych, wyprasowanych, prawie skompletowanych mundurach. Sam Nix wydawał się obecny

wszędzie – w jednej chwili zaśmiewał się z adwokatami, w następnej flirtował z urzędniczkami, w kolejnej wymieniał uwagi z widzami. Od reelekcji dzielił go tylko rok i za nic nie zmarnowałby okazji, by pokazać wyborcom, jaki jest ważny.

I tak to wyglądało, kiedy tłum zgęstniał i wskazówki zegara minęły godzinę dziewiątą. Wreszcie pojawił się sędzia Oswalt w powiewającej czarnej todze i zasiadł na swoim tronie. Zachowując się tak, jakby nie zauważył licznej widowni, spojrzał na Gridleya.

– Szeryfie, proszę wprowadzić aresztantów – powiedział.

Nix stał już przy drzwiach, obok ławy przysięgłych. Otworzył je, na chwilę zniknął, po czym pojawił się z Pete'em Banningiem, który był w kajdankach i miał na sobie obszerny szary kombinezon z napisem: „Zakład karny”. Za nim dreptał oskarżony o kradzież samochodu Chuck Manley, który na swoje nieszczęście został aresztowany kilka dni przed zabójstwem kaznodziei. W normalnych okolicznościach Chucka doprowadzono by z aresztu, postawiono przed obliczem sędziego, wyznaczono mu jakiegoś adwokata i pies z kulawą nogą by o tym nie wiedział. Los zrzucił jednak, że o jego przestępstwie miało się dowiedzieć pół miasta.

Pete maszerował jak na placu apelowym, sztywno wyprostowany, z zawziętą miną i nonszalanckim spojrzeniem. Nix zaprowadził jego i Manleya na ławę oskarżonych. Nie zdjęto im kajdanek. Adwokaci zajęli swoje miejsca i przez dłuższą chwilę, kiedy Wysoki Sąd pilnie przeglądał papiery, na sali panowała cisza.

– Sprawa wniesiona przez stan Missisipi przeciwko Chuckowi Manleyowi – oznajmił w końcu sędzia.

Adwokat o nazwisku Nance zerwał się na nogi i dał znak swojemu klientowi, by razem z nim podszedł do stołu sędziego, co ten posłusznie uczynił.

– Ty jesteś Chuck Manley? – zapytał Oswalt.

– Tak, Wysoki Sądzie.

– A obecny tu mecenas Nance to twój adwokat?

– Chyba tak. Wynajęła go moja mama.

– Chcesz, żeby był twoim adwokatem?

– Chyba tak. Ale ja jestem niewinny, to jakieś nieporozumienie.

Nance złapał Manleya za łokieć i kazał mu się przymknąć.

– Zostałeś aresztowany w zeszły poniedziałek i oskarżony o kradzież buicka, model tysiąc dziewięćset trzydzieści osiem, należącego do pana Earla Caldwell'a i zaparkowanego na jego podjeździe w Karraway. Przyznajesz się do winy?

– Jestem niewinny, Wysoki Sądzie. Mogę to wyjaśnić.

– Nie teraz, synu. Może później. Wysokość kaucji wyznaczam na sto dolarów. Możesz tyle zapłacić?

– Chyba nie.

– Wysoki Sądzie – odezwał się Nance, pragnąc wykazać się czymś przed tak dużym audytorium. – Wnoszę, by ten młody człowiek został zwolniony za własnym poręczeniem. Nie ma kryminalnej przeszłości, ma pracę i stawia się na każde wezwanie sądu.

– To prawda, synu? Masz pracę?

– Tak, Wysoki Sądzie. Jeżdżę ciężarówką u pana J.P. Leatherwooda.

– Czy pan Leatherwood jest obecny na sali?

– Och, raczej wątpię. Jest bardzo zajęty.

– Wysoki Sądzie – wtrącił Nance. – Rozmawiałem z panem Leatherwoodem, który chętnie wystawi poręczenie za mojego klienta. Gdyby Wysoki Sąd chciał skontaktować się z panem Leatherwoodem, mogę to umożliwić.

– Znakomicie. Proszę zabrać podejrzanego z powrotem do aresztu, a ja zadzwonię po południu do jego szefa.

Manleya wyprowadzono z sali rozpraw niespełna pięć minut po tym, jak tam wszedł. Sędzia złożył podpis na różnych papierach i wziął do ręki kolejne dokumenty.

– Sprawa wniesiona przez stan Missisipi przeciwko Pete'owi Banningowi – oświadczył.

John Wilbanks zerwał się z miejsca i podszedł do stołu sędziowskiego. Pete również wstał, skrzywił się lekko i stanął obok swojego obrońcy.

– Nazywa się pan Pete Banning? – zapytał Oswalt.

Pete skinął głową.

– Tak.

– I reprezentuje pana mecenas John Wilbanks?

Kolejne kiwnięcie głową.

– Został pan aresztowany i oskarżony o zabójstwo pierwszego stopnia na osobie wielebnego Dextera Bella. Rozumie pan, że zabójstwo pierwszego stopnia oznacza działanie z premedytacją i że jest ono zagrożone karą śmierci, podczas gdy za zabójstwo drugiego stopnia grozi kara długoletniego więzienia?

– Rozumiem.

– Przyznaje się pan do winy?

– Nie przyznaję się.

– Sąd przyjmuje do wiadomości pańskie oświadczenie i dołącza je do akt. Coś jeszcze, panie Wilbanks?

– Owszem, Wysoki Sądzie. Z całym szacunkiem proszę, by sąd rozważył możliwość zwolnienia mojego klienta za rozsądną kaucją. Zdaję sobie oczywiście sprawę z wagi oskarżenia i nie traktuję go lekko. Ale zwolnienie za kaucją jest w tym przypadku dopuszczalne. Kaucja nie jest niczym innym jak gwarancją, że oskarżony nie ucieknie, lecz stawi się w sądzie, gdy tylko zostanie wezwany. Pan Banning posiada plantację o powierzchni dwustu sześćdziesięciu hektarów, nieobciążoną żadną hipoteką, i pragnie złożyć akt własności tej ziemi w charakterze zabezpieczenia. Do jego siostry należą sąsiadujące ziemie i jest ona gotowa zrobić to samo. Mogę dodać, Wysoki Sądzie, że Banningowie są właścicielami tej ziemi od przeszło stu lat i ani mój klient, ani jego siostra nie uczynią niczego, co mogłoby narazić plantację na straty.

– Mówimy o zabójstwie pierwszego stopnia, mecenasie Wilbanks – przerwał mu sędzia Oswalt.

– Rozumiem, Wysoki Sądzie, ale mój klient jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy. Co zyska stan albo ktokolwiek, trzymając go w areszcie, skoro może być

zwolniony za kaucją i pozostać na wolności aż do procesu? Mój klient nigdzie się nie wybiera.

– Nigdy nie słyszałem, by zwolniono za kaucją kogoś, na kim ciążyą tak poważne zarzuty.

– Ja też, Wysoki Sądzie, ale kodeks stanu Missisipi tego nie wyklucza. Jeśli Wysoki Sąd się zgodzi, jestem gotów przedstawić na piśmie uzasadnienie w tej sprawie.

Podczas całej tej wymiany zdań Pete stał na baczność, sztywny i nieruchomy jak wartownik. Patrzył prosto przed siebie, jakby nic do niego nie docierało, lecz w rzeczywistości pilnie wszystkiego słuchał.

– Dobrze – powiedział po chwili sędzia Oswalt. – Przeczytam pańskie uzasadnienie, ale musi być bardzo przekonujące, żebym zmienił zdanie. Więzień może tymczasem wrócić do celi w biurze szeryfa.

Szeryf Nix Gridley wziął delikatnie Pete'a pod łokieć i wyprowadził go z sali rozpraw. Mecenas Wilbanks podążał tuż za nimi. Dwaj fotoreporterzy czekający na zewnątrz, przy samochodzie szeryfa, szybko pstryknęli zdjęcia podobne do tych, które zrobili, kiedy oskarżony wchodził do sądu. Jeden z reporterów zadał pytanie Pete'owi. Ten zignorował je i pochyliwszy głowę, zajął miejsce z tyłu auta. Po kilku minutach siedział już z powrotem w celi, bez kajdanek i butów, paląc papierosa i czytając Zstąp, Mojżeszu.

* * *

Uroczystości pogrzebowe Dextera Bella miały przejść do legendy. Zaczęły się już w czwartek, dzień po zabójstwie, kiedy stary Magargel otworzył o szóstej po południu drzwi domu pogrzebowego i wpadł tam cały tłum. Pół godziny wcześniej zwłoki mogli obejrzeć Jackie Bell i trójka jej dzieci. Zgodnie z panującym wówczas w tamtej części świata zwyczajem trumna była otwarta. Widoczny od pasa w górę Dexter w czarnym garniturze leżał niemy i nieruchomy na

lśniącej kapie. Na jego widok Jackie zemdlała, a dzieci zaczęły płakać, krzyczeć na całe gardło i poprzewracały się na siebie. Obecni tam Magargel i jego syn próbowali im jakoś pomóc, ale okazało się to niemożliwe.

Nie było żadnego rozsądnego powodu, by otwierać trumnę. Nie wymagało tego żadne prawo ani święte księgi. Ludzie robili to, żeby dodać całemu rytuałowi dramatyzmu. Więcej emocji oznaczało większą miłość do zmarłego. Jackie uczestniczyła wcześniej w kilkudziesięciu pogrzebach odprawianych przez jej męża i trumna była zawsze otwarta.

Magargelowie mieli raczej znikome doświadczenie, jeśli idzie o rany postrzałowe twarzy. Większość ich klientów była w podeszłym wieku i ich kruche ciała łatwo było przygotować do pochówku. Tym razem jednak już na samym początku balsamowania zwłok wielebnego Bella zdali sobie sprawę, że potrzebna będzie pomoc, i wezwali bardziej doświadczonego kolegę z Memphis. Wylatując z tyłu, pocisk numer trzy wyrwał duży kawałek czaszki, ale to nie miało znaczenia. Nikt i tak nie mógł zobaczyć tej części głowy denata. Natomiast pokaźna rana wlotowa, tuż nad nosem, wymagała wielogodzinnej fachowej rekonstrukcji za pomocą różnego rodzaju kitów, klejów i farb. Efekt końcowy był niezły, choć daleki od ideału. Dexter nadal marszczył czoło, jakby do końca świata miał zerkać z przerażeniem w lufę rewolweru.

Po półgodzinnym, pełnym udręki prywatnym czuwaniu, w trakcie którego nawet oswojeni ze śmiercią i beznamiętni Magargelowie byli na skraju łez, Jackie i jej dzieci posadzono na krzesłach przy trumnie, otwarto drzwi i do środka weszli inni. Przez następne trzy godziny trwały niepowstrzymane gorzkie żale, lamenty i szlochy.

Po nocnej przerwie ceremonię wznowiono nazajutrz po południu. Trumnę z ciałem Dextera przewieziono do jego kościoła i ustawiono pod amboną. Jackie, która dosyć się go naoglądała, poprosiła, by nie otwierać już wieka. Stary Magargel lekko się skrzywił, ale spełnił jej prośbę bez słowa protestu. Szkoda było mu tracić tak wspaniałą okazję, by

oglądać targanych bólem ludzi. Przez kolejne trzy godziny Jackie i dzieci stali dzielnie przy trumnie i przyjmowali kondolencje od tych samych osób, które już składały je poprzedniego wieczoru. Przybyły setki ludzi, wśród nich wszyscy sprawni fizycznie metodyści z hrabstwa, wielu wyznawców innych kościołów, a także przyjaciele rodziny, z dziećmi zdecydowanie zbyt małymi, by uczestniczyć w tej żałobie, ale zaciągniętymi tam ze względu na bliskie relacje z Bellami. Wyrazy współczucia złożyło im także mnóstwo całkiem obcych osób, które nie chciały po prostu zmarnować okazji, by znaleźć się w centrum wydarzeń. Ławki były wypełnione ludźmi, którzy pragnęli przejść obok trumny i powiedzieć coś banalnego rodzinie, a czekając na to, modlili się i przekazywali sobie szeptem najnowsze wieści. Atmosferę niepowetowanej straty potęgowała muzyka organowa. Panna Emma Faye Riddle dawała z siebie wszystko, grając jeden żałobny kawałek po drugim.

Hop obserwował to wszystko z rogu balkonu, po raz kolejny dziwiąc się obyczajom białych.

Po dwóch dniach tych ceremonii znużeni żałobnicy zgromadzili się w sobotnie popołudnie po raz ostatni, by wziąć udział we właściwym pogrzebie. Nabożeństwo, które odprawił zaprzyjaźniony z Dexterem kaznodzieja, zawierało w sobie wszystko: chór, dwa solowe występy, długą homilię, ponownie pannę Emmę Faye i jej organy, czytanie Pisma Świętego, trzy mowy pogrzebowe, oceany łez i, owszem, otwartą trumnę. Choć kaznodzieja dzielnie się starał, nie udało mu się wyjaśnić sensu tej śmierci. Powoływał się głównie na to, że „nieznane są ścieżki Pana”, ale nie spotkało się to z szerszym zrozumieniem. W końcu dał za wygraną i pałeczkę przejął chór.

Po dwóch męczących godzinach nie zostało już zbyt wiele do dodania. Załadowano trumnę do karawanu i przewieziono ją przez miasto na cmentarz, gdzie wreszcie ciało Dextera spoczęło w morzu kwiatów i niepohamowanych emocji. Jeszcze długo po odejściu kaznodziei Jackie i jej dzieci siedzieli

pod baldachimem na składanych krzesłach, wpatrując się w kopiec czarnej ziemi.

Pani Gloria Grange, pobożna metodystka, która nie opuściła żadnej z tych ceremonii, po pogrzebie udała się na podwieczorek do domu Mildred Highlander. Mildred była prezbiterianką i dlatego nie brała udziału w czuwaniu ani w pogrzebie. Pragnęła jednak oczywiście poznać wszystkie szczegóły i Gloria ochoczo zdała jej dokładną relację.

Późnym popołudniem przyjechała do miasta Florry i również spotkała się z Mildred na podwieczorku. Bardzo chciała się dowiedzieć, ile cierpień przysporzył jej brat, a Mildred bardzo chciała jej o tym opowiedzieć.

Rozdział 7

Po raz pierwszy w swoim krótkim życiu Joel Banning nie posłuchał ojca. W sobotę rano wyjechał z Nashville do Memphis i w trakcie spędzonych w pociągu czterech godzin miał czas przeanalizować swój akt nieposłuszeństwa. Dojeżdżając do Memphis, uznał, że jego działanie jest usprawiedliwione. Mógł nawet wyłożyć przemawiające za nim argumenty. Musiał odwiedzić Florry i zobaczyć, jak sobie radzi; musiał spotkać się z nadzorcą Bufordem Provine'em i upewnić się, że zbiory przebiegają bez zakłóceń; być może także – choć niekoniecznie – powinien złożyć wizytę Johnowi Wilbanksowi i omówić z nim linię obrony ojca. Ich mała rodzina obrywała na wszystkich frontach i ktoś musiał spróbować ją ocalić. Poza tym ojciec był w areszcie i jeśli Joelowi udało by się, jak planował, szybko wrócić do Nashville, jego krótka wizyta pozostałaby niezauważona, a akt nieposłuszeństwa niewykryty.

Pociąg z Memphis do Clanton zatrzymywał się po drodze sześć razy i było już ciemno, kiedy Joel zszedł na peron i nasunął kapelusz na oczy. Wysiadło tutaj niewiele osób i chyba nikt go nie rozpoznał. W mieście były dwie taksówki i obie stały z włączonymi silnikami przy stacji. Ich kierowcy opierali się o ten sam błotnik, żując tabakę i paląc skręty.

– Czy przy aptece nadal stoi budka telefoniczna? – zapytał Joel, zwracając się do tego, który stał bliżej.

- Stoi.
- Może mnie pan tam zawieźć?
- Niech pan wsiada.

W centrum było sporo ludzi robiących późne sobotnie zakupy. Nawet podczas zbiorów farmerzy i robotnicy rolni doprowadzali się po lunchu do porządku i ruszali do miasta. W sklepach i na chodnikach kłębiły się tłumy, w kinie Atrium wyświetlali Blue Skies z Bingiem Crosbym i kolejka do kasy zakręcała aż za róg ulicy. Na trawniku przed sądem grał zespół country. Joel, który wolał nie rzucać się w oczy, poprosił kierowcę, by zaparkował w bocznej uliczce. Budka telefoniczna przy aptece Gainwrighta była zajęta. Joel stanął przy niej; unikając kontaktu wzrokowego z przechodzącymi ludźmi, przestępował z nogi na nogę, by ponaglić korzystającą z telefonu młodą dziewczynę. Kiedy wreszcie znalazł się w środku, wrzucił monetę i zadzwonił do ciotki. Odebrała po kilku dzwonekach.

– To ja, ciociu Florry – powiedział krótko, zakładając, że na pewno ktoś ich podsłuchuje. – Będę za dwadzieścia minut.

– Co? Kto mówi?

– Twój ulubiony bratanek. Pa.

Ponieważ miała tylko jednego bratanka, był pewien, że zrozumie wiadomość. Niezapowiedziana wizyta mogła się dla niej okazać zbyt wielkim szokiem. Poza tym umierał z głodu i liczył, że skoro ją uprzedził, da mu coś ciepłego do jedzenia. Wsiadł z powrotem do taksówki i poprosił kierowcę, żeby przejechał powoli obok kościoła metodystów. Skręcając z zatłoczonego placu, minęli salę bilardową Cal's Game Room, w której podawano warzone pokątnie piwo, a na zapleczu grano w kości. Jako nastolatek Joel, podobnie jak inni dobrze wychowani młodzi ludzie, został surowo ostrzeżony przez ojca, by trzymał się od tego miejsca z daleka. Lokal cieszył się złą sławą i w weekendy dochodziło tam często do chuligańskich wybryków i bójek. Ponieważ miał smak zakazanego owocu, Joela w szkolnych latach zawsze kusilo, by tam się zakraść. Jego koledzy przechwalali się, że tam byli,

opowiadali nawet o dziewczynach na piętrze. Teraz, po trzech latach spędzonych na uczelni w dużym mieście, dziwił się, że mogła go kiedyś pociągać taka speluna. Znał eleganckie bary w Nashville i wszystkie przyjemności, jakie oferowały. Nie wyobrażał sobie, by mógł kiedykolwiek wrócić do Clanton, miasta, w którym alkohol i piwo były – jak większość innych rzeczy – zakazane.

W kościele metodystów paliły się światła.

– Pan stąd? – zapytał kierowca, kiedy go mijali.

– Niezupełnie – odparł Joel.

– Nie słyszał pan sensacji tygodnia, o zabitym pastorze?

– Owszem, coś czytałem. Dziwna historia.

– Zastrzelił go dokładnie tutaj. – Kierowca wskazał parafię za kościołem. – Dziś po południu go pochowali. Zamknęli zabójcę w celi, ale nie puszcza pary z gęby.

Joel nic na to nie odpowiedział: nie chciał kontynuować rozmowy, której sam nie zaczął. Spoglądając na kościół, z drzeniem serca przypomniał sobie niedzielne ranki, kiedy on i Stella wkładali najlepsze ubrania i wchodzili tam, prowadzeni za rękę przez wystrojonych tak samo jak oni rodziców. Już jako mały chłopak wiedział, że garnitury ojca i sukienki matki są bardziej eleganckie niż innych metodystów, a ich samochody zawsze nowsze, i że mówiło się, iż on i Stella skończą studia, a nie tylko szkołę średnią. Zdawał sobie sprawę z wielu rzeczy już jako dziecko, ale ponieważ był Banningiem, nauczono go również pokory i cnoty trzymania języka za zębami.

Ochrzczono go w tym kościele, gdy miał dziesięć lat, a Stellę, kiedy miała dziewięć. Rodzina regularnie uczestniczyła w cotygodniowych nabożeństwach, jesiennych i wiosennych piknikach religijnych, składkowych przyjęciach na świeżym powietrzu, pogrzebach, weselach i niezliczonych innych imprezach towarzyskich, ponieważ kościół był dla nich i dla wielu innych mieszkańców miasta ośrodkiem życia społecznego. Joel pamiętał wszystkich pastorów, którzy przychodzili i odchodzili. Pastor Wardall pochował jego

dziadka Jacoba Banninga. Ron Cooper ochrzcił Joela, a jego syn był najlepszym kolegą Joela w czwartej klasie. I tak dalej, i tak dalej. Pastorowie przychodzili i odchodzili, aż w końcu tuż przed wojną przyjechał tu Dexter Bell.

Najwyraźniej zasiedział się zbyt długo.

– Niech pan jedzie drogą numer osiemnaście – powiedział Joel do taksówkarza. – Pokażę panu, gdzie się zatrzymać.

– Ale dokąd jedziemy? – zapytał kierowca. – Zawsze lubię wiedzieć, dokąd jadę.

– Za miasto, w stronę farmy Banningów.

– Jest pan z ich rodziny?

Nie ma nic gorszego od wścibskiego taksówkarza. Joel zignorował go; patrzył przez tylną szybę na kościół tak długo, aż ten zniknął mu z oczu. Lubił Dextera Bella, choć w wieku dwunastu, trzynastu lat zaczął kwestionować jego surowe kazania. To pastor Bell siedział z jego rodziną w ten straszny wieczór, gdy dotarła do nich wiadomość, że porucznik Pete Banning zaginął i najprawdopodobniej stracił życie na Filipinach. W tym mrocznym okresie to pastor zarządzał żałobą – posyłając do nich z niekończącymi się zapasami wiktuałów starsze panie z parafii, organizując modlitewne czuwanie w kościele, przeganiając gości z domu, gdy potrzebna była chwila spokoju, doradzając ich rodzinie prawie codziennie. Tak naprawdę chcieli spędzić trochę czasu tylko z matką, ale wielebny bez przerwy gdzieś się pałętał. Często przyjeżdżał z żoną, ale bywał też u nich sam. Kiedy Joel dorósł, Jackie Bell sprawiała na nim wrażenie wycofanej i zimnej; Stella też jej nie lubiła.

Joel zamknął oczy i pokręcił głową. To nie mogło być chyba prawdą? Czy ojciec rzeczywiście zamordował Dextera Bella i siedział teraz w więzieniu?

Pola bawełny zaczynały się tuż za miastem i w świetle księżyca w pełni widać było wyraźnie, gdzie została zebrana. Choć Joel nie miał zamiaru iść w ślady przodków i zostać plantatorem, codziennie sprawdzał w „The Nashville Tennessean” ceny bawełny na giełdzie w Memphis. Były

cholernie ważne. Któregoś dnia plantacja będzie należała do niego i Stelli i wyniki corocznych zbiorów staną się dla nich kluczowe.

– Będziemy mieli w tym roku ładne zbiory – orzekł kierowca.

– Tak słyszałem. Jeszcze jakieś półtora kilometra – mruknął Joel. – Wsiądę przy Pace Road – dodał po kilku chwilach.

– W środku pustkowia?

– Zgadza się.

Taksówka zwolniła, skręciła w żwirowaną drogę i stanęła.

– Należy się dolar – powiedział kierowca.

Joel dał mu cztery dwudziestopięciocentówki, podziękował, wziął swój marynarski worek i wysiadł. Kiedy taksówka zawróciła do miasta, pokonał pieszo kilkaset metrów do podjazdu przed swoim domem rodzinnym.

Dom, pogrążony w mroku, nie był zamknięty na klucz. Przechodząc przez kolejne pokoje, Joel zdał sobie sprawę, że ich posokowiec, Mack, musi być u Ninevy albo u Florry. Gdyby był w pobliżu, na pewno by zaszczekał, słysząc, jak Joel idzie żwirowanym podjazdem. Kiedyś, wcale nie tak dawno temu, w domu słychać byłoby muzykę z radia, głosy rodziców, może nawet zaproszonych na kolację gości. Teraz oboje siedzieli pod kluczem: matka w stanowym szpitalu psychiatrycznym, ojciec w miejscowym areszcie. W środku było ciemno i cicho jak w grobie. W powietrzu unosiła się woń stęchłego tytoniu.

Joel wyszedł na zewnątrz kuchennymi drzwiami, ominął szerokim łukiem mały domek Ninevy i Amosa i odnalazł ścieżkę, która zaczynała się za stodołami i szopą z maszynami rolniczymi. To była jego ziemia i znał jej każdą piędź. W oknie chaty Buforda, sto metrów dalej, paliło się światło. Był ich nadzorcą, czy też brygadzystą, jak sam lubił się nazywać, od przedwojennych czasów i w tym momencie jego znaczenie dla rodziny ogromnie wzrosło.

W domku Florry paliły się wszystkie światła, a ona czekała przy drzwiach. Najpierw mocno go uściskała, potem skarciła za to, że przyjechał, następnie znów uściskała. Marietta

zrobiła dwa dni wcześniej gulasz z dziczyzny i teraz odgrzewała go na kuchni. Dom wypełniała gęsta woń mięsa.

– Wreszcie przybierasz trochę na wadze – stwierdziła ciotka, kiedy usiedli do stołu w jadalni, i naląła im kawy z ceramicznego dzbanka.

– Nie rozmawiajmy lepiej, ile kto waży – odparł Joel.

– Zgoda. – Florry również trochę przytyła, choć nie było to zamierzone. – Miło cię widzieć, Joel.

– Miło jest wrócić do domu, nawet w takich okolicznościach.

– Po co przyjechałeś?

– Bo tu mieszkam, ciociu. Bo mój ojciec jest w więzieniu, a matkę wysłano do zakładu, więc co się z nami, do diabła, dzieje?

– Nie przeklinaj, młody człowieku.

– Proszę cię. Skończyłem dwadzieścia lat i jestem na ostatnim roku studiów. Przeklinam, palę i piję, kiedy tylko mam ochotę.

– Panie, miej nas w swojej opiece – mruknęła Marietta, przechodząc obok stołu.

– Wystarczy, Marietto – burknęła Florry. – Sama zajmę się gulaszem. Na dziś to wszystko. Do zobaczenia jutro rano.

Marietta ściągnęła fartuch, rzuciła go na blat, włożyła płaszcz i zeszła do sutereny.

Ciotka i bratanek odetchnęli głęboko, upili trochę kawy i odczekali chwilę.

– Dlaczego on to zrobił? – zapytał w końcu spokojnym tonem Joel.

Florry pokręciła głową.

– Tego nie wie nikt poza nim, a on milczy. Widziałam się z nim dzień po zabójstwie. Jest w innym świecie.

– Musi być jakiś powód, ciociu. Nie zrobiłby czegoś tak niebywałego i strasznego bez żadnego powodu.

– Och, zgadzam się, ale on nie chce o tym mówić, Joel. Widziałam tę minę na jego twarzy, widziałam ją wiele razy i wiem, co oznacza. Zabierze ze sobą ten sekret do grobu.

- Jest nam winien jakieś wyjaśnienie.
- Zaręczam ci, że nic od niego nie usłyszymy.
- Masz może jakiegoś burbona?
- Jesteś za młody, żeby pić burbona.

- Mam dwadzieścia lat – odparł Joel. – Wiosną robię licencjat na Uniwersytecie Vanderbilta, a potem będę studiował prawo. – Wstał od stołu i podszedł do sofy, na której zostawił swój worek. – Podjąłem tę decyzję, bo bez względu na to, czego chce ojciec, nie mam zamiaru zostać plantatorem. Nie mam zamiaru tu mieszkać, ciociu, i wydaje mi się, że od dawna o tym wiedziałaś. – Wyjął z worka piersiówkę, po czym wrócił do stołu, otworzył ją i pociągnął spory łyk. – To jack daniel's. Chcesz się napić?

- Nie.

Joel pociągnął kolejny łyk.

- A nawet gdybym wcześniej rozważał powrót do domu, to teraz, kiedy ojciec został najsłynniejszym mordercą w historii hrabstwa Ford, ta możliwość jest już przede mną zamknięta. Nie można mnie chyba o to winić, prawda?

- Chyba nie. Nie mówiłeś wcześniej o studiowaniu prawa.

- Myślę o tym już od roku.

- To wspaniale. Na jakiej uczelni?

- Jeszcze nie wiem. Z pewnością nie na Uniwersytecie Vanderbilta. Lubię Nashville, ale potrzebna mi jest jakaś zmiana. Może w Nowym Orleanie na Uniwersytecie Tulane'a albo gdzieś w Teksasie. Myślałem o Ole Miss¹, ale teraz chciałbym trzymać się jak najdalej stąd.

- Jesteś głodny?

- Umieram z głodu.

Florry poszła do kuchni, nałożyła do miski sporą porcję gulaszu i podała mu go z chlebem kukurydzianym i szklanką wody. Zanim z powrotem usiadła, sięgnęła głęboko do kredensu i wyciągnęła butelkę ginu. Nalała sobie od serca, dodała trochę toniku i usiadła naprzeciwko bratanka.

– Stella i ja znaleźliśmy kiedyś twój gin – powiedział z uśmiechem. – Wiedziałaś o tym?

– Nie mów! Piliście go?

– Próbowaliśmy. Miałem wtedy jakieś szesnaście lat i wiedzieliśmy, że chowasz gin w kredensie. Nalałem go trochę do szklanki i wypilem mały łyżeczek. O mało się nie porzygałem. Paliło mnie aż po czubki palców u nóg i smakowało jak tonik do włosów. Jak możesz pić to świństwo?

– Lata praktyki. Jak zareagowała Stella?

– Tak samo jak ja. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek jeszcze spróbowała alkoholu.

– Założę się, że próbowała. Ty najwyraźniej się do niego nie zniechęciłeś.

– Jestem studentem, ciociu. To wchodzi w zakres mojej edukacji. – Joel zjadł dużą łyżkę gulaszu i zaraz nabrał następną. Po czterech albo pięciu łyżkach kilka razy odetchnął, wypił łyk burbona i uśmiechnął się do Florry. – Chciałbym porozmawiać o mojej matce, ciociu. To tajemnicza sprawa, a ty wiesz wiele rzeczy, o których nam nie powiedziałaś.

Florry pokręciła głową i odwróciła wzrok.

– Wiem – podjął Joel – że się załamała, kiedy oznajmili nam, że ojciec nie żyje, a w każdym razie został uznany za martwego. Ale przecież wszyscy byliśmy wtedy załamani, prawda, ciociu Florry? Przez tydzień nie mogłem wyjść z domu. Pamiętasz?

– Jak mogłabym zapomnieć? To było okropne.

– Byliśmy niczym duchy, snujące się w ciągu dnia po domu i bojące się nocy. Ale w końcu znaleźliśmy w sobie dość sił, by żyć dalej, i moim zdaniem mama też się pozbierała. Czy nie wzięła się w garść i nie zaczęła nadrabiać miną?

– Owszem. Wszyscy wzięliśmy się w garść, ale to nie było łatwe.

– Nie, nie było. Przeżyliśmy piekło, jednak przetrwaliśmy. A potem mama zadzwoniła wieczorem, że ojciec jednak nie zginął, że został odnaleziony i uratowany. Studiowałem wtedy

w Nashville. Mówili, że jest ciężko ranny, ale to nie miało znaczenia. Najważniejsze, że żył! Natychmiast przyjechałem do domu, wszyscy świętowaliśmy i pamiętam, że mama była bardzo szczęśliwa. Mam rację, ciociu Florry?

– Tak, ja też tak to zapamiętałam. Byliśmy podekscytowani, prawie w euforii, i trwało to kilka dni. Sam fakt, że przeżył, wydawał się cudem. A potem przeczytaliśmy, jak źle traktowano tam jeńców wojennych, i zaczęliśmy się martwić, jak to mogło na niego wpłynąć.

– Jasne, ale wróćmy do matki. Gdy wypuścili go ze szpitala, skakaliśmy z radości, a kiedy wrócił jako bohater wojenny do domu, matka była dumna jak paw. Byli najszczęśliwszymi ludźmi pod słońcem. Do diabła, wszyscy wpadliśmy w ekstazę i to było zaledwie rok temu, ciociu. Więc co się stało?

– Nie myśl, że wiem, co się stało, bo nie wiem. Przez kilka pierwszych tygodni nic nie zapowiadało burzy. Pete wracał do zdrowia i z każdym dniem przybywało mu sił. Oboje byli szczęśliwi i wszystko dobrze się układało. A potem przestało się układać. Dowiedziałam się, że mają jakieś problemy, długo po tym, jak się zaczęły. Nineva zdradziła Marietcie, że oni się kłóca, że Liza zachowuje się jak obłąkana, często wpada w złość i spędza dużo czasu sama w swoim pokoju. Przestali ze sobą sypiać i ojciec przeniósł się do twojej sypialni. W zasadzie nie powinnam o tym wiedzieć, więc nie bardzo mogłam go wypytywać. Zresztą wiesz, że pytanie twojego ojca o osobiste sprawy to czysta strata czasu. Z Lizą nigdy się nie przyjaźniłam i trudno było oczekiwać, że mi się zwierzy. Żyłam więc w błogiej nieświadomości, a szczerze mówiąc, to nie zawsze jest takie złe.

Joel pociągnął solidny łyk burbona.

– A potem odesłali ją do szpitala – powiedział.

– Potem ją odesłali.

– Dlaczego, ciociu? Dlaczego moja matka trafiła do stanowego szpitala psychiatrycznego?

Florry zakołysała ginem w szklance i długo mu się przyglądała. Potem wypła trochę, skrzywiła się, jakby był

okropny, i odstawiła szklanę.

– Twój ojciec uznał, że Liza potrzebuje profesjonalnej pomocy, a tutaj nie mogła jej otrzymać. Dobrzy psychiatrzy są w Whitfield i tam właśnie ją wysłał.

– Tak po prostu? Wsadził ją do karetki?

– Nie, trzeba było załatwić wszystko zgodnie z prawem. Ale bądźmy szczerzy, Joel, twój ojciec zna odpowiednich ludzi i ma Wilbanksów w kieszeni. Pogadali z sędzią, a on podpisał nakaz leczenia w zakładzie zamkniętym. I twoja matka się zgodziła. Nie kwestionowała nakazu, choć nie wiem, czy miała jakikolwiek wybór. Jeśli Pete się uparł, a jestem pewna, że tak właśnie było, nie mogła mu się przeciwstawić.

– Jaka była diagnoza?

– Nie mam pojęcia. Pewnie taka, że jest kobietą. Pamiętaj, Joel, że żyjemy w świecie mężczyzn i jeśli mąż z odpowiednimi koneksjami dojdzie do wniosku, że jego żona nagle się zmieniła, cierpi na depresję i gwałtowne zmiany nastroju, może ją w okamgnieniu wsadzić do zakładu.

– Trudno uwierzyć, że ojciec umieścił matkę w szpitalu psychiatrycznym tylko dlatego, że się zmieniła. Wydaje się na to trochę za młoda. Chodzi o coś więcej, ciociu.

– Na pewno, ale ja nie brałam udziału w ich dyskusjach i konfliktach.

Joel zjadł trochę gulaszu i znów popił go burbonem.

– Nadal widzisz się z tą dziewczyną? – zapytała Florry, rozpaczliwie próbując zmienić temat.

– Z jaką dziewczyną?

– No cóż, to chyba starczy za całą odpowiedź. Masz ostatnio jakąkolwiek dziewczynę?

– Raczej nie. Jestem za młody i czekają mnie studia prawnicze. Mówiłaś przez telefon, że rozmawiałaś z Johnem Wilbanksem. Rozumiem, że podjął się obrony ojca.

– Owszem, jeśli to w ogóle będzie możliwe. Twój ojciec z nim nie współpracuje. Wilbanks chce złożyć wniosek o uznanie go za niepoczytalnego. Uważa, że to jedyny sposób, by uratować go przed krzesłem elektrycznym, ale Pete nie

chce o tym słyszeć. Mówi, że ma więcej oleju w głowie niż Wilbanks czy jakikolwiek inny adwokat, co akurat może być prawdą.

– Kolejny dowód, że mu odbiło. Złożenie wniosku o niepoczytalność to jedyna możliwa linia obrony. Sam to wczoraj sprawdziłem na wydziale prawa.

– W takim razie możesz pomóc Wilbanksowi. Potrzebuje tego.

– Napisałem do niego list i chciałbym się z nim jutro spotkać.

– To zły pomysł, Joel. Nie wydaje mi się, żeby pracował w niedzielę, a poza tym ludzie nie mogą cię zobaczyć w mieście. Twój ojciec będzie zły, jeśli się dowie, że tu jesteś. Radzę ci, żebyś wyjechał stąd tak samo dyskretnie, jak przyjechałeś, i nie wracał, dopóki ojciec się na to nie zgodzi.

– Chciałbym pogadać z Bufordem i sprawdzić, jak idą zbiory.

– Nie możesz w żaden sposób wpłynąć na wyniki zbiorów. Pamiętaj, że nie jesteś plantatorem. Zresztą Buford panuje nad sytuacją i informuje mnie na bieżąco. Mam zamiar pojechać do aresztu i zdać relację Pete'owi. Jesteśmy w trakcie udanych zbiorów i nie zepsuj tego wszystkiego. Jeśli skontaktujesz się z Bufordem, ten przekaże ojcu, że tu byłeś. To zły pomysł.

Joel po raz pierwszy spróbował się roześmiać. Po chwili napił się burbona i odsunął od siebie miskę z gulaszem.

– Zjadłeś tylko połowę – skomentowała Florry. – Powinieneś lepiej się odżywiać. Przybrałeś na wadze, ale nadal jesteś zdecydowanie za chudy.

– Jakoś straciłem ostatnio apetyt, ciociu. Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Nie, ale na werandzie – odparła.

Kiedy wyszedł z papierosem na dwór, sprzątnęła ze stołu, dołała sobie ginu, dorzuciła polano do kominka w salonie i opadła na swój ulubiony fotel, żeby zaczekać na Joela. Po kilku minutach dołączył do niej z piersiówką i usiadł na wytartej skórzanej sofie.

Florry odchrząknęła.

– Skoro mówimy o zbiorach, jest coś, co powinieneś wiedzieć – zaczęła. – Przypuszczam, że to żadna tajemnica, bo można o tym przeczytać w ogólnodostępnych rejestrach. Mniej więcej miesiąc temu twój ojciec wynajął adwokata z Tupelo, żeby przepisać akt własności farmy na ciebie i na Stellę. Moja część należy, rzecz jasna, dalej do mnie i ta sprawa mnie nie dotyczy. Powiedział mi o tym w środę John Wilbanks w swojej kancelarii. Oczywiście ty i Stella i tak odziedziczylibyście kiedyś tę ziemię.

Joel przez chwilę się nad tym zastanawiał, wyraźnie zaskoczony i zmieszany.

– Dlaczego to zrobił? – mruknął.

– A dlaczego Pete cokolwiek robi? Dlatego, że może robić, co chce. Według Wilbanka nie wykazał się dużym sprytem. Pozbył się ziemi, żeby chronić ją przed roszczeniami rodziny człowieka, którego miał zamiar zamordować. To jasne jak słońce. Przepisując akt własności, zrobił prezent prokuratorowi. Mogą teraz dowodzić na procesie, że to było zabójstwo z premedytacją. Że Pete wszystko sobie zaplanował.

– Ale uda się zachować farmę?

– Wilbanks raczej w to wątpi, nie rozwijaliśmy jednak tego tematu. Rozmawialiśmy dzień po morderstwie i byliśmy oboje rozbici. Chyba nadal jesteśmy.

– Czy nie jesteśmy wszyscy rozbici? Zdaniem Wilbanka rodzina Bella będzie chciała nam odebrać ziemię?

– Zasugerował to, choć nie powiedział wprost. Skoro zaczęłaś odwiedzać bibliotekę prawniczą, możesz to sam sprawdzić.

– Nasza rodzina potrzebuje prawnika na pełen etat.

Joel opróżnił do końca piersiówkę. Florry obserwowała go z wielką czułością. Wdał się w jej rodzinę, w Banningów: był wysoki, z ciemnymi oczami i gęstymi włosami, podczas gdy Stella przypominała do złudzenia Lizę, zarówno jeśli chodzi o urodę, jak i temperament. Bolał nad tym, co się stało, i Florry bolała wraz z nim. W jego beztróskim życiu członka klasy

wyższej następował dramatyczny zwrot na gorsze i nie mógł temu w żaden sposób zapobiec.

– Czy ktoś wspominał, że mama ma szansę wyjść ze szpitala? – zapytał cicho. – Czy jest w ogóle taka możliwość? To ojciec ją tam zamknął i teraz, kiedy nie jest już taki wszechmocny, może istnieje jakaś szansa, żeby wróciła do domu?

– Nie wiem, Joel, ale nic o tym nie słyszałam. Twój ojciec jeździł co miesiąc do Whitfield i ją odwiedzał. Nigdy o tym dużo nie mówił, ale kilka razy napomknął, że jej stan nie ulega poprawie.

– Jak można się lepiej poczuć w szpitalu dla wariatów?

– Zadajesz to pytanie niewłaściwej osobie.

– A dlaczego ja nie mogę jej odwiedzić?

– Bo nie życzy sobie tego twój ojciec.

– Nie wolno mi zobaczyć się z ojcem i nie wolno mi odwiedzić matki. Mam chyba prawo stwierdzić, że brakuje mi rodziców, prawda, ciociu Florry?

– Oczywiście, mój drogi. Bardzo mi przykro.

Przez długą chwilę, nic nie mówiąc, wpatrywali się w ogień, który syczał, trzaskał i zaczynał powoli przygasać. Jeden z kotów wskoczył na sofę i spojrzał na Joela, jakby ten był intruzem.

– Nie wiem, co robić, ciociu – wyznał w końcu Joel. – W tym momencie wszystko wydaje się pozbawione sensu.

Zdał sobie sprawę, że zaczyna mu się plątać język.

Florry łyknęła trochę ginu.

– Cóż, twój dzisiejszy przyjazd do domu na pewno nie miał sensu. Pociąg do Memphis odjeżdża o wpół do dziesiątej rano i powinieneś się w nim znaleźć. Tutaj możesz się tylko zamartwiać.

– Chyba równie dobrze mogę się zamartwiać na swojej uczelni.

– Chyba tak.

Rozdział 8

Wielka ława przysięgłych hrabstwa Ford zbierała się w każdy trzeci poniedziałek miesiąca, by rozpatrzyć materiał dowodowy zgromadzony przez prokuraturę w lokalnych postępowaniach. Na wokandzie w dniu dwudziestego pierwszego października 1946 roku była typowa lista spraw: kłótnia domowa, w trakcie której doszło do ciężkiego pobicia; Chuck Manley i jego kradzież samochodu; czarny mężczyzna, który strzelił niecelnie z pistoletu do innego czarnego, ale kula rozbiła okno kościoła białych, wskutek czego uznano to za ciężkie przestępstwo; oszust z Tupelo, który zalał hrabstwo fałszywymi czekami; złapani na gorącym uczynku biały mężczyzna i czarna kobieta, którzy z entuzjazmem łamali stanowe prawo o segregacji rasowej; i tak dalej, i tak dalej. Spraw było w sumie dziesięć – dość przeciętna liczba przestępstw jak na tak spokojną społeczność. Ostatnią pozycję na liście zajmował oskarżony o zabójstwo Pete Banning.

Miles Truitt został wybrany na stanowisko prokuratora okręgowego siedem lat wcześniej. Jako główny oskarżyciel prowadził posiedzenia wielkiej ławy, która przyklepywała w zasadzie wszystko, czego sobie życzył. To Truitt wybierał osiemnaście osób do jej składu, wskazywał przestępstwa, które powinny być rozpatrywane, wzywał świadków, których zeznania na ogół wspierały oskarżenie, wywierał presję na przysięgłych, gdy dowody wydawały się wątpliwe,

i formułował akty oskarżenia, które potem przedstawiano podejrzanym. Kontrolował także przydział spraw, decydując, które zostaną osądzone wcześniej, a które później. Prawie żadna nie kończyła się procesem z ławą przysięgłych, bo albo zawierano ugody, albo oskarżony przyznawał się do winy w zamian za najniższy możliwy wyrok.

Po siedmiu latach rutynowego prowadzenia spraw Miles Truitt pogodził się z faktem, że będzie przez całe życie wsadzał za kratki drobnych przemytników, damskich bokserów i złodziei samochodów. Jego biuro miało pod swoją jurysdykcją pięć hrabstw Dwudziestego Drugiego Dystryktu Sądowego i w poprzednim roku tylko cztery postępowania zakończyły się procesem z udziałem ławy przysięgłych. Wszyscy inni oskarżeni przyznali się do winy. Praca powoli traciła dla niego wszelki powab, bo w tym zakątku północnego Missisipi po prostu nie popełniano żadnych ekscytujących przestępstw.

Pete Banning przerwał tę monotonię i zrobił to w naprawdę spektakularny sposób. Każdy prokurator marzy o sensacyjnym procesie o zabójstwo, z prominentnym (najlepiej białym) oskarżonym, powszechnie znaną ofiarą, zatłoczoną salą rozpraw, liczną obecnością prasy i wyrokiem, który będzie oczywiście zgodny z wnioskiem oskarżyciela.

Marzenie Truitta miało się wkrótce ziścić i starał się nie okazywać, jak bardzo cieszy go fakt, że będzie oskarżać Pete'a Banninga.

Wielka ława przysięgłych zbierała się w sądzie w tej samej sali co ława procesowa. Było to nieduże pomieszczenie, z krzesłami ustawionymi wokół długiego, wąskiego stołu; z trudem mieściło się tam nawet dwunastu ławników. Z osiemnastu członków wielkiej ławy stawiło się szesnastu, sami biali mężczyźni. Pan Jock Fedison z Karraway zgłosił nieobecność z powodu choroby, jednak powszechnie uważano, że jest zbyt zaabsorbowany zbiorem bawełny, by zawracać sobie głowę kwestiami prawa. Pan Wade Burrell w ogóle nie uprzedził, że będzie nieobecny; od kilku tygodni

nikt go nie widział ani o nim nie słyszał. Nie był farmerem i podobno poróżnił się z żoną, która oświadczyła, że łobuz wyjechał pijany z domu i dotychczas nie wrócił.

Wystarczyło jednak szesnastu członków, żeby było kworum, i Truitt otworzył posiedzenie. Jako pierwszy świadek został wezwany i zaprzysiężony szeryf. Truitt rozpoczął od sprawy Chucka Manleya i Nix Gridley przedstawił fakty. Przysięgli jednogłośnie opowiedzieli się za postawieniem zarzutu kradzieży. Następny był fałszerz czeków: szeryf pokazał kopie czeków i oświadczenia kilku poszkodowanych sklepikarzy. Głosowanie ponownie zakończyło się wynikiem szesnastcie do zera i tak samo wyglądało to w przypadku drwala, który złamał żonie nos i zadał jej wiele innych obrażeń.

Wszystko toczyło się gładko do chwili, gdy Truitt przeszedł do sprawy naruszenia przepisów o czystości rasowej. Dwoje kochanków złapano w trakcie uprawiania seksu na skrzyni pick-upa zaparkowanego w miejscu znanym z tego rodzaju schadzek. Zastępca szeryfa Roy Lester dostał przez telefon cynk o planowanym spotkaniu i zjawił się tam pierwszy. Tożsamości donosiciela nie udało się ustalić. Lester skrył się w ciemności za drzewami i z satysfakcją odkrył, że informacja była prawdziwa. Biały mężczyzna, który przyznał później, że ma żonę i dziecko, zatrzymał pick-upa nieopodal kryjówki Lestera i zaczął się rozbierać. Czarna dziewczyna, w wieku lat osiemnastu, uczyniła to samo. Ponieważ w pobliżu nie było w tym momencie żadnych ludzi, postanowili zrobić to na skrzyni pick-upa.

Zeznając przed wielką ławą przysięgłych, Lester utrzymywał, że spokojnie obserwował to wszystko zza drzewa. W rzeczywistości scena miała mocno erotyczny charakter i trudno mu było zachować spokój. Przysięgli bardzo zainteresowali się jego relacją, lecz on opisywał to, co widział, dyskretnie i powściągliwie, unikając szczegółów. Kiedy biały mężczyzna zaczął szczytować, Lester wyskoczył ze swojej kryjówki, wymachując bronią i krzyząc: „Stać,

policja!”, co było trudnym do wykonania poleceniem, bo czy można zatrzymać się w tej kluczowej chwili? Mężczyzna i dziewczyna pospiesznie się ubrali, a Lester czekał już z kajdankami. Zaprowadził ich do swojego ukrytego na polnej drodze samochodu i odwiózł do aresztu. Po drodze biały mężczyzna zaczął płakać i błagać o litość. Żona na pewno się z nim rozwiedzie, a on tak bardzo ją kocha.

Kiedy Lester skończył zeznawać, na sali zapadła cisza, jakby przysięgli oddali się swoim fantazjom i chcieli usłyszeć coś więcej.

– Skoro on ma dwadzieścia sześć lat, a ona osiemnaście, to dlaczego stosunek między tymi dwiema osobami jest sprzeczny z prawem? – zapytał w końcu pan Phil Hobard, przeflancowany z Ohio Janke, który uczył przyrody w liceum w Clanton.

– Dlatego, że uprawianie seksu między osobą rasy białej i osobą rasy czarnej jest sprzeczne z prawem – wyjaśnił Truitt.

– A jest sprzeczne z prawem, bo tak zdecydowali dawno temu stanowi ustawodawcy.

Pana Hobarda nie usatysfakcjonowała ta odpowiedź.

– Czy cudzołóstwo jest zakazane przez prawo? – kontynuował, ignorując karcące spojrzenia kolegów.

Kilku mężczyzn opuściło wzrok i zaczęło z wielką uwagą studiować leżące na stole dokumenty. Dwaj nawet się skrzywili, lecz na twarzach zelotów pojawiły się jeszcze bardziej zacięte miny, jakby chcieli powiedzieć: „Nawet jeśli nie jest, z całą pewnością powinno być”.

– Nie, nie jest – odparł Truitt. – Kiedyś było, ale władze uznały, że raczej trudno to wyegzekwować.

– Postawmy sprawę jasno – powiedział Hobard. – W stanie Missisipi nie ma zakazu uprawiania seksu z kobietą, która nie jest twoją żoną, pod warunkiem, że jest tej samej rasy. Natomiast jeśli jest innej rasy, oboje mogą zostać za to aresztowani i oskarżeni. Zgadza się?

– Tak mówi kodeks – przyznał Truitt.

– Czy nie mamy ważniejszych spraw na głowie niż oskarżanie przed sądem dwojga dorosłych, którzy za obopólną zgodą spędzają miło czas w łóżku, na skrzyni pick-upa czy gdziekolwiek indziej? – zapytał Hobard, będący najwyraźniej jedynym członkiem wielkiej ławy przysięgłych, który miał odwagę drążyć sprawę głębiej.

– To nie ja ustanawiam prawo, panie Hobard – zauważył Truitt. – Jeśli chce pan je zmienić, powinien pan się z tym udać do swojego stanowego senatora.

– Nasz stanowy senator jest idiotą.

– Być może, ale to wykracza poza zasięg naszej jurysdykcji. Czy możemy przejść do głosowania nad tym aktem oskarżenia?

– Nie – odparł ostro Hobard. – Cały czas próbuje nas pan poganiać. Rozumiem to, ale zanim przystąpimy do głosowania, chciałbym zapytać moich kolegów z wielkiej ławy przysięgłych, ilu z nich uprawiało kiedykolwiek seks z czarną kobietą. Jeśli to robiliście, nie możecie głosować za postawieniem tej dwójki w stan oskarżenia.

Mogło się zdawać, że w pomieszczeniu zabrakło nagle powietrza. Kilku przysięgłych pobladło. Kilku innych poczerwieniało ze złości.

– Nigdy! – warknął jeden z zelotów, co ośmieliło innych.

– Niech pan da spokój, to śmieszne.

– Chyba pan oszalał. Głosujmy!

– To jest przestępstwo i nie mamy wyboru.

Stojący w kącie Nix Gridley obserwował ich twarze i próbował powściągnąć cisnący się na usta uśmiech. Wiedział dobrze, że Dunn Ludlow regularnie odwiedza burdel dla kolorowych w Lowtown. Milt Muncie miał czarną kochankę, co najmniej odkąd Gridley został szeryfem. Neville Wray pochodził ze starej rodziny plantatorów, w której od pokoleń dochodziło do krzyżowania się ras. Jednak w tym momencie cała piętnastka udawała świętoszków.

Stanowe przepisy zakazujące krzyżowania się ras były podobne do tych, które obowiązywały na całym Południu,

i miały mało wspólnego z seksem między białymi mężczyznami i czarnymi kobietami: takie relacje kwitowano po prostu wzruszeniem ramion. Celem tego prawa była obrona czci białych kobiet i niedopuszczanie do nich czarnych mężczyzn. Jak dowiedziono jednak wiele razy wcześniej, jeśli dwoje ludzi chce uprawiać seks, nie zawracają sobie głowy kodeksami prawnymi. Prawo niczemu nie zapobiegało, lecz używano go od czasu do czasu, by ukarać sprawców już po fakcie.

– Mamy jeszcze do rozpatrzenia inne sprawy – powiedział Truitt, kiedy umilkły wszystkie komentarze. – Może poddamy jednak sprawę pod głosowanie?

Podniosło się piętnaście rąk: „za” głosowali wszyscy oprócz Hobarda.

Postawienie w stan oskarżenia nie wymagało jednomyślności – wystarczyło dwie trzecie głosów. I Truitt nigdy nie przegrał głosowania.

– Teraz zajmiemy się sprawą pana Pete’a Banninga – oświadczył. – Zabójstwo pierwszego stopnia. Jestem pewien, że wszyscy znacie temat równie dobrze jak ja. Proszę, szeryfie Gridley.

Depcząc po butach przysięgłym, szeryf zdołał wrócić na swoje miejsce przy końcu stołu. Ponieważ połowa mężczyzn paliła, poprosił Roya Lestera, żeby uchylił okno. Truitt też zapalił papierosa i wypuścił dym w stronę sufitu.

Gridley zaczął od opisu miejsca przestępstwa i puścił w obieg dwie fotografie leżącego w swoim gabinecie martwego Dextera Bella. Streścił zeznania Hopa Purdue’a i zdał relację, jak pojechał aresztować Pete’a i jak ten powiedział mu, gdzie może znaleźć rewolwer. Szeryf pokazał rzeczony rewolwer oraz trzy kule i dodał, że ustalono ponad wszelką wątpliwość, iż to one spowodowały zgon. Potwierdziła to stanowa policja. Od momentu aresztowania Pete Banning odmawiał wszelkich zeznań. Jego obrony podjął się mecenas John Wilbanks. Jeśli przysięgli postawią Banninga

w stan oskarżenia, należy się spodziewać, że w bliskiej przyszłości dojdzie do procesu.

– Dziękuję, szeryfie – rzucił Truitt. – Jakies pytania?

Milt Muncie podniósł rękę.

– Czy naprawdę musimy to przegłosowywać? – zapytał głośno. – To znaczy znam Pete’a Banninga i znałem Dextera Bella i naprawdę nie chcę być w to wplątany.

– Ja też – oznajmił Tyus Sutton. – Dorastałem razem z Pete’em Banningiem i nie powinienem chyba zasiadać w wielkiej ławie przysięgłych.

– Święte słowa – odezwał się Paul Carlin. – Nie chcę mieć nic wspólnego z tą sprawą, a jeśli będzie pan mnie próbował zmusić, po prostu się wycofam. Możemy przecież zrezygnować z udziału w wielkiej ławie przysięgłych, prawda? Wolę zrezygnować, niż mieć z tym coś wspólnego.

– Nie, nie może pan złożyć rezygnacji – odpalił Truitt, widząc, że jego maszynka do głosowania zaczyna się zacinać.

– Ale możemy chyba wstrzymać się od głosu? – zapytał Joe Fisher. – To przecież zrozumiałe, że mamy prawo wstrzymać się od głosu, jeśli osobiście znamy ludzi zamieszanych w sprawę, czyż nie? Niech pan mi pokaże przepis zabraniający nam wstrzymać się od głosu, jeśli podejmiemy taką decyzję.

Oczy wszystkich utkwione były w Truittcie, który w kwestiach proceduralnych narzucał na ogół przysięgłym swoją wolę, tak samo jak czynili to zresztą prokuratorzy okręgowi w całym stanie. Nie pamiętał żadnych przepisów, które pozwalałyby wstrzymać się od głosu w takich sytuacjach, choć prawdę mówiąc, od lat nie zaglądał do kodeksu. Tak bardzo przywykł do tego, że jego maszynka do głosowania działa niezawodnie, że przestał śledzić proceduralne zawiłości.

Zwlekając z odpowiedzią, myślał nie o wielkiej ławie przysięgłych, lecz o ławie procesowej. Skoro obywatele hrabstwa Ford z taką niechęcią podchodzili do tej sprawy, jak uda mu się przekonać dwunastu z nich, by uznali, że

oskarżony jest winny? Największy proces karny w jego karierze mógł posypać się w gruzy.

Odchrząknął i zaczął mówić:

– Chciałbym przypomnieć panom, że przysięgliście uważnie i bez uprzedzeń wysłuchać, jakie zostały w danej sprawie przedstawione dowody, a następnie zdecydować, czy wszystko wskazuje na to, że przestępstwo, o którym mowa, zostało popełnione. Nie zebraliście się tutaj, by przesądzać o winie lub niewinności pana Banninga; to nie należy do waszych obowiązków. Jego los rozstrzygnie się podczas procesu. A teraz, szeryfie Gridley, czy ma pan jakiegokolwiek wątpliwości, że to Pete Banning zabił Dextera Bella?

– Nie, nie mam żadnych.

– I to, panowie, powinno nam wystarczyć, by postawić Pete'a Banninga w stan oskarżenia. Czy ktoś chce jeszcze zabrać głos?

– Nie będę głosować – oznajmił twardo Tyus Sutton. – Pete nie zrobił tego, co zrobił, bez powodu i nie będę tego oceniać.

– Niczego pan tu nie ocenia – warknął prokurator. – A jeśli Banning zrobił to, co zrobił, z jakiegoś określonego powodu, ma swojego obrońcę i wszystko to wyjdzie na jaw w trakcie procesu. Ktoś jeszcze?

Truitt był naprawdę wściekły i spoglądał na przysięgłych, jakby chciał im wszystkim stawić czoło. To on znał prawo, nie oni.

Ale Tyus Sutton nie należał do ludzi, których łatwo nastraszyć.

– Jestem już za stary, by na mnie krzyczeć – oświadczył, wstając i celując palcem w Truitta. – Wychodzę, a jeśli chce pan nasłać na mnie sędziego i wpędzić mnie w kłopoty, będę o tym pamiętał, kiedy znów będzie się pan ubiegał o urząd. I wiem, gdzie szukać adwokata. – Powiedziawszy to, Sutton podszedł do drzwi i wyszedł, zatraskując je za sobą.

Zostało tylko piętnastu głosujących. Do postawienia Banninga w stan oskarżenia potrzebnych było dwie trzecie głosów, a co najmniej trzech z tych, którzy pozostali, nie

chciało głosować. Truitt oblał się nagle zimnym potem. Oddychając z trudem, zastanawiał się, jaką obrać strategię. Mógł ich zwolnić i wnieść sprawę w następnym miesiącu. Mógł ich zwolnić i poprosić sędziego o wyznaczenie nowego składu wielkiej ławy przysięgłych. Mógł doprowadzić do głosowania, w nadziei że zakończy się ono pozytywnym wynikiem, a gdyby się to nie udało, wnieść sprawę ponownie w listopadzie. Ale czy na pewno było to możliwe? Czy zakaz podwójnego sądzenia tej samej sprawy nie odnosił się również do posiedzeń wielkiej ławy przysięgłych? Nigdy dotąd nie znalazł się w takiej sytuacji.

Mimo wszystko postanowił zarządzić głosowanie.

– Czy ktoś chce jeszcze zabrać głos? – zapytał. Kilku przysięgłych zmierzyło go niechętnym spojrzeniem, ale najwyraźniej nikt nie chciał iść w ślady Tyusa Suttona. – Świetnie. W takim razie proszę wszystkich, którzy są za tym, żeby postawić Pete’owi Banningowi zarzut zabójstwa pierwszego stopnia na osobie wielebnego Dextera Bella, żeby podnieśli rękę.

Bez większego entuzjazmu podniosło się pięć rąk. Po dłuższej chwili dołączyło do nich kolejnych pięć. Pozostali trzymali rękę pod stołem.

– Nie może pan wstrzymać się od głosu – warknął Truitt do Milta Munciego.

– A pan nie może mnie zmusić, żebym głosował – odparł gniewnie Muncie, gotów bronić się do upadłego.

Truitt rozejrzał się po sali i szybko policzył głosy.

– Dziesięć głosów za – powiedział. – To stanowi dwie trzecie składu ławy przysięgłych: dosyć, by postawić Pete’a Banninga w stan oskarżenia. Dziękuję, szeryfie. Zamykam posiedzenie.

* * *

W miarę jak mijały dni, dzięki Pete'owi coraz bardziej polepszały się panujące w areszcie warunki. Pierwszą sprawą była jakość kawy: pod koniec trzeciego dnia jego pobytu w areszcie wszyscy – osadzeni, strażnicy i gliniarze – pili Standard Coffee z Nowego Orleanu. Florry dostarczała ją w dwuipółkilogramowych paczkach i podczas drugiej wizyty zapytała szeryfa Gridleya, co piją kolorowi więźniowie. Odparł, że w ogóle nie podaje im się kawy, co bardzo ją rozsierdziło i w długiej tyradzie zagroziła, że jeśli kawa nie będzie podawana wszystkim, przestanie ją przywozić.

W domu zapędziła do roboty Mariettę i Ninewę, które zaczęły na całego piec i gotować. Prawie codziennie przywoziła do aresztu ciasta, placki, ciasteczka i chleb kukurydziany, a także gary z wołowym i sarnim gulaszem, pastewną kapustą, czerwoną fasolą, grochem i ryżem. Jakość więziennego menu z dnia na dzień zasadniczo się poprawiała, i to dla wszystkich więźniów. Większość z nich jadła teraz lepiej niż na wolności. Kiedy Amos zarznął tłustego wieprza, całe więzienie objadało się wędzonymi żeberkami. Nix Gridley i jego podwładni też sobie nie odmawiali i dzięki temu zaoszczędzili parę dolców na lunchach. Szeryf nigdy jeszcze nie trzymał pod kluczem plantatora ze sporym areałem ziemi, która dostarczała żywności, oraz kucharkami, które ją przyrządzały.

Po pierwszym tygodniu Pete przekonał Gridleya, by powierzył mu funkcję kalifaktora, co oznaczało, że jego cela była otwarta w ciągu dnia i mógł przemieszczać się po całym areszcie, pod warunkiem, że nie opuści budynku. Szeryf bał się trochę plotek, że Pete jest w jakiś szczególny sposób traktowany, i z początku ten pomysł niezbyt mu się podobał. Ale każde szanujące się więzienie miało co najmniej jednego kalifaktora, a u Gridleya nie było w tym momencie żadnego. Ostatni, Homer Galax, pełnił gorliwie tę funkcję przez sześć lat i zostały mu jeszcze trzy, z wyroku za napad z bronią w rękę, kiedy uciekł z pewną wdową, podobno majątną. Od tego czasu

nikt ich nie widział, a Gridley nie miał czasu, ochoty ani energii, by ich szukać.

Zgodnie z kolejną zasadą – jak się okazało, również nie do końca przestrzeganą – kalifaktor powinien najpierw zostać skazany przez sąd i odsiadywać wyrok w więzieniu hrabstwa, a nie w stanowym. Gridley też ją zignorował i Pete został kalifaktorem. Będąc nim, podawał o wiele lepsze posiłki czterem innym białym więźniom, a także sześciu czy siedmiu czarnym w tylnej części aresztu. Ponieważ wszyscy dość szybko się dowiedzieli, komu zawdzięczają lepsze wyżywienie, nowy kalifaktor zyskał sporą popularność. Zorganizował ekipy, które sprzątały areszt, i zapłacił hydraulikowi za modernizację obu łazienek. Wynalazł tani system wentylacji, żeby oczyścić powietrze z papierosowego dymu, i wszystkim, nawet palaczom, łatwiej się teraz oddychało. Razem z jednym z czarnych więźniów naprawił piec i nocą w celach było prawie ciepło. Spał twardym snem, często ucinał sobie drzemki, regularnie ćwiczył i zachęcał do tego nowych znajomych. Kiedy dopadała go nuda, czytał powieści, pochłaniając je tak szybko, że Florry prawie nie nadążała ich dowozić. W swojej małej celi nie miał półki, więc te przeczytane zabierała z powrotem do jego gabinetu, w którym były tysiące książek. Czytał również sterty gazet i czasopism, które mu dostarczała.

Proponował, że pożyczy je innym, ale spotkało się to z niewielkim zainteresowaniem. Podejrzewał, że jego współwięźniowie są całkowicie lub częściowo niepiśmienni. Dla zabicia czasu grywał również w pokera z Leonem Colliverem, bimbrownikiem z celi po drugiej stronie korytarza. Leon nie był szczególnie inteligentny, ale diabelnie dobrze grał w karty i Pete, który w wojsku opanował do perfekcji wszystkie gry karciane, musiał się nieźle napocić, żeby nie przegrać. Najbardziej lubił cribbage'a i Florry przywiozła mu do więzienia planszę do tej gry. Leon nigdy o niej nie słyszał, ale bez trudu przyswoił sobie zasady i po godzinie ograł Pete'a na pięć centów. Za wygraną partię

dostawało się jednego. Można było wystawiać weksle, choć nikt tak naprawdę nie spodziewał się ich zrealizować.

Późnym popołudniem, gdy wszystkie codzienne prace były już wykonane i w więzieniu robiło się całkiem znośnie, Pete otwierał celę Leona i obaj wystawiali swoje rozklekotane krzesła na korytarz, całkowicie go blokując. Kładli planszę do cribbage'a na trzymanym w celi Pete'a kawałku dykty, opierali go na drewnianej beczce po gwoździach i zaczęli grać. Leon zdołał przemycić do aresztu piersiówkę kukurydzianej whiskey, pędzonej oczywiście przez jego rodzinę, ale z początku Pete raczej nie był nią zainteresowany. Później jednak, gdy mijały kolejne dni i zdał sobie sprawę, że albo zostanie stracony, albo do końca życia będzie gnił za kratkami, stwierdził, że nie ma się co ograniczać. W trakcie zaciętej partii Leon nagle zerkał w jedną i drugą stronę korytarza, wyjmował z kieszeni spodni piersiówkę, pociągał łyk i przekazywał ją Pete'owi. Ten rozglądał się, wypijał trochę i oddawał piersiówkę. Nie byli samolubni: bimbru było po prostu za mało dla wszystkich. Poza tym w każdym areszcie był jakiś kapuś, a szeryfowi Gridleyowi z pewnością nie spodobałoby się picie alkoholu.

Kiedy siedzieli pewnego razu między celami, całkowicie pochłonięci grą, drzwi się otworzyły i w wąskim korytarzu pojawił się Gridley. Trzymał jakieś papiery.

– Dobry wieczór – powiedział i obaj skinęli grzecznie głowami. Szeryf podał papiery Pete'owi. – Dzisiaj zebrała się wielka ława przysięgłych i to jest twój akt oskarżenia. Zabójstwo pierwszego stopnia.

Pete wyprostował się i wziął od niego papiery.

– Należało się chyba tego spodziewać – odparł.

– Sprawa była raczej oczywista. Proces ma się zacząć szóstego stycznia.

– Nie mogli go wyznaczyć wcześniej?

– Będziesz musiał o tym pogadać ze swoim adwokatem – mruknął Gridley, po czym odwrócił się i wyszedł.

Rozdział 9

Miesiąc po śmierci męża Jackie Bell przeprowadziła się wraz z trojgiem dzieci do domu swoich rodziców w Rome, w Georgii. Zabrała ze sobą kilka nienależących do plebanii skromnych mebli, piękne wspomnienia ze spędzonych w Clanton pięciu lat i ujmujące słowa pożegnania ze strony wspólnoty, która wspierała ją i dzieci. A poza tym zabrała ze sobą męża. W zamęcie, jaki nastąpił po jego zamordowaniu, zgodziła się go pochować w Clanton, bo było to prostsze. Oboje jednak nie pochodzili z Missisipi, nie mieli tu krewnych i prawdziwych korzeni, a Jackie chciała wracać do domu. Dlaczego miałyby go zostawiać? Stałym elementem jej dnia była teraz jazda na cmentarz, gdzie kładła kwiaty na jego grobie i długo płakała. Rytuał ten miała zamiar kontynuować już zawsze, a nie mogłaby tego robić w Georgii. Jej mąż również pochodził z Rome i kazała go tam ponownie pochować, na małym cmentarzu za kościołem metodystów.

Wzięli ślub, gdy Dexter studiował w seminarium w Atlancie, a po jego ukończeniu, kiedy powołano go na stanowisko młodszego pastora w parafii na Florydzie, zaczęła się ich nomadyczna podróż przez Południe. W jej trakcie urodziło się im troje dzieci, każde w innym miejscu, i w końcu, na kilka miesięcy przed Pearl Harbor, osiedli w Clanton.

Jackie kochała to miasteczko do dnia, w którym zginął Dexter, lecz niedługo po pogrzebie zrozumiała, że nie może

tam zostać. Niebawem będzie powołany nowy pastor i jego rodzina musi gdzieś zamieszkać. Kościół zaproponował jej łaskawie bezpłatne roczne zakwaterowanie, ale odmówiła. Kolejnym powodem, w gruncie rzeczy najważniejszym, było to, jak cierpiały jej dzieci. Uwielbiały ojca i nie mogły pogodzić się z jego brakiem. W takim małym miasteczku widziano by w nich już zawsze dzieci człowieka, który został zastrzelony w tajemniczych okolicznościach. Żeby je chronić, przeniosła się do miasta, które znały wcześniej jedynie jako miejsce zamieszkania dziadków.

Kiedy znalazła się już w Rome, a dzieci wróciły do szkolnej rutyny, zdała sobie sprawę, jak bardzo prowizoryczny jest to układ. Dom jej rodziców był skromny, z całą pewnością za mały na trójkę dzieci. Po odebraniu dziesięciu tysięcy dolarów ubezpieczenia zaczęła się rozglądać za jakimś miejscem, które mogłaby wynająć. Ku zmartwieniu rodziców, przestała również chodzić do kościoła. Oboje byli pobożnymi metodystami, którzy nie opuścili w życiu ani jednego niedzielnego nabożeństwa. Tak naprawdę w tej części świata niewiele osób opuszczało nabożeństwo, a tych, którzy to robili, wytykano palcami. Jackie nie była w nastroju, by coś wyjaśniać, ale dała do zrozumienia rodzicom, że przechodzi kryzys i potrzebuje czasu, by odpowiedzieć sobie, w co właściwie wierzy. W głębi ducha zadawała sobie oczywiste pytanie. Jej mąż, gorliwy sługa i naśladowca Chrystusa, został zamordowany, gdy czytał Biblię i przygotowywał kolejne kazanie. Dlaczego ze wszystkich ludzi Bóg nie zdołał obronić właśnie jego? Po głębszej refleksji doprowadziło ją to do jeszcze bardziej niepokojącego pytania: czy Bóg w ogóle istnieje? Samo przelotne pojawienie się takiej myśli ją przeraziło, ale nie mogła zaprzeczyć, że powstała w jej głowie.

Wkrótce, jak oznajmiła jej matka, znalazła się na językach, ale niewiele ją to obeszło. Bezmiar cierpienia Jackie był tak dotkliwy, że żadne lokalne plotki nie miały w tym momencie znaczenia. Jej dzieci z trudem radziły sobie w nowej szkole. Każdy kolejny dzień był wyzwaniem.

Dwa tygodnie po przyjeździe do rodziców wyprowadziła się od nich do małego wynajętego domku po drugiej stronie miasta. Jego właścicielem był adwokat Errol McLeish, trzydziestodwuletni kawaler, którego poznała przed laty w miejscowej szkole średniej. McLeish i Dexter chodzili do tej samej klasy, ale obracali się w innych kręgach. Podobnie jak wszyscy mieszkańcy Rome, McLeish znał okoliczności śmierci Dextera i chciał pomóc młodej wdowie.

Po kilku tygodniach, kiedy jadła tylko po to, żeby przeżyć, Jackie straciła w końcu kilogramy, które przybrała sześć lat wcześniej, przy ostatniej ciąży. Nie była to dieta odchudzająca, jaką mogłaby komukolwiek polecić, i na razie stanowiło to jedyną jaśniejszą stronę całego tego koszmaru, ale przeglądając się w lustrze, musiała przyznać, że od wielu lat nie była taka szczupła. Teraz, w wieku trzydziestu ośmiu lat, ważyła tyle samo co w dniu ślubu i podziwiała swoje na nowo kształtne biodra. Ale oczy miała podkrążone i zaczerwienione od płaczu i przyrzekła sobie, że wreszcie z tym skończy.

McLeish wpadał dwa razy w tygodniu, by zobaczyć, jak się urządziła, a Jackie dyskretnie się wtedy malowała i wkładała bardziej obcisłe sukienki. Z początku nękały ją z tego powodu wyrzuty sumienia, bo Dexter nie ostrygł jeszcze w grobie, ale przecież nie był to żaden flirt. Mówiła sobie, że nie zamierza już nigdy w życiu wdawać się w jakiegokolwiek intymne relacje, zresztą w Rome i tak raczej nie znalazłaby nikogo odpowiedniego. Ale była teraz kobietą samotną i cóż jest złego w tym, że chce ładnie wyglądać?

Ze swojej strony McLeish uważał ją za całkiem atrakcyjną kobietę, obarczoną jednak poważną wadą. Czym innym było wdowieństwo, z którym po pewnym czasie zdołałby się uporać, a czym innym fakt, że wchodziłby do ukształtowanej już rodziny. Jako jedynak, mający niewielką styczność z innymi dziećmi, w ogóle sobie tego nie wyobrażał. Nadal jednak spotykał się z Jackie, dyskretnie wykorzystując jej ból i osamotnienie. Luźna znajomość powoli zmieniała się we flirt.

Tak naprawdę interesowała go przede wszystkim możliwość złożenia pozwu o odszkodowanie. McLeish był właścicielem kilku obciążonych sporą hipoteką nieruchomości, miał również inne długi i po dziesięciu latach kariery zorientował się, że jako adwokat dużo już nie zarobi. Wkrótce po powrocie Jackie do Rome rozpoczął swoją misterną grę. Pojechał do Clanton i szperając w sądowych archiwach, zebrał kilka informacji o Banningach. Godzinami przekopywał się przez akty własności, a gdy padało nieuniknione pytanie o powód jego zainteresowania, podawał się za agenta leasingowego dużej firmy wydobywającej gaz i ropę. Tak jak przewidywał, odbiło się to głośnym echem w gmachu sądu i miejscowych kancelariach i wkrótce Clanton opanowała pierwsza i ostatnia w historii miasta gorączka naftowa. Prawnicy i ich asystenci studiowali zakurzone stare mapy, jednocześnie pilnie nasłuchując krążących po mieście plotek i mając na oku przybysza. McLeish wkrótce jednak zniknął, tak samo dyskretnie, jak się pojawił, a miasto próżno czekało na zapowiadany naftowy boom. Po powrocie do Georgii nadal odwiedzał regularnie wdowę Bell, nigdy nie sprawiając wrażenia, że chętnie zacieśniłby tę znajomość, ale zawsze pełen troski i niemal rewerencji, jakby rozumiał jej skomplikowane położenie i w żadnym wypadku nie chciał się narzucać.

* * *

W roku 1946 w College'u Hollinsa studiowało trzysta siedemdziesiąt pięć młodych panien. Uczelnia miała sto lat i cieszyła się świetną renomą, zwłaszcza wśród dam z Południa klas należących do wyższych. Stella Banning wybrała ją, bo studiowało tam wiele pochodzących z Memphis zamożnych przyjaciółek jej matki. Sama Liza się tam nie uczyła, głównie dlatego, że nie stać było na to jej rodziny.

Dziewczęta otoczyły Stellę szczelnym kokonem, chroniąc ją przed negatywnymi i wścibskimi reakcjami obcych. Nie mogły uwierzyć, że taka słodka i ładna dziewczyna jak Stella znalazła się w samym środku rodzinnego dramatu, z całą pewnością jednak nie ponosiła za to żadnej winy. Nikt z Hollins nigdy nie był w Clanton. Kilka studentek wiedziało, że jej ojciec jest bohaterem wojennym, ale dla większości dziewcząt nie miało to większego znaczenia. Nikt nie poznał osobiście rodziców Stelli, lecz jej brat Joel zrobił całkiem dobre wrażenie podczas niedawnego weekendu rodzinnych odwiedzin.

W pierwszych tygodniach po zabójstwie Stella ani przez chwilę nie była sama. Jej dwie współlokatorki z akademika czuwały przy niej w nocy, kiedy budziła się, dręczona koszmarami i wybuchami emocji. Profesorowie rozumieli, że jest rozbita, i pozwolili jej opuszczać zajęcia i oddawać prace w późniejszym terminie. Codziennie składał jej wizytę któryś z opiekunów roku. Rektor monitorował jej sytuację i dwa razy w tygodniu otrzymywał informacje od dziekana. Wkrótce stało się jasne, że Stella nie pojedzie do domu na Święto Dziękczynienia. Zabronił jej tego ojciec. To wywołało falę zaproszeń, ze strony przyjaciółek, profesorów, a nawet dziewcząt, których prawie nie znała.

Stellę wzruszyło to do łez i wszystkim podziękowała, a potem razem z Ginger Reed, chyba najlepszą przyjaciółką, pojechała pociągiem z Roanoke do Alexandrii pod Waszyngtonem na tydzień świętowania. Była tam już wcześniej z Ginger i atmosfera stolicy ją urzekła. Choć nie mówiła tego rodzicom ani Joelowi, miała zamiar jak najszybciej skończyć studia i osiąść w wielkim mieście. Pierwszym jej wyborem był Nowy Jork, drugim Waszyngton. Odległym trzecim – Nowy Orlean. Na długo przed zabójstwem wiedziała, że na pewno nie zamieszka w hrabstwie Ford. Po zabójstwie chciała uciec stamtąd jak najdalej.

Choć jej marzenia po części legły w gruzach, nadal była zdecydowana zostać pisarką. Podziwiała opowiadania Eudory

Welty i dziwaczne barwne postacie Carson McCullers. Obie były silnymi kobietami, piszącymi własnym głosem o rodzinach, konfliktach, ziemi i bolesnej historii Południa, i obie odniosły literacki sukces w okresie, gdy w amerykańskiej prozie dominowali mężczyźni. Stella czytała wszystkich autorów, książki mężczyzn i kobiet, i była przekonana, że jest tam miejsce i dla niej. Mogłaby zacząć od opowieści o własnej rodzinie, mówiła sobie często w duchu, teraz częściej niż przedtem, choć wiedziała, że tak się nie stanie.

Znajdzie pracę w jakimś czasopiśmie w Nowym Jorku, zamieszka razem z przyjaciółkami w tanim mieszkanku na Brooklynie i kiedy tylko się zadomowi i poczuje twórczą wenę, zacznie pisać pierwszą powieść. Była przekonana, że jeśli okaże się to konieczne, rodzice i ciotka Florry na pewno ją wspomogą. Jako dziedziczka rodu Banningów dorastała w cichym przekonaniu, że ziemia zawsze będzie należeć do rodziny i zapewni finansowe wsparcie.

Cieszyć się życiem w Nowym Jorku, pracować w czasopiśmie, pisać powieść – i robić to wszystko ze świadomością, że w domu są pieniądze. Aż do zabójstwa ta przyszłość wydawała się ekscytująca i całkiem realna. Teraz dom był gdzieś daleko i nic nie było już pewne.

Rodzina Ginger mieszkała na starówce, w osiemnastowiecznym pałacyku przy Duke Street. Jej rodziców i młodszą siostrę poinformowano wcześniej o koszmarze Banningów i nikt się na ten temat nie zająknął. Stellę czekał cały tydzień koktajlowych przyjęć, długich kolacji, spacerów wzdłuż brzegu Potomaku i wizyt w klubach, gdzie studenci palili papierosy, pili dużo alkoholu, słuchali jazz-bandów i tańczyli do upadłego.

W Święto Dziękczynienia zadzwoniła do cioci Florry i przez dziesięć minut rozmawiały, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Joel pojechał do Kentucky, do rodziny kolegi z bractwa, i według słów Florry, przez cały czas polował

i miło spędzał ferie. Obiecała, że na Boże Narodzenie wszyscy się spotkają.

* * *

Tego samego dnia po południu Florry załadowała do niewielkiej balii dwa pieczone indyki, ziemniaki, marchew, buraki i rzepę, a także garnek z dressingiem, sos z podrobów, drożdżówki i dwa placki z orzechami pekanowymi. Zawiozła to wszystko do aresztu, gdzie Pete pokroił pod jej nadzorem indyki. W uczcie wzięli udział więźniowie oraz pan Tick Poley, leciwy więzienny strażnik, który pełnił dyżur w nocy i w święta, żeby szeryf Gridley i jego ludzie mogli wziąć wolne. Florry i Pete zjedli posiłek w gabinecie szeryfa, mając przed oczami niezamkniętą na klucz szafę z bronią. Niezamknięte drzwi wychodziły na żwirowany parking. Tick poszedł ze swoim talerzem do poczekalni i pilnował tam frontowych drzwi.

Pete zjadł kilka kęsów i zapalił papierosa. Mimo starań siostry nadal mało jadł. Był chudy jak szczapa i blady jak ściana, bo nie wychodził na dwór. Florry jak zwykle to skomentowała. On jak zwykle ją zignorował. Ożywił się trochę, gdy zaczęła mu opowiadać o swoich rozmowach ze Stellą i Joelem. Jej zdaniem radzili sobie całkiem nieźle i spędzali miło to święto. Pete uśmiechnął się, paląc papierosa, a jego oczy powędrowały w stronę sufitu i gdzieś dalej.

Rozdział 10

Przed Świętem Dziękczynienia bawełnę zebrano z pól po raz trzeci i ostatni i Pete uznał zbiory za udane. Obserwował rynek i co tydzień, kiedy Buford przyjeżdżał do aresztu, uważnie przeglądał księgi rachunkowe. Poza tym podpisywał czeki, płacił rachunki, sprawdzał stan kont i lokat i kierował sprzedażą swojej bawełny na giełdzie w Memphis. Kazał ponownie otworzyć działającą na terenie plantacji szkołę dla kolorowych i zaakceptował podwyżkę płacy dla nauczycieli oraz instalację nowych pieców przed zimą. Buford chętnie kupiłby najnowszy model ciągnika marki John Deere. Wielu poważnych plantatorów już go miało, ale Pete odparł, że nie teraz, może później. Mając przed sobą tak niepewną przyszłość, wolał nie wydawać dużo pieniędzy.

Cenę bawełny obserwował również bacznie Errol McLeish. W Georgii produkowano jej prawie tyle samo co w Missisipi, więc znał się trochę na jej uprawie. W miarę jak na giełdzie w Memphis wzrastała aktualna cena rynkowa bawełny, rosła również jego troska o dobrobyt Jackie Bell.

* * *

Po kilku tygodniach dyskusji i analiz John Wilbanks i jego brat Russell doszli do wniosku, że proces Pete'a Banninga nie

powinien się jednak odbywać w Clanton. Ustalili, że postarają się zmienić miejsce procesu i przenieść go gdzieś daleko.

Początkowo dodało im otuchy to, że na posiedzeniu wielkiej ławy przysięgłych ponoć o mało nie doszło do buntu przeciwko Milesowi Truittowi. Ich klient miał najwyraźniej przyjaciół i stronników, którzy z nim sympatyzowali, i akt oskarżenia został przegłosowany minimalną liczbą głosów. Były to oczywiście tylko plotki, a jako że posiedzeń wielkiej ławy w ogóle nie protokołowano i traktowano je jako poufne, nie mogli wiedzieć, co się dokładnie wydarzyło. Jednak z upływem czasu coraz mniej wierzyli w bezstronność procesowej ławy przysięgłych. Oni i ich podwładni rozmawiali z mnóstwem znajomych, by ocenić nastroje publiczne. Zasięgali języka u innych adwokatów w mieście, u dwóch emerytowanych sędziów, dwóch byłych szeryfów i kilku byłych zastępców. Ponieważ ława przysięgłych miała się składać wyłącznie z białych mężczyzn, a prawie każdy z nich należał do jakiegoś kościoła, bracia Wilbanksowie odbyli rozmowy ze znanymi im pastorami reprezentującymi wszystkie wyznania. Ich żony pogadały z innymi żonami, w innych kościołach, w klubach ogrodowych i brydżowych, prawie wszędzie, gdzie można było swobodnie rozmawiać.

I stało się jasne, przynajmniej dla Johna, że ludzie są mocno krytyczni wobec jego klienta. On i jego podwładni bardzo często słyszeli argumentację, która sprowadzała się do jednego zdania: „Bez względu na to, co podzieliło tych mężczyzn, można to było rozstrzygnąć bez rozlewu krwi”. A fakt, że Pete Banning nie mówił nic na swoją obronę, dodatkowo ułatwiał orzeczenie wyroku skazującego. Na zawsze już miał pozostać legendarnym bohaterem wojennym, ale nikt nie ma prawa zabijać bez ważnego powodu.

Kancelaria Johna Wilbanksa przeprowadziła gruntowną analizę wszystkich znanych w Ameryce przypadków przeniesienia miejsca procesu karnego, a on sam napisał pięćdziesięciostronicowy mistrzowski elaborat, w którym uzasadniał swój wniosek. Zajęło mu to wiele godzin

i doprowadziło w końcu do ostrej dyskusji na temat ich zaległego honorarium, którą odbył z Russellem. Do tej pory John wolał nie poruszać tej kwestii, teraz jednak okazało się to nieuniknione.

Równie pilną sprawą był niebagatelny problem ustalenia właściwej linii obrony. Pete oznajmił im prosto z mostu, co sądzi o złożeniu wniosku, by uznano go za niepoczytalnego, ale John nie miał innych argumentów, na które mógłby się powołać przed ławą przysięgłych. Było chyba oczywiste, że człowiek, który oddaje trzy strzały z bliskiej odległości do drugiego człowieka, nie może być przy zdrowych zmysłach, ale żeby poprowadzić obronę w ten sposób, John musiał poinformować o tym wcześniej sąd. Napisał już stosowny wniosek, wraz z uzasadnieniem, i miał zamiar złożyć go razem z wnioskiem o zmianę miejsca procesu.

Wcześniej jednak musiał uzyskać zgodę klienta. Tydzień przed Bożym Narodzeniem, po długich targach między adwokatem a szeryfem, Nix Gridley i Roy Lester przewieźli późnym popołudniem Banninga do kancelarii Wilbanksów. Jeśli Pete'owi przyjemnie było po raz pierwszy od dłuższego czasu zaczerpnąć świeżego powietrza, to w ogóle tego nie okazywał. Nie zwracał uwagi na świąteczne dekoracje witryn sklepowych, nie interesował się tym, co dzieje się w mieście, nie był ani trochę wdzięczny, że pozwolono mu spotkać się z adwokatem w kancelarii, a nie w areszcie. Podczas krótkiej jazdy siedział w kajdankach i kapeluszu na tylnym siedzeniu i wpatrywał się we własne buty. Szeryf zaparkował na tyłach budynku i nikt nie widział, jak Banning wchodzi do środka pod eskortą dwóch stróżów prawa. Wewnątrz zdjęto mu kajdanki i poszedł w ślad za Johnem Wilbanksem do gabinetu na piętrze. Nix i Roy zostali w poczekalni na dole, a sekretarka poczęstowała ich kawą i ciasteczkami.

Russell usiadł w jednym fotelu, John w drugim, Pete po drugiej stronie stolika, na skórzanej sofie. Przez chwilę próbowali prowadzić luźną pogawędkę, ale rozmowa nie bardzo się kleiła. Trudno gadać o pogodzie i zbliżających się

świętach z kimś, kto siedzi za kratkami, oskarżony o zabójstwo.

– Jakie masz warunki w areszcie? – zapytał John.

– Nieźle – odparł z kamienną twarzą Pete. – Bywało gorzej.

– Słyszałem, że praktycznie tam rządzisz.

Pete lekko się uśmiechnął.

– Zostałem kalifaktorem, więc nie zawsze siedzę w celi.

– Słyszałem, że dzięki Florry więźniowie przybierają na wadze – powiedział z uśmiechem Russell.

– Wyżywienie się polepszyło – przyznał Pete, sięgając po papierosa.

John i Russell wymienili spojrzenia. Russell zajął się zapalaniem papierosa, czekając, aż brat poruszy drażliwy temat. John głośno odchrząknął.

– No cóż, Pete, nie rozmawialiśmy jeszcze o honorarium za usługi adwokackie. Nasza firma poświęca tej sprawie wiele czasu. Proces zacznie się za trzy tygodnie i w tym okresie nie będziemy raczej pracować nad niczym innym. Musimy się rozliczyć, Pete.

Banning wzruszył ramionami.

– Czy kiedykolwiek dotąd otrzymałem od was rachunek, który nie został zapłacony? – zapytał.

– Nie, ale nigdy dotąd nie byłeś oskarżony o zabójstwo.

– O jakiej mówimy sumie?

– Pięć tysięcy dolarów. I jest to raczej minimalna kwota.

Banning zaciągnął się, wypuścił z ust obłok dymu i wbił wzrok w sufit.

– Boję się pomyśleć o maksymalnej. Dlaczego to tyle kosztuje?

Russell zdecydował się wziąć udział w starciu.

– Poświęcamy tej sprawie wiele godzin, Pete. Tym, co sprzedajemy, jest wyłącznie nasz czas, i nie liczymy tutaj na żaden zysk. Twoja rodzina zawsze korzystała z usług naszej kancelarii, jesteśmy starymi przyjaciółmi i chcemy ci pomóc. Ale utrzymanie biura kosztuje. My też mamy do zapłacenia rachunki.

Pete strzepnął popiół do popielniczki i szybko się zaciągnął. Nie był zirytowany ani zaskoczony. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Dobrze, zobaczę, co mogę zrobić – mruknął w końcu.

Możesz nam po prostu wypisać cholerny czek, chciał powiedzieć John, ale nie zrobił tego. Problem został poruszony i Pete raczej o nim nie zapomni.

Russell podniósł ze stolika jakieś dokumenty.

– Chcielibyśmy, żebyś rzucił okiem na te papiery, Pete. To są wstępne wnioski procesowe i zanim je złożymy, musisz je przeczytać i podpisać.

Banning wziął je i szybko przekartkował.

– Jest tu sporo rzeczy – stwierdził. – Może powiecie mi w skrócie, o co chodzi, najlepiej językiem zrozumiałym dla laika?

John uśmiechnął się, pokiwał głową i przejął pałeczkę od brata.

– Jasne, Pete. W pierwszym wniosku prosimy sąd, żeby zmienił miejsce procesu, przeniósł go gdzie indziej, jak najdalej stąd. Uznaliśmy, że opinia publiczna zwróciła się w większości przeciwko tobie i trudno będzie znaleźć sprzyjających ci przysięgłych.

– Gdzie chcecie przenieść proces?

– Prawo mówi, że sędzia podejmuje tu decyzję według własnego uznania. Znając sędziego Oswalta, myślę, że będzie chciał prowadzić ten proces, a jednocześnie nie ma ochoty podróżować zbyt daleko. Jeśli więc zaakceptuje nasz wniosek, co swoją drogą wcale nie jest takie pewne, przeniesie proces do jakiejś innej miejscowości w obrębie tego dystryktu sądowego. Wniesiemy sprzeciw, ale szczerze mówiąc, wszędzie byłoby lepiej niż tutaj.

– Dlaczego tak uważacie?

– Bo Dexter Bell był popularnym kaznodzieją z dużą parafią i w tym hrabstwie mamy osiem innych kościołów metodystów. Jeśli chodzi o liczebność, metodyści ustępują tu tylko baptystom, co stanowi kolejny problem. Baptyści

i metodyści są jak bliscy kuzyni, Pete, i w różnych trudnych sprawach często idą ręką w rękę. W polityce, prohibicji, radach szkolnych. Można się zawsze spodziewać, że te dwa klany będą maszerować razem.

– Wiem o tym. Ale ja też jestem metodystą.

– Zgoda, i są osoby, które cię wspierają, starzy przyjaciele i tak dalej. Ale większość ludzi ma cię za bezwzględnego mordercę. Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę. Mieszkańcy tego hrabstwa uważają Pete'a Banninga za bohatera wojennego, który z siebie tylko znanych powodów wszedł do kościoła i zamordował bezbronnygo pastora.

– Nie masz tu najmniejszych szans, Pete – dodał Russell, by to podkreślić.

Banning wzruszył ramionami, jakby już się z tym pogodził. Zrobił to, co musiał, i miał gdzieś konsekwencje. Zaciągnął się głęboko papierosem; w pokoju unosiły się już kłęby dymu.

– Dlaczego sądzicie, że w innym hrabstwie będzie inaczej?

– Znasz pastorów w kościołach metodystów w hrabstwach Polk, Tyler albo Milburn? – zapytał John. – Oczywiście, że nie. Te hrabstwa leżą tuż obok, a mimo to znamy bardzo niewielu ludzi, którzy tam mieszkają. I odwrotnie, oni nie będą znali osobiście ani ciebie, ani Dextera Bella.

– Staramy się uniknąć osobistego zaangażowania, Pete – wtrącił Russell. – Rzecz jasna wiele osób czyta tam gazety, ale nigdy nie poznały osobiście ani ciebie, ani Dextera Bella. Skoro was nie znają, mamy większe szanse powściągnąć emocje i zasiać trochę wątpliwości.

– Wątpliwości? – rzucił Pete, lekko zaskoczony. – Opowiedzcie mi o tych wątpliwościach.

– Zaraz do tego dojdziemy – odparł John. – Zgadzasz się, że powinniśmy złożyć wniosek o zmianę miejsca procesu?

– Nie. Jeśli muszę stanąć przed sądem, chcę, żeby proces odbył się właśnie tutaj.

– Och, na pewno będziesz musiał przed nim stanąć, Pete. Jedynym sposobem uniknięcia procesu jest przyznanie się do winy.

– Chcesz, żebym się przyznał?

– Nie.

– To dobrze, bo się do niej nie przyznaję. I nie poproszę o zmianę miejsca procesu. To jest mój dom, zawsze nim był, i jeśli mieszkańcy hrabstwa Ford chcą mnie skazać, niech to się stanie w tym sądzie po drugiej stronie ulicy.

John i Russell wymienili sfrustrowane spojrzenia. Pete odłożył papiery na stolik, nie przeczytawszy ani słowa. Zapalił kolejnego papierosa, założył swobodnie nogę na nogę i spojrzał na Johna, jakby miał mnóstwo czasu i chciał zapytać: „Co dalej?”.

John podniósł swój elaborat i rzucił go z rozmachem na stolik.

– To miesiąc naszej wytężonej prawniczej pracy, który właśnie poszedł na marne – oznajmił.

– I rozumiem, że mam za to wszystko zapłacić – odparł Pete. – Gdybyście mnie wcześniej zapytali, oszczędzilibyście sobie tej roboty. Nic dziwnego, że tak wysoko się cenicie.

John zagotował się w środku, Russell zawrzał, a Pete wypuścił z ust obłoczek dymu.

– Słuchajcie, chłopcy, nie mam nic przeciwko opłatom za obsługę prawną – podjął. – Zwłaszcza że jestem w takich opałach. Ale czy to musi być aż pięć tysięcy? Tak, uprawiam te swoje czterysta hektarów, co oznacza, że przez osiem miesięcy haruje na polu trzydziestu robotników, i jeżeli dopisuje mi szczęście, sprzyja pogoda, ceny nie spadają, nawożenie daje efekty, kwieciak bawełniany trzyma się z daleka i jest wystarczająco dużo zbieraczy, to co trzy albo cztery lata uzyskuję obfite zbiory i po odliczeniu wszystkich kosztów zarabiam może dwadzieścia tysięcy. Z czego połowa trafia do Florry. Mnie zostaje dziesięć. A wy chcecie zabrać połowę tego?

– Twoje wyliczenia są zaniżone – stwierdził bez wahania John. Jego rodzina zbierała więcej bawełny niż Banningowie. – Nasz kuzyn miał w tym roku bardzo dobre zbiory, podobnie jak ty.

– Jeśli kwestionujesz wysokość naszego honorarium – powiedział Russell – to możesz się zwrócić do kogoś innego. Staramy się po prostu zrobić wszystko, żeby ci pomóc.

– Dajcie spokój, chłopcy – rzucił Pete. – Zawsze dbaliście o mnie i moją rodzinę. Nie kwestionuję sumy, której ode mnie żądacie, ale pewnie trochę potrwa, zanim ją zgromadzę.

Zarówno John, jak i Russell podejrzewali, że Pete mógłby im bez trudu wypisać czek, ale był plantatorem i jak wszyscy plantatorzy miał węża w kieszeni. Przy tym głęboko mu współczuli, bo było jasne, że nigdy już nie będzie uprawiał ziemi i albo umrze wkrótce na krześle elektrycznym, albo o wiele później w jakimś okropnym więziennym szpitalu. Jego przyszłość malowała się w czarnych barwach i nie mogli go winić, że próbuje zaoszczędzić trochę grosza.

Do drzwi zapukała sekretarka i weszła z eleganckim kawowym serwisem. Nalała im kawy do porcelanowych filiżanek i zapytała, kto życzy sobie śmietanki lub cukru. Pete starannie zamieszał łyżeczką kawę, upił trochę i zgasił papierosa.

– Dobrze, kontynuujmy – powiedział John po wyjściu sekretarki. – Mamy kolejny wniosek, który musimy przedyskutować. Nasza jedyna linia obrony opiera się na tym, że byłeś czasowo niepoczytalny. Jeśli przysięgli... co jest bardzo mało prawdopodobne... uznają cię za niewinnego, stanie się to tylko wtedy, gdy zdołamy ich przekonać, że pociągając za spust, nie byłeś w pełni władz umysłowych.

– Mówiłem już, że tego nie chcę.

– A ja cię dobrze słyszałem, Pete, ale tu nie chodzi o to, czego chcesz lub nie chcesz. Chodzi o to, co możemy zrobić. Niepoczytalność to jedyny argument, który nam pozostał. Koniec kropka. Jeśli go nie wykorzystamy, pozostanie nam wyłącznie siedzieć na sali rozpraw i patrzeć, jak prokurator roznosi cię na strzępy. Tego właśnie chcesz?

Pete wzruszył ramionami, jakby mało go to obchodziło.

– Róbcie, co musicie, ale ja nie będę udawał psychicznie chorego – oświadczył.

– Znaleźliśmy w Memphis psychiatrę, który chce cię zbadać i będzie zeznawał na procesie na twoją korzyść – wtrącił Russell. – Jest dobrze znany i bardzo skuteczny w takich sytuacjach.

– Cóż, musi być nieźle szurnięty, skoro chce mnie uznać za wariata – stwierdził z uśmiechem Pete, jakby powiedział coś dowcipnego.

Żaden z adwokatów się nie uśmiechnął. John upił łyk kawy, a Russell zapalił kolejnego papierosa. W powietrzu prócz gęstego dymu papierosów czuć było rosnące napięcie. Prawnicy dawali z siebie wszystko, ale klient najwyraźniej nie doceniał, jak bardzo się starają, i nie rozumiał, w jak trudnej znalazł się sytuacji.

John ponownie odchrząknął i zmienił pozycję w fotelu.

– A zatem, podsumowując, Pete: nie mamy żadnej linii obrony, żadnego motywu, żadnego wyjaśnienia tego, co się stało, i najmniejszej szansy, by przenieść proces w mniej wrogie środowisko. I to ci w ogóle nie przeszkadza?

Pete wzruszył ramionami i nie odezwał się.

John zaczął masować czoło, jakby rozboleła go głowa. Przez dłuższą chwilę panowało milczenie.

– Jest jeszcze jedna rzecz, Pete, o której powinieneś wiedzieć – odezwał się w końcu Russell. – Poszperaliśmy trochę w przeszłości Dextera Bella i znaleźliśmy coś interesującego. Osiem lat temu, kiedy był pastorem w małym miasteczku w Luizjanie, mieli tam z nim jakieś problemy. W kościele pracowała sekretarka, dwudziestoletnia, świeżo po ślubie, i podobno doszło do czegoś między nim a tą dziewczyną. Było dużo plotek i mało potwierdzonych faktów, ale Bella wkrótce potem wysłano gdzie indziej. A sekretarka i jej mąż przenieśli się do Teksasu.

– Oczywiście nie drążyliśmy głębiej – dodał John. – I być może nie uda się stwierdzić nic pewnego. Wygląda na to, że sprawę dość skutecznie zamieciono pod dywan.

– Czy to może wypłynąć podczas procesu? – zapytał Pete.

– Nie bez dodatkowych dowodów. Chcesz, żebyśmy się tym zajęli?

– Nie, nie w moim imieniu. Nie może być o tym mowy na moim procesie.

– Mogę wiedzieć dlaczego? – John zmarszczył czoło. – Nie pozwalasz nam w żaden sposób sobie pomóc, Pete.

Russell przewrócił oczami i miał chyba ochotę wyjść z gabinetu.

– Powiedziałem „nie” – oznajmił Pete. – I więcej do tego nie wracamy.

Dowody na to, że Dexter Bell oglądał się za kobietami, prawdopodobnie odrzucono by w sądzie, ale zapewne pomogłyby wyjaśnić motyw zbrodni. Jeśli pastor rzeczywiście był kobieciarzem i jeśli zwrócił na siebie uwagę Lizy Banning, kiedy opłakiwała zaginionego męża, to wielka tajemnica zostałaby rozwiązana. W tym momencie nie ulegało jednak wątpliwości, że Banningowi nie zależy na jej ujawnieniu. Chciał zabrać swój sekret do grobu.

– No cóż, Pete, to będzie chyba bardzo krótki proces – podsumował John Wilbanks. – Nie powołaliśmy żadnych świadków, nie mamy żadnej linii obrony i żadnych argumentów, które moglibyśmy przedstawić przysięgłym. Wszystko zakończy się w ciągu kilku dni.

– Jeśli nie szybciej – mruknął Russell.

– Trudno – odparł Pete.

Rozdział 11

Trzy dni przed Bożym Narodzeniem Joel wsiadł do pociągu na Union Station w centrum Nashville. W wagonie restauracyjnym czekała na niego jego urocza elegancka siostra. Stella, tylko osiemnaście miesięcy młodsza od brata, miała teraz dziewiętnaście lat, ale w ostatnim semestrze zmieniła się z dorastającej nastolatki w piękną młodą kobietę. Stwierdził, że trochę urosła, i nie mógł nie zauważyć, że jej kształty przyjemnie się zaokrągliły. Wydawała się starsza, pełniejsza i mądrzejsza, a kiedy zapaliła papierosa, miał wrażenie, że widzi jakąś popularną aktorkę filmową.

– Kiedy zaczęłaś palić? – zapytał.

Pociąg wyjeżdżał już z miasta, kierując się na południe. Na stole przed nimi stały filiżanki z kawą. Kelnerzy zbierali zamówienia na lunch.

– Paliłam ukradkiem od szesnastego roku życia. Tak samo jak ty – odparła. – W college’u większość dziewcząt przestaje się z tym kryć po dwudziestce, choć wciąż jest to niemiło widziane. Miałam nawet zamiar rzucić palenie, kiedy nagle ojciec dostał amoku. Teraz palę więcej niż kiedykolwiek, żeby uspokoić nerwy.

– Powinnaś z tym skończyć.

– A ty?

– Też muszę rzucić. Cudownie cię widzieć, siostrzyczko. Nie zaczynajmy naszej krótkiej przejażdżki od rozmowy o ojcu.

– Krótkiej? Jestem w podróży od sześciu godzin. Wyjechałam z Roanoke o piątej rano.

Zamówili lunch i mrożoną herbatę i przez godzinę rozmawiali o studiach: o kursach, na które uczęszczali, o ulubionych profesorach, o koleżankach i kolegach, a także o tym, jak trudno udawać, że wszystko jest w porządku, gdy ma się oboje rodziców pod kluczem. Kiedy zorientowali się, że przeszli na sprawy rodzinne, natychmiast zmienili temat i zaczęli mówić o planach na nadchodzący rok. Joela przyjęto już na wydział prawa na Uniwersytecie Vanderbilta, ale chciał zmienić otoczenie. Przyjęto go również na Ole Miss, lecz ten uniwersytet dzieliła tylko godzina drogi od Clanton i biorąc pod uwagę okoliczności, znajdował się zdecydowanie zbyt blisko domu.

Stella była w połowie drugiego roku studiów i chciała iść dalej. Podobało jej się w Hollins, ale marzyła o anonimowości wielkiego miasta. Tutaj wszyscy ją znali, a teraz wiedzieli o jej ojcu. Chciała, by w jej życiu pojawili się obcy ludzie, ktoś, kto jej nie znał i kogo nie obchodziło, skąd pochodzi. Na odcinku miłosnym niewiele się działo. Podczas ferii Dnia Dziękczynienia poznała w Waszyngtonie pewnego chłopaka i poszła z nim dwa razy na tańce i raz do kina. Studiował w Georgetown, miał miłą rodzinę, wydawał się grzeczny i dobrze wychowany i pisał do niej listy, ale chyba między nimi nie zaiskrzyło. Poczekaj z miesiąc albo dwa i złamie mu serce. U Joela wyglądało to jeszcze mniej ciekawie. Kilka randek, ale żadna warta wzmianki. Stwierdził, że nie jest dobrą partią, skoro ma w perspektywie trzy kolejne lata studiów na wydziale prawa. Zawsze zarzekał się, że pozostanie kawalerem do trzydziestych urodzin.

Jakkolwiek się starali, nie mogli nie poruszyć oczywistych tematów. Joel poinformował ją, że trzy tygodnie przed zabójstwem ojciec przepisał na nich oboje całą ziemię. Być może wydawało mu się to sprytnym posunięciem, ale w gruncie rzeczy postąpił bardzo głupio. Prokuratura uzna to za dowód, że dokładnie zaplanował swoją zbrodnię i podjął

określone kroki, by chronić plantację. Joel spędził trochę czasu w bibliotece wydziału prawa i im bardziej zagłębiał się w prawnicze niuanse, tym czarniejsza rysowała się przed nimi przyszłość. Zdaniem jego znajomego, którego ojciec był prawnikiem, należało liczyć się z tym, że Jackie Bell pozwie Pete'a Banninga o odszkodowanie za zabicie jej męża. To skłoniło Joela do dokładnego przestudiowania podobnych pozwów. Zainteresował się również tematem nieuczciwych transferów własności. Przekazanie im ziemi przez ojca mogło zostać zaskarżone przez prawników Jackie Bell. W całym kraju obowiązywało jednolite prawo, na mocy którego osoba zagrożona pozwami cywilnymi nie mogła ukrywać ani przekazywać swojej własności, by uchylić się przed uzasadnionymi roszczeniami.

Joel pokładał jednak nadzieje w Wilbanksach, nie tylko dlatego, że byli znakomitymi prawnikami, ale też dlatego, że mieli polityczne wpływy. Widział, że Stellę przeraziło to, że mogą stracić ziemię. Już wcześniej przeżyła horror, sądząc, że straciła ojca. Nie miała pojęcia, co będzie z matką. A teraz to – ryzyko, że stracą wszystko. W którymś momencie stanęły jej w oczach łzy. Joel zdołał ją uspokoić, mówiąc, że każde roszczenie można negocjować. Zresztą mieli teraz na głowie ważniejsze sprawy. Za dwa tygodnie rozpocznie się proces ojca. I zgodnie z tym, co nakazał, jego dzieciom nie wolno było pojawić się w pobliżu sądu.

Po lunchu przeszli do prywatnego przedziału i zamknęli za sobą drzwi. Byli już w stanie Missisipi; pociąg zatrzymywał się w takich miastach jak Corinth i Ripley. Stella ucięła sobie godzinną drzemkę.

Wracali do domu, bo w końcu wezwał ich tam ojciec. W liście dokładnie określił zasady, jakich mieli przestrzegać: przyjazd dwudziestego drugiego grudnia, najwyżej trzy noce w domu, unikanie wizyt w mieście, absolutny zakaz zbliżania się do kościoła, ograniczone kontakty ze znajomymi, żadnych rozmów z kimkolwiek o sprawach rodziny. Mieli spędzić cały

czas z Florry, a on postara się zorganizować spotkanie z nimi, choć zapewne nie będzie zbyt długie.

Florry też do nich jak zwykle napisała, zapowiadając, że ma własne plany i szykuje dużą niespodziankę. Oczekiwała ich na stacji w Clanton, gdy przyjechali tam o zmroku. Była w jasnozielonej sukni, wielkiej jak namiot, długiej do kostek, połyskującej w przyćmionych światłach peronu. Na głowie miała czerwoną fedorę, którą odważyłby się włożyć tylko cyrkowy klaun, a na szyi pobrzękujący przy każdym ruchu naszyjnik z jarmarcznych świecidełek. Ujrawszy Stellę, rzuciła się ku niej z krzykiem i zamknęła ją w niedźwiedzim uścisku. Podczas tej szarży Joel rozglądał się na boki, a kiedy ciotka dopadła i jego, spostrzegł, że ma łzy w oczach. Stella też płakała. Wszyscy troje stali przez chwilę w objęciach, mijani przez innych pasażerów.

Dzieci wróciły do domu. Ich rodzina była w rozsypce. Szukali w sobie wzajemnie oparcia. Co, na litość boską, zgotował im Pete?

Joel niósł walizki, a kobiety szły pod rękę i paplały jedna przez drugą. Nadal z ożywieniem rozprawiając, wsunęły się na tylne siedzenie lincolna, model 1939. Florry przerwała rozmowę z bratanicą tylko na chwilę, by poprosić Joela, żeby to on prowadził. Nie miał nic przeciwko temu. Po kilku przejazdach z ciotką wiedział, czym to grozi. Ledwie wyjechali z Clanton, wcisnął gaz do dechy, przekraczając wszelkie ograniczenia prędkości.

Kiedy pędzili drogą numer osiemnaście, teraz kompletnie pustą, Florry poinformowała ich, że zatrzymają się nie u siebie, lecz u niej. Jej różowy domek zdobiły bożonarodzeniowe dekoracje, w kominku palił się ogień i pachniało wypiekami Marietty. Ich dom był pusty, zimny i pogrążony w mroku, bez jednego świątecznego akcentu, a poza tym, zdaniem Marietty, Nineva była w depresji i pałętała się po pokojach, płacząc i mówiąc do siebie.

Gdy Joel skręcił w ich podjazd, w aucie zapadła cisza. Podjechali do jedyne go domu, jaki on i Stella kiedykolwiek

znali. Był rzeczywiście pogrążony w mroku i martwy, jakby ludzie, którzy tu dawniej mieszkali, umarli. Kiedy zatrzymał auto, światła przednich reflektorów padły na okna od frontu. Zgasił silnik i przez chwilę nikt nic nie mówił.

– Nie wchodźmy tam – wymamrotała w końcu Florry.

– Rok temu zjechaliśmy tu wszyscy na Boże Narodzenie – powiedział Joel. – Tato wrócił z wojny. Mama była taka szczęśliwa i piękna. Krzątała się po domu, nie mogąc się nacieszyć, że rodzina jest znowu razem. Pamiętacie naszą wigilijną wieczerzę?

– Tak, w domu było pełno gości – szepnęła Stella. – A wśród nich Dexter i Jackie Bellowie.

– Co się z nami, do diabła, stało?

Na to pytanie nie było odpowiedzi i nikt nie próbował jej udzielić. Przy domu stał pick-up Pete'a, a obok ich rodzinny sedan, kupiony jeszcze przed wojną pontiac. Auta, zaparkowane tam gdzie trzeba, zdawały się wskazywać, że ich właściciele są w środku i szykują się do snu, jakby w domu Banningów wszystko było w porządku.

– No już, starczy tego dobrego – rzuciła Florry. – Nie będziemy się tu mazgać. Zapalaj silnik i jedźmy. Marietta trzyma na kuchni garnek z chili i piecze ciasto karmelowe.

Joel cofnął auto i ruszył zwirowaną drogą, która biegła szerokim łukiem dokoła budynków gospodarskich Banningów. Po drodze minęli mały biały domek, w którym od dziesięcioleci mieszkali Nineva i Amos. Palilo się w nim światło; Mack, pies Pete'a, obserwował ich z werandy.

– Co słyhać u Ninevy? – zapytała Stella.

– Jak zawsze marudna – odparła Florry. Jej wojny podjazdowe z gospodynią Pete'a zakończyły się wiele lat wcześniej, kiedy obie postanowiły ignorować się wzajemnie. – Prawdę mówiąc, zamartwia się, jak wszyscy. Nikt nie wie, jaka nas czeka przyszłość.

– Kto z nas się nie zamartwia... – mruknęła Stella.

Jechali powoli w ciemności, pośród bezkresnych pól. Joel nagle zatrzymał się i wyłączył silnik i światła.

– Dobrze, ciociu Florry – powiedział, nie odwracając się. – Jesteśmy teraz w środku głuszy i nikt nas nie podsłucha. Tylko my troje, po raz pierwszy razem. Zawsze wiedziałaś więcej niż którekolwiek z nas, więc wyjaśnij nam: dlaczego ojciec zabił Dextera Bella? Musiał być jakiś ważny powód i ty go znasz.

Florry nie odpowiadała bardzo długo. Im dłużej trwało jej milczenie, tym bardziej Joel i Stella spodziewali się jakiejś rewelacji. Nareszcie ciotka wyjawi im tajemnicę i nada sens temu, co było bezsensowne.

– Bóg mi świadkiem, że nie wiem – odezwała się w końcu. – Po prostu nie mam pojęcia i nie wydaje mi się, żebym kiedykolwiek to zrozumiała. Wasz ojciec zabierze chyba ten sekret do grobu.

– Czy tato był o coś wściekły na Dextera? Czy spierali się o jakieś kościelne sprawy?

– Z tego, co wiem, nie.

– Czy prowadzili ze sobą jakieś interesy? Pewnie to śmiesznie brzmi, ale odpowiedz, proszę. Chcę wyeliminować możliwe źródła konfliktów.

– Dexter był kaznodzieją – odparła Florry. – Nic mi nie wiadomo o żadnych interesach.

– Wracamy zatem do oczywistego motywu, prawda? Jedynym powodem konfliktu między tatą a Bellem mogła być nasza mama. Pamiętam pierwsze dni, kiedy myśleliśmy, że tato nie żyje. W domu roіło się od ludzi, było ich tylu, że uciekałem i godzinami włóczyłem się po polach. I pamiętam, że Dexter bardzo często nas odwiedzał i siedział z mamą. Modlili się, czytali Biblię i czasami siadałem razem z nimi. To było straszne i wszyscy byliśmy wstrząśnięci, ale pamiętam, że Dexter starał się dodawać nam otuchy. Prawda, Stello?

– O tak, zachowywał się fantastycznie. Stale z nami był. Czasami przyjeżdżała z nim żona, ale ona nigdy nas tak mocno nie wspierała. Po pierwszym szoku ludzi pojawiało się coraz mniej i wszystko jakby wróciło do normy.

– Trwała wojna – przypomniała im Florry. – Ludzie ginęli każdego dnia. Udało nam się jakoś pozbierać. Nadal mieliśmy

nadzieję, nadal dużo się modliliśmy, ale trzeba było się zająć codziennymi sprawami. Mój Boże, musieliśmy przecież żyć dalej.

– Pytanie brzmi, jak długo Dexter tu przyjeżdżał – mruknął Joel. – To właśnie chciałbym wiedzieć.

– Nie mam pojęcia, Joel, i nie podoba mi się twój ton. Jest oskarżycielski, a ja nie zrobiłam nic złego i niczego nie ukrywam.

– Chcemy po prostu poznać odpowiedzi na nurtujące nas pytania.

– Być może nie ma żadnych odpowiedzi. A może po prostu ich nie poznamy, bo życie jest pełne tajemnic. Nigdy nie podejrzewałam o nic waszej matki i Dextera Bella. W gruncie rzeczy sama sugestia, że coś mogło się między nimi dziać, jest dla mnie szokująca. Nie słyszałam, żeby Marietta, Nineva czy w ogóle ktokolwiek wspomniał coś na ten temat.

Florry umilkła i przez chwilę łapała oddech.

– Jedźmy, Joel – poprosiła Stella. – Robi mi się zimno.

Ale on nawet nie zbliżył dłoni do stacyjki.

– Z drugiej strony – podjęła Florry – nigdy nie byłam w zażyłych stosunkach z waszą matką, a już na pewno nie z Ninewą. Nie wyobrażam sobie, jak Pete mógł żyć pod jednym dachem z tymi dwiema kobietami, ale to w końcu nie mój interes.

Joel miał ochotę odpowiedzieć, że z tego, co pamięta, atmosfera w domu, w każdym razie przed wojną, była całkiem miła. A Stella pomyślała, choć nigdy nie powiedziałaaby tego na głos, że to ciotka Florry była najczęściej źródłem rodzinnych kłopotów. Ale to też dotyczyło okresu przed wojną, kiedy jej rodzice byli cali i zdrowi.

Joel uszczypnął się w grzbiet nosa.

– Musisz zrozumieć, że nie oskarżam o nic matki. Na pewno nie mam żadnych dowodów, ale okoliczności sprawiły, że zadaję sobie takie pytania.

– Mówisz zupełnie jak adwokat – stwierdziła Stella.

– Na litość boską, Joel, na zewnątrz jest zimno, minus dwa stopnie, i zaraz tu zamarznę – parsknęła Florry. – Jedźmy.

* * *

W samo południe w Wigilię, gdy Nineva krzątała się w kuchni, przygotowując co najmniej pięć potraw jednocześnie, a Joel i Stella droczyli się z nią i próbowali za wszelką cenę ją rozśmieszyć, zadzwonił telefon. Joel pierwszy złapał za słuchawkę – to był Nix Gridley. Czekali na telefon od niego. Wysłuchawszy szeryfa, Joel poinformował Stellę, że ich ojciec będzie w domu mniej więcej za godzinę, po czym wyszedł, żeby przywieźć ciotkę Florry.

Dziesięć tygodni w więzieniu dałoby w kość każdemu, ale Pete Banning postarzał się bardziej, niż można by się spodziewać. Posiwiwały mu włosy, a w kącikach oczu pojawiły się zmarszczki. Mimo zaanektowania przez Florry więziennej kuchni, udało mu się jeszcze bardziej schudnąć. Oczywiście dla niektórych więźniów dziesięć tygodni w pace oznaczałoby, że zostało im mniej odsiadki. Ktoś taki jak Pete nie mógł na to liczyć; stąd brak nadziei i brak powodów, by nie upadać na duchu. Tak czy inaczej, dokona żywota za kratami, daleko od domu. Poza tym śmierć miała dla niego pewne plusy. Jeden był natury fizycznej: już do końca życia miał odczuwać ból, chwilami bardzo dotkliwy, i nie była to miła perspektywa. Drugi odnosił się raczej do sfery ducha: wciąż tkwiły mu w pamięci obrazy niewysłowionego ludzkiego cierpienia i czasami to brzemie doprowadzało go na skraj obłędu. Codziennie starał się za wszelką cenę o tym wszystkim zapomnieć, ale rzadko mu się to udawało.

Zastanawiając się nad przyszłością, doszedł do wniosku, że będzie to chyba jego ostatnie Boże Narodzenie. Powiedział o tym szeryfowi i przekonał go, by zorganizował mu krótką wizytę w domu. Nie widział dzieci od wielu miesięcy i mógł ich już nigdy nie zobaczyć. Nix Gridley do pewnego stopnia

mu współczuł, ale nie mógł też nie pomyśleć o dzieciach Bella, które nigdy już nie zobaczą ojca. W miarę jak mijały tygodnie i zbliżał się początek procesu, coraz wyraźniej widział, że opinia publiczna w hrabstwie obraca się przeciwko Banningowi. Podziw, jakim ten cieszył się ledwie rok wcześniej, stopniał bardzo szybko. Jego proces też zapowiadał się na szybki.

Tak czy inaczej, Gridley zgodził się na krótką wizytę Pete'a w domu: miała trwać najwyżej godzinę. Inni więźniowie nie mogli liczyć na taką wyrozumiałość i Pete'owi nie wolno było zdradzić żadnemu z nich, dokąd się wybiera. W cywilnych ciuchach zajął miejsce z przodu, obok Gridleya, i podczas jazdy jak zwykle się nie odzywał, tylko patrzył na puste pola. Kiedy zatrzymali się za jego pick-upem, szeryf z początku upierał się, że zostanie w samochodzie, ale Pete nie chciał o tym słyszeć. Na dworze było zimno, a w domu czekała gorąca kawa.

Przez pół godziny Pete siedział przy kuchennym stole, mając po jednej stronie Joela, a po drugiej Stellę i Florry. Nineva stojąc przy kuchennym blacie, wycierała naczynia, ale nie brała udziału w rozmowie. Pete był odprężony, szczęśliwy, że spotkał się z dziećmi, i zadawał im setki pytań o szkołę i plany na przyszłość.

Szeryf siedział sam w salonie, popijając kawę, przerzucając kartki czasopisma rolniczego i zerkając co chwila na zegar. Była przecież Wigilia i musiał jeszcze zrobić zakupy.

Pete z dziećmi przeszedł w końcu z kuchni do małego gabinetu i zamknął drzwi, żeby mogli porozmawiać tylko we troje. On i Stella usiedli na małej sofie, a Joel na drewnianym krześle. Kiedy ojciec zaczął mówić o procesie, Stella z trudem hamowała łzy. Nie miał nic na swoją obronę i spodziewał się szybkiego wyroku. Nie wiedział tylko, czy ława przysięgłych opowie się za karą śmierci, czy za dożywociem. Było mu wszystko jedno. Pogodził się już z losem i był gotów ponieść karę.

Stella rozplakała się na dobre, ale Joel miał do niego kilka pytań. Ojciec uprzedził, że jest jedno pytanie, którego nie wolno im zadać: dlaczego zrobił to, co zrobił? Miał ważne powody, ale była to sprawa między nim a Dexterem Bellem. Wielokrotnie przeprosił ich za wstyd i udrękę, jakich im przysporzył, za hańbę, jaką okrył ich nazwisko. Prosił oboje o wybaczenie, ale oni nie byli na to gotowi. Nie mogli się na to zdobyć, dopóki w jakiś sposób nie wyjaśni im tego, co się stało. Poza tym był przecież ich ojcem, więc co byłoby warte ich wybaczenie? I jak mogli wybaczyć, skoro grzesznik wciąż nie wyjawiał swoich motywów? Wszystko to było strasznie zagmatwane i wyczerpujące emocjonalnie, tak że nawet Pete uрониł kilka łez.

Kiedy minęła godzina, Nix Gridley zapukał do drzwi i krótkie rodzinne spotkanie dobiegło końca. Pete poszedł z szeryfem do policyjnego auta i ruszyli z powrotem do aresztu.

* * *

Jackie Bell, mając na względzie dobro dzieci, zabrała je do kościoła na wigilijne nabożeństwo. Usiedli przy dziadkach, którzy z uśmiechem i dumą zerkali na małą, pozbawioną ojca rodzinę. Jackie zajęła miejsce przy końcu ławki, a dwa rzędy za nią usiadł Errol McLeish, raczej marnotrawny metodysta, w kościele pojawiający się nader rzadko. Rozmawiając z nim wcześniej, napomknęła, że wybiera się na nabożeństwo, i Errol też przypadkiem tam zajrzał. Absolutnie jej się nie narzucał, po prostu czujnie obserwował ją z oddali. Była straszliwie zraniona, czemu nikt nie mógł się dziwić, a on miał dość rozumu, by szanować jej żalobę. Wiedział, że kiedyś się skończy.

Po nabożeństwie Jackie i dzieciaki pojechały do dziadków na długą wigilijną wieczerzę, po której opowiadali sobie różne historie przy kominku. Dzieci rozpakowały prezenty, a Jackie

zrobiła im zdjęcia kodakiem. Było późno, gdy wrócili do swojego wynajmowanego domu. Jackie położyła dzieci do łóżek i przesiedziała godzinę przy choince, popijając ciepłe kakao, słuchając kolęd z gramofonu i próbując opanować targające nią emocje. Dexter powinien tu być, dzielić z nią te chwile i cicho składać zabawki. Jak to się stało, że została wdową w wieku trzydziestu ośmiu lat? A poza tym, i było to pytanie o wiele ważniejsze, jak miała utrzymać tę trójkę wspaniałych dzieci, śpiących po drugiej stronie korytarza?

W ciągu dziesięciu ostatnich lat często bała się, że jej małżeństwo nie przetrwa próby czasu. Dexter kochał kobiety i stale się za nimi oglądał. Wykorzystując swój urok osobisty, charyzmę i pozycję duszpasterza, często manipulował młodszymi parafiankami. Nigdy nie złapano go na gorącym uczynku i nigdy do niczego się nie przyznał, ale ciągnęły się za nim podejrzenia. Clanton było czwartym miejscem, w którym pełnił posługę, drugim, gdzie sprawował funkcję pierwszego pastora, i Jackie obserwowała go baczniej niż kiedykolwiek. Dopóki nie miała twardych dowodów, nie dążyła do konfrontacji, ale wiedziała, że ten dzień kiedyś nadejdzie. Albo i nie. Czy ośmieliłaby się kiedykolwiek rozbić rodzinę i przechodzić przez piekło rozwodu? Zdawała sobie sprawę, że to ją uznano by za winną. Czy nie łatwiej było pomagać Dexterowi w karierze i cierpieć w milczeniu, starając się chronić dzieci? W chwilach samotności często biła się z myślami.

A teraz wszystkie te dylematy okazały się nieważne. Była samotna, bez piętna rozwódki. Jej dzieci były psychicznie poranione, ale cały kraj dźwigał się z wojny, w której zginęło pół miliona Amerykanów. Wiele innych rodzin też zostało okaleczonych i z trudem wiązało koniec z końcem.

Wyglądało na to, że Dexter zbałamucił w końcu niewłaściwą kobietę, choć Jackie nigdy nie podejrzewałaby o to Lizy Banning. Z całą pewnością była dość ładna i wrażliwa. Jackie nie zauważyła wprawdzie nic podejrzanego,

ale kiedy mąż ogląda się za spódniczkami, każda ładna kobieta staje się potencjalnym celem.

Otarła łzę z oka. Tak bardzo brakowało jej Dextera. Wiedziała, że zawsze będzie go kochać, i ta głęboka miłość sprawiała, że jej podejrzania były jeszcze boleśniesz. Nienawidziła go za to i czasami nienawidziła samej siebie, bo nie okazała się dość silna i nie odeszła. Ale przecież to wszystko miała już za sobą. Już nigdy nie będzie patrzeć, jak Dexter jedzie do obłożnie chorego, i zastanawiać się, dokąd tak naprawdę się wybiera. Już nigdy nie będzie go podejrzewać, kiedy zamykałby się w gabinecie, by udzielić komuś duchowej pociechy. Nigdy nie będzie się wpatrywać w krągłe tyłeczki młodych parafianek i myśleć o tym, czy on też je zauważył.

Łzy przeszły w szloch, którego nie potrafiła opanować. Czy płakała z rozpacz i gniewu, czy może z poczuciem ulgi? Nie miała pojęcia i nie widziała w tym żadnego sensu. Płyta z kolędami się skończyła i Jackie poszła do kuchni, żeby wziąć coś jeszcze do picia. Na blacie stał wysoki, pokryty czerwonym lukrem tort, który Errol McLeish przywiózł dzieciom na Boże Narodzenie. Ukroiła sobie kawałek, naląła szklanek mleka i wróciła na fotel.

Errol był takim troskliwym mężczyzną.

Rozdział 12

Po solidnym bożonarodzeniowym śniadaniu, składającym się z bekonu, omletów i bułeczek, Joel, Stella i Florry pożegnali się z Mariettą i wszystkimi ptakami, kotami i psami, załadowali bagaże i wsiedli do auta. Za kierownicą ponownie zasiadł Joel; funkcję szofera najwyraźniej miał już pełnić stale, ponieważ żadna z siedzących na tylnej kanapie pań nie zaproponowała, że go zmieni. Obu im nie zamykały się usta i chichocząc głośno, zabawiały swojego kierowcę. Stacja WHBQ z Memphis nadawała wyłącznie kolędy, ale żeby je słyszeć, Joel musiał dać głośniejsze radio. Panie skarżyły się na hałas, on na ich bezustanną paplaninę. Wszyscy zaśmiewali się do łez; zaczęli podróż w szampańskim humorze i z ulgą zostawiali za sobą hrabstwo Ford.

Kiedy trzy godziny później podjechali do imponującej bramy stanowego szpitala psychiatrycznego w Whitfield, nastrój diametralnie się zmienił. Liza trafiła tam siedem miesięcy wcześniej i nie mieli prawie żadnych informacji o jej leczeniu. Pisali do niej listy, jednak nigdy nie dostali odpowiedzi. Wiedzieli, że ojciec rozmawiał z jej lekarzami, ale nie znali treści tych rozmów. Florry, Joel i Stella zakładali, że Liza wie o zamordowaniu Dextera Bella, lecz czy tak jest w istocie, mogli się dowiedzieć, dopiero gdy porozmawiają z lekarzami. Było całkiem możliwe, że chcąc chronić

pacjentkę, nie podzielili się z nią tą straszną wiadomością. W tej kwestii Pete również nie zająknął się ani słowem.

Umundurowany strażnik wpisał ich dane, udzielił im wskazówek i brama wreszcie się otworzyła. W Whitfield mieścił się jedyny w stanie szpital psychiatryczny i jego budynki rozrzucone były na obszarze kilkuset hektarów. Cały ośrodek nazywano kampusem – bardziej przypominał starą wielką posiadłość i otaczały go pola i lasy. Przebywało tu ponad trzy tysiące pacjentów i pięćset osób personelu. Obowiązywała segregacja rasowa: osobne oddziały dla białych i dla czarnych. Joel minął urząd pocztowy, oddział dla gruźlików, piekarnię, staw, pole golfowe i skrzydło, gdzie leczono alkoholików. Słuchając licznych porad z tylnego siedzenia, znalazł w końcu budynek, w którym umieszczono jego matkę, i zaparkował w pobliżu.

Przez chwilę siedzieli w aucie z pracującym silnikiem i wpatrywali się w imponujących rozmiarów gmach.

– Czy wiemy choć w przybliżeniu, jaką postawili jej diagnozę? – zapytała Stella. – Czy to jest depresja, schizofrenia, czy załamanie nerwowe? Czy matka ma myśli samobójcze? Czy słyszy głosy? A może ojciec po prostu chciał się jej pozbyć z domu?

Florry pokręciła głową.

– Tak naprawdę nie mam pojęcia. Jej stan szybko się pogarszał i Pete powiedział, żebym do nich nie przychodziła. Odbyliśmy na ten temat kilka rozmów.

Kłopoty zaczęły się już przy wejściu, kiedy tęga administratorka chciała wiedzieć, czy są umówieni. Owszem, poinformowała ją Florry, dzwoniła dwa dni wcześniej i rozmawiała z panią Fortenberry, kierowniczką budynku numer 41, w którym właśnie się znajdowali. Administratorka odparła, że pani Fortenberry ma dzień wolny, bo jest w końcu Boże Narodzenie. Florry odrzekła, że doskonale wie, co to za dzień. Dwoje towarzyszących jej młodych ludzi to dzieci Lizy Banning, które chcą zobaczyć się z matką w Boże Narodzenie.

Administratorka zniknęła i nie było jej bardzo długo. Wreszcie wróciła z dżentelmenem, który przedstawił się jako doktor Hilsabeck i niechętnie zaprosił ich do małego gabinetu, gdzie były tylko dwa krzesła dla gości. Joel stanął przy drzwiach. Mimo białego lekarskiego fartucha Hilsabeck nie sprawiał na nich wrażenia lekarza, choć oczywiście nigdy wcześniej nie spotkali psychiatry. Miał przylizane włosy, piskliwy głos i rozbiegane oczy i raczej nie wzbudzał zaufania. Zasiadł w fotelu i rozłożył przed sobą papiery.

– Obawiam się, że mamy problem – oświadczył.

Mówił ze szkaradnym północnym akcentem, najwyraźniej traktując ich z góry. A nazwisko Hilsabeck z całą pewnością nie pochodziło z żadnego miejsca na Południu.

– Jaki problem? – zapytała ostro Florry, która w tym momencie stwierdziła, że zdecydowanie nie lubi budynku numer 41 oraz ludzi, którzy w nim pracują.

Hilsabeck uniósł brwi, ale oczy miał nadal spuszczone, jakby unikał kontaktu wzrokowego.

– Nie mogę z państwem rozmawiać na temat tej pacjentki – oznajmił. – Jej prawny opiekun, pan Pete Banning, poinstruował mnie i innych lekarzy, żebyśmy nie omawiali stanu jej zdrowia z nikim poza nim.

– To moja matka! – zawołał z gniewem Joel. – I chcę wiedzieć, jak się czuje.

Lekarz nie zareagował na jego gniewny ton, tylko podniósł jakąś kartkę, jakby zapisano na niej Dekalog.

– To nakaz sądowy z hrabstwa Ford, wydany przez tamtejszego sędziego – powiedział, wpatrując się w tekst i nadal unikając z nimi kontaktu wzrokowego. – Skierowanie do zamkniętego zakładu psychiatrycznego. Wymienia się tutaj Pete’a Banninga jako opiekuna, a Lizę Banning jako jego podopieczną i wyraźnie się zaznacza, że we wszystkich kwestiach dotyczących terapii my, jej lekarze, mamy konsultować się wyłącznie z nim. Wszelkie wizyty członków rodziny i znajomych muszą być zatwierdzone przez Pete’a Banninga. Tak się składa, że pan Banning zadzwonił do

nas wczoraj po południu. Rozmawiałem z nim kilka minut i oświadczył bez ogródek, że nie zgadza się na żadne odwiedziny u swojej podopiecznej. Przykro mi, ale w niczym nie mogę państwu pomóc.

Cała trójka spojrzała na siebie z niedowierzaniem. Dzień wcześniej spędzili z Pete'em całą godzinę w domu Banningów. Joel i Stella pytali go o matkę, ale nie doczekali się żadnej odpowiedzi. Nie wspomnieli, że się do niej wybierają.

– Mówiłaś mu, że tu przyjeżdżamy? – zapytał Joel, piorunując wzrokiem Florry.

– Nie mówiłam. A wy?

– Nie. Rozmawialiśmy o tym i postanowiliśmy nic mu nie mówić.

Hilsabeck zamknął teczkę.

– Naprawdę mi przykro. Decyzja nie należy do mnie.

Stella skryła twarz w dłoniach i zaczęła płakać. Florry poklepała ją po kolanie.

– Oni nie widzieli matki od siedmiu miesięcy – warknęła do psychiatry. – Są chorzy ze zmartwienia.

– Bardzo mi przykro.

– Może powie nam pan chociaż, jak ona się czuje? – odezwał się Joel. – Ma pan przynajmniej tyle przyzwoitości?

Lekarz wstał i zabrał z biurka teczkę.

– Nie jest pan w stanie mnie obrazić. Pani Banning czuje się lepiej. Tyle tylko mogę powiedzieć. A teraz wybaczcie państwo. – Wyszedł z za biurka, ominął stojącego przy drzwiach Joela i przecisnął się na korytarz.

Stella otarła wierzchem dłoni policzki i głęboko zaczerpnęła powietrza. Florry popatrzyła na dziewczynę i wzięła ją za rękę.

– Kawał sukinsyna – syknął przez zaciśnięte zęby Joel.

– O kim mówisz? – zapytała Florry.

– O twoim bracie. Wiedział, że tu przyjedziemy.

– Dlaczego on to robi? – mruknęła Stella.

Pytanie pozostało bez odpowiedzi. Dlaczego? Bo coś przed nimi ukrywał? Może Liza nie była wcale umysłowo chora

i dała się tu wysłać, bo mąż był na nią o coś zły? Znane były takie przypadki. Florry miała przyjaciółkę z dzieciństwa, którą zamknięto w wariatkowie, bo ciężko przechodziła menopauzę.

A może Liza była naprawdę chora? Kiedy okazało się, że Pete zaginął i prawdopodobnie nie żyje, przeszła poważne załamanie nerwowe i być może nigdy się z tego nie podniosła. Ale dlaczego nie dopuszczał do niej własnych dzieci?

Może to on zwariował? Może pomieszało mu się w głowie już na wojnie, a potem coś w nim pękło i zabił Dextera Bella. I próżno było teraz szukać jakiegoś sensu w jego działaniach.

Wzdrygnęli się, słysząc ciche pukanie do drzwi. Kiedy wyszli na korytarz, czekali już tam na nich dwaj nieuzbrojeni strażnicy w mundurach. Jeden z uśmiechem wskazał im wyjście. W asyście mężczyźni opuścili budynek i na ich oczach wsiedli do samochodu i odjechali.

Kiedy mijali staw, Joel zauważył niewielki park z ławkami i altanką i skręcił w tamtą stronę. Bez słowa zatrzymał auto, wysiadł, zatrzasnął drzwi, po czym zapalił papierosa i podszedł do piknikowego stołu pod bezlistnym dębem. Popatrzył na nieruchomą tafłę wody i budynki po drugiej stronie. Wkrótce stanęła przy jego boku Stella. Poprosiła, by poczęstował ją papierosem. Opierając się o stół, przez dłuższą chwilę palili bez słowa. Po jakimś czasie dołączyła do nich Florry. Nie bacząc na chłód, stali tam i rozważali, co robić dalej.

– Powinniśmy wrócić do Clanton, pójść do aresztu, zrobić ojcu awanturę i zażądać, żeby pozwolił nam się spotkać z mamą – powiedział Joel.

– Myślisz, że to coś da? – mruknęła z powątpiewaniem Florry.

– Może tak, może nie. Nie wiem.

– Nie bądź śmieszny – rzuciła Stella. – On zawsze wyprzedza nas o pół kroku. W jakiś sposób zgadł, że tu przyjedziemy. I stoimy tu teraz... gapiąc się na staw, zamiast rozmawiać z mamą. Nie będę teraz wracała do Clanton.

– Ani ja – powiedziała Florry. – Zarezerwowałam pokoje w Dzielnicy Francuskiej i tam właśnie pojedziemy. To moje auto.

– Nie masz prawa jazdy – przypomniał jej Joel.

– Dotąd nigdy mi to nie przeszkadzało. Raz nawet dojechałam do Nowego Orleanu. A potem wróciłam i nikt mnie nie złapał.

– Zasłużyliśmy na trochę rozrywki – poparła ciotkę Stella.

* * *

Pięć godzin później Joel skręcił z Canal w Royal Street. Dzielnica Francuska świętowała Boże Narodzenie; wąskimi chodnikami spieszyły na kolację i do klubów tłumy turystów i nowoorleańczyków. Budynki i latarnie przystrojone były świątecznymi światłami. Na rogu Iberville Joel przystanął przed majestatycznym hotelem Monteleone, najwytworniejszym hotelem w dzielnicy. Boy zabrał ich bagaże, parkingowy odjechał autem Florry, a oni weszli do eleganckiego foyer i znaleźli się w innym świecie.

Trzy lata wcześniej, w środku wojny, kiedy rodzina była pewna, że Pete nie żyje, ale wciąż modliła się o jego powrót, Florry uprosiła Lizę, by na Nowy Rok pozwoliła jej zabrać dzieciaki do Nowego Orleanu. Właściwie zaprosiła również Lizę, lecz ta się wykręciła, mówiąc, że raczej nie jest w świątecznym nastroju. Wsiedli więc bez niej do pociągu, po sześciu godzinach wysiedli w Nowym Orleanie i spędzili trzy niezapomniane dni, włócząc się po Dzielnicy Francuskiej, którą Florry dobrze знаła i uwielbiała. Ich bazą był Monteleone. Kiedy siedzieli pewnego wieczoru w hotelowym barze – Florry popijając gin, Joel sącząc burbona, a Stella jedząc czekoladki – ciotka zdradziła im swoje wielkie marzenie: chciałyby zamieszkać tutaj, w Dzielnicy Francuskiej, daleko od hrabstwa Ford, w innym świecie, w którym pracowali, żyli i wydawali przyjęcia pisarze, poeci

i dramaturdzy. Wyznała, że oddałaby za to wszystko, ale nazajutrz rano przepraszała, że tyle wypiała i wygadywała głupoty.

Kiedy przyjechała tu teraz w dzień Bożego Narodzenia z bratankiem i bratanicą, w foyer przywitał ich ciepło i poczęstował kieliszkiem szampana sam dyrektor. Potwierdzili rezerwację stolika w hotelowej restauracji i pospieszyli do swoich pokoi, żeby się odświeżyć.

Przy koktajlach Florry przedstawiła zasady, których mieli przestrzegać w Nowym Orleanie. Sprowadzały się do jednego: w ciągu następnych czterech dni nie wolno im było rozmawiać na temat rodziców. Już wcześniej wypytała w recepcji, co ciekawego dzieje się w mieście, i mieli sporo rzeczy do zobaczenia: nowy klub jazzowy przy Dauphine Street, broadwayowski spektakl w Moondance i kilka obiecujących nowych restauracji. Poza włączeniem się po dzielnicy, oglądaniem antyków przy Royal Street, podziwianiem ulicznych występów na Jackson Square, popijaniem kawy z cykorią w jednej z tuzina przytulnych kawiarni, robieniem zakupów w Maison Blanche i spacerami wzdłuż nabrzeża w mieście jak zawsze były nowe atrakcje.

Czekała ich też oczywiście długa kolacja w pałacyku przy Chartres Street, u panny Twyli. Twyla była najbliższą przyjaciółką Florry z czasów, które spędziły w Memphis. Była także poetką, która podobnie jak Florry sporo pisała i mało publikowała. Twyla miała nad nią tę przewagę, że dobrze wyszła za mąż. I kiedy mąż młodo ją odumarł, została bogatą wdową, taką, która wolała towarzystwo kobiet niż mężczyzn. Wyjechała z Memphis mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Florry zbudowała różowy domek i wróciła do domu.

W eleganckiej hotelowej restauracji posadzono ich przy jednym z lepszych stolików, pośród świętującego Boże Narodzenie wytwornego towarzystwa. Kelnerzy w białych marynarkach roznosili półmiski z surowymi ostrygami i nalewali do kieliszków zmrożone sancerre. W miarę jak rozluźniało ich wino, zaczęli się nabijać z innych gości i dużo

się śmiali. Florry poinformowała ich, że przedłużyła hotelową rezerwację na cały tydzień. Jeśli mają ochotę, mogą powitać Nowy Rok w wielkiej sali balowej w hotelu.

Hrabstwo Ford było daleko stąd.

Rozdział 13

W poniedziałek, szóstego stycznia 1947 roku, Ernie Dowdle wyszedł o piątej rano ze swojego domku w Lowtown i ruszył w stronę linii kolejowej należącej do Illinois Central. Zgodnie z almanachem, który Ernie trzymał w kuchni, temperatura powinna wynosić około zera stopni. Pogoda, zwłaszcza w zimie, odgrywała ważną rolę w jego pracy.

Wiatr wiał z północnego zachodu i kiedy dwadzieścia minut później Ernie dotarł do budynku sądu, zgrabiały mu palce i stopy. Jak zawsze przystanął i przez chwilę podziwiał stary okazały gmach – największą budowlę w całym hrabstwie – czując przy tym odrobinę dumy. To on właśnie ją ogrzewał, robił to od piętnastu lat i był w tym bardzo dobry.

To nie był zwyczajny dzień. Zaczynał się największy, odkąd sięgał pamięcią, proces karny i sala rozpraw na pierwszym piętrze miała się wkrótce wypełnić ludźmi. Ernie otworzył służbowe drzwi od północnej strony budynku, zamknął je za sobą na klucz, zapalił światło i zszedł po schodach do piwnicy. W kotłowni odprawił zimowy rytuał sprawdzania czterech palników, z których tylko jeden zostawił włączony na weekend. Dzięki temu temperatura w całym budynku nie spadała poniżej pięciu stopni, tak żeby nie popękały rury. Następnie sprawdził wskaźniki przy dwóch zbiornikach oleju opałowego o pojemności tysiąc pięćset litrów każdy. W poprzedni piątek, wiedząc o procesie, całkowicie je

napełnił. Na koniec zdjął płytkę i zajrzał do przewodu kominowego. Upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, włączył pozostałe trzy palniki i czekał, aż w umieszczonym nad nimi kotle zacznie rosnać temperatura.

Siedząc przy stole skleconym z trzech skrzyń po oranżadzie i zerkając na wskaźniki, zaczął jeść placek, który poprzedniego wieczoru upiekła jego żona. Przy tym prowizorycznym stole często jadł śniadanie i lunch, a kiedy nie było akurat nic do roboty, on i dozorca Penrod wyciągali warcaby i rozgrywali jedną albo dwie partie. Teraz nalał sobie czarnej kawy ze starego termosu i popijając ją, pomyślał o panu Banningu. Nigdy nie poznał go osobiście, ale jego kuzyn mieszkał na plantacji Banningów i obrabiał ich pola. W minionych latach, a nawet dziesięcioleciach rodzina Erniego pracowała na roli i jego przodkowie byli w większości pochowani niedaleko plantacji Banningów. Ernie uważał się za szczęściarza, bo udało mu się uniknąć losu parobka. Zamieszkał w mieście i zdobył o wiele lepszą pracę, która nie miała nic wspólnego z uprawą bawełny.

Podobnie jak większość czarnych mieszkańców hrabstwa Ford, śledził z zainteresowaniem całą sprawę. Po zamordowaniu Dextera Bella panowało powszechne przekonanie, że ktoś tak znamienity jak Pete Banning na pewno nie stanie przed sądem. Gdyby zastrzelił z jakiegoś powodu czarnego, nie zostałby nawet aresztowany. Jeśli czarny mężczyzna zamordowałby innego czarnego, sprawiedliwość zostałaby wymierzona w arbitralny sposób, wyłącznie przez białych. Takie rzeczy jak motyw, kryminalna przeszłość czy nietrzeźwość w chwili popełnienia przestępstwa były ważne, ale decydujące było to, u kogo pracował czarny oskarżony. Jeśli u kogoś ważnego, cała sprawa mogła się skończyć na kilku miesiącach w więzieniu hrabstwa. Jeśli był bezrobotny, groziło mu krzesło elektryczne.

Teraz, kiedy stało się jasne, że pan Banning rzeczywiście będzie sądzony przez równych sobie, nikt, przynajmniej

w Lowtown, nie wierzył, że zostanie skazany i ukarany. Miał pieniądze i za te pieniądze mógł wynająć cwanych adwokatów. Mógł przekupić przysięgłych. Mógł wpłynąć na sędziego. Biali wiedzieli, w jaki sposób użyć pieniędzy, by uzyskać wszystko, co chcieli.

Ta sprawa frapowała Erniego zwłaszcza z tego powodu, że nie był w nią zamieszany żaden kolorowy. Nie udało się zwalić winy na żadnego z nich. Nie było czarnych kozłów ofiarnych. Gdy dochodziło do zbrodni, której ofiarą padał ktoś biały, podejrzenia kierowano zwykle na czarnych, lecz nie w tym przypadku. To była po prostu staroświecka zwada między dwoma białymi i Ernie zamierzał jak najuważniej śledzić proces. Jak wszyscy inni, chciał wiedzieć, dlaczego Banning to zrobił. Miał pewność, że chodziło o kobietę.

Skończył jeść placek i spojrzął na wskaźniki. Woda dochodziła powoli do stanu wrzenia. Kiedy temperatura wzrosła do osiemdziesięciu stopni, powoli pociągnął za dźwignię i wypuścił parę, która wypełniła labirynt rur prowadzących do kaloryferów w każdym pomieszczeniu. Zerkając na wskaźniki, przesunął pokrętła palników, po czym zadowolony, wspiął się po służbowych schodach na pierwsze piętro i wszedł przez drzwi znajdujące się za ławą przysięgłych na salę rozpraw, w tym momencie zimną i pogrążoną w mroku. Zapalił jedną lampę – pozostałe miał włączyć dokładnie o siódmej – i przeszedł wzdłuż barierki, a potem wzdłuż ławek do ściany, gdzie czarny żeliwny kaloryfer ze stukotem budził się właśnie do życia. Wypełniała go płynąca z dołu para, wysyłając pierwszą falę ciepła, która łagodziła chłód. Ernie uśmiechnął się. Był dumny, że ogrzewanie, którym zarządzał, działa tak niezawodnie.

Było już wpół do siódmej i biorąc pod uwagę rozmiary wysokiej na dziesięć metrów sali, z jej balkonem i starymi nieszczelnymi oknami, których szyby wciąż pokrywał szron, Ernie oceniał, że podniesienie temperatury do dwudziestu stopni zajmie jego sześciu kaloryferom nieco ponad godzinę. Drzwi na salę rozpraw miały zostać otwarte o ósmej, ale

podejrzewał, że stali pracownicy, a może nawet niektórzy adwokaci zaczną tu wchodzić bocznym wejściem jeszcze wcześniej, pragnąc zobaczyć rozpoczęcie procesu.

* * *

Sędzia Rafe Oswalt przybył do sądu kwadrans przed ósmą. Dozorca Penrod zamiatał właśnie jego gabinet przylegający do sali rozpraw. Wymienili uprzejmości, ale Penrod widział, że sędzia nie ma ochoty na pogawędkę. Chwilę później Ernie Dowdle podszedł, by się przywitać, i zapytał Wysoki Sąd, czy temperatura jest odpowiednia. Była jak zwykle idealna.

Z ramienia obrony pojawili się John Wilbanks i jego brat Russell. Zajęli stół bardziej oddalony od ławy przysięgłych i zaczęli rozkładać na nim grube kodeksy prawne, akta i inne adwokackie utensylia. W eleganckich ciemnych garniturach i jedwabnych krawatach grali rolę bogatych, wziętych adwokatów – i było to coś, czego wszyscy w mieście od nich oczekiwali. Z ramienia prokuratury stawiał się Miles Truitt razem ze swoim asystentem Maylonem Postem, świeżo upieczonym absolwentem prawa Uniwersytetu Missisipi. Truitt i John Wilbanks uścisnęli sobie dłonie i obserwując wypełniający salę tłum, przyjaźnie ze sobą gawędzili.

Nix Gridley przybył z dwoma podwładnymi, Royem Lesterem i Redem Arnettem, wszyscy trzej w czystych, uprasowanych kompletnych mundurach i wypastowanych na błysk butach. Specjalnie na tę okazję szeryf powołał dwóch dodatkowych zastępców, dał im broń i mundury i kazał pilnować porządku na sali rozpraw. Teraz przechadzał się po niej, rozmawiając z urzędniczkami, śmiejąc się z adwokatami i pozdrawiając skinieniem głowy kandydatów do ławy przysięgłych.

Dla publiczności zarezerwowano lewą stronę sali i stojące tam ławki zapełniły się wkrótce po otwarciu drzwi. Wśród

widzów było kilku reporterów, którzy usiedli w pierwszym rzędzie.

Po prawej stronie woźny sądowy, Walter Willy, ulokował tych, którzy zostali wezwani. Spośród zarejestrowanych wyborców sędzia Oswalt i okręgowy urzędnik sądowy wybrali siedemdziesięciu kandydatów do ławy przysięgłych i zawiadomiono ich o tym listownie z dwutygodniowym wyprzedzeniem. Czternastu zostało z różnych powodów zdyskwalifikowanych. Pozostali rozglądali się nerwowo po sali, nie wiedząc, czy powinni czuć się zaszczytzeni z racji tego, że ich wybrano, czy przerażeni, że przyjdzie im wydać werdykt w tak głośnej sprawie. Chociaż w listach, które dostali, nie było mowy, kto będzie sądzony, całe hrabstwo wiedziało, że to Pete Banning. Z pięćdziesięciu sześciu kandydatów tylko jeden zasiadał wcześniej w ławie przysięgłych. W wiejskich rejonach Missisipi rozprawy na pełny gwizdek zdarzały się dość rzadko. Wśród kandydatów, wszystkich białych, były zaledwie trzy kobiety.

Balkon nad salą zapełniał się tylko i wyłącznie czarnymi. Oznaczenia na korytarzach nie pozostawiały wątpliwości, że w budynku obowiązuje segregacja rasowa: osobne były toalety, poidelka, wejścia do gabinetów i na salę sądową. Penrod, cieszący się wysokim statusem, zamiatał podłogę balkonu i wyjaśniał innym, jak działa system prawny. To była jego działka. Śledził już wcześniej kilka procesów i był całkiem dobrze poinformowany. Ernie chodził tam i z powrotem po schodach i zaglądał na balkon, żeby poflirtować z paniami. Bohaterem dnia na balkonie był Hop z kościoła metodystów. Miał zeznawać jako kluczowy świadek oskarżenia i zadbał o to, by wszyscy się o tym dowiedzieli. Życzono mu powodzenia.

Punktualnie o dziewiątej Walter Willy, który pełnił ochotniczo funkcję woźnego sądowego dłużej, niż ktokolwiek pamiętał, przemaszerował przez salę i stanął przed stołem sędziowskim w pozycji na baczność, a właściwie w swojej autorskiej wersji tej pozycji.

– Proszę wstać, sąd idzie! – zaintonował.

Jego piskliwy głos zaskoczył tych, którzy go jeszcze nie słyszeli, i kiedy sędzia Oswalt wyszedł ze swojego gabinetu, wszyscy zerwali się na równe nogi.

Walter Willy odchylił głowę do tyłu i ze wzrokiem utkwionym w suficie jodłował dalej:

– Słuchajcie, słuchajcie, oto zebrał się tu na posiedzeniu sąd okręgowy Dwudziestego Drugiego Dystryktu Sądowego wielkiego stanu Missisipi. Przewodniczy czcigodny sędzia Rafe Oswalt. Każdy, kto szuka przed tym sądem sprawiedliwości, niechaj tu się stawi. Boże, błogosław Ameryce. Boże, błogosław stanowi Missisipi.

Tego rodzaju prezentacja nie była bynajmniej wymagana i jej tekstu próżno by szukać w jakimkolwiek kodeksie, regulaminie, nakazie sądowym czy miejscowym rozporządzeniu. Odkąd przed wielu laty udało mu się objąć stanowisko woźnego – nikt nie pamiętał, jak właściwie do tego doszło – Walter Willy długo doskonalił swoją preambułę i teraz stała się ona przyjętą formą otwarcia posiedzeń. Sędzia Oswalt nie przywiązywał do niej większego znaczenia, ale adwokatów bardzo razila. Bez względu na wagę procesu Walter zawsze tam był i zaczynał posiedzenie od swojego ogłuszającego wezwania.

Kolejnego smaczku dodawał występowi Waltera Willy'ego jego niepowtarzalny mundur. Spodnie i koszula w oliwkowym odcieniu ani trochę nie przypominały tego, co nosili zastępcy szeryfa. Nad kieszonką na piersi matka Waltera wyszyła wielkimi żółtymi literami jego nazwisko, a na rękawach bliżej nieokreślone pagony. Miał także lśniąca złotą odznakę, którą kupił na pchlim targu w Memphis, i gruby czarny pas z nabojami, co mogło sprawiać wrażenie, że najpierw będzie strzelać, a dopiero potem zadawać pytania. Byłoby to jednak wrażenie mylne, ponieważ nie nosił broni. Nix Gridley nie zamierzał go w żadnym wypadku powoływać na zastępcę i nie chciał mieć nic wspólnego z jego klaunadą.

Za to sędzia Oswalt tolerował ją z przymrużeniem oka, bo była nieszkodliwa i dodawała trochę kolorytu ponurej sali sądowej i nudnym procedurom.

– Proszę usiąść – powiedział, po czym usadowił się na swoim fotelu i poprawił spływającą mu z ramion czarną togę. Zmierzył wzrokiem publiczność. Zarówno parter, jak i balkon były pełne. W ciągu siedemnastu lat swojej sędziowskiej kariery nigdy jeszcze nie widział tutaj tylu osób. Odchrząknął.
– Cóż, dzień dobry, witam państwa. Na wokandzie mamy w tym tygodniu tylko jedną sprawę. Szeryfie, czy może pan wprowadzić oskarżonego?

Nix Gridley czekał już przy bocznych drzwiach. Skinął głową, otworzył je i po kilku sekundach pojawił się wraz z Pete'em Banningiem, który szedł powoli, bez kajdanek, wysoki i wyprostowany, z obojętną twarzą i oczami utkwionymi w podłogę. Zdawał się nie zauważać ludzi śledzących każdy jego ruch. Nie znosił krawatów i włożył po prostu ciemną marynarkę na białą koszulę. Zdaniem Johna Wilbanka, garnitur i krawat świadczyłyby o szacunku wobec sądu. Pete zapytał, ilu przysięgłych będzie w garniturach, a kiedy jego obrońca odparł, że prawdopodobnie żaden, sprawa została zamknięta. Tak naprawdę Pete'a nie obchodziło to, co mają na sobie on, przysięgli czy ktokolwiek inny.

Nawet nie spojrzawszy na publiczność, zajął swoje miejsce za stołem obrony, skrzyżował ręce na piersi i popatrzył na sędziego Oswalta.

Florry siedziała w trzecim rzędzie, przy końcu ławki. Obok niej zajęła miejsce Mildred Highlander, jej najlepsza przyjaciółka i jedyna osoba, która chciała jej towarzyszyć. Pete'owi nie spodobał się pomysł, by siostra uczestniczyła w procesie. Był temu kategorycznie przeciwny, ale Florry nic sobie z tego nie robiła. Chciała wiedzieć, co się dzieje, nie tylko ze względu na siebie, ale też by zrelacjonować później wszystko Joelowi i Stelli. Domyślała się również, że Pete nie będzie tam miał nikogo, kto by mu sprzyjał. I nie myliła się.

Gdziekolwiek zerknęła, natykała się na gniewne spojrzenia metodystów.

– Jakie jest stanowisko prokuratury w sprawie wytoczonej Pete’owi Banningowi przez stan Missisipi? – zapytał sędzia Oswalt.

Miles Truitt energicznie podniósł się z krzesła.

– Prokuratura jest gotowa do procesu, Wysoki Sądzie – odparł.

– A co mówi obrona?

John Wilbanks wstał.

– Obrona też jest gotowa – oznajmił.

Kiedy obaj prawnicy usiedli, sędzia spojrział w stronę kandydatów na przysięgłych.

– Wezwaliśmy was tu w liczbie siedemdziesięciu, by skompletować ławę przysięgłych – oświadczył. – Jedna osoba zmarła, trzech nie odnaleziono, a dziesięć, które nie spełniły wymagań, odesłaliśmy do domu. W rezultacie mamy teraz grupę pięćdziesięciu sześciu osób. Woźny poinformował mnie, że wszyscy z tych pięćdziesięciu sześciu są obecni, wszyscy ukończyli osiemnaście lat i nie przekroczyli sześćdziesięciu pięciu, a także nie cierpią na schorzenia, które uniemożliwiałyby im pełnienie funkcji przysięgłego. Wszyscy otrzymaliście numery i zwracając się do was, będziemy ich używać.

Nie było sensu wyjaśniać, że dziesięciu zdyskwalifikowanych kandydatów okazało się w gruncie rzeczy analfabetami i nie potrafiło wypełnić prostego kwestionariusza.

Sędzia Oswalt przełożył kilka papierów, znalazł akt oskarżenia i odczytał go na głos. Według obowiązującego w Missisipi prawa, zarzucane oskarżonemu czyny wyczerpywały znamiona zabójstwa pierwszego stopnia i były zagrożone karą dożywocia albo śmierci na krześle elektrycznym. Sędzia przedstawił czterech prawników i poprosił ich, by wstali. Następnie przedstawił oskarżonego, lecz gdy poprosił go o powstanie z miejsca, Pete zachował się,

jakby tego nie słyszał, i nawet nie drgnął. Sędziego wyraźnie to zirytowało, ale postanowił puścić zniewagę płazem.

To, co zrobił oskarżony, nie było zbyt roztropne i John Wilbanks miał zamiar natrzeć mu uszu podczas pierwszej przerwy. Co takiego miał nadzieję zyskać Pete, nie okazując sędziemu szacunku?

Przechodząc od razu do rzeczy, Oswalt opisał w pompatycznej mowie wstępnej zarówno ofiarę domniemanego zabójstwa, jak i domniemanego zabójcę. W chwili śmierci Dexter Bell był od pięciu lat pastorem kościoła metodystów i jako taki brał czynny udział w życiu społeczności. Był osobą dobrze znaną, podobnie jak oskarżony. Pete Banning urodził się w hrabstwie Ford w poważanej rodzinie, i tak dalej, i tak dalej.

Wygłosiwszy to wprowadzenie, sędzia zapytał kandydatów na przysięgłych, czy któryś z nich nie jest spokrewniony albo spowinowacony z Dexterem Bellem lub Pete'em Banningiem. Nikt nie był. Następnie zapytał, czy ktoś uważa się za przyjaciela Pete'a Banninga. Wstali dwaj mężczyźni. Obaj oświadczyli, że od dawna przyjaźnią się z Pete'em i nie są w stanie go sądzić, bez względu na to, jak poważne okazałyby się zgromadzone dowody. Obu im podziękowano i opuścili salę rozpraw. Sędzia poprosił wtedy o zgłoszenie się osób, które przyjaźnią się z członkami najbliższej rodziny Banninga, to znaczy z Lizą, Florry, Joelem lub Stellą. Zgłosiło się sześć osób. Jeden z młodych ludzi przyznał, że kończył liceum razem z Joelem. Drugi powiedział, że jego siostra przyjaźniła się ze Stellą i że dobrze ją zna. Ktoś inny znał od wielu lat Florry. Sędzia Oswalt szczegółowo wypytał każdego z nich, czy zdołają zachować bezstronność. Wszystkich sześciu zapewniło, że tak, potrafią ją zachować. Trzech kandydatów oznajmiło, że przyjaźnili się z Bellami, ale nie wpłynie to na ich osąd. John Wilbanks raczej w to wątpił i miał zamiar przycisnąć ich później w ciągu dnia.

Świadom tego, jak wciąż bardzo żywe jest wspomnienie wojny, sędzia Oswalt wiedział, że nie zdoła uciec przed tym

tematem. Nie wchodząc w szczegóły, oświadczył, że Pete Banning jest odznaczonym wysokimi orderami oficerem i że trafił podczas wojny do niewoli. Zapytał, ilu wojennych weteranów jest w składzie kandydatów. Zgłosiło się siedmiu mężczyzn; każdego z nich wywołał po nazwisku i dokładnie wypytał. Wszyscy co do jednego stwierdzili, że są w stanie odłożyć na bok swoje sympatie i stosować się do przepisów prawa i poleceń sądu.

Na wojnie zginęło jedenastu mężczyzn z hrabstwa Ford i sędzia Oswalt wraz z okręgowym urzędnikiem sądowym starali się metodycznie wyłączyć członków ich rodzin z puli kandydatów.

Dbając o obiektywność, sędzia Oswalt zapytał, czy są wśród nich członkowie kongregacji Dextera Bella. Zgłosiło się trzech mężczyzn i jedna kobieta i wszyscy zostali z miejsca wykluczeni. W puli zostało pięćdziesiąt osób. Ile z nich należało do innych kościołów metodystów, działających na terenie hrabstwa? Wstało kolejnych pięć osób. Trzy oświadczyły, że miały kiedyś okazję poznać Dextera Bella; dwie, że nigdy go nie spotkały. Oswalt żadnej z nich nie wykluczył.

Zagwarantował każdej ze stron procesowych prawo do usunięcia z puli pięciu osób. Gdyby Johnowi Wilbanksowi nie spodobał się wygląd albo mowa ciała jakiegoś konkretnego metodysty, mógł wyłączyć go ze składu, nie podając powodu. Gdyby Miles Truitt obawiał się, że któryś ze znajomych Banningów zacznie dzielić włos na czworo, mógł skorzystać ze swojego prawa i taka osoba zniknęła. Czterej prawnicy przycupnęli na swoich krzesłach i śledzili każdy uśmiech, zmarszczenie brwi i tik na twarzach kandydatów.

Oswalt wolał mieć pod kontrolą wybór ławy przysięgłych. Inni sędziowie dawali prawnikom więcej swobody, lecz ci za dużo na ogół gadali i próbowali zdobyć przychylność kandydatów. Dzięki właściwym pytaniom Oswalt po godzinie ograniczył pulę do czterdziestu pięciu osób i przekazał pałeczkę Milesowi Truittowi. Ten wstał i szeroko się

uśmiechnął, usiłując sprawiać wrażenie odprężonego. Na początek powtórzył z naciskiem to, o czym mówił już wcześniej sędzia: jeżeli prokuratura udowodni ponad wszelką wątpliwość, że doszło do zabójstwa pierwszego stopnia, ława przysięgłych zostanie poproszona o wydanie wyroku śmierci. Czy na pewno są w stanie to zrobić? Naprawdę skazą Pete'a Banninga na krzesło elektryczne? Jeśli będą przestrzegali prawa, nie mają wyboru. Nie będzie to łatwe, ale czasami przestrzeganie prawa wymaga wiele odwagi. Czy macie tę odwagę?

Truitt spacerował wzdłuż barierki i zdołał całkiem skutecznie uświadomić każdemu z kandydatów, jak trudne jest czekające go zadanie. Kilku miało być może jakieś wątpliwości, ale w tym momencie ich nie zgłaszali. Niepokoił go weterani i podejrzewał, że będą darzyć oskarżonego większą sympatią, niż byli to skłonni przyznać. Wywołał jednego z nich, podziękował mu za służbę dla kraju i przez kilka minut go maglował. Kiedy zadowolili go jego odpowiedzi, przeszedł do następnego.

Selekcja przysięgłych wyraźnie się przeciągała i o wpół do jedenastej sędzia zarządził przerwę na papierosa. Połowa publiczności potraktowała to dosłownie. Ludzie wstawali, przeciągali się i wymieniali półgłosem uwagi. Niektórzy wyszli do toalety, inni musieli wracać do pracy. Wszyscy, zgodnie z instrukcją sędziego, starali się ignorować przysięgłych.

* * *

O godzinie jedenastej John Wilbanks wstał ze swojego miejsca i zmierzył wzrokiem kandydatów na przysięgłych. Wiele z tego, co chciałby powiedzieć, nie mogło paść w tej sali, bo nie życzył sobie tego jego klient. Mecenas zamierzał zasiać ziarno niepewności co do jego zdrowia psychicznego już podczas selekcji przysięgłych, a potem pogłębiać je zeznaniami, które miały być szokujące, smutne, wiarygodne

i przekonujące. Niestety, Pete kategorycznie się temu sprzeciwił. Nie robił nic, by ratować własną skórę, i John nie wiedział, czy powoduje nim jakieś perwersyjne pragnienie śmierci, czy po prostu jest tak bezczelny, że nie wierzy, iż jakakolwiek ława przysięgłych go skaże. Tak czy inaczej, jego obrona była beznadziejnym zadaniem.

John zobaczył już to, co należało, i wiedział, jakich chce przysięgłych. Musiał wyeliminować wszystkich metodystów i liczyć na weteranów. Ale był adwokatem, a żaden adwokat nie oprze się chęci powiedzenia kilku słów, gdy z zapartym tchem słucha go publiczność. Uśmiechnął się ciepło i przyznał, że czuje się szczególnie zaszczycony, mogąc bronić szlachetnego człowieka, który walczył za ojczyznę. Zadał kilka pytań wszystkim kandydatom, następnie zaś skupił się na paru metodystach. Jego uwagi nie służyły odkryciu jakichś uprzedzeń, lecz miały stworzyć przyjazną, pełną zaufania atmosferę.

Kiedy skończył, sędzia Oswalt ogłosił przerwę do godziny czternastej i poprosił widzów o opuszczenie sali. Zajęło to co najmniej kilka minut; czekając, aż ludzie wyjdą, sędzia poradził urzędniczkom i innym ciekawskim pracownikom sądu, by udali się na lunch. Gdy sala opustoszała, popatrzył na obrońcę.

– Widzę, mecenasie, że chciałby mi pan coś oficjalnie zakomunikować.

– Owszem, Wysoki Sądzie... – John Wilbanks wstał – ale wolałbym to zrobić w pokoju sędziego.

– Załatwmy to tutaj. W moim pokoju jest dość ciasno. Poza tym, skoro zwraca się pan do mnie oficjalnie, to sprawa chyba nie jest poufna?

– Chyba nie.

Sędzia dał znak stenotypistce.

– Wszystko, co zostanie tu powiedziane, trafi do protokołu. Proszę mówić, panie Wilbanks.

– Dziękuję, Wysoki Sądzie. Tak naprawdę nie chodzi o wnioski do sądu, bo obrona nie wnosi o żadnego rodzaju

względy. Mimo to, nie chcąc, by powstała jakakolwiek wątpliwość w kwestii obrony mojego klienta, jestem zobowiązany stwierdzić, co następuje. Zaplanowałem dwie strategie, które miały zapewnić mojemu klientowi sprawiedliwy proces. Po pierwsze, zamierzałem poprosić Wysoki Sąd o zmianę miejsca procesu. Byłem i nadal jestem przekonany, że mój klient nie może liczyć na uczciwy proces w tym hrabstwie. Mieszkam tu od urodzenia, podobnie jak mój ojciec i ojciec mojego ojca, i dobrze znam to hrabstwo. Jak mieliśmy się okazję przekonać dziś rano, fakty dotyczące tej sprawy są doskonale znane przyjacielom i sąsiadom Pete'a Banninga i Dextera Bella. Wydaje się niemożliwością wybranie dwunastu osób, które będą bezstronne i wolne od uprzedzeń. Przyjrzałem się uważnie kandydatom i jestem pewien, że wielu z nich nie zdradza swoich prawdziwych uczuć. Prowadzenie tutaj procesu jest po prostu nieuczciwe. Niemniej jednak, kiedy rozmawiałem z moim klientem na temat zmiany miejsca, wyraził on i nadal wyraża silny sprzeciw przeciwko takiemu posunięciu. Chciałbym, by jego stanowisko w tej kwestii zostało zaprotokołowane.

– Czy to prawda, panie Banning? – Sędzia Oswalt spojrzał na Pete'a. – Nie zgadza się pan na wniosek o zmianę miejsca procesu?

Pete wstał.

– Tak, to prawda – przyznał. – Chcę, by odbył się tutaj.

– A zatem postanowił pan zignorować radę swojego obrońcy?

– Nie ignoruję mojego obrońcy. Po prostu się z nim nie zgadzam.

– Dobrze. Może pan usiąść. Proszę kontynuować, panie Wilbanks.

John z irytacją przewrócił oczami i odchrząknął.

– Po drugie, jeszcze ważniejsza, przynajmniej w mojej opinii, jest kwestia właściwej linii obrony. Zamierzaliśmy złożyć wniosek o uznanie naszego klienta za niepoczytalnego, ale on nie chce o tym słyszeć. Chciałem poprosić go o obszerne

zeznania na temat nieludzkich i prawdę mówiąc, niewyobrażalnych warunków, w jakich był więziony podczas wojny. Odnalazłem dwóch biegłych psychiatrów i byłem gotów zwrócić się do nich, by przebadali mojego klienta i zeznawali na jego procesie. Niestety, mój klient również w tym zakresie odmówił współpracy i nakazał mi, bym tego nie robił.

– Czy to prawda, panie Banning? – zapytał sędzia Oswalt.

– Nie jestem szalony, panie sędzio – odparł Pete, nie wstając z miejsca. – I moim zdaniem udawanie wariata byłoby czymś niegodnym.

Sędzia pokiwał głową. Protokolantka zapisała słowa oskarżonego. Dla obrońcy były one i tak dość obciążające, ale dopiero to, co Pete powiedział w następnym zdaniu, miało rozstrzygające znaczenie.

– Wiedziałem, co robię – oznajmił po namyśle Pete Banning, który zawsze ostrożnie ważył każde słowo.

John Wilbanks spojrział na sędziego i wzruszył ramionami w geście kapitulacji.

Rozdział 14

Przysięgły numer jeden był zagadką. James Lindsey, pięćdziesiąt trzy lata, żonaty; zawód – brak danych; adres – wiejska droga biegnąca z odległej osady Box Hill ku granicy sąsiedniego hrabstwa Tyler. Z kwestionariusza wynikało, że jest baptystą. Nie odezwał się ani słowem na porannym posiedzeniu i nikt najwyraźniej nic o nim nie wiedział. Ani John Wilbanks, ani Miles Truitt nie chcieli kwestionować jego kandydatury i w ten sposób James Lindsey stał się pierwszym w tym procesie zaakceptowanym przysięgłym.

Sędzia Oswalt wezwał przysięgłego numer dwa, pana Delberta Mooneya z licznego klanu Mooneyów z Karraway, jedynej poza Clanton miejscowości na prawach miejskich w hrabstwie Ford. Delbert miał dwadzieścia siedem lat, przez dwa lata walczył na wojnie w Europie i został dwa razy ranny. John Wilbanks bardzo chętnie widziałby go w składzie ławy przysięgłych. Miles Truitt, niestety, nie – i po raz pierwszy skorzystał z prawa do wyłączenia.

Znajdowali się nadal w sali rozpraw, ale byli tam teraz tylko sędzia Oswalt i prawnicy. Oskarżonego zabrano do aresztu, gdzie miał zjeść lunch i czekać na dalsze instrukcje. Woźny, protokolantka, urzędnicy sądowi oraz zastępcy szeryfa zostali odprawieni. Proces ostatecznej selekcji przysięgłych był poufny: nikt go nie protokołował i mogli w nim brać udział jedynie sędzia oraz prawnicy stron. Popijali

mrożoną herbatę i posilali się kanapkami, ale byli zbyt skupieni na procedurze, by zwracać uwagę na to, co jedzą.

Sędzia wymienił nazwisko trzeciej kandydatki, jednej z dwóch powołanych do ławy przysięgłych kobiet. Pewne reguły figurowały w kodeksach, inne były niepisane. Przy poważnych przestępstwach ława przysięgłych zawsze składała się z dwunastu białych mężczyzn. Nie dyskutowano, dlaczego i w jaki sposób zapewnić taki skład; było to po prostu oczywiste.

– Powinniśmy ją chyba wyłączyć „bez podania przyczyny”, nie sądzisz, Miles? – powiedział John Wilbanks.

Prokurator skwapliwie się zgodził. Wyłączenie „bez podania przyczyny” oznaczało, że kandydat wyraźnie nie nadaje się na przysięgłego i decyzja w tej sprawie zapadła w trakcie prywatnej dyskusji, by nie narażać danej osoby na publiczne upokorzenie. Co ważniejsze, taka dyskwalifikacja nie była doliczana do liczby pięciu wykluczeń, do których miała prawo każda ze stron procesowych. Sędzia zdecydował po prostu, że dana osoba nie wejdzie w skład ławy, i nikt tego nie kwestionował.

Pracowali, zbyttnio się nie spiesząc. Proces, z zaledwie kilkoma świadkami oskarżenia i prawdopodobnie bez świadków obrony, gdy już się zacznie, raczej nie potrwa długo. Sprawdzali więc metodycznie pozostałe nazwiska; jedne akceptowali, inne odrzucali, czasami spierając się na gruncie zawodowym, ale stale posuwali się do przodu. O trzeciej po południu sędzia Oswalt musiał znów zapalić i postanowił zawiadomić ludzi czekających na korytarzach i schodach, a także marznących przed budynkiem, że proces zacznie się nazajutrz punktualnie o dziewiątej. Kandydaci na przysięgłych mieli się nie oddalać. O szesnastej trzydzieści drzwi na salę w końcu się otworzyły i do środka weszło wraz z przysięgłymi kilku widzów. Na balkonie pojawiła się grupka czarnych. Kiedy doprowadzono oskarżonego i posadzono go przy stole obrony, sędzia Oswalt ogłosił, że ława przysięgłych

została skompletowana. Wyczytał dwanaście nazwisk i wybrani przysięgli zajęli swoje miejsca.

Dwunastu białych mężczyzn. Czterej baptyści, dwaj metodyści, dwaj zielonoświątkowcy, jeden prezbiterianin i jeden wyznawca Kościoła Chrystusa oraz dwaj, którzy nie należeli do żadnej wspólnoty religijnej i mieli pewnie trafić prosto do piekła.

Wszyscy unieśli prawe dłonie i przyrzekli wypełniać swoje obowiązki, po czym odesłano ich do domu z wyraźnym zakazem rozmawiania z kimkolwiek o sprawie. Sędzia Oswalt zawiesił posiedzenie i zniknął. Kiedy sala opustoszała, John Wilbanks poprosił szeryfa, by pozwolił mu porozmawiać przez kilka minut z klientem. Na sali rozpraw było to o wiele łatwiejsze niż w areszcie i Gridley się zgodził.

Penrod zabrał się do zmiatania podłogi wokół ławek, Ernie Dowdle zaczął majstrować przy kaloryferach, a obrońcy usiedli blisko swego klienta.

– Nie podoba mi się twoje zachowanie w sądzie, Pete – odezwał się Russell.

– Sprawiasz wrażenie aroganckiego i nieobecnego duchem – dodał szybko John. – Przysięgli zwrócą na to uwagę. Poza tym nie okazałeś szacunku sędziemu Oswaltowi. To się nie może więcej zdarzyć.

– Jutro, kiedy zacznie się proces, ci przysięgli będą się na ciebie stale gapić – podjął Russell.

– Dlaczego? – zapytał Pete.

– Bo są ciekawi. Bo mają zadanie cię osądzić. Nigdy wcześniej tego nie robili i zadziwiają ich okoliczności, w jakich się znaleźli. Na wszystko zwracają uwagę i jest bardzo ważne, żebyś wydał im się kimś sympatycznym.

– Nie wiem, czy mi się to uda – mruknął Pete.

– Przynajmniej spróbuj, dobrze? – rzucił John. – Rób notatki i przeglądaj jakieś papiery. Żeby myśleli, że interesuje cię własna sprawa.

– Kto wybierał skład ławy przysięgłych? – zapytał Pete.

– My. Obrońcy, oskarżyciel i sędzia.

– Nie jestem tego taki pewien. Wydaje mi się, że podjęli już decyzję. Nie widziałem wśród nich wielu przyjaznych twarzy.

– Ale ty im taką pokaż, dobrze, Pete? – John z frustracją odwrócił wzrok. – Pamiętaj, że ci ludzie zdecydują, jak spędzisz resztę życia.

– To jest już zdecydowane.

* * *

Kiedy we wtorek o wpół do dziesiątej rano Miles Truitt wstał z miejsca, żeby wygłosić mowę wstępną, kaloryfery Erniego były już pod parą. Sala rozpraw była ogrzana i ponownie wypełniona po brzegi, a Ernie i Penrod, przykucnięci w rogu zatłoczonego balkonu, z wielkim zainteresowaniem obserwowali to, co działo się na dole.

Wszyscy wstrzymali oddech. Truitt miał na sobie ciemnobrązowy wełniany garnitur i kamizelkę. Z kieszonki na jego piersi zwisał złoty łańcuszek. Garnitur był nowy, kupiony specjalnie na tę okazję, największy proces w jego karierze. Stając przed przysięgłymi, szeroko się do nich uśmiechnął i podziękował za to, że wydadzą werdykt w imieniu jego klienta: stanu Missisipi. Zostali starannie wybrani, by wysłuchać zeznań, ocenić świadków, zważyć wszystkie argumenty i na koniec osądzić, czy oskarżony jest winny, czy niewinny. To duża odpowiedzialność, zaznaczył i ponownie im podziękował.

Zabójstwo pierwszego stopnia było najpoważniejszą zbrodnią w kodeksie karnym stanu Missisipi. Truitt przytoczył jego definicję, tak jak została tam zapisana:

– Jest to intencjonalne, umyślne, popełnione z premedytacją, przy użyciu wszelkiego rodzaju środków i bez sankcji prawnej zabójstwo drugiej osoby. – Przeczytał ten passus dwukrotnie, powoli i głośno, by każde słowo odbiło się echem od ścian sali, a potem zacytował, jaka grozi za nie kara. – Uznając kogoś za winnego zabójstwa pierwszego stopnia,

ława przysięgłych powinna zdecydować, czy ma on zostać skazany na śmierć na krześle elektrycznym, czy na dożywocie bez prawa przedterminowego zwolnienia. Panowie przysięgli – dodał, wskazując oskarżonego. – Wielebny Dexter Bell padł ofiarą zabójstwa pierwszego stopnia z rąk Pete’a Banninga, który zasługuje na to, by umrzeć.

Właściwie spodziewano się tych słów, ale tak czy owak zabrzmiały one dramatycznie.

Truitt zaczął opowiadać o Dexterze: o jego dzieciństwie w Georgii, o powołaniu do stanu kapłańskiego, o małżeństwie z Jackie, o posłudze w pierwszych kościołach, o jego dzieciach, o przejmujących kazaniach, empatii w stosunku do innych, wiodącej roli, jaką odgrywał w społeczności, o tym, jaką popularnością cieszył się w Clanton. Dexter był człowiekiem bez skazy, kimś, kto nigdy nie zrobił fałszywego kroku. Wspaniały młody pastor, oddany swojej misji i wierze, zastrzelony w kościele przez wojskowego snajpera. Cóż za olbrzymia strata. Kochający ojciec w jednej chwili osierocił trójkę cudownych dzieci.

Stan Missisipi udowodni winę oskarżonego bez cienia wątpliwości i kiedy skończą zeznawać świadkowie, on, Miles Truitt, stanie ponownie w tym samym miejscu i poprosi, by wymierzona została sprawiedliwość. Sprawiedliwość dla Dextera Bella i jego rodziny. Sprawiedliwość dla miasta Clanton. Sprawiedliwość dla ludzkości.

John Wilbanks obserwował z podziwem występ kolegi. To prawda, fakty przemawiały na korzyść prokuratora, a to zawsze daje dużą przewagę. Truitt zastosował jednak subtelne podejście, napomykał tylko o pewnych faktach, zamiast walić nimi prosto w oczy. Morderstwo było samo w sobie tak potworne, że nie musiał go dodatkowo dramatyzować. Obserwując twarze przysięgłych, Wilbanks ujrzał jasno to, co przeczuwał od dłuższego czasu. Jego klient nie mógł liczyć nawet na odrobinę współczucia. Bez przedstawienia własnych dowodów obrona polegnie z kretesem, podobnie jak sam oskarżony.

Kiedy Miles Truitt usiadł, na sali zapadła cisza. Sędzia Oswalt spojrział na Johna Wilbanksa i skinął głową.

– Głos ma obrona – powiedział.

Wilbanks wstał, poprawił węzeł eleganckiego jedwabnego krawata i podszedł do ławy przysięgłych. Nie miał nic do powiedzenia. Nie zamierzał wymyślać lipnego alibi ani wyskakiwać z niedorzecznym twierdzeniem, że pomyłono tożsamość sprawcy.

– Panowie przysięgli – zaczął z uśmiechem – reguły postępowania w takich jak ten procesach dopuszczają możliwość wygłoszenia przez obrońcę mowy wstępnej później, po tym, jak oskarżenie przedstawi swoje dowody. Obrona chce skorzystać z tej opcji – oświadczył i popatrzył na sędziego.

Oswalt wzruszył ramionami.

– Nie mam nic przeciwko temu. Panie Truitt, proszę wezwać swojego pierwszego świadka.

– Stan Missisipi wzywa na świadka panią Jackie Bell! – zawołał tubalnym głosem Truitt.

Jackie wstała z miejsca w drugim rzędzie za stołem oskarżenia i ruszyła w stronę przejścia. Siedziała razem z Errolem McLeishem, który w niedzielę po południu przywiózł ją z Rome w stanie Georgia. Dziećmi zajęli się jej rodzice. Ojciec chciał jej towarzyszyć podczas procesu, ale zdołała mu to wyperswadować. Errol sam się zgłosił i zależało mu bardzo, żeby ją zawieźć. Ona zatrzymała się u jednej z przyjaciółek z kościoła, on w hotelu Bedford przy głównym placu Clanton.

Wszyscy utkwili wzrok w Jackie, która była na to przygotowana. Jej szczupłą figurę podkreślał dopasowany czarny kostium z paskiem w talii. Na nogach miała czarne zamszowe pantofle, na głowie czarny aksamitny kapelusik, na szyi prosty sznur pereł. Czarny kolor znakomicie harmonizował z emanującymi z niej cierpieniem i bólem. Była w każdym calu wdową, na dodatek młodą i atrakcyjną.

Dwunastu przysięgłych, prawnicy, sędzia i praktycznie wszyscy obecni na sali śledzili każdy jej krok, gdy zmierzała do miejsca dla świadków. Tylko Pete Banning najwyraźniej nie był nią zainteresowany i wbił wzrok w podłogę. Protokolant poprosił, żeby przysięgła, że będzie mówiła prawdę i tylko prawdę, co uczyniła, po czym usiadła na krześle, spojrzała na widownię i starannie założyła nogę na nogę, co nie uszło niczyjej uwagi.

Stojąc za podium, Miles Truitt uśmiechnął się do niej i poprosił, by podała swoje nazwisko i adres. Dokładnie ją wcześniej poinstruował i odpowiadając, patrzyła szczerym wzrokiem na przysięgłych. Podała także inne informacje na swój temat: miała trzydzieści osiem lat i trójkę dzieci i przez pięć lat mieszkała w Clanton, ale po śmierci męża przeniosła się do Georgii.

– Zostałam wdową – stwierdziła ze smutkiem.

– Gdzie pani była dziewiątego października zeszłego roku, około godziny dziewiątej rano?

– W domu. Mieszkaliśmy na plebanii za kościołem metodystów.

– Gdzie był pani mąż?

– Dexter był w swoim gabinecie w kościele i przygotowywał kazanie.

– Proszę opowiedzieć przysięgłym, co się wydarzyło.

– No cóż, byłam w kuchni i kiedy wkładałam talerze do szafki, rozległy się jakieś dźwięki, których nigdy wcześniej nie słyszałam. Trzy szybkie trzaski, jeden po drugim, jakby ktoś na werandzie głośno klasnął trzy razy w dłonie. Z początku nie zwróciłam na to uwagi, ale potem się zaniepokoiłam. Coś kazało mi sprawdzić, co się dzieje z Dexterem. Podeszłam do telefonu i zadzwoniłam do jego gabinetu. Nie odebrał, więc wybiegłam z plebanii, okrążyłam kościół i weszłam do przybudówki, w której był jego gabinet.

W tym momencie głos Jackie się załamał i w oczach stanęły jej łzy. Dotknęła ust wierzchem dłoni i spojrzała na Truitta. Zmiała chusteczkę, którą trzymała w ręce.

– I znalazła pani męża? – zapytał prokurator.

Jackie przełknęła z trudem ślinę i mimowolnie zacisnęła zęby.

– Dexter siedział przy biurku, nadal w swoim fotelu. Postrzelono go i krwawił. Krew była wszędzie.

Głos ponownie jej się załamał. Przerwała, wzięła głęboki oddech, otarła oczy i po chwili była gotowa kontynuować.

Na sali słyhać było wyłącznie cichy szum i stukot kaloryferów Erniego. Nikt się nie poruszył ani nic nie szepnął. Wszyscy wpatrywali się w Jackie, czekając cierpliwie, aż weźmie się w garść i opowie swoją straszliwą historię. Nie musiała się z tym spieszyć. Miasto czekało trzy miesiące, by dowiedzieć się ze szczegółami, co takiego wydarzyło się tamtego ranka.

– Powiedziała pani coś do niego? – zapytał Truitt.

– Nie jestem pewna. Pamiętam, że obiegłam z krzykiem jego biurko, złapałam go i dotknęłam, i... i... właściwie nie wiem. To było takie straszne.

Zamknęła oczy, spuściła głowę i zaszlochała. Jej łzy okazały się zaraźliwe i wiele kobiet, które znały ją i Dextera, też zaczęło ocierać oczy.

Całe to zeznanie było niepotrzebne. Obrona zapowiedziała, że nie będzie podważać tego, że Dexter Bell zginął w wyniku postrzału i że jego śmierć spowodowały trzy pociski wystrzelone z colta kalibru .45. Dla ustalenia faktów współczucie było nieistotne, a każdy dowód uznany za nieistotny nie powinien być dopuszczony przez sąd. Niemniej sędzia Oswalt, podobnie jak wszyscy inni sędziowie w tym stanie, a także zapewne w całym kraju, zawsze pozwalał oskarżycielowi wezwać na świadków ocalałych członków rodziny, rzekomo po to, by potwierdzić fakt zgonu. Prawdziwym celem było wzbudzenie emocji w przysięgłych.

Jackie znów zacisnęła zęby, po czym podjęła opowieść, a w każdym razie próbowała to zrobić. Dexter leżał na podłodze, ona wołała do niego, on nie odpowiadał. Pamiętała, że krzycząc głośno, wybiegła zakrwawiona z jego gabinetu

i wtedy właśnie pojawił się zastępca szeryfa z Hopem... a potem... potem po prostu wszystko zatarło jej się w pamięci.

Nastąpiła kolejna pauza i po dłuższej chwili stało się jasne, że Jackie nie jest w stanie kontynuować. Sędzia Oswalt spojrzał na prokuratora.

– Panie Truitt, wydaje mi się, że usłyszeliśmy już dość od tego świadka – powiedział.

– Tak jest, Wysoki Sądzie.

– Czy ma pan do świadka jakieś pytania, panie Wilbanks?

– Oczywiście, że nie, Wysoki Sądzie – odparł John Wilbanks, okazując wdowie wielkie współczucie.

– Dziękuję, pani Bell, jest pani wolna – oznajmił sędzia.

Walter Willy natychmiast się zerwał, wziął ją za rękę i mijając prawników, przysięgłych i sędziego, odprowadził na miejsce. Oswalt musiał zapalić i zarządził przerwę. Przysięgli wyszli pierwsi, eskortowani przez Waltera, i kiedy tylko zniknęli za drzwiami, widzowie się odprężyli i każdy miał coś do powiedzenia. Wielu metodystów ustawiło się w kolejce, by uściskać Jackie: każdy chciał jej dotknąć. Errol McLeish wycofał się i obserwował ją z daleka. W przeciwieństwie do Jackie nikogo tu nie znał i nikt nie znał jego.

* * *

Hop stanął na drżących nogach za barierką dla świadków i przysiągł mówić prawdę i tylko prawdę. W rzeczywistości nazywał się Chester Purdue i takie też podał nazwisko, po czym wyjaśnił, że z oczywistych względów już od dzieciństwa przyłgnęło do niego przezwisko Hop. Nie był po prostu zdenerwowany. Był przerażony i co chwila zerkał na balkon, szukając wsparcia u swoich ziomków. Stamtąd, z góry, zeznawanie wydawało się o wiele łatwiejsze. Tu, na dole, kiedy wszyscy utkwili w nim wzrok, wszyscy ci biali ludzie – prawnicy, sędzia, przysięgli, urzędnicy, nie wspominając już o widzach – natychmiast wpadł w panikę i nie mógł

wykrztusić ani jednego słowa. Pan Miles Truitt przez długie godziny przygotowywał go w swoim gabinecie. Ćwiczyli jego zeznanie kilka razy; pan Truitt bez przerwy powtarzał, żeby Hop po prostu się odprężył i opowiedział swoją historię. Wczoraj i przedwczoraj, w gabinecie pana Truitta, Hop był odprężony, lecz teraz występował na wielkiej scenie, wszyscy się na niego gapili i nikt się nie uśmiechał.

„Patrz tylko na mnie, na nikogo innego”, wbijał mu wcześniej do głowy pan Truitt.

Hop popatrzył więc na prokuratora okręgowego i opowiedział swoją historię. W tamten wtorek czyścił witraże w kościele, co robił raz w miesiącu i co zajmowało mu zwykle prawie całe trzy dni. Wszedł właśnie ze świątyni i wszedł do przybudówki, zmierzając do składziku, w którym trzymał środki czystości. Po drodze minął drzwi do gabinetu wielebnego Bella. Były zamknięte i wiedział, że rano lepiej kaznodziei nie przeszkadzać. Nie słyszał, by dobiegały zza nich jakieś głosy. Z tego, co wiedział, w kościele były tylko dwie osoby: on i pastor. Sięgając po butelkę z płynem do czyszczenia, usłyszał trzy głośne trzaski. Wszystkie trzy były takie same i praktycznie zatrząsł się od nich budynek. Zaniepokojony, wybiegł na korytarz i usłyszał, jak otwierają się drzwi. Z gabinetu pastora wyszedł Pete Banning, trzymając w ręce broń.

– Od jak dawna znasz Pete’a Banninga? – zapytał Truitt.

– Od bardzo dawna. Jest członkiem naszego kościoła.

– Mógłbyś wskazać mężczyznę, który trzymał w ręce broń?

– Skoro pan chce... – Hop wskazał ręką oskarżonego, po czym opisał, jak „Mista Banning” wycelował z rewolweru w jego głowę, jak on padł na kolana, błagając, by go nie zabijać, i jak „Mista Banning” powiedział, że jest dobrym człowiekiem i żeby poszedł zawiadomić szeryfa.

Hop patrzył, jak pan Banning wychodzi, a potem wślizgnął się do gabinetu, choć tak naprawdę wcale nie chciał tego robić. Wielebny Bell siedział z zamkniętymi oczami w swoim fotelu, krwawiąc z ran głowy i piersi. Hop nie potrafił

powiedzieć, jak długo tam stał: był zbyt przerażony, by logicznie myśleć. W końcu, niczego nie ruszając, wycofał się na korytarz i pobiegł po szeryfa.

Żaden adwokat nic by nie zyskał, kwestionując prawdomówność Hopa bądź też podważając jego relację. Nie było w niej nic do zakwestionowania. Jaką korzyść miałyby odnieść Hop, mijając się z prawdą? Powiedział to, co widział, i niczego nie ubarwiał. John Wilbanks wstał i cicho oświadczył, że nie ma pytań do świadka. W gruncie rzeczy nie miał pytań do żadnego ze świadków oskarżenia.

Siedząc tam, słuchając zeznań i zgrzytając zębami, zastanawiał się nie po raz pierwszy, dlaczego tak pochopnie podjął się obrony Pete'a. Facet był winny i nie próbował nawet udawać, że jest inaczej. Czy nie mógł go reprezentować jakiś inny adwokat, ktoś, kto siedziałby spokojnie na sali rozpraw i dowodził tym tonącym statkiem? Z punktu widzenia wytrawnego prawnika procesowego było to denerwujące, niemal krępujące doświadczenie.

Następnym świadkiem oskarżenia był człowiek, którego wszyscy znali. Slim Fargason od dziesięcioleci pełnił funkcję wybieralnego referendarza sądowego, do którego obowiązków należało między innymi prowadzenie ewidencji gruntów w całym hrabstwie. Bez większych problemów sprawdził on uwierzytelniony odpis aktu własności i wyjaśnił przysięgłym, że szesnastego września ubiegłego roku pan Pete Banning przekazał aktem darowizny dwieście sześćdziesiąt hektarów ziemi swoim dwojgu dzieciom, Joelowi i Stelli Banningom. Rieczona ziemia należała do Pete'a od 1932 roku, kiedy to odziedziczył ją po zmarłej matce na mocy jej testamentu.

Zadając świadkowi pytania, John Wilbanks poprosił o przedstawienie łańcucha własności i podkreślił mocno fakt, że areał, o którym mowa, należał do rodziny Banningów od przeszło stu lat. Czyż w hrabstwie Ford nie jest powszechnie wiadome, że Banningowie nie pozbyli się nigdy ani piędzi ziemi? Slim odparł, że trudno mu stwierdzić, co jest, a co nie

jest powszechnie wiadome, może mówić tylko za siebie, ale owszem, domyślał się, że ziemię obejmą w końcu przedstawiciele następnego pokolenia.

Kiedy pytania dobiegły końca, pospiesznie opuścił miejsce dla świadków, by wrócić do swojego biura.

Jako następny zeznania złożył zastępca szeryfa Roy Lester. Zgodnie z prawem stanu Missisipi, przed zajęciem miejsca dla świadka zdjął pas ze służbowym rewolwerem. Naprowadzany przez Truitta, podjął relację tam, gdzie zakończył ją Hop, i opisał, co się działo, gdy przybyli na miejsce przestępstwa. Przede wszystkim musieli poradzić sobie z panią Bell, która wpadła w histerię i miała do tego pełne prawo. Roy był z nią, kiedy pojawił się szeryf Gridley, i na jego polecenie odprowadził ją na werandę pani Vanlandingham po drugiej stronie ulicy. Potem wrócił do kościoła i pomagał szefowi w śledztwie.

John Wilbanks nie znalazł żadnego punktu zaczepienia.

Fakty, jak to się często dzieje, przemawiały na korzyść prokuratora i z tego względu raczej mu się nie spieszyło. Kreatywność nie była tu potrzebna. Miał zamiar powoli budować narrację, prowadząc przysięgłych krok po kroku przez zbrodnię i jej następstwa. Jego kolejnym świadkiem był szeryf Nix Gridley, który odpiął pas i zajął miejsce za barierką.

Nix opisał miejsce zbrodni i na szeregu powiększonych kolorowych zdjęć przysięgli zobaczyli w końcu martwe ciało i całą krew. Fotografie były makabryczne, stronnicze i podburzające, ale sędziowie w Missisipi z reguły dopuszczali takie w charakterze dowodów. Morderstwo było rzeczywiście czymś strasznym i ci, którzy sądzili oskarżonego, mieli prawo zobaczyć wyrządzone przez niego szkody. Odbitki na szczęście nie były tak duże, by mogli je zobaczyć ludzie na sali albo na balkonie. Jackie Bell oszczędzono widoku zabitego męża, lecz i tak zaniepokoiło ją, że takie dowody istnieją. Nikt jej nie powiedział, że Dexter został sfotografowany, kiedy się wykrwawiał. Co stanie się z tymi fotografiami po procesie?

Kiedy przysięgli podawali sobie zdjęcia, kilku z nich spiorunowało wzrokiem Pete'a, który przerzucał kartki grubej prawniczej księgi. Rzadko kiedy podnosił wzrok, w ogóle się nie rozglądał i przez większość czasu nie wydawał się zainteresowany własnym procesem.

Szeryf zrelacjonował swoją rozmowę z Hopem, który wskazał im mordercę. W związku z jego zeznaniem Nix Gridley, Roy Lester i Red Arnett pojechali aresztować Pete'a Banninga. Ten czekał na werandzie i poinformował ich, że broń jest w jego pick-upie. Nie odezwał się ani słowem w drodze do aresztu, a tam był już John Wilbanks. Pan Wilbanks uparł się, że przesłuchanie może się odbywać wyłącznie w jego obecności, dlatego szeryf nigdy nie miał szansy porozmawiać z oskarżonym, który po dziś dzień nie zdradził, dlaczego zabił kaznodzieję.

– A więc nie ma pan pojęcia, jaki mógł mieć motyw? – zapytał Truitt.

– Sprzeciw! – zawołał John Wilbanks, który od dawna czekał na okazję, by zachować się jak rasowy adwokat. – To są spekulacje. Świadek nie jest powołany do tego, by wyrażać swoją opinię co do motywu.

– Sprzeciw podtrzymany – orzekł sędzia.

Zupełnie niezrażony Truitt podszedł do małego stolika przed ławą przysięgłych, wyciągnął z tekturowego pudła rewolwer i podał go Nixowi.

– Czy to jest broń, którą zabrał pan z pick-upa Pete'a Banninga? – zapytał.

Nix wziął rewolwer w obie ręce i pokiwał głową. Tak.

– Czy może pan ją opisać członkom ławy przysięgłych?

– Oczywiście. To wojskowa wersja colta, kaliber czterdzieści pięć, jednotaktowy rewolwer z lufą o długości pięć i pół cala i sześcioma nabojami w cylindrze. Bardzo zgrabna broń. Powiedziałbym, że legendarna.

– Wie pan, gdzie oskarżony ją nabył?

– Nie wiem. Jak już mówiłem, nigdy nie rozmawiałem z oskarżonym o zabójstwie.

– Wie pan, ile strzałów oddał oskarżony w kierunku swojej ofiary?

– Trzy. Hop twierdził, że były trzy strzały, a jak wiadomo, pani Bell zeznała, że słyszała trzy odgłosy. Z sekcji zwłok wynika, że zmarły został trafiony dwiema kulami w pierś i jedną w twarz.

– Czy udało się znaleźć którąkolwiek z nich?

– Owszem, odzyskaliśmy dwie. Jedna przeszła głowę i utkwiała w piankowej wyściółce fotela, na którym siedział pastor. Druga przeszła przez tors i utkwiała niżej w fotelu. Trzecią znalazł patolog podczas sekcji zwłok.

Jackie Bell zalała się łzami i zaczęła głośno szlochać. Errol McLeish pomógł jej wstać. Wszyscy patrzyli, jak kryjąc twarz w dłoniach, Jackie wychodzi z sali. Kiedy zamknęły się za nimi drzwi, Miles Truitt spojrział na sędziego Oswalta, a ten pokiwał głową, jakby chciał powiedzieć: „Niech pan kontynuuje”.

Truitt podszedł do stołu przed ławą przysięgłych, wyciągnął z pudła małą paczuszkę i podał ją świadkowi.

– Może pan powiedzieć, co to jest?

– Oczywiście. To są trzy pociski, które zabiły pastora.

– Skąd pan o tym wie?

– Wiem, bo wysłałem rewolwer i pociski do laboratorium kryminalistycznego. Przeprowadzili tam testy balistyczne i przysłali mi raport.

Truitt przeszedł do swojego stołu, wziął z niego jakieś papiery i pomachał nimi przed nosem Oswalta.

– Wysoki Sądzie, mam tu dwa raporty. Pierwszy podpisał ekspert od balistyki, drugi jest od lekarza, który przeprowadził sekcję zwłok. Wnoszę, by dołączono je do materiału dowodowego.

– Ma pan jakieś zastrzeżenia, panie Wilbanks?

– Tak jest, Wysoki Sądzie, mam te same zastrzeżenia, które zgłosiłem w zeszłym tygodniu. Wolałbym, by ci dwaj eksperci pojawili się tu, na sali sądowej, żebym mógł im zadać pytania. Nie mogę tego zrobić w odniesieniu do pisemnych raportów. Nie widzę, dlaczego nie można by wezwać tych dwóch osób,

żeby zeznawały przed sądem. To niesprawiedliwe wobec obrony.

– Oddalam sprzeciw. Raporty zostają dołączone do materiału dowodowego. Proszę kontynuować, panie Truitt.

– Ława przysięgłych będzie mogła zapoznać się z oboma raportami, ale czy mógłby pan, szeryfie, streścić to, co ustalił ekspert od balistyki?

– Oczywiście. Trzy łuski po nabojach nadal znajdowały się w komorze, więc analiza była łatwa. Ekspert zbadał je razem z pociskami i przeprowadził test balistyczny broni. W jego opinii nie ma żadnych wątpliwości, że to właśnie z rewolweru Colt, który zabraliśmy z pick-upa oskarżonego, zostały oddane trzy śmiertelne strzały.

– Czy może pan przedstawić nam również ustalenia lekarza, który wykonał sekcję zwłok?

– Nie ma tu żadnych niespodzianek. Trzy kule wystrzelone z rewolweru Pete’a Banninga weszły w ciało pastora i spowodowały jego śmierć. Wszystko to jest opisane w raporcie.

– Dziękuję, szeryfie. Świadek jest do dyspozycji obrony.

John Wilbanks wstał i spiorunował Nixa Gridleya wzrokiem, jakby miał zamiar rzucić w niego kamieniem. Wstępując na podium, zastanawiał się nad pierwszym pytaniem. Od wielu tygodni wszyscy mieszkańcy hrabstwa Ford wiedzieli, że Pete Banning zastrzelił Dextera Bella. Sugerując, że mogło być inaczej, Wilbanks straciłby resztki wiarygodności, jaką jeszcze się cieszył. Ryzykował też, że wyjdzie na głupka, a tego nie zniosłaby jego duma. Postanowił zatem trochę powęszyc, spróbować zasiać nieco wątpliwości, przede wszystkim jednak zachowywać się z godnością.

– Kim jest pański ekspert od balistyki, szeryfie? – zapytał.

– Nazywa się Doug Cranwell i pracuje na południu stanu, w Jackson.

– Uważa go pan za dobrego specjalistę w tej dziedzinie?

– Na to wygląda. Z jego usług korzysta wielu policjantów.

– Wybaczy pan, że o to pytam, ale nie mogę osobiście sprawdzić jego kwalifikacji, bo go tu nie ma. Dlaczego nie pofatygował się do nas, żeby zeznawać przed ławą przysięgłych?

– Musi pan zapytać o to pana Truitta. Ja nie zajmuję się procesem. – Nix uśmiechnął się do przysięgłych, bardzo zadowolony ze swojej riposty.

– Rozumiem. A kogo poprosił pan o przeprowadzenie sekcji zwłok?

– Doktora Freda Brileya, również z Jackson. Z jego usług korzysta wielu szeryfów.

– A dlaczego nie ma go tutaj i nie składa zeznań przed ławą przysięgłych?

– Chyba dlatego, że bierze za to dużo pieniędzy.

– Rozumiem. Więc to jest niskobudżetowe dochodzenie? Zbrodnia, która nie jest zbyt ważna?

– Pieniądze pochodzą z budżetu pana Truitta, nie mojego. Więc to jego musi pan zapytać.

– Czy nie wydaje się panu dziwne, szeryfie, że żaden z tych ekspertów nie pojawił się tu i nie poddał szczegółowemu przesłuchaniu przez obronę?

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie – odezwał się Truitt, wstając ze swojego miejsca. – Świadek nie prowadzi dochodzenia w tej sprawie.

– Sprzeciw podtrzymany.

– Ta sprawa jest naprawdę dość prosta – podjął Nix, najwyraźniej dobrze się czując w roli świadka. – I pewnie dlatego pan Truitt nie widział powodu, żeby powoływać wielu biegłych.

– Dosyć, szeryfie – warknął sędzia Oswalt.

Wilbanks wyraźnie się zjeżył.

– A zatem ile pan prowadził śledztw w sprawie o zabójstwo, szeryfie? – zapytał.

– Niewiele. Rządzę biurem szeryfa twardą ręką. Rzadko zdarza się tu jakieś przestępstwo.

– Więc ile było tych zabójstw?

Kiedy stało się jasne, że adwokat oczekuje konkretnej odpowiedzi, Gridley przestąpił z nogi na nogę i przez chwilę się zastanawiał.

– Wśród czarnych czy białych?

Wilbanks z irytacją wzniósł oczy do sufitu.

– Czy inaczej prowadzi pan śledztwo w przypadku jednych, a inaczej w przypadku drugich?

– Nie, chyba nie. Mieliśmy trzy zabójstwa przy użyciu noża w Lowtown, no i tego powieszzonego syna Dulaneyów z Box Hill. Poza tym znaleźliśmy w rzece po naszej stronie miasta zwłoki Jessego Greena, ale nie udało się stwierdzić, czy został zamordowany. Ciało było w zbyt zaawansowanym stopniu rozkładu. Więc wcześniej mieliśmy tu chyba tylko jedno zabójstwo z premedytacją.

– A jak długo jest pan tu szeryfem?

– Będzie już ósmy rok.

– Dziękuję, szeryfie – powiedział Wilbanks i wrócił do swojego stołu.

Sędzia Oswalt, który trząsł się już z nikotynowego głodu, stuknął młotkiem w podstawkę.

– Zarządzam przerwę na lunch do godziny czternastej – oznajmił.

Rozdział 15

Po wypaleniu kilku papierosów i zjedzeniu paru kanapek sędzia spotkał się na osobności z prawnikami. Truitt oświadczył, że nie ma więcej świadków i uważa, że w wystarczającym stopniu udowodnił winę oskarżonego. Oswalt zgodził się z tym. Wilbanks też nie mógł temu zaprzeczyć i pogratulował prokuratorowi okręgowemu sprawnego przedstawienia dowodów. Co do obrony, nie miał jeszcze pewności, czy Pete Banning zajmie miejsce dla świadków. Jednego dnia chciał zeznawać i stanąć przed ławą przysięgłych, a drugiego w ogóle nie odzywał się do swojego adwokata. Wilbanks przyznał, że jego zdaniem Pete jest psychicznie nie zrównoważony, ale nie było oczywiście mowy o złożeniu wniosku o niepoczytalność. Pete kategorycznie się temu sprzeciwiał, zresztą termin na jego złożenie dawno już minął.

– Kim jest pański pierwszy świadek? – zapytał sędzia Oswalt.

– Major Rusconi z Armii Stanów Zjednoczonych.

– Czego będą dotyczyły jego zeznania?

– Chcę dowieść, że mój klient, pełniąc czynną służbę i walcząc z Japończykami na Filipinach, został wzięty do niewoli i uznany za zabitego. Taką wiadomość otrzymała jego rodzina w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku.

– Nie widzę, jaki to ma związek ze zbrodnią, John – powiedział Truitt.

– A ja nie dziwię się twojemu pytaniu. Będę próbował stworzyć pewien kontekst dla zeznań mojego klienta, jeśli zdecyduje się jednak stanąć za barierką.

– Ja też nie jestem zbyt przekonany – wtrącił sceptycznie sędzia Oswalt. – Udowodnisz, że uznano go za zaginionego albo zmarłego, jego rodzina w to uwierzyła i dlatego pastor, wykonując swoje obowiązki, w pewnym momencie przekroczył czerwoną linię i w ten sposób naraził się na gniew oskarżonego. Tak to sobie wyobrażasz?

Truitt z dezaprobatą pokręcił głową.

– Poza zeznaniami samego oskarżonego, panie sędzio – rzekł Wilbanks – nie mam niczego, na czym mógłbym się oprzeć. Bez względu na to, jak wątpliwe może się to wydawać, musi mi pan pozwolić zbudować jakąś linię obrony.

– Dobrze, niech pan go powoła. Miles, możesz zgłosić sprzeciw. Pozwolę mu zeznawać przez kilka minut, żeby zobaczyć, w jakim kierunku to zmierza, ale jestem sceptyczny.

– Dziękuję, panie sędzio – powiedział Wilbanks.

Kiedy przysięgli zasiedli po dłuższej przerwie na swoich miejscach, Oswalt poinformował ich, że oskarżenie nie powołało więcej świadków, a obrona zrezygnowała z wygłoszenia mowy wstępnej. Zeznawać miał teraz major Anthony Rusconi. W galowym mundurze dziarsko wmaszerował za barierki dla świadka. Pochodził z Nowego Orleanu i miał typowy dla tego miasta akcent oraz przyjazny uśmiech. Był zawodowym żołnierzem i w czasie wojny służył na Pacyfiku.

Po kilku wstępnych pytaniach Miles Truitt poprosił o głos.

– Wysoki Sądzie, z całym należnym dla świadka szacunkiem – odezwał się grzecznie – jego zeznania nic nie wnoszą i nie będą wnosiły do sprawy, którą tu rozpatrujemy. Dlatego zgłaszam generalny sprzeciw wobec jego zeznań.

– Zostało to odnotowane. Proszę kontynuować, panie Wilbanks.

Przed wojną Rusconi stacjonował w Manili i służył w kwaterze głównej generała Douglasa MacArthura, głównodowodzącego wojsk amerykańskich na Filipinach. Dzień po Pearl Harbor Japończycy zbombardowali amerykańskie bazy w tym kraju i zaczęła się wojna.

W tamtym czasie porucznik Pete Banning służył w Dwudziestej Szóstej Dywizji Kawalerii i stacjonował w Fort Stotsenburg niedaleko Clark Field, sto kilometrów na północ od Manili.

Japończycy szybko rozbili amerykańskie siły powietrzne i morskie i zaatakowali Filipiny, posyłając tam pięćdziesiąt tysięcy zaprawionych w boju i uzbrojonych po zęby żołnierzy. Amerykanie oraz ich sojusznicy, Filipińscy Zwiadowcy i regularna armia Filipin, stawiali heroiczny opór, ale kiedy Japończycy przegrupowali się i zacieśnili blokadę wysp, zaczęło brakować jedzenia, leków, paliwa i amunicji. Nie mając wsparcia sił powietrznych i jednostek marynarki, które zapewniłyby dostawy i umożliwiły ewakuację, Amerykanie zmuszeni byli wycofać się na półwysep Bataan, pokryty dżunglą niegościnnie skrawek ziemi, wcinający się w Morze Południowochińskie.

Rusconi umiał opowiadać i najwyraźniej cieszył się, mogąc wspominać wojnę. Miles Truitt kręcił głową i próbował nawiązać kontakt wzrokowy z sędzią Oswaltem, ale ten konsekwentnie go unikał. Przysięgli byli oczarowani. Widzowie zastygli w bezruchu.

Oblężenie trwało cztery miesiące i kiedy Amerykanie musieli się poddać przeważającym siłom wroga, była to największa klęska w historii ich armii. Ale dowódcy nie mieli wyboru. Wygłodzeni, chorzy i wycieńczeni żołnierze umierali tak szybko, że nie było czasu ich pogrzebać. Obfite żniwo zbierały malaria, denga, szkorbut i beri-beri, a także inne tropikalne choroby, o których amerykańscy lekarze nie mieli pojęcia. Niestety, czekały ich rzeczy jeszcze gorsze.

Sam Rusconi poddał się w Manili już w lutym 1942 roku. Generał MacArthur opuścił Filipiny w marcu i założył kwaterę

główną w Australii. Rusconiego i jego sztab zamknięto w obozie jenieckim nieopodal Manili, ale pozwolono im zachować dużą część wojskowych archiwów, do których Japończycy nie przywiązywali większej wagi. Jeńcy byli stosunkowo dobrze traktowani, lecz wiecznie głodowali. Na półwyspie Bataan wyglądało to zupełnie inaczej.

Według szczątkowych raportów, które zdołał zgromadzić Rusconi, porucznik Banning poddał się ze swoją jednostką dziesiątego kwietnia 1942 roku, na południowym krańcu półwyspu. Był jednym z około siedemdziesięciu tysięcy jeńców wojennych, którym kazano przez kilka dni maszerować bez jedzenia i picia. Tysiące padło tam i zmarło w palącym słońcu, a ich ciała zsuwano po prostu do przydrożnych rowów.

Wśród pojmanych były setki oficerów i nawet w tych straszliwych warunkach próbowano zachować jakiś porządek i dyscyplinę. Wśród maszerujących rozgłoszono, że mają zapamiętać nazwiska tych, którzy zmarli, żeby można je było później zapisać i zawiadomić rodziny. W tych ponurych okolicznościach okazało się to bardzo trudne. Pozwalając sobie na krótką dygresję, Rusconi poinformował ławę przysięgłych, że choć od zakończenia wojny minęło już półtora roku, amerykańska armia nadal próbuje odnaleźć i zidentyfikować swoich poległych na Filipinach żołnierzy.

W tym momencie Miles Truitt wstał i podniósł obie ręce.

– Wysoki Sądzie, proszę. To jest proces o zabójstwo. Ta historia jest tragiczna i przejmująca, ale nie ma nic wspólnego z tym, czym się tutaj zajmujemy.

Sędzia Oswalt był najwyraźniej w rozterce. Zeznanie w oczywisty sposób nie wносиło nic do sprawy.

– Dokąd pan zmierza, mecenasie? – zapytał, patrząc na Johna Wilbanksa.

Ten próbował sprawiać wrażenie, że dokładnie wie, co robi.

– Proszę, Wysoki Sądzie, wstrzymajmy się jeszcze przez chwilę. Myślę, że zdołam to wszystko powiązać.

Sędzia wydawał się sceptyczny, ale skinął głową.

– Niech pan kontynuuje – powiedział do Rusconiego.

Po kilku dniach marszu porucznik Banning został ranny i zostawiono go przy drodze. Nie starano się mu pomóc, ponieważ, jak szybko przekonali się jeńcy, takie próby kończyły się na ogół zadźganiem delikwenta przez japońskiego strażnika. Później, w trakcie postoju, kilku żołnierzy z jednostki Banninga słyszało, jak Japończycy dobijają maruderów. Nie było wątpliwości, że porucznika zastrzelili japońscy strażnicy.

Pete słuchał tego wszystkiego, bo nie miał innego wyjścia, ale na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia i wpatrywał się w podłogę, jakby nic nie słyszał. Ani razu nie zareagował i nie spojrzął na świadka.

Rusconi poinformował przysięgłych, że co najmniej dziesięć tysięcy amerykańskich i filipińskich żołnierzy straciło życie podczas tego marszu. Padali na skutek wygłodzenia, odwodnienia, wyczerpania, pobicia i udarów mózgu, a także zabici strzałami w głowę, dźgnięci bagnetem lub ścięci mieczem. Tych, którzy ocaleli, zamknięto w koszmarach obozów, gdzie przeżycie było jeszcze trudniejsze niż podczas marszu śmierci. Oficerowie usiłowali w różny sposób sporządzić listy zabitych i na przełomie wiosny i lata ich nazwiska zaczęły docierać do biura Rusconiego w Manili. Dziewiętnastego maja 1942 roku rodzinę Pete'a Banninga oficjalnie powiadomiono, że został on wzięty do niewoli, zaginął i prawdopodobnie nie przeżył. Od tego momentu aż do wyzwolenia Filipin, kiedy to wyszedł z dżungli na czele oddziału partyzantów, o kapitanie zaginął wszelki śluch. Przez ponad dwa lata prowadził wraz ze swymi ludźmi brawurową, heroiczną, niemal samobójczą kampanię terroru wymierzoną w japońskie wojsko. Za odwagę i znakomite dowodzenie został odznaczony Purpurowym Sercem, a także Srebrną i Brązową Gwiazdą. W uznaniu zasług na polu walki dostał także Krzyż za Wybitną Służbę.

Kiedy patrzyło się w tym momencie na Pete'a Banninga, nie sposób było uwierzyć, że ten człowiek zamordował

Dextera Bella. Sędzia Oswalt zdał sobie z tego sprawę i postanowił interweniować.

– Zróbmy przerwę – powiedział, sięgając po papierosa.

W swoim gabinecie ściągnął togę i zapalił camela.

– Wystarczy tego – mruknął, patrząc na Johna Wilbanksa. – To proces, a nie ceremonia przyznania medalu. Chcę natychmiast dowiedzieć się, czy pański klient będzie zeznawał i dlaczego uważa pan zeznanie tego żołnierza za istotne.

– Mleko już się rozlało, Wysoki Sądzie – stwierdził Truitt, nie kryjąc rozdrażnienia. – To zeznanie nie jest istotne dla sprawy i przysięgli nie powinni byli go słuchać.

– Czy Pete Banning będzie zeznawał? – zapytał sędzia.

– Obawiam się, że nie – odparł ze spuszczoną głową Wilbanks. – Oznajmił mi właśnie, że nie ma nic do powiedzenia.

– Ma pan jeszcze jakichś innych świadków?

– Tak, jednego z amerykańskich żołnierzy, którzy służyli pod rozkazami Pete’a.

– Jednego z tych komandosów z dżungli?

– Tak, ale to już nie ma znaczenia. Mój klient zakomunikował mi przed chwilą, że nie życzy sobie kolejnych zeznań na temat wojny.

Sędzia zaciągnął się mocno camelem i podszedł do okna.

– Czy mamy jeszcze w ogóle jakichś świadków? – zapytał.

– Oskarżenie wezwało już wszystkich, Wysoki Sądzie – odparł Truitt.

– Nie mam nic więcej, panie sędzio – powiedział Wilbanks.

Oswalt odwrócił się i stanął za biurkiem.

– Dobrze. Odeślę przysięgłych do domu. Opracujemy teraz dla nich instrukcje, potem możecie panowie trochę odpocząć. Rano wygłosicie mowy końcowe i przekażę sprawę ławie przysięgłych.

* * *

Clay Wampler był kowbojem z Kolorado, który wstąpił do wojska w 1940 roku. W tym samym roku wysłano go na Filipiny i wcielono do Trzydziestej Pierwszej Dywizji Piechoty. Poddał się na półwyspie Bataan, przeżył słynny marsz śmierci i w obozie jenieckim poznał Pete'a Banninga. Kiedy Pete zachorował na malarię, uratowała go chinina, którą Clay dostał od japońskiego strażnika. Podczas transportu do obozu pracy w Japonii on i Pete uciekli. Doszli do wniosku, że skoro i tak uznano ich za martwych, mogą skryć się w dżungli – i tam spędzili pierwsze trzy dni i noce. Kiedy brakowało im już sił, by iść dalej, i rozważali, jak najlepiej popełnić samobójstwo, natknęli się na śpiącego w lesie ранego Japończyka i go dobili. W jego plecaku znaleźli jedzenie i wodę. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, ukryli ciało zabitego i cudem uniknęli spotkania z jego plutonem. Uzbrojeni w pistolet, nóż, karabin i bagnet, trafili w końcu na amerykańskich i filipińskich partyzantów. Ich domem stała się górzysta dżungla i już wkrótce nauczyli się zabijać nieprzyjacielskich żołnierzy. O ich wyczynach można by napisać grubą książkę.

Clay skontaktował się z Johnem Wilbanksem i zaproponował, że mu pomoże. Przyjechał do Clanton, gotów złożyć zeznania i powiedzieć wszystko, co mogłoby ocalić przyjaciela. Kiedy prawnik poinformował go, że nie zostanie wezwany na świadka, pojechał we wtorek po południu do aresztu odwiedzić Pete'a.

Szeryf Gridley wyszedł stamtąd o piątej po południu i jak to miał ostatnio w zwyczaju, przekazał pieczę nad aresztem nowemu kalifaktorowi i Tickowi Poleyowi. Florry uraczyła brata i Claya wspaniałą kolacją i przez wiele godzin słuchała opowieści o rzeczach, o których dotąd nie miała pojęcia. Nigdy wcześniej Pete nie opowiadał o wojnie. Kiedy panowie przerzucali się historyjkami, nie mogła uwierzyć, ile przecierpieli. To, że przeżyli, wydawało się cudem.

Clay w ogóle nie przyjmował do wiadomości, że stan Missisipi może uśmiercić jego przyjaciela. Kiedy Pete zapewnił

go, że jest to wielce prawdopodobne, Clay przysiągł, że zbierze stary oddział i zajmą Clanton. Pucułowaci zastępcy szeryfa, których widział na sali sądowej, nie mogli się mierzyć z jego kumplami, zahartowanymi w boju komandosami, mającymi na sumieniu tysiące ludzi zabitych w sposób tak straszny, że lepiej było o tym nie mówić.

– Często musieliśmy zabijać cichaczem – wyjaśnił ponurym tonem, zwracając się do Florry. – Strzał z broni palnej przyciąga uwagę.

Florry pokiwała głową, jakby było to dla niej całkiem oczywiste.

Długo po kolacji Tick Poley zapukał w końcu do drzwi i powiedział, żeby kończyli imprezę. Pete i Clay objęli się i pożegnali. Clay obiecał, że wróci tu z oddziałem i że uratują swojego kapitana. Pete odrzekł, że te czasy odeszły już w przeszłość.

Wrócił do swojej celi, zgasił światło i szybko zasnął.

Rozdział 16

Kiedy Miles Truitt wstał, by wygłosić mowę końcową, na dworze zaczął prószyć śnieg. Niewiele rzeczy poruszało miejscowych tak bardzo jak opady śniegu i choć według prognoz miało go napadać nie więcej niż kilka centymetrów, w mieście zapanował niepokój. Prokurator obawiał się, że może zaszkodzić to jego sprawie. Przysięgli nie będą chcieli tracić czasu na spory, pragnąc jak najszybciej wrócić do domu. John Wilbanks martwił się z kolei, że pogoda zaszkodzi Pete'owi. Mogła zdekoncentrować przysięgłych. Modlił się, by jeden albo dwóch opowiedziało się za dożywociem, a nie za wyrokiem śmierci. Teraz jednak sprzeciwiający się wyrokowi śmierci mogli dać za wygraną i dołączyć do większości tylko po to, by zdążyć do domu, nim drogi staną się nieprzejezdne. To, że Pete będzie skazany, wydawało się pewne, ale niejednomyślny werdykt oznaczał dożywocie, nie krzesło. John i Russell Wilbanksowie przez cały ranek debatowali na temat opadów śniegu i właściwie do niczego nie doszli. Russell był przekonany, że nie będą miały żadnego wpływu. Proces był krótki. Przysięgli zostali we właściwy sposób poinstruowani. Ich decyzja była zbyt ważna, by coś mogło ją odmienić.

O takie rzeczy spierają się prawnicy.

Truitt podszedł do ławy przysięgłych, uśmiechnął się do nich i podziękował za to, że spełniają swój obowiązek – jakby

mieli jakikolwiek wybór.

– Proszę, żebyście zignorowali zeznania ostatniego świadka, majora Rusconiego z Nowego Orleanu – powiedział. – Nic, co tu zeznał, nie ma związku z tą sprawą, z oskarżeniem o zabójstwo. Nie domagam się, żebyście zapomnieli o tym, czego dokonał oskarżony w służbie dla ojczyzny. Jego zasługi są niezwykle, nawet legendarne, ale na tym koniec. Wygraliśmy właśnie największą wojnę w historii i mamy wszelkie powody do dumy. Zginęło czterysta tysięcy Amerykanów i wszędzie w tym wielkim kraju rodziny starają się teraz jakoś pozbierać. W armii służyło ponad pięć milionów mężczyzn i kobiet, w większości wykazując się odwagą, nawet heroizmem. Ale bycie bohaterem wojennym nie daje nikomu prawa, by wrócić do domu i dopuścić się tak bezsensownej i strasznej zbrodni. Co będzie, jeśli wszyscy nasi wojenni bohaterowie postanowią wziąć prawo we własne ręce i zaczną strzelać?

Prokurator powoli przechadzał się tam i z powrotem, przemawiając bez notatek. Ćwiczył tę mowę godzinami, przygotowywał się do niej od wielu tygodni i wiedział, że to będzie jego wielka chwila.

– Proszę, żebyście zamiast tego pomyśleli o Jackie Bell i jej potomstwie. Tych wspaniałych dzieciach, które przeżyją resztę życia jako sieroty. Bez człowieka, który był wybitnym sługą Bożym, świetnym pastorem, kochającym mężem i ojcem. Człowieka, którego w wieku trzydziestu dziewięciu lat zabito z zimną krwią, zupełnie nie wiadomo dlaczego. Człowieka, który był całkiem bezbronny, niczego się nie spodziewał i nie miał powodu pytać, dlaczego jego przyjaciel odwiedził go niespodziewanie z bronią w ręku. Nie miał gdzie uciec, nie miał czasu się bronić, nie mógł uniknąć nagłej i tragicznej śmierci. Kaznodzieja albo czytał Biblię, albo właśnie skończył ją czytać, gdy raptem pojawił się oskarżony i odebrał mu życie. Przypuszczam, że nigdy się nie dowiemy, co poróżniło Dextera Bella i Pete'a Banninga, ale zadam pytanie, które wszyscy zadajemy sobie od października

zeszłego roku: dlaczego, w imię Boże, nie można było rozwiązać tego konfliktu bez rozlewu krwi?

Miles odwrócił się i zmierzył wzrokiem oskarżonego.

– Dlaczego? – powtórzył, rozkładając szeroko ręce.

Pete wpatrywał się prosto przed siebie i nawet nie drgnął.

– Ale zakończyło się to rozlewem krwi i teraz waszym obowiązkiem jest się z tym zmierzyć – podjął Truitt. – Nie ma żadnych wątpliwości co do faktów. Obrona nie zasugerowała nawet, że tej zbrodni dokonał ktoś inny. Obrona nie twierdzi, że Pete Banning jest umyślowo niezrównoważony. Obrona zrobiła wszystko, co mogła, ale ta zbrodnia jest nie do obrony. Pete Banning zastrzelił Dextera Bella. Działał samodzielnie i z premedytacją. Zaplanował to i doskonale wiedział, co robi. Kiedy za chwilę oddalicie się, by rozważyć werdykt, zabierzcie ze sobą kopię aktu darowizny, który podpisał zaledwie trzy tygodnie przed popełnieniem zabójstwa. Pete Banning przekazał swoje największe aktywa dzieciom, próbując chronić ziemię. W języku prawniczym nazywa się to oszukańczym transferem majątku. Oszukańczy transfer w ramach przygotowań do morderstwa. Nigdy się nie dowiemy, od jak dawna oskarżony je planował, ale nie ma to tak naprawdę większego znaczenia. Liczy się to, że zabójstwo było starannie przemyślane i popełnione z premedytacją.

Prokurator przerwał, podszedł do swojego stołu i napił się wody. Był aktorem w środku fascynującego występu i przysięgli, a także widzowie byli urzeczeni.

– Udowodnienie winy w tym przypadku jest proste, podobnie jak wydanie wyroku. Tylko i wyłącznie do was należy decyzja, czy skazać oskarżonego na śmierć na krześle elektrycznym, czy na dożywotnie więzienie, bez możliwości warunkowego zwolnienia, w zakładzie karnym Parchman. Powodem, dla którego mamy w tym stanie karę śmierci, jest to, że pewni ludzie na nią zasługują. Ten człowiek jest winien zabójstwa pierwszego stopnia i na mocy obowiązujących u nas przepisów nie ma prawa żyć. Nasze prawa nie zostały napisane po to, by chronić możnych i uprzywilejowanych albo

tych, którzy służyli temu krajowi na wojnie. Gdyby uznano, że jestem winien zabójstwa pierwszego stopnia, zasługiwałbym na śmierć. To samo dotyczy was. To samo dotyczy jego. Kiedy wrócicie do pokoju przysięgłych, przeczytajcie uważnie przepisy prawa. Są proste i jednoznaczne i nigdzie nie znajdziecie tam możliwości innego potraktowania bohaterów wojennych. Jeżeli w którymkolwiek momencie poczujecie pokusę, by okazać mu łaskę, proszę was, byście pomyśleli o Dexterze Bellu i jego rodzinie. Okażcie panu Pete'owi Banningowi taką samą łaskę, jaką on okazał Dexterowi Bellowi, niech Bóg ma go w swojej opiece. Złożyliście przysięgę, że spełnicie swój obowiązek, a w tym wypadku obowiązek wymaga uznania oskarżonego za winnego i orzeczenia wyroku śmierci. Dziękuję.

Sędzia Oswalt nie wyznaczył żadnych limitów czasu dla mów końcowych. Truitt mógł przemawiać nieprzerwanie przez godzinę czy dwie, ale roztropnie tego nie zrobił. Fakty były proste, przytoczone przez niego argumenty jasne i celne, proces okazał się krótki.

John Wilbanks miał przemawiać jeszcze krócej. Zaczął od nieco zaskakującego pytania.

– Co osiągniemy, skazując na śmierć Pete'a Banninga? Zastanówcie się nad tym przez chwilę. – Urwał i zaczął przechadzać się przed ławą przysięgłych. – Czy kiedy zostanie stracony, nasza społeczność będzie bezpieczniejsza? Odpowiedź brzmi: nie. Pete Banning urodził się przed czterdziestoma trzema laty i prowadził wzorowe życie jako mąż, ojciec, farmer, sąsiad, pracodawca, członek kościoła, absolwent West Point. Służył swojemu krajowi z odwagą, którą trudno nam sobie wyobrazić. Czy jego śmierć przywróci życie Dexterowi Bellowi? Odpowiedź jest oczywista. Wszyscy ogromnie współczujemy rodzinie pastora Bella, wiemy, jak bardzo cierpią. Pragną tylko jednego: odzyskać ojca i męża, ale to nie jest w waszej mocy. Czy skazując Pete'a Banninga na karę śmierci, spodziewacie się przeżyć resztę swego życia z poczuciem, że czegoś dokonaliście, że uczyniliście to, o co

was prosił stan Missisipi? Bardzo w to wątpię. Odpowiedź, panowie, jest taka, że nic nie osiągniecie, odbierając temu człowiekowi życie.

Wilbanks przerwał i rozejrzał się po sali. Po chwili odchrząknął i ponownie skupił wzrok na przysięgłych, patrząc im prosto w oczy.

– Oczywiście pytanie, jakie się tu rodzi, brzmi następująco: skoro zabijanie jest złem, a co do tego wszyscy się zgadzamy, to dlaczego stan Missisipi ma prawo zabijać? Ludzie, którzy ustanawiają nasze prawa w Jackson, wcale nie są od was mądrzejsi. Ich poczucie dobra i zła, i podstawowych kanonów moralnych nie jest silniejsze od waszego. Znam kilku z nich i mogę was zapewnić, że nie są tak przyzwoici i bogobojni jak wy. I nie tak roztropni jak wy. Jeśli przeczytacie niektóre ustanowione przez nich prawa, przekonacie się, że często się mylą. Ale gdzieś po drodze, w trakcie tworzenia prawa, ktoś z małym rozeznaniem postanowił dać wam, przysięgłym, możliwość wyboru. Zdali sobie sprawę, że każdy przypadek jest inny, każdy oskarżony jest inny i być może nadejdzie moment, kiedy przysięgli powiedzą sobie podczas procesu, że zabijanie musi się skończyć. Dlatego możecie wybierać między życiem a śmiercią. Takie dano wam prawo.

Znów nastąpiła kolejna dramatyczna pauza, w trakcie której Wilbanks spoglądał w oczy przysięgłym.

– Nie możemy wskrzesić Dextera Bella i oddać go jego dzieciom – podjął po chwili. – Ale Pete Banning też ma dzieci. Wspaniałego młodego syna i piękną córkę. Oboje studiują daleko stąd i mają całe życie przed sobą. Proszę, nie odbierajcie im ojca. Nie zrobili nic złego. Nie zasługują na tę karę. To jasne, Pete Banning nie będzie miał łatwo za więziennymi murami, ale jednak pozostanie przy życiu. Jego dzieci będą mogły go czasami odwiedzać. Na pewno będą mogły wysyłać mu listy i swoje ślubne fotografie, pozwolą mu cieszyć się zdjęciami wnuków. Choć zamknięty za kratkami, Pete będzie obecny w ich życiu, a oni będą obecni w jego. Pete Banning to wielki bohater, z pewnością większy ode mnie i od

wielu obecnych w tej sali. Znam go praktycznie przez całe życie. Mój ojciec przyjaźnił się z jego ojcem. Jest jednym z nas. Wyrósł z tej samej czarnej ziemi, wychowano go w tych samych tradycjach i wierzeniach co was i mnie. Co nam da złożenie go do grobu? Jeśli my, naród, skazemy na śmierć jednego z nas, hrabstwo Ford nigdy nie zmyje z siebie tej krwawej skazy. Nigdy, przenigdy.

Głos załamał mu się lekko, gdy próbował zapanować nad emocjami. Przełknął z trudem ślinę i zacisnął szczęki.

– Proszę was, członkowie ławy przysięgłych, ławy składającej się z jego pobratymców, ocalcie życie Pete'a Banninga – zakończył, mierząc ich błagalnym spojrzeniem.

Usiadł obok oskarżonego, objął go ramieniem i mocno uściskał. Pete w ogóle na to nie zareagował, nadal obojętnie patrzył przed siebie, jakby niczego nie słyszał.

Sędzia Oswalt udzielił przysięgłym ostatnich instrukcji, wszyscy wstali i członkowie ławy wyszli z sali.

– Ogłaszam przerwę – oznajmił sędzia i uderzył młotkiem.

Dochodziła jedenasta i śnieg właśnie przestał padać.

W kompletnym milczeniu salę opuściła mniej więcej połowa widzów. Wszyscy zastanawiali się, jak długo potrwa przerwa, ale ponieważ nikt nie potrafił tego przewidzieć, padło niewiele słów. Ci, którzy zostali, skupili się w małych grupkach i paląc papierosy, szeptali i kręcili głowami. Stary zegar nad stołem sędziego powoli odmierzał minuty.

Jackie Bell usłyszała już dosyć. Po kilku minutach wyszła razem z Errolem i ruszyli do jego samochodu. Errol zgarnął śnieg z przedniej szyby i wyjechali z miasta. Jackie nie widziała się z dziećmi już od czterech dni.

Florry również miała dość procesu. Unikając spojrzeń metodystów, ona i Mildred Highlander wzięły płaszcze, pojechały do domu Mildred i zaparzyły sobie herbatę. Siedząc przy kuchennym stole, przejrzały gazety z Tupelo, Memphis i Jackson. Wszystkie trzy miały swoich reporterów na sali sądowej i fotoreporterów na zewnątrz. Gazety z Tupelo

i Memphis zamieściły relacje z procesu na pierwszych stronach, ze zdjęciami Pete'a, dzień wcześniej wchodzącego w kajdankach do sądu. Gazeta z Jackson zrobiła to samo na stronie drugiej. Florry wycięła te materiały i dodała do swojego zeszytu. Chciała zadzwonić do Joela i Stelli i przekazać im straszne wieści, kiedy tylko zostaną ogłoszone.

Pete wrócił do swojej celi i poprosił o filiżankę kawy. Roy Lester przyniósł ją i Pete mu podziękował.

– Hej, Pete, masz ochotę na partyjkę? – zapytał po kilku minutach Leon Colliver, bimbrownik zajmujący celę naprzeciwko.

– Jasne.

Pete wyszedł ze swojej celi, zdjął z haka w ścianie kółko z kluczami i otworzył celę Leona. Rozłożyli planszę do cribbage'a pośrodku korytarza i zaczęli grać. Leon wyciągnął piersiówkę, pociągnął z niej łyk i podał Pete'owi. Ten nie odmówił.

– Jakie masz szanse? – zapytał Leon.

– Prawie żadne.

– Skażę cię na krzesło elektryczne?

– Zdziwiłbym się, gdyby tego nie zrobili.

* * *

Nikt nie chciał objąć funkcji przewodniczącego. Jego wybór, jak poinstruował ich sędzia, był pierwszą rzeczą, którą powinni się zająć. Hal Greenwood miał wiejski sklep niedaleko jeziora i był wygadany człowiekiem. Ktoś wysunął jego kandydaturę i przeszła jednogłośnie. Hal rzucił żartem, że powinni mu więcej zapłacić. Aktualna stawka w hrabstwie Ford wynosiła dolara za dzień.

Sędzia Oswalt zaznaczył, że nie muszą się spieszyć. Proces trwał krótko; w tym tygodniu na wokandzie nie mieli nic innego, a sprawa była w oczywisty sposób poważna. Zasugerował, żeby zaczęli obrady od zapoznania się

z pisemnymi instrukcjami i omówienia stosownych ustępów kodeksu. Tak też zrobili.

Powiedział również, że powinni starannie zbadać wszystkie dowody rzeczowe. Rewolwer i pociski nie przyciągnęły większej uwagi – tak naprawdę nie były potrzebne. Hal przeczytał powoli na głos raport z sekcji zwłok i raport balistyczny, a także, pomijając prawnicze niuanse, najważniejsze punkty aktu darowizny.

Walter Willy pilnował porządku nie tylko na sali rozpraw, ale także w pokoju przysięgłych. Stojąc samotnie na warcie w korytarzu, przepędzał każdego, kto się zbliżył. Wiedział, że przyciskając ucho do drzwi, usłyszy prawie wszystko, co mówiono w środku, i oczywiście jak zawsze korzystał z tej możliwości. Usłyszał słowo „lunch” i szybko się cofnął. Hal Greenwood otworzył drzwi i oświadczył, że przysięgli są głodni. Walter odrzekł, że pomyślał o tym zawczasu i zamówił kanapki.

Czekając na nie, Hal zaproponował, żeby przeprowadzili pierwsze głosowanie w kwestii winy. Każdy z nich wypowiedział w końcu słowo „winien”, choć dwaj zrobili to bardzo niechętnie.

John i Russell Wilbanksowie zjedli lunch w sali konferencyjnej swojej kancelarii. Zazwyczaj szli na drugą stronę ulicy do kafejki, ale tego dnia nie mieli ochoty wystawiać się na spojrzenia i banalne uwagi ludzi, których prawie codziennie tam widywali. Russell podziwiał apel, jaki jego brat wystosował do przysięgłych w mowie końcowej, i wierzył, że jeden albo dwóch z nich opowie się za karą dożywocia. John nie całkiem podzielał jego przekonanie. Nadal był sfrustrowany, a nawet przygnębiony tym, jak musiał prowadzić obronę. Gdyby dano mu wolną rękę, potrafiłby dowieść niepoczytalności oskarżonego i ocaliłby Pete’owi życie. Niestety, jego klient postanowił, jak widać, za wszelką cenę sam się zniszczyć. W najważniejszej być może sprawie w swoim życiu John został zapędzony w ślepy zaułek, a jego rola nie różniła się wiele od roli gapia.

Dziobiąc widelcem lunch, uświadomił sobie po raz kolejny, że w życiu adwokata nic nie jest tak denerwujące jak czekanie na decyzję ławy przysięgłych.

* * *

Jeden ze znajomych Joela ze studenckiego bractwa pochodził z małego miasta odległego o godzinę drogi od Uniwersytetu Vanderbilta. Kiedy w poniedziałek rano zaczął się proces, Joel zdał sobie sprawę, że nie może myśleć o niczym innym. Znajomy zaprosił go do rodzinnej posiadłości, gdzie jeździli konno, godzinami polowali w leśnej głuszy i próbowali rozmawiać o wszystkim, tylko nie o tym, co działo się w Clanton. Każdego wieczoru Joel dzwonił do Stelli, żeby zapytać, co u niej słychać. Ona też opuszczała zajęcia i starała się unikać ludzi.

* * *

Przewidywania Russella Wilbanksa okazały się słuszne. Trzech z dwunastu przysięgłych nie potrafiło się zmusić, by głosować za karą śmierci, przynajmniej na tak wczesnym etapie. Jeden, Wilbur Stack, był weteranem wojennym, który trzykrotnie został ranny, walcząc we Włoszech. Miles Truitt nie wyeliminował go tylko dlatego, że wykorzystał prawo do wyłączenia pięciu kandydatów już wcześniej. Drugi, Dale Musgrave, miał tartak przy jeziorze i przyznał, że jego ojciec prowadził interesy z ojcem Pete'a i często wyrażał się z wielkim podziwem o Banningach. Ktoś zauważył, że może należało o tym wspomnieć podczas procesu selekcji, niemniej było już za późno. Trzeci, Vince Pendergrass, był malarzem pokojowym i zielonoświątkowcem; jak twierdził, nic nie wiązało z go Banningami, ale nie mógł uwierzyć, że oczekuje się od niego usankcjonowania kary śmierci. Kilku innych wyraziło podobne wątpliwości, lecz byli zdecydowani trzymać

się litery prawa. Choć żaden z dwunastu przysięgłych nie głosował chętnie za karą śmierci, wszyscy w nią wierzyli. Na papierze i w teorii była dość popularna w całym kraju, a już szczególnie w Missisipi, jednak bardzo niewiele osób było powoływanych do ławy przysięgłych i brało osobistą odpowiedzialność za jej zastosowanie. To była zupełnie inna sytuacja.

Debata toczyła się w kulturalny sposób, każdy mógł swobodnie wyrazić swoją opinię. Śnieg stopniał. Niebo było bezchmurne, drogi przejezdne. Nie mieli powodu spieszyć się do domu. O trzeciej po południu Hal Greenwood otworzył drzwi i poprosił Waltera o dzbanek kawy i dwanaście filiżanek.

Po kawie, w powietrzu coraz gęstszym od papierosowego dymu, dobre maniery przestały obowiązywać i coraz częściej podnoszono głos. Linia sporu była widoczna, ale antagoniści jeszcze się nie okopali. Dziewięciu członków ławy twardo trzymało się swego zdania, za to trzech oponentów zaczęli się łamać. Zwracano im wielokrotnie uwagę, że mają do czynienia z zabójstwem, które zostało starannie zaplanowane i które nie powinno się zdarzyć. Gdyby Pete Banning zajął miejsce dla świadków i wyjaśnił swoje motywacje, być może znalazłby trochę współczucia. Ale on siedział tam obojętny, w ogóle nie interesując się własnym procesem, i ani razu nie spojrzął na ławę przysięgłych.

Facet w oczywisty sposób został poszkodowany w czasie wojny. Dlaczego jego obrońca tego nie wykazał? Czy motywacje sprawcy mogły mieć coś wspólnego z jego żoną i Dexterem Bellem? Metodystom nie spodobała się ta sugestia i zaczęli bronić honoru zabitego pastora. Hal Greenwood ostrzegł, że nie wolno im oceniać sprawy w oderwaniu od faktów. Byli związani tym, co usłyszeli i zobaczyli na sali sądowej.

O czwartej po południu Vince Pendergrass ugiął się i dołączył do większości. Była to pierwsza zmiana frontu i kluczowy moment. Dziesięciu przysięgłych zaczęło coraz śmieiej naciskać Wilbura Stacka i Dale'a Musgrave'a.

* * *

Ernie Dowdle wyszedł z sali rozpraw i zobaczył, że Walter Willy drzemie przy drzwiach do pokoju przysięgłych. Dochodziła piąta, Ernie powinien już wracać do domu, mimo to przystanął i zapytał, czy woźny czegoś nie potrzebuje. Ten zapewnił go, że nie, i poprosił, by się natychmiast oddalił – on, Walter, ma nad wszystkim pieczę.

– Co oni tam robią? – zapytał Ernie, wskazując drzwi.

– Deliberują – odparł profesjonalnym tonem Walter. – A teraz proszę odejść.

– Ustalają werdykt?

– Nie mogę powiedzieć.

Ernie odszedł i wspinał się po wąskich schodach na trzecie piętro, gdzie władze hrabstwa miały niewielką bibliotekę prawniczą i kilka składzików. Stąpając jak najciszej, podszedł do drzwi pogrążonego w mroku wąskiego pomieszczenia gospodarczego i je otworzył. Penrod siedział na stołku z niezapaloną kukurydzianą fajką w ustach. Od podłogi do sufitu biegł żeliwny przewód wentylacyjny. Ze szpary w podłodze sączył się nie tylko dym papierosowy, ale także stłumione głosy siedzących piętro niżej przysięgłych.

– Jedenaście do jednego – szepnął bezgłośnie Penrod.

Ernie zdziwił się. Godzinę wcześniej wynik głosowania wynosił dziewięć do trzech. On i Penrod wiedzieli, że gdyby ktoś odkrył, że podsłuchują, wylano by ich pewnie z roboty i posłano za kratki, w związku z czym zachowywali ścisłą dyskrecję. Sprawy rozstrzygane przez ławę przysięgłych były w większości cywilne i zbyt nudne, by się narażać. W rzadkich sprawach kryminalnych występowali zwykle czarny oskarżony i biała ława przysięgłych, więc werdykt zapadał szybko i był łatwy do przewidzenia. Proces pana Banninga był o wiele ciekawszy. Czy biali naprawdę byli gotowi skazać i zabić jednego ze swoich?

* * *

Nie zdziaławszy nic tego popołudnia, John Wilbanks postanowił ukoić pod wieczór stargane nerwy. Razem z Russellem wycofał się do pokoiku na górze, gdzie mieli dzbanek z kawą i dobrze zaopatrzony bar. Russell nalał im obu jacka danielsa na lodzie i usiedli w starych wiklinowych fotelach, które mieli w firmie od dziesięcioleci. Przez okno widzieli stojący po drugiej stronie ulicy budynek sądu, a na drugim piętrze sylwetki przysięgłych, którzy co jakiś czas przechadzali się po pokoju. Obradowali od sześciu godzin, czyli niezbyt długo jak na wiejskie rejony Missisipi.

John przypomniał bratu historyjkę o pewnej ławie przysięgłych, która w czasach wielkiego kryzysu debatowała przez wiele dni nad całkiem trywialną sprawą. Werdykt trafił w końcu do sędziego, przysięgłych zwolniono do domu i wtedy dopiero wyszła na jaw prawda. Stawka w wysokości dolara dziennie była wtedy całkiem wysoka, a większość przysięgłych i tak nie miała nic innego do roboty.

Bracia roześmiali się, nalali sobie jeszcze po jednym i rozważali właśnie, gdzie wybrać się na kolację, kiedy światło w pokoju przysięgłych zgasło. Chwilę później zadzwonił telefon i sekretarka weszła na piętro z wiadomością, że ława przysięgłych jest gotowa.

* * *

Sędzia Oswalt odczekał trochę, żeby wiadomość trafiła do zainteresowanych i widzowie mogli wrócić. O dziewiętnastej, tak jak obiecał, pojawił się na sali, poprosił Waltera Willy'ego, by darował sobie jodłowanie, i kazał szeryfowi wprowadzić oskarżonego. Pete Banning usiadł na swoim krześle, nie patrząc na nikogo. Kiedy wszyscy zajęli miejsca, Walter poszedł po przysięgłych.

Wchodzili na salę powoli, jeden za drugim, wszyscy ze spuszczoneymi głowami. Jeden zerknął na publiczność; inny na Pete'a. A potem usiedli i utkwili wzrok w sędzim, jakby nienawidzili tej chwili i desperacko pragnęli znaleźć się gdzie indziej.

– Czy uzgodniliście werdykt, panowie przysięgli? – zapytał sędzia Oswalt.

Hal Greenwood wstał, trzymając w ręce kartkę papieru.

– Tak, Wysoki Sądzie, uzgodniliśmy.

– Proszę przekazać go woźnemu.

Walter Willy wziął kartkę od Hala i nie patrząc na nią, podał sędziemu. Ten powoli ją przeczytał.

– Czy wszyscy panowie zgadzacie się z tym werdyktem? – zapytał.

Wszystkich dwunastu pokiwało głowami, jedni ledwo dostrzegalnie, inni z entuzjazmem.

– Proszę oskarżonego o powstanie z miejsca.

Pete Banning powoli wstał, wyprostował się, napiął ramiona, wysunął do przodu podbródek i zmierzył twardym wzrokiem sędziego.

– Jednomyślny werdykt brzmi, jak następuje: „My, członkowie ławy przysięgłych, uznajemy oskarżonego, Pete'a Banninga, za winnego morderstwa pierwszego stopnia na osobie Dextera Bella. I my, członkowie ławy przysięgłych, wydajemy na niego wyrok śmierci przez porażenie prądem elektrycznym”.

Oskarżony nie tylko się nie skrzywił, ale też nawet nie mrugnął. Inni zareagowali jednak bardziej emocjonalnie i pośród widzów rozległy się westchnienia i jęki. Wilbur Stack z ławy przysięgłych nie wytrzymał i schował twarz w dłoniach. Do końca życia miał żałować, że się ugiął i głosował za wyrokiem śmierci na innego żołnierza.

Florry jakoś się trzymała, głównie dlatego, że werdykt nie był zaskoczeniem. Jej brat właśnie tego się spodziewał. Obserwowała przysięgłych w czasie całego procesu i wiedziała, że nie okażą litości. I szczerze mówiąc, dlaczego

mieliby ją okazać? Z powodów, które wydawały się niepojęte, jej brat stał się zabójcą, i to takim, któremu nie zależało na współczuciu. Ocierając chusteczką policzki, pomyślała o Joelu i Stelli, ale udało jej się pohamować łzy. Popłacze później, kiedy będzie sama.

Sędzia Oswalt wziął do ręki kolejną kartkę.

– Panie Banning, na mocy prerogatyw nadanych mi przez stan Missisipi – przeczytał – skazuję pana niniejszym na śmierć na krześle elektrycznym w terminie dziewięćdziesięciu dni od dzisiaj, to jest w dniu ósmego kwietnia tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku. Może pan usiąść.

Pete usiadł z kamienną twarzą. Sędzia Oswalt poinformował prawników, że mają trzydzieści dni na złożenie apelacji, następnie podziękował przysięgłym i zwolnił ich do domu. Kiedy wyszli, zerknął na szeryfa Gridleya.

– Zabierz go do aresztu – powiedział, wskazując Pete’a.

Rozdział 17

W Tea Shoppe przy głównym placu drzwi otwarto jak zwykle o szóstej rano i już po paru minutach kawiarnia była pełna. Prawnicy, bankierzy, duchowni i biznesmeni – czyli białe kołnierzyki – zasiedli przy kawie i bułeczkach i przekazywali sobie poranne gazety. Nikt nie siedział sam. Był tam okrągły stolik demokratów i inny, w drugim końcu sali, republikanów. Twardogłowi z Ole Miss zbierali się blisko wejścia, zwolennicy State College zajmowali stolik bliżej kuchni. Osobne miejsce mieli metodyści, osobne baptyści. Między stolikami często dochodziło do dyskusji, żartowano i wygłupiano się, ale prawdziwe kłótnie zdarzały się rzadko.

Szeroko omawiano werdykt. Wszyscy znali dokładnie fakty i plotki, lecz i tak przyszli wcześniej, by upewnić się, czy nic im nie umknęło. Być może Pete Banning przerwał milczenie i powiedział coś obrońcy albo szeryfowi Gridleyowi. Może Jackie Bell skomentowała werdykt w rozmowie z jakimś reporterem. Może gazeta z Tupelo trafiła na jakiś ślad, który inni zignorowali. I najważniejsze pytanie: czy naprawdę dojdzie do egzekucji Pete'a Banninga?

Jakiś budowlaniec zapytał mecenasa Reeda Taylora, jak wygląda procedura apelacji. Reed wyjaśnił, że John Wilbanks ma trzydzieści dni, by zawiadomić sąd, że ją złoży, i kolejne trzydzieści, by dostarczyć wszystkie wymagane papiery. Prokurator generalny w Jackson przeanalizuje je i jego biuro

będzie miało znów trzydzieści dni na odpowiedź. To daje razem dziewięćdziesiąt dni. Ze sprawą zapozna się następnie stanowy Sąd Najwyższy i może to zająć kilka miesięcy. Jeśli sąd podważy wyrok, choć Reed bardzo w to wątpił, sprawa wróci do hrabstwa Ford i będzie osądzona ponownie. Jeśli sąd stanowy oddali apelację, John Wilbanks może przeciągać sprawę dalej, składając apelację do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych. Byłaby to strata czasu, ale Pete mógł zyskać dzięki temu kilka miesięcy. Jeżeli Wilbanks nie zdecyduje się na ten krok, do egzekucji dojdzie jeszcze w tym roku.

Reed wyjaśnił następnie, że kiedy zapada wyrok śmierci, apelacja jest automatyczna. Śledził uważnie cały proces i nie dostrzegł żadnej nieprawidłowości, która mogłaby dać do niej podstawę, ale jej złożenie i tak było wymagane. Dodał mimochodem, że jedynym możliwym błędem było dopuszczenie do zeznań żołnierza, który opowiadał o wojnie. Tyle że to w oczywisty sposób zaszkodziło oskarżeniu. W związku z czym John Wilbanks nie miał nic na poparcie swojej apelacji.

Po wyjaśnieniach Reeda mężczyźni wrócili do swoich małych grupek i prowadzonych półgłosem rozmów. Co jakiś czas drzwi się otwierały i podmuch zimnego powietrza rozwiewał papierosowy dym i zapach smażonego boczku. Nagle do kawiarni wszedł ich starający się o głosy stanowy senator. Nie był stąd: mieszkał w Smithfield w hrabstwie Polk. Poza kampanią wyborczą prawie go nie widywali i większości stałych bywalców nie podobała się obecność kogoś takiego w tym dramatycznym momencie. Krążył dokoła z obleśnym uśmiechem, wymieniając uściski dłoni i próbując zapamiętać nazwiska. W końcu przysiadł się do baptystów, którzy nagle bardzo się zainteresowali tym, co pisano w gazetach, i swoją kawą. Kilka lat wcześniej nie zajął zdecydowanego stanowiska w kwestii ogólnostanowego zakazu sprzedaży alkoholu i bardzo im wówczas podpadł.

Po kilku kwadransach stało się jasne, że w sprawie Banninga nie wydarzyło się nic nowego. Proces był szybki,

werdykt jeszcze szybszy. Po jego ogłoszeniu nic ważnego nie padło z ust przysięgłych, prawników, oskarżonego i rodziny ofiary. Próby puszczania w obieg jakichś plotek spełzły na niczym i o wpół do ósmej goście Tea Shoppe ustawili się w kolejce do kasy.

* * *

Późnym wieczorem w środę, po strasznym telefonie od Florry, Joel wrócił na kampus. W czwartek z samego rana zajrzał do czytelni czasopism w głównej bibliotece uniwersyteckiej, gdzie na półkach leżało kilkadziesiąt porannych wydań gazet z całego kraju. Gazet z Tupelo i Jackson tam nie dostarczano, ale zawsze był dostępny egzemplarz „Memphis Press-Scimitar”. Joel zabrał go do boksu, obejrzał fotografię ojca wyprowadzanego w kajdankach z budynku sądu i przeczytał relację o tym, co się wydarzyło, kiedy przysięgli wrócili na salę z gotowym werdyktem. Nadal nie mógł uwierzyć, że egzekucja ma się odbyć tak szybko. Nie mógł uwierzyć w żaden element tej tragedii.

Siedemnastego maja miał odebrać dyplom. A zatem pięć tygodni po tym, jak jego ojca posadzą na krześle elektrycznym, on, młody Joel Banning, wiek dwadzieścia jeden lat, razem z tysiącem innych absolwentów przejdzie w todze i birecie po trawniku i z dumą odbierze dyplom prestiżowego uniwersytetu. Wydawało się to niemożliwe.

Niemożliwe wydawało się również, by poszedł teraz na kolejne zajęcia. Chociaż jego koledzy z bractwa zwarli szyki i starali się go chronić i zachowywać pozory normalnego studenckiego życia, Joel czuł się stygmatyzowany, zhańbiony, a czasami nawet zakłopotany. Czuł, jak na zajęciach ludzie gapią się na niego. Niemal słyszał, jak szepczą za jego plecami, na kampusie i gdzie indziej. Studiował na ostatnim roku, miał dobre oceny, powinien bez trudu dociągnąć do dyplomu i to

właśnie zamierzał zrobić. Spotka się z profesorami i obieca, że da radę. Przerwanie studiów nie wchodziło w grę. Musiał przetrwać.

Jego podanie o przyjęcie na wydział prawa w Yale zostało odrzucone. Mógł podjąć studia prawnicze na Uniwersytecie Vanderbilta i na Ole Miss, ale różnica w wysokości czesnego była znaczna. Teraz, kiedy ojciec został skazany, można się było spodziewać cywilnego pozwu o odszkodowanie. Rodzinne finanse mogły zostać nadszarpnięte i Joel nie wiedział, czy studia prawnicze są w jego zasięgu. Pomyśleć, że któryś z Banningów martwi się o pieniądze, i wszystko dlatego, że jego ojciec miał do kogoś anse. O cokolwiek poprzytkali się Pete i wielebny Bell, skórka była niewarta wyprawki.

Minęła godzina i Joel opuścił pierwsze tego dnia zajęcia. Wyszedł z biblioteki, pokręcił się po kampusie i kupił sobie w kafejce kawę. Wypił ją, opuścił następne zajęcia i w końcu wrócił do akademika i zadzwonił do siostry.

Stella też nie mogła sobie znaleźć miejsca. Postanowiła wziąć urlop dziekański i do końca roku zaszyć się w Waszyngtonie. Uwielbiała swoją uczelnię i zamierzała ją kiedyś skończyć, ale w tym momencie wszyscy, których tam widywała, wiedzieli, że jej ojciec trafił do więzienia za morderstwo, a teraz został skazany na śmierć. Nie mogła znieść całego tego wstydu i współczucia. Tęskniła za matką. Bolała nad losem ojca, ale uświadomiła sobie, że łatwiej jej myśleć o nim źle.

Jej dziekan znał mieszkającą w Waszyngtonie absolwentkę Hollins i do niej zadzwonił. Stella miała wyjechać tam już następnym pociągiem, zamieszkać w małym gościnnym domku w Georgetown, opiekować się jakimiś dziećmi, wychowywać je, być niańką, gońcem, kimkolwiek. Poza rodziną jej gospodarzy nikt, kogo spotka, nie będzie znał jej nazwiska, nie będzie wiedział, skąd pochodzi. Dzięki przenosinom z Roanoke do Waszyngtonu znajdzie się jeszcze dalej od Clanton.

* * *

Proces od samego początku do końca relacjonował dla „Memphis Press-Scimitar” młody, nieopierzony reporter Hardy Capley. W czasie wojny jego brat trafił do niewoli i Hardy’ego zaintrygował obecny na procesie Clay Wampler, kowboj z Kolorado, który służył niegdyś z Pete’em Banningiem na Filipinach. Clayowi nie pozwolono ostatecznie zeznawać, ale zwracał na siebie uwagę na sali sądowej, zwłaszcza podczas przerw. Potem został jeszcze w Clanton i wyjechał dopiero po kilku dniach. Hardy ubłagał swojego redaktora, żeby pozwolił mu pójść tropem tej historii. Wybrał się autobusem i pociągiem do Kolorado i spędził dwa dni z Wamplerem, który opowiedział mu o swoich przygodach na Filipinach, gdzie pod dowództwem Pete’a Banninga prowadził partyzancką wojnę z Japończykami.

Tekst miał dziesięć tysięcy słów, choć w zasadzie mógł być pięć razy dłuższy. Hardy napisał niesamowity reportaż, który zasługiwał na publikację, ale był po prostu za długi dla gazety. On jednak za żadne skarby nie chciał go skrócić, zagroził, że pójdzie z nim gdzie indziej, i tak długo wiercił swoim szefom dziurę w brzuchu, że zgodzili się zamieścić go w trzech odcinkach.

Hardy opisał ze wszystkimi szczegółami oblężenie półwyspu Bataan: waleczność amerykańskich i filipińskich żołnierzy; głód, strach i choroby, które ich dziesiątkowały; bezprzykładną odwagę w obliczu przeważających sił wroga i upokorzenie, kiedy musieli skapitulować. Słynny bataański marsz śmierci przedstawiony został tak wyraziście, że redaktorzy musieli łagodzić ostrość pewnych sformułowań. Fragmenty dotyczące okrucieństwa japońskich żołnierzy zostały lekko ocenzurowane. Opisy bezwzględnego mordowania i głodzenia amerykańskich jeńców wojennych budziły w czytelnikach smutek i gniew.

Choć wiele faktów było już wcześniej znanych z relacji tych, którzy uciekli z niewoli i którym udało się przeżyć, publikacja wywarła na mieszkańcach Clanton duże wrażenie, bo dotyczyła jednego z ich ziomków. Przez ponad dwa lata Pete Banning dowodził grupą amerykańskich i filipińskich komandosów, którzy nękali Japończyków, świadomi tego, że każdy dzień może być ich ostatnim. Otarłszy się tyle razy o śmierć, pogodzili się z nią jako z czymś oczywistym i walczyli z niesłychaną brawurą. Zabili setki japońskich żołnierzy, niszczyli mosty, linie kolejowe, samoloty, koszary, czołgi, składy broni i magazyny żywności. Obawiano ich się tak bardzo, że za głowę Pete'a Banninga wyznaczona została nagroda w wysokości dziesięciu tysięcy dolarów. Stale tropieni partyzanci potrafili zniknąć w dżungli i kilka dni później zaatakować w miejscu odległym o trzydzieści kilometrów od ich ostatniej znanej pozycji. Zdaniem Wamplera, z pewnością nieobiektywnego, Pete Banning był najwspanialszym żołnierzem, jakiego kiedykolwiek poznał.

Odcinki reportażu były w hrabstwie Ford powszechnie czytane i w znacznym stopniu ostudziły entuzjazm, z jakim oczekiwano na egzekucję Pete'a. Sędzia Oswalt zwierzył się nawet Johnowi Wilbanksowi, że gdyby gazeta opublikowała reportaż przed procesem, byłby zmuszony przenieść go w inne miejsce.

Pete Banning za żadną cenę nie chciał mówić o wojnie. Teraz zaczął o niej mówić ktoś inny i wielu mieszkańców hrabstwa zapragnęło, by ta historia zakończyła się inaczej.

* * *

Nawet jeśli oskarżonego przygłębił wyrok śmierci, absolutnie nie dawał tego po sobie poznać. Pete pełnił w dalszym ciągu obowiązki kalifaktora, tak jakby proces w ogóle się nie odbył. Pilnował porządku w areszcie, utrzymywał w czystości dwie więzienne toalety, strofował

współwięźniów, którzy nie posłali rano łóżek albo zostawiali śmieci na podłodze celi, zachęcał ich do czytania książek, gazet i czasopism, a dwóch z nich, białego i czarnego, uczył czytać. Nadal zaopatrywał areszt w dobre jedzenie, które pochodziło głównie z jego farmy. Kiedy nie był zaabsorbowany obowiązkami kalifaktora, grał godzinami w cribbage'a z Leonem Colliverem, czytał książki albo drzemał. Ani razu nie poskarżył się na wyrok czy na swój los.

Po wyroku znacznie zwiększyła się ilość otrzymywanej przez niego poczty. Listy od weteranów, którzy przeżyli piekło wojny na Filipinach, przychodziły prawie z każdego stanu. Długie listy, w których żołnierze opowiadali swoje historie. Wspierali z całego serca Pete'a i oburzało ich, że skazano na śmierć bohatera wojennego. Pete odpisywał, z konieczności krótko, i już niebawem poświęcał dwie godziny dziennie na korespondencję.

Jego listy do dzieci były dłuższe. Wkrótce go już nie będzie, ale zachowają na zawsze to, co im napisał. Joel nie przyznał się ojcu, że ma wątpliwości co do studiów prawniczych. Stella nawet się nie zająknęła, że przerwała naukę i mieszka w Waszyngtonie. Dziekan z Hollins przekazywał jej listy Pete'a i wysyłał do niego listy Stelli. Nawet ciotce nie zdradziła, gdzie przebywa.

Pewnego popołudnia, kiedy Pete rozgrywał partię cribbage'a, Tick Poley zawiadomił go, że przyszedł jego adwokat. Pete podziękował za informację i spokojnie dokończył grę, kładąc Johnowi Wilbanksowi czekać całe dwadzieścia minut.

– Do środy musimy złożyć apelację – oznajmił Wilbanks, kiedy usiedli sami w biurze szeryfa.

– Jaką apelację? – zdziwił się Pete.

– Dobrze pytanie. Tak naprawdę to nie jest apelacja, bo nie mamy żadnych podstaw, żeby apelować. Ale prawo mówi, że w przypadku wyroku śmierci apelacja jest automatyczna, więc muszę coś napisać.

– To nie ma sensu, podobnie jak wiele innych przepisów prawa – stwierdził Pete, po czym otworzył paczkę pall malli i zapalił.

– Nie ja jestem ich autorem, Pete, ale przepis to przepis. Mam zamiar złożyć bardzo krótki wniosek i przesłać go w ostatniej chwili. Chcesz go przeczytać?

– Co w nim będzie?

– Niewiele. Użyję pewnie starego wytrychu: werdykt nie uwzględniał wagi przedstawionych dowodów.

– Wydawało mi się, że dowody były całkiem przekonujące.

– Owszem. A ponieważ nie mogłem oprzeć obrony na domniemaniu niepoczytalności, co było naszą jedyną możliwą strategią i z pewnością dałoby pożądane rezultaty, w gruncie rzeczy nie mam o czym pisać.

– Nie jestem wariatem, John.

– Odbyliśmy już tę dyskusję i teraz za późno, by do niej wracać.

– Nie podoba mi się sam pomysł apelacji.

– Dlaczego mnie to nie dziwi?

– Zostałem skazany przez moich pobratymców, zacnych ludzi z mojego rodzinnego hrabstwa, którzy mają więcej zdrowego rozsądku niż wszyscy ci sędziowie w Jackson. Nie kwestionujemy ich werdyktu, John.

– Muszę coś złożyć. To idzie z automatu.

– Nie składaj apelacji w moim imieniu, rozumiesz, John?

– Nie mam wyboru.

– W takim razie znajdę sobie innego adwokata.

– Och, cudownie, Pete. To się po prostu nie mieści w głowie. Chcesz mnie zwolnić teraz, kiedy jest już po procesie. Chcesz mieć innego adwokata, żebyś jego też mógł ubezwłasnowolnić? Zaraz trafisz na krzesło elektryczne. Kto, do diabła, będzie chciał cię reprezentować na ostatnim etapie?

– Nie składaj apelacji.

John Wilbanks zerwał się i ruszył w stronę drzwi.

– Złożę ją, bo musi być złożona, ale nie zamierzam tracić z tobą więcej czasu, Pete. Nie zapłaciłeś mi jeszcze

honorarium za proces.

– Zajmę się tym.

– Wciąż mi to powtarzasz. – Wilbanks wymaszerował z biura szeryfa i zatrzasnął za sobą drzwi.

* * *

Apelacja została złożona, a John Wilbanks wiedział tylko, że jego klient ani go nie zwolnił, ani mu nie zapłacił. Była to jedna z najkrótszych apelacji, jakie kiedykolwiek otrzymał Sąd Najwyższy Missisipi w sprawie o morderstwo, i ze swojej strony sąd zachował się wzorowo, to znaczy wystosował równie krótką odpowiedź. Procesowi nie można było nic zarzucić, a obrona nie wskazała żadnych błędów proceduralnych. Sąd Najwyższy często krytykowano za powolne procedowanie i sędziowie nie chcieli rozstrzygać tak szybko akurat w tak głośnej sprawie. Poinstruowali więc urzędnika sądowego, żeby w sprawie Banninga zarządził wysłuchanie stron na wiosnę. John Wilbanks poinformował urzędnika, że nie prosił o wysłuchanie stron i nie weźmie w nim udziału. Nie miał na nim nic do powiedzenia.

Nadszedł ósmy kwietnia i egzekucja się nie odbyła. Do Tea Shoppe już wcześniej dotarły wieści, że nastąpiła zwłoka i nie wyznaczono żadnej następnej daty, więc w Clanton nie liczono kolejnych dni. Zamiast plotkować o Banningu, w mieście i całym hrabstwie zainteresowano się na wiosnę czymś o wiele ważniejszym: sadzeniem bawełny. Pola zaorano, przygotowano do sadzenia i bacznie śledzono pogodę. Farmerzy obserwowali niebo i zaglądali do kalendarzy. Jeśli zasadzi się bawełnę za wcześnie, na przykład pod koniec marca, obfite opady mogą wymyć ziarno. Jeśli zasadzi się za późno, na przykład z początkiem maja, krzaki nie urosną i będą narażone na powodzie w październiku. Uprawa roli jak zwykle przypominała ruletkę.

Buford Provine, od dawien dawna pełniący u Banningów funkcję brygadzysty, przyjeżdżał codziennie rano do aresztu, by wypalić z Pete'em papierosa. Spotykali się zwykle na dziedzińcu za aresztem: Buford opierał się o drzewo, a Pete siadał po drugiej stronie trzymetrowego ogrodzenia z siatki. Był na „podwórku”, małym placu, na który więźniowie wychodzili czasami zaczerpnąć świeżego powietrza. Wykorzystywano go również na odwiedziny i konferencje z prawnikami. Każdy powód był dobry, byle tylko wyjść z budynku.

Dziewiątego kwietnia, dzień po tym, gdy miała się odbyć egzekucja, Pete rozmawiał z Bufordem o almanachach oraz publikowanych przez służby meteorologiczne prognozach i postanowili zasadzić bawełnę jak najszybciej. Kiedy Buford odjechał, Pete długo patrzył w ślad za jego pick-upem. Cieszył się, że podjęli akurat taką decyzję, ale wiedział, że z pewnością nie dożyje zbiorów.

* * *

Dzień przed uroczystym wręczeniem dyplomów na Uniwersytecie Vanderbilta Joel spakował swoje rzeczy do dwóch marynarskich worków i opuścił Nashville. Wsiadł w pociąg jadący do Waszyngtonu i odnalazł Stellę w Georgetown. Ucieszyła się na jego widok i przyznała, że jest całkiem zadowolona ze swojej pracy, w której „praktycznie wychowywała trójkę dzieci”. Jej gościnny domek był za mały, by pomieścić jeszcze jedną osobę, a poza tym jej szef nie życzył sobie, by ktoś tam dodatkowo zamieszkał. Joel znalazł pokój w tanim hoteliku koło Dupont Circle i zatrudnił się jako kelner w wykwintnej restauracji. Razem ze Stellą zwiedzali w wolnych chwilach miasto i cieszyli się, mogąc spacerować pośród tłumów ludzi, którzy w ogóle ich nie znali i nie mieli pojęcia, skąd pochodzą. W długich listach do domu wyjaśnili ciotce i ojcu, że podjęli wakacyjną pracę w Waszyngtonie

i wszystko u nich w porządku. Więcej na temat swoich studiów napiszą potem.

Czwartego czerwca 1947 roku Sąd Najwyższy stanu Missisipi zatwierdził jednomyślnie, bez wysłuchania stron, wyrok na Pete'a Banninga i zwrócił akta sprawy sędziemu Oswaltowi. Tydzień później sędzia wyznaczył datę egzekucji na dziesiątego lipca 1947 roku.

Więcej apelacji nie było.

Rozdział 18

Przed rokiem 1940 w stanie Missisipi wyrok śmierci wykonywano przez powieszenie, które w tamtym czasie było preferowaną metodą w całym kraju. W jednych stanach zabijano skazańców po cichu, bez fanfar, w innych egzekucje były publiczne. Twardzi politycy w Missisipi wierzyli mocno, że pokazywanie ludziom, co się stanie, jeśli przekroczą czerwoną linię, jest skutecznym środkiem zapobiegania przestępczości, dlatego wymierzanie kary głównej stawało się w większości przypadków spektaklem. Decyzję co do formy egzekucji podejmowali miejscowi szeryfowie, ale biali skazańcy byli z reguły wieszani w zaciszu więzienia, a czarni publicznie.

Między rokiem 1818 a 1940 w Missisipi powieszono osiemset osób. Z tego osiemdziesiąt procent było czarnych. Mowa tu oczywiście o mordercach i gwałcicielach straconych z wyroku sądu. W tym samym okresie około sześciuset czarnych mężczyzn zostało zlinczowanych przez grupy, które działały poza systemem prawnym i nie ponosiły za to żadnych konsekwencji.

Stanowe więzienie wzięło swoją nazwę od nazwiska pierwszego dyrektora, Jima Parchmana. Mieściło się na terenie dużej, liczącej ponad trzy tysiące hektarów plantacji bawełny w hrabstwie Sunflower, w samym sercu Delty². Miejscowi nie chcieli, by ich ziemię nazywano „hrabstwem

śmierci”, i mieli chody u polityków. W rezultacie wieszano ludzi w hrabstwach, w których popełnili oni zbrodnie. Nie było żadnych stałych szubienic ani wyszkolonych katów, żadnych standardowych procedur ani protokołu. Założenie komuś stryczka na szyję i dopilnowanie, by zawisł, nie było zbyt skomplikowane. Miejscowi stawiali dwa słupy, montowali poprzeczną belkę i zapadnię, a szeryfowie byli odpowiedzialni za powieszenie delikwenta na oczach zgromadzonej gawiedzi.

Wieszanie było szybkie i skuteczne, ale zdarzały się problemy. W 1932 roku biały mężczyzna, niejaki Guy Fairley, zawisł na stryczku, ale coś poszło nie tak. Sznur nie złamał mu karku, tak jak powinien, i biedak miotał się na nim, wyjąc, krwawiąc i umierając stanowczo zbyt długo. Jego wypadek był szeroko opisywany i skłonił do szukania innych rozwiązań. W 1937 roku pod innym białym mężczyzną, Trayem Samsonem, załamała się zapadnia, a jego głowa odpadła od ciała i potoczyła się pod nogi szeryfa. Był tam fotograf i chociaż żadna gazeta nie zamieściła zdjęcia, i tak krążyło między ludźmi.

W roku 1940 z problemem zmierzyła się stanowa legislatura. W ramach kompromisu uzgodniono, że stan przestanie wieszać ludzi i zastosuje nowocześniejszą metodę: porażenia prądem. A ponieważ miejscowi nadal nie chcieli, by egzekucje odbywały się w Parchman, władze postanowiły skonstruować przenośne krzesło elektryczne, które można by przewozić z hrabstwa do hrabstwa. Zachwyceni własną pomysłowością, ustawodawcy szybko uchwalili stosowne prawo. Problemy zaczęły się, gdy zdano sobie sprawę, że nikt w całym kraju nie użył dotąd przenośnego krzesła elektrycznego. I przez dłuższy czas żadna firma nie chciała podjąć się wcielenia w życie tego nowatorskiego i sprytnego pomysłu.

W końcu zgłosiła się pewna firma z Memphis i skonstruowała pierwsze w dziejach przenośne krzesło elektryczne. W jego skład wchodziło dwieście metrów kabli

wysokiego napięcia, tablica rozdzielcza, własny generator, hełm z paskami oraz elektrody zaprojektowane zgodnie ze specyfikacją opracowaną w stanach, w których funkcjonowały stacjonarne krzesła elektryczne. Całe urządzenie przewożone było z hrabstwa do hrabstwa w przeznaczony specjalnie do tego celu wielkiej srebrnej ciężarówce.

Nowym stanowym katem został obleśny facet, niejaki Jimmy Thompson, którego zwolniono właśnie warunkowo z Parchman, gdzie odsiadywał wyrok za napad z bronią w rękę. Był nie tylko byłym więźniem, ale też byłym marynarzem, byłym żołnierzem piechoty morskiej, byłym prestidigitatorem na rzecznych parowcach, byłym hipnotyzerem i czynnym pijakiem. Dostał tę robotę dzięki znajomościom – osobiście znał gubernatora. Płacono mu sto dolarów za egzekucję, plus zwrot kosztów.

Thompson uwielbiał światło fleszy i chętnie udzielał wywiadów. Zjawiał się zawsze trochę wcześniej na miejscu, pokazywał swoje przenośne krzesło oraz tablicę rozdzielczą i pozował do zdjęć z miejscowymi. Po swojej pierwszej egzekucji powiedział reporterowi, że skazaniec „umierał ze łzami wdzięczności w oczach, że tak sprawnie i szybko przeniósł się dzięki mnie na tamten świat”. Stracony czarny mężczyzna, Willie Mae Bragg, którego skazano za zabicie żony, został sfotografowany, kiedy zastępcy szeryfa przywiązywali go do poręczy krzesła i później, gdy na nim konał. Egzekucje nie były otwarte dla publiczności, ale zawsze brało w nich udział wielu świadków.

Krzesło zyskało wkrótce przydomek Starej Iskrówki i jego sława rosła. Była to jedna z tych rzadkich chwil, gdy stan Missisipi znalazł się w awangardzie postępu. Doceniła to Luizjana i skonstruowała podobne urządzenie, ale inne stany nie poszły w ich ślady.

Od października 1940 roku, kiedy Jimmy Thompson zaczął objeżdżać stan z gościnnymi występami, do stycznia 1947 roku Starej Iskrówki użyto trzydzieści siedem razy. Praktyka nie uczyniła z niego mistrza i chociaż obywatele byli dumni

z wykonanych wyroków śmierci, składano coraz więcej skarg. Każda egzekucja wyglądała inaczej. Niektóre przebiegały szybko i w miarę bezboleśnie, inne były długie i makabryczne. W roku 1943 coś poszło nie tak, kiedy Thompson niewłaściwie przymocował elektrody do nóg skazańca. Od płonących elektrod zapaliły się jego spodnie i ciało, a chmury gryzącego dymu o mało nie zadławiły obecnych na sali świadków. W 1944 roku pierwszy ładunek prądu nie zabił skazanego i Thompson musiał pociągnąć za wajchę ponownie. I jeszcze raz. Dwie godziny później biedak wciąż żył i cierpiał straszliwy ból. Szeryf próbował przerwać tę gehennę, ale Thompson nie chciał o tym słyszeć. Zwiększył moc generatora i wykończył skazańca ostatnim ładunkiem.

W maju 1947 roku Starą Iskrówę ustawiono w głównej sali sądu hrabstwa Hinds w Jackson i stracono na niej skazanego za morderstwo czarnego mężczyznę.

A w lipcu Jimmy Thompson przyjechał ze swoim urządzeniem do hrabstwa Ford.

* * *

Ponieważ Johnowi Wilbanksowi tak często zadawano to pytanie i tak często udzielał na nie szczerej odpowiedzi, nikt nie miał wątpliwości, że egzekucja jednak się odbędzie. Nie mogło jej powstrzymać nic prócz prośby o ułaskawienie, którą Wilbanks złożył do gubernatora, nie informując o tym swojego klienta. Ułaskawienie leżało jedynie w kompetencjach gubernatora i szanse na jego uzyskanie były niewielkie. Składając wniosek, John dołączył list, w którym tłumaczył, że robi to tylko po to, by wyczerpać wszystkie drogi prawne. Jak wielokrotnie wyjaśniał, z wyjątkiem ewentualnego ułaskawienia nic nie stało już na przeszkodzie, by do egzekucji doszło zgodnie z planem. Nie toczyła się żadna apelacja. Nie zamierzano podejmować w ostatniej chwili żadnych prawniczych manewrów. Nic.

Czwartego lipca Clanton uroczyście obchodziło Dzień Niepodległości. W maszerującej przez miasto paradzie wzięło udział kilkudziesięciu umundurowanych weteranów, którzy rozdawali dzieciom cukierki. Na trawniku przed sądem ustawiono grille i budki z lodami. W altance zagrała orkiestra. Ponieważ był to rok wyborczy, kandydaci podchodzili do mikrofonu i składali liczne obietnice. Świąteczny nastrój był jednak trochę zwarzony, bo mieszkańcy nie mówili o niczym poza zbliżającą się egzekucją. I jak zauważył z balkonu swojego biura John Wilbanks, na ulicach świętowało zdecydowanie mniej ludzi niż zazwyczaj.

We wtorek ósmego lipca pojawił się w swojej srebrnej ciężarówce Jimmy Thompson i zaparkował ją tuż przy budynku sądu. Wyładował urządzenie i zachęcał wszystkich ciekawskich, by je oglądali. Jak zawsze pozwolił kilku dzieciakom usiąść na krześle elektrycznym i pozować do fotografii. Gromadzących się reporterów raczył opowieściami o swoich wspaniałych dokonaniach na terenie całego stanu. Przedstawił im całą procedurę, wyjaśniając szczegółowo, jak prąd o napięciu dwóch tysięcy woltów biegnie ze znajdującego się w ciężarówce generatora po chodniku do środka budynku, po schodach i do sali rozpraw, gdzie Starą Iskrówę ustawiono już obok ławy przysięgłych.

* * *

Joela i Stellę, którzy późnym wieczorem przyjechali pociągiem do Clanton, powitała na stacji Florry. Ignorując wszystkich, pośpiesznie wsiedli do samochodu i pojechali do jej różowego domku, gdzie czekała z kolacją Marietta. Wieczór był ponury, rozmowa się nie kleiła. O czym mieli mówić? W miarę jak powoli docierała do nich rzeczywistość, wydawało im się, że wkraczają w jakiś koszmar.

* * *

W środę z samego rana Nix Gridley zajrzał do sali rozpraw i nie zdziwił się, widząc niewielki tłumek wpatrzonych w Starą Iskrówę gapiów. Jimmy Thompson, którego śliskiej obecności szeryf miał już chwilami dosyć, rozprawiał właśnie o niezwykłych zaletach swojej maszyny. Po kilku minutach szeryf wyszedł i ruszył do aresztu. Znalazł tam Roya Lestera i po jakimś czasie wyszli bocznymi drzwiami razem z Pete'em Banningiem, wsiedli do wozu patrolowego Gridleya i odjechali szybko na południe. Pete siedział z tyłu, bez kajdanek, i kiedy jechali szosą Natchez Trace Parkway, prawie się nie odzywał. W mieście Kosciusko Roy poszedł kupić w barze kawę i bułeczki, a Pete i szeryf zostali w samochodzie. Jedli potem w milczeniu, pokonując kolejne kilometry.

Dyrektor stanowego szpitala w Whitfield czekał na nich przy bramie wjazdowej. Nix Gridley ruszył w ślad za nim i zatrzymał się dopiero przy budynku numer 41, w którym Liza Banning spędziła ostatnie czternaście miesięcy. Czekają tam na nich dwóch lekarzy. Wszyscy sztywno się sobie przedstawili, po czym Pete wszedł z nimi do gabinetu i zamknęto za nim drzwi.

Rozmowę prowadził doktor Hilsabeck.

– Przykro mi to mówić, panie Banning, ale pańska żona nie czuje się dobrze – oświadczył. – A to, co się stanie, tylko pogorszy sytuację. Jest kompletnie wycofana i z nikim nie rozmawia.

– Musiałem tu przyjechać – wyjaśnił Pete. – Nie mogło być inaczej.

– Rozumiem. Jej wygląd z pewnością pana zaskoczy i proszę nie spodziewać się jakiejś reakcji z jej strony.

– Jak dużo wie?

– Powiedzieliśmy jej wszystko. Obserwowaliśmy u niej pewne oznaki poprawy do momentu, gdy przed kilkoma miesiącami usłyszała o morderstwie. To spowodowało dramatyczny regres i od tej pory jej stan wciąż się pogarsza. Kiedy dwa tygodnie temu dowiedziałem się od szeryfa, że egzekucja jest nieunikniona, próbowaliśmy jej to w jakiś

łagodny sposób przekazać. Reakcją było całkowite wycofanie się. Prawie w ogóle nie je i nie odezwała się odtąd ani słowem. Szczerze mówiąc, jeśli egzekucja się odbędzie, nie mamy pojęcia, jak to na nią wpłynie. Bardzo się o nią martwimy.

– Chciałbym ją zobaczyć.

– Oczywiście.

Pete ruszył za nim przez korytarz i dalej, na pierwsze piętro. Przy nieoznakowanych drzwiach czekała pielęgniarka. Hilsabeck skinął głową do Pete'a i ten otworzył drzwi. Pielęgniarka i lekarz zostali na zewnątrz.

Pokój oświetlała tylko zawieszona pod sufitem słaba lampa. Nie było tu okna. Drzwi z boku prowadziły do małej łazienki. Na wąskim drewnianym łóżku siedziała, nie śpiąc i czekając na niego, podparta poduszkami Liza Banning. Miała na sobie spłowiały szary szlafrok i była przykryta kołdrą. Pete ostrożnie podszedł do łóżka i usiadł przy jej stopach. Przyglądała mu się bacznie, jakby się go bała. Nie miała jeszcze czterdziestki, ale posiwiałe włosy, wychudłe policzki, zmarszczki, blada cera i zapadnięte oczy sprawiały, że wydawała się o wiele starsza. W pokoju panowały półmrok, bezruch i cisza.

– Przyjechałem się pożegnać, Lizo – powiedział w końcu Pete.

– Chcę się zobaczyć z dziećmi – odparła zaskakująco mocnym głosem.

– Dzień lub dwa po mojej śmierci przyjadą tutaj, obiecuję.

Liza zamknęła oczy i wypuściła z płuc powietrze, jakby z ulgą. Mijały minuty. Pete zaczął delikatnie gładzić przez kołdrę jej nogę. Nie zareagowała.

– Dzieci na pewno sobie poradzą, Lizo. Są silne i nas przeżyją.

Łzy zaczęły jej płynąć po policzkach i skapywać z podbródka. Ani ona, ani on nie starali się ich otrzeć. Mijały kolejne minuty i łzy płynęły dalej.

– Kochasz mnie, Pete? – szepnęła.

– Kocham. Zawsze cię kochałem i nigdy nie przestałem.

– Potrafisz mi wybaczyć?

Wbił wzrok w podłogę i przez dłuższą chwilę nie podnosił oczu. W końcu odchrząknął.

– Nie będę cię okłamywał. Próbowiałem wiele razy, Lizo, ale nie, nie potrafię ci wybaczyć.

– Proszę, Pete, nim odejdiesz, powiedz, że mi wybaczasz.

– Przykro mi. Kocham cię i zabiorę moją miłość do grobu.

– Jak za dawnych czasów?

– Jak za dawnych czasów.

– Co się stało tymi czasami, Pete? Dlaczego nie możemy być znów razem, my i dzieci?

– Wiemy dlaczego, Lizo. Za dużo się wydarzyło. Przykro mi.

– Mnie też jest przykro, Pete. – Zaczęła szlochać, a on przysunął się i ją objął.

Była krucha i słaba i nagle stanęły mu przed oczami szkielety, które musiał grzebać na półwyspie Bataan: zwłoki niegdyś zdrowych żołnierzy, zagłodzonych na śmierć i wążących niespełna pięćdziesiąt kilogramów. Zamknął oczy, odsunął od siebie te myśli i przypomniał sobie jej ciało w tych cudownych czasach, gdy nie mógł od niej oderwać dłoni. Tęsknił za tamtym okresem, za niezbyt odległą przeszłością, kiedy żyli w stanie niemal stałego podniecenia i nigdy nie marnowali okazji.

W końcu coś w nim pękło i też się rozplakał.

* * *

Nineva przygotowała ostatnią wieczerzę i było to ulubione danie Pete'a: smażone kotlety wieprzowe, ziemniaki purée z sosem i gotowana okra. Przyjechał po zmroku z szeryfem i Royem Lesterem, którzy usiedli na werandzie i czekali, bujając się w wiklinowych fotelach.

Nineva obsłużyła rodzinę w jadalni i z płaczem wyszła. Amos pożegnał się i odprowadził ją do ich domku.

W trakcie kolacji odzywał się głównie Pete, pewnie dlatego, że nikt inny nie miał wiele do powiedzenia. Co mogliby mówić w tej okropnej chwili? Florry nie przełknęłaby ani kęsa, Joel i Stella nie mieli apetytu. Za to Pete był głodny i krojąc kotlet, opisywał swoją wizytę w Whitfield.

– Powiedziałem waszej mamie, że jeśli tego chce, możecie ją odwiedzić w piątek – oświadczył.

– To będzie miłe rodzinne spotkanie – skomentował Joel. – Pogrzebiemy cię w piątek rano, a potem wyruszymy do wariatkowa spotkać się z mamą.

– Ona chce się z wami spotkać – powiedział Pete, żując mięso.

– Próbowaliśmy się z nią spotkać wcześniej – mruknęła Stella, która nawet nie wzięła do ręki widelca. – Ale ty do tego nie dopuściłeś. Dlaczego?

– Cóż, nie będziemy się chyba kłócić przy naszym ostatnim posiłku, prawda, Stello?

– Oczywiście, że nie. Jesteśmy Banningami i o niczym nie dyskutujemy. Mamy trzymać buzię na kłódkę i zasuwać dalej, udając, że wszystko jest w porządku, sekrety będą dochowane, życie wróci do normy i nikt nigdy się nie dowie, dlaczego postawiłeś nas w takiej strasznej sytuacji. Cały gniew ma być stłumiony, wszystkie pytania zignorowane. Jesteśmy Banningami, najtwardszymi z twardych... – Załamał jej się głos i otarła oczy.

– Spotkałem się z Johnem Wilbanksem i wszystko jest załatwione – oznajmił Pete, nie zważając na jej słowa. – Buford pilnuje upraw. Będzie spotykał się z Florry i dbał o to, by farma dobrze funkcjonowała. Ziemia jest przepisana na was i pozostanie w rodzinie. Dochód będzie co rok dzielony i dostaniecie czeki na Boże Narodzenie.

Joel odłożył widelec.

– Więc życie będzie po prostu toczyło się dalej, tak, tato? Jutro zostaniesz stracony, pojutrze cię pochowamy, a potem wyjedziemy i wrócimy do naszych małych światów, jakby nic się nie stało.

– Każdy kiedyś umrze, Joel. Mój ojciec nie dożył pięćdziesiątki, tak samo jak jego ojciec. Banningowie nie żyją długo.

– No tak, to naprawdę pocieszające – mruknęła Florry.

– Miałem na myśli mężczyzn. Kobiety żyją w tej rodzinie dłużej.

– Czy możemy porozmawiać o czymś poza umieraniem? – wtrąciła Stella.

– Ależ oczywiście, siostrzyczko – rzucił Joel. – O pogodzie, o uprawach, o tym, jak Cardinals radzą sobie w rozgrywkach? Co zajmuje twoje myśli w tej strasznej chwili?

– Nie wiem – odparła i dotknęła serwetką oczu. – Nie mogę w to uwierzyć. Nie mogę uwierzyć, że siedzimy tutaj i próbujemy coś jeść, kiedy widzimy cię po raz ostatni.

– Musisz być silna, Stello – powiedział Pete.

– Mam dosyć bycia silną albo udawania, że nią jestem. Nie mogę uwierzyć, że to się dzieje w naszej rodzinie. Dlaczego to zrobiłeś?

Na dłuższą chwilę zapadła cisza. Obie kobiety ocierały oczy. Joel nałożył sobie na widelec ziemniaczanego purée i połknął je szybko.

– Domyślam się, że chcesz zabrać swój sekret do grobu, tak, tato? – zapytał. – Nawet teraz, w ostatniej godzinie, nie powiesz nam, dlaczego zabiłeś Dextera Bella. Żebyśmy do końca życia zastanawiali się nad tym. Tak to sobie wyobrażasz?

– Mówiłem już wam, że nie będę tego roztrząsać.

– Oczywiście.

– Jesteś nam winien wyjaśnienie – powiedziała Stella.

– Nie jestem wam, do cholery, nic winien – wybuchł Pete, po czym wzięł głęboki oddech. – Przepraszam. Ale nie będę o tym mówił.

– Mam jedno pytanie – odezwał się spokojnie Joel. – A ponieważ to ostatnia szansa, by usłyszeć na nie jakąś odpowiedź, i chodzi o coś, co będzie mnie intrygowało do końca życia, zamierzam je zadać. Widziałeś wiele strasznych

rzeczy podczas wojny i sam zabiłeś wtedy wielu ludzi. Czy kiedy żołnierz widzi tyle śmierci, to go znieczula? Sprawia, że życie staje się trochę tańsze? Czy doszedłeś do punktu, kiedy wydało ci się, że śmierć to w gruncie rzeczy nic takiego? Nie krytykuję cię, tato, chcę po prostu wiedzieć.

Pete wziął do ust kawałek kotleta i żując go, zastanawiał się nad odpowiedzią.

– Chyba tak – rzekł w końcu. – Doszedłem do punktu, w którym zdałem sobie sprawę, że umrę. Kiedy tak się dzieje w boju, żołnierz przyjmuje to do wiadomości i walczy jeszcze zacieklej. Straciłem wielu przyjaciół. Niektórych sam pogrzebałem. Przestałem więc zawierać przyjaźnie. Ostatecznie jednak nie zginąłem. Ocalałem i z powodu tego, przez co przeszedłem, życie wydało mi się jeszcze bardziej bezcenne. Ale przy okazji zrozumiałem, że umieranie jest częścią życia. Niektórzy umierają wcześniej od innych. Czy to odpowiada w jakimś stopniu na twoje pytanie?

– Niezupełnie. Domyślam się, że nie ma na nie odpowiedzi.

– Mieliśmy chyba nie rozmawiać o umieraniu – wtrąciła Florry.

– To jest nierzeczywiste – powiedziała Stella.

– Życie nigdy nie jest tanie – podjął Pete. – Każdy dzień jest darem i nigdy o tym nie zapominajcie.

– A życie Dextera Bella? – zapytał Joel.

– On zasłużył na śmierć, Joel. Nigdy tego nie zrozumiesz i przypuszczam, że pewnego dnia przekonasz się, że w życiu jest wiele rzeczy, których nigdy nie zrozumiemy. Nikt wam nie zagwarantuje, że przeżyjecie swoje życie, wszystko o wszystkim wiedząc. Jest wiele tajemnic. Zaakceptujcie to i idźcie dalej.

Pete wytarł usta i odsunął od siebie talerz.

– Ja też mam pytanie – odezwała się Stella. – Będziesz tu długo pamiętany, niekoniecznie z właściwych powodów. W gruncie rzeczy twoja śmierć przejdzie prawdopodobnie do legendy. Moje pytanie jest następujące: jak chcesz, żebyśmy cię zapamiętali?

– Jako dobrego człowieka – odparł z uśmiechem Pete – który powołał do życia dwójkę wspaniałych dzieci. Niech świat mówi, co chce, ale i tak nie będzie mógł powiedzieć złego słowa o was dwojgu. Umrę jako dumny człowiek dzięki tobie i twojemu bratu.

Stella zasłoniła twarz serwetką i zaczęła szlochać. Pete powoli wstał z krzesła.

– Muszę już jechać – oznajmił. – Szeryf miał długi dzień.

Joel też wstał i płacząc, uściskał ojca.

– Bądź silny – powiedział Pete.

Zapłakana Stella nie była w stanie podnieść się z miejsca. Pete nachylił się i pocałował ją w czoło.

– Dość tych lamentów – rzucił. – Bądźcie silni ze względu na waszą matkę. Któregoś dnia wróci tutaj. Zobaczymy się jutro – dodał, spoglądając na Florry.

Skinęła głową i Pete wyszedł z jadalni. Słyszając, jak zatraskują się za nim frontowe drzwi, wszyscy troje się rozplakali. Joel wyszedł na werandę i patrzył, jak samochód szeryfa zmierza w stronę szosy.

Rozdział 19

Dziesiątego lipca, w dniu, w którym przypadał drugi wyznaczony przez sędziego Rafe'a Oswalta termin egzekucji, Pete Banning obudził się o świcie i zapalił papierosa. Roy Lester przyniósł mu filiżankę kawy i zapytał, czy chce zjeść śniadanie. Pete nie chciał. Roy zapytał, czy dobrze spał, i Pete odrzekł, że owszem. Nie, w tym momencie Roy nie może nic dla niego zrobić, ale dzięki, że zapytał. Leon Colliver pozdrowił go z drugiej strony korytarza i zaproponował ostatnią partyjkę cribbage'a. Pete'owi spodobał się ten pomysł i rozłożyli planszę między celami. Pete przypomniał Leonowi, że ten jest mu winien dwa dolary trzydzieści pięć centów za swoje przegrane partie, a Leon przypomniał Pete'owi, że nie zapłacił za cały bimber, który wypili w ciągu minionych dziewięciu miesięcy. Pośmiali się, uścisnęli sobie dłonie i uznali, że są kwita.

– Trudno uwierzyć, że to się rzeczywiście stanie – powiedział Leon, tasując karty.

– Prawo to prawo. Czasami ci sprzyja, a czasami wprost przeciwnie.

– To po prostu nie jest sprawiedliwe.

– A kto powiedział, że życie jest sprawiedliwe?

Po kilku rozdaniach Leon wyciągnął z kieszeni piersiówkę.

– Tobie może nie jest to potrzebne, ale mnie tak – powiedział.

– Ja dziękuję.

Drzwi się otworzyły i podszedł do nich Nix Gridley. Wydawał się roztrzęsiony i wyczerpany.

– Mogę coś jeszcze dla ciebie zrobić, Pete? – zapytał.

– Nic nie przychodzi mi do głowy.

– W porządku. Musimy jeszcze przećwiczyć całą procedurę, żebyś wiedział po prostu, czego się spodziewać.

– Później, Nix, jeśli nie masz nic przeciwko. W tym momencie jestem zajęty.

– Rozumiem. Słuchaj, przed aresztem kłębi się tłum reporterów. Wszyscy chcą wiedzieć, czy coś im powiesz.

– Dlaczego miałbym z nimi teraz rozmawiać?

– Tak też myślałem. No i dzwonił John Wilbanks. Chce tu zajrzeć.

– Mam już powyżej dziurek w nosie Johna Wilbanka. Nie mamy sobie nic do powiedzenia. Wyjaśnij mu, że jestem zajęty.

Szeryf przewrócił oczami i wyszedł.

* * *

Żołnierze zaczęli pojawiać się przed południem. Przybywali z pobliskich hrabstw, po krótkiej, jedno- lub dwugodzinnej podróży. Przybywali z innych stanów i ci jechali całą noc. Przyjeżdżali pojedynczo pick-upami i po kilku w jednym samochodzie. Przyjeżdżali w mundurach, które kiedyś dumnie nosili, ale także w kombinezonach roboczych, w strojach khaki i w garniturach, pod krawatem. Przyjeżdżali nieuzbrojeni, nie mając zamiaru sprawiać kłopotów, ale wystarczyłoby jedno słowo z ust ich bohatera, żeby stanęli do walki. Przyjeżdżali, by oddać mu hołd, żeby z nim być, gdy będzie umierał, bo wcześniej był z nimi na wojnie. Przyjeżdżali, żeby się pożegnać.

Parkowali wokół budynku sądu, potem przy placu, a kiedy zabrakło tam miejsca, w kolejnych bocznych uliczkach.

Krążyli po śródmieściu, pozdrawiając się nawzajem i mierząc ponurym spojrzeniem tutejszych mieszkańców, ludzi, do których naprawdę nie żywili sympatii, bo to właśnie oni, miejscowi, skazali go na śmierć. Przemierzali korytarze sądu i gapili się na zamknięte drzwi sali na piętrze. Przesiadali, by zabić czas, w barach i kafejkach, rozmawiając między sobą, ale nie odzywając się do nikogo z miasta. Przystawali przy srebrnej ciężarówce i przyglądali się kablom, które biegły wzdłuż chodnika i znikwały w budynku sądu. Kręcili głowami i obmyślali sposoby, jak można by to wszystko zatrzymać, ale potem szli dalej i czekali. Patrzyli spode łba na policjantów i zastępców szeryfa, kilkunastu uzbrojonych i umundurowanych mężczyzn, w większości przysłanych z sąsiednich hrabstw.

* * *

Gubernatorem był Fielding Wright, adwokat z Delty, który zrobił karierę w polityce. Objął urząd osiem miesięcy wcześniej, po śmierci swojego poprzednika, i chciał, by wybrano go teraz na pełną czteroletnią kadencję. W czwartek po lunchu spotkał się z prokuratorem generalnym, który zapewnił go, że na drodze sądowej nie można już w żaden sposób zapobiec egzekucji.

Wright otrzymał masę listów, których nadawcy prosili, a nawet żądali, by ułaskawił Pete'a Banninga, inni jednak chcieli, by sprawiedliwości stało się zadość. Gubernator uważał swoich rywali w wyborach za słabych i nie chciał nadawać egzekucji politycznego znaczenia, lecz podobnie jak innych intrygowała go ta sprawa. Wyjechał ze swojego biura w stolicy stanu z kierowcą i asystentem, siedząc na tylnym siedzeniu służbowego cadillaca model 1946. Poprzedzani przez dwóch funkcjonariuszy w oznakowanym samochodzie policji stanowej, ruszyli na północ. Najpierw zatrzymali się w Grenadzie, gdzie gubernator spotkał się ze swoim ważnym

zwolennikiem, a potem, z tego samego powodu, w Oxfordzie. Dotarli do Clanton tuż po piątej i objechali plac. Gubernatora zadziwiły tłumy ludzi na trawniku przed sądem. Szeryf zapewnił go, że sytuacja jest pod kontrolą i nie są potrzebne dodatkowe siły policji.

Wieści o przyjeździe gubernatora jakoś się rozeszły i kolejny tłum, w większości reporterów, czekał przed budynkiem aresztu. Kiedy Wright wysiadł z samochodu, błysnęły flesze i zasypano go pytaniami. Ignorując je, wszedł z uśmiechem do środka. W biurze czekał na niego Nix Gridley razem z Johnem Wilbanksem i stanowym senatorem. Gubernator znał Wilbanksa, który popierał w wyborach jego kontrkandydata. W tym momencie nie miało to znaczenia. Dla Wrighta nie była to sprawa polityczna.

Roy Lester wprowadził więźnia i wszyscy zostali sobie przedstawieni. John Wilbanks poprosił uprzejmie senatora, żeby wyszedł. To, o czym chcieli mówić, nie powinno go interesować. Senator niechętnie spełnił jego prośbę. Kiedy czterej mężczyźni zostali sami, gubernator zaczął z wigorem opowiadać, jak to przed wielu laty poznał ojca Pete'a na jakimś spotkaniu w Jackson. Wiedział, że rodzina Banningów liczy się w tym mieście i od dawna należy do tutejszej elity.

Na skazańcu nie zrobiło to większego wrażenia.

– Jak pan zapewne wie, panie Banning – podjął gubernator – mam prawo zamienić pański wyrok śmierci na dożywocie i dlatego właśnie tu przyjechałem. Naprawdę nie widzę, jaką możemy odnieść korzyść z pańskiej egzekucji.

Pete wysłuchał go z uwagą.

– Cóż, jestem wdzięczny, że pan się tu pofatygował, ale nie prosiłem o to spotkanie – odparł.

– Nikt mnie nie prosił. Przyjechałem tu z własnej woli i chcę pana ułaskawić i wstrzymać egzekucję, ale zrobię to pod jednym warunkiem. Jeśli wyjaśni pan mnie, a także szeryfowi i własnemu adwokatowi, dlaczego zabił pan tego pastora.

Pete spojrział ostro na Wilbanksa, jakby to on stał za tym spiskiem. Adwokat pokręcił głową.

– Nie mam nic do powiedzenia – oznajmił Pete, mierząc obojętnym wzrokiem gubernatora.

– To sprawa życia i śmierci, panie Banning. Chyba nie chce pan zginąć za parę godzin na krześle elektrycznym.

– Nie mam nic do powiedzenia.

– Ja wcale nie żartuję, panie Banning. Niech pan odpowie na moje pytanie i egzekucja zostanie wstrzymana.

– Nie mam nic do powiedzenia.

John Wilbanks spuścił głowę i podszedł do okna. Nix Gridley wypuścił z płuc powietrze, jakby chciał powiedzieć: „A nie mówiłem!”. Gubernator Wright przez chwilę wpatrywał się w Pete’a, który bez jednego mrugnięcia wytrzymał jego spojrzenie.

– No dobrze. Jak pan chce – rzucił w końcu gubernator, po czym wstał, wyszedł z gabinetu, opuścił budynek aresztu i nadal ignorując reporterów, pojechał do domu pewnego doktora, który zaprosił go na kolację.

* * *

O zmroku tłum, który otaczał budynek sądu, zgęstniał i sąsiednie ulice wypełnili ludzie. Ruch kołowy został wstrzymany i trzeba było korzystać z objazdów.

Roy Lester wyszedł z biura szeryfa i pojechał do domu Mildred Highlander. Czekala tam na niego Florry i wrócił z nią do aresztu. Wślizgnęli się do budynku tylnymi drzwiami, unikając reporterów. W gabinecie szeryfa Nix Gridley uścisnął ją na powitanie, po czym wyszedł i kilka minut później przyprowadzono tam jej brata. Usiedli naprzeciwko siebie, dotykając się kolanami.

– Jadłeś coś? – zapytała cicho.

Pete pokręcił głową.

– Nie. Zaproponowali mi ostatni posiłek, ale nie mam apetytu.

– Czego chciał gubernator?

– Wpadł, żeby się pożegnać. Jak się czują dzieciaki?

– „Jak się czują dzieciaki”? A jak się mają czuć, Pete? Nie mogą się pozbierać. Oboje są zrozpaczeni i trudno im się dziwić.

– Wkrótce będzie po wszystkim.

– Dla ciebie, ale nie dla nas. Ty odejdiesz w blasku chwały, ale my tu zostaniemy i będziemy musieli się jakoś odnaleźć, wciąż zadając sobie pytanie, dlaczego to się, do diabła, stało.

– Przykro mi, Florry. Nie miałem wyboru.

Ocierała łzy z oczu, gryząc się w język. Chciała wszystko mu wygarnąć, ale jednocześnie po raz ostatni go uścisnąć, żeby wiedział, że rodzina go kocha i jest z nim do samego końca.

Pete nachylił się bliżej i wziął ją za rękę.

– Jest kilka rzeczy, które powinnaś wiedzieć – szepnął.

Rozdział 20

Więzień miał tylko jedno życzenie. Chciał pokonać pieszo dwie przecznice dzielące areszt od sądu – krótki dystans, który miał być jego długim marszem do grobu. Zależało mu, by kroczyć z dumnie podniesioną głową, bez kajdanek, dzielnie stawiając czoło śmierci, o którą tyle razy się otarł. Chciał okazać odwagę, którą niewiele osób było w stanie pojąć. Chciał umrzeć jako dumny człowiek, bez żadnych pretensji i żalu.

O ósmej wieczorem wyszedł frontowymi drzwiami z aresztu, ubrany w spodnie khaki i białą koszulę z podwiniętymi rękawami, bo powietrze było gorące i parne. Mając przed sobą Nixa Gridleya, a po bokach Roya Lestera i Reda Arnetta, szedł przez tłum, który rozstępował się, by ich przepuścić. Słyszało się tylko klikanie migawek i trzaskanie fleszy. Nie padały żadne banalne pytania ze strony reporterów, nie było żadnych gróźb, żadnych słów otuchy lub potępienia. Na rogu Wesley Avenue skręcili w stronę placu i szli dalej środkiem ulicy, wzdłuż szpaleru gapiów. Kiedy zbliżyli się do stojących na chodnikach żołnierzy, ci stanęli na baczność i oddali salut. Pete zobaczył ich, przez sekundę lub dwie wydawał się zaskoczony, a potem pokiwał ponuro głową. Szedł powoli, z pewnością się nie spiesząc, ale jednocześnie chcąc mieć to już za sobą.

Kiedy w polu widzenia pojawił się więzień ze strażnikami, przez zgromadzony na placu tłum przeszedł głośny szmer. Szeryf warknął na najbliższych stojących, żeby się odsunęli, i ludzie natychmiast go posłuchali. Przy Tea Shoppe pochód skręcił w Madison Street.

W czekającym na nich gmachu sądu paliły się wszystkie światła. Był to najważniejszy budynek w całym hrabstwie, miejsce, gdzie wymierzano sprawiedliwość, gdzie broniono praw i w pokojowy, bezstronny sposób rozstrzygano spory. W młodości Pete Banning sam zasiadał kiedyś w ławie przysięgłych i wywarło to na nim duże wrażenie. On i jego koledzy zastosowali się do przepisów prawa i wydali sprawiedliwy werdykt. Sprawiedliwość została wymierzona i podobnie miało stać się teraz.

Przysłani z innych hrabstw policjanci odgradzili chodnik przy budynku sądu. Obok leżały kable dostarczające prąd. Generator w srebrnej ciężarówce cicho szumiał, gdy ją mijali, ale Pete chyba nie zwrócił na to uwagi. W ślad za szeryfem przestąpił kable i skręcił w stronę budynku. Zaskoczyły go te tłumy, a zwłaszcza liczba żołnierzy, jednak patrzył prosto przed siebie, nie chcąc napotkać przypadkiem wzroku kogoś, kogo znał.

Powoli zbliżyli się do budynku sądu i weszli do środka. Teraz było tu pusto; policja pozamykała wszystkie drzwi i nie wpuszczała ciekawskich. Nix Gridley stanowczo nie życzył sobie żadnego spektaklu i zapowiedział, że aresztuje każdego, kto znajdzie się wewnątrz bez zezwolenia. Wspięli się po głównych schodach i stanęli przed drzwiami sali rozpraw. Strażnik je otworzył i weszli tam. Kable biegły wzdłuż przejścia, wzdłuż sędziowskiego stołu, aż do samego krzesła.

Stara Iskrówa stała przy ławie przysięgłych, zwrócona złowrogo w stronę pustych ławek, które zwykle zajmowała publiczność. Teraz jednak siedziała w nich wyłącznie garstka świadków. Pete nie zaaprobował nikogo ze swojej strony, nie było też nikogo z rodziny Dextera Bella. Ku rozczarowaniu Jimmy'ego Thompsona, który cały w wypiekach czekał przy

tablicy rozdzielczej, szeryf nie zgodził się na obecność żadnego fotografa. Prokurator Miles Truitt zajął miejsce obok sędziego Rafe'a Oswalta. Obok nich siedział gubernator Wright, który nigdy jeszcze nie widział egzekucji i postanowił zostać w mieście, by ją zobaczyć. Skoro jego wyborcy tak mocno popierali karę główną, uznał, że powinien obejrzeć jej wykonanie. Obok gubernatora siedzieli czterej wybrani przez Nixa Gridleya reporterzy, wśród nich Hardy Capley z „Memphis Press-Scimitar”.

Johna Wilbanksa nie było, bo taką podjął decyzję. Pete zaaprobowałby go pewnie w roli świadka, ale John po prostu nie miał na to ochoty. Sprawa była zamknięta i chciał mieć już całą tę porąbaną historię z Banningiem za sobą. Choć z drugiej strony obawiał się, że to jeszcze nie koniec i czekają ich dalsze prawne konsekwencje tego zabójstwa. W tym momencie siedział razem z Russellem na balkonie ich biura, obserwując tłum i sącząc burbona.

Pete'a zaprowadzono do stojącego obok Starej Iskrówki drewnianego krzesła i kazano mu na nim usiąść.

– Panie Banning, to jest ta część mojej pracy, której nie lubię – obwieścił Jimmy Thompson.

– Może pan się przymknie i robi to, co do pana należy – przerwał mu szeryf, który miał już dosyć Thompsona i jego popisów.

Nie padło więcej ani jedno słowo. Thompson wziął do ręki maszynkę z demobilu i zaczął strzyc Pete'owi włosy do samej skóry. Ciemnobrązowe i siwe kosmyki spadały na koszulę i ramiona skazańca, a Thompson z wprawą strącał je na podłogę. Potem podwinął nogawkę spodni na lewej nodze Pete'a i ogolił mu łydkę. Kiedy tak się uwijał, jedynym dźwiękiem było brzęczenie maszynki. Żaden z obserwujących to świadków nie uczestniczył wcześniej w egzekucji i nie miał pojęcia o procedurze. Za to Thompson był zawodowcem i sprawnie wypełniał swoje obowiązki. Wyłączył maszynkę i wskazał Pete'owi Iskrówę.

– Niech pan usiądzie – powiedział.

Pete dał dwa kroki w przód i usiadł na niewygodnym drewnianym tronie. Thompson skrępował mu nadgarstki grubymi skórzanymi pasami, a potem tak samo unieruchomił klatkę piersiową i kostki nóg. Wyjął z wiadra dwie mokre gąbki, przyłożył je do łydek skazańca i przymocował grubym pasem, w którym tkwiła elektroda. Gąbki miały ułatwić przepływ prądu.

Pete zamknął oczy i zaczął ciężko oddychać.

Thompson położył cztery mokre gąbki na jego głowie. Po twarzy skazańca popłynęła woda i Thompson przeprosił go za to. Pete nie odpowiedział. Hełm był metalowym urządzeniem przypominającym nieco kask futbolisty; kiedy Thompson założył go Pete'owi na głowę, ten lekko się skrzywił. Jak na razie była to jego pierwsza negatywna reakcja. Kiedy gąbki znalazły się pod hełmem, Thompson zacisnął paski. Podłączył kable i przez chwilę jeszcze majstrował przy paskach. Wszystko to trwało chyba trochę za długo, ale ponieważ ani szeryf, ani nikt inny nie miał pojęcia o procedurze, czekali, obserwując go w milczeniu. W sali rozpraw robiło się coraz parniej i wszyscy się spocili. Z powodu upału ktoś otworzył wcześniej cztery wysokie okna z każdej strony, a potem zapomniał je, niestety, zamknąć.

Thompson czuł ciężącą na nim odpowiedzialność. Jego ofiary były na ogół biednymi czarnymi kryminalistami i mało kogo obchodziło, jeśli podczas egzekucji został popełniony jakiś błąd. Wszystkich udawało się w końcu pozbawić życia. Ale egzekucja wysoko postawionego białego mężczyzny należała do rzadkości i Thompsonowi zależało, by wszystko poszło tak jak trzeba, żeby nikt go nie krytykował.

– Czy założyć panu na oczy opaskę? – zapytał, biorąc do ręki czarną chustę.

– Nie.

– Świetnie. – Thompson skinął głową do sędziego Oswalta.

Ten wstał, podszedł do Pete'a, trzymając w ręce arkusz papieru, i odchrząknął.

– Panie Banning, mam obowiązek odczytać panu nakaz egzekucji. „Z upoważnienia sądu okręgowego Dwudziestego Drugiego Dystryktu Sądowego stanu Missisipi, po uznaniu pana za winnego zabójstwa pierwszego stopnia i skazaniu na śmierć przez porażenie prądem, który to werdykt został zatwierdzony przez Sąd Najwyższy tego stanu, ja, sędzia Rafe Oswalt, nakazuję niniejszym bezzwłoczne wykonanie egzekucji oskarżonego, pana Pete’a Banninga”. Niech Bóg ma w opiece pańską duszę.

Kartka trzęsła się w ręce sędziego, gdy ten, nie patrząc na Pete’a, czytał nakaz. Skończywszy, jak najprędzej usiadł.

Z pogrążonego w mroku balkonu trzech czarni mężczyźni obserwowali z niedowierzaniem ten spektakl. Ernie Dowdle, który pracował w kotłowni sądu, dozorca Penrod i kościelny sprzątac Hop Purdue leżeli płasko na brzuchach i zerkali w dół między słupkami balustrady. Bali się oddychać, bo gdyby ich zobaczono, szeryf z pewnością zamknąłby ich w więzieniu na długie lata.

Thompson skinął na Nixa Gridleya i ten podszedł do krzesła.

– Czy jest coś, co chciałbyś powiedzieć, Pete? – zapytał.

– Nie.

Gridley cofnął się i razem z Royem Lesterem i Redem Arnettem stanął obok świadków. Za nimi czekał okręgowy koroner. Jimmy Thompson podszedł do swojej tablicy rozdzielczej i przez chwilę jej się przyglądał.

– Czy jest jakiś powód, dla którego ta egzekucja miałaby się nie odbyć? – zapytał.

– Nie ma takiego powodu – odparł Gridley, kręcąc głową.

Thompson przesunął pokrętło. Generator w srebrnej ciężarówce zawył głośniejsze i benzynowy silnik zaczął podnosić napięcie prądu. Ci, którzy stali w pobliżu, zdali sobie sprawę, co się dzieje, i szybko się cofnęli. Gorący prąd popłynął kablami i w ciągu kilku sekund dotarł do Starej Iskrówki. W tablicy rozdzielczej tkwiła pokryta czerwonym plastikiem kilkunastocentymetrowa wajcha. Thompson zacisnął na niej

palce i pociągnął ją w dół. Prąd o napięciu dwóch tysięcy woltów przeszedł przez skazańca i poraził każdy mięsień w jego ciele. Pete szarpnął krępujące go pasy i wydał z siebie przeraźliwy ryk bólu i cierpienia, od którego świadkom przeszły ciarki po plecach. Krzyk odbił się od ścian sali, przez otwarte okna dotarł na plac i wybrzmiał mocno w nocnym powietrzu. Trwał kilka sekund; przez cały ten czas ciało skazańca nie przestawało wściekle dygotać.

Ludzie, którzy stali w pobliżu srebrnej ciężarówki z generatorem, na południe od gmachu, blisko jego frontowej ściany, twierdzili później, że nie słyszeli żadnego krzyku, ale ci po wschodniej i zachodniej stronie usłyszeli i mieli go nigdy nie zapomnieć.

– O mój Boże – jęknął John Wilbanks, który usłyszał go całkiem wyraźnie.

Wstał z krzesła, zrobił krok do przodu i spojrzał na przerażone twarze tych, którzy stali bliżej budynku sądu. Krzyk był niezbyt długi, lecz w uszach niektórych już nigdy nie umilkł.

Pierwszy ładunek prądu miał zatrzymać akcję serca i pozbawić Pete'a przytomności, ale trudno było to potwierdzić. Gwałtowne konwulsje wstrząsały jego ciałem przez jakieś dziesięć sekund – dokładnego czasu nikt nie mierzył. Kiedy Thompson podniósł wajchę i wyłączył prąd, głowa skazańca opadła na bok i znieruchomiała. Po chwili jednak drgnął. Thompson jak zawsze odczekał trzydzieści sekund i opuścił wajchę, by posłać kolejny ładunek prądu. Pete'a podrzuciło w górę, ale jego ciało nie stawiało oporu i najwyraźniej było już martwe. Przy drugim porażeniu prądem temperatura przekroczyła w nim dziewięćdziesiąt stopni i narządy wewnętrzne zaczęły się gotować. Krew trysnęła z oczodołów.

Thompson odciął dopływ prądu i poprosił koronera, by stwierdził zgon. Ten nawet nie drgnął: stojąc z otwartymi ustami, wpatrywał się w upiorną twarz Pete'a Banninga. Nix Gridley zdołał w końcu odwrócić od niej wzrok i poczuł, że

robi mu się niedobrze. Miles Truitt, który przed sześcioma miesiącami przemawiał dokładnie z tego miejsca, gdzie tkwiła obecnie Stara Iskrówa, i zaklinał przysięgłych, by wydali wyrok śmierci, pierwszy raz w życiu oglądał teraz egzekucję i stał się innym człowiekiem. Podobnie jak gubernator. Z powodów politycznych miał nadal popierać karę główną, ale w głębi duszy marzył, by jej zakazano, przynajmniej wobec białych.

Na balkonie Hop Purdue zamknął oczy i zaczął płakać. To on złożył zeznania, które obciążły pana Banninga, i teraz bardzo tego żałował.

Reporterzy otrząsnęli się z pierwszego szoku i zaczęli pospiesznie gryzmolić w notesach.

– Mógłby pan tu podejść? – odezwał się poirytowany Thompson, dając znak koronerowi. Ten zdołał w końcu ruszyć się z miejsca.

Trzymając stetoskop, pożyczony od pewnego doktora, świetnego lekarza, który kategorycznie odmówił udziału w egzekucji, podszedł do ciała i przytknął słuchawkę do piersi Pete'a. Krew i inne płyny ciekły z oczodołów, a biała bawełniana koszula szybko zmieniała kolor. Koroner nie był pewien, czy cokolwiek słyszy i czy w ogóle prawidłowo posługuje się stetoskopem. W tym momencie pragnął tylko jednego: żeby skazaniec był martwy. Napatrzył się już dosyć. I nawet jeśli Pete jeszcze nie umarł, powinno się to stać bardzo szybko.

– Serce przestało bić. Ten człowiek jest martwy – powiedział i natychmiast się cofnął.

Thompson cieszył się, że egzekucja poszła tak gładko. Poza przeszywającym krzykiem, od którego niemal zatrzęsły się okna, i być może rozpuszczonymi gałkami ocznymi, nie zdarzyło się nic, z czym by się wcześniej nie zetknął. Była to jego trzydziesta ósma egzekucja i prawdę mówiąc, każda wyglądała inaczej. Chociaż sądził, że widział już wszystko, od zwęglonej skóry po połamane w trakcie dzikich podrygów kości, zawsze pojawiał się jakiś nowy element. Generalnie

jednak stan Missisipi mógł uznać wieczór za udany. Thompson szybko rozpiął paski hełmu, zdjął go z głowy Pete'a i zakrył chustą jego zakrwawioną twarz. A potem zaczął odłączać kable i rozpinąć inne paski. Miles Truitt i gubernator przeprosili i wyszli. Natomiast reporterzy zostali, nie chcąc uronić ani jednego szczegółu.

Nix Gridley wziął Roya Lestera na stronę.

– Słuchaj, zostanę tu do końca – powiedział – a potem przewiozę ciało do domu pogrzebowego. Obiecałem Florry, że dam jej znać, kiedy będzie po wszystkim. Jest w różowym domku, razem z dziećmi, i chcę, żebyś tam pojechał i przekazał tę wiadomość.

Roy miał łzy w oczach i był zupełnie roztrzęsiony.

– Jasne, szefie – wyjąkał.

* * *

Od przeszło stu lat Banningowie grzebali swoich zmarłych na rodzinnym cmentarzu, na zboczach wzgórza niedaleko różowego domku. Proste nagrobki stały w równym rzędzie pod gałęziami sykomory, dostojnego starego drzewa, rosnącego tam, odkąd Banningowie osiedli na tej ziemi.

Na długo przed narodzinami Pete'a cmentarz nazwano Starą Sykomorą i ta nazwa weszła do rodzinnego słownika. Odchodzący z tego świata krewni nie zawsze umierali. Wracali po prostu do domu, do Starej Sykomory.

Dokładnie o ósmej rano w piątek jedenastego lipca niewielka grupka stanęła przy Starej Sykomorze i patrzyła, jak prosta drewniana trumna opuszczana jest na pasach do grobu. Czterej robotnicy Banningów wykopali go dzień wcześniej, a teraz składali do niego trumnę. Nagrobek stał już na miejscu, z nazwiskiem i datami: Peter Joshua Banning III, urodzony 2 maja 1903, zmarły 10 lipca 1947. Niżej wyryto inskrypcję: „Wierny żołnierz Boga”.

Piętnastu białych, w swoich najlepszych niedzielnych ubraniach, stanęło wokół grobu. W pogrzebie brali udział wyłącznie zaproszeni goście, a ich listę sporządził sam Pete, wraz ze szczegółowymi instrukcjami, o której godzinie zacząć, jaki odczytać fragment Biblii i jak ma być zrobiona trumna. Obecni byli Nix Gridley, John Wilbanks z żoną, kilkoro przyjaciół i oczywiście Florry, Stella i Joel. Z tyłu stała służba domowa: Nineva, Amos i Marietta. Za nimi, nieco dalej, około czterdziestu czarnych w różnym wieku, wszyscy zatrudnieni na plantacji Banningów, wszyscy w najlepszych strojach, jakie mieli. Podczas gdy biali starali się, przynajmniej z początku, nie ulegać emocjom, czarni w pełni dawali im upust. Płacz rozległ się, gdy tylko zobaczyli trumnę wyciąganą z karawanu. Pan Pete był ich szefem, dobrym i przyzwoitym człowiekiem, i nie mogli uwierzyć, że go już nie ma.

W latach czterdziestych dwudziestego wieku w wiejskich rejonach Missisipi los czarnych rodzin w dużym stopniu zależał od tego, czy właściciele ziemscy byli dobrzy, czy źli, a Banningowie zawsze otaczali swoich pracowników opieką i traktowali ich uczciwie. Czarni nie potrafili zrozumieć logiki prawa białych ludzi. Dlaczego zabili jednego ze swoich? To nie miało sensu.

Nineva, która czterdzieści cztery lata wcześniej, kiedy Pete przychodził na świat, pomagała lekarzowi odebrać poród, była zdruzgotana i ledwie stała na nogach. Amos obejmował ją i podtrzymywał.

Pogrzeb odprawiał młody prezbiteriański student teologii z Tupelo, znajomy znajomego, prawie zupełnie niezwiązany z hrabstwem Ford. Nikt nie miał pojęcia, skąd Pete go wytrzasnął. Odmówił wstępną modlitwę i był całkiem elokwentny. Kiedy skończył, Stella ponownie zalała się łzami. Stała między swoją ciotką a bratem, którzy ją objęli. Po modlitwie kaznodzieja odczytał Psalm 23 i powiedział parę słów o życiu Pete'a Banninga. Nie rozwodził się zbyt na temat jego wojennych dokonań, wspominał tylko, że zmarły został odznaczony kilkoma medalami. Nie wspominał

o wyroku za morderstwo i o tym, co działo się później, ale przez dziesięć minut opowiadał o łasce, przebaczeniu, sprawiedliwości i kilku innych pojęciach, których nie zdołał logicznie powiązać z dobrze znanymi faktami. Następnie odmówił kolejną modlitwę, a potem Marietta podeszła bliżej i zaśpiewała a cappella pierwsze dwie zwrotki Amazing Grace. Miała piękny głos i często podśpiewywała do wtóru, gdy Florry puszczała w różowym domku płyty z ariami.

Kiedy kaznodzieja oświadczył, że ceremonia dobiegła końca, żałobnicy powoli się odsunęli, żeby grabarze mogli zasypać trumnę ziemią. Trójka Banningów nie miała ochoty się temu przyglądać. Porozmawiali z kilkorgiem przyjaciół i ruszyli do samochodu.

Nix Gridley zatrzymał na chwilę Joela i powiedział mu, że w mieście jest nadal wielu żołnierzy, którzy chcą odwiedzić grób i złożyć hołd zmarłemu. Joel zasięgnął opinii Florry i oboje uznali, że Pete nie miałby nic przeciwko temu.

Godzinę później zaczęli się pojawiać i trwało to przez cały dzień. Przychodzili sami, samotni mężczyźni z wieloma wspomnieniami. Przychodzili małymi grupkami i rozmawiali ze sobą półgłosem. Przychodzili spokojnie, ze smutkiem i z dumą. Dotykali nagrobka, przyglądali się świeżo usypanemu kopcowi, mruzcili pod nosem modlitwy, czy co tam chcieli powiedzieć, i odchodzili, głęboko żałując człowieka, którego niewielu z nich miało kiedykolwiek okazję spotkać.

Część druga

TRUPIARNIA

Rozdział 21

Hotel Peabody wzniesiono w śródmieściu Memphis w 1869 roku i natychmiast stał się miejscem, które upodobały sobie wyższe sfery. Zaprojektowano go w wykwinnym stylu włoskiego renesansu i budowano, nie oglądając się na koszty. Rozległe foyer otaczały wysokie balkony, a w znajdującym się pośrodku basenie z fontanną pływały żywe kaczki. Był to bez wątpienia najelegantszy hotel w Memphis i w promieniu kilkuset kilometrów nie miał żadnej konkurencji. Od razu też zaczął przynosić zyski, bo bogaci mieszkańcy miasta chętnie bawili się tam na balach, bankietach, przyjęciach, koncertach i koktajlach.

Kiedy na przełomie wieków bogate niegdyś plantacje bawełny w Delcie wyszły na prostą, hotel Peabody stał się popularnym celem podróży zamożnych plantatorów szukających rozrywek w mieście. W weekendy i święta przejmowali cały hotel dla siebie, wydając wystawne przyjęcia i biesiadując wspólnie ze swoimi wysoko urodzonymi znajomymi z Memphis. Często przywozili tu na zakupy żony. Kiedy indziej przyjeżdżali sami w interesach albo spędzali tutaj romantyczne weekendy z kochankami.

Powiadano, że jeśli ktoś usiądzie w foyer hotelu Peabody i spędzi tam wystarczająco dużo czasu, zobaczy wszystkich, którzy znaczyli coś w Delcie.

Pete Banning nie był stąd i nie zamierzał kogoś takiego udawać. Pochodził z wyżyn północno-wschodniego Missisipi i chociaż jego rodzina miała sporo ziemi i cieszyła się szacunkiem, trudno było go uznać za krezusa. W hierarchii społecznej ludzie z wyżyn sytuowali się o kilka stopni niżej od plantatorów z południa. Pete przyjechał po raz pierwszy do Peabody na zaproszenie znajomego z Memphis, którego poznał jako kadet w West Point. Miał wziąć udział w balu debutantek, ale prawdziwą atrakcją, przynajmniej dla niego, była możliwość spędzenia całego weekendu w Memphis.

Miał dwadzieścia dwa lata, skończył właśnie Akademię Wojskową Stanów Zjednoczonych w West Point i czekając na powołanie do Fort Riley w Kansas, spędzał czas na farmie nieopodal Clanton. Wiejskie życie zaczynało go już nudzić i chciał się zabawić, ale nie był wieśniakiem, który wybrał się po raz pierwszy do miasta. Odwiedził już kilka razy Nowy Jork i umiał się zachować w towarzystwie. Kilku snobów z Memphis z pewnością nie mogło go onieśmielić.

Był rok 1925 i hotel właśnie znów otwarto, po gruntownej renowacji. Pete wiele o nim słyszał, ale nigdy jeszcze tam nie był. Jego kolega z West Point przez cztery lata opowiadał o urządzanych tam olśniewających bankietach i tabunach pięknych dziewcząt. I wcale nie przesadzał.

Bal debutantek odbywał się w głównej sali balowej na pierwszym piętrze, gdzie już było pełno gości. Pete, który włożył na tę okazję nieskazitelnie biały galowy mundur, naprawdę przyciągał wzrok, gdy z drinkiem w dłoni przechadzał się między ludźmi. Z idealną wojskową prezencją, opaloną twarzą i miłym uśmiechem, włączał się do rozmowy to tu, to tam i wkrótce zdał sobie sprawę, że zwraca na niego uwagę wiele młodych dziewcząt. Po jakimś czasie poproszono wszystkich do stołów. Usiadł przy jednym z nich wraz ze znajomymi kolegi. Pili szampana, jedli ostrygi i rozmawiali o tym i owym, unikając tematów związanych z wojskowością. Wielka Wojna dawno już się skończyła. Kraj korzystał z dobrodziejstw pokoju. Wydawało się, że tak będzie zawsze.

Kiedy podano główne danie, Pete zauważył młodą damę przy sąsiednim stole. Siedziała twarzą do niego i za każdym razem, gdy on patrzył na nią, ona też na niego zerknęła. Na sali pełnej pięknych dziewcząt była niewątpliwie najpiękniejsza, chyba najpiękniejsza na świecie. Raz czy dwa poczuł, że wprost nie może od niej oderwać oczu. To ciągle zerkanie sprawiło, że pod koniec kolacji oboje czuli się nieco skrępowani.

Nazywała się, o czym wkrótce się dowiedział, Liza Sweeney. Ruszył za nią do baru, przedstawił się i zaczęli luźną pogawędkę. Panna Sweeney pochodziła z Memphis, miała osiemnaście lat i nigdy nie zamierzała spełniać tych wszystkich głupich wymagań, które stawiano debiutantkom. Tak naprawdę chciała zapalić, ale nie mogła tego zrobić na oczach matki, która bezustannie wodziła za nią wzrokiem. Pete wyszedł za dziewczyną z sali balowej – najwyraźniej dobrze знаła ten hotel – i przystanęli na patio obok basenu, gdzie wypalili po trzy papierosy i wypili po dwa drinki: ona martini, on burbona.

Liza ukończyła właśnie szkołę średnią, ale nie wiedziała, czy pójdzie na studia. Miała dosyć Memphis i pragnęła zamieszkać w wielkim mieście, tak wielkim jak Paryż czy Rzym, lecz w gruncie rzeczy były to tylko marzenia. Pete zapytał, czy rodzice pozwoliliby jej na randkę ze starszym o cztery lata kawalerem. W odpowiedzi wzruszyła ramionami i oświadczyła, że w ciągu ostatnich dwóch lat umawiała się, z kim tylko chciała, ale byli to wyłącznie licealiści.

- Czy zapraszasz mnie na randkę? – zapytała z uśmiechem.
- Owszem.
- Kiedy?
- W następny weekend.
- Masz moją zgodę, żołnierzyku.

Sześć dni później spotkali się w Peabody, gdzie zjedli kolację i wzięli udział w kolejnym przyjęciu. Nazajutrz, w sobotę, wybrali się na długi spacer wzdłuż Missisipi i po śródmieściu. Liza szła pod ramię z Pete'em i sporo się

dotykali. Wieczorem zaprosiła go na kolację do swojego domu, gdzie poznał jej rodziców oraz starszą siostrę. Ojciec, aktuariusz w towarzystwie ubezpieczeniowym, okazał się dość nudny, ale matka była piękną kobietą i to głównie ona się odzywała. Stanowili dziwną parę. Liza kilka razy powtórzyła Pete'owi, że ma zamiar jak najszybciej wynieść się z domu. Jej siostra studiowała gdzieś w Missouri.

Na początku Pete brał Lizę za jedną z wielu młodych dziewcząt z Memphis, które odwiedzały hotel Peabody w nadziei, że złapią bogatego męża. Nie ukrywał, że nie należy do grona bogatych plantatorów. Jego rodzina miała ziemię i uprawiała na niej bawełnę, ale nie była to jakaś ogromna plantacja. Liza grała przez chwilę rolę wielkiej damy, lecz kiedy zdała sobie sprawę, że Pete jest zwykłym chłopakiem, przestała udawać. Zaproszenie do domu ujawniło rzecz oczywistą: jej rodzina nie była zbyt zamożna. Pete'a nie obchodziło jednak, ile mają pieniędzy. Zadurzył się w niej po uszy i postanowił starać się o nią aż do skutku, co, jak się wkrótce przekonał, nie okazało się zbyt trudne. Lizie z kolei było wszystko jedno, jak duża jest jego farma. Znalazła sobie żołnierza, którego uwielbiała i który nie zamierzał jej zostawić.

W następny piątek spotkali się znowu w Peabody, na kolacji z przyjaciółmi. Po posiłku wymknęli się do baru, żeby pobyć tylko ze sobą, i po kilku drinkach poszli do jego pokoju na siódmym piętrze. Pete uprawiał już wcześniej seks, ale wyłącznie z kobietami z nowojorskich burdeli, bo taka była tradycja w West Point. Liza była dziewicą, gotową, by to zmienić, i przystąpiła do miłosnych igraszek z entuzjazmem, od którego Pete'owi zakręciło się w głowie. W okolicach północy zasugerował, że może powinna już wrócić do domu. Odparła, że nigdzie się nie wybiera, zostanie na noc i chętnie spędzi z nim w łóżku cały następny dzień. Nie miał nic przeciwko temu.

– Ale co powiesz rodzicom? – spytał.

– Nie martw się, coś tam wymyślę. Łatwo ich oszukać i nigdy nie przyszłoby im do głowy, że zrobię coś takiego.

– Skoro tak mówisz... Możemy się teraz trochę zdrzemnąć?

– Oczywiście. Wiem, że jesteś wyczerpany.

Zaloty trwały przez miesiąc i kochankowie zapomnieli o bożym świecie. W każdy weekend Pete wynajmował pokój w Peabody i spędzał tam trzy noce, na ogół z Lizą. Jej znajomi zaczęli w końcu szeptać po kątach. Rodzice nabrali podejrzeń. Działo się to przecież w roku 1925, kiedy postępowaniem młodych panien i ich kawalerów rządziły surowe reguły. Liza, podobnie jak jej przyjaciółki, dobrze je znała, lecz wiedziała również, ile radości może dać dziewczynie ich złamanie. Uwielbiała popijać martini, palić papierosy, ale przede wszystkim uprawiać zakazany seks.

W niedzielę Pete zawiózł ją do Clanton, by poznała jego rodzinę, obejrzała farmę, zobaczyła, skąd on pochodzi. Nie zamierzał przez całe życie uprawiać bawełny. Chciał zrobić karierę w wojsku i podróżować z Lizą po świecie – tak przynajmniej mu się wydawało, kiedy miał dwadzieścia dwa lata.

Tymczasem dostał wezwanie do Fort Riley w Kansas, gdzie miał odbyć szkolenie oficerskie. Czekać niecierpliwie na pierwszy przydział i pierwsze rozkazy, truchlał jednocześnie na myśl, że będzie musiał zostawić Lizę. Pojechał do Memphis, żeby jej o tym powiedzieć. Spodziewali się tego, ale rozstanie wydawało im się w tym momencie czymś niewyobrażalnym. Kiedy się z nią żegnał, oboje mieli łzy w oczach. Pete pojechał pociągiem do Fort Riley i tydzień później dostał list od Lizy. Już w pierwszych słowach donosiła mu, że jest w ciąży.

Natychmiast opracował cały plan. Mówiąc, że pilne sprawy rodzinne każą mu wracać do domu, przekonał dowódcę, by pożyczył mu swój samochód. Jechał przez całą noc i dotarł do hotelu Peabody w porze śniadania. Zadzwoił do Lizy i oświadczył, że ją porywa. Pomysł całkiem jej się spodobał, nie wiedziała tylko, jak z walizką wymknie się z domu

w tajemnicy przed matką. Pete przekonał ją, by dała sobie spokój z walizką. W Kansas City też są sklepy.

Liza ucałowała mamę na pożegnanie i poszła do pracy. Pete zabrał ją po drodze i razem uciekli z Memphis, śmiejąc się, całując i obściskując. Znaleźli budkę telefoniczną w Tupelo i zadzwonili do pani Sweeney. Liza była słodka, ale stanowcza. Mamo, przepraszam, że tak cię zaskakuję, ale Pete i ja uciekliśmy, żeby się pobrać. Mam osiemnaście lat i mogę robić, co mi się podoba. Kocham cię i wieczorem zadzwonię znowu, i pogadam z tatą. Kiedy się rozłączyła, jej matka załzała się łzami. Liza natomiast była najszczęśliwszą dziewczyną pod słońcem.

Ponieważ byli w Tupelo, mieście, które Pete dobrze znał, postanowili tam właśnie wziąć ślub. Dla oficerów z rodzinami zarezerwowano w Fort Riley lepsze kwatery i akt ślubu mógł im się przydać. Podjechali do budynku sądu hrabstwa Lee, wypełnili formularz, wnieśli opłatę i znaleźli sędziego pokoju, który liczył właśnie błystki na zapleczu swojego sklepu z przynętami. Zapłacili mu zwyczajowe dwa dolary, a on, biorąc za świadka żonę, udzielił im w kwadrans ślubu.

Swoich rodziców Pete miał zamiar powiadomić później. Ponieważ czasu do narodzin dziecka nie było zbyt wiele, musieli wziąć ślub jak najszybciej. Pete wiedział, że zaraz po tym, jak jego matka ogłosi, że została babcią, plotkarze w Clanton zaczną przewracać kartki w kalendarzu. Liza spodziewała się urodzić mniej więcej za osiem miesięcy. Osem miesięcy mogło zaskoczyć kilka osób, ale nie dawało jeszcze powodu do plotek. Siedem to była ostateczność. Sześć wywołałoby skandal.

Wzięli ślub czternastego czerwca 1925 roku.

Joel urodził się czwartego stycznia 1926 roku w amerykańskim szpitalu wojskowym w Niemczech. Pete błagał o przydział gdzieś za granicą, by znaleźć się jak najdalej od Memphis i Clanton. Nikt w obu tych miastach nie miał nigdy zobaczyć aktu urodzenia Joela. Dopiero po sześciu tygodniach wysłali telegramy do dziadków w kraju.

* * *

Z Niemiec przeniesiono Pete'a z powrotem do Fort Riley w Kansas, gdzie wszedł w skład Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii. Był świetnym jeźdźcem, ale zaczynał mieć poważne wątpliwości, czy tradycyjna kawaleria ma jeszcze do odegrania jakąś rolę na współczesnym polu walki. Przyszłością były czołgi i artyleria zmotoryzowana, mimo to kochał kawalerię i pozostał w Dwudziestym Szóstym Pułku. W 1927 roku w Fort Riley urodziła się Stella.

Dwudziestego czerwca 1929 roku, w wieku czterdziestu dziewięciu lat, zmarł na atak serca ojciec Pete'a, Jacob. Ponieważ dzieci akurat zachorowały, Liza nie mogła pojechać do Clanton na pogrzeb. Od dwóch lat nie była w domu i wołała się tam nie pojawiać.

Cztery miesiące po śmierci Jacoba Banninga doszło do krachu na giełdzie i w kraju zaczął się wielki kryzys. Zawodowi wojskowi odczuli go w niewielkim stopniu. Ich opieka zdrowotna, zakwaterowanie i edukacja dzieci były zabezpieczone, choć żołd nieco się obniżył. Pete i Liza cieszyli się, że on awansuje, a ich dzieci rosną, i nadal widzieli swoją przyszłość związaną z wojskiem.

W 1929 roku doszło również do załamania rynku bawełny i boleśnie uderzyło to w plantatorów. Zaciągnęli kredyty, by spłacić długi i móc znów obsadzić pola. Matka Pete'a nie radziła sobie dobrze po nagłej śmierci męża i nie potrafiła zarządzać plantacją. Jego starsza siostra, Florry, mieszkała w Memphis i nie interesowała się uprawami. W 1930 roku Pete zatrudnił do sadzenia bawełny brygadzystę, ale farma wciąż była na minusie. W następnym roku pożyczył pieniądze i zatrudnił kolejnego brygadzystę, lecz rynek nadal się nie podniósł. Długi rosły i ziemia Banningów mogła zostać zlicytowana.

Przez całe święta Bożego Narodzenia 1931 roku Pete dyskutował z Lizą, czy nie będzie musiał odejść do cywila

i wrócić do hrabstwa Ford. Żadne z nich tego nie chciało, zwłaszcza Liza. Nie wyobrażała sobie życia w zapadłej dziurze, jaką było Clanton, a tym bardziej mieszkania w jednym domu z matką Pete'a. Obie kobiety spędziły dotąd razem niewiele czasu i raczej za sobą nie przepadały. Starsza pani Banning była pobożną metodystką, która znała odpowiedź na każde pytanie, bo wszystko zostało zapisane w Piśmie Świętym. Wsparta autorytetem słowa Bożego, wiedziała i mówiła każdemu, jak powinien żyć. Nie była krzykliwa ani wredna, po prostu zbyt krytyczna wobec innych.

Pete też wolał jej unikać. Myślał nawet o sprzedaży plantacji i wycofaniu się z interesów. Pomysł ten nie doczekał się jednak realizacji z trzech powodów. Po pierwsze, ziemia nie należała do niego. Matka odziedziczyła ją po mężu. Po drugie, w związku z kryzysem nie było chętnych na kupno. I po trzecie, gdyby doszło do transakcji, matka nie miałaby gdzie mieszkać.

Pete kochał wojsko, zwłaszcza kawalerię, i zamierzał w nim służyć aż do przejścia w stan spoczynku. Jako chłopak spędzał długie godziny na polu, ścinając i zbierając bawełnę, a teraz chciał innego życia. Pragnął zobaczyć świat, może powalczyć na jakiejś wojnie, dostać kilka medali i dać szczęście żonie.

Zaciągnął więc kolejny dług i zatrudnił trzeciego brygadzystę. Zbiory zapowiadały się nieźle, rynek podniósł się z upadku i nagle, na początku września, spadły ulewne deszcze i całą bawełnę diabli wzięli. W roku 1932 plantacja nie przyniosła żadnego zysku, a banki domagały się spłaty. Matka Pete'a coraz bardziej dziwaczyła i nie potrafiła zadbać nawet o siebie samą.

Pete i Liza rozważali, czy nie przenieść się do Memphis albo do Tupelo – wszędzie, byle nie do Clanton. W większym mieście otwierało się więcej możliwości, były lepsze szkoły, barwniejsze życie towarzyskie. Pete mógłby zajmować się plantacją i dojeżdżać do domu. W wigilię Bożego Narodzenia,

kiedy planowali, jak spędzą wieczór, przyszedł telegram. Był od Florry, przynosił tragiczne wieści. Dzień wcześniej zmarła matka Florry i Pete'a, prawdopodobnie na zapalenie płuc. Dożyła ledwie pięćdziesiątki.

Zamiast otwierać prezenty, szybko się spakowali i wyruszyli w długą podróż do Clanton. Matka spoczęła na Starej Sykomorze, obok męża. Pete i Liza postanowili zostać na farmie i nigdy już nie wrócili do Fort Riley. Pete przeszedł do cywila, ale pozostał rezerwistą.

Na świecie toczyły się wojny. W Azji rośli w siłę Japończycy, którzy rok wcześniej najechali Chiny. Naziści pod wodzą Hitlera budowali fabryki i produkowali w nich na potęgę czołgi, samoloty, łodzie podwodne, działa i inne rzeczy, których armia potrzebuje, by dokonać agresji. Koledzy Pete'a z wojska byli zaniepokojeni tym, co się dzieje. Niektórzy uważali, że wojna jest nieunikniona.

Zrzucając mundur i wracając do domu, by ratować farmę, Pete nie krył pesymizmu. Miał długi do spłacenia i gęby do wykarmienia. Kryzys gospodarczy trwał w najlepsze, trzymając cały naród w uścisku. Kraj był słabo uzbrojony, wystawiony na atak wroga i zbyt zrujnowany, by sfinansować wojenny wysiłek.

Pete wiedział jednak, że kiedy wybuchnie wojna, nie zostanie w Clanton i weźmie w niej udział.

Rozdział 22

Po rekordowo udanych zbiorach w 1925 i 1926 roku Jacob Banning postanowił sprawić sobie porządną rezydencję. Dom, w którym dorastali Pete i Florry, pochodził jeszcze sprzed wojny secesyjnej i w ciągu kolejnych dziesięcioleci kilka razy go rozbudowywano i modernizowano. Był z pewnością bardziej elegancki od większości domów w hrabstwie, ale Jacob, mając pieniądze w kieszeni, chciał pokazać, na co go stać, i zbudować coś, co sąsiedzi będą podziwiali jeszcze długo po jego śmierci. Wynajął architekta z Memphis i zaakceptował jego projekt dwupiętrowego budynku w stylu Colonial Revival, wzniesionego z czerwonej cegły, ze szczytowymi oknami i szeroką werandą od frontu. Zbudował go na niewielkim wzniesieniu, w pewnej odległości od szosy, żeby ci, którzy będą nią przejeżdżać, mogli go podziwiać, ale i nie zakłócali spokoju mieszkańcom.

Po śmierci Jacoba i jego żony przestronny dom objęła w panowanie Liza i chciała go zaludnić dziećmi. Ona i Pete, czemu trudno się dziwić, przystąpili do realizacji tego projektu z wielkim entuzjazmem, rezultaty nie były jednak zachęcające. Liza poroniła już raz w Fort Riley, a potem znowu, gdy już przeprowadzili się do Clanton. Po trwających kilka miesięcy wahaniach nastroju i wypłakaniu morza łez odzyskała, ku uldze Pete'a, radość życia. Podobnie jak on, Liza miała tylko jedną siostrę i zgadzali się, że małe rodziny są

nudne. Marzyła, by mieć pięcioro dzieci. Pete chciał mieć szóstkę, trzech synów i trzy córki, w związku z czym ofiarnie wypełniali swoje małżeńskie obowiązki.

Kiedy nie baraszkował akurat w łóżku z żoną, Pete zawzięcie starał się doprowadzić farmę do porządku. Godzinami pracował fizycznie na polu, dając przykład swoim robotnikom. Oczyszczył grunt, odbudował stodołę, wyremontował budynki gospodarskie, postawił ogrodzenie, dokupił żywy inwentarz i harował zwykle od świtu do zmroku. Spotkał się z bankierami i oświadczył im bez ogródek, że muszą zaczekać.

W roku 1933 pogoda sprzyjała plantatorom i dzięki Pete'owi, który sam woził robotników na pole, zbiory były obfite. Ceny na rynku też poszły w górę i farma po raz pierwszy od lat mogła swobodnie odetchnąć. Pete spłacił długi i odłożył trochę pieniędzy na czarną godzinę. Ziemia podzielona była na dwie części, po dwieście sześćdziesiąt hektarów każda, i im więcej gruntu nadawało się do uprawy, tym więcej można było zasadzić krzaków bawełny. Po raz pierwszy w życiu Pete zaczął myśleć perspektywicznie i dostrzegł potencjał kryjący się w tym, co otrzymał w spadku.

Był właścicielem jednej części, a Florry drugiej i zawarli umowę, na mocy której w zamian za obrabianie ziemi oddawała mu połowę zysków. W roku 1934 zbudowała swój różowy domek i przeniosła się tu z Memphis. Jej obecność na farmie wniosła trochę więcej życia w to miejsce. Florry polubiła Lizę i z początku świetnie się ze sobą dogadywały.

Nie żeby życie było nudne – wprost przeciwnie. Liza realizowała się w roli pełnoetatowej matki, jednocześnie na próżno usiłując powiększyć rodzinę. Pete nauczył ją jeździć konno, zbudował stajnię i kupił konie i kuce. Joel i Stella wkrótce też poczuli się pewniej w siodle i cała trójka godzinami jeździła po okolicy. Pete nauczył Lizę obchodzić się ze strzelbą i razem polowali na ptaki. Nauczył ją także łowić ryby i w niedzielne popołudnia mała rodzina spędzała zwykle długie godziny nad rzeką.

Jeśli Lizie brakowało uroków wielkiego miasta, to rzadko się skarżyła. W wieku trzydziestu lat żyła w szczęśliwym związku z mężem, który ją uwielbiał, i miała dwójkę pięknych dzieci. Mieszkała w eleganckiej rezydencji, w samym środku plantacji, co dawało poczucie bezpieczeństwa. Ale kogoś, kto lubił się bawić, tutejsze życie towarzyskie mogło rozczarować. W okolicy nie było żadnych klubów, dansingów ani porządnych barów. W gruncie rzeczy nie było żadnych barów, ponieważ w hrabstwie Ford, podobnie jak w całym stanie, obowiązywała prohibicja. Sprzedaż alkoholu była zakazana we wszystkich osiemdziesięciu dwóch hrabstwach i wszystkich miastach. Hołdujący grzesznym nawykom musieli się zdawać na bimbrowników, których było mnóstwo, albo na znajomych, którzy przywozili gorzałę z Memphis.

Oficjalne życie towarzyskie toczyło się pod dyktando kościoła. W przypadku Banningów był to oczywiście kościół metodystów, drugi pod względem liczby wiernych w Clanton. Pete'owi zależało, by regularnie uczestniczyli w nabożeństwach, i Liza jakoś się z tym pogodziła. Dorastając, była niezbyt żarliwą członkinią kościoła episkopalnego, którego wyznawców – mniej lub bardziej żarliwych – w Clanton w ogóle nie było. Z początku raziły ją wąskie horyzonty nauczania metodystów, ale szybko zdała sobie sprawę, że mogła trafić gorzej. W hrabstwie było pełno wyznawców bardziej surowych odłamów protestantyzmu – baptystów, zielonoświątkowców i tych od Kościoła Chrystusa – twardogłowych chrześcijan, cechujących się jeszcze większym fundamentalizmem niż metodyści. Tylko presbiterianie wydawali się trochę mniej zatwardziali. Jeśli w mieście był jakiś katolik, raczej się nie ujawniał. Najbliższy Żyd mieszkał w Memphis.

Ludzie byli klasyfikowani i często osądzeni na podstawie tego, do jakiego należeli kościoła. A jeśli nie przyznawali się do żadnego, czekało ich potępienie. Liza wstąpiła do kościoła metodystów i stała się jego aktywną członkinią. Co innego można było robić w Clanton?

Ponieważ była outsiderką, zaakceptowanie jej przez miejscowych musiało jednak, niezależnie od rodowodu męża, zająć sporo czasu. Ci ludzie nie ufali nikomu, czyjego dziadka nie znali ich przodkowie. Liza uczęszczała regularnie na nabożeństwa i w końcu polubiła całą liturgię, zwłaszcza muzykę. Ostatecznie zaproszono ją do kobiecego kółka biblijnego, które spotykało się raz w miesiącu. Potem poproszono ją o pomoc w zaplanowaniu wesela. Wzięła udział w przygotowaniu dwóch ważnych pogrzebów. Na wiosenną ewangelizację przybył do miasta wędrowny kaznodzieja i Pete zaprosił go na tydzień do ich domku dla gości. Okazało się, że jest całkiem przystojny, i inne panie zazdrościły Lizie, że ma u siebie charyzmatycznego ewangelistę. Pete przez cały czas miał go na oku i cieszył się, gdy ewangelizacja dobiegła końca.

W mieście stale urządzano jednak jakieś ewangelizacje. Metodyści organizowali w ciągu roku dwie, baptyści trzy, a zielonoświątkowcy wydawali się żyć w stanie permanentnego religijnego wzmożenia. Przynajmniej dwa razy w roku przy sklepie spożywczym na głównym placu rozbijał namiot jakiś wędrowny uliczny kaznodzieja i co wieczór głosił słowo Boże przez głośniki. Kiedy jego nauki spotykały się z żywym odzewem, nie było czymś niezwykłym „wizytowanie” jednego kościoła przez drugi. Każde wyznanie miało w niedzielę rano co najmniej dwugodzinne nabożeństwo. W niektórych kościołach odprawiano je również wieczorem. (Dotyczyło to kościołów białych; w kościołach czarnych modlono się przez cały dzień aż do nocy). Często urządzano środowiskowe spotkania modlitewne. Kiedy zsumowało się te wszystkie ewangelizacje i rekolekcje, niedzielne nabożeństwa, wakacyjne szkółki biblijne, pogrzeby, śluby, chrzciny i rocznice, Liza miała czasami powyżej dziurek w nosie swoich kościelnych obowiązków.

Nalegała, by co jakiś czas wyrwali się z miasta. Jeśli Florry godziła się zająć dziećmi, wybierali się na długi weekend do Memphis i balowali w hotelu Peabody. Czasami zabierała się z nimi Florry, razem z Joelem i Stellą, i cała rodzina mogła się

nacieszyć wielkim miastem, zwłaszcza jego światłami. Dwa razy, na wyraźną prośbę Florry, udali się pociągiem na tygodniowe wakacje do Nowego Orleanu.

W roku 1936 na Południu poziom elektryfikacji był wyraźnie zróżnicowany. Dziewięćdziesiąt procent terenów miejskich miało już dostęp do energii elektrycznej, lecz na wsi i w małych miasteczkach wskaźnik nie przekraczał dziesięciu procent. Centrum Clanton zelektryfikowano w 1937 roku, ale reszta hrabstwa nadal tonęła w ciemnościach. Robiąc zakupy w Memphis i Tupelo, Liza i inne panie z plantacji podziwiała zalewające rynek wymyślne elektryczne urządzenia i gadżety – radioodbiorniki, gramofony, piekarniki, lodówki, tostery, miksery i odkurzacze – jednak wszystko to było dla nich nieosiągalne. Mieszkańcy hrabstwa śnili o elektryczności.

Liza chciała by jak najczęściej wyjeżdżać do Memphis i Tupelo, ale Pete się opierał. Był teraz plantatorem i robił się coraz bardziej skąpy. Wiodła więc spokojne życie i nikomu się nie skarżyła.

* * *

Nineva i Amos przypadli im razem z domem i farmą. Ich rodzice urodzili się jako niewolnicy i pracowali na ziemi, którą uprawiał teraz Pete. Nineva twierdziła, że ma „koło sześćdziesiątki”, nie było jednak żadnego aktu urodzenia, który by to poświadczał. Amos nie wiedział dokładnie, kiedy się urodził, ale pragnąc zdenerwować żonę, powtarzał często, że jest od niej młodszy. Ich najstarszy syn miał, jeśli wierzyć aktowi urodzenia, czterdzieści osiem lat. Wydawało się mało prawdopodobne, by Nineva urodziła go w wieku dwunastu lat. Amos mówił, że miała co najmniej dwadzieścia. Banningowie domyślali się, że ma prędeż „koło siedemdziesiątki”, ale nikt nie poruszał tego tematu. Ona i Amos mieli trójkę dzieci i całe podwórko wnuków, ale większość z nich wyemigrowała na północ.

Nineva przez całe życie służyła w domu Banningów jako jedyna pomoc domowa. Była kucharką, praczką, pomywaczką, niańką i akuszerką. Asystowała doktorowi, gdy rodziła się Florry, w 1898 roku, a także gdy rodził się jej młodszy brat Pete, w 1903 roku, i praktycznie oboje wychowała. Dla matki Pete'a była przyjaciółką, terapeutką, powierniczką i doradczynią.

Dla żony Pete'a była jednak raczej rywalką. Jedynymi białymi ludźmi, którym ufała Nineva, byli Banningowie, a Liza nie nazywała się Banning. Nazywała się Sweeney i była dziewczyną z miasta, która nie miała pojęcia o tym, jak żyli ze sobą na wsi czarni i biali. Nineva pożegnała właśnie swoją najlepszą przyjaciółkę, „Miz Banning”, i nie była gotowa na przyjęcie nowej pani domu.

Z początku boczyła się na młodą piękną żonę o wyrazistej osobowości. Liza była sympatyczna i uprzejma i dawała do zrozumienia, że chce się dopasować, ale Nineva widziała tylko więcej obowiązków. Przez minione cztery lata opiekowała się „Miz Banning”, której mało trzeba było do szczęścia, i przyznawała w duchu, że trochę się rozleniwiała. Kogo obchodziło, czy w domu panował nieskazitelny porządek? W ostatnim okresie życia „Miz Banning” nie zwracała prawie na nic uwagi. Teraz, przy tej nowej kobiecie, letargiczny tryb życia Ninevy musiał się nagle zmienić. Szybko stało się jasne, że żona Pete'a uwielbia się stroić, i wszystkie te nowe stroje trzeba było prać, czasami krochmalić i zawsze prasować. A Joela i Stellę, choć były z nich słodkie dzieciaczki, trzeba było nakarmić i zaopatrzyć w czyste ubrania, ręczniki i pościel. Nineva, zajmująca się wcześniej panią Banning, która jadła jak ptaszek, musiała teraz przygotowywać trzy posiłki dziennie dla całej rodziny.

Początkowo Liza źle znosiła stałą obecność innej kobiety, w dodatku takiej, która miała silny charakter i ustaloną pozycję. W jej domu nie było służby. Matka z pomocą męża i dwóch córek potrafiła sama wszystko ogarnąć. Już po kilku dniach Liza zdała sobie jednak sprawę, że nie zdoła sama

prowadzić tak dużego domu, więc nie wszczynając wojny podjazdowej z Ninewą i nie raniąc jej uczuć, pogodziła się szybko z losem.

Obie kobiety były wystarczająco inteligentne, by wiedzieć, że żadna nie odejdzie z farmy. Nie miały wyboru: musiały się dogadać, przynajmniej na pozór. Dom był dostatecznie duży, by obie się w nim pomieściły. Pierwsze tygodnie były trudne, ale kiedy się lepiej poznały, napięcie opadło. Pete w niczym tu nie pomógł. Zadowolony z siebie, doglądał farmy i miał w nosie wszystko inne. Niech kobiety jakoś to między sobą załatwią.

Za to Amos od razu polubił Lizę. Każdej wiosny sadił w ogrodzie warzywa, którymi karmił Banningów i wielu ich robotników, a ogrodnictwo bardzo wciągnęło żonę Pete'a. Jako dziewczyna z miasta, do tej pory miała co najwyżej okazję podlewać kilka stokrotek na grządce. W ćwierćhektarowym ogrodzie Amosa rosły w idealnie równych rzędach kabaczki, kukurydza, sałata, fasola, marchew, bataty, papryka, bakłażany, ogórki, okra, truskawki, cebula i co najmniej cztery odmiany pomidorów. Obok ogrodu był niewielki sad z jabłonią, brzoskwiniami, śliwami i gruszami. Amos doglądał również kurczaków, świń i mlecznych krów. Na szczęście ktoś inny zajmował się końmi.

Nowa pomocnica spadła Amosowi jak z nieba. Codziennie po śniadaniu Liza szła do ogrodu, żeby podlewać rośliny, pielęgnować grządki, tępić szkodniki i zrywać dojrzałe owoce i warzywa, i albo nuciała coś przy tym wesoło pod nosem, albo zasypywała go dziesiątkami pytań na temat ogrodnictwa. Na głowie miała słomiany kapelusz z szerokim rondem, żeby chronić się przed słońcem, na rękach rękawice aż do łokci, a na nogach podwinięte do kolan spodnie. Nie zwracała uwagi na ziemię i błoto, ale w jakiś sposób udawało jej się nie pobrudzić ubrania. Amos uważał ją za najpiękniejszą kobietę na świecie i choć udawał zirytowanego jej wtrącaniem się we wszystko, po cichu się w niej podkochał. Liza chciała dowiedzieć się jak najwięcej o uprawie warzyw, a kiedy

kończyły się jej pytania, zabierał ją do obory i uczył dojenia krów, ubijania masła i robienia serów.

Często pomagał im przy tym Jupe, kilkunastoletni wnuk Amosa i Ninevy. Matka nadała mu imię Jupiter, którego nie znosił i dlatego je skrócił. Matka przeniosła się do Chicago i nie zamierzała wracać na Południe, ale Jupe wolał życie na farmie i mieszkał z dziadkami. W wieku piętnastu lat był potężnym, muskularnym młodzieńcem, zafascynowanym Lizą i straszliwie wobec niej nieśmiałym.

Z początku Amos podejrzewał, że entuzjazm, z jakim nowa pani domu zajmuje się ogrodem, wynika z jej chęci wyrwania się z domu, by nie wchodzić w drogę Ninevie, i było w tym jakieś ziarno prawdy. Ku zaskoczeniu obojga zrodziła się jednak między nimi szczerą przyjaźń. Liza chciała dowiedzieć się czegoś więcej o jego rodzinie i pochodzeniu, o jego rodzicach i dziadkach i ich ciężkim życiu na farmie. Jej ojciec pochodził z Północy, matka dorastała w Memphis. Liza nie miała wcześniej wiele do czynienia z czarnymi i bardzo im współczuła. Ostrożnie dobierając słowa i raczej nie rozwijając tematu, Amos wyjaśnił, że on, Nineva i ich dzieci mają w zasadzie szczęście. Mieszkali w miłym małym domku, który ojciec Pete'a zbudował im po rozbiórce ich dawnego rodzinnego domu. Mieli co zjeść i w co się ubrać. Na ziemi Banningów nikt nie chodził głodny, choć robotnicy rolni byli bardzo ubodzy. Ich małe chałupki ledwie nadawały się do zamieszkania. Dzieci, a było ich mnóstwo, zawsze biegały boso.

Liza zdawała sobie sprawę, że Amos jest ostrożny. Nie chciał, by zarzucano mu, że krytykuje szefa. I nigdy nie omieszkał dodać, że w okolicy żyje wielu białych biedaków, tak samo zdesperowanych jak czarni robotnicy rolni.

Podczas samotnych wypraw konnych Liza zjeżdżała całą posiadłość Banningów. Dwie trzecie obszaru zajmowały ziemie uprawne, pozostałą część lasy. Odnajdywała odcięte od świata, zagubione pośród drzew osady chat. Siedzące na gankach dzieci były brudne, miały szeroko otwarte oczy i nie

reagowały, kiedy się do nich odzywała. Ich matki z uśmiechem kiwały jej głowami i zaganiały dzieciaki do środka. W czymś na kształt wioski znalazła sklep i kościół z małym cmentarzem. Wzdłuż zakurzonych uliczek stały nędzne szałas.

Zszokowały ją złe warunki życia i ubóstwo czarnych i przyrzekła sobie, że pewnego dnia zrobi coś, by poprawić ich dolę. W pierwszym okresie nie zwierzała się jednak ze swoich myśli Pete'owi. Nie mówiła mu nic o swych przejażdżkach po lesie, lecz on i tak szybko się dowiedział. Jeden z robotników doniósł mu, że widziano nieznaną białą kobietę na koniu. Liza przyznała, że tak, to była ona, ale w czym problem? Nie wiedziała, że pewne miejsca są zakazane.

Nie, nic nie jest zakazane. Na plantacji nie mają nic do ukrycia. Czego tam szukała?

Wybrała się po prostu na konną przejażdżkę. Ilu czarnych mieszka na ich ziemi?

Pete nie wiedział dokładnie, bo rodziny stale się rozrastały. Mniej więcej stu, ale nie wszyscy dla nich pracowali. Niektórzy mieli inne zajęcia. Część przenosiła się gdzie indziej, część wracała. Kilku mężczyzn miało po kilka rodzin. Dlaczego o to pyta?

Z czystej ciekawości. Liza wiedziała, że realizacja jej planu może potrwać lata, i w tym momencie nie chciała robić problemów. Pete wciąż był zadłużony w bankach. Kraj nie dźwignął się jeszcze z kryzysu. Nie mieli zbyt dużo pieniędzy do wydania. Oszczędzali nawet na wyjazdach do Memphis.

* * *

Pewnego słonecznego ciepłego dnia w końcu marca 1938 roku, kiedy Liza i Amos sadzili w ogrodzie fasolę i groszek, zakręciło się jej nagle w głowie. Wstała, by złapać oddech, i zaraz potem zemdlą. Amos wziął ją na ręce i pobiegł do domu. Na werandzie natknął się na żonę. Nineva, która była

tu dyżurną pielęgniarką, lekarzem i akuszerką, wytarła jej twarz zimnym ręcznikiem i przywróciła Lizę do życia.

– Czuję się, jakbym była w ciąży – szepnęła Liza po kilku minutach, gdy poczuła się lepiej.

Trudno się temu dziwić, pomyślała Nineva, ale nie powiedziała ani słowa. Po południu Pete zawiózł Lizę do lekarza w Clanton, a ten potwierdził, że to drugi miesiąc ciąży. Joel i Stella byli za mali, by przekazywać im taką wiadomość, i w domu nic o tym nie mówiono. W głębi duszy Pete i Liza byli przeszcześliwi. Po dwóch poronieniach i wielu staraniach w końcu im się udało. Pete zażądał, by dała sobie spokój z ogrodnictwem i wypoczywała.

Miesiąc później Liza znów poroniła. Był to dla niej straszny cios i wpadła w czarną rozpacz. Zasunęła zasłony i przez miesiąc rzadko kiedy opuszczała sypialnię. Nineva jak zwykle stanęła na wysokości zadania i starała się nią troskliwie zajmować. Pete próbował spędzać z żoną jak najwięcej czasu, ale nic – nawet Joel i Stella – nie było w stanie przywrócić jej radości życia. Pete zawiózł ją w końcu do Memphis, na wizytę u specjalisty. Zatrzymali się na dwa dni u jej rodziców, ale nie poprawiło to w niczym jej nastroju. Któregoś ranka przy kawie Pete zwierzył się Ninevie, że bardzo się martwi. Oglądanie w takim stanie kogoś tak radosnego jak Liza było przerażające.

Nineva miała doświadczenie z białymi kobietami w depresji. Pani Banning nie uśmiechnęła się ani razu w ostatnich czterech latach swego życia, a ona codziennie dotrzymywała jej towarzystwa. Teraz godzinami przesiadywała z Lizą, próbując ją jakoś ożywić. Liza z początku prawie nic nie mówiła i dużo płakała. A Nineva gadała i gadała, opowiadając o swojej matce i babci, o ich życiu w niewoli. Przynosiła Lizie herbatę i ciasteczka z czekoladą i powoli rozsuwała zasłony. Rozmawiały ze sobą dzień po dniu i Liza zaczęła sobie stopniowo uświadamiać, że jej życie naprawdę nie jest takie złe. Należała do klasy uprzywilejowanej i mogła powiedzieć, że się jej poszczęściło.

Skończyła dopiero trzydziestkę, była zdrowa i najlepsze lata miała jeszcze przed sobą. Była matką i nawet jeśli nie urodzi już więcej dzieci, i tak ma przecież piękną rodzinę.

Dziewięć tygodni po poronieniu obudziła się któregoś ranka, zaczekała, aż Pete wyjdzie z domu, włożyła swoje luźne spodnie, znalazła kapelusz i rękawice i oznajmiła Ninevie, że jest potrzebna w ogrodzie. Nineva ruszyła tam w ślad za nią i szepnęła coś Amosowi. Ten pilnie obserwował panią i kiedy słońce wzeszło wysoko i zaczęła się pocić, nalegał, żeby odpoczęła. Nineva przyniosła mrożoną herbatę z cytryną, cała trójka siadła w cieniu drzewa i zdrowo się pośmiali.

Już wkrótce Liza i Pete wrócili do dawnego trybu życia, ale choć było im ze sobą bardzo dobrze, nadal nie zachodziła w ciążę. Tak minęły dwa lata. W swoje trzydzieste trzecie urodziny, w listopadzie 1940 roku, Liza nie miała już wątpliwości, że stała się bezpłodna.

Rozdział 23

Późnym latem 1941 roku zbiory bawełny zapowiadały się wyjątkowo dobrze. Zasadzono ją w połowie kwietnia. Czwartego lipca krzaki sięgały do pasa, na początku września do piersi. Pogoda była dokładnie taka jak trzeba: skwarne dni, chłodniejsze noce i obfite ulewy co dwa tygodnie. Po długiej zimie, podczas której karczowano ziemię, Pete zdołał obsadzić trzydzieści hektarów więcej. Już wcześniej udało mu się spłacić wszystkie długi w bankach i obiecywał sobie w duchu, że nigdy więcej nie weźmie kredytu pod zastaw ziemi. Jako plantator wiedział jednak, że takie wewnętrzne postanowienia są niewiążące. Za dużo było rzeczy, na które nie miał żadnego wpływu.

Optymizm, jakim napawał go widok krzaków bawełny, tłumili to, co działo się na świecie. W Europie Niemcy najechały dwa lata wcześniej Polskę, rozpoczynając wojnę. Rok później zaczęły się bombardowania Londynu, a w czerwcu 1941 roku Hitler zaatakował Rosję, rzucając na front wschodni największe siły inwazyjne w historii. W Azji Japonia od dziesięciu lat walczyła w Chinach. Sukcesy, jakie tam odnosiła, skłoniły jej generałów do ataku na brytyjskie, francuskie i holenderskie kolonie na Dalekim Wschodzie. Japoński cel – totalna dominacja w Azji Wschodniej – wydawał się bliski osiągnięcia. W sierpniu 1941 roku Stany Zjednoczone dostarczały Japonii osiemdziesiąt procent zużywanej przez

nią ropy naftowej. Kiedy prezydent Roosevelt ogłosił pełne naftowe embargo, zagroziło to gospodarczej i wojskowej potędze tego kraju.

Wojna wydawała się nieunikniona na obu frontach, więc powszechnie debatowano, jak długo jeszcze Stany Zjednoczone mają stać z bronią u nogi. Pete miał wielu przyjaciół, którzy nadal służyli w armii, i żaden z nich nie uważał, że ich kraj powinien pozostać neutralny.

Osiem lat wcześniej odszedł z wojska i prawdę mówiąc, trochę tego wtedy żałował. Teraz jednak nie miał wątpliwości, jaką widzi przed sobą przyszłość. Przywykł do życia plantatora. Uwielbiał żonę i dzieci i znajdował satysfakcję w odwiecznym cyklu pór roku, rytmie sadzenia i zbiorów. Codziennie można go było ujrzyć na polu, często w siodle i często razem z Lizą; obserwował uprawy i szukał sposobów na pozyskanie więcej ziemi. Joel miał już piętnaście lat i kiedy nie był akurat w szkole i nie wykonywał licznych obowiązków na farmie, polował razem z Pete'em na jelenia wirginijskiego albo na dzikie indyki. Stella miała trzynaście lat i doskonale się uczyła. Co dzień, dokładnie o siódmej wieczorem, rodzina jadła wspólnie kolację i dyskutowała o wszystkim. Coraz częściej tematem rozmów była wojna.

Jako rezerwista Pete zdawał sobie sprawę, że zostanie wkrótce powołany do służby, i myśl o opuszczeniu domu była dla niego bolesna. Niechętnie wspominał swoje dawne marzenia o wojskowej chwale. Był teraz farmerem, zbyt starym, by służyć w wojsku, przynajmniej on tak uważał. Wiedział jednak, że jego wiek nie będzie dla armii przeszkodą. Co tydzień dostawał listy od dawnych znajomych z West Point, których wzywano do służby. Wszyscy obiecywali, że będą z nim w kontakcie.

Rozkazy przyszły piętnastego września 1941 roku. Pete miał się stawić w Fort Riley, w Kansas, siedzibie swojego macierzystego Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii, który w tym czasie stacjonował już na Filipinach. Poprosił

o trzydziestodniowe odroczenie, by móc dopilnować zbiorów, ale dostał odmowę.

Trzeciego października Liza zaprosiła małą grupkę przyjaciół, którzy mieli go pożegnać. Mimo że Pete próbował uśmierzyć wszelkie obawy, nie było to wesołe spotkanie. Ludzie uśmiechali się, obejmowali go i życzyli powodzenia, ale strach i napięcie były niemal namacalne. Pete podziękował wszystkim za ich myśli i modlitwy i przypomniał, że w całym kraju do wojska powołuje się tysiące młodych ludzi. Świat stanął u progu kolejnego wielkiego konfliktu i w ciężkich czasach trzeba było ponieść jakieś ofiary.

Obecni byli również nowy pastor, Dexter Bell, i jego żona Jackie. Wprowadzili się do miasta miesiąc wcześniej i zostali dobrze przyjęci. Dexter był młody i pełen entuzjazmu i świetnie się sprawdzał w roli kaznodziei. Jackie miała piękny głos i zachwyciła wiernych dwiema odśpiewanymi solo pieśniami. Mieli trójkę grzecznych, dobrze wychowanych dzieci.

Po wyjściu gości Banningowie usiedli razem z Florry w gabinecie, próbując opóźnić to, co było nieuniknione. Stella ze łzami w oczach tuliła się do ojca. Joel, podobnie jak Pete, usiłował zachować stoicką postawę, tak jakby wszystko miało się dobrze skończyć. Co jakiś czas dorzucał dREW do ognia i grzali się w jego ciepłe, wszyscy przybici i niepewni jutra. Ogień w końcu zgasł i nastąpiła pora, by iść do łóżek. Nazajutrz była sobota i dzieci mogły dłużej pospać.

Kilka godzin później, o świcie, Pete cisnął swój marynarski worek na tylne siedzenie samochodu i ucałował Lizę na pożegnanie. Odjechał razem z Jupe'em, który miał teraz dwadzieścia lat i wyrósł na przystojnego młodego mężczyznę. Pete znał go od dziecka i w ciągu tych wszystkich lat bardzo polubił. Nauczył chłopaka prowadzić samochód, załatwił mu prawo jazdy i on sam, a także Nineva i Liza często korzystali z jego usług, kiedy musieli coś załatwić w mieście. Wolno mu było nawet jeździć pick-upem Pete'a do Tupelo po paszę i zapasy żywności.

Dojechali do Memphis i zaparkowali przy dworcu kolejowym. Pete kazał Jupe'owi pilnować porządku na farmie i patrzył, jak chłopak odjeżdża. Dwie godziny później wsiadł do pociągu jadącego do Fort Riley w Kansas. W środku pełno było świeżo powołanych żołnierzy, zmierzających do baz w całym kraju.

Pete odszedł z armii w stopniu porucznika i w takim samym stopniu teraz znów go przyjęto. Dostał przydział do swojej starej jednostki, Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii, i dziesiątego listopada, po miesięcznym szkoleniu w Fort Riley, wyekspediowano go z kraju. Płynąc na pokładzie transportowca, który sunął pod Golden Gate Bridge, zastanawiał się, za ile miesięcy wróci do domu. Na pokładzie pisał dwa albo trzy listy dziennie do Lizy i dzieci i nadawał je w porcie. Transportowiec zawinął do Pearl Harbor po zaopatrzenie i tydzień później dopłynął do Manili na Filipinach.

Pete nie mógł tam przybyć w gorszym momencie. Jego przydział okazał się mocno niefortunny.

Rozdział 24

Filipiny to archipelag siedmiu tysięcy wysp rozrzuconych na Morzu Południowochińskim. Ukształtowanie terenu i krajobraz diametralnie się różnią w zależności od wyspy. Są tam sięgające trzech tysięcy metrów strome góry, gęste lasy, nieprzebyte dżungle, przybrzeżne tereny zalewowe, plaże oraz skaliste wybrzeża. Wiele większych wysp przecinają niezeglowne rzeki o bystrym nurcie. W roku 1940 był to kraj, który posiadał duże zasoby bogactw mineralnych i dostarczał obfitych płodów rolnych, dlatego też miał kluczowe znaczenie dla japońskich działań wojennych. Amerykańscy planiści wojskowi nie mieli wątpliwości, że Filipiny staną się celem agresji na wczesnym etapie wojny; wiedzieli również, że ich obrona będzie bardzo trudna. Leżały blisko Japonii, ambitnego przeciwnika, którego cesarska armia atakowała brutalnie wszystkich sąsiadów w regionie.

Obrona Filipin znajdowała się w rękach generała majora Douglasa MacArthura z armii Stanów Zjednoczonych. W lipcu 1941 roku prezydent Roosevelt ściągnął go z emerytury i mianował głównodowodzącym wszystkich sił amerykańskich na Dalekim Wschodzie. MacArthur założył kwaterę główną w Manili i przystąpił do przygotowywania obrony, co wcale nie było łatwe. Mieszkał w tym kraju od wielu lat i dobrze go znał; wiedział również, jak poważna jest w gruncie rzeczy sytuacja. Wielokrotnie ostrzegał Waszyngton

przed japońskim zagrożeniem. Jego raporty docierały do celu, ale nie spotykały się z żadną reakcją. Postawienie armii w stan gotowości wydawało się niemożliwe i było na to mało czasu.

Po przejęciu dowództwa generał zaczął się natychmiast domagać, by przysłano mu na Filipiny więcej żołnierzy, więcej uzbrojenia, więcej samolotów, okrętów, okrętów podwodnych i zaopatrzenia. Waszyngton wszystko to mu obiecywał, ale dostarczał niewiele. W grudniu 1941 roku, kiedy stosunki z Japonią mocno się pogorszyły, armia amerykańska liczyła 22 500 żołnierzy, z czego połowę stanowili dobrze wyszkoleni Filipińscy Zwiadowcy, doborowa formacja złożona z mieszkających na Filipinach Amerykanów i w pewnej części krajowców. Kolejnych 8500 żołnierzy przybyło ze Stanów. MacArthur zmobilizował również regularną armię Filipin, marnie wyposażone wojsko, liczące, przynajmniej na papierze, dwanaście dywizji piechoty. Łącznie, gdyby policzyć wszystkich, generał miał pod swoimi rozkazami 100 000 mężczyzn, którzy w większości byli niewyszkoleni i nigdy nie wachali prochu.

Regularna armia Filipin była w opłakanym stanie. Rdzenni Filipińczycy, stanowiący jej trzon, mieli do dyspozycji pochodzące z pierwszej wojny światowej pistolety, strzelby oraz karabiny maszynowe. Artyleria była przestarzała i nieskuteczna. Większość amunicji okazała się wadliwa. Wielu oficerów i szeregowych nie odbyło szkolenia i brakowało miejsc, gdzie można by je przeprowadzić. Nieliczni mieli porządne mundury. Z powodu braku stalowych hełmów filipińscy żołnierze nosili prowizoryczne kaski, zrobione ze skorup orzechów kokosowych.

Kilkaset samolotów, składających się na siły powietrzne MacArthura, były w większości starymi gratami, których nie chciał nikt inny. Generał wielokrotnie domagał się więcej samolotów, okrętów, oddziałów piechoty, amunicji i zaopatrzenia, lecz albo ich nie było, albo zostały skierowane gdzie indziej.

* * *

Pete przybył do Manili w Święto Dziękczynienia i korzystając z okazji, dojechał ciężarówką z zaopatrzeniem do Fort Stotsenburg, sto kilometrów na północ od stolicy, gdzie dołączył do batalionu C Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii. Zameldował się u dowódcy, po czym przydzielono mu pryczę w koszarach i zabrano do stajni, by wybrał sobie konia.

W tym czasie Dwudziesty Szósty Pułk liczył 787 żołnierzy, w większości dobrze wyszkolonych Filipińskich Zwiadowców, i 55 amerykańskich oficerów. Była to ostatnia w armii amerykańskiej formacja konna – odpowiednio wyposażona, świetnie wymusztrowana i znana z dyscypliny. Pierwsze dni Pete spędził tam razem ze swoim nowym towarzyszem, kasztanem czystej krwi o imieniu Clyde. W Dwudziestym Szóstym Pułku popularna była gra w polo, którą traktowano jako część szkolenia. Pete, z początku nieco sztywny, szybko poczuł się pewnie w siodle i chętnie brał udział w meczach. Z dnia na dzień rosło jednak napięcie i pułk, razem z innymi siłami zbrojnymi na Filipinach, szykował się na najgorsze. Wrogie kroki ze strony Japończyków były tylko kwestią czasu.

Wczesnym rankiem ósmego grudnia 1941 roku radiotelegrafiści na Filipinach usłyszeli pierwsze meldunki o ataku na Pearl Harbor. Gra w polo się skończyła; zaczęła się wojna. Wszystkie amerykańskie jednostki postawiono w stan pogotowia. Zgodnie z planem generalnym obrony Filipin, dowódca sił powietrznych, generał Lewis Brereton, zarządził pełny alert we wszystkich eskadrach. O piątej rano Brereton stawił się w kwaterze głównej generała MacArthura, by uzyskać zgodę na zbombardowanie odległych o trzysta kilometrów japońskich lotnisk na Formozie. Szef sztabu MacArthura nie dopuścił go do głównodowodzącego, twierdząc, że jest on zbyt zajęty. Zgodnie z ustalonymi i przeciwiczonymi jeszcze przed wybuchem wojny planami,

taki atak powinny natychmiast przeprowadzić bombowce B-17, ale MacArthur musiał go ostatecznie zatwierdzić. Niestety tego nie zrobił. O 7.15 spanikowany Brereton wrócił do kwatery głównej i znów zażądał audiencji u generała. Ponownie został odprawiony z niczym: kazano mu „czekać na rozkazy”. W tym czasie dostrzeżono już japońskie samoloty zwiadowcze i do kwatery Breretona zaczęły spływać raporty na temat wrogiego lotnictwa. O 10.00, wściekły i rozgorączkowany, znów chciał się widzieć z MacArthurem. Do spotkania nie doszło, ale kazano mu przygotować się do ataku. Godzinę później Brereton poderwał swoje bombowce w powietrze, by ochronić je przed japońskim atakiem. Zaczęły krążyć wokół wysp, bez bomb.

Kiedy MacArthur wydał w końcu rozkaz ataku, bombowce Breretona były w powietrzu i kończyło im się paliwo. Po otrzymaniu rozkazu natychmiast wróciły do swoich baz, razem z eskadrą myśliwców. O 11.30 wszystkie amerykańskie samoloty były już na ziemi. Ekipy naziemne starały się jak najszybciej je zatankować i uzbroić i wtedy właśnie pojawiła się lecąca w idealnym szyku pierwsza fala japońskich bombowców. O 11.35 nadleciały znad Morza Południowochińskiego i w polu ich widzenia pojawiło się Clark Airfield. Japońscy piloci oniemieli ze zdumienia. Pod nimi na pasach startowych stały w równych rzędach myśliwce i sześćdziesiąt bombowców B-17. O 11.45 zaczęło się bezlitosne bombardowanie Clark Airfield. W ciągu kilku minut trzon amerykańskich sił powietrznych na Filipinach został zniszczony. Podobne ataki przeprowadzono na inne bazy powietrzne. Z przyczyn, których nigdy nie wyjaśniono, Amerykanie dali się kompletnie zaskoczyć. Straty były niepowetowane. Bez sił powietrznych, które mogłyby ochraniać i zaopatrywać wojska lądowe, i bez nadciągających posiłków bitwa o Filipiny była przegrana już w pierwszych godzinach po jej rozpoczęciu.

Japończycy byli przekonani, że uda im się opanować wyspy w ciągu trzydziestu dni. Dwudziestego drugiego grudnia

w różnych miejscach na wybrzeżu doszło do desantu czterdziestu trzech tysięcy żołnierzy elitarnych wojsk japońskich, które pokonały opór obrońców. W pierwszych dniach inwazji wydawało się, że pewność siebie Japończyków jest uzasadniona. Niezwykła odwaga i czysty upór amerykańskich i filipińskich żołnierzy sprawiły jednak, że bez żadnej nadziei na jakąkolwiek odsiecz czy posiłki bronili się oni jeszcze przez cztery miesiące.

* * *

Wkrótce po inwazji Japończyków batalion C został skierowany na północ, na półwysep Bataan, gdzie prowadził działania rozpoznawcze dla potrzeb piechoty i artylerii i wziął udział w kilku potyczkach. Dowódcą plutonu Pete'a był porucznik Edwin Ramsey, który wstąpił na ochotnika do Dwudziestego Szóstego Pułku, bo słyszał, że „mają tam znakomity klub polo”. Porucznik Banning był jego zastępcą.

Spędzając cały dzień w siodle i przemierzając szybko półwysep, śledzili ruchy przeciwnika i oceniali jego siłę. Prawie natychmiast stało się jasne, że japońskie oddziały przewyższają ich liczebnie, a także w wyszkoleniu i uzbrojeniu. Do zajęcia wyspy użyli swoich najlepszych frontowych dywizji, zahartowanych w boju weteranów, którzy walczyli już niemal od dziesięciu lat. Mając pełną przewagę w powietrzu, japońskie samoloty mogły bez żadnych przeszkód bombardować i ostrzeliwać przeciwnika. Dźwiękiem budzącym największy przestrah u Amerykanów stało się wycie silników myśliwców Zero, które wyłaniały się zza drzew ze swoimi dwoma dwudziestomilimetrowymi działkami i dwoma siedmiomilimetrowymi karabinami maszynowymi i kosiły wszystko, co poruszało się na ziemi. Codziennie, często co kilka godzin, trzeba było się kryć przed japońskimi myśliwcami. Dla Dwudziestego Szóstego Pułku

było to szczególnie trudne, bo ludzie musieli szukać osłony również dla swoich wierzchowców.

O zmierzchu, po rozbiciu obozu, karmili i poili konie. Każdy batalion miał w swoim składzie kucharzy, kowali, a nawet weterynarzy. Po kolacji, kiedy robiło się spokojniej i ludzie mogli w końcu odpocząć, czytano to, co przyszło z domu, i pisano listy. Do chwili inwazji poczta działała całkiem dobrze, a nawet znakomicie, biorąc pod uwagę okoliczności. Pod koniec grudnia listy przychodziły jednak coraz rzadziej.

W tygodniu przed Bożym Narodzeniem Pete dostał całe pudełko listów i pocztówek od rodziny, współwyznawców i jak mu się zdawało, większości ważnych obywateli Clanton. Było ich kilkadziesiąt i przeczytał wszystkie od deski do deski. Te od Lizy i dzieci czytał tyle razy, że nauczył się ich praktycznie na pamięć. Odpowiadając na nie, opisywał wyspy i kraj, różniące się diametralnie od pagórkowatego północnego Missisipi. Pisał o znojnym wojskowym życiu. Ani razu nie zasugerował, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo. Ani razu nie użył słów, które wskazywałyby, że się czegoś obawia. Japończycy wkrótce zaatakują albo już zaatakowali i zostaną odparci przez Armię Stanów Zjednoczonych i jej filipińskich sojuszników.

Dwudziestego czwartego grudnia MacArthur wcielił w życie przedwojenny plan zakładający wycofanie wszystkich sił na półwysep Bataan, który miał się stać ostatnim przyczółkiem. Zwycięstwo nie wchodziło tak naprawdę w grę i MacArthur dobrze o tym wiedział. Wojska amerykańskie miały się okopać na Bataan i jak najdłużej angażować siły Japończyków, by wstrzymać ich inwazję na innych frontach na Pacyfiku.

„Wstrzymywanie” było słowem kluczem. Powszechnie mówiło się o „grze na zwłokę”.

Żeby osłaniać wycofujące się na półwysep Bataan oddziały, MacArthur wyznaczył pięć pozycji obronnych w centralnej części wyspy Luzon, miejscu działań większości sił japońskich.

Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii miał odegrać kluczową rolę we wstrzymaniu natarcia wroga.

Piętnastego stycznia 1942 roku porucznik Ed Ramsey zakończył właśnie ze swoim plutonem trudny zwiad i miał zamiar dać odpocząć ludziom i koniom. Batalion C otrzymał jednak informację, że w ich kierunku zmierza duży japoński oddział. Planowano kontratak i Ramsey zgłosił się na ochotnika, by w nim uczestniczyć.

Kazano mu zająć wioskę Morong, strategiczny punkt przy rzece Batalan, w zachodniej części półwyspu Bataan. Wioska została wcześniej opanowana przez Japończyków, ale była niezbyt mocno broniona. Ramsey zebrał dwudziestosiedmioosobowy pluton i ruszył na północ główną drogą do Morong. Dotarłszy do rzeki przy południowym skraju wioski, ostrożnie podeszli bliżej i odkryli, że jest opuszczona. Jedynym kamiennym budynkiem był tam kościół katolicki; otaczały go trzcinowe chaty na palach. Ramsey podzielił oddział na trzy drużyny. Porucznik Banning miał dowodzić pierwszą. Kiedy Pete i jego ludzie podchodzili do kościoła, cały pluton został ostrzelany przez Japończyków. Ludzie Ramseyego odpowiedzieli ogniem i spostrzegli, że mają naprzeciwko siebie straż przednią dużego japońskiego oddziału, który szykował się do przejścia w bród rzeki. Gdyby udało im się dotrzeć do Morong, pluton znalazłby się w okrążeniu.

Bez chwili wahania Ramsey zdecydował się poprowadzić szarżę kawalerii na piechotę przeciwnika, coś, czego w amerykańskiej armii nie widziano od ponad pięćdziesięciu lat. Sformował pluton w szyku bojowym, podniósł pistolet nad głowę i ryknął: „Naprzód!”. Galopujące konie i strzelający jeźdźcy roznieśli w strzępy przednią straż Japończyków. Przerażeni żołnierze wroga wycofali się na drugi brzeg rzeki, gdzie próbowali się przegrupować. Mając tylko trzech rannych, pluton Ramseyego powstrzymywał Japończyków aż do czasu, gdy zluzował ich inny oddział.

Ta potyczka przeszła do historii jako ostatnia szarża kawaleryjska w wojsku Stanów Zjednoczonych.

Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii nadal nękał i powstrzymywał wroga, opóźniając nieuniknione oblężenie półwyspu Bataan. MacArthur przeniósł tam rząd Filipin i większość armii, ale na własną kwaterę wybrał bunkier na silnie ufortyfikowanej wyspie Corregidor, która strzegła Zatoki Manilskiej. Jego wojska gorączkowo umacniały pozycje obronne na Bataan. Barki bez przerwy dowoziły z Manili ludzi i zaopatrzenie. Planowano dostarczyć tyle żywności, by starczyło na wyżywienie przez sześć miesięcy czterdziestu pięciu tysięcy ludzi. Ostatecznie na Bataan wycofało się osiemdziesiąt tysięcy żołnierzy i dwadzieścia pięć tysięcy filipińskich cywili. W połowie stycznia ewakuacja zakończyła się sukcesem.

Kiedy wszystkie siły amerykańskie znalazły się na półwyspie, Japończycy szybko je okrążyli i zastosowali pełną blokadę morską i powietrzną. W swoim zadufaniu popełnili jednak taktyczny błąd. Skierowali elitarne dywizje w inne rejony Pacyfiku i zastąpili je gorzej wyszkolonymi jednostkami. Konsekwencje tego błędu udało im się jakoś pokonać, ale udręka oblężenia trwała wskutek tego kilka miesięcy dłużej.

W pierwszych tygodniach bitwy o Bataan Amerykanie i Filipińczycy bronili zażarcie swego ostatniego bastionu i Japończycy ponieśli ciężkie straty. Po stronie aliantów poległo i zostało rannych mniej żołnierzy, ale nie było ich kim zastąpić. Japończycy natomiast mieli niewyczerpane zasoby ludzi i sprzętu i w następnych tygodniach bezustannie nękali przeciwników ogniem ciężkiej artylerii i atakami bombowymi z powietrza.

Warunki na Bataan szybko się pogarszały. Amerykanie i Filipińczycy przez długie tygodnie walczyli o pustych brzuchach. Średnie dzienne spożycie wynosiło dwa tysiące kalorii, połowę tego, czego potrzebuje w ciężkim boju żołnierz. Głód był powszechny, a zapasy żywności ciągle się

zmniejszały. Stało się tak w wyniku kolejnego trudnego do wyjaśnienia błędu MacArthura. W trakcie pospiesznej ewakuacji swoich sił na Bataan zostawił w Manili większość zapasów. W jednym tylko magazynie porzucono dziesiątki tysięcy ton ryżu, dość do wykarmienia jego armii przez rok. Wielu oficerów błagało go, by zgromadził więcej żywności na półwyspie, ale on nie chciał ich słuchać. Kiedy poinformowano go, że żołnierze są głodni i gorzko się skarżą, obniżył wszystkim racje do połowy. W liście do swoich ludzi obiecał posiłki. „Wysłano nam na pomoc tysiące żołnierzy i setki samolotów, ale dokładny termin ich przybycia jest nieznany”, pisał, sugerując, że pomoc jest już w drodze.

Było to kłamstwo. Flota Pacyfiku została w dużym stopniu rozbita w Pearl Harbor i nie była w stanie przerwać japońskiej blokady. Filipiny były odcięte od świata. Wiedzieli o tym w Waszyngtonie i wiedział o tym MacArthur.

Głodujący ludzie jedli wszystko, co się dało. Polowali na carabao, filipińską odmianę bawołów wodnych. Ich twarde łykowate mięso trzeba było moczyć i gotować w słonej wodzie, a potem rozbijać tłuczkiem, by stało się jadalne. Podawano je zwykle z papką z zarobaczonego zgniłego ryżu. Kiedy carabao zostały wytrzebione, zaczęto zabijać konie i muły. Jednak kawalerzyści z Dwudziestego Szóstego Pułku nie zamierzali zjadać swoich ukochanych wierzchowców.

Głodujący żołnierze polowali też na dzikie świnie, jaszczurki, wrony i egzotyczne ptaki, a także węże, wśród nich kobry, których było mnóstwo. To, co udało się upolować, wrzucali do wielkiego kotła i warzyli w nim wspólny gulasz. Pod koniec lutego na Bataan nie było już ani jednego owocu mango i ani jednego banana, a ludzie jedli trawę i liście. Półwysep Bataan opływają wody znanego z obfitości ryb Morza Południowochińskiego. Ich połów okazał się jednak niemożliwy, bo piloci japońskich myśliwców z wielkim upodobaniem atakowali i zatapiali nawet najmniejsze łodzie rybackie. Wypływanie na morze było czystym samobójstwem.

Niedożywienie było powszechne. Na początku marca stan fizyczny żołnierzy nie pozwalał na prowadzenie zwiadu, organizowanie zasadzek i atakowanie przeciwnika. Utrata wagi była zatrważająca; każdy z żołnierzy stracił od piętnastu do dwudziestu pięciu kilogramów.

Jedenastego marca MacArthur, wykonując rozkazy z Waszyngtonu, uciekł razem ze swoją rodziną i najważniejszymi sztabowcami z Corregidor i dotarł bezpiecznie do Australii, gdzie założył nową kwaterę główną. Chociaż nie dokonał żadnych walecznych czynów i zostawił swoich żołnierzy na poniewierkę, przyznano mu Medal Honoru za bohaterską obronę Filipin.

Wycieńczeni ludzie, których zostawił na Bataan, nie byli już w stanie walczyć. Obrzękłe stawy, krwawiące dziąsła, drętwienie stóp i dłoni, niskie ciśnienie krwi, utrata ciepłoty ciała, drgawki i anemia były tak dotkliwe, że wielu nie mogło chodzić. Niedożywienie doprowadziło wkrótce do dyzenterii z tak ostrą biegunką, że ludzie tracili często przytomność. Malaria szerzyła się na Bataan nawet w czasach pokoju, a wojna dostarczyła komarom niezliczoną liczbę nowych ofiar. Po ukąszeniu ludzie dostawali gorączki, potów i zimnych dreszczy. Pod koniec marca na malarię zapadało tysiąc mężczyzn dziennie. Chorowała na nią większość oficerów. Jeden z generałów meldował, że tylko połowa jego ludzi może walczyć. Druga połowa była „tak chora, głodna i wyczerpana, że w żadnym wypadku nie uda im się utrzymać pozycji i zaatakować wroga”.

Ludzie tracili już wiarę, że nadejdzie jakaś odsiecz. Każdego ranka zwiadowcy wyruszali nad morze i wypatrywali konwojów, ale oczywiście żaden się nie pojawił. Pod koniec lutego prezydent zwrócił się przez radio do narodu w jednej ze swoich „Rozmów przy kominku”. Poinformował rodaków, że Japończycy „całkowicie zablokowali” Filipiny i wskutek tego niemożliwe jest udzielenie broniącym się tam amerykańskim żołnierzom „istotnego wsparcia”. A ponieważ

Stany Zjednoczone walczą na dwóch wielkich frontach, kraj musi się skoncentrować na „rejonach innych niż Filipiny”.

Żołnierze na półwyspie Bataan również go słuchali, przez krótkofalówki w swoich okopach i czołgach, i teraz poznali prawdę. Nie było dla nich ratunku.

* * *

W domu Banningowie już od dwóch miesięcy nie dostali żadnego listu od Pete'a. Wiedzieli, że jest na półwyspie Bataan, ale nie mieli pojęcia, jak fatalna jest tam sytuacja. Oni także wysłuchali prezydenta i po raz pierwszy zdali sobie sprawę z rozmiarów zagrożenia. Po tym przemówieniu Stella uciekła do swojego pokoju i płakała, póki nie zmorzył jej sen. Liza i Joel siedzieli do późna, rozmawiając o wojnie i bezskutecznie próbując znaleźć powody do optymizmu.

Każde niedzielne nabożeństwo Dexter Bell rozpoczynał od odczytania nazwisk uczestniczących w wojnie mieszkańców hrabstwa Ford i z tygodnia na tydzień ta lista robiła się dłuższa. Wraz z całym zgromadzeniem żarliwie modlił się o ich bezpieczny powrót. Większość dopiero się szkolila, więc nie trafili jeszcze na front. Ale Pete Banning znalazł się w strasznym miejscu i modlono się za niego bardziej niż za innych.

Liza i jej bliscy starali się nie upadać na duchu. Kraj toczył wojnę i tysiące rodzin żyły w lęku. Pewien osiemnastolatek z Clanton zginął w Afryce Północnej. Już wkrótce do tysięcy amerykańskich rodzin miały dotrzeć tragiczne wieści.

Rozdział 25

Pozbawiony koni Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii przestał funkcjonować jako samodzielna jednostka. Jego żołnierzy przeniesiono do innych oddziałów i powierzono im zadania, jakich wcześniej nie wykonywali. Pete'a przydzielono do piechoty i dano mu do ręki łopatę, żeby kopał rów, jeden z tysięcy innych na przecinającej południowy Bataan dwudziestokilometrowej linii rezerwowej. Linia rezerwowa była w rzeczywistości ostatnią linią obrony. Gdyby Japończykom udało się ją sforsować, alianci zostaliby zepchnięci na południowy skrawek półwyspu i rozgromieni na brzegu Morza Południowochińskiego.

W marcu podczas krótkiej przerwy w walkach Japończycy zacisnęli pętlę wokół Bataan. Przegrupowali się i korzystając ze świeżych dostaw, umocnili swoje pozycje. Amerykanie i Filipińczycy wiedzieli, co ich czeka, i obwarowali się jeszcze mocniej.

Pete i jego towarzysze okopywali w tym czasie bunkry i przedpiersia, ale praca nie szła łatwo. Ludzie byli chorzy i wygłodzeni. Pete oceniał, że stracił co najmniej dwadzieścia kilogramów. Żeby nie spadły mu z tyłka spodnie, mniej więcej co dziesięć dni robił kolejną dziurkę w swoim jedynym pasku. Jak dotąd udało mu się uniknąć malarii, lecz było to tylko kwestią czasu. Miał dwa łagodne ataki dyzenterii, ale szybko

się pozbiierał, kiedy lekarz znalazł dla niego trochę morfiny. W nocy spał na kocu przy swoim okopie, z karabinem u boku.

Po prawej stronie miał sierżanta Sala Moreno, włoskiego twardziela z Long Island. Sal był dzieckiem wielkiego miasta i pochodził z licznej rodziny, o której mógł długo i ze swadą opowiadać. Nauczył się jeździć konno na farmie, na której pracował jego wujek. Po kilku zatargach z prawem wstąpił do wojska i udało mu się trafić do Dwudziestego Szóstego Pułku. Ostry atak malarii o mało go nie zabił, ale Pete kupił na czarnym rynku chininę i dzięki niej Sal jakoś się wykaraskał.

Po lewej stronie miał Ewinga Kane'a, arystokratę z Wirginii, który podobnie jak jego ojciec i dziadek ukończył z wyróżnieniem Virginia Military Institute. Ewing już jako trzylatek dosiadał kucyka i był najlepszym jeźdźcem w ich pułku.

Ale koni już nie było i kawalerzyści boleli nad tym, że zdegradowano ich do roli piechurów. Gadali ze sobą całymi godzinami, a ulubionym tematem było jedzenie. Pete opisywał z rozmarzeniem posiłki przygotowywane przez Ninewę: bitki wołowe ze zwierząt z jego farmy, wędzone żeberka, smażoną okrę, smażone kurczaki, smażone zielone pomidory, smażone z bekonem ziemniaki, smażone dynie, smażone wszystko. Sal zachwycał się kuchnią, w której używa się tyle tłuszczu. Ewing opowiadał o smaku wędzonej wirginijskiej szynki i bekonu, o tym, jak można przyrządzić bażanta, gołębia, przepiórkę i gulasz brunszwicki. Okazali się jednak amatorami w porównaniu z Salem, którego matka i babka przygotowywały potrawy, o jakich jego dwaj koledzy nigdy nie słyszeli. Zapiekane lasagne, nadziewane manicotti, spaghetti bolognese, eskalopki wieprzowe z octem balsamicznym, czosnkowo-pomidorowa bruschetta, pieczona mozzarella i tak dalej, i tak dalej. Lista nie miała końca i z początku byli przekonani, że Sal przesadza. Szczegółowość jego opisów sprawiła jednak, że pociekła im ślina. Umówili się po wojnie w Nowym Jorku, żeby skosztować włoskich przysmaków.

Zdobywali się czasem na marzenia i żarty, ale morale było niskie. Żołnierze na półwyspie Bataan obwiniali MacArthura, Roosevelta i wszystkich innych w Waszyngtonie o to, że się na nich wypięli. Byli rozgoryczeni i przygnębieni i większość nie mogła się powstrzymać przed biadoleniem. Inni radzili im, żeby się przymknęli. Skargi w niczym nie poprawią ich parszywego losu. Widok płaczącego żołnierza w okopach nie był czymś niezwykłym, podobnie jak widok żołnierza, który załamywał się i z nich wychodził. Pete jakoś się trzymał, myśląc o Lizie i dzieciach, a także o obfitych posiłkach, które przyrządzi mu pewnego dnia Nineva, i o wszystkich tych warzywach z ogrodu Amosa. Chciał napisać do domu, ale nie było papieru i piór, a poczta nie działała. Blokada sprawiła, że zostali kompletnie odcięci od świata. Codziennie modlił się za swoją rodzinę i prosił Boga, by miał ją w opiece, gdy go zabraknie. Był pewien, że zginie – z głodu, na śmiertelną chorobę, od bomby albo pocisku.

Choć japońska piechota dała im na jakiś czas spokój, byli stale pod ostrzałem artylerii i sił powietrznych. Walki ustały, ale nie mieli ani jednego spokojnego dnia. Przez cały czas groziło im niebezpieczeństwo. Żeby się nie nudzili, każdego ranka bombardowały ich japońskie bombowce, a kiedy znikwały, zaczynała zbierać swoje krwawe żniwo artyleria.

Pod koniec marca naprzeciwko amerykańskich pozycji ustawiono sto pięćdziesiąt ciężkich dział i zaczęła się nowa faza ostrzału. Trwał teraz na okrągło i jego rezultaty były straszliwe. Wielu kryjących się w okopach Amerykanów i Filipińczyków pociski rozerwały na strzępy. Bunkry, które miały przetrwać ciężkie bombardowanie, rozpadały się niczym domki z trzciny. Poniesiono olbrzymie straty w ludziach, a szpitale polowe wypełniły się rannymi i umierającymi. Trzeciego kwietnia, po trwającym przez cały tydzień ostrzale artyleryjskim, w wyrwy, które powstały w linii obrony, wdarły się japońskie czołgi i piechota. Oficerowie próbowali zatrzymać wycofujących się Amerykanów i Filipińczyków na pozycjach obronnych, ale te

padały już po kilku godzinach. Wszystkie kontrataki były odpierane przez dysponujących olbrzymią przewagą Japończyków.

Pewien amerykański generał oceniał, że tylko jeden żołnierz na dziesięciu mógł wtedy przejść sto metrów, podnieść karabin i oddać strzał do wroga. Armia, która jeszcze niedawno liczyła osiemdziesiąt tysięcy ludzi, została zredukowana do dwóch i pół tysiąca żołnierzy mających wartość bojową. Niedożywieni, niedozbrojeni i pozbawieni wsparcia z powietrza i z morza, Amerykanie i Filipińczycy walczyli dalej, rzucając przeciwko Japończykom ostatnie rezerwy i zadając im potężne straty w ludziach. Ale przeciwnik przewyższał ich liczebnie, był lepiej uzbrojony i wkrótce miało stać się to, co było nieuchronne.

Japończycy kontynuowali ofensywę i amerykański dowódca, generał Ned King, zebrał swoich generałów i pułkowników, żeby przedyskutować z nimi rzecz nie do pomyślenia – kapitulację. Rozkazy z Waszyngtonu były jasne: amerykańskie i filipińskie siły mają walczyć do ostatniego żołnierza. Mogło się to wydawać szczytem heroizmu komuś, kto siedział w wygodnym gabinecie w Waszyngtonie, ale generał King został postawiony pod ścianą. To od niego zależało, czy jego ludzie się poddadzą, czy też pozwolą, by zostali wyrznięci. Ci, którzy byli zdolni do walki, z każdym dniem stawiali coraz słabszy opór. Japończycy dotarli na odległość kilku kilometrów od dużego szpitala polowego, w którym leżało sześć tysięcy rannych i umierających żołnierzy.

O północy ósmego kwietnia generał King zwołał odprawę swoich dowódców.

– Jutro o świcie – powiedział – wysyłam parlamentariusza z białą flagą, żeby omówić warunki kapitulacji. Uważam, że dalszy opór oznaczałby wyłącznie bezsensowne marnotrawstwo ludzkiego życia. Już teraz jeden z naszych pękających w szwach szpitali znajduje się w zasięgu lekkiej

artylerii przeciwnika. Nie mamy środków, by nadal stawiać zorganizowany opór.

Choć decyzja była nieunikniona, trudno ją było zaakceptować. Wychodząc z odprawy, wielu oficerów płakało. Generał King kazał natychmiast zniszczyć cały sprzęt wojskowy, ale pozostawić autobusy, samochody i ciężarówki, by móc przetransportować nimi chorych i rannych do obozów jenieckich.

Generał King miał pod swoim dowództwem około siedemdziesięciu tysięcy żołnierzy. Była to największa kapitulacja w wojskowej historii Stanów Zjednoczonych.

* * *

Wiadomość, że się poddają, dotarła do Pete'a w południe dziewiątego kwietnia i wprost nie mógł w to uwierzyć. Razem z Salem, Ewingiem i innymi żołnierzami z Dwudziestego Szóstego Pułku w pierwszej chwili zamierzali schronić się w buszu i dalej walczyć, ale była to samobójcza strategia. Nie mieli sił, by zorganizować ucieczkę. Kazano im zniszczyć całą broń i amunicję, zjeść wszystko, co uda się znaleźć, napełnić manierki wodą i ruszyć pieszo na północ, w stronę Japończyków. Żołnierze byli przybici, oszołomieni i załamani. Nie mogli się pogodzić z tym, że dumna niegdyś Armia Stanów Zjednoczonych skapitulowała. Paliło ich poczucie wstydu.

Kiedy pełni najgorszych obaw szli powoli na północ, dołączali do nich kolejni wycieńczeni i otumanieni Amerykanie i Filipińczycy. Drogę wypełniły dziesiątki, a potem setki żołnierzy zmierzających ku przyszłości, która była nieznana, ale z pewnością miała się okazać niemiła. W pewnym momencie zeszli na bok, by przepuścić ciężarówkę z rannymi. Na jej masce siedział samotny szeregowiec, trzymając w ręku kij z zatknietą białą flagą. Poddali się. To nie mieściło się w głowie.

Ludzie byli przerażeni. Dobrze wiedzieli, że Japończycy mają opinię brutalnych okupantów. Czytali wcześniej o ich zbrodniach wojennych w Chinach: gwałceniu kobiet, egzekucjach więźniów, plądrowaniu całych miast. Jednocześnie pocieszali się, że są Amerykanami i że chroni ich prawo międzynarodowe, które zabrania złego traktowania jeńców. Japończycy przestrzegali chyba konwencji genewskiej?

Wlokąc się na północ, na spotkanie tych, którzy mieli ich pojmać, Pete, Sal i Ewing trzymali się razem. Po wejściu na szczyt wzgórza ujrzeli widok, od którego zrobiło im się niedobrze. Na polanie stał rząd japońskich czołgów. Za nimi czekała kolumna japońskich żołnierzy. W oddali samoloty nadal zrzucały bomby, działa nadal strzelały.

– Pozbądźcie się wszystkich japońskich rzeczy, szybko! – zawołał ktoś z przodu.

Ostrzeżenie powtarzano po wielokroć wzdłuż szeregu i większość mężczyzn je usłyszała. Japońskie monety i pamiątki ciśnięto na ziemię i do rowów. Pete miał tylko trzy małe puszki sardynek w kieszeniach, a także zegarek, obrączkę ślubną, koc, menażkę i okulary przeciwsłoneczne. W brezentowej torbie na manierkę zaszył dwadzieścia jeden amerykańskich dolarów.

Japońscy żołnierze podeszli do nich, wymachując karabinami i krzycząc coś w swoim języku. Na lufie każdego karabinu zatknięty był długi bagnet. Jeńców skierowano na pole, ustawiono w szeregu i kazano im zachować milczenie. Jeden z Japończyków znał angielski w wystarczającym stopniu, by wydawać im rozkazy. Więźniowie mieli kolejno występować z szeregu i opróżniać kieszenie. Zostali przeszukani, choć rzucało się w oczy, że strażnicy unikają z nimi fizycznego kontaktu. Bicie i poszturchiwanie było w porządku, ale obmacywanie kieszeni budziło w nich chyba wstręt. Japończycy ukradli lub „skonfiskowali” im prawie wszystko. Wieczne pióra, ołówki, okulary przeciwsłoneczne,

flesze, aparaty fotograficzne, menażki, koce, monety, maszynki do golenia i nożyki.

Jack Wilson ze stanu Iowa stał dokładnie przed Pete'em, kiedy japoński żołnierz zaczął na niego wrzeszczeć. Jack miał w kieszeni małe lusterko do golenia, które zostało, niestety, wyprodukowane w Japonii.

– Nippon! – wrzasnął strażnik.

Jack nie odpowiedział dostatecznie prędko i Japończyk uderzył go w twarz kolbą karabinu. Kiedy Amerykanin padł na ziemię, żołnierz okładał go kolbą tak długo, aż ten stracił przytomność. Inni strażnicy zaczęli poszturchiwać i bić po twarzach więźniów, a japońscy oficerowie ze śmiechem zachęcali ich do tego. Pete'a zaskoczył ten nagły wybuch przemocy.

Dowiedzieli się wkrótce, że według Japończyków każda znaleziona przy jeńcach japońska moneta albo błyskotka na pewno została zabrana ich poległym towarzyszom. To domagało się pomsty. Kilku jeńców pobito tak dotkliwie, że nie mogli się ruszać, ale okrucieństwo sięgnęło szczytu, gdy kieszenie opróżnił jakiś kapitan, nienależący do Dwudziestego Szóstego Pułku. Japoński szeregowiec znalazł wśród jego rzeczy trochę jenów i wpadł w szal. Wysoki chudy sierżant o skórze znacznie ciemniejszej od innych Japończyków podszedł do nich i zaczął krzyczeć na kapitana. Po chwili uderzył go w brzuch i kopnął w krocze, a kiedy kapitan wylądował na czworakach, Czarny Japoniec, jak zaczęto go wkrótce nazywać, dobył miecza, podniósł go oburącz nad głowę i opuścił go prosto na kark swojej ofiary. Głowa jeńca odpadła od szyi i potoczyła się po ziemi. Z przeciętej tętnicy trysnął strumień krwi; ciałem kapitana przez kilka sekund wstrząsały konwulsje, a potem znieruchomiało.

Czarny Japoniec przez chwilę podziwiał z uśmiechem swoje dzieło, po czym wsunął miecz z powrotem do pochwy i warknął coś do jeńców. Szeregowiec schował jeny i nie spiesząc się, przetrząsnął kieszenie zabitego. Innym strażnikom puściły wszelkie hamulce i zaczęli okładać jeńców.

Zerkając na leżącą w pyle drogi głowę, Pete czuł, że za chwilę postrada zmysły. Miał ochotę rzucić się na najbliższego japońskiego żołnierza, lecz byłoby to oczywiste samobójstwo. Oddychając głęboko, czekał, aż któryś ze strażników go uderzy, ale przynajmniej w tym momencie miał szczęście, bo żaden z nich go nie tknął. Trochę dalej następny szeregowiec wpadł w szal i uderzył w twarz jeńca. Czarny Japonec podszedł tam, zobaczył kolejne jeny i zdzielił Amerykanina w brzuch. Kiedy wyjął miecz z pochwy, Pete odwrócił wzrok.

Dwie szybkie egzekucje. Amerykanie nie wyobrażali sobie czegoś takiego w najgorszych koszmarach. Pete był zszokowany, zbierało mu się na mdłości i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Z czasem jednak, kiedy morderstwa stały się codziennością, przestało go to już tak bardzo szokować.

Przez ponad godzinę jeńcy stali z gołymi głowami w promieniach palącego tropikalnego słońca. Pete zawsze nienawidził swojego hełmu i zostawił go w okopach. Teraz bardzo tego żałował. Nieliczni jeńcy zachowali czapki, ale większość nie miała czym osłonić głów. Stali tam, złani potem, i zaczęły im się już tworzyć na skórze pęcherze. Prawie wszyscy mieli manierki, lecz picie wody było zabronione. Kiedy strażnikom znudziło się bicie jeńców, odeszli w cień i zrobili sobie przerwę. Czołgi w końcu odjechały. Jeńców zaprowadzono z powrotem na drogę i skierowano na północ.

Zaczął się bataański marsz śmierci.

* * *

Szli trójkami w pyle i upale. Pete po lewej stronie miał Sala, po prawej Ewinga. Po jakimś czasie skręcili na wschód i ruszyli dalej drogą krajową, biegnącą wzdłuż południowego krańca półwyspu Bataan. W przeciwną stronę podążały niekończące się kolumny japońskiej piechoty, ciężarówki, czołgi i konna artyleria – wszystkie te siły szykowały się do natarcia na Corregidor.

Kiedy strażnicy byli daleko, jeńcy szeptem wymieniali między sobą uwagi. Z Dwudziestego Szóstego Pułku w marszu brało udział około dwudziestu ludzi. Reszta rozpierzchła się w chaosie kapitulacji. Pete kazał tym idącym w kolumnie zorganizować się w trzyosobowe grupy, trzymać się razem i w miarę możliwości sobie pomagać. Ci, których złapano na rozmowie, byli bici. Strażnicy dla rozrywki wyciągali jeńców z szeregu, przeszukiwali ich i dręczyli. Po jakichś pięciu kilometrach ludzie zostali pozbawieni wszystkich wartościowych przedmiotów. Pete po raz pierwszy oberwał po twarzy od strażnika, który zabrał mu sardynki.

W przydrożnych rowach stały czołgi i ciężarówki unieruchomione poprzedniego dnia przez Amerykanów i Filipińczyków. W pewnym momencie zobaczyli wielką stertę przejętych racji żywnościowych, które czekały tylko, aż ktoś się nimi posili. Nie było jednak żadnej wzmianki o jedzeniu. Ludzie, i tak już niedożywieni, cierpieli dotkliwy głód. Upał był nie do zniesienia i jeńcy zaczęli osuwać się na ziemię. Okazało się szybko, że lepiej im nie pomagać. Strażnicy trzymali w gotowości bagnety i chętnie dźgali nimi każdego, kto przystanął, by pomóc innemu jeńcowi. Tych, którzy padli i nie mogli się podnieść, zsuwano kopniakami na pobocze i do rowów, by zająć się nimi później.

Japoński bagnet miał siedemdziesiąt centymetrów długości i trzydziestopięciocentymetrowe ostrze. Zamocowany na karabinie Arisaka o długości stu dwudziestu centymetrów, mógł służyć żołnierzowi jako niemal dwumetrowa dzida. Szeregowcy szczylicili się swoimi bagnetami i chętnie ich używali. Kiedy jeńiec potknął się i przewrócił albo po prostu padł na ziemię, dźgali go lekko, dla zachęty, w tyłek. Jeśli nie odnosiło to żadnego skutku, strażnik wbijał ostrze do końca i zostawiał jeńca, by się wykrwawił.

Pete maszerował z pochyloną głową i zmrużonymi oczami, starając się w ten sposób chronić się przed pyłem i upałem. Obserwował również dyskretnie strażników, którzy odchodzili, a potem nagle, nie wiadomo skąd, znów się

pojawiali. Kilku chyba współczuło jeńcom, bo nie bili ich ani nie kopali, lecz większość dopuszczała się najgorszych okrucieństw. Wszystko mogło ich rozzłościć. W jednej chwili mogli być spokojni i surowi, w następnej wpadali w szal. Bili jeńców pięściami, kopali ich ciężkimi buciorami, okładali kolbami karabinów i dźgali bagnietami. Bili ich za to, że spojrzeli nie tam gdzie trzeba, że ze sobą rozmawiali, że zbyt wolno szli, że nie odpowiadali na zadawane im po japońsku pytania i że próbowali pomóc swoim towarzyszom.

Wszyscy byli maltretowani, ale ze szczególnym okrucieństwem Japończycy traktowali Filipińczyków, których uważali za niższą rasę. W ciągu pierwszych godzin marszu Pete był świadkiem zamordowania dziesięciu Filipińskich Zwiadowców, których ciała zrzucano do rowów, by tam gniły. Podczas krótkiej przerwy w marszu z niedowierzaniem przypatrywał się mijającej ich kolumnie Zwiadowców. Wszyscy mieli związane z tyłu ręce i z trudem dotrzymywali kroku strażnikom, a ci z wyraźną przyjemnością podstawiali im nogi i patrzyli, jak lądują w pyle i próbują się podnieść.

Wiązanie rąk jeńcom nie miało żadnego praktycznego uzasadnienia. Choć jego sytuacja też była nie do pozazdroszczenia, Pete dziękował losowi, że nie jest Filipińczykiem.

Wlokąc się pod palącym słońcem, mężczyźni zaczęli odczuwać skutki odwodnienia. Z wielu dręczących ich przypadłości najbardziej dawał się we znaki brak wody. Organizmy reagowały na to, nie wydzielając żadnych płynów. Przestali się pocić i oddawać mocz. Zgęstniała im ślina w ustach, a języki przywierały do podniebienia. Od skwaru i pyłu rozboleły ich głowy i mieli omamy wzrokowe. A wszędzie dokoła była woda: w świeżo wykopanych przy drodze studniach artezyjskich i zwykłych studniach, w kranach przy farmach i stodołach, w rwących strumykach, przez które przechodzili. Strażnicy widzieli, w jak żałosnym są stanie, i ostentacyjnie popijali wodę ze swoich manierek oraz

skrapiali nią twarze. Moczyli chustki i zawiązywali je sobie na szyjach.

Zbliżając się do wypalonych zgliszczy Szpitala Numer Jeden, jeńcy zobaczyli pacjentów w poplamionych piżamach i szpitalnych koszulach, którzy wałęsali się po terenie, nie wiedząc, co robić i dokąd iść. Niektórym amputowano kończyny i poruszali się o kulach, inni mieli krwawe rany, które wymagały opatrzenia. Szpital kilka dni wcześniej zbombardowano i pacjenci byli w szoku. Japoński dowódca kazał im dołączyć do kolumny. Udzielanie jakiegokolwiek pomocy tu także było zabronione i wielu już po przejściu krótkiego dystansu osuwało się na ziemię. Odsuwano ich na bok i zostawiano, by umarli.

Po jakimś czasie natknęli się na kolumnę stojących w korku japońskich ciężarówek i czołgów. Jeńcom kazano zejść na otwarte pole i usiąść w palącym słońcu. Te postoje, które zyskały wkrótce miano „kuracji słońcem”, doprowadzały niektórych do skrajnego załamania. Jeden z jeńców próbował ukradkiem napić się ciepłej wody z manierki i to wprawilo strażników we wściekłość. Krzycząc i okładając razami Amerykanów, chodzili między nimi, odbierali im manierki i wylewali z nich wodę na spieczoną ziemię. Japończyk, który opróżnił manierkę Pete'a, cisnął mu ją następnie w twarz z taką siłą, że rozciął mu skórę pod prawym okiem.

Po godzinie ruszyli dalej. Mijali ludzi, których dźgnięto bagnietem i którzy wykrwawiając się, błagali o pomoc. Mijali ciała martwych Amerykanów. Patrzyli ze zgrozą, jak dwóch rannych filipińskich żołnierzy wywleczono z rowu i położono na środku drogi, po czym przejechały po nich czołgi. Im dłużej szli, tym więcej widzieli w rowach martwych i konających. Pete dziwił się, jak szybko jego umysł przywykł do tej jatki i okrucieństwa, i niebawem doszedł do stanu, w którym przestało go cokolwiek szokować. Upał, głód i otaczająca go bezduszność stępiły jego zmysły. Lecz w środku wrzał z gniewu i przysiągł sobie, że kiedyś się zemści. Modlił się, by

już wkrótce miał możliwość zabić tylu japońskich żołnierzy, ilu tylko zdoła.

Przez cały czas dodawał otuchy innym, przekonując ich, by postawili kolejny krok, wspięli się na kolejne wzgórze, przetrwali kolejną godzinę. Z pewnością już niedługo zostaną nakarmieni i będą mogli napić się wody. O zmroku zeszli z drogi na polanę, gdzie pozwolono im usiąść i położyć się. Nie było nic do jedzenia i picia, ale mogli przynajmniej rozprostować kości. Stopy mieli pokryte pęcherzami i chwyały ich skurcze. Wielu osunęło się po prostu na ziemię i zasnęło. Zapadając w sen, Pete usłyszał nagły rwetes. Świeżo przybyła zmiana strażników zaczęła kopać jeńców. Kazano im wstać i ponownie sformować kolumnę. Ruszyli dalej po ciemku i przez dwie godziny wlekli się do przodu, wciąż nie osiągając tempa, które zadowoliliby ich oprawców.

Pierwszego dnia Pete i ci, którzy szli blisko niego, naliczyli w kolumnie trzystu jeńców, ale ta liczba stale się zmieniała. Niektórzy mężczyźni osuwali się na ziemię i umierali, inni byli zabijani, poza tym dołączali maruderzy i ich kolumna często łączyła się z innymi. W którymś momencie w nocy – ponieważ zabrano im zegarki, nie mieli pojęcia, która jest godzina – skierowano ich na kolejną polanę i kazano usiąść. Japończycy najwyraźniej też zgłodnieli i nadeszła pora ich kolacji. Posiliwszy się, zaczęli chodzić między więźniami z wiadrami wody i poili ich z niewielkiego czerpaka. Woda była ciepła i zalatywała kredą, lecz i tak wydawała się nektarem bogów. Każdy jeniec dostał też kulkę kleistego ryżu. Nawet soczysty stek ze smażonymi ziemniakami nie smakowałby im lepiej.

Delektując się jedzeniem, usłyszeli dochodzące od strony drogi strzały z pistoletów i wkrótce zrozumieli, co się dzieje. „Szwadrony czyszcicieli” wykańczały z zimną krwią tych, którzy nie byli w stanie iść dalej.

Posiłek przywrócił Pete’owi na jakiś czas ostrość spojrzenia i po raz kolejny wstrząsnęło nim bezsensowne mordowanie amerykańskich jeńców. Marsz śmierci miał potrwać jeszcze

sześć dni i każdej nocy on i inni słuchali ze zgrozą strzałów „czyścicieli”.

Po kilku godzinach odpoczynku na polu ryżowym ludzi ponownie zbudzono, zagoniono do kolumny i kazano maszerować dalej. Wielu zdrętwiało po nocy i trudno im było iść, ale szybko zachęcono ich do tego stale obecnymi bagnetami. Amerykańscy i filipińscy jeńcy zajmowali całą szerokość drogi.

O świcie napotkali kolejny wielki konwój japońskiej piechoty i artylerii. Kazano im zejść z drogi i zaprowadzono na pole, przy którym stała niewielka chata. Za nią, szemrząc cicho, płynął po skałach potok krystalicznie czystej wody. Jego dźwięk doprowadzał do szaleństwa jeńców, których dręczyło upiorne pragnienie. Jakiś pułkownik zdobył się na odwagę, wskazał potok i zapytał, czy jego ludzie mogą się napić. Strażnik bez słowa zdzielił go kolbą karabinu.

Co najmniej przez godzinę jeńcy, siedząc w kukki, słuchali szumu wody. Słońce wschodziło coraz wyżej. Patrzyli, jak przejeżdżający konwój wzbija tumany kurzu. Strażnicy odeszli w stronę drogi, żeby zjeść śniadanie składające się z ciastek ryżowych i owoców mango. Wykorzystując to, trzech Filipińscy Zwiadowcy podczołgali się na brzuchach do potoku i zanurzyli twarze w zimnej wodzie. Jeden ze strażników obejrzał się, zobaczył ich i zaalarmował kolegów. Ci bez słowa podbiegli bliżej, sformowali coś w rodzaju plutonu egzekucyjnego i z odległości siedmiu metrów rozstrzelali Filipińczyków.

Kiedy konwój przejechał, jeńców znów sformowano w kolumnę i ruszyli dalej.

– Niedługo będzie jedzenie – powiedział jeden ze strażników do Pete’a, który o mało mu za to nie podziękował.

Lecz choć kiszki grały mu marsza, o wiele gorsze było pragnienie. Późnym rankiem w gardle i ustach zaschło mu tak bardzo, że nie mógł mówić – podobnie jak inni, więc w kolumnie jeńców panowała złowroga cisza. Po jakimś czasie zatrzymali się w pobliżu moczarów i kazano im usiąść

w kucki na słońcu. Strażnik pozwolił im podejść do skraju bajora i napełnić manierki błotnistą brązową cieczą zmieszaną z morską wodą. Jeśli nawet wypicie tej brei nie groziło natychmiastową śmiercią, to mogło doprowadzić do dyzenterii i gorszych rzeczy. Jednak ludzie i tak ją pili.

W południe zatrzymali się nieopodal obozu i znów kazano im usiąść w palącym słońcu. Jeńcy, którzy w ciągu minionych trzydziestu godzin zjedli tylko jedną kulkę ryżu, poczuli zapach gotowanego jedzenia. Pod prowizoryczną płachtą namiotu kucharze gotowali ryż w wielkich kotłach. Na oczach jeńców wrzucali do nich kurczaki i pęta kiełbasek, a potem mieszali wszystko drewnianymi łyżkami. Za namiotem była prowizoryczna zagroda z drutu kolczastego, w której trzymano mniej więcej stu obszarpanych i zagłodzonych Filipińczyków z wojskowych służb pomocniczych. Pojawili się kolejni japońscy strażnicy i stało się jasne, że właśnie tam zamierzają zjeść lunch. Kiedy nałożono im jedzenie do menażek, jeden z nich podszedł do drutu kolczastego, wziął do ręki kiełbaskę i cisnął ją do środka. Filipińczycy rzucili się na nią, wydzierając ją sobie z rąk, walcząc i wrzeszcząc. Strażnik zaśmiewał się do rozpuku, podobnie jak jego towarzysze. Zabawa wydawała im się przednia i kilku innych podeszło do drutu kolczastego z udkami kurczaka i kiełbaskami. Jeńcy wyciągali ręce w błagalnym geście, a kiedy następny ochłap lądował na ziemi, zaciekle o niego walczyli.

Amerykanom niczego nie rzucono. Nie było lunchu – była tylko brudna woda z bajora i godzina spędzona na słońcu. Po południu ruszyli dalej; kolejni mężczyźni padali ze zmęczenia i zostawiano ich na poboczu.

Pod koniec drugiego dnia marszu, dwunastego kwietnia 1942 roku, przybyli o północy do miasta Orani, jakieś pięćdziesiąt kilometrów od miejsca, z którego wyruszyli. Pokonanie takiej odległości byłoby nie lada wyzwaniem nawet dla zdrowych żołnierzy. Dla tych, którzy przeżyli, fakt, że udało im się tyle przejść, graniczył z cudem. W centrum miasta skierowano ich do pospiesznie wzniesionego,

otoczonego drutem kolczastym obozu, który miał pomieścić pięciuset jeńców. Kiedy przybyła kolumna Pete'a, tłoczyło się ich tam już co najmniej tysiąc. Nie było jedzenia, wody ani latryn. Wielu mężczyzn cierpiało na dyzenterię i ziemię pokrywały klejące się do butów ludzkie odchody, krew i śluz. Wszędzie wiły się czerwie. Nie było gdzie się położyć; ludzie próbowali spać, opierając się o siebie plecami, ale uniemożliwiały im to kurcze mięśni. Zasnąć nie pozwalały również krzyki tych, którzy dostawali obłędu. Chorzy, odwodnieni, wyczerpani i wygłodniali ludzie tracili często poczucie tego, gdzie są i co robią. Wielu zaczynało majaczyć, inni wpadali w katatonię i stali bez ruchu niczym zombie.

I przez cały czas umierali. Wielu zapadło w śpiączkę i już się nie obudziło. Wkrótce w obozie była cała masa trupów. Dowiedziawszy się o tym, japońscy oficerowie nie dostarczyli jedzenia ani wody, tylko wydali „zdrowszym” jeńcom łopaty i kazali im kopać płytkie groby przy ogrodzeniu. Pete, Sal i Ewing, którzy trzymali się jeszcze na nogach, znaleźli się w grupie kopaczy.

Tych, którzy majaczyli, zamknięto w drewnianej szopie i kazano im się przymknąć. Kilku pogrążonych w śpiączce pogrzebano żywcem, choć właściwie nie robiło to większej różnicy. Od śmierci dzieliło ich tylko parę godzin. Ci, którym dano łopaty, tyrali przez całą noc, bez chwili odpoczynku. Liczba ofiar stale się zwiększała i przy ogrodzeniu rosła góra trupów.

O świcie bramy się otworzyły i strażnicy wciągnęli do obozu worki z gotowanym ryżem. Jeńcom kazano usiąść i wyciągnąć do przodu złączone dłonie. Każdy dostał chochlę kleistego ryżu, pierwszy „posiłek” od wielu dni. Po śniadaniu zaprowadzono ich w małych grupkach do studni artezyjskiej i pozwolono napełnić manierki. Jedzenie i woda sprawiły, że ludzie się uspokoiли, ale wkrótce znów zaczęło ich przypiekać słońce. Późnym rankiem cały obóz wypełniały krzyki i wycie obłąkanych. Przed południem połowę jeńców wyprowadzono z powrotem na drogę i kolumna ruszyła dalej.

Rozdział 26

Zajmując półwysep Bataan, Japończycy mieli zamiar poprowadzić z niego atak na pobliską wyspę Corregidor, ostatni punkt oporu Amerykanów. Żeby tego dokonać, trzeba było szybko pozbyć się z tego obszaru amerykańskich i filipińskich jeńców. Planowano przeprowadzić ich sto kilometrów pieszo do bocznic kolejowej w San Fernando i przewieźć stamtąd pociągami w różne miejsca, w tym do Camp O'Donnell, starego filipińskiego fortu, w którym Japończycy urządzili obóz jeniecki. Plany te zakładały, że trzeba będzie szybko przemieścić około pięćdziesięciu tysięcy ludzi.

Już w pierwszych godzinach po kapitulacji Japończycy zdali sobie jednak sprawę, że liczba ta była mocno niedoszacowana. Do niewoli wzięto siedemdziesiąt sześć tysięcy amerykańskich i filipińskich żołnierzy, a także dwadzieścia sześć tysięcy cywili. Gdziekolwiek się obejrzel, mieli przed sobą jeńców, głodnych, potrzebujących jedzenia i picia. Jak Amerykanie mogli się poddać, mając tylu żołnierzy? Gdzie była ich wola walki? Japończycy nie ukrywali pogardy i nienawiści do jeńców.

Marsz się przeciągał, a liczba jeńców stale rosła. Na strażników wywierano nacisk, by się pospieszyli. Nie było czasu na jedzenie i picie, na odpoczynek, na zatrzymywanie się i pomaganie tym, którzy padli. Nie było czasu na grzebanie

zmarłych i przejmowanie się maruderami. Generałowie wrzeszczeli na oficerów, ci fizycznie atakowali szeregowców, a szeregowcy wyladowywali frustrację na jeńcach. W miarę jak kolumny maszerujących pęczniały i zwalniały, panował coraz większy chaos. Porzucone w rowach i na polach trupy rozkładały się w palącym słońcu. Do unoszących się nad nimi czarnych much dołączały głodne świnie i psy. Stada czarnych wron czekały cierpliwie na płotach, a niekiedy podfrwały do kolumny i dziobały jeńców.

* * *

Pete stracił kontakt z większością ludzi z Dwudziestego Szóstego Pułku. On, Sal i Ewing nadal trzymali się razem, ale nie sposób było zlokalizować innych. Grupy wycieńczonych jeńców jednego dnia dołączano do kolumny, a następnego zostawiano w którymś z obozów. Ludzie padali, umierali i byli setkami zabijani. Pete przestał myśleć o kimkolwiek poza sobą samym.

Czwartego dnia weszli do Lubao. Niegdyś trzydziestotysięczne, tętniące życiem miasto było opustoszałe, a przynajmniej takie wrażenie robiły ulice. Ale mieszkańcy obserwowali ich z wyższych pięter. Gdy kolumna się zatrzymała, okna się otworzyły i ludzie zaczęli rzucać chleb i owoce. Japończycy wpadli w szal i zabronili jeńcom dotykać jedzenia. Kiedy jakiś nastolatek wyskoczył zza drzewa i rzucił jeńcom bochenek chleba, strażnik zastrzelił go na miejscu. Więźniów, którym udało się przełknąć kilka kęsów, wyciągnięto z szeregu i pobito. Jednego dźgnięto bagnetem w brzuch i powieszono na latarni, ku przestrodze.

Maszerowali dalej, jakimś cudem mobilizując się, by zrobić kolejny krok, zaliczyć kolejny kilometr. Z odwodnienia i wyczerpania umierało tylu ludzi, że Japończycy trochę odpuścili i pozwalali im napełniać manierki, najczęściej w przydrożnych rowach albo w poidłach dla bydła.

Piątego dnia kolumna jeńców napotkała kolejny konwój ciężarówek załadowanych żołnierzami. Droga była tu akurat węższa i strażnicy kazali ludziom iść gęsiego skrajem jezdni. Znalazłszy się tak blisko brudnych i nieogolonych Amerykanów, japońscy żołnierze byli wyraźnie poruszeni. Niektórzy po raz pierwszy zobaczyli na własne oczy wroga. Zaczęli drwić z jeńców, rzucać w nich kamieniami, pluć na nich i przeklinać. Tych, którzy wyszli za bardzo na drogę, kierowcy ciężarówek starali się potrącić ciężkim zderzakiem. Jeśli potrącony wpadał pod ciężarówkę, czekała go szybka śmierć. Jeśli do rowu, miały się nim zająć szwadrony czyszcicieli. Jeśli przewracał się na swoich towarzyszy, żołnierze na ciężarówce odjeżdżali, gromko się zaśmiewając.

Pete zakrztusił się, kiedy do ust i nosa wpadł mu tuman pyłu, i w tym samym momencie oberwał od japońskiego żołnierza, który uderzył go w tył głowy kolbą karabinu. Nieprzytomny Pete wpadł do błotnistego rowu, lądując na samochodowej oponie, tuż obok wybebeszonej ciężarówki. Sal i Ewing szli przed nim i niczego nie zauważyli.

Na drodze utworzył się w końcu zator i jeńców zaprowadzono na pole ryżowe, na kolejną sesję kuracji słońcem. Nie mogąc odnaleźć swojego towarzysza, Sal i Ewing zaczęli o niego po cichu rozpytywać. Ktoś powiedział im, co się wydarzyło. W pierwszym porywie chcieli iść go szukać, ale szybko porzucili ten zamiar. Samo wstanie bez pozwolenia mogło narazić jeńca na pobicie. Próba odszukania Pete'a byłaby czystym samobójstwem. W milczeniu oplakali przyjaciela i jeszcze bardziej znienawidzili Japończyków, o ile było to w ogóle możliwe. Do tej pory widzieli tyle trupów, że ich zmysły stępiały i przestali odczuwać jakiegokolwiek emocje.

Maszerowali aż do zmierzchu, a potem czekał ich luksus spania na polu ryżowym. W pobliżu nie było żadnego prowizorycznego obozu. Strażnicy napoili ich i dali im po kulce ryżu. Szykując się do snu, Sal i Ewing czekali na odgłosy wystrzałów, świadczące o tym, że do akcji weszły szwadrony

czyścicieli. Wkrótce usłyszeli je i zastanawiali się, która z kul trafiła Pete'a Banninga.

* * *

Pete ocknął się w końcu i chociaż wciąż był lekko ogłuszony i zamroczony, miał dość przytomności umysłu, by po prostu udawać martwego. Bolała go mocno głowa i czuł, że krew spływa mu po karku. Kolumna jeńców nie miała końca i przez jakiś czas przysłuchiwał się krokom mijających go nieszczęśników. Słyszał przejeżdżające ciężarówki z żołnierzami, którzy śmiali się głośno, a czasami śpiewali. Słyszał wydających rozkazy i miotających przekleństwa strażników. Po zmroku przeczołgał się dalej i schował pod wybebeszoną ciężarówką. Konwoje w końcu przejechały, ale drogą nadal maszerowali jeńcy. W środku nocy zapanował wreszcie spokój. Droga opustoszała, przynajmniej na jakiś czas. Po chwili usłyszał zbliżające się strzały i dostrzegł pomarańczowe płomienie wylotowe. Szwadrony czyścicieli strzelały do tych, którzy konali albo byli już martwi. Pete zwinął się w kłębek i wstrzymał oddech. Czyściciele przeszli dalej.

Postanowił doczołgać się do kępy drzew i spróbować uciec. Tylko dokąd? Nie miał pojęcia. Był pewien, że nie dotrze daleko, ale i tak był przecież spisany na straty, więc co za różnica? Godzinami czekał na właściwy moment, aż w końcu zapadł w głęboki sen.

Obudziło go ukłucie bagnetu. Japoński szeregowiec przycisnął ostrze do jego piersi dość mocno, by go obudzić, ale nie aż tak, by przeciąć skórę. Słońce weszło już wysoko i połyskiwało na bagnecie, który wydawał się mieć trzy metry długości. Żołnierz uśmiechnął się, dał mu znak, żeby wstał, i wypchnął go z powrotem na drogę, którą wlokła się kolejna niekończąca się upiorna kolumna jeńców. Pete znów dołączył do marszu. Kilka pierwszych kroków, nim zdołał

rozprostować zdrętwiałe nogi, było bolesnych, lecz w końcu dostosował się do tempa. Nie rozpoznawał żadnego z jeńców, ale w tym momencie wszyscy wyglądali tak samo.

Po sześciu dniach dotarli do pierwszego punktu docelowego, miasta San Fernando. Umieszczono ich w kolejnym ogrodzonym drutem kolczastym prowizorycznym obozie, nie dając im nic do jedzenia. Wszyscy konali z głodu i byli przekonani, że tym razem spotka ich koniec. Warunki były jeszcze gorsze niż wszędzie dotychczas. Wcześniej przebywały tu setki innych więźniów i ziemia była pokryta ludzkimi odchodami i krwią. Gnijące, rozkładające się ciała przyciągały miliony much i czerwi.

W San Fernando zakończył się bataański marsz śmierci. Uczestniczyło w nim siedemdziesiąt tysięcy jeńców: sześćdziesiąt tysięcy Filipińczyków i dziesięć tysięcy Amerykanów. W przypadku Pete'a ta udręka trwała sześć dni. Dla wielu innych ciągnęła się ponad tydzień. Ocenia się, że na stukilometrowym szlaku zmarło z wyczerpania i chorób albo zginęło z rąk Japończyków sześciuset pięćdziesięciu Amerykanów i jedenaście tysięcy Filipińczyków. Zginęli niezliczeni cywile. Tylko niewielką część pogrzebano.

A najgorsze miało dopiero nadejść.

* * *

Podczas pierwszej nocy w obozie w San Fernando Pete zdołał znaleźć miejsce wolne od odchodów i brudu i oprzeć się plecami o drut kolczasty. Ludzi upchnięto tak gęsto, że nie sposób było usiąść. Szczęściarzy, którzy tak jak Pete znaleźli sobie jakieś miejsce, bez przerwy nagabywano, żeby się przesunęli. Przestały obowiązywać resztki dyscypliny. Kilku oficerów próbowało zaprowadzić jakiś porządek, ale okazało się to niemożliwe. O bójkach nie mogło być mowy, bo ludzie byli zbyt wyczerpani, więc po prostu wyzywali się wzajemnie, miotając puste groźby. Ci, którzy stracili zmysły, włóczyli się

po obozie, deptając innych i błagając o jedzenie i wodę. Większość ludzi zapadła na dyzenterię, a z braku latryn czy miejsc, gdzie mogliby się wypróżnić, załatwiali się tam, gdzie stali.

O świcie otwarto bramę i do środka wpadli strażnicy. Wrzeszcząc i kopiąc każdego, kto się napatoczył, zdołali ustawić w rzędy kucających, przypominających szkielety jeńców. Dostarczono trzy duże kotły z ryżem i strażnicy zaczęli go nakładać na złączone dłonie. Ci bliżej bramy zostali nakarmieni, a kiedy kotły opróżniono, strażnicy wycofali się i ją zamknęli. Ten nędzny posiłek otrzymała niespełna połowa jeńców i nie było czym się dzielić.

Strażnicy, już zza drutów, obiecali więcej jedzenia i wody, ale jeńcy wiedzieli swoje. Pete był zbyt daleko, by dostać garść ryżu. Nie pamiętał, kiedy ostatnio miał coś w ustach. Zamknął się w swojej skorupie i siedział bez ruchu, nie zwracając uwagi na palące poranne słońce. Od czasu do czasu lustrował wzrokiem wycieńczone twarze, na próżno wypatrując Sala, Ewinga czy kogokolwiek znajomego. Przeklinał się za to, że zasnął pod ciężarówką i stracił szansę ucieczki. Z rany na jego głowie sączyła się krew. Bał się infekcji, ale uznał, że to tylko jedna z wielu przyczyn, które mogą sprawić, że umrze. Zresztą co miał z tym zrobić? Nawet gdyby znalazł lekarza, biedak byłby prawdopodobnie w jeszcze gorszym stanie niż on.

Koło południa brama się otworzyła i strażnicy zaczęli pojedynczo wyprowadzać jeńców. Sformowali z nich pięć stuosobowych grup, które poprowadzili przez miasto. Pete znalazł się w ostatniej.

Mieszkańcy przywykli już do widoku pędzonych przez miasto wychudłych, brudnych, nieogolonych Amerykanów. Nienawidzili Japończyków tak samo mocno jak jeńcy i pragnęli pomóc. Rzucali z okien bułki, ciastka i owoce, a strażnicy tym razem z jakiegoś powodu nie interweniowali. Pete złapał banana i zjadł go w dwóch kęsach. Później znalazł na ziemi duże ciastko. Kiedy stało się jasne, że strażnicy nie zwracają na to uwagi, z okien poleciało więcej jedzenia. Jeńcy

łapali wszystko i natychmiast zjadali, nie zwalniając nawet na sekundę. Jakaś starsza kobieta rzuciła Pete'owi z bocznej alejki owoc mango, a on pożarł go ze skórką. Kolejny raz zdziwiło go, jak szybko jego ciało odzyskiwało siły, gdy tylko coś zjadł.

Na dworcu kolejowym czekało na nich pięć rozpadających się, wąskich, sześciometrowej długości wagonów. Znane były jako „czterdziestkiósemki”, bo jeden mógł pomieścić albo czterdzieści osób, albo osiem koni, mułów lub krów. Strażnicy zapakowali po stu mężczyzn do każdego z nich, po czym zatrzasnęli drzwi i jeńcy znaleźli się nagle w kompletnej ciemności. Stojąc ramie przy ramieniu, prawie natychmiast zaczęli się dusić i mieć kłopoty z oddychaniem. Uderzali pięściami w drewniane ściany i wzywali pomocy. Temperatura w środku szybko rosła, tak że wkrótce ludzie zaczęli tracić przytomność. Nie było żadnej wentylacji i jeńcy walczyli, żeby móc przystawić nosy do szpar między deskami.

Strażnicy wdrapali się na dachy wagonów i walili w nie kolbami.

– Zamknijcie się, dupki! – krzyczeli.

Pociąg w końcu zadygotał i ruszył z miejsca. Wagony kołysały się i trzęsły, aż wielu jeńcom zrobiło się niedobrze i zaczęli wymiotować. Jedzenie, które wcześniej łapczywie pożarli, zmieniło się w nieprzetrawioną papkę i podłogę już wkrótce pokryły wymiociny i odchody. Smród był niewyobrażalny. Powietrze stało się tak gorące i gęste od smrodu, że oddychanie sprawiało fizyczny ból.

Jakiś mężczyzna osunął się Pete'owi na nogi i zamknął oczy. W pierwszej chwili Pete chciał go odsunąć kopniakiem, ale potem zdał sobie sprawę, że facet nie oddycha. Inni też umierali – niektórzy nie mieli nawet gdzie upaść.

Gdy pociąg nabrał szybkości, strażnicy otworzyli drzwi w trzech wagonach, co zapewniło jakiś przewiew. Ludzie walczyli, by znaleźć się jak najbliżej wyjścia. Komuś udało się wyskoczyć i wylądował na stercie kamieni. Już się nie poruszył.

W ciągu trzygodzinnej jazdy minęli kilka miasteczek. Ich mieszkańcy stali przy torach i rzucali do otwartych wagonów jedzenie i puszki z wodą. Maszyniści byli Filipińczykami i specjalnie zwalniali, żeby jeńcy mogli jak najwięcej złapać. Prawie całe jedzenie było dzielone z innymi.

Kiedy pociąg w końcu stanął, mężczyźni wytoczyli się na peron. Tym, którzy przeżyli, kazano wyciągnąć z wagonów trupy. Ułożono je przy torach niczym drewno na opał. Nieopodal czekały z jedzeniem i wodą dziesiątki Filipińczyków, ale strażnicy nie pozwolili im się zbliżyć. Jeńcy przeszli zaledwie sto metrów, gdy zagoniono ich na otwarte pole, na kolejną kurację słońcem. Ziemia była tak gorąca, że parzyła, kiedy dotknęło się jej dłonią.

Domyślali się już wtedy, że zmierzają do obozu O'Donnell, gdzie warunki musiały być chyba lepsze. Już na początku dziesięciokilometrowego marszu stało się jasne, że nie wszyscy dotrą do celu. Pete spodziewał się, że słabsi będą bezpardonowo mordowani, ale strażnicy zmienili strategię i pozwalali teraz silniejszym jeńcom podtrzymywać towarzyszy. Niestety, silniejszych zostało bardzo mało i ludzie padali już na pierwszym kilometrze. Miejscowi zdążyli poznać trasę przemarszu i ukryli wzdłuż niej puszki z wodą i owoce mango. Strażnicy wywracali puszki i rozgniatali owoce, ale zdarzały się cuda. Pete znalazł puszkę czystej wody i udało mu się ją niepostrzeżenie wypić. Wierzył, że zawdzięcza życie dobroci nieznanego Filipińczyka. Kiedy idący przed nim chudy jak szkielet mężczyzna osunął się na ziemię, Pete złapał go, zarzucił sobie jego rękę na ramię, powiedział mu, że skoro dotarł tak daleko, nie może teraz umrzeć, i w ten sposób przebyli pozostałe osiem kilometrów.

Obóz O'Donnell jeńcy ujrzeli po raz pierwszy ze szczytu wzniesienia. U ich stóp rozpościerał się otoczony kilometrami drutu kolczastego posępny kompleks starych zabudowań. Na złowrogich wieżach strażniczych powiewały wszędzie japońskie flagi.

Pete zapamiętał dobrze tę chwilę. Już wkrótce zdał sobie sprawę, że gdyby wiedział, co go czeka w O'Donnell, przy pierwszej okazji uciekłby z konwoju i biegł tak długo, aż dosięgłaby go kula.

Rozdział 27

Przed wojną w forcie O'Donnell stacjonowała tymczasowo dywizja filipińskiej armii, w sile dwudziestu tysięcy ludzi. Po niewielkiej rozbudowie Japończycy przekształcili tutejsze koszary w swój największy obóz jeniecki. Zajmował dwieście hektarów pól ryżowych i nieużytków i podzielono go na kilka dużych kwadratowych sektorów. W każdym stały w rzędach baraki i ceglane budynki, jedne rozwalające się, inne nieukończone. Po kapitulacji półwyspu Bataan w popadającym w ruinę forcie upchnięto sześćdziesiąt tysięcy jeńców, w tym dziesięć tysięcy Amerykanów. Brakowało tam wszystkiego: wody, latryn, leków, łóżek szpitalnych, kuchni i zapasów żywności.

Podobnie jak setki innych, którzy napływali do O'Donnell ze wszystkich filipińskich wysp, Pete i jego współtowarzysze weszli tam, kuśtykając, przez wschodnią bramę. Powitali ich strażnicy w białych wykrochmalonych koszulach, wymachujący pałkami, które wydawały się służyć wyłącznie temu, by okładać nimi nieuzbrojonych pokonanych żołnierzy. Pragnąc pokazać nowo przybyłym, jacy są bezwzględni, strażnicy zaczęli na chybił trafił pałować mężczyzn, wykrzykując przy tym rozkazy w łamanej angielszczyźnie, której nikt nie rozumiał. Na więźniach, którzy doświadczyli już wcześniej bezmiaru przemocy, nie zrobiło to większego wrażenia. Nie mieli w sobie ani odrobiny woli walki, nie

zamierzali stawiać oporu. Zagoniono ich, popychając i szturchając, na duży plac apelowy i kazano stanąć w idealnym szyku, na baczność. Czekając na innych, smażyli się na słońcu. Ponownie ich zrewidowano, jakby mieli szansę znaleźć po drodze coś wartościowego.

Po godzinie coś zaczęło się dziać przed budynkiem, gdzie mieściła się kwatera komendanta obozu. Dostojnik, który wyszedł ich powitać, miał na sobie idiotyczny mundur, składający się między innymi z workowatych szortów i wysokich do kolan butów jeździeckich. Był śmiesznym konusem, usiłującym sprawiać wrażenie wielkiej szuchy.

Pokrzykując i wrzeszcząc, zaczął przemowę, którą próbował tłumaczyć nieszczęsny filipiński tłumacz. Oświadczył, że są tchórzliwymi niewolnikami, a nie zasługującymi na szacunek jeńcami wojennymi. Poddali się, co jest niewybaczalnym grzechem. A ponieważ są tchórzami, nie będą traktowani jak prawdziwi żołnierze. Najchętniej zabiłby ich wszystkich, ale przestrzega kodeksu wojownika, a prawdziwy wojownik okazuje miłosierdzie. Jeśli jednak będą naruszać obozowy regulamin, z przyjemnością pozbawi ich życia. Następnie wygłosił długą, mętną tyradę na temat rasy i polityki, wskazując, że Japończycy dowiedli swej wyższości, ponieważ pokonali Amerykę, swojego odwiecznego wroga, i tak dalej, i tak dalej. Tłumacz chwilami nie nadążał i wyraźnie zmyślał, podczas gdy komendant czekał, aż jego złote myśli zostaną przełożone na angielski.

Jeńcy byli w takim stanie, że większość z nich prawie nie słuchała. Co do gróźb, zastanawiali się, co innego Japończycy mogą im zrobić oprócz szybkiej dekapitacji.

Komendant przez jakiś czas jeszcze wrzeszczał i perorował, aż w końcu go to zmęczyło, więc odwrócił się i razem ze swoimi pomagierami odszedł dostojnym krokiem. Więźniowie zostali podzieleni według narodowości. Był oddzielny obóz dla Filipińczyków i oddzielny dla Amerykanów.

General Ned King, którego komendant wyznaczył na starszego obozu, spotkał się ze swoimi ludźmi przy drugiej bramie. Przywitał ich, uścisnął każdemu rękę i poczekał, aż ustawią się w kręgu.

– Pamiętajcie o jednym – powiedział. – Wy się nie poddaliście. Zrobiłem to ja. To ja ogłosiłem kapitulację. Poddalem was. Wy tego nie zrobiliście. Ja ponoszę za to pełną odpowiedzialność i niech tak zostanie. Proszę was tylko, byście wypełniali rozkazy Japończyków i nie prowokowali ich do jeszcze bardziej drastycznych działań.

Nowo przybyłych skierowano następnie do oficerów, którzy mieli ich ogólnie zapoznać z sytuacją i regulaminem. Dwudziesty Szósty Pułk został rozbity i nie było jasności, kto nim ostatnio dowodził. Pete'a przydzielono do bloku Trzydziestego Pierwszego Pułku Piechoty i zaprowadzono do nowej kwatery. Był to rozpadający się barak o szerokości czterech i długości siedmiu metrów, z częściowo zerwanym podczas burzy bambusowym dachem. Nic nie chroniło ludzi przed słońcem i deszczem. Zamiast pryczy czy mat były tu tylko dwie długie półki z oplecionych ratanem bambusowych tyczek. Spało na nich trzydziestu mężczyzn. Większość nie miała koców. Kiedy Pete zapytał sierżanta, co się dzieje, gdy pada deszcz, został poinformowany, że ludzie chowają się wówczas pod bambusowymi tyczkami.

W O'Donnell była tylko jedna studnia artezyjska z pompą, która dostarczała wodę do obu obozów, filipińskiego i amerykańskiego, przez rurkę o średnicy dwunastu milimetrów. Pompę co jakiś czas uruchamiano, ale jej benzynowy silnik często się zacinał i gasł. A ponieważ benzyny stale brakowało, Japończycy używali go rutynowo aż do wyczerpania baku.

Pete, podobnie jak wszyscy, desperacko pragnął się napić i w końcu znalazł kolejkę do pompy, długi smutny szereg mężczyzn. Idąc wzdłuż niej, by stanąć na końcu, mijał setki jeńców z takimi samymi pustymi, przegranymi twarzami. Nikt z nikim nie rozmawiał, tylko czekali. Kolejka prawie się nie

przesuwała. Musiał odstać siedem godzin, zanim napełnił manierkę.

O zmierzchu kazano ludziom ustawić się w szeregu i usiąść. Kolację stanowiła porcja ryżu. Nie było mięsa, chleba ani owoców. Po posiłku wracali do pozbawionych jakiegokolwiek oświetlenia baraków. Nie mieli tam nic do roboty poza czekaniem na sen. Pete nie mógł zasnąć na bambusowych tyczkach; w końcu znalazł w kącie stertę zielska i na niej zwinął się w kłębek.

Miał spierzchnięte, lepkie usta i marzył o szklance wody. Głód dawał się mocno ludziom we znaki, ale brak wody doprowadzał ich do szaleństwa. Starczało jej z ledwością do picia, gotowania ryżu oraz na potrzeby szpitala – i na nic innego. Z powodu braku mydła i wody Pete miał w wielu miejscach poobcieraną skórę. Nie kąpał się od wielu tygodni, a ogolił się po raz ostatni jeszcze przed kapitulacją półwyspu Bataan. Jego mundur był w strzępach i nie mógł go uprać. Jedyną parę bielizny wyrzucił przed wielu dniami. Nie pamiętał, kiedy ostatnio mył zęby szczoteczką; dziąsła bolały go od podłego jedzenia. Śmierdział jak skunks i wiedział o tym, ponieważ inni jeńcy śmierdziali tak samo.

Podczas pierwszej nocy w O'Donnell obudził go ostry trzask pioruna. Zbliżała się burza. Kiedy zaczął padać deszcz, tysiące mężczyzn wybiegły na otwartą przestrzeń i wbiły wzrok w niebo. Otworzyli usta, rozpostarli ramiona i pozwalali się smagać chłodnym strugom deszczu. Woda była przepyszna i bezcenna, ale nie można było jej zebrać. Deszcz padał bardzo długo i zmienił alejki w błotniste rowy, lecz ludzie stali tam przez cały czas, delektując się wodą, szczęśliwi, że się w niej obmyją.

O świcie Pete pokuśtykał przez błoto do lazaretu. Powiedziano mu, że trzeba tam się zjawić z samego rana. Było to paskudne miejsce, wypełnione nagimi umierającymi mężczyznami; wielu z nich leżało na podłodze we własnych odchodach, czekając, aż ktoś się nimi zajmie. Lekarz przyjrzał się ranie z tyłu jego głowy i uznał, że może pomóc.

Elektryczną wojskową maszynką ogolił mu głowę, a przy okazji brodę i wąsy. Było to odświeżające i Pete poczuł się lżejszy i mniej rozpalony. Lekarz nie miał żadnych środków znieczulających, więc trzeba było po prostu zacisnąć zęby, kiedy zakładał na ranę sześć szwów. Ciesząc się, że ma wreszcie pacjenta, któremu jest w stanie udzielić pomocy, lekarz wyjaśnił, że bardzo niewiele może zrobić dla innych. Dał Pete'owi trochę tabletek przeciwbólowych i życzył mu zdrowia. Ten podziękował i wrócił szybko do baraków, żeby zdążyć na śniadanie.

Składało się ono wyłącznie z ryżu, podobnie jak obiad i kolacja. Ryż był zanieczyszczony, często z robakami, wołkami zbożowymi i pleśnią, ale nie miało to znaczenia, bo głodujący ludzie zjedzą wszystko. Gotowano go na parze, duszono i jeszcze raz gotowano, by jak najbardziej zwiększyć jego objętość. Niekiedy pojawiały się ślady mięsa, wołowego albo wodnych bawołów, lecz porcje były zbyt małe, by cokolwiek poczuć. Kucharze dodawali też czasem warzywa, jeśli udało im się jakieś znaleźć, ale kompletnie nie miały smaku. Jeńcy nigdy nie dostali żadnego owocu. Wygłodniali mężczyźni żuli między posiłkami liście i trawę i obóz O'Donnell został wkrótce pozbawiony wszelkiej roślinności. Kiedy nie było już zupełnie nic do jedzenia, niespokojni jeńcy zbierali się gdzieś w cieniu i opowiadali sobie o różnych potrawach.

Konali z niedożywienia. Dostawali średnio tysiąc pięćset kalorii, połowę dziennego zapotrzebowania organizmu. Uwzględniając fakt, że wcześniej większość głodowała już cztery miesiące na Bataan, wyżywienie w O'Donnell było zabójcze i władze obozu świetnie zdawały sobie z tego sprawę.

A na Filipinach nie brakowało ani wody, ani żywności.

Nędzna dieta sprzyjała rozprzestrzenianiu się chorób. Każdy na coś chorował, czy to na malarię, dengę, szkorbut, beri-beri, żółtaczkę, dyfteryt, zapalenie płuc i dyzenterię, czy też na kilka tych chorób jednocześnie. Połowa mężczyzn cierpiała na dyzenterię już w momencie przybycia tutaj.

Oficerowie zorganizowali ekipy, które wykopały latryny, ale już wkrótce wypełniły się one po brzegi. Niektórzy byli tak osłabieni ostrą biegunką, że nie mogli chodzić i wypróżniali się tam, gdzie leżeli. Wielu po prostu umierało. Przy braku leków i żalosnej diecie dyzenteria przybrała rozmiary epidemii. Cały obóz cuchnął niczym wielkie otwarte szambo.

Po Bożym Narodzeniu Pete przeszedł dwa łagodne ataki dyzenterii, ale dostał wtedy od lekarza morfinę. Drugiego dnia pobytu w O'Donnell poczuł się nagle bardzo zmęczony i zaczęło mu brakować powietrza. Były to pierwsze symptomy i jak wszyscy jeńcy, przez kilka godzin próbował się sam zdiagnozować, odkryć, na co zachorował. Kiedy dostał skurczów żołądka, zaczął podejrzewać, że to dyzenteria. W połowie pierwszego ataku krwawej biegunki miał już pewność. Początkowe dni były zawsze najgorsze.

Jego nowym kumplem został Clay Wampler, kowboj z Kolorado, który w Trzydziestym Pierwszym Pułku służył jako strzelec karabinu maszynowego. Clay spał obok niego w baraku i to on pierwszy powitał Pete'a w jego nowym lokum. Podtrzymywany przez Claya, Pete wrócił do izby chorych po morfinę, ale zapotrzebowanie na nią było tak wielkie, że nie mieli już ani jednej ampułki. Clay pełnił przy nim funkcję pielęgniarza i żartował, że robi to tylko po to, by Pete mógł mu się odwdzięczyć, gdy on sam zapadnie na tę cholerną chorobę. Trzeciego dnia Pete odetchnął z ulgą: kolejny atak nie był już tak ostry jak poprzedni. Dyzenteria zabiła wielu mężczyzn. Inni cierpieli na skurcze żołądka i biegunkę przez tydzień i jakoś wydobrżeli.

Niestety, w nocy obudził się wstrząsany dreszczami i zlany potem. Widział już dość przypadków malarii, by znać jej objawy.

* * *

Jeńców z Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii umieszczono w północno-wschodniej części obozu, daleko od Pete'a. Po wycofaniu się na półwysep Bataan pułk utrzymywał pełną sprawność bojową i liczył czterdziestu jeden amerykańskich oficerów i około czterystu Filipińskich Zwiadowców. Już na samym początku oblężenia okazało się jednak, że w potyczkach w dżungli kawaleria jest mało przydatna, i kiedy głównym przeciwnikiem stał się głód, konie znalazły inne przeznaczenie. Dziewiątego kwietnia, w dniu kapitulacji, pułk stracił czternastu oficerów i około dwustu Zwiadowców. W O'Donnell odnalazło się trzydziestu sześciu Amerykanów, wśród nich Sal Moreno i Ewing Kane. Sześciu zaginionych – wśród nich Pete'a Banninga – uznano za zmarłych. Inni nie poddali się i wciąż byli na wolności – na czele z porucznikiem Edwinem Ramseyem, który poprowadził ostatnią szarżę kawaleryjską pod Morong i zmierzał teraz w góry, gdzie chciał organizować partyzantkę.

Starszym bloku Dwudziestego Szóstego Pułku był major Robert Trumpett, absolwent West Point z Marylandu, który dotarł do O'Donnell dwa dni przed Pete'em i starał się tak zorganizować swoich podkomendnych, by przetrwało ich jak najwięcej. Jak wszyscy inni jeńcy, byli oni wygłodzeni, odwodnieni, wyczerpani, poranieni i chorzy, przede wszystkim na dengę i malarię. Udało im się przeżyć marsz śmierci i szybko zdali sobie sprawę, że przeżycie obozu O'Donnell będzie równie trudne, o ile nie trudniejsze. Trumpett sporządził listę sześciu ludzi zabitych w akcji lub podczas marszu i zdołał przekazać ją adiutantowi generała Neda Kinga. Generał poprosił wszystkich dowódców o to samo, by można było zawiadomić rodziny poległych.

Czterech z tej szóstki poległo w akcji, a o dwóch wiadomo było, że zostali pogrzebani. Pete i jeszcze jeden porucznik zginęli podczas marszu i szanse na odnalezienie ich ciał były znikome.

Generał King poprosił komendanta obozu o przekazanie listy zabitych i wziętych do niewoli amerykańskim

pracownikom administracyjnym, którzy przebywali w areszcie domowym w Manili. Komendant z początku odmówił, ale po otrzymaniu rozkazów z góry zmienił zdanie. Japończycy szczyli się tym, że zginęło tylu Amerykanów, i chcieli, by ich liczba była znana.

* * *

Lazaret mieścił się w bambusowych domach na palach. Było tam sześć oddziałów, każdy w długim baraku, bez łóżek, koców i prześcieradeł. Pacjenci leżeli ramie przy ramieniu na podłodze, jedni w agonii, inni w śpiączce, jeszcze inni już martwi. W danym momencie mogło tam w znośnych warunkach przebywać około dwustu pacjentów. Pod koniec wiosny leżało na podłogach ośmiuset mężczyzn czekających na leki, które nigdy nie dotarły. Większość tych ludzi miała umrzeć.

Wkrótce po tym, jak do O'Donnell zaczęli napływać jeńcy z Bataan, lazaret stał się bardziej kostnicą niż miejscem, w którym leczy się ludzi. Lekarze i pielęgniarze, z których większość też cierpiała na jedną albo kilka chorób, nie mieli prawie żadnych leków. Nawet tak podstawowe lekarstwa jak chinina na malarię, morfina na dyzenterię czy witamina C na szkorbut były w znikomych ilościach. Większość zaopatrzenia – plastry, gazę, środki do dezynfekcji czy aspirynę – lekarze przemycali z innych szpitali. Japończycy nie dostarczali praktycznie niczego.

Lekarze byli zmuszeni oszczędzać leki, więc podawali je tym, którzy mieli największe szanse na przeżycie. Dawanie ich najciężej chorym było po prostu marnotrawstwem. Kiedy dostawy jeszcze bardziej stopniały, przy wyborze tych, którzy mieli być leczeni, lekarze stosowali coś w rodzaju loterii.

Clay zaciągnął Pete'a do lazaretu i udało mu się dopaść jakiegoś lekarza. Wy tłumaczył mu, że jego przyjaciel zachorował jednocześnie na dyzenterię i malarię i szybko

traci siły. Lekarz odparł, że bardzo mu przykro, ale nie ma żadnych leków. Clay słyszał plotki – a przy tak wielu zmuszonych do bezczynności mężczyznach rozchodziły się one z szybkością błyskawicy – że najbardziej popularne lekarstwa można kupić na czarnym rynku. Zapytał o to lekarza. Ten z początku udał, że nie ma o niczym pojęcia, ale kiedy wychodzili, szepnął: „Za oddziałem czwartym”.

Za oddziałem czwartym siedział w cieniu drzewa gruby Amerykanin z talią kart, grając na prowizorycznym stoliku w coś, w co można było grać samemu. Jego tusza stanowiła najlepszy dowód, że facet robi lewe interesy. Kiedy się poddali, Clay zauważył kilku tęgich amerykańskich jeńców. Byli z reguły starsi i służyli gdzieś w odległych kwatermistrzowskich rewirach. Gdy kazano im maszerować, wielu szybko wypadło z gry.

Ale ten facet nigdzie nie maszerował. I odżywiał się raczej regularnie. Dobrze zbudowany, miał potężną klatę, muskularne ramiona, kwadratowy kark i usta skrzywione w drwiącym uśmiechu, który Clayowi z miejsca się nie spodobał. Wyłożył na stolik kilka kart i zerknął na Claya.

– Potrzeba wam czegoś? – zapytał.

Clay puścił Pete’a, któremu udało się stanąć o własnych siłach, i szybko ocenił sytuację. Była wkurzająca i nie zamierzał się patyczkować.

– Tak, mój przyjaciel potrzebuje trochę chininy i morfiny – mruknął. – Ktoś powiedział, że je masz.

Na stoliku, obok talii kart, stały cztery małe słoiczki z tabletkami. Handlarz spojrzął na nie.

– Zostało mi parę tabletek. Dolca za jedną.

– Ty gnoju! Ty pierdolony krwiopijco! – ryknął Clay i bez słowa ostrzeżenia kopnął stolik.

Karty i słoiczki z tabletkami poleciały w górę, a grubas zerwał się z miejsca.

– Co jest, kurwa?! – krzyknął.

Chciał trafić prawym sierpowym atakującego Claya, lecz ten przykucnął i walnął go prosto w jądra. Grubas wrzasnął

z bólu i padł na ziemię. Clay kopnął go z całej siły w twarz, a potem ukląkł i czując, jak dzika furia bierze w nim górę nad zmęczeniem, odwodnieniem, głodem i wszystkim, czego doświadczył, zaczął okładać go na oślep pięściami. Po długich dniach, kiedy powściągał w sobie wolę walki i zabijania wroga, mógł wreszcie zemścić się na kimś za to, co go spotkało. Zadał kilkanaście ciosów w twarz handlarzowi, aż w końcu przestał go bić i powoli wstał.

– Ty ludzka padlino – warknął. – Wyciągasz ostatni grosz z ludzi, którzy umierają. Jesteś gorszy od tych przeklętych Japońców.

Grubas najwyraźniej nie miał jeszcze dosyć. Udało mu się dźwignąć na czworaki, a potem, choć kopnięte krocze bolało go z pewnością bardziej niż zakrwawiona twarz, stanął niepewnie na nogach. Rozejrzał się i zauważył, że wokół nich zbiera się tłum. Nie ma nic ciekawszego od porządnej bójki na pięści, zwłaszcza kiedy tak niewielu widzów ma siłę ją wszcząć lub doprowadzić do końca.

Handlarz krwawił z nosa, ust i pękniętego łuku brwiowego i w ogóle nie powinien wstawać. Kulejąc z powodu obolałych jąder, podszedł do Claya.

– Ty skurwysynu! – wymamrotał.

Nie skończył jeszcze mówić, gdy Clay rozbił mu pięścią wargę tak błyskawicznie, że mało kto zauważył sam cios. A potem kombinacją lewy-prawy utoczył z niego jeszcze więcej krwi. Z grubasa był marny bokser, nigdy nie walczył z prawdziwym kowbojem i nie udało mu się wyprowadzić prawie żadnego uderzenia. Clay krążył wokół niego, zadając szybkie ciosy i mówiąc sobie w duchu, że bije Japończyka. Mocny prawy w podbródek znów znokautował handlarza. Upadł na drewnianą płytę, która służyła mu wcześniej za stół, a rozwścieczony Clay złapał ją i zaczął okładać nią nieszczęsnego przeciwnika. Odgłos walącego w czaszkę drewna przyprawiał o mdłości, ale Clay nie mógł się opanować. Widział już tylu umierających ludzi, że życie wydawało mu się tanie. I kogo, do diabła, będzie obchodzić, że

zabije człowieka, którego uważał za gorszego od Japończyków?

Strażnik z bagnetem na karabinie stanął przy nim i stuknął go lekko w ramię. Clay przestał bić handlarza, spojrzął na Japończyka i wstał. Próbując złapać oddech, poczuł się nagle bardzo zmęczony.

Strażnik uśmiechnął się.

– Nie przerywaj – powiedział. – Bij dalej.

Clay zerknął na poobijaną twarz handlarza, a potem na Pete'a, który stał pod drzewem i kręcił głową. Spojrzął na tłum wycieńczonych mężczyzn, którzy przybiegli tu, by obejrzeć bójkę, a potem na Japończyka.

– Nie – odparł. – Już skończyłem.

Strażnik stuknął Claya bagnetem w pierś i wskazał leżącego na ziemi mężczyznę.

– Zabij go – rozkazał.

– Nie – powtórzył Clay, ignorując bagnet. – To coś, co wy robicie.

Cofnął się o krok, oczekując, że strażnik zaraz się na niego rzuci i dojdzie do czegoś strasznego. Japończyk jednak opuścił broń i śledził go wzrokiem, kiedy Clay podszedł do drzewa, by podeprzeć Pete'a. Tłum powoli się rozchodził, a handlarz odzyskał przytomność i zaczął się poruszać.

Pete znalazł nowego przyjaciela. Godzinę później siedzieli wraz z innymi za barakiem, kryjąc się w jego cieniu przed słońcem. Panujący w środku smród był tak mocny, że nie mogli tam wytrzymać. Kiedy gadali o tym i owym, by zabić czas, pojawił się ten sam strażnik. Podszedł prosto do Claya. Ten wstał i skłonił głowę, bojąc się najgorszego. Ale strażnik wyciągnął z kieszeni mały słoiczek, podał mu go i wskazał głową Pete'a.

– To dla twojego przyjaciela – powiedział, po czym zrobił w tył zwrot i odmaszerował.

W słoiku były tabletki chininy, które uratowały życie Pete'owi i kilku innym jeńcom z ich baraku.

Rozdział 28

Zgodnie ze zwyczajem Nineva zostawiła o szóstej wieczorem posiłek na kuchni i wróciła do swojego domku. Liza obserwowała ją z okna swojej sypialni, po raz kolejny dziękując losowi, że tamta sobie poszła i rodzina może być sama. W ciągu dziewięciu lat, które przeżyła w tym domu, ona i Nineva nauczyły się ze sobą koegzystować, często ramię przy ramieniu, gdy wekowały owoce i warzywa z ogrodu i rozmawiały o dzieciach. Po wyjeździe Pete'a codziennie się wspierały: każda starała się robić wrażenie silniejszej niż ta druga. W obecności dzieci nie traciły rezonu; mówiły, że alianci wygrają wojnę i Pete wkrótce wróci. Obie często płakały, ale zawsze na osobności.

We wtorek dziewiętnastego maja rodzina jadła właśnie kolację i rozmowa dotyczyła wakacji. Zaczynały się już nazajutrz – trzy miesiące wolnego – i Joel i Stella nie mogli się ich doczekać. On miał szesnaście lat i zdał właśnie, jako najmłodszy, do ostatniej klasy. Ona miała piętnaście i przeszła do trzeciej klasy. Chcieli gdzieś pojechać, być może do Nowego Orleanu albo na Florydę, ale tak naprawdę nie byli w stanie niczego zaplanować. Od czterech miesięcy nie mieli żadnych wiadomości od ojca i niepewność kładła się cieniem na ich życiu.

Kuchnię omiotły nagle światła przednich reflektorów i siedzący pod oknem na werandzie Mack zaczął szczekać.

Jakiś samochód podjechał pod dom i zatrzymał się przed frontowym wejściem. Nikogo się nie spodziewali, więc wszyscy troje spojrzeli na siebie z niepokojem. Liza wstała z krzesła.

– Ktoś przyjechał. Zobaczę, o co chodzi.

Na ganku stało dwóch mężczyzn w wojskowych mundurach. Chwilę później usiedli w salonie, a rodzina naprzeciwko nich na sofie. Liza siedziała pośrodku, trzymając za ręce Joela i Stellę, która miała już łzy w oczach.

– Niestety, mam dla państwa złe wiadomości, i bardzo mi z tego powodu przykro – oznajmił grobowym głosem kapitan Malone. – Porucznik Banning zaginął i został uznany za martwego. Nie możemy stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że nie żyje, bo ludzie z jego jednostki nie zdołali odnaleźć ciała. Biorąc pod uwagę okoliczności, jego towarzysze są jednak przekonani, że zginął. Bardzo mi przykro.

Stella wtuliła głowę w kolana matki. Liza złapała ich oboje i przycisnęła mocno do siebie. Łkając i zawodząc, obejmowali się wzajemnie, a dwaj oficerowie wbijali wzrok w podłogę. Wojskowi nie garnęli się do tych misji, ale rozkaz to rozkaz i prawie codziennie składali teraz te koszmarne wizyty na północy Missisipi.

– Co to dokładnie znaczy, że „został uznany za martwego”?
– spytała z zaciśniętymi zębami Liza.

– To znaczy, że nie odnaleźliśmy jego ciała – odparł kapitan Malone.

– Więc jest jeszcze szansa, że żyje? – zapytał, ocierając policzki, Joel.

– Owszem, jest taka szansa, ale muszę państwa uprzedzić, że zważywszy na okoliczności, ludzie, którzy towarzyszyli porucznikowi Banningowi, są prawie całkowicie pewni, że zginął.

– Może nam pan powiedzieć, co się stało? – odezwała się Liza.

– Znamy pewne szczegóły, ale nie wiemy, do jakiego stopnia są wiarygodne, proszę pani. Porucznik Banning został

wzięty do niewoli, kiedy wojska aliantów poddały się Japończykom na Filipinach. Było to dziewiątego i dziesiątego kwietnia. Kiedy prowadzono go wraz z innymi żołnierzami do obozu jenieckiego, został ranny i podobnie jak wielu innych porzucony na poboczu drogi. Potem dobili go japońscy żołnierze.

W tym momencie nie miało naprawdę znaczenia, jak zginął. Nieważne były szczegóły. Liczyło się tylko to, że Pete Banning odszedł i nigdy go już nie zobaczą. Odszedł mąż, ojciec, patriarcha, przyjaciel, brat, sąsiad i znamienity obywatel. Tyle było osób, które połączą się z nimi w bólu. Płakali bardzo długo i oficerowie, którzy nie mieli nic więcej do powiedzenia, w końcu wstali, jeszcze raz złożyli kondolencje i wyszli.

Liza niczego nie pragnęła bardziej, niż uciec do sypialni, zamknąć za sobą drzwi, wejść pod kołdrę i płakać aż do rana, ale byłoby to egoizmem i w ogóle nie wchodziło w grę. Miała dwójkę wspaniałych dzieci, które potrzebowały jej teraz bardziej niż kiedykolwiek, i choć najchętniej zalałaby się łzami, musiała wziąć się w garść i wydać pierwsze dyspozycje.

– Joel, weź pick-upa, pojedź do Florry i przywieź ją tutaj. Po drodze zawiadom Ninewę. Każ Jupe’owi wsiąść na konia i rozpowiedzieć wśród czarnych, co się stało.

Wiadomość rozeszła się lotem błyskawicy i godzinę później podwórko wypełniło się samochodami osobowymi i pick-upami. Liza wolałaby spędzić tę pierwszą noc, oplakując Pete’a razem z dziećmi i Florry, ale nie tak załatwiało się tego rodzaju rzeczy w wiejskich rejonach Missisipi. Dexter i Jackie Bellowie przybyli jako jedni z pierwszych i spędzili z Banningami jakiś czas na osobności. Dexter odczytał ustęp Biblii i odmówił modlitwę. Liza wyjaśniła, że rodzina nie jest jeszcze gotowa na spotkanie z hordą mających jak najlepsze intencje żałobników. Banningowie zostali w sypialni, a Dexter dyskretnie poprosił wszystkich, by przybyli kiedy indziej. Ludzie przyjeżdżali do dziesiątej wieczór.

W Clanton nie mówiło się o niczym innym. O ósmej rano Dexter otworzył kościół metodystów, żeby ci, którzy znali Pete'a, mogli tam wejść i pomodlić się. W pierwszych godzinach po otrzymaniu wiadomości podkreślano często fakt, że Pete zaginął, a nie zginął. Istniała zatem jakaś nadzieja, a to sprawiało, że jego znajomi i sąsiedzi modlili się długo i żarliwie.

Później w ciągu dnia Dexter i Jackie wrócili do Banningów, by posiedzieć z Lizą i dziećmi, którzy nadal nie mieli ochoty spotykać się z tłumem ludzi. Dexter cicho prosił żałobników, żeby odjechali, i na ogół to robili. Przyjeżdżali całymi rodzinami, przywożąc ciasta, placki i zapiekanki, rzeczy, których nikt nie miał ochoty jeść, ale które tradycja kazała ofiarować rodzinie przy takiej okazji. Uświadomiwszy sobie po rozmowie z Dexterem, że raczej nie usiądą razem z Lizą i z nią nie popłaczą, wychodzili z domu, wracali do swoich samochodów i odjeżdżali.

Liza zdecydowała, że nie będzie nabożeństwa żałobnego. Nie można było wykluczyć, że jej mąż nadal żyje, dlatego wraz z dziećmi zamierzała skupić się na tym i nie przyjmować do wiadomości, że zginął. W każdym razie usiłować to robić. Po kilku dniach zaczęła, podobnie jak Joel i Stella, widywać się z przyjaciółmi. Pierwszy szok stopniowo mijał, choć dotkliwy odrętwiający ból wcale nie ustąpił.

Żeby zachować pozory normalności, trzymali się rutyny. Rodzina jadała razem śniadania i kolacje, często wraz z siedzącą przy stole Ninewą, co było czymś nowym. W każdy dzień roboczy około dziesiątej przyjeżdżał Dexter Bell, żeby przeczytać ustęp z Biblii, zaoferować słowa pociechy i odmówić wspólnie z nimi modlitwę. Czasami przyjeżdżała z nim Jackie, ale na ogół był sam.

Dwa tygodnie po otrzymaniu wiadomości Florry zabrała Joela i Stellę do Memphis na długi weekend. Liza nalegała na ten wyjazd, chcąc, żeby odpoczęli od posępnej domowej atmosfery i trochę się zabawili. Florry miała w Memphis kilkoro ekscentrycznych przyjaciół, ludzi, którzy potrafili

rozweselić każdego. Razem z dziećmi zameldowała się w hotelu Peabody. Pokój Joela znajdował się niedaleko pokoju, w którym został poczęty, ale on oczywiście nie mógł tego wiedzieć.

Pod nieobecność dzieci Dexter Bell nadal przyjeżdżał codziennie na poranną modlitwę. Siedzieli w gabinecie i cicho rozmawiali. Krzątająca się w kuchni Nineva słyszała każde ich słowo.

* * *

Czarnorynkowa morfina w końcu zadziałała i trzeci atak dyzenterii Pete'a nie był już tak gwałtowny jak poprzednie, mimo że choroba nie ustąpiła do końca. Nie ustąpiła również malaria. Był jednak w stanie jakoś funkcjonować, choć dreszcze i gorączka sprawiały czasem, że leżał na ziemi i trząsł się od stóp do głów. Miał również halucynacje i wydawało mu się, że wrócił do domu.

Siedząc w cieniu baraku, on i Clay patrzyli, jak na cmentarz po drugiej stronie drogi wiozą co jakiś czas nowe zwłoki. W końcu kwietnia codziennie umierało dwudziestu pięciu Amerykanów. W maju umierało ich już pięćdziesięciu. W czerwcu ta liczba sięgnęła stu.

Śmierć była wszechobecna. Żywi myśleli o umierających, bo bez przerwy widzieli trupy, które gromadzono często w przypadkowych miejscach. Myśleli o umierających, bo ich też czekała śmierć. Z każdym dniem coraz bardziej głodowali, zbliżając się do stanu, w którym nic nie mogło już im pomóc. Choroby zbierały coraz obfitsze żniwo i wydawało się nieuniknione, że któraś z nich przyniesie ze sobą żalostną śmierć.

Pete widział, jak ludzie poddają się i umierają, i kilka razy kusilo go, by dać za wygraną. Los wszystkich i tak przecież wisiał na włosku i tylko tym z żelazną wolą życia udawało się przetrwać. Poddanie się było bezbolesne, podczas gdy dalsze

życie oznaczało, że człowiek budził się rano i miał przed sobą kolejny dzień w piekle. Niektórzy za nic nie chcieli porzucić nadziei i zamierzali przeżyć bez względu na to, co szykował im wróg, inni mieli już dosyć cierpień i zamykali oczy.

Pete przetrwał, myśląc o żonie i dzieciach, o plantacji, a także o długich i ciekawych dziejach swej rodziny w hrabstwie Ford. Wspominał opowieści o dawnych wojnach, bitwach i waśniach, wszystkie te barwne historie, które słyszał jako chłopak i które przekazywano sobie z pokolenia na pokolenie. Myślał o Lizie i o tych wspaniałych chwilach w hotelu Peabody, kiedy spędzali razem noce, robiąc coś, co dystyngowanym parom w latach dwudziestych wręcz nie mieściło się w głowie. Myślał o jej ciele, o tym, jak stale pragnęła fizycznej rozkoszy. Wspominał, jak razem z Joelem polował i wędkował na ich ziemi, jak przynosili do domu jelenie, dzikie indyki, króliki, leszcze i okonie, które sprawiali później przy stodole i oddawali Ninevie, by przyrządziła je na kolację. Wspominał Stellę, kiedy jako mała dziewczynka kładła się w piżamie na sofie i słuchała bajek, które czytał jej do poduszki. Marzył o tym, by dotknąć jej ciepłej gładkiej skóry. Chciał być ze swoimi dziećmi, kiedy skończą studia i każde z nich weźmie ślub.

Zdecydował, że nie umrze na żadną z chorób ani z wygłodzenia. Był twardym chłopakiem z farmy, absolwentem West Point, oficerem kawalerii, i miał w domu wspaniałą rodzinę. Być może los obdarzył go większą wytrwałością i hartem ducha. Był silniejszy od innych, a przynajmniej tak sobie mówił. Chętnie pomógłby słabszym, ale nic nie mógł dla nich zrobić. Wszyscy byli jedną nogą w grobie i musiał zadbać o siebie.

W miarę jak warunki w O'Donnell się pogarszały, mężczyźni coraz częściej napomykali o ucieczce. Jako jeńcy powinni podjąć taką próbę, choć w ich stanie wydawało się to prawie niemożliwe. Byli zbyt osłabieni, by daleko uciec, a wszędzie roiło się od Japończyków. Wydostanie się z obozu

nie było zbyt trudne, bo na zewnątrz wychodziły brygady robocze, ale nie mieli dość sił, by przetrwać w dżungli.

Żeby zniechęcić ich do prób ucieczki, Japończycy wprowadzili pewne zasady, ich zdaniem proste, lecz w zastosowaniu skrajnie brutalne. Ktoś, kto uciekł i został złapany, miał być okładany bykowcem tak długo, aż wykrwawi się na śmierć. Żeby zademonstrować, jak to wygląda w praktyce, pewnego popołudnia strażnicy zorganizowali dla kilku tysięcy jeńców pokaz przy kwaterze komendanta.

Pięciu Amerykanów próbowało uciec i zostali złapani. Na placu rozebrano ich do naga, związano im ręce nad głową i przymocowano je do zawieszonych na belce sznurów tak, że palcami stóp ledwie dotykali ziemi. Z początku wyglądało to tak, jakby ich powieszono. Wszyscy byli wychudzeni, z żebrami sterczącymi pod skórą. Japoński oficer przemaszerował z bykowcem przed jeńcami i choć było to raczej oczywiste, wyjaśnił za pośrednictwem tłumacza, co się zaraz wydarzy. Był mistrzem w posługiwaniu się bykowcem i kiedy smagnął nim pierwszego żołnierza, z ust tamtego wydarł się krzyk bólu. Przy każdym uderzeniu rozlegał się głośny trzask, a plecy i pośladki nieszczęśnika szybko pokryły się krwią. Gdy ofiara straciła przytomność, oprawca przeszedł kilka kroków dalej, do następnego Amerykanina. Biczowanie trwało pół godziny, w palących promieniach słońca. Kiedy wszyscy zakrwawieni skazańcy przestali się poruszać, komendant wystąpił naprzód i ogłosił nową zasadę. Jeśli jakiś jeńiec ucieknie, dziesięciu jego towarzyszy zostanie wybatożonych, a potem w słońcu będą czekali na śmierć.

Nie trzeba dodawać, że ten pokaz spowodował zawieszenie wielu opracowywanych planów ucieczki.

* * *

Clay nawiązał kontakt z Filipińskim Zwiadowcą, który pracował jako kierowca ciężarówki i zorganizował czarnorynkowe dostawy żywności w amerykańskim sektorze O'Donnell. Miał uczciwe ceny i dostarczał łososie, sardynki i tuńczyki w puszkach, a także masło orzechowe, owoce i ciastka.

Pete i Clay podjęli decyzję. Za pieniądze, które Pete zaszył w torbie na manierkę, mieli zamiar kupować jedzenie, dzielić się nim we dwóch i w ten sposób próbować przeżyć. Plan wymagał pewnej przebiegłości, bo trudno było się schować i jeść żywność kupioną na czarnym rynku. Wszyscy głodowali i obserwowali się wzajemnie. Pete i Clay czuli się podle, kryjąc się przed innymi po kątach, ale wiedzieli dobrze, że nie zdołają nakarmić sześćdziesięciu tysięcy głodujących nieszczęśników. Pierwszym zakupem Claya były cztery pomarańcze, dwa ciastka kokosowe i puszka łososia. Za półtora dolara wyprawili sobie królewską ucztę.

Mieli zamiar wydawać jak najmniej, a kiedy skończą się pieniądze, wymyślić coś innego. Dodatkowe jedzenie na tyle wzmocniło Pete'a, że zaczął krążyć po obozie, szukając dawnych znajomych z Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii.

* * *

Japończycy rzadko zapuszczali się w głąb obozu i raczej nie interesowało ich, co się tam dzieje. Wiedzieli, że warunki są nieludzkie i stale się pogarszają, ale po prostu w miarę możliwości ignorowali jeńców. Dopóki ci byli pod kluczem i pracowali, kiedy im kazano, Japończycy niewiele się nimi przejmowali.

Nie można było jednak ignorować rosnących stert trupów. Japoński komendant kazał je palić, ale generał King domagał się, by grzebać zwłoki z odrobiną poszanowania. Japończycy

być może wierzyli w kremację, lecz Amerykanie mieli na ten temat inne zdanie.

W obozie umierało średnio stu Amerykanów dziennie i generał King zorganizował ich grzebanie w zbiorowych mogiłach. Kopacze zmieniali się przy łopatach, podczas gdy inne grupy transportowały ciała. Większość przynoszono z lazaretu, ale rozkładające się zwłoki znajdowano na terenie całego obozu.

Pete i Clay przekonali się, że ci, którzy mają jakieś zajęcie, żyją dłużej od tych pogrążonych w stuporze. Dlatego zgłosili się na ochotnika do kopania. Po śniadaniu wyszli z baraku i ruszyli w stronę amerykańskiego cmentarza, tuż za głównym obozem, mniej więcej osiemset metrów od lazaretu. Dano im narzędzia pracy: stare łopaty i powyginane fragmenty metalu, którymi można było wygarniać ziemię. Amerykański oficer wyznaczył krokami rozmiary następnego masowego grobu – dwa metry szerokości, siedem metrów długości i półtora głębokości. Kopacze zabrali się do pracy. Było ich kilkudziesięciu i musieli uwijać się z robotą, bo trupy gniły na słońcu.

Dostarczano je w kocach zawieszonych na bambusowych kijach albo na noszach zrobionych ze starych drzwi. Tragarze używali wszystkiego, co pozwalało przetransportować ważące po niespełna pięćdziesiąt kilogramów szkielety, z których wiele było już w stanie rozkładu. Odór zwłok aż zapierał dech w piersiach.

Przy każdym grobie dyżurował oficer, który zapisywał nazwiska pochowanych i dokładne położenie ich ciał. Niestety, część zmarłych nie miała identyfikatorów i nie sposób było ustalić, jak się nazywali. W każdym grobie grzebano dwudziestu albo więcej ludzi. Kiedy był pełny, kopacze zasypywali ciała.

Cmentarz nazywano Trupiarnią i była to pod każdym względem trafna nazwa. Pete mógł policzyć żebra prawie na każdych zwłokach, które grzebał. Zasypując ziemią kolejnego

amerykańskiego żołnierza, nigdy nie zapomniał przekląć z całego serca Japończyków.

Dzień w dzień on i Clay zgłaszali się na ochotnika do kopania grobów. Pete'owi pomagało to zachować resztki człowieczeństwa. Ktoś musiał przecież zadbać, by każdy żołnierz miał porządną – czy raczej najlepszą możliwą w tych okolicznościach – pogrzeb. Gdyby sam miał umrzeć, pocieszałaby go myśl, że ktoś wykopie mu prawdziwy grób.

W miarę jak zwiększała się liczba zgonów, kopano coraz więcej mogił. Nędzne narzędzia i topniejące siły sprawiały, że praca była trudna. Trupiarnia zajmowała coraz większy teren. Tragarze wciąż dostarczali nowe zwłoki.

Kolejna mogiła była już pełna i oficer kazał ją zasypać. Pete, Clay i czterej inni kopacze zaczęli zasypywać swoich towarzyszy. Pete nagle znieruchomiał. Leżący półtora metra niżej mężczyzna miał zamknięte oczy i gęsty zarost, ale on rozpoznawał tę twarz. Zapytał oficera o nazwisko. Salvadore Moreno z Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii.

Pete zamknął oczy i zastygł w bezruchu.

– Dobrze się czujesz? – zapytał Clay.

Pete odsunął się od grobu i potykając się, podszedł do ogrodzenia. Usiadł tam, schował twarz w dłoniach i gorzko zapłakał.

Rozdział 29

Jak się okazało, zgłoszenie się do kopania grobów nie było jednak takim dobrym pomysłem. Japończycy z daleka ich obserwowali. Potrzebowali „zdrowszych” Amerykanów, żeby wysłać ich do Japonii i zatrudnić tam przymusowo w kopalniach węgla. Pete i Clay znaleźli się w grupie około tysiąca wybrańców. Pod koniec czerwca, pewnego dnia po śniadaniu, w baraku pojawił się strażnik i nakazał, żeby piątka jeńców, w tym Pete i Clay, poszła za nim. Na placu apelowym stanęli w szyku na baczność. Podjechały ciężarówki i kiedy do nich wsiadali, każdy jeńiec dostał kulkę ryżu, banana i puszkę wody.

Pete i Clay wiedzieli, że nie chodzi o zwykłe roboty przymusowe nieopodal obozu. Po godzinie jazdy w prowadzonych wokół nich rozmowach dało się słyszeć podniecenie. Czy to możliwe, że opuścili obóz na dobre? Japończycy stale przerzucali jeńców z miejsca na miejsce, a dokądkolwiek ich wieziono, musiało tam być lepiej niż w O'Donnell.

Wkrótce wjechali na zatłoczone ulice Manili i zaczęły się najdziwsze spekulacje co do celu ich podróży. Kiedy zatrzymali się w porcie, jeńcy nie wiedzieli, co o tym sądzić. Czy mają się cieszyć, że wyrwali się z O'Donnell, czy martwić, że wysyłają ich do Japonii? Wkrótce ekscytacja ustąpiła miejsca przygnębieniu.

Zagoniono ich na nabrzeże i kazano czekać. Po jakimś czasie dojechali do nich jeńcy z innego obozu i rozeszła się plotka, że Czerwony Krzyż wynegocjował wymianę jeńców i popłyną do Australii, gdzie odzyskają wolność. W tym momencie Pete i inni ludzie z O'Donnell w nic już jednak nie wierzyli. Czekając, Pete patrzył na stojący przy nabrzeżu frachtowiec, przerdzewiały stary statek bez jakichkolwiek oznaczeń. Bez nazwy, bandery i portu macierzystego.

W końcu ustawili się w długiej kolejce i powoli zaczęli wchodzić po trapie. Na pokładzie minęli przednią gródź i dotarli do otwartego włazu, przez który po drabinie schodziło się do ładowni. Strażnicy nerwowo wydawali rozkazy. Schodzącego Pete'a uderzył w nozdrza paskudny odór. Po chwili zobaczył spocone twarze setek siedzących w ładowni mężczyzn. Jak się wkrótce dowiedział, na statek załadowano już około tysiąca dwustu jeńców z obozów na północ od Manili. Strażnicy poinformowali ich, że płyną do Japonii, gdzie będą pracować w kopalniach węgla.

W miarę jak do ładowni zaganiano coraz więcej jeńców, zaczęło brakować powietrza. Mężczyźni stali jeden przy drugim, ramię przy ramieniu. Nie było miejsca, żeby usiąść, położyć się czy choćby poruszyć. Zewsząd rozlegały się krzyki i przekleństwa, zapanował kompletny chaos. Strażnicy wciąż spychali nowych jeńców, bijąc opornych kolbami karabinów. Temperatura wzrosła do czterdziestu stopni i ludzie tracili przytomność, ale nie mieli gdzie się osunąć. Wkrótce zaczęli umierać.

* * *

Cesarz Hirohito odmówił ratyfikowania konwencji genewskiej i od początku wojny w Azji armia cesarska traktowała jeńców jak niewolników. W związku z powszechnym brakiem rąk do pracy Japończycy opracowali kompleksowy plan przetrzucenia amerykańskich jeńców

wojennych do kopalni węgla w Japonii. W tym celu zarekwirowano wszystkie dostępne statki handlowe, niezależnie od ich wieku i stanu technicznego. Ładowano na nie żołnierzy płynących na Filipiny, a w drodze powrotnej chorych i konających Amerykanów, którzy mieli trafić do obozów pracy.

W ciągu całej wojny do Japonii przewieziono około 125 000 alianckich jeńców. Spośród nich 21 000 tysięcy zmarło na statkach albo poszło razem z nimi na dno. Szóstego sierpnia 1945 roku czterystu amerykańskich jeńców wydobywało pod ziemią węgiel w kopalni niedaleko Omine, niespełna osiemdziesiąt kilometrów od Hiroszimy. Kiedy na miasto spadła pierwsza bomba atomowa, ziemia zatrzęsa się i zafalowała, wiedzieli, że to nie jest zwyczajny nalot. Modlili się gorąco, by okazało się to początkiem końca.

Jednym z kilku poważnych błędów, jakie Japończycy popełnili w tej wojnie, było niedoszacowanie liczby statków, których będą potrzebowali do transportu wojsk i zaopatrzenia. Poza tym nie udało im się zniszczyć na samym początku wojny amerykańskiej floty okrętów podwodnych w Pearl Harbor i gdzie indziej. Latem 1942 roku amerykańskie łodzie podwodne grasowały niczym samotne wilki na południowym Pacyfiku, zatapiając japońskie frachtowce. Żeby zrekompensować te straty, Japończycy upychali na każdy statek więcej żołnierzy, których wysyłali na front, i więcej jeńców, których wysyłali do pracy. Ich frachtowce były notorycznie przeładowane, powolne, nienowoczesne, łatwe do namierzenia i nieoznakowane.

Określano je mianem hell ships, statków z piekła rodem. Między styczniem 1942 a lipcem 1945 roku Japończycy wyprawili drogą morską do swoich obozów pracy sto pięćdziesiąt sześć transportów z jeńcami i te rejsy były gorsze od wszystkiego, czego do tej pory doświadczyli Amerykanie. Zamknięci pod pokładem, bez jedzenia, wody, światła, toalet i powietrza, którym dałoby się oddychać, ludzie masowo umierali i tracili przytomność lub zmysły.

A także tonęli, gdy w statek uderzały torpedy. Japończycy w ogóle nie znakowali swoich statków transportowych, więc padały one ofiarą alianckich okrętów podwodnych. Ocenia się, że amerykańskie torpedy zabiły pięć tysięcy amerykańskich jeńców zamkniętych w ładowniach japońskich statków.

Statek wypłynął z Zatoki Manilskiej sześć godzin po tym, jak Pete zszedł do ładowni. Ludzie wokół niego krzyczeli i zaczęli się dusić. Na szczęście strażnicy otworzyli wreszcie iluminatory i napłynęło świeże powietrze. Jakiś pułkownik zdołał przekonać strażnika, że ludzie umierają i nie będzie żadnego pożytku z niewolników, jeśli przybędą na miejsce martwi. Otwarto klapy włazów i pozwolono więźniom wyjść na pokład, gdzie mogli odetchnąć pełną piersią i zobaczyć księżyc. Świeżego powietrza było w bród, lecz nikt nie napomknął ani słowem o jedzeniu i piciu. Strażnicy stali z wycelowaną bronią, gotowi zabić każdego, kto spróbowałby skoczyć do morza. Choć wszyscy myśleli o samobójstwie, nikt nie miał siły go popełnić.

Pete i Clay wraz z setkami innych spędzili noc pod rozgwieżdżonym niebem, które w ojczyźnie z pewnością by podziwiali. Teraz przypominało im tylko, jak daleko znaleźli się od domu.

Strażników poinstruowano chyba, żeby zabijali tylko w wyjątkowych przypadkach. Praca niewolników miała swoją wartość i fakt, że ludzie umierali pod pokładem, był nie do przyjęcia. O świcie trupy wyciągnięto po drabinie z ładowni i bez większych ceremonii wrzucono do morza. Pete patrzył, jak jeden po drugim wpadają do wody, unoszą się przez chwilę na falach i znikają, i za każdym razem myślał o ojcu, matce, młodej żonie z Oregonu, Minnesoty czy Florydy, którzy w tym momencie być może się modlili, czekając na list. Ile czasu minie, nim do ich drzwi zapuka człowiek w mundurze i zawali się cały ich świat?

Słońce wzeszło i na pokładzie nie było ani skrawka cienia. Nie było również jedzenia i picia i z każdą upływającą godziną więźniowie coraz bardziej przeklinali strażników. Ci trzymali

palce na spustach karabinów i odwzajemniali się przekleństwami w swoim języku. W miarę jak mijał dzień, napięcie i podenerwowanie stawały się coraz większe. W końcu jeden z więźniów podbiegł do relingu, rozpostarł ręce i wyskoczył, po czym zanurkował dwadzieścia metrów niżej, zasypywany gradem kul. Japończycy świetnie posługiwali się mieczami i bagnietami, ale strzelali niezbyt celnie i trudno było stwierdzić, czy śmiałek został trafiony. Jednak długie serie, które za nim posłano, skutecznie zniechęciły innych do pójścia w jego ślady.

Przez kolejne godziny ludzie smażyli się na słońcu. Żeby się przed nim uchronić, schodzili do ładowni, ale panujący tam smród wyganiał ich wkrótce z powrotem na pokład. Większość nadal cierpiała na dyzenterię i strażnicy pozwalali im wychylić się za rufę i ulżyć krwawej biegunce. Byle nie zanieczyścili pokładu.

Na szczęście po południu pojawiło się trochę chmur, które zasłoniły słońce. Więźniom kazano wracać do ładowni i obiecano, że wkrótce dostaną jedzenie. Stojąc w długich kolejkach, ociągali się z zejściem w piekielne czeluści, a strażnicy wydawali się nieco im współczuć i zbytnio ich nie popędzali. Zapadł zmierzch; nadal nie było nic do jedzenia. Nagle japońscy strażnicy wpadli w popłoch. Część z nich uciekała z dziobu, bez widocznego powodu drąc się wniebogłosy.

Pierwsza torpeda uderzyła w tył maszynowni. Druga dokładnie pośrodku. Obie eksplozje zakołysały statkiem. Stalowy kadłub dudnił i wibrował. To była stara łajba, o słabej konstrukcji, i nawet Pete, który dorastał daleko od morza, wiedział, że szybko pójdzie na dno. Razem z Clayem przykucnął na pokładzie i patrzył, jak spanikowani strażnicy zatrząskują klapy włazów, przypieczętowując los tysiąca ośmiuset zamkniętych na dole Amerykanów. Około stu zostało na pokładzie, ale strażnicy już się nimi nie przejmowali. Statek tonął. Każdy myślał tylko o sobie.

Jeden z więźniów, odważniejszy od innych, podbiegł do klapy i próbował ją z powrotem otworzyć. Strażnik strzelił mu w tył głowy i kopniakiem odsunął na bok jego ciało. To tyle, jeśli chodzi o porywy heroizmu.

Trzecia torpeda zabiła ludzi z nóg i zapanował totalny chaos. Japończycy gorączkowo zwalniali z mocowań gumowe tratwy i ciskali w morze kamizelki ratunkowe. Jeńcy skakali za burtę do czarnego oceanu, nie mając pojęcia, gdzie wylądują. Pete i Clay, biegnąc do relingu, minęli strażnika, który próbował odczepić tratwę i odłożył na bok swój karabin. Pete złapał go, strzelił Japończykowi prosto w twarz, po czym cisnął karabin za burtę i z głośnym śmiechem skoczył w ślad za nim do wody.

Łądowanie było twarde, ale woda ciepła. Clay wpadł do morza tuż obok i obaj, młóćąc rękami wodę, zaczęli się rozglądać za czymś, czego można by się chwycić. Morze było czarne jak smoła i wszędzie dokoła rozbrzmiewały, po angielsku i japońsku, wołania o pomoc. Statek zaczął eksplodować i Pete słyszał rozpaczliwe krzyki zamkniętych w ładowni ludzi. Odpływał od statku tak szybko, jak tylko pozwalały mu na to zmęczenie i wycieńczone ciało. Na chwilę stracił z oczu Claya i zaczął go wołać.

– Tu jestem! – odkrzyknął Clay. – Mam tratwę!

Wdrapali się na coś, co było chyba sześćoosobowym pontonem.

– Zastrzelełeś tego skurwysyna! – powiedział Clay, kiedy tylko złapali oddech.

– Zrobiłem to! – potwierdził z dumą Pete. – Z jego własnego karabinu!

Usłyszeli w pobliżu japońskie głosy i zamilkli. Korzystając z wiosła, które znaleźli w schowku – leżała tam również flara, ale nie było nic do jedzenia i picia – próbowali jak najszybciej oddalić się od statku, który przechylił się i zaczynał tonąć. Dobiegające z oddali krzyki przyprawiały ich o mdłości.

Wiosłowali przez dziesięć, piętnaście, dwadzieścia minut, a kiedy stwierdzili w końcu, że są już wystarczająco daleko,

odłożyli na bok wiosła, by przez chwilę odpocząć. Kilometr od nich statek obrócił się nagle rufą do góry i w ciągu kilku sekund zatonął. Zamykając ładownię, Japończycy uśmiercili kolejnych tysiąc ośmiuset wygłodzonych Amerykanów.

Z ciemności morza dobiegło czyjeś wołanie, nie po angielsku. Położyli się na dnie tratwy i czekali. Wkrótce usłyszeli walenie pięścią w burtę i pojawiła się nad nią głowa. Złapali strażnika i wciągnęli go do środka. Jak większość Japończyków był drobny – niespełna metr sześćdziesiąt pięć wzrostu i najwyżej pięćdziesiąt pięć kilogramów wagi – a bez bagnetu, miecza i karabinu wydawał się o wiele mniejszy. Nie miał manierki ani plecaka, żadnego jedzenia ani picia – był bezwartościowym Japońcem, który jeszcze przed kilkoma minutami wyżywał się na jeńcach. Clay walnął go tak mocno, że złamał mu szczękę. Na zmianę bili go i dusili, a kiedy przestał oddychać, wyrzucili do morza, gdzie miał spocząć razem z ich braćmi, których właśnie uśmiercił.

I sprawiło im to zadowolenie. Mimo odwodnienia i głodu, mimo że dryfowali na tratwie i zupełnie nie wiedzieli, gdzie się znajdują, odczuwali ogromną satysfakcję. Udało im się w końcu odegrać, przelać krew, zabić wroga, odwrócić losy wojny na korzyść aliantów. Po raz pierwszy od wielu tygodni czuli się wolni. Nie mieli za plecami bezlitosnych strażników z karabinami i bagnietami. Nie musieli kopać grobów dla zmarłych. Nie otaczały ich stosy trupów.

Dryfowali pod czystym rozgwieżdżonym niebem, nie wiedząc, w którą stronę się skierować. Odłożyli więc wiosła i poddali się spokojnym falom. Po Morzu Południowochińskim kursowało wiele statków i nazajutrz ktoś powinien ich odnaleźć.

* * *

Pierwszym statkiem była japońska fregata i kiedy tylko Pete rozpoznał banderę, on i Clay wyskoczyli z tratwy

i schowali się pod nią. Załogi nie zainteresowała pusta tratwa i okręt nawet nie zwolnił. Płynął na miejsce katastrofy, szukając prawdopodobnie japońskich rozbitków. Pete i Clay przysięgli sobie, że prędzej utoną, niż dadzą się ponownie wziąć do niewoli.

Drugim statkiem był filipiński kuter, którego załogę stanowili Amato i jego dwóch synów, trzech najwspanialszych ludzi pod słońcem. Gdy zdali sobie sprawę, że Pete i Clay są Amerykanami, wciągnęli ich na pokład i najpierw dali im trochę wody, a potem gorącej czarnej kawy – rarytasu, którego obaj nie mieli w ustach od miesiący. Kiedy Teofilo spuszczał powietrze z tratwy, a Tomas stanął za sterem, Amato zasypał Amerykanów pytaniami. Skąd pochodzą? Gdzie ich przetrzymywano? Jak długo? Miał kuzyna w Kalifornii i kochał Amerykę. Jego brat był Filipińskim Zwiadowcą i uciekł w wysokie góry. Amato nienawidził Japończyków jeszcze mocniej niż Pete i Clay.

Dokąd zmierzali? Ponieważ nie mieli pojęcia, gdzie się znajdują, nie potrafili oczywiście podać miejsca docelowego. Amato poinformował ich, że są w odległości mniej więcej trzydziestu pięciu kilometrów od lądu. Dodał, że tydzień wcześniej Amerykanie zatopili inny statek, na którym byli ich żołnierze. Dlaczego to robią? Pete wyjaśnił, że japońskie transportowce są nieoznakowane.

Teofilo podał im gorący ryż z pulchnymi bułeczkami pandesał, rodzajem miejscowego pieczywa. Jedli je przed wojną, zbytnio ich nie doceniając, ale teraz wydały im się manną z nieba, zwłaszcza gdy posmarowali je masłem. Podczas gdy jedli – Amato ostrzegł ich, by się nie spieszyli, bo może to doprowadzić do rozstroju żołądka – Teofilo smażył na przenośnej kuchence gazowej małe filety z makreli i ryby mlecznej. Pete i Clay zdawali sobie sprawę, że powinni jeść powoli. Chroniczny głód towarzyszył im od sześciu miesięcy i wiedzieli o nim aż za wiele. Mimo to trudno im było opanować impuls, by od razu napchać sobie usta jedzeniem. Pete prawie w ogóle nie przeżuł pierwszego kawałka ciepłej

ryby i uśmiechając się od ucha do ucha, czuł, jak w cudowny sposób wędruje mu przęłykiem do żołądka.

Amato miał z japońską armią umowę, na mocy której dostarczał im swoje codzienne połowy, więc musiał wraz z synami zabrać się do pracy. Zajęli się wędkami, na które łowili żółtopłetwe tuńczyki, łososie i karmazyny, a Pete i Clay przespali się kilka godzin w kabinie. Obudziwszy się, zjedli jeszcze trochę ryb i ryżu i popili to kilkoma litrami wody. O zmierzchu Tomas wymyśl pokład i odłożył na bok wędki, a Amato otworzył słoik z bimbrem ze sfermentowanego ryżu i nalał wszystkim do filiżanek od kawy. Gorzki, niesmaczny alkohol nie przypominał niczego, co Pete mógłby zamówić w barze hotelu Peabody, ale był mocny i uderzał szybko do głowy.

Po drugiej kolejce Pete i Clay poczuli, że są wstawieni. Byli wolni, po raz pierwszy od Bożego Narodzenia najedli się do syta i sęczyli bimber, który z każdym łykiem bardziej im smakował.

Amato mieszkał w małej rybackiej wiosce San Narciso na zachodnim brzegu wyspy Luzon. Drogą lądową do Manili było stamtąd cztery, pięć albo sześć godzin jazdy, w zależności od tego, czy korzystało się z dróg, czy z górskich ścieżek. Morzem docierało się w trzy godziny i trzeba było opłynąć półwysep Bataan, którego raczej nie chcieli oglądać. Amato stwierdził, że w Manili roi się od Japończyków i powinni trzymać się od niej z daleka. Nie zamierzał tam płynąć.

Kiedy późnym popołudniem ukazało się w polu widzenia San Narciso, Tomas przełączył silnik na jałowy bieg. Nadeszła pora na poważną rozmowę. W porcie na złowione ryby czekali Japończycy, ale byli to kucharze, nie żołnierze, i nie sprawdzali łodzi. Tej nocy Pete i Clay mogli przespać się bezpiecznie w kabinie, lecz jutro muszą ruszać dalej. Gdyby ich zobaczono albo złapano, Amato i jego synowie straciliby z pewnością łódź, a być może i głowy.

Pierwszą opcją była ucieczka z Filipin i tak się składało, że Amato miał przyjaciela, z którym mogliby o tym pomówić.

Oznaczało to jednak długą żeglugę w marnej łodzi i jego zdaniem ryzyko było zbyt wielkie. Słyszał, że od początku wojny zdecydowało się na ten krok kilku Amerykanów. Nikt nie wiedział, czy im się udało. Poza tym trzeba byłoby zapłacić właścicielowi jakąś rekompensatę za łódź, a większość jeńców nie miała grosza przy duszy. Pete oznajmił, że oni też nic nie mają.

Drugą opcją było kontynuowanie walki. Amato znał ludzi, którzy mogli ich zaprowadzić w góry, gdzie działała partyzantka. W tropikalnych dżunglach wyspy Luzon walczyło wielu Amerykanów i Filipińskich Zwiadowców. Atakowali wroga ze wszystkich stron, zakłócając w poważnym stopniu ruchy wojsk i linie zaopatrzenia. Armia cesarska wydała partyzantom wojnę i oferowała wysokie nagrody za pomoc w ich wytropieniu. Ich życie cały czas wisiało na włosku.

– Nie zamierzamy uciekać – oświadczył Pete. – Przybyliśmy tu, żeby walczyć.

– I mamy do wyrównania sporo rachunków – dodał Clay.

Amato z uśmiechem pokiwał głową. Był dumnym Filipińczykiem i japońska inwazja budziła w nim gniew. Gdyby mógł w jakiś sposób zatruć swoje ryby i zabić żołnierzy wroga, z radością by to zrobił. Modlił się, żeby Amerykanie wyzwolili pewnego dnia jego kraj, i niecierpliwie czekał na tę chwilę.

Kiedy zbliżyli się do portu, Pete i Clay zeszli pod pokład i skryli się w kajucie. Tomas i Teofilo wyładowali na pomost ciężkie skrzynie z rybami i czekali na swojego jedyne go klienta. Po jakimś czasie podszedł do nich niski gruby Japończyk w zakrwawionym fartuchu i bez słowa powitania zaczął oglądać ryby. Podał swoją cenę, ale Amato tylko się roześmiał. Jego kontroferta została z miejsca odrzucona i tak to się odbywało, w tę i we w tę, ten sam rytuał każdego popołudnia. Kucharzowi za bardzo się spieszyło, żeby ważyć ryby. Złożył ostatnią propozycję, której Amato tak naprawdę nie mógł odrzucić, i w końcu dobili targu. Pieniądze przeszły

z rąk do rąk; sądząc po minie Filipińczyka, po raz kolejny został nabity w butelkę. Pojawili się dwaj szeregowcy, którzy załadowali ryby na wózek i odjechali. Kucharz został, żeby ustalić z szyprem warunki kolejnej dostawy.

Kiedy wreszcie sobie poszedł, Teofilo zapalił ponownie gaz w kuchence i zaczął szykować kolację. Menu było to samo – gotowany ryż, ciepłe bułeczki pandesal i smażone filety z makreli. Od śniadania minęło dziesięć godzin i ani Pete, ani Clay nie pochorowali się z przejedzenia. Zjedli lekki lunch, wypili po dwie kolejki bimbru i ich wycieńczone, zmaltretowane organizmy jakoś sobie z tym poradziły. Głodując, potrafili myśleć tylko o jedzeniu. Teraz, kiedy się najedli i ustąpiło ssanie w żołądku, ich myśli powędrowały gdzie indziej.

Amato kazał im siedzieć w kajucie bez względu na to, jak bardzo będzie tam parno i gorąco. W nocy port był wyludniony, ale nikomu nie można było ufać. Gdyby ktokolwiek, jakiś majtek albo dzieciak, spostrzegł na kutrze dwóch Amerykanów, informacja mogłaby trafić do Japończyków.

Trzej Filipińczycy spakowali swoje plecaki i życzyli rozbitkom dobrej nocy. Amato przytomnie zabrał bimber ze sobą. Amerykanie mieli już dosyć.

Niedługo potem w kabinie zrobiło się potwornie duszno. Pete uchylił drzwiczki i wyjrzał na zewnątrz. W porcie panowała kompletna ciemność. Widział jedynie zarys stojącej obok łodzi. Słyszał było plusk uderzającej o burty wody.

– Droga wolna – rzucił półgłosem i Clay także wychylił się z kajuty.

Siedzieli na pokładzie bez ruchu. Jeśli się odzywali, to tylko z rzadka i wyłącznie szeptem. W wiosce paliło się kilka świateł, ale tutaj nie było żywego ducha.

W kajucie stała niewielka miednica, a obok niej leżało wyschnięte mydło. Pete wziął je, przełamał równo na pół i wręczył Clayowi jego część. A potem rozebrał się do naga, podpełzł do burty i bezgłośnie zsunął się do wody. Domyślał

się, że jest zanieczyszczona i brudna, jak we wszystkich portach, ale zbytnio się tym nie przejmował. Spienił, na ile się dało, mydło i po królewsku się wykąpał. Kiedy skończył, Clay wrzucił do wody jego koszulę, spodnie i skarpetki i Pete po raz pierwszy od wielu miesięcy je wyprał. Były w strzępach, ale nie miał niczego innego.

W pewnej chwili, nie mieli pojęcia kiedy, zrobiło się trochę chłodniej i lekka bryza przyniosła wytchnienie. Wrócili do kajuty i zamknęli za sobą drzwi. Kusilo ich, by przespać się pod gwiazdami na pokładzie, ale za bardzo bali się, że ktoś ich zobaczy. Przetrwali do tej pory całe zło, które mogło ich spotkać na tej wojnie. Prawdziwą tragedią byłoby, gdyby dali się złapać przez jakiegoś dzieciaka na rowerze.

Obliczali, że jest chyba dwudziesty czerwca, ale nie mieli pewności. W kajucie nie było kalendarza i od miesięcy żadnego nie widzieli na oczy. Głodującego jeńca przestaje po pewnym czasie obchodzić, jaki jest dzień miesiąca. Poddali się dziesiątego kwietnia. Pete szedł w marszu przez sześć dni. Clay – pięć. W O'Donnell spędzili mniej więcej dwa miesiące i wzdrygali się na myśl o tym przedsiönku piekła. Ale udało im się go jakoś przeżyć, podobnie jak przeżyli marsz śmierci, oblężenie Bataan, działania zbrojne, kapitulację, podróż w bydłęczach wagonach, hell ship, głód, choroby i obrazy śmierci, których nigdy nie mieli już zapomnieć. Podziwiali, ile może znieść ludzkie ciało i ile hartu ducha można z siebie wykrzesać w obliczu cierpienia.

Przeżyli! Wojna nadal trwała, ale z pewnością doświadczyli już tego, co było w niej najgorsze. Niewola się skończyła i wkrótce będą walczyć z wrogiem jak równy z równym.

Ponieważ chwilowo nie musieli się troszczyć o jedzenie, rozmawiali o żonach i rodzinach. Obaj desperacko chcieli napisać listy i wysłać je do domu. Zamierzali pomówić o tym rano z Amatem.

Po drewnianym pomoście przejeżdżał sobie na rowerze jakiś dzieciak. Usłyszał głosy dochodzące z kajuty kutra

rybackiego i podjechał bliżej. To byli nieznajomi i mówili w obcym języku. Po angielsku.

W końcu wrócił do domu, gdzie szukała go już matka, i o wszystkim jej opowiedział. Zdenerwowana, natarła mu uszu. Co za dziwny chłopak, stale coś zmyśla i koloryzuje!

Rozdział 30

Amato i jego synowie wrócili o świcie, gdy port budził się do życia. Teofilo był z nich wszystkich najwyższy, ale miał tylko metr siedemdziesiąt wzrostu. Jego ubranie było za małe dla Pete'a, który miał metr osiemdziesiąt osiem, i dla niższego o dwa centymetry Claya. Problemem był wzrost, nie tusza. Amerykanie byli tak wychudzeni, że jeden i drugi mógł się dwa razy owinąć swoim paskiem.

Poprzedniego wieczoru Amato złożył wizytę sąsiadowi, który cieszył się opinią „najwyższego mężczyzny w wiosce”. Chciał kupić od niego dwie pary roboczych spodni khaki, dwie koszule i dwie pary skarpetek. Mężczyzna z początku odmówił, bo te nędzne sztuki odzieży stanowiły praktycznie całą jego garderobę. Odparł, że sprzeda je tylko pod warunkiem, że Amato wyjaśni, o co chodzi. Dowiedziawszy się, kto potrzebuje jego ubrań, najwyższy mężczyzna w wiosce nie chciał przyjąć za nie pieniędzy. Razem z garderobą przekazał im swoje najlepsze życzenia. Żona Amata wyprała i wyprasowała to odzienie. Wyciągając je teraz z plecaka i kładąc na koi w kajucie, Amato miał łzy w oczach, podobnie zresztą jak Pete i Clay.

Amato dodał, że nie zdołał załatwić im butów. Amerykańskie stopy są długie i wąskie, filipińskie – krótkie i szerokie. W wiosce sprzedawali obuwie tylko w jednym

sklepie, a jego właściciel z pewnością nie miał na stanie nic dla cudzoziemców. Amato bardzo ich za to przeproszał.

Pete poprosił go, żeby dał im coś powiedzieć, bo mają ważne sprawy do omówienia. Chcą za wszelką cenę napisać do swoich żon. Od Bożego Narodzenia nie mieli z nimi kontaktu i wiedzą, że one strasznie się martwią. On i Clay uważali, że to całkiem prosta prośba, ale Amato bardzo się zafrasował. Wyjaśnił, że na poczcie nie można polegać i że jest dokładnie kontrolowana przez Japończyków. Na Filipinach tułały się tysiące takich jak oni Amerykanów i każdy chciał wysłać list do domu. Bardzo niewiele listów wysyłano za granicę. Wróg blokował większość korespondencji. Urzędnik pocztowy w San Narciso był również właścicielem sklepu spożywczego i miejscowi podejrzewali, że skumał się z Japończykami. Zanosząc mu listy napisane przez Amerykanów, Amato mógł napytać sobie biedy.

Było to po prostu zbyt ryzykowne. Pete nie dawał za wygraną. Może udałoby się nadać listy z innego miasta? Amato w końcu ustąpił i posłał Tomasa do wioski. Ten wrócił z dwoma arkuszami cienkiego przebitkowego papieru i dwiema kwadratowymi kopertami. Amato znalazł ogryzek ołówka, a Pete siadł przy składanym stoliku w kabinie i napisał list do domu.

Droga Lizo. Poddaliśmy się 10 kwietnia i ostatnie trzy miesiące spędziłem w obozie jenieckim. Niedawno uciekłem i walczę w partyzantce gdzieś na wyspie Luzon. Dużo przeżyłem i przeżyję to, co mnie jeszcze czeka, a kiedy wygramy wojnę, wrócę do domu. Kocham Ciebie, Joela i Stellę i myślę o Was przez cały czas. Przekaż im i Florry wyrazy mojej miłości. Jestem razem z Clayem Wamplerem. Jego żona ma na imię Helen i mieszka przy Glenwood Road 1427 w Lamar, w Kolorado. Skontaktuj się z nią i przekaż tę wiadomość. Kocham Cię, Pete.

Nie podając adresu zwrotnego, zaadresował kopertę, zalepił ją i dał ołówek Clayowi.

Kiedy wypływali z portu, stary diesel pyrkotał i dławił się, jakby ten dzień miał być ich ostatnim. Nie zostawiali za sobą kilwateru i wkrótce znaleźli się na pełnym morzu. Prosto przed nimi, w odległości tysiąca mil, był Wietnam. Po prawej stronie, w odległości siedmiuset mil – Chiny.

Teofilo zaparzył w dzbanku mocną kawę i kiedy się nią delektowali, przygotował śniadanie składające się z ryżu, bułeczek pandesal i kolejnych smażonych filetów z makreli. Pete i Clay jedli bez pośpiechu. Żona Amata upiekła imbirowe ciasteczka i po raz pierwszy od wielu miesięcy poczuli smak prawdziwego cukru. Choć nie wspominali nic o papierosach, Amato wyciągnął nagle paczkę przeschumowanych aż z Manili lucky strike'ów. Tytoń nigdy nie smakował im lepiej.

Po dwóch godzinach trafili na ławicę tuńczyków. Amato i Tomas wciągali ryby na pokład, a Teofilo ogłuszał je młotkiem, po czym sprawiał i czyścił. Pete i Clay obserwowali to zza chmury papierosowego dymu, podziwiając ich sprawność.

W południe Tomas zwrócił dziób łodzi z powrotem w stronę Luzonu. Poszarpane górskie pasma wyspy ani na chwilę nie zniknęły im z oczu. Kiedy się do nich zbliżali, Amato przedstawił swój plan. Kuter zatrzymał się w końcu dwieście metrów od skalistego wybrzeża. Teofilo napompował tratwę, która uratowała im wcześniej życie, i pomógł Amerykanom do niej wsiąść. Amato dał im plecak z jedzeniem i wodą i życzył wszystkiego najlepszego. Pete i Clay zasalutowali Filipińczykom, kolejny raz z całego serca im podziękowali i popłynęli w stronę brzegu. Teofilo obrócił kuter i skierował go z powrotem na pełne morze.

Kiedy tylko Pete i Clay zniknęli z pola widzenia, Amato wyjął z kieszeni dwie koperty, podarł je na drobne kawałki i wrzucił do oceanu. Jego kuter już dwukrotnie został przeszukany przez japońską marynarkę i po prostu nie mógł się tak bardzo narażać.

Pete i Clay służyli w kawalerii i piechocie, więc raczej nie znali się na łodziach. Okazało się, że tratwę nie tak łatwo sterować, i dość szybko wpadli na skały. Pete'owi udało się nie zamoczyć plecaka, kiedy o mało nie utonąwszy, wspiął się na nie razem z Clayem. Dotarli na suchy ląd i przez jakiś czas czekali. Gdzieś z buszu obserwował ich Filipińczyk o imieniu Acevedo. Po chwili zaszedł ich od tyłu, zagwizdał i pomachał na powitanie.

Acevedo robił wrażenie zwykłego dzieciaka w słomianym kapeluszu, ale jego twarde spojrzenie i smukłe ciało świadczyły, że jest zaprawionym w boju partyzantem. Co ważniejsze, był uzbrojony po zęby, w karabin zawieszony na ramieniu i dwa pistolety po bokach. Płynnym angielskim poinformował ich, że będą się teraz wspinać po niebezpiecznych ścieżkach i jeśli wszystko pójdzie dobrze, dotrą do pierwszego obozu przed zmierzchem. Wszędzie kręcili się Japończycy i było ważne, by poruszali się szybko i cicho.

Busz niemal natychmiast zmienił się w gęstą dżunglę ze ścieżkami, które widział tylko Acevedo. Wszystkie prowadziły w górę. Po godzinnej wspinaczce zatrzymali się, żeby odpocząć. Pete i Clay byli wykończeni i z trudem oddychali rozrzedzonym górskim powietrzem. Pete zapytał, czy mogą zapalić, ale Acevedo zacisnął tylko usta i energicznie pokręcił głową. Wiedział, przez co przeszli, i zdawał sobie sprawę, że są osłabieni. Przyrzekł, że zwolni tempo, lecz nie dotrzymał obietnicy. Kiedy ruszyli dalej, szedł jeszcze szybciej. Nagle podniósł rękę, zastygł w bezruchu i przykucnął. Wyglądając zza grani, zobaczyli w oddali drogę, którą jechały japońskie wojskowe ciężarówki. Przez jakiś czas obserwowali je, wstrzymując oddech i nic nie mówiąc, a potem zeszli w wąską dolinę i zatrzymali się przy potoku. Acevedo sprawdził, czy nic im nie grozi, po czym szybko przeszli potok w bród i z powrotem skryli się w dżungli. Ukształtowanie terenu po raz kolejny się zmieniło i znów musieli się wspinać. Kiedy Pete'owi zabrakło tchu i mięśnie łydek odmówiły mu

posłuszeństwa, poprosił o postój. Usiedli w zagajniku i zjedli ciasto ryżowe i kokosowe ciastka.

Acevedo wyjaśnił półgłosem, że jego brat był Filipińskim Zwiadowcą i zginął na półwyspie Bataan. On sam przysiągł, że zanim Japończycy pozbawią go życia, postara się zabić ich jak najwięcej. Do tej pory na pewno uśmiercił jedenastu, ale mogło ich być więcej. Japończycy torturowali i ścinali każdego partyzanta, którego udało im się złapać, więc zasadą było, by nigdy się nie poddawać. Lepiej było strzelić sobie w łeb, niż pozwolić Japończykom zrobić to na ich sposób. Na pytanie Claya, kiedy dostaną broń, Acevedo odparł, że w obozie mają jej mnóstwo. A także dużo wody i jedzenia. Partyzanci nie odżywiali się zbyt dobrze, ale nikt nie głodował.

Posiłek wzmocnił ich i ruszyli dalej. Kiedy słońce zaczęło się zniżać nad górami, weszli na prowadzącą po stromej grani wąską ścieżkę. Stąpanie po luźnych kamieniach nie było łatwe. Każdy niewłaściwy krok mógł sprawić, że ześlizgną się ze stoku. Na odcinku mniej więcej pięćdziesięciu metrów byli zupełnie odsłonięci. W połowie drogi, kiedy szli nisko pochyleni, próbując się nie potknąć, z drugiej strony wąwozu rozległy się strzały. Japońscy snajperzy czekali na nich. Acevedo oberwał w głowę i przewrócił się do tyłu. Jedna z kul przebiła prawy rękaw koszuli Pete'a. W gradzie pocisków skoczył razem z Clayem w dół, i potoczyli się po zboczu, wpadając na pnie drzewek i przedzierając się przez busz. Clay zdołał się złapać jakiegoś pnącza i się zatrzymał, ale Pete koziółkował dalej. W końcu wpadł na drzewo dao i o mało nie stracił przytomności.

Clay dostrzegł jakimś cudem jego koszulę i zjechał do niego na tyłku. Obmacali się i nie stwierdzili na razie żadnych złamań. Mieli podrapane i pokrwawione twarze i ramiona, ale skaleczenia nie były głębokie. Pete uderzył się w głowę i lekko go zamroczyło, ale już po kilku chwilach był gotów iść dalej. Usłyszeli czyjeś głosy. Japończycy ich szukali. Pete i Clay jak najciszej zaczęli schodzić niżej, lecz zdradzały ich spadające kamienie. Na dole schowali się w zaroślach przy strumieniu

i czekali. Po jakimś czasie dobiegł ich głośny plusk. Trzej szeregowcy kroczyli środkiem strumienia z gotową do strzału bronią. Przeszli w odległości trzech metrów od Pete'a i Claya, którzy leżąc w bezruchu, wstrzymywali oddech. Po godzinie, może dwóch w wąwozie zrobiło się ciemno.

Szeptem rozważali szalony pomysł, by wdrapać się z powrotem i poszukać plecaka, a może też ich przewodnika. Wiedzieli, że Acevedo zginął, ale potrzebna im była jego broń. Zdawali sobie sprawę, że Japończycy nie dadzą za wygraną i nie wrócą tak po prostu do swojego obozu. Trofeum w postaci dwóch głów Amerykanów było zbyt cenne. Dlatego Pete i Clay zostali tam, gdzie byli. Porzuceni, nieuzbrojeni i ścigani, nie mając pojęcia, gdzie są i dokąd mają zmierzać, spędzili bezsenną noc, nękani przez insekty, robaki i jaszczurki. Pytony i kobry na szczęście się do nich nie dobrały. W którymś momencie Pete zapytał, który z nich wpadł na ten wspaniały pomysł, by dołączyć do partyzantki. Clay zarechotał i odparł, że coś tak głupiego nigdy nie przyszłoby mu do głowy.

O świcie musieli ruszać dalej. Głód powrócił ze zdwojoną siłą. Napili się wody z potoku i postanowili iść wzdłuż jego koryta. Nie mieli pojęcia, dokąd dojdą. Przez cały czas kryli się w cieniu, nawet na sekundę nie wychodząc na otwarty teren. Dwa razy usłyszeli czyjeś głosy i dość szybko zdali sobie sprawę, że będą musieli przemieszczać się w nocy, a w ciągu dnia odpoczywać. Ale przemieszczać się dokąd?

Potok wpadał do wąskiej rzeki. Schowani w buszu, obserwowali płynącą po niej japońską łódź patrolową. Sześciu żołnierzy z karabinami, dwóch z lornetkami – wszyscy bacznie lustrowali brzegi, wypatrując kogoś. Późnym popołudniem Pete i Clay znaleźli górską ścieżkę i zdecydowali, że ruszą nią po zapadnięciu zmroku. Nie mieli pojęcia, dokąd iść, ale okolica, w której się znajdowali, była zbyt niebezpieczna.

Podążanie ścieżką w ciemności okazało się niemożliwe. Szybko ją zgubili, przez jakiś czas krążyli w kółko, znaleźli ją,

ale odpuścili sobie, gdy zabłądzili ponownie. Ułożyli się pod skałami i próbowali zasnąć.

Kiedy obudzili się wczesnym rankiem, nad dżunglą wisiała gęsta mgła. Zapewniała im osłonę i już wkrótce znaleźli kolejną ledwo widoczną ścieżkę. Wspinali się po niej przez dwie godziny; słońce przebiło się w końcu przez mgłę i szlak zrobił się szerszy. Wyczerpani i głodni, dotarli do skraju stromego kamienistego wąwozu. Trzydzieści metrów niżej płynął po skałach rwący potok. Odpoczęli w cieniu, po czym zerknęli w dół i zaczęli się zastanawiać, czy po prostu nie skoczyć. Śmierć była chyba lepsza od tortur, których doznawali. W tym momencie byłaby wytchnieniem. I tak nie mieli żadnych szans na przeżycie. Skacząc w dół, zginęliby przynajmniej z własnej ręki.

Nagle gdzieś niedaleko rozległy się strzały i w sekundę zapomnieli o samobójstwie. Strzelanina oznaczała, że walczyły ze sobą dwie strony. Gdzieś w pobliżu musieli być partyzanci. Wymiana strzałów trwała tylko minutę, ale zmobilizowała ich do dalszego marszu. Ścieżka skręciła w dół; podążali nią z nisko spuszczonej głowami, przez cały czas wypatrując, czy w buszu nie ma jakiejś luki, przez którą można by ich zobaczyć. Znaleźli kolejny strumień, napili się wody i po godzinnym odpoczynku ruszyli dalej.

Kiedy słońce stanęło w zenicie, natknęli się na polanę. Pośrodku było dogasające małe ognisko. O duży głaz opierał się japoński żołnierz, który wyglądał, jakby uciął sobie drzemkę. Obserwując go przez dłuższy czas z buszu, zauważyli, że ma zakrwawione obie nogi. Najwyraźniej go postrzelono i został porzucony przez swój oddział. Jeszcze żył, bo co jakiś czas poruszał prawą ręką. Pete bezgłośnie zakradł się do niego przez busz, a Clay zaczął się za drzewami. Pete wdrapał się na głaz, wziął do ręki ciężki kamień i skoczył w dół. Kamień trafił Japończyka dokładnie w czubek głowy. Clay dopadł go w jednej chwili. Pete jeszcze raz walnął żołnierza kamieniem, a Clay złapał jego karabin i dźgnął go w brzuch bagnietem. Później zawlekli go w busz i zajrzeli do

jego plecaka. Były tam puszki sardynek, łososia i makreli, a także paczuszka z suszoną wołowiną. Jedli szybko, nie zważając na to, że ręce i koszule mają umazane krwią. Następnie ukryli ciało Japończyka w gęstwinie i czym prędzej się stamtąd oddalili.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy byli uzbrojeni. Clay zabrał Japończykowi karabin Arisaka z bagnetem oraz manierkę, a Pete pas z samopowtarzalnym pistoletem Nambu, trzydziestoma nabojami, piętnastocentymetrowym nożem i dwoma magazynkami. Biegli przez całą godzinę, zanim przystanęli, by zjeść kolejną puszkę sardynek. Gdyby ich teraz złapano, byłiby torturowani i ścięci. To nie mogło się zdarzyć. Uścisnęli sobie zakrwawione dłonie i przysięgli, że nie dadzą się wziąć żywcem. Otoczeni, zastrzelą się z pistoletu. Najpierw Pete, potem Clay.

Po jakimś czasie znów zaczęli się wspinać. Usłyszeli kolejną strzelaninę, chwilami dość intensywną. Potyczka trwała dłużej niż poprzednio. Nie mogąc się zdecydować, czy ruszyć w tamtą stronę, czy raczej się oddalić, czekali w pobliżu ścieżki. Strzały padały coraz rzadziej, potem ustały. Minęła kolejna godzina i słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Za kolejnym zakrętem zobaczyli biegnącego w ich kierunku młodego Filipińczyka. Drobny i chudy, nie miał broni i był zlany potem. Na ich widok zatrzymał się jak wryty.

– Jesteśmy Amerykanami – rzucił Pete.

Chłopak podszedł bliżej i przyjrzał się ich broni.

– Japońskie – mruknął, wskazując bagnet.

Pete uśmiechnął się i pokazał zakrwawione ręce.

– Tak, to japońska krew – odrzekł.

– Amerykańscy żołnierze? – zapytał z uśmiechem chłopak.

Pete i Clay pokiwali głowami.

– Szukamy partyzantów – powiedział Pete. – Możesz nas do nich zaprowadzić?

Chłopak uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Skądżeście się tu, w dupę, wzięli? – zapytał nagle z południowym akcentem.

Pete i Clay wybuchnęli śmiechem. Clay zgiął się wpół i upuścił na ziemię swój nowy karabin. Pete zarżał jak koń i z niedowierzaniem pokręcił głową. Wyobraził sobie młodego Filipińczyka siedzącego przy obozowym ognisku z grupką Amerykanów, którzy świetnie się bawią, ucząc go swojej soczystej odmiany angielszczyzny. W oddziale byli z pewnością chłopcy z Teksasu czy Alabamy.

– Chodźcie ze mną – powiedział Filipińczyk, kiedy przestali się śmiać. – Godzina drogi.

– Dobrze – rzucił Pete. – Ale nie za szybko.

Chłopak był jednym z kilkuset „biegaczy”, których partyzanci, z braku krótkofalówek, używali jako łączników. Biegacze przynosili pisemne wiadomości i rozkazy. Zнали wszystkie ścieżki i rzadko dawali się złapać, ale kiedy do tego dochodziło, Japończycy starali się wyciągnąć od nich torturami wszelkie informacje, a potem ich zabijali.

* * *

W miarę jak się wspinali, robiło się coraz chłodniej. Miło było odpocząć od upału, lecz Pete i Clay z trudem dotrzymywali kroku swojemu nowemu przewodnikowi. Kiedy zbliżyli się do pierwszego punktu kontrolnego, chłopak zagwizdał trzy razy, chwilę zaczekał, usłyszał coś, czego nie usłyszeli oni, i dopiero wtedy ruszył dalej. Znajdowali się teraz na terytorium partyzantów, w najbardziej bezpiecznym dla amerykańskich żołnierzy miejscu na Filipinach. Dwaj ciężko uzbrojeni Filipińczycy, którzy pojawili się nie wiadomo skąd, dali im znak, że mogą iść dalej.

Minęli niewielką osadę, której mieszkańcy nie zwrócili na nich uwagi. Ścieżka prowadziła do pierwszego obozu, gdzie kolejni filipińscy partyzanci piekli coś przy małym ognisku. Było ich około dwudziestu, mieszkali w szałasach i właśnie szykowali się do snu. Na widok dwóch Amerykanów wstali i zaszalutowali.

Po trwającej kolejne pół godziny wspinaczce dotarli do skrytego pod gęstym baldachimem drzew małego obozu. Przywitał ich Amerykanin w spłowiałym mundurze i nowych butach wojskowych: kapitan Darrell Barney, niegdyś z Jedenastej Brygady Piechoty, obecnie z nieoficjalnego Ruchu Oporu Zachodniego Luzonu. Kiedy się przedstawili, Barney wrzasnął w stronę kilku bambusowych szałasów i pojawili się kolejni Amerykanie. Sporo było uśmiechów, uścisków dłoni, poklepywania po plecach i gratulacji i już wkrótce Pete'a i Claya posadzono przy bambusowym stole i podano im ryż, ziemniaki i smażone kotlety wieprzowe – przysmaki zarezerwowane na specjalne okazje.

Wszyscy zasypywali ich pytaniami. Najgłośniejszy był niejaki Alan DuBose ze Slidell w Luizjanie, który z dumą przyznał, że rzeczywiście uczy Filipińczyków amerykańskiego slangu. Przed przybyciem Pete'a i Claya w obozie było sześciu Amerykanów i żaden z nich nie walczył na półwyspie Bataan. Po kapitulacji uciekli w góry z innych rejonów wyspy. Wydawali się o wiele zdrowsi, choć malaria nie oszczędzała nikogo.

Amerykanie słyszeli o marszu śmierci i chcieli się o nim jak najwięcej dowiedzieć. Pete i Clay godzinami opowiadali o tym, co ich spotkało, wybuchając co jakiś czas śmiechem i pławiąc się w poczuciu bezpieczeństwa. Po tym, co przeszli, wydawało im się chwilami czymś nierealnym, że znaleźli się wśród amerykańskich żołnierzy, wciąż walczących z wrogiem.

Pete cieszył się chwilą, ale nie mógł zapomnieć tego, co widział w obozie O'Donnell. Myślał o poznanych tam ludziach, z których wielu miało nie dożyć końca wojny. Nadal głodowali, podczas gdy on ucztował jak król. Myślał o Trupiarni i setkach zwłok, które tam pochował. Myślał o zatopionym frachtowcu i nadal słyszał krzyki zamkniętych w ładowni idących na dno mężczyzn. W jednym momencie zajadał ze smakiem kotlety, żartował i słuchał kojących dźwięków amerykańskiej angielszczyzny, a w następnym, gdy

nawiedzał go kolejny koszmar, nagle milkł i nie mógł nic przełknąć.

Obrazy z przeszłości miały mu już zawsze towarzyszyć.

Późnym wieczorem zaprowadzono ich pod prysznic i dano kostki mydła. Woda była letnia i w jej strugach poczuli się cudownie. Z początku chcieli się ogolić, ale widząc, że wszyscy Amerykanie noszą gęste brody, dali sobie spokój. Wydano im czystą bieliznę, skarpetki oraz niedobre polowe mundury. W buszu nie obowiązywał żaden ich określony wzór. Lekarz, również Amerykanin, zbadał ich i wykrył oczywiste problemy. Miał dużo lekarstw i obiecał, że po kilku tygodniach będą zdolni do walki. Następnie zaprowadzono ich do bambusowej chaty, która miała stać się odtąd ich nowymi koszarami, i przydzielono im prawdziwe prycze z kocami. Rano mieli się zameldować u dowódcy i dostać tyle broni, ile tylko zdołają unieść.

W ciemności rozmawiali szeptem o domu, który wydawał się bliższy niż kiedykolwiek wcześniej w ciągu ostatnich miesięcy.

Rozdział 31

Ruchem Oporu Zachodniego Luzonu dowodził żelazną ręką generał Bernard Granger, brytyjski bohater z pierwszej wojny światowej. Mniej więcej sześćdziesięcioletni, szczupły i żyłasty, był żołnierzem do szpiku kości. Minione dwadzieścia lat spędził na Filipinach i posiadał tu kiedyś dużą plantację kawy, ale Japończycy skonfiskowali ją, zabijając przy tym dwóch jego synów i zmuszając go do ucieczki w góry z żoną i resztą rodziny. Mieszkał teraz z nimi w bunkrze w głębi dżungli i stamtąd dowodził całą partyzantką. Jego ludzie uwielbiali go i nazywali Lordem Grangerem.

Generał siedział przy swoim biurku pod baldachimem z siatki kamuflażowej, kiedy wprowadzono i przedstawiono mu Pete'a i Claya. Odprawił adiutantów, ale jego ochroniarze pozostali w pobliżu. Przywitał Amerykanów z charakterystyczną brytyjską intonacją i zamówił dla wszystkich herbatę. Pete i Clay usiedli w bambusowych fotelach i z podziwem wpatrywali się w generała. Jego lewe oko zasłaniała przekrzywiona na bakier czapka safari. Mówiąc, wyjmował z ust kukurydzianą fajkę, a kiedy słuchał, wciskał ją między zęby i żuł, jakby przetrawiał każde słowo rozmówcy.

– Słyszałem, że przetrwaliście te okropności na Bataan – oznajmił ze śpiwnym akcentem.

Pete i Clay kiwnęli głowami i krótko o tym opowiedzieli. To, co działo się na Bataan, było straszne, ale obóz O'Donnell był gorszy.

– Japończycy wysyłają podobno naszych chłopców do swoich kopalni węgla – mruknął Granger, nalewając herbatę do porcelanowych filiżanek.

Pete opisał ich pływającą trumnę i to, jak uratowali się na morzu.

– W końcu dorwiemy tych cholernych drani – powiedział Granger. – Oczywiście jeżeli oni nie dorwą nas pierwsi. Mam nadzieję, że zdajecie sobie sprawę, że choć wasze szanse na przeżycie nieco się zwiększyły, ostatecznie i tak wszyscy trafimy do piachu.

– Lepiej trafić do piachu z bronią w ręku – odparł Clay.

– Takie podejście mi się podoba. Naszym zadaniem jest utrudniać życie Japończykom i dowieść, że warto powalczyć o te wyspy. Obawiamy się, że alianci będą próbowali ich pokonać, nie zwracając sobie nami głowy. Najwyższe dowództwo uważa, że może ominąć Filipiny i uderzyć bezpośrednio w Japonię. Jest to oczywiście całkiem możliwe. MacArthur obiecał jednak, że tu wróci, i to podtrzymuje nas na duchu. Nasi filipińscy przyjaciele muszą przecież mieć coś, o co będą walczyć. To w końcu ich ziemia. Z mlekiem i cukrem?

Pete i Clay grzecznie odmówili. Prawdę mówiąc, woleliby mocną kawę, ale i tak byli wdzięczni za obfite śniadanie. Granger jeszcze przez chwilę prowadził luźną pogawędkę, a potem przeszył nagle wzrokiem Pete'a.

– Co może mi pan o sobie powiedzieć? – zapytał.

Pete przedstawił mu w kilku słowach przebieg swojej służby. West Point, siedem lat w Dwudziestym Szóstym Pułku Kawalerii, następnie przejście do cywila z przyczyn osobistych. Musiał ratować rodzinną plantację. Żona i dwoje dzieci w Missisipi. Dostał się do niewoli w stopniu porucznika.

Granger bacznie mu się przypatrywał i ani razu nie mrugnął, analizując każde jego słowo.

– Więc umie pan jeździć konno?

- W siodle i na oklep – odrzekł Pete.
- Słyszałem o Dwudziestym Szóstym Pułku Kawalerii. Zakładam, że dobrze pan strzela?
- Tak jest, panie generale.
- Potrzebujemy snajperów. Stale nam ich brakuje.
- Proszę mi tylko dać karabin.
- Stacjonował pan w Fort Stotsenburg?
- Tak, ale krótko. Tylko do grudnia.
- Te cholerne żółtki trzymają tam teraz swoje myśliwce Zero i bombowce nurkujące. Cięższy sprzęt wycofali po zdobyciu wyspy Corregidor. Chciałbym rozwalić im trochę samolotów w bazie, ale nie opracowaliśmy jeszcze dokładnego planu. A pan? – Granger spojrzał na Claya.

Powołany w roku 1940, służył w Trzydziestym Pierwszym Pułku Piechoty, specjalista od moździerzy, w stopniu sierżanta. W Kolorado był kowbojem, więc potrafi jeździć konno i dobrze strzela.

– Znakomicie. Lubię ludzi, którzy mają serce do walki. Przykro mówić, ale jest tu trochę Amerykanów, którzy po prostu się u nas zadekowali i chcą wracać do domu. Niektórym odbiła palma. Inni są zbyt schorowani. Podejrzewam, że są i tacy, którzy zdezerterowali ze swoich oddziałów i błakali się po dżungli. W istocie są dla nas obciążeniem, ale nie możemy ich stąd po prostu przegnać. Pierwszą rzeczą, której się tutaj nauczycie, jest to, żeby nie pytać o innych. Każdy ma do opowiedzenia jakąś historię, a tchórze nigdy nie mówią prawdy.

Generał upił łyk herbaty i wyciągnął mapę.

– Kilka słów o naszych operacjach. Znajdujemy się tutaj, w górach Zambales, w naprawdę trudnym terenie, o czym już zapewne wiecie. Szczyty sięgają dwóch tysięcy metrów. Mamy mniej więcej tysiąc bojowników rozproszonych na obszarze dwustu sześćdziesięciu kilometrów kwadratowych. Gdybyśmy się okopali i ukryli, moglibyśmy przetrwać bardzo długo, ale okopywanie się nie jest w naszym stylu. Jesteśmy partyzantami i walczymy z zaskoczenia, nigdy nie

w czołowym starciu i nigdy nie na otwartym terenie. Uderzamy nagle i szybko się wycofujemy. Japońcy organizują uderzenia odwetowe w niższych partiach gór i jest tam dość niebezpiecznie. Wkrótce się o tym przekonacie. Nasze szeregi rosną, bo dociera do nas coraz więcej Filipińczyków i po trudnych początkach zaczynamy zadawać przeciwnikowi dotkliwe straty.

– Nie obawia się pan, że Japońcy mogą dotrzeć aż tutaj? – zapytał Pete.

– Obawiamy się wszystkiego. Jesteśmy przez cały czas mobilni, gotowi wycofać się w razie niebezpieczeństwa. Nie możemy walczyć z Japończykami z otwartą przyłbicą. Nie mamy prawie artylerii z wyjątkiem kilku moździerzy i lekkich działek, które odebraliśmy przeciwnikowi. Mamy dużo karabinów, pistoletów i karabinów maszynowych, ale ani jednej ciężarówki czy transportera. Walczymy pieszo, naszym atutem jest ukształtowanie terenu. Największych problemów przysparza nam łączność. Jest kilka starych krótkofalówek, lecz nie możemy ich używać, bo Japończycy stale nas podsłuchują. Koordynując nasze posunięcia, polegamy więc na biegaczach. Nie mamy kontaktu z MacArthurem, ale generał wie, że tu jesteśmy i że walczymy. Odpowiadając na wasze pytanie, jesteśmy tu względnie bezpieczni, jednak zawsze istnieje jakieś zagrożenie. Japończycy zbombardowaliby nas z powietrza, gdyby nas zobaczyli. A teraz chodźcie, pokażę wam nasze zabawki.

Granger zerwał się z fotela, złapał laskę i powiedział coś w języku tagalog do ochroniarzy, a ci ruszyli przodem. Opuścili obóz i zaczęli się wspinać wąską ścieżką.

– Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii to wyjątkowa jednostka – odezwał się generał. – Nie sądzę, żeby znał pan Edwina Ramseya?

– Był moim dowódcą – odparł z dumą Pete.

– Coś takiego! Cholernie dobry żołnierz. Nie poddał się i wycofał w góry. Jest mniej więcej sto pięćdziesiąt kilometrów stąd i organizuje partyzantkę na dużą skalę. Plotka głosi, że

ma pod swoim dowództwem pięć tysięcy ludzi i mnóstwo kontaktów w Manili.

Za zakrętem dwaj wartownicy odsunęli na bok zasłonę z pnączy i korzeni. Za nią było wejście do jaskini.

– Dajcie tu pochodnie – zakomenderował Granger i wartownicy oświetlili przed nimi drogę.

Po chwili znaleźli się w rozległej pieczarze; z wiszących nad ich głowami stalaktytów kapały krople wody. W świetle palących się przy ścianach świec mogli ocenić rozmiary arsenału.

– Są tu rzeczy pozostawione przez Jankesów i to, co odebraliśmy Japończykom – oświadczył Granger. – Lubię sobie wyobrazać, że mamy tu kulkę dla każdego z tych cholernych sukinsynów.

Przy ścianach stały palety z amunicją, skrzynie z karabinami, sterty puszek z jedzeniem i wodą, wielkie worki ryżu, beczki z benzyną oraz skrzynie i pudła z niewiadomą zawartością.

– W sąsiedniej pieczarze mamy dwie tony dynamitu i trotylu – oznajmił Granger. – Nie sądzę, żebyście mieli jakieś doświadczenie z materiałami wybuchowymi.

– Nie – odparł Pete, a Clay pokręcił głową.

– Szkoda. Potrzebujemy pilnie specjalisty od produkcji bomb. Ostatni, niestety, sam wysadził się w powietrze. Filipińczyk, cholernie utalentowany. Ale w końcu kogoś znajdziemy. Zobaczyliście już dosyć?

Zanim zdążyli odpowiedzieć, generał obrócił się na pięcie. Zwiedzanie dobiegło końca. Pete'a i Claya zaskoczyła, ale i bardzo pokrzepiła wielkość zapasów. Wyszli w ślad za Grangerem z jaskini i ruszyli w dół. W odsłoniętym miejscu zatrzymali się i przez chwilę podziwiali ciągnące się aż po horyzont górskie pasma.

– Japończycy nie zapuszczają się aż tak daleko – wyjaśnił generał. – Boją się. Poza tym wiedzą, że i tak zejdziemy stąd, żeby ich dopaść. Jakies pytania?

– Kiedy zaczniemy walczyć? – zapytał Clay.

Generał głośno się roześmiał.

– To mi się podoba. Chorzy i zagłodzeni, ale gotowi do akcji. Za jakiś tydzień. Dajcie lekarzom trochę czasu, żeby was podleczyli. Wkrótce będziecie brodzić we krwi.

* * *

Przez następne dwa dni Pete i Clay wysypiali się do południa, objadali się i pili tyle wody, ile tylko mogli. Lekarze faszerowali ich tabletkami i witaminami. Kiedy obaj byli już tym znudzeni, dano im karabiny i pistolety i zaprowadzono na strzelnicę, żeby trochę poćwiczyli. Przydzielono im także filipińskiego weterana o imieniu Camacho, który uczył ich życia w dżungli: jak rozpalić małe ognisko i coś na nim upiec, zawsze w nocy, by nie było widać dymu; jak zbudować z pnączy i krzaków osłonę, żeby przespać się i nie zmoknąć na deszczu; jakie najpotrzebniejsze rzeczy zapakować do plecaka; jak nie zamoczyć amunicji i broni; jak poradzić sobie ze wściekłą kobrą i głodnym pytonem; jak właściwie wykonać setki rzeczy, które mogą im kiedyś ocalić życie.

Trzeciego dnia Pete'a zaproszono do kwatery Lorda Grangera na filiżankę herbaty. Usiedli przy planszy do cribbage'a i przez chwilę gawędzili. Generał wyciągnął w końcu talię kart.

– Grał pan w to kiedyś? – zapytał.

– Jasne. Grywaliśmy w cribbage'a w Fort Riley.

– To świetnie. Rozgrywam partyjkę codziennie o trzeciej, przy herbacie. Pomaga odświeżyć umysł. – Granger potasował i rozdał karty. – Dwa dni temu Japońcy napadli na nasz wysunięty, dobrze uzbrojony posterunek w niższych partiach gór. Mieli przewagę liczebną. Wywiązała się ostra walka i w końcu ulegliśmy. Szukali Bobby'ego Lippmana, twardego majora z Brooklynu, i znaleźli go, razem z dwoma innymi Amerykanami. Dwaj Filipińczycy z oddziału albo zginęli podczas walki, albo zostali na miejscu ścięci. To ulubiona

metoda żółtków: ścinać głowy i zostawiać je przy trupach, żeby wystraszyć innych. Tak czy owak, Lippmana i dwóch innych Amerykanów przewieziono do więzienia w Manili, żeby pogadali sobie z nimi najbardziej bezwzględni japońscy śledczy. Słyszałem, że niektórzy z nich mówią po angielsku lepiej od większości Brytyjczyków. Lippmana czekają więc trudne chwile. Przez parę dni będą go biczować i przypiekać. Mają naprawdę szeroki repertuar i jeśli Lippman coś im wyśpiewa, na pewno to odczujemy. Jeśli nie puści pary z gęby, a nie wątpię, że tak właśnie będzie, przygotowują dla niego małą ceremonię z użyciem jednego z tych długich mieczy, które pan widział. Toczy się wojna, Banning, i jak pan sam już zauważył, jest wiele sposobów, żeby zabić.

– Myślałem, że każdy posterunek jest ubezpieczony przez czujki – powiedział Pete. – Jak Japończykom udało się ich zaskoczyć?

– Nigdy się nie dowiemy. Ich najczęstsza metoda to przekupienie któregoś z miejscowych, Filipińczyka, który potrzebuje pieniędzy albo ryżu i jest gotów przekazać im jakieś informacje. Japończycy zaciskają pętlę i jedzenia jest coraz mniej. W niektórych wioskach rodziny jadają tylko raz dziennie. Ci dranie potrafią kupować ludzi. Mamy w tych górach wiele posterunków. Czasami są obsadzone, czasami nie. Jeśli spędzamy tam noc albo tydzień, miejscowi na ogół o tym wiedzą. Nie tak trudno znaleźć jakiegoś żółtka i mu donieść. Jest pan gotów do walki?

– Jasna sprawa, panie generale.

– Doktor twierdzi, że jest pan w dość dobrym stanie. Do diabła, wszyscy jesteśmy niedożywieni i na coś chorujemy, ale pan i Clay wydajecie się wyjątkowo mizerni. Domyślam się, że nie mieliście łątwo.

– Czujemy się dobrze i zaczynamy się nudzić. Niech pan nas przydzieli do jakiegoś oddziału.

– Wyruszyście razem z majorem DuBose'em, w dziesięcioosobowym oddziale. Będzie przy was stale Camacho, nasz najlepszy zwiadowca. Wyjdziecie stąd

w środku nocy i po trzech, czterech godzinach marszu ocenicie sytuację. To częściowo rekonesans, częściowo akcja zaczepna. Jeżeli Lippman wyśpiewał im coś na torturach, będzie to widać po tym, co Japończycy robią i dokąd zmierzają. Po kilku kolejnych godzinach spotkacie się z innym oddziałem, naszymi chłopcami z innej góry. Pożyczą wam specja od bomb, który połączy kilka kabelków. Celem jest konwój. To powinna być łatwa robota i będzie pan miał okazję ustrzelić kilku Japońców. Życzę dobrej zabawy.

– Nie mogę się doczekać.

– Jeśli wszystko pójdzie dobrze, spec od bomb będzie chciał spędzić z wami trochę czasu i nauczyć was, jak używać trotylu. Słuchajcie go uważnie.

Pete potasował i rozdał karty, a Granger znów nabił fajkę tytoniem.

– Biedny Lippman – podjął po chwili. – Wszyscy mówimy sobie, że nie damy się wziąć żywcem. O wiele lepiej strzelić sobie w łeb, niż pozwolić Japońcom, żeby załatwili nas po swojemu. Ale to nie zawsze bywa takie łatwe. Zdarza się, że ktoś zostaje ranny i nie jest w stanie sam się zabić. Czasami zaskakują go we śnie. I myślę, Banning, że często stajemy się takimi specami od przetrwania, że zaczynamy wierzyć, że przetrwamy wszystko. Dlatego rzucamy broń, podnosimy ręce i dajemy się wziąć do niewoli. Przypuszczam, że już po paru godzinach zaczynamy tego strasznie żałować. Miał pan kiedyś ochotę z tym wszystkim skończyć?

– Wiele razy – odparł Pete. – Pragnienie, głód, widok zabijanych bez przerwy współtowarzyszy doprowadzały nas do szaleństwa. Myślałem czasem, że jeśli tylko uda mi się zasnąć, może lepiej, żebyśmy się już nigdy nie obudzieli. Ale jakoś przetrwaliśmy. I przetrwamy teraz. Mam zamiar wrócić do domu, generale.

– To rozumiem! Ale niech pan się nie da Japońcom wziąć żywcem, dobrze?

– Proszę się o to nie martwić, generale.

Rozdział 32

Wyszli z obozu krótko po północy, dziesięciu partyzantów prowadzonych przez dwóch biegaczy, którzy nawet we śnie potrafili odnaleźć właściwą ścieżkę. Sześciu Filipińczyków i czterech Amerykanów, wszyscy uzbrojeni po zęby, z plecakami, w których było jedzenie i woda w puszkach, koce, plandeki i tyle amunicji, ile tylko zdołali unieść. Na szczęście przez cały czas szli w dół. Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyli się Pete i Clay, było to, że trzeba wpatrywać się w buty piechura, który idzie przed tobą. Rozglądanie się na boki nie miało sensu, bo panowały kompletne ciemności. Niewłaściwy krok mógł oznaczać potknięcie się, upadek i wylądowanie w niewiadomym miejscu.

Przez pierwszą godzinę nikt się nie odzywał. Kiedy zbliżyli się do pierwszej osady, przywitał ich wartownik. W nieznanym Pete'owi dialekcie poinformował Camacha, że wszystko jest w porządku. Nie widzieli wroga od wielu dni. Oddział okrążył chaty i ruszył dalej. Przy drugiej osadzie nie było nikogo na czatach i panowała tam kompletna cisza. Po trzech godzinach, kiedy teren stał się bardziej płaski, zatrzymali się przy wysuniętym posterunku – czterech pustych zbudowanych w buszu szałasach. Odpoczęli pół godziny i zjedli trochę sardynek.

– Wszystko w porządku? – zapytał półgłosem DuBose, podchodząc do Pete’a i Claya.

Zapewnili go, że świetnie się czują, choć prawdę mówiąc, byli już zmęczeni. Inni wyglądali, jakby to była dopiero rozgrzewka. Ruszyli dalej pod górę i po godzinie znów zatrzymali się na odpoczynek. DuBose wiedział, co przeżyli jego dwaj nowi podkomendni, i starał się ich oszczędzać. Oddział zszedł do wąwozu, przebył w bród strumień i dotarł do większej osady. Ukryci w buszu, obserwowali ją przez kilka minut, a potem Camacho odważył się wyjść i znalazł kogoś, kto stał na czatach. Tu również od dawna nie widziano śladu przeciwnika.

– Ci ludzie są raczej pewni – powiedział przeciągle DuBose, przysuwając się do Pete’a. – Każda mała wioska ma swojego wodza, a ten tutaj to porządny człowiek. Dalej zaczyna się jednak ziemia niczyja.

– Gdzie jest droga? – zapytał Pete.

– Niedaleko.

O świcie schowali się w rowie przy mocno rozjeżdżonej polnej drodze. Usłyszeli jakiś ruch po drugiej stronie, a potem zapadła cisza.

– DuBose! – zawołał ktoś.

– Tutaj! – odkrzyknął major.

Z zarośli wyłoniły się nagle czyjeś głowy i na drogę wyszedł Amerykanin, niejaki Carlyle. Dowodził dwunastoma ludźmi, wśród których byli trzej ogorzali Jankesi z kudłatymi brodami. Zabrali z buszu kolejne drewniane skrzynie z trotylem i przez godzinę podkładali materiały wybuchowe i podłączali kable do detonatorów. Kierował nimi Filipińczyk, który wcześniej zastawił już wiele zasadzek. Kiedy ładunki znalazły się w odpowiednich miejscach, ludzie zeszli z drogi i DuBose wyznaczył im pozycje. Pete, świeżo upieczony snajper, skrył się za skałami i miał strzelać do wszystkiego, co się rusza. Clay, z lekkim karabinem maszynowym, zajął pozycję pięćdziesiąt metrów dalej.

Camacho trzymał się blisko Pete'a i kiedy słońce weszło zza horyzontu, zaczął mu szeptem wyjaśniać sytuację. Japończycy przewozili różnymi trasami tony ładunków i zadaniem partyzantki było przerywanie ich linii zaopatrzeniowych. Szpiedzy w porcie dali im cynk, że wyruszył stamtąd konwój czterech albo pięciu ciężarówek. Nie mieli pojęcia, co wiozą, ale wysadzenie ich byłoby czymś fantastycznym. Później się zobaczy.

Pete'a swędział palec trzymany na spuście i żołądek podchodził mu do gardła. Minęło kilka miesięcy, odkąd ostatnio brał udział w akcji, i długie oczekiwanie wykańczało go nerwowo. Wreszcie usłyszał warkot ciężarówek i Camacho dał mu znak, by się przygotował.

Były ich cztery. W pierwszej i ostatniej siedzieli żołnierze mający ochraniać ładunek wieziony w środkowych dwóch. Partyzanci bardzo długo czekali na odpowiedni moment. Pete myślał już, że ładunki nie odpaliły. Ale kiedy wybuchły, ziemia zatrzęsała się tak mocno, że rzuciło go o skały. Pierwsza ciężarówka poleciała w górę i siedzący w niej żołnierze wypadli na zewnątrz. Trzecia i czwarta przewróciły się na bok. Kilkudziesięciu schowanych w buszu partyzantów zaczęło ostrzeliwać Japończyków. Ci, którzy przeżyli eksplozję, czołgali się po ziemi albo słaniali na nogach i większość zginęła, nim którykolwiek zdołał oddać jeden strzał. Kierowca drugiej ciężarówki wypelzł z szoferki przez strzaskaną przednią szybę i został zastrzelony przez Pete'a. Clay, który zajął pozycję za konwojem, miał na linii strzału czwartą ciężarówkę i używając lekkiego japońskiego karabinu maszynowego wzór 99, kosił jednego Japończyka po drugim. Kilku z nich schowało się za ciężarówkami, ale oberwali w plecy od partyzantów przyczajonych po drugiej stronie drogi. Nie mieli gdzie się ukryć. Strzelanina, coraz mniej intensywna, trwała może pięć minut. Jeden z Japończyków zdołał schować się między drugą a trzecią ciężarówką i posłał kilka serii w drzewa, zanim położyli go trupem.

Strzały w końcu ucichły. Partyzanci obserwowali uważnie Japończyków, czekając, czy któryś z nich nie sięgnie po broń. Żaden się nie poruszył. Na drodze powoli opadał bitewny kurz. DuBose i Carlyle podczołgali się do przodu i dali swoim ludziom znak, żeby wyszli na drogę. Każdy z Japończyków, martwy lub konający, zarobił dodatkową kulkę w łeb. Jeńcy byłiby tylko obciążeniem. Partyzanci nie mieli gdzie ich trzymać i czym karmić. W tej wersji wojny żadna ze stron nie brała jeńców, chyba że rany odnieśli amerykańscy oficerowie. Ich zabijano później.

DuBose i Carlyle wydali szybko rozkazy. Dwóch Filipińczyków posłano w dół drogi: mieli wypatrywać, czy nie jadą kolejne ciężarówki. Dwaj pobiegli w przeciwnym kierunku. Martwym Japończykom – było ich trzydziestu siedmiu – zabrano broń i plecaki. Druga ciężarówka z zaopatrzeniem na szczęście okazała się sprawna. Były w niej karabiny, pistolety maszynowe, granaty i – w co trudno było uwierzyć – setki kilogramów trotylu. W trakcie każdej zasadzki zdarza się cud; tutaj było nim to, że żadna z kul nie trafiła w materiały wybuchowe. Pierwsza ciężarówka leżała na boku, całkowicie zniszczona. Jej ładunek stanowiły pudełka z racjami żywnościowymi. DuBose postanowił, że zabierze ich jak najwięcej i razem z bronią wywiezie drugą ciężarówką.

Przestępując przez ciała Japończyków i odsuwając je kopniakami na bok, partyzanci zepchnęli pierwszą ciężarówkę do rowu. Jeden z Filipińczyków usiadł za kierownicą drugiej i udało mu się ją uruchomić. Pete i pięciu innych siedziało na pace – zaledwie kilka centymetrów dzieliło ich od skrzyń z materiałami wybuchowymi. Na zakręcie partyzanci po raz ostatni spojrzeli z satysfakcją na straty, które zadali wrogowi. Trzy płonące ciężarówki, sterty trupów i ani jednego rannego po ich stronie.

Japońskie myśliwce Zero stale patrolowały drogi, przelatując czasem tuż nad drzewami, i było tylko kwestią czasu, kiedy się pojawią. DuBose chciał zjechać z drogi, zanim zostaną zauważeni i któryś z japońskich samolotów ostrzela

ciężarówkę, wysadzając ją razem z nimi wszystkimi w powietrze. Widząc jatkę swoich, piloci z pewnością zapaliliby żądzą zemsty i starali się jak najszybciej ich zaatakować.

Kierowca skręcił na polanę, dodał gazu i zaparkował ciężarówkę wśród drzew. DuBose kazał ludziom przykryć ją szybko pnączami i gałęziami. Kiedy stała się niewidoczna z odległości kilkunastu metrów, partyzanci usiedli w cieniu, wyciągnęli z japońskich plecaków puszki rybne i twarde ryżowy chleb i zaczęli się posilać. Jeden z Japończyków, najwyraźniej mający problem z alkoholem, schował do plecaka cztery puszki sake, dzięki czemu mogli pokrzepić się czymś mocniejszym.

Kiedy ich podkomendni popijali alkohol, DuBose i Carlyle przykucnęli przy ciężarówce. Ich rozmowę przerwał charakterystyczny wizg zbliżających się myśliwców. Dwa z nich zapikowały nisko nad drogą, a potem wzniosły się prawie pionowo, zatoczyły krąg i zniknęły.

Ktoś rzucił pomysł, by wrócić tam, gdzie zostawili wraki ciężarówek. Miejsce okazało się idealne do urządzenia zasadzki, a Japończycy z pewnością wyślą tam grupę poszukiwawczą. Rozprawienie się z nimi okazało się tak łatwe, a liczba zabitych tak imponująca, że ludzi kusilo, by wrócić po więcej. Jednak DuBose się nie zgodził. Ich misja polegała na szybkim ataku i wycofaniu się, a nie na prowadzeniu ofensywy. Poza tym zdobyta broń i żywność były w tej chwili o wiele ważniejsze od kilku kolejnych martwych Japończyków.

Ciężarówka nie mogła przejechać górskimi szlakami i DuBose zdecydował, że ją rozładują i postarają się przetransportować łupy do swojej bazy. Ponieważ jego ludzie z pewnością nie daliby rady zabrać wszystkiego, wysłał kilkunastu Filipińczyków do najbliższych osad, by sprowadzili juczne woły i muły. Za „wypożyczenie” zwierząt mogli zaoferować mnóstwo jedzenia.

DuBose rozkazał pozostałym mężczyznom zabrać się do rozładowywania ciężarówki i uczta dobiegła końca. Po południu pojawiły się pierwsze woły i muły. Było ich trochę za mało, ale w zamian za żywność wielu miejscowych zgodziło się nieść ładunek na własnych plecach. Pierwsi z tragarzy znikali właśnie w buszu, kiedy do partyzantów dotarł biegacz z wiadomością, że kilka kilometrów dalej zauważono duży oddział Japończyków. Nie wahając się ani chwili, DuBose kazał specowi od bomb umieścić zapalniki w nadal wypełnionej materiałami wybuchowymi ciężarówce. On i Carlyle uznali, że wrak zablokuje drogę i dzięki temu będą mieli więcej czasu na ucieczkę. Partyzanci odsłonili ciężarówkę, by Japończycy mogli ją odnaleźć, po czym schowali się w buszu i czekali.

Pierwsi zwiadowcy pojawili się na motocyklach, spostrzegli swoją ciężarówkę i bardzo ich to poruszyło. Wkrótce podjechały trzy ciężarówki i wyskoczyło z nich kilkudziesięciu żołnierzy, wszyscy ostrożni i czujni w obawie przed kolejną zasadzką. Nieatakowani przez nikogo, powoli zbliżyli się do ciężarówki. Kiedy stwierdzili, że partyzanci już uciekli, otoczyli ją i zaczęli z ożywieniem trajkotać. Ich oficer wspiął się na pakę, by dokonać szybkiej inspekcji, i w tym momencie spec od bomb odpalił z odległości pięćdziesięciu metrów detonator. Eksplozja była spektakularna: w powietrze poleciały dziesiątki ciał.

DuBose i jego ludzie skwitowali to krótkim parsknięciem śmiechu i ruszyli w drogę powrotną. Każdy z mężczyzn dźwigał teraz tyle sprzętu i zdobytej broni, ile tylko mógł unieść, i znów się wspinali. Pete i Clay mieli wrażenie, że zaraz padną z wyczerpania, mimo to wlekli się dalej. Maszerowali wcześniej w znacznie trudniejszych warunkach i wiedzieli, że ich osłabione ciała dadzą sobie radę.

Już po zmierzchu dotarli do pierwszego wysuniętego posterunku i wszyscy osunęli się na ziemię tam, gdzie stali. Biegacze przekazali meldunek Lordowi Grangerowi, a ten wysłał więcej ludzi do pomocy przy transporcie łupów.

DuBose ogłosił koniec akcji i kazał rozbić obóz. Kolejni biegacze przybyli z wiadomością, że Japończycy nie wszczęli pościgu.

Partyzanci najedli się do syta i byli nawet w stanie znów wypić trochę sake. Pete i Clay znaleźli miejsce do spania na klepisku szałasu i szeptem rozmawiali o tym, co zdarzyło się tego wspaniałego dnia. Wkrótce jednak zmorzył ich głęboki sen.

W ciągu następnych dwóch dni wspinali się po górach, przystając często, by coś zjeść i odpocząć. Dwa razy zmienili trasę, ostrzeżeni przez biegaczy, że silne japońskie oddziały są blisko i starają się ich namierzyć. Japońscy piloci patrolowali niebo niczym wściekłe osy, pragnąc kogoś ostrzelać, ale nikogo nie dostrzegli. Ludzie kryli się w wąwozach i jaskiniach.

Kiedy w końcu dotarli do bazy, Lord Granger czekał na nich z szerokim uśmiechem i uścisnął każdego. Świetna robota, chłopcy, świetna robota. Wprawdzie mieli pęcherze na stopach i obolałe mięśnie, ale nikomu nic się nie stało.

Przez kilka dni odpoczywali, a potem znów zaczęli się nudzić.

* * *

Pora deszczowa zaczęła się gwałtownie: przez północne Filipiny przeszedł tajfun. W górach lało bez ustanku i wiatr zrywał dachy bambusowych chat. Ludzie pochowali się w jaskiniach i siedzieli tam dwa dni bez przerwy. Szlaki zmieniły się w błoto i wiele z nich było nie do przebycia.

Jednak wojna wciąż się toczyła i Japończycy musieli nadal transportować z miejsca na miejsce żołnierzy i zaopatrzenie. Ich konwoje często grzęzły na dłuższy czas w głębokim błocie. Dzięki temu stawały się łatwym celem dla przemierzających się pieszo partyzantów. Granger nie dawał spocząć swoim oddziałom, które zadawały celne uderzenia i natychmiast

wycofywały się do buszu. Brutalne kroki odwetowe Japończyków wymierzone były głównie w ludność cywilną.

Pete miał teraz własny oddział, liczący dwudziestu ludzi pluton G, w skład którego wchodził Clay i Camacho. Dostał również awans na majora Ruchu Oporu Zachodniego Luzonu. W prawdziwej armii nie uznano by pewnie tego stopnia, ale prawdziwa armia zrezygnowała wraz z MacArthurem do Australii. Lord Granger rządził swoim wojskiem, jak chciał, i awansował tych, których uważał za godnych awansu.

Wycofując się po jednym z udanych ataków na konwój, major Banning i jego ludzie zbliżyli się do małej osady. Już ze szlaku wyczuli dym i wkrótce ich oczom ukazał się straszny widok. Japończycy zaatakowali wioskę i ją podpalili. Między płonącymi chatami biegały z krzykiem dzieci. W środku osady leżało około piętnastu martwych mężczyzn, wszyscy ze związanymi z tyłu rękami. Ciało mieli zakrwawione i okaleczone; metr dalej spoczywały w równym rzędku ich odcięte głowy. Japończycy zastrzelili również kilka kobiet, które leżały tam, gdzie trafiły je kule.

Z buszu wyskoczył nagle kilkunastoletni chłopak i podbiegł do nich, płacząc i krzycząc. Camacho złapał go i odezwał się do niego w miejscowym dialekcie. Chłopak krzyczał dalej i potrząsał gniewnie pięściami w stronę partyzantów.

– On mówi, że to nasza wina, że to przez nas Japończycy zniszczyli wioskę – wyjaśnił Camacho i chciał coś powiedzieć do chłopca, lecz ten nie dał mu dojść do słowa. – Mówi, że Japończycy wpadli tu kilka godzin temu i oskarżyli wieśniaków, że pomagają Amerykanom. Pytali, gdzie ukrywają się partyzanci, a ponieważ ludzie nie mogli udzielić tej informacji, spotkała ich śmierć. Japończycy zabili jego ojca i matkę i zabrali ze sobą jego siostrę i kilka innych młodych kobiet. Zgwałcą je, a potem też zabiją.

Pete i jego ludzie milczeli, zbyt wstrząśnięci, by wykrztusić choć słowo. Słuchali wymiany zdań i gapili się na krwawą jatkę.

– On mówi – ciągnął Camacho – że jego brat odszuka Japończyków i powie im, że tu jesteście. To wszystko wasza wina, wasza wina. To stało się przez Amerykanów.

– Powiedz mu, że walczymy z Japończykami i że my też ich nienawidzimy – poprosił Pete. – Jesteśmy po stronie Filipińczyków.

Camacho zaczął to tłumaczyć, ale chłopak nie chciał go słuchać. Krzycząc, wymachiwał pięścią w stronę Pete'a. W końcu wyrwał się, podbiegł do martwych mężczyzn i wskazał ręką jednego z nich.

– To jego ojciec – powiedział Camacho. – Kazano im patrzeć, jak Japończycy ścinają im głowy, jednemu po drugim, grożąc, że jeśli nie uzyskają od nich informacji, zabiją wszystkich.

Chłopak w końcu zostawił ich i zniknął w buszu. Małe dzieci tuliły się do ciał matek. Chaty wciąż się paliły. Partyzanci chcieli jakoś pomóc, ale sytuacja była zbyt niebezpieczna.

– Wynośmy się stąd – nakazał Pete.

Brnąc przez błoto, szybko opuścili wioskę. W strugach ulewnego deszczu maszerowali aż do zmierzchu, a potem rozbili obóz i spędzili noc pod przeciekającym brezentem. Ulewa nie osłabła ani na chwilę i prawie nie zmrużyli oka.

Pete wciąż miał przed oczami tę upiorną scenę.

Po powrocie do bazy zameldował się u Lorda Grangera i powiadomił go o napaści na wioskę. Generał nie okazał większych emocji, ale widział, że major Banning jest wstrząśnięty. Kazał mu kilka dni odpocząć.

Wieczorem przy ognisku Pete i Clay opowiedzieli to innym Amerykanom. Każdy miał do opowiedzenia podobne historie i zdążyli się na nie uodpornić. Przeciwnik był zdolny do największych okrucieństw i partyzanci przysięgli sobie, że będą walczyli z nim z jeszcze większą zawziętością.

Rozdział 33

Pod nieobecność Pete'a bawełna rosła dalej i w połowie września zaczęły się zbiory. Pogoda była sprzyjająca, ceny na giełdzie w Memphis wysokie, ludzie harowali od świtu do zmierzchu, a Bufordowi udało się zatrzymać na farmie wystarczającą liczbę najemnych robotników. Dla ludzi żyjących w cieniu wojny zbiory były pewną namiastką normalności. Każdy znał jakiegoś żołnierza, który już walczył albo miał dopiero wyruszyć na front. Pete Banning był pierwszą ofiarą wojny z hrabstwa Ford, ale po nim ginęli, przepadali bez wieści i odnosili rany również inni.

* * *

Liza, będąca od czterech miesięcy wdową, zdołała wejść z powrotem w rytm powszedniego życia. Rano, po wyjeździe dzieci do szkoły, piła kawę z Ninewą, która stawała się powoli jej powierniczką i źródłem siły. Razem z Amosem i Jupe'em dbała o ogród, spotykała się codziennie z Bufordem, żeby omówić sprawy plantacji, i raczej unikała wyjazdów do miasta. Znużyły ją niekończące się pytania, jak sobie z tym wszystkim radzi, jak się czuje i jak się czują jej dzieci. Jeśli zauważono ją w Clanton, musiała znosić uściski i łzawe słowa pociechy od ludzi, których prawie nie znała. Ze względu na dzieci zmuszała się do udziału w niedzielnych

nabożeństwach, ale cała trójka coraz gorzej je znosiła. Chcąc uniknąć niekończących się kondolencji, odpuszczali sobie czasami wyjazd do kościoła i zamiast tego szli do Florry, na drugie śniadanie na patio. Za naruszenie trzeciego przykazania nikt ich na szczęście nie potępiał.

W dni powszednie Dexter Bell przyjeżdżał do Lizy prawie każdego ranka. Pili kawę, odprawiali krótki obrzęd i odmawiali modlitwę. Robili to w gabinecie Pete'a, za zamkniętymi drzwiami, i rozmawiali półgłosem. Nineva, jak zawsze, kręciła się gdzieś w pobliżu.

Pete'a nie było prawie od roku i Liza wiedziała już, że nie wróci do domu. Gdyby żył, znalazłby przecież sposób, by wysłać jej jakąś wiadomość. W miarę jak mijały bez żadnych wieści kolejne dni i tygodnie, uwierzyła w to, co nie dawało się ująć w słowa. Nie przyznawała się do tego nikomu, robiąc dobrą minę do złej gry, udając, że wciąż nie traci nadziei. Było to ważne dla Joela i Stelli, Ninevy i Amosa, i w ogóle dla wszystkich, ale kiedy zostawała sama, godzinami płakała w ciemnej sypialni.

Joel miał już szesnaście lat, był w ostatniej klasie liceum i napomykał, że chce się zaciągnąć do wojska. Niebawem kończył siedemnaście lat i po maturze mógł wstąpić do armii, pod warunkiem że uzyska zgodę matki. Liza nie chciała o tym słyszeć i powtarzała, że denerwuje ją takie gadanie. Straciła męża i nie zamierzała stracić syna. Stella obsztorcowała Joela, że opowiada takie bzdury, i w końcu dał sobie spokój. Wkrótce miał pójść na studia.

* * *

Na początku października deszcze przestały padać i niebo się rozjaśniło. W stojącej wodzie wykluły się miliony komarów i malaria zaatakowała partyzantów ze zdwojoną siłą. Właściwie w mniejszym lub większym stopniu był na nią chory każdy; życie z malarią stało się czymś normalnym.

Ludzie nosili ze sobą słoiczki z chininą i opiekowali się bardziej chorymi towarzyszami.

Kiedy drogi stały się przejezdne, pojawiło się na nich więcej japońskich konwojów, lecz partyzanci byli często zbyt słabi, by je zaatakować. Pete trochę utył, ale kiedy gorączka i dreszcze powaliły go na cały tydzień, wciąż brakowało mu dwudziestu kilogramów do normalnej wagi. Opatulony kocem i nie do końca przytomny, uświadomił sobie, że jest czwarty października. Dokładnie przed rokiem wyjechał z domu. Był to z pewnością najbardziej pamiętny rok w jego życiu.

Spał w swojej chacie, gdy jeden z biegaczy zbudził go i kazał się zameldować u Lorda Grangera. Pete i Clay ruszyli na chwiejnych nogach do kwatery generała. Wywiad donosił o dużym konwoju cystern, który opuścił port i skierował się w głąb lądu. Godzinę później pluton G schodził po ciemku z gór. Na postoju spotkali się z plutonem D, dowodzonym przez DuBose'a, i ich siły liczyły teraz łącznie czterdziestu mężczyzn, w większości osłabionych przez malarię, ale podekscytowanych czekającym ich zadaniem. Deszcze i komary nie spowodowały zawieszenia działań wojennych.

Do Grangera dotarły informacje o nowej drodze zaopatrzeniowej, wytyczonej przez techników cesarskiej armii. DuBose odnalazł ją pierwszy i razem z Pete'em i ich ludźmi przeszli kilka kilometrów, szukając odpowiedniego miejsca na zasadzkę. Nie znalazłszy żadnego, zawrócili, gdy nagle pojawiły się nad drzewami cztery myśliwce Zero. Majorowie Banning i DuBose kazali ludziom wycofać się na wzgórze, schować w buszu i czekać. Wkrótce zobaczyli japoński zwiad: dwa plutony piechurów z maczetami, którzy cięli przydrożny busz, szukając partyzantów. Potem rozległ się warkot ciężarówek; musiało być ich sporo. Na pierwszych trzech siedzieli żołnierze z gotową do strzału bronią. Za nimi jechało sześć cystern wypełnionych benzyną i olejem napędowym. Konwój zamykały trzy kolejne ciężarówki z żołnierzami.

Partyzanci planowali obrzucić konwój granatami i doprowadzić do wielkiego wybuchu, lecz wycofali się już zbyt daleko. Choć cel był kuszący, major Banning roztropnie kazał ludziom cofnąć się jeszcze bardziej i dał znak kryjącemu się sto metrów dalej DuBose'owi. Ten zgodził się z jego decyzją i partyzanci wykonali ich rozkazy. Konwój powoli przejechał i wkrótce zniknął im z oczu.

Ludzie wracali do bazy w podłym nastroju.

* * *

Bezchmurne niebo oznaczało nie tylko chmary komarów, ale też całe eskadry samolotów zwiadowczych i myśliwców Zero. Generał Granger obawiał się, że Japończycy odkryli jego kryjówkę i zaciskają wokół niej pierścień. Atak lądowy był mało prawdopodobny, bo przeciwnika nie interesowały długie walki w górach i penetrowanie niedostępnego terenu. Grangera niepokoiła jednak możliwość ataków z powietrza. Kilka celnie zrzuconych bomb mogło spowodować olbrzymie straty. Spotykał się codziennie ze swoimi dowódcami i rozmawiał z nimi o tym, czy nie przenieść bazy w inne miejsce, ale oni uważali, że nie jest to dobry pomysł. Ich kwatery były świetnie zakamuflowane, a zaopatrzenie, broń i amunicja spoczywały bezpiecznie w jaskiniach. Przenosiny bazy wiązałyby się z dużą aktywnością, którą Japończycy mogliby dostrzec z powietrza. W dotychczasowym miejscu partyzanci czuli się jak w domu i uważali, że zdołają się obronić.

Jeden z informatorów przekazał wiadomość, że Japończycy wyznaczyli za głowę Lorda Grangera nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Generał, w typowy dla siebie sposób, uznał to za wyraz szacunku. Nagrody rzędu pięciu tysięcy dolarów były oferowane za ujęcie każdego działającego w ruchu oporu amerykańskiego oficera.

Pewnego popołudnia, po partyjce cribbage'a i filiżance herbaty, Granger wręczył Pete'owi małą, zieloną metalową skrzynkę wielkości cegły, choć o wiele lżejszą. Z boku miała gałkę i przełącznik.

– Nazywa się to bombą Lewesa. To nowa zabawka od naszego pirotechnika z Manili. W środku jest czterdzieści dekagramów wybuchowego plastiku, dziesięć dekagramów termitu, trochę oleju napędowego i detonator. Tylne ścianki jest namagnesowana. Umieszcza się to przy kadłubie samolotu, blisko zbiornika paliwa, przekręca się gałkę, wciska przełącznik i wieje stamtąd, ile sił w nogach, żeby po kilku minutach obejrzeć fajerwerki.

Pete przez chwilę przyglądał się bombie, po czym odłożył ją na stół.

– Wspaniała zabawka – stwierdził.

– Skonstruował ją brytyjski komandos, niejaki Jock Lewes, w Afryce Północnej. Nasi chłopcy likwidowali tam dzięki niej całe eskadry włoskich i niemieckich samolotów. Moim zdaniem, to cholernie dobry pomysł.

– Co w związku z tym?

– To, że Japońcy trzymają w Fort Stotsenburg sto myśliwców Zero, które stale dają nam w kość. Zastanawiam się, czy nie dałoby rady ich wysadzić. Zakładam, że dobrze znasz to miejsce.

– Bardzo dobrze, generale. Stacjonował tam nasz Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii. Spędziłem tam trochę czasu, nim zaczęły się działania wojenne.

– Czy rzecz jest wykonalna, majorze? Japońcy z pewnością czegoś takiego się nie spodziewają. Ale to cholernie niebezpieczne.

– Czy to rozkaz?

– W tej chwili jeszcze nie. Proszę się nad tym zastanowić. Pan i DuBose, czterdziestu ludzi. Czterdziestu kolejnych z bazy działającej nad Fort Stotsenburg. Bomby Lewesa mogą być dostarczone z Manili w umówione miejsce niedaleko fortu. Dojście tam zajmie trzy dni ostrego marszu. Myślę, że

pójdziecie tam przygotowani do akcji i rozejrzycie się. Baza jest pilnie strzeżona, Japońcy patrolują cały teren. Jeśli nic nie da się zrobić, wycofacie się bez zbędnych strat.

– Podoba mi się ten pomysł – przyznał Pete, wpatrując się w bombę Lewesa.

– Mamy mapy, plany bazy i wielu informatorów w najbliższej okolicy. Pan obejmie dowództwo nad całym oddziałem, wszystko będzie zależało od pana. I pewnie pan nie wróci.

– Kiedy wyruszamy?

– Czuje się pan dość silny, po tych wszystkich atakach dreszczy?

– Wszyscy mamy dreszcze, ale wracam do zdrowia.

– Na pewno? To nie jest rozkaz i może pan odmówić. Jak pan wie, nie wysyłam ludzi na samobójcze misje.

– Obiecuję, generale, że wrócimy. Poza tym zaczynam się nudzić.

– Znakomicie, majorze. Znakomicie.

Wyruszyli o zmroku, a pluton D pod dowództwem DuBose'a pół godziny po nich. Maszerowali przez dziesięć godzin i o świcie rozbili obóz powyżej wioski. W ciągu dnia odpoczywali i zauważyli kilka krążących po okolicy japońskich patroli. O zmroku ruszyli dalej. Zamiast gór otaczały ich teraz niższe wzgórza; roślinność nie była już taka bujna. O świcie trzeciego dnia, gdy weszli na szczyt wzniesienia, w odległości półtora kilometra zobaczyli przed sobą na równinie Fort Stotsenburg.

Wysoko z góry Pete mógł ocenić, jak bardzo jest rozległy. Przed wojną stacjonował tu nie tylko Dwudziesty Szósty Pułk Kawalerii, ale również cztery pułki artylerii, dwa amerykańskie i dwa filipińskie, a także Dwunasty Pułk Kwaternistrzowski. Koszary mieściły osiem tysięcy żołnierzy. Przy bramie wjazdowej widać było okazałe wartownie. Między dwoma długimi pasami startowymi wznosiły się dziesiątki budynków, niegdyś użytkowane przez swoich, teraz przejęte przez wroga. Za nimi były wielkie place apelowe, na

których Pete grał kiedyś w polo – nie był to jednak odpowiedni moment, by ulegać nostalgii. Wzdłuż pasów startowych stało w równym szyku więcej myśliwców Zero, niż potrafił zliczyć, a także około dwudziestu dwuosobowych myśliwców, które alianci nazywali Nicks. Fort nie był ogrodzony murem ani drutem kolczastym: na całym jego terenie kręciły się po prostu tysiące wykonujących swoje zadania Japończyków. Oddziały ćwiczyły na placach apelowych, a myśliwce startowały i lądowały.

Biegacze zaprowadzili ich na wysunięty posterunek, gdzie spotkali się z kapitanem Millerem, pucłowatym oficerem z Minnesoty. Jego oddział liczył dziesięciu mężczyzn, wyłącznie Filipińczyków, znających dobrze teren. Miller czekał na kolejny oddział, który miał przybyć już dzień wcześniej. Na posterunku ludzie ślęczeli nad mapami i czekali. O północy, gdy aktywność w forcie się zmniejszyła, Pete, DuBose i Miller zakradli się bliżej i przez całą noc patrolowali okolicę. Wrócili o świcie, wyczerpani, ale z zarysem jakiegoś planu.

Bomb Lewesa nie dostarczono im w terminie i musieli czekać dwa dni na wiadomość z Manili. Czekali również na kolejnych partyzantów, których obiecał im Granger, ale się nie pojawili. Pete obawiał się, że Japończycy złapali ich i wiedzą już o planowanej misji. Łącznie miał pod swoimi rozkazami pięćdziesięciu pięciu ludzi, gotowych do zadania przeciwnikowi sporych strat. Trzeciego dnia zapasy żywności na posterunku prawie się skończyły i ludzie zaczęli się niecierpliwić. Major Banning ostro ich objechał i przywrócił dyscyplinę.

Bomby Lewesa przybyły w końcu na grzbietach trzech mułów prowadzonych przez nastolatków, którzy nie wzbudzali większych podejrzeń. Pete po raz kolejny podziwiał taktyczny geniusz Grangera.

Fort Stotsenburg leżał przy Angeles City, stutysięcznym mieście z wieloma barami i burdelami, często odwiedzanymi przez japońskich oficerów. Operacja zaczęła się o pierwszej

w nocy, kiedy trzech pijani kapitanowie wytoczyli się z nocnego klubu i ruszyli boczną alejką do swojego samochodu, by wrócić nim do fortu. Trzej udający wieśniaków filipińscy partyzanci poderżnęli im gardła i przebrali się w ich mundury. Oddali trzy strzały, co stanowiło umówiony sygnał, i dziesięć minut później podjechali samochodem do bramy Fort Stotsenburg. Wpuszczeni do środka, zaparkowali przed rezydencją komendanta i zniknęli w mroku nocy. Pod samochodem podłożyli trzy bomby Lewesa; ich eksplozje zakłóciły panujący w bazie spokój. Kiedy schowani za salą gimnastyczną partyzanci zaczęli strzelać w powietrze, wartownicy wpadli w panikę.

Ich zadaniem było strzec stojących przy pasach samolotów. Słyszając wybuchy i bezładną strzelaninę, porzucili swoje pozycje i ruszyli w stronę zbiegowiska. W tym momencie ludzie majora Banninga natarli od północy, ludzie DuBose'a od wschodu, ludzie Millera od zachodu. Położyli trupem wszystkich wartowników, którzy się pojawili, i zaczęli szybko podkładać bomby Lewesa, przymocowując je pod podwoziami osiemdziesięciu znieawidzonych myśliwców. W ciemności niewielkie bomby były całkowicie niewidoczne.

Kiedy się wycofywali, Don Bowmore, zabijaka z Filadelfii, dostał nagle kulkę w głowę od wartownika. Stało się to tuż obok Pete'a; ten szybko zabił Japończyka i złapał przyjaciela. Camacho pomógł mu zaciągnąć go sto metrów dalej. Niestety, Bowmore zginął na miejscu i Pete musiał zostawić jego ciało. Kodeks dżungli wykluczał transport zabitych – w działaniach partyzantów najważniejsza była szybkość. Pete wziął karabin Bowmore'a i dał go Camachowi, a sam zabrał jego colta kalibru .45, którego miał używać do końca wojny i wziąć ze sobą do Missisipi.

W ciągu kilku minut partyzanci rozpląnęli się w ciemności. Na terenie fortu włączono reflektory i syreny; wszędzie biegały setki wystraszonych japońskich żołnierzy. Większość zebrała się w pobliżu płonącego samochodu i czekała na rozkazy. Zdezorientowani oficerowie wydawali sprzeczne

komendy, wysyłając ich to tu, to tam. Strzały ucichły. Wartownicy zdołali w końcu przekonać oficerów, że celem ataku musiały być samoloty. Zorganizowano patrole, które miały je przeszukać, lecz w tym momencie było już za późno. Zaczęły się fajerwerki.

Pięć minut po podłożeniu bomb Pete kazał swoim ludziom się zatrzymać. Stali i patrzyli. Eksplozje nie były głośne, ale bardzo kolorowe i wyjątkowo skuteczne. Od wybuchów małych bomb zapalały się zbiorniki z paliwem i stojące w rzędzie myśliwce jeden po drugim stawały w płomieniach. W cudownym blasku ognia widać było cofających się osłupiałych żołnierzy.

Pete podziwiał to wszystko tylko przez chwilę i zaraz nakazał ludziom jak najszybszy odwrót. Wiedział, że Japończycy natychmiast wyślą grupy pościgowe, i nie było czasu na bezmyślne gapienie się. Nie będą bezpieczni, dopóki nie schronią się w buszu.

Straty własne były zaskakująco niskie, ale kluczowe. Trzech partyzantów odniosło lekkie rany, nie miało to jednak wpływu na tempo, w jakim się wycofywali. Poza Bowmore'em zginął od strzału wartownika jeden Filipińczyk. Dwaj inni zostali ranni, wzięci do niewoli i przetransportowani do aresztu, gdzie czekały ich tortury.

Na wysuniętym posterunku partyzanci się policzyli – było ich pięćdziesięciu jeden. Wciąż naszprycowani adrenaliną, gratulowali sobie sukcesu, ale dowiedziawszy się o dwóch wziętych do niewoli, Pete rozumiał, że to oznacza kłopoty. Nigdy nie należało zakładać, że torturowany jeniec nie da się złamać i nic nie powie. Jedni byli w stanie znieść niewiarygodny ból i do samego końca milczeli. Inni cierpieli tak długo, jak mogli, i w końcu zaczęli mówić. Podawane przez nich informacje czasami były fałszywe, czasami prawdziwe.

Tak czy inaczej, na tych dwóch można już było postawić krzyżyk.

Pete kazał ludziom wziąć jak najmniej rzeczy i ruszać w drogę. Pożegnał się z Millerem i jego ludźmi i poprowadził plutony D i G w mrok.

* * *

Pierwszy filipiński jeniec krwawił obficie z rany na piersi. Japończycy obejrzel go i stwierdzili, że niedługo umrze. Przywiązali go do stołu, rozcięli ubranie i przymocowali kable do jego genitaliów. Kiedy puścili przez nie prąd, zaczął krzyczeć i błagać o litość. Drugi Filipińczyk, również przywiązany do stołu, był w sąsiednim pomieszczeniu i słyszał błagania swojego towarzysza.

Pierwszy nie zdradził żadnych informacji. Kiedy stracił przytomność, wyniesiono go na zewnątrz i ścięto mu mieczem głowę. Oficer przyniósł ją do środka i położył na piersi tego drugiego. Przekaz był oczywisty: jeśli nie będziesz mówił, wkrótce zabierzesz swoje sekrety do grobu. Do jego penisa i jąder przymocowano kable i po półgodzinie Filipińczyk zaczął mówić. Wtedy zdjęto mu z piersi uciętą głowę i położono ją w kącie. Kable zostały odłączone od genitaliów i jeniec mógł usiąść i napić się wody. Lekarz przyjrzał się jego strzaskanej kości strzałkowej i nie opatrując jej, wyszedł. Jeniec podał nazwisko generała Bernarda Grangera i fałszywą lokalizację jego bazy w górach. Podał również nazwiska wszystkich amerykańskich oficerów, których znał, i zdradził, że rajdem na fort dowodził major Pete Banning. Nie miał pojęcia, kto skonstruował małe bomby, ale dostarczono je od kogoś z Manili. Z tego, co wiedział, partyzanci nie planowali kolejnych rajdów.

Lekarz wrócił. Oczyszczył ranę, zabandażował ją i dał jeńcowi kilka tabletek na ból, które trochę pomogły. Przesłuchanie trwało przez całą noc. Kiedy Filipińczyk nie znał odpowiedzi na jakieś pytanie, po prostu zmyślał. Im więcej mówił, tym bardziej przyjaźni byli dla niego Japończycy. O świcie dano

mu gorącą kawę i bułkę i poinformowano go, że w uznaniu tego, iż poszedł na współpracę, zostanie potraktowany w specjalny sposób. Kiedy skończył jeść, zawleczono go w kąt placu apelowego, gdzie na szubienicy powieszono już wcześniej za stopy nagie bezgłowe ciało jego towarzysza. Nieopodal dopalały się szkielety siedemdziesięciu czterech myśliwców Zero.

Jeńca przywiązano za ręce do szubienicy i zaczęto okładać bykowcem. Tłum żołnierzy śmiał się i napawał widokiem jego cierpienia. Kiedy zemdłał, zostawiono go, by smażył się na słońcu, i zaczęło się wielkie sprzątanie.

Rozdział 34

Kiedy wieść o ataku na Fort Stotsenburg dotarła do Australii, generał MacArthur wpadł w ekstazę. Natychmiast zadepeszował do prezydenta Roosevelta, jak zwykle sobie przypisując całą zasługę za operację, o której dowiedział się tydzień po jej zakończeniu. „Moi komandosi”, napisał, wcielili w życie „mój szczegółowy plan”, walczyli z niewiarygodną brawurą i odwagą i odnieśli tylko niewielkie straty. Jego, jak twierdził, partyzanci atakowali Japończyków w podobnych rajdach na terenie całej wyspy Luzon i on, MacArthur, prowadził w ten sposób skoordynowaną akcję obliczoną na zasianie chaosu za liniami wroga.

Rajd tak zawstydził i rozwścieczył Japończyków, że kiedy wygłodzeni i wyczerpani ludzie z plutonów D i G dowlekli się cztery dni później do bazy, na niebie roiło się od nowych samolotów. Japończycy zdążyli uzupełnić braki w myśliwcach Zero i wzmogli wysiłki, by odnaleźć Grangera. Ostatecznie im się to nie powiodło, ale fakt, że atakowali w górach wszystko, co się rusza, sprawił, że partyzanci musieli się bardziej kamuflować i zaszyć jeszcze głębiej w dżungli. Ograniczyło to również ich mobilność.

Japończycy posłali więcej pieszych patroli w niższe partie gór i okrutnie pacyfikowali miejscowe osady. Coraz trudniej było o żywność i rosła niechęć do Amerykanów. Nie zamierzając siedzieć beczynn timer, Granger zaczął wysyłać

ludzi, by zasadzali się na japońskie patrole. Drogi i konwoje były zbyt dobrze chronione, żeby stać się łatwym celem ataku, więc partyzanci krążyli po szlakach i czekali w odpowiednich miejscach. Ataki były błyskawiczne i ginęli w nich na ogół wszyscy członkowie patrolów. Japońscy piechurzy nie mogli się równać z doskonale znającymi góry partyzantami, którzy byli też znakomitymi snajperami. Po upływie kilku tygodni Japończycy, których straty rosły, przestali się interesować Grangerem i wycofali się w doliny, gdzie strzegli głównych dróg. Wywiad partyzantów ani razu nie uzyskał informacji, że szykuje się zakrojony na szeroką skalę atak na ich bazy w górach.

Rozrastająca się partyzantka Grangera była w górach całkiem bezpieczna, ale wojna toczyła się gdzie indziej. Wiosną 1943 roku Japonia kontrolowała cały południowy Pacyfik i zagrażała Australii.

* * *

Most spinał brzegi rzeki Zapote przy samym ujściu stromej i niedostępnej doliny. Dalej zbiega po obu stronach wznosiły się tak wysoko, że o ich pokonaniu nie mogło być mowy. Rzeka była wąska, ale głęboka i rwąca i japońscy inżynierowie nie potrafili zbudować pontonów, którymi dałoby się ją przepłynąć. Zbudowali więc most z drzew narra, mocnych i licznie tutaj rosnących. Jego budowa była trudna i pochłonęła życie kilkudziesięciu filipińskich robotników przymusowych.

Kiedy Granger dostał rozkaz zniszczenia mostu, posłał tam Banninga i DuBose'a wraz z dziesięcioma ludźmi, żeby się rozejrzeli. Po dwóch dniach marszu w trudnym terenie partyzanci znaleźli w końcu grań, z której mogli prowadzić bezpieczną obserwację. Most był co najmniej półtora kilometra dalej, głęboko w dolinie. Przez wiele godzin obserwowali go przez lornetki: cały czas przejeżdżały nim

konwoje. Niekiedy pojawiała się samotna ciężarówka z jakimś ładunkiem albo żołnierzami lub auto osobowe wiozące wysokiej rangi oficerów. O znaczeniu mostu świadczyła liczba pilnujących go żołnierzy. Po każdej stronie była wartownia z kilkunastoma strażnikami i karabinem maszynowym na dachu. Niżej, przy podporach mostu po obu brzegach rzeki, stacjonowali, nudząc się, kolejni Japończycy. Nurt był zbyt szybki i gwałtowny, by można było płynąć łodzią.

Po zmroku konwoje przestały jeździć. O ósmej ruch bardzo się zmniejszył. Japończycy wiedzieli, że przeciwnik atakuje najchętniej nocą, więc o tej porze nie przewozili zaopatrzenia. Tylko z rzadka na moście pojawiała się wracająca na zachód, najprawdopodobniej pusta, ciężarówka.

Banning i DuBose zgodnie stwierdzili, że nie da się zniszczyć mostu, podkładając bomby pod jego podpory. Otwarty atak byłby samobójstwem. Poza kilkoma wyrzutniami granatów partyzanci nie mieli żadnej artylerii.

Wrócili do obozu i zdali raport Grangerowi, który nie był nim zaskoczony. Wcześniej już biegacze donieśli mu mniej więcej to samo. Po całodziennym odpoczynku dowódcy spotkali się z generałem pod jego siatką kamuflażową i omówili przy herbacie różne opcje. Było ich, niestety, bardzo niewiele. W dyskusji zrodził się pewien plan: jedyny pomysł dający jakąkolwiek szansę na powodzenie.

Większość japońskich konwojów przewożących broń, żywność, paliwo i inne towary wyruszała z kilku portów na zachodnim brzegu wyspy Luzon i jechała stamtąd przez góry różnymi drogami i mostami, które Japończycy starali się ochraniać. Pierwszym przystankiem dla większości ciężarówek był olbrzymi skład amunicji na przedmieściach miasta Camiling. W niezliczonych magazynach wróg zgromadził tu dość zaopatrzenia, by wygrać wojnę. Zinventaryzowane i bezpieczne, ładunki rozsyłano potem na całą wyspę. Camiling zajmowało naczelne miejsce na liście życzeń partyzantów i Japończycy zdawali sobie z tego sprawę. Nawet Granger wiedział, że skład jest nie do zdobycia.

Ruch ciężarówek w samym Camiling i wokół niego był chaotyczny. Brakowało tam odpowiednich dróg i Japończycy w pośpiechu je budowali. Za wojskiem ciągną zawsze ludzie z marginesu i wokół miasta wyrosły nowe zajazdy dla ciężarówek, bary, kafejki, meliny, burdele i palarnie opium.

Tym, czego potrzebował major Banning, była pusta ciężarówka z brezentową plandeką, a przed zatłoczonymi barami i kafejkami przy głównej drodze do Camiling stało ich mnóstwo, zaparkowanych prawie zderzak w zderzak. Camacho i Renaldo mieli na sobie mundury cesarskiej armii. Ich staranne przebranie obejmowało również okulary w okrągłych drucianych oprawkach, które nosił prawie każdy Japończyk i których nienawidził każdy Amerykanin. Ciężarówka, którą wypatrzyli, była pusta, a zatem zmierzała na wschód, gdzie zostanie ponownie załadowana. Jej zbiornik paliwa był pełny.

Po kilku piwach dwaj kierowcy, obaj w stopniu szeregowych, wyszli z baru i ruszyli w stronę swojego pojazdu. Camacho i Renaldo zderzyli się z nimi i zaczęła się walka na pięści. Przed barami często dochodziło do bójek – żołnierze musieli się gdzieś wyżyć – i mało kto zwrócił na nich uwagę. Walka skończyła się tak samo nagle, jak się zaczęła, kiedy Camacho poderznął gardła obu kierowcom i rzucił ich ciała na tył ciężarówki. Pete, który schował się tam wcześniej, patrzył bez cienia litości, jak obaj się wykrwawiają, a Camacho siadł za kierownicą i ruszył. Na obrzeżach pewnej osady spotkali się z plutonem G i M i załadowali na pakę pięćdziesiąt kilogramów trotylu i siedemdziesiąt litrów benzyny. Partyzanci wyrzucili dwóch martwych Japończyków do wąwozu i sami usiedli na pace. Godzinę później, gdy zaczął się stromy zjazd w dolinę, ciężarówka na chwilę przystanęła i partyzanci wysiedli. Biegacz poprowadził ich w dół, trudnym szlakiem prowadzącym do rzeki.

Kiedy ciężarówka zbliżała się do mostu i wartowni, Camacho i Renaldo zacisnęli mocniej palce na broni i wstrzymali oddech. Po kilku godzinach obserwacji wiedzieli,

że strażnicy raczej nie sprawdzają własnych ciężarówek. Dlaczego mieliby to robić? Przez most przejeżdżały ich codziennie setki. Z tyłu Pete przykucnął, z palcem na spuście karabinu maszynowego. Strażnicy w ogóle się nimi nie zainteresowali i dali znak, żeby jechać dalej.

Camacho zgłosił się do tego zadania na ochotnika, ponieważ nie znał strachu i nie bał się wody. Renaldo twierdził, że jest doskonałym pływakiem. Pete był dowódcą i nigdy nie przyszłoby mu do głowy powierzyć komuś innemu tak niebezpieczną misję.

Ciężarówka zatrzymała się pośrodku mostu. Camacho i Renaldo odrzucili broń, włożyli prowizoryczne kamizelki ratunkowe i pobiegli na tył ciężarówki. Pete, który stał się już specem od materiałów wybuchowych, podłączył detonator i wydał krótką komendę:

– Skaczemy!

Wpadli do zimnej czarnej wody i od razu porwał ich prąd. Osiemset metrów dalej DuBose przycupnął na skale przy zakolu rzeki i czekał. Jego ludzie, powiązani razem liną, stali w wodzie, tworząc ludzką sieć, która miała wyłowić z rzeki ich towarzyszy.

Eksplzja była piękna – potężny wybuch w środku spokojnej księżycowej nocy. Kula ognia objęła ciężarówkę i most na piętnaście metrów w każdą stronę. Spanikowani wartownicy podbiegli tam z obu krańców mostu, ale szybko zdali sobie sprawę, że nie mogą nic zrobić. A potem uświadomili sobie, że most zaraz runie, i uciekli, by ratować własną skórę.

Pete miotał się w wodzie, próbując się zorientować w położeniu. Kamizelka ratunkowa spełniała swoje zadanie i utrzymywała go na powierzchni. Słyszał krzyki i strzały wartowników, ale w rwącym nurcie czuł się dość bezpieczny. Pływanie było wykluczone; starał się tylko nie wpaść w jakiś wir. Prąd kilka razy wciągnął go pod wodę, ale udało mu się zaczerpnąć powietrza. W pewnym momencie obejrzał się do tyłu i zdołał zobaczyć płonącą ciężarówkę. Blisko zakola rzeki

nurt cisnął go nagle na głązy, których wcześniej nie widział, i Pete roztrzaskał o nie lewą nogę. Ból był przeraźliwy, obezwładniający, lecz udało mu się jakoś odepchnąć od skał i popłynąć dalej. Wkrótce usłyszał czyjeś głosy i krzyknął w odpowiedzi. W zakolu rzeki prąd zwolnił i głosy wydawały się rozbrzmiewać bliżej. Ktoś złapał Pete'a i dociągnięto go do brzegu. Camacho już tam był, Renalda jeszcze nie wyłowiono. Czekał na niego, obserwowali płonącą w oddali kulę ognia. Druga eksplozja rozerwała przęsło mostu i szkielet ciężarówki runął do rzeki.

DuBose i Clay splekli ręce w krzeselko, żeby Pete mógł usiąść, i ruszyli w drogę. Ból był trudny do wytrzymania i promieniował od czubków palców aż do uda. Pete'owi kręciło się w głowie i chwilami tracił przytomność. Po krótkim marszu zatrzymali się i DuBose dał mu zastrzyk morfiny. Partyzanci nieraz już robili w dżungli prowizoryczne nosze; teraz też ścięli dwie bambusowe tyczki i podwiązali do nich koce. Tymczasem inni obserwowali rzekę, wypatrując Renalda – ale, niestety, nie udało się go odnaleźć.

Major Banning przez dwa dni zwijał się z bólu, lecz z jego ust nie padło ani słowo skargi. Bardzo pomocna okazała się morfina. Biegacze zawiadomili Grangera i przed ostatnim podejściem czekali już na partyzantów ludzie do pomocy oraz medyk z kolejnymi dawkami leku i prawdziwymi polowymi noszami. Przetransportowano Pete'a do obozu, gdzie został powitany jak bohater. Granger, dumny jak paw, ścisnął swoich ludzi i obiecywał im medale.

Lekarz wstawił Pete'owi nogę w ciasne łupki i poinformował go, że przez kilka miesięcy nie będzie brał udziału w walkach. Miał złamaną co najmniej w dwóch miejscach kość udową, rozszczepioną piszczel i zmiażdżoną rzepkę kolanową. Żeby to wszystko naprawić, potrzebna była skomplikowana operacja, a w tych warunkach nie mogło być o niej mowy. Pete przez dwa tygodnie nie mógł ruszać się ze swojej pryczy i z przyjemnością kazał sobie usługiwać Clayowi.

Szybko dopadła go jednak nuda i kiedy tylko przyjaciel znalazł mu dwie kule, zaczął kuśtykać po obozie. Lekarz upierał się, że nie wolno mu wstawać, lecz Pete był od niego wyższy stopniem i kazał mu iść do diabła. Codziennie rano meldował się pod siatką kamuflażową u generała i stał się dla niego istnym utrapieniem. Nieproszony doradzał mu w sprawie kolejnych akcji i uzbrojenia partyzantów, aż Granger, pragnąc, by się w końcu przymknął, wyciągał na stół planszę cribbage'a. Major Banning już wkrótce prawie codziennie z nim wygrywał i domagał się zapłaty w dolarach. Granger miał do zaoferowania wyłącznie weksle.

Mijały tygodnie; Pete nadal doradzał generałowi, patrząc z żalem, jak partyzanci czyszczą broń, pakują plecaki i wyruszają w kolejne misje. Claya awansowano do stopnia porucznika i powierzono mu dowództwo plutonu G.

W wilgotny mglisty ranek na początku czerwca zameldował się u Grangera biegacz, przynosząc wiadomość, że ludzie z plutonu D DuBose'a zostali napadnięci podczas snu. Filipińskich partyzantów Japończycy od razu zastrzelili. DuBose i dwaj inni Amerykanie wpadli w ich ręce, zanim zdążyli popełnić samobójstwo. Ciężko ich pobito i zabrano w nieznane miejsce.

Pete pokuśtykał z powrotem do swojej chaty, usiadł na pryczy i rozpłakał się.

* * *

Latem 1944 roku wojska amerykańskie znalazły się w odległości zaledwie pięciuset kilometrów od Filipin – wystarczająco blisko, żeby bombardować Japończyków. Startujące z amerykańskich lotniskowców bombowce B-29 niszczyły w dywanowych nalotach japońskie lotniska.

Partyzanci obserwowali niebo z ponurą satysfakcją. Amerykański desant na wyspie był tylko kwestią czasu i MacArthur domagał się coraz więcej danych

wywiadowczych. Japończycy gromadzili swoje wojska i budowali garnizony przy zachodnim wybrzeżu wyspy Luzon. Sytuacja, w jakiej znaleźli się partyzanci, była bardziej niebezpieczna niż kiedykolwiek. Mieli nie tylko kontynuować akcje zaczepne, ale też śledzić ruchy wojsk przeciwnika i szacować jego siły.

* * *

Granger zdobył w końcu jakieś sprawne radio i sporadycznie nawiązywał kontakt z amerykańskim dowództwem. Informacje dostarczane przez Ruch Oporu Zachodniego Luzonu okazały się kluczowe w przygotowywaniu inwazji. Granger musiał podzielić swoich ludzi na jeszcze mniejsze jednostki i wysyłać ich coraz dalej.

Pluton G został zredukowany do majora Banninga, Claya, Camacha, trzech innych Filipińczyków i trzech biegaczy. Strzaskana noga Pete'a była w miarę sprawna, choć każdy krok sprawiał mu ból. W obozie kuśtykał o lasce, ale na szlaku zaciskał zęby i prowadził swoich ludzi, podpierając się kijem i biorąc morfinę. Zabierali ze sobą jeszcze mniej sprzętu, przemieszczali się jeszcze szybciej i wysyłali biegaczy do Grangera, żeby był na bieżąco. Patrole trwały po kilka dni i często brakowało im jedzenia i amunicji.

Wyspa Luzon została obsadzona nowymi dywizjami japońskiej piechoty, które były wszędzie. Partyzanci odpuścili sobie zasadzki, bo na każdy odgłos strzałów pojawiały się przeważające siły przeciwnika.

Dwudziestego października 1944 roku amerykańska Szósta Armia wylądowała na wyspie Leyte, na wschód od Luzonu. Wspierani z morza i z powietrza Amerykanie i Australijczycy pokonali Japończyków i ruszyli dalej na zachód. Dziewiątego stycznia 1945 roku Szósta Armia wylądowała na Luzonie, okrążyła Japończyków i parła szybko do przodu. Granger po raz kolejny zmienił taktykę i powiększył stan osobowy

oddziałów. Znow zaczęli atakować konwoje i urządzać zasadzki na wycofujących się Japończyków.

Szesnastego stycznia, po udanym ataku na mały skład amunicji, dowodzony przez Pete'a pluton G trafił na cały japoński batalion. W ciągu chwili zostali wzięci w trzy ognie, właściwie bez możliwości ucieczki. Japończycy byli tak samo zmęczeni jak oni, ale mieli przewagę liczebną i lepsze uzbrojenie. Pete kazał swoim ludziom skryć się za kilkoma głazami i stamtąd walczyli o życie. Kule trafiły dwóch Filipińczyków, a później znaleźli się pod ostrzałem z moździerzy. Ręczny granat wybuchł obok Camacha, na miejscu go zabijając. Pocisk z moździerza wylądował kilka metrów za Pete'em i odłamek trafił go w prawą – zdrową – nogę. Clay zarzucił go sobie na ramiona i dał nura w busz. Inni osłaniali ich jeszcze przez chwilę, po czym także się wycofali. Była tylko jedna ścieżka i nikt nie wiedział, dokąd prowadzi. Japończycy byli chyba zbyt wyczerpani, by ich ścigać, i strzały umilkły.

Pete mocno krwawił i Clay był wkrótce cały umazany krwią, ale się nie zatrzymywał. Dotarli do strumienia, przeszli ostrożnie na drugi brzeg i w końcu położyli się w gęstwinie. Clay zdjął koszulę, podarł ją na kawałki i obwiązał Pete'owi rany, najmocniej jak to było możliwe. Pałac papierosy, policzyli straty. Zginęło czterech ludzi, w tym Camacho. Pete uznał, że będzie go opłakiwać później. Dotknął kolby swojego colta kalibru .45 i przypomniał Clayowi, że nie mogą dać się wziąć do niewoli. Przez całe popołudnie Clay i ocalali Filipińczycy na zmianę podpierali Pete'a, bo uparł się, że będzie szedł o własnych siłach. Kiedy zapadł zmrok, przespali się przy osadzie, której nigdy wcześniej nie widzieli. Miejscowy chłopak wskazał najpierw w jednym, potem w drugim kierunku. Do bazy Grangera było daleko, ale zdaniem chłopaka Amerykanie znajdowali się całkiem blisko. Prawdziwi żołnierze, nie partyzanci.

O świcie ruszyli dalej i wkrótce dotarli do drogi. Kryjąc się w buszu, czekali parę godzin i w końcu usłyszeli ciężarówkę.

I zaraz potem je zobaczyli – przepiękne ciężarówki wypełnione amerykańskimi żołnierzami. Kiedy Pete zobaczył powiewający na antenie pierwszego jeepa amerykański sztandar, zachciało mu się płakać. Bez niczyjej pomocy wykuśtykał w swoim podartym, zakrwawionym mundurze na środek drogi i poczekał, aż jeep się zatrzyma. Pułkownik, który z niego wysiadł, podszedł bliżej. Pete zasalutował.

– Melduję się posłusznie, porucznik Pete Banning z Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii Armii Stanów Zjednoczonych – powiedział. – Absolwent West Point z tysiąc dziewięćset dwudziestego piątego roku.

Pułkownik zmierzył go uważnym wzrokiem. Przyjrzał się jego obszarpanym podkomendnym. Byli nieogoleni, zagłodzeni, wynędzniali, niektórzy ranni, uzbrojeni w najrozmaitszą broń palną, w większości japońskiej produkcji.

Nie oddając salutu, dał krok do przodu i złapał Pete'a w niedźwiedzi uścisk.

* * *

Niedobitki plutonu G przewieziono do portu Dasol, gdzie wciąż schodziła na brzeg Szósta Armia. Nowi żołnierze zbiegali na plażę z dziesiątków statków desantowych, podczas gdy kanonierki patrolowały linię brzegu. W porcie roiło się od personelu wojskowego. Sprawiało to wrażenie chaosu, ale takiego, od którego rośnie serce.

Partyzantów skierowano do namiotu pierwszej pomocy, gdzie najpierw ich nakarmiono, a potem dostali mydło i maszynki do golenia i posłano ich pod gorący prysznic. Następnie zbadali ich lekarze, którzy przywykli do opatrywania młodych zdrowych mężczyzn, a nie wyniszczonych chorobami partyzantów z dżungli. U Pete'a rozpoznali malarię, dyzenterię amebową i skrajne niedożywienie. Ważył dokładnie sześćdziesiąt dwa kilogramy,

ale chociaż wychudzony, przez te dwa i pół roku w dżungli i tak przybrał na wadze. Sądził, że opuszczając obóz O'Donnell, ważył o dziesięć kilogramów mniej. Razem z trzema innymi rannymi został zbadany przez chirurgów w przylegającym do namiotu polowym szpitalu. Uznano, że trzeba jak najszybciej usunąć mu szrapnel z nogi, i potraktowano ten zabieg priorytetowo. Szpital wypełniał się rannymi z frontu.

Clayowi i innym wydano nowe, świeżo wyprasowane polowe mundury. Jego obwód w biodrach wynosił teraz siedemdziesiąt jeden centymetrów, o piętnaście mniej niż w obozie dla rekrutów. Zaprowadzono ich do namiotu z pryzami, kazano odpocząć i dano przepustkę do kafeterii, w której przez kilka godzin jedli bez opamiętania.

Nazajutrz Clay odwiedził w szpitalu swojego dowódcę i z ulgą dowiedział się, że zabieg poszedł dobrze. Lekarze mogli opatrzyć rany, ale nie mieli odpowiednich narzędzi, by nastawić Pete'owi złamane kości. Można będzie się tym zająć dopiero w Stanach. Pete i Clay martwili się o swoich towarzyszy z bazy w górach i odmówili modlitwę za Camacha, Renalda, DuBose'a i innych, którzy polegli. Myśląc o tych, którzy nadal cierpieli w O'Donnell i innych obozach, modlili się, by jak najszybciej ich wyzwolono. Zdołali także pośmiać się z samych siebie i swoich niesamowitych przygód w dżungli.

Następnego dnia Clay pojawił się z wiadomością, że dano mu do wyboru dalszą walkę w szeregach Szóstej Armii albo powrót do bazy w Stanach. Pete uważał, że powinien wrócić do domu, i Clay w zasadzie się z nim zgadzał. Dostyc się już nawojowali.

Trzy dni później Pete pożegnał się ze swoimi ludźmi; większości z nich już nigdy nie miał zobaczyć. Uściskali się z Clayem i przyrzekli sobie, że będą w kontakcie. Pete razem z dziesięcioma innymi ciężko rannymi żołnierzami został przeniesiony na ponton medyczny i przetransportowany na pokład dużego statku szpitalnego. Przez dwa dni czekali, aż

statek wypełni się rannymi, po czym wypłynęli w drogę powrotną do domu. Na statku służyły śliczne pielęgniarki, które karmiły Pete'a cztery razy dziennie i traktowały jak bohatera. Patrząc na ich zgrabne nogi i tyłeczki i czując zapach ich perfum, zatęsknił za uściskiem Lizy.

Cztery tygodnie później statek wpłynął do zatoki San Francisco. Pete przypomniał sobie, kiedy ostatnio widział Golden Gate Bridge. Było to w listopadzie 1941 roku, zaledwie kilka dni przed Pearl Harbor.

Przewieziono go do Wojskowego Szpitala Lettermana w forcie Presidio. Jak każdy, kto tam trafił, chciał przede wszystkim skorzystać z telefonu.

Rozdział 35

Wiadomość, że Pete Banning żyje, była jeszcze bardziej szokująca niż ta, że zginął. Nineva dowiedziała się o tym pierwsza, bo była akurat w kuchni, gdy zadzwonił telefon. Podniosła słuchawkę bardzo niechętnie, ponieważ zawsze uważała, że to zabawka dla białych ludzi.

– Rezydencja Banningów – wycedziła w końcu i nagle przemówił do niej duch, duch pana Banninga.

Kiedy nie chciała uwierzyć, że to on, podniósł głos o jedną lub dwie oktawy i kazał poprosić do telefonu jego żonę, i to szybko.

Liza stała wtedy przy stodole, trzymając za uzdę konia, a Amos naprawiał strzemię. Usłyszawszy dochodzące z werandy krzyki, oboje wzdrygnęli się i pobiegli zobaczyć, co się dzieje z Ninevą.

– To pan Pete! – krzyczała, podskakując w miejscu, jakby dostała ataku szału. – To pan Pete! On żyje! On żyje!

Liza była przekonana, że Nineva zwariowała, ale i tak podbiegła do telefonu. Słyszając głos męża, o mało nie zemdląca – w ostatniej chwili udało jej się osunąć na krzesło. Nie bez pewnego trudu Pete zdołał przekonać ją, że naprawdę żyje i jest na rekonwalescencji w szpitalu w San Francisco. Odniósł kilka ran, ale ma wszystkie kończyny i wkrótce wyzdrowieje. Chciał, by jak najszybciej do niego przyjechała. Liza z początku nie była w stanie wykrztusić z słowa i starała się

nie wybuchnąć płaczem. Kiedy odzyskała zmysły, uświadomiła sobie, że ich rozmowa nie jest całkiem prywatna. Na ich wspólnej wiejskiej linii ktoś zawsze podsłuchiwał. Uzgodnili, że Liza zabierze Florry, podjedzie do miasta i zadzwoni do Pete'a z prywatnej linii. Wysłała Amosa po Florry, a sama szybko się przebrała.

Agnes Murphy mieszkała półtora kilometra dalej i wiadomo było, że podsłuchuje wszystkich. Sąsiedzi podejrzewali, że nie ma po prostu nic lepszego do roboty, więc siedzi przy telefonie i podnosi słuchawkę przy każdym dzwonku. I rzeczywiście, z niedowierzaniem wysłuchiwała rozmowy Lizy z Pete'em i natychmiast zaczęła obdzwaniać znajomych w mieście.

Florry przybyła zdyszana do domu Banningów i obie kobiety wskoczyły do pontiaca. Liza nie znosiła prowadzić i radziła sobie na drodze jeszcze gorzej niż Florry, ale w tym momencie nie miało to znaczenia. Jadąc wężykiem po podejździe i strzelając żwirem spod opon, popędziła do miasta. Obie płakały i paplały jednocześnie.

– Powiedział, że jest ranny, ale jakoś się trzyma. Że wzięli go do niewoli, ale uciekł – mówiła Liza. – I że przez trzy ostatnie lata walczył w partyzantce.

– Wszechmogący dobry Boże! – powtarzała Florry. – Co to, u licha, jest partyzantka?

– Nie mam pojęcia. Nie mam pojęcia. Nie mogę w to uwierzyć.

– Wszechmogący dobry Boże!

Zatrzymały się z piskiem opon przy krawężniku i wbiegły do domu Shirley Armstrong, najbliższej przyjaciółki Lizy. Shirley krzątała się akurat w kuchni. Kiedy już wszystkie się wypłakały i wyściskały, Liza podniosła słuchawkę prywatnego telefonu Shirley i zadzwoniła do szpitala w San Francisco. Czekając, aż poproszą Pete'a, ocierała z oczu łzy i próbowała się opanować. Florry za to w ogóle się nie krępowała i siedząc na kanapie razem z Shirley, ryczała na całe gardło.

Liza rozmawiała z Pete'em przez dziesięć minut, po czym oddała słuchawkę Florry. Wyszła od Shirley, pojechała do szkoły Stelli, poprosiła ją na korytarz i przekazała to, co nikomu nie mieściło się w głowie. Kiedy udało jej się zwolnić córkę z pozostałych lekcji, nauczyciele i dyrektor zgromadzili się dokoła, by po raz kolejny wyściskać je i pogratulować.

Florry tymczasem nie odchodziła od telefonu. Zadzwoiła do rektoratu Uniwersytetu Vanderbilta, domagając się, by natychmiast odnaleziono Joela. Zadzwoiła do Dextera Bella w kościele metodystów. Zadzwoiła do Nixa Gridleya w biurze szeryfa. W związku ze swoją funkcją Nix pełnił w Clanton funkcję nieoficjalnego centrum informacyjnego.

Godzinę po otrzymaniu wiadomości od Pete'a w mieście rozdzwoniły się wszystkie telefony.

Liza i Florry wróciły do domu i starały się coś zaplanować. Był koniec lutego i na polach nic się nie działo. Na podwórku zebrali się czarni robotnicy. Chcieli wiedzieć, czy to, o czym niektórzy przebąkiwali, jest prawdą. Liza stanęła na tylnej werandzie i wszystko potwierdziła. Dexter i Jackie Bellowie przybyli jako pierwsi, by być z rodziną w takiej chwili, a wkrótce potem pod dom Banningów zaczęły podjeżdżać kolejne samochody.

Dwa dni później Florry podwiozła Lizę na dworzec, gdzie czekał już na nią komitet pożegnalny. Liza podziękowała i wyściskała wszystkich, po czym wsiadła do pociągu i wyruszyła w trzydniową podróż do San Francisco.

* * *

Pierwsza operacja, podczas której chirurdzy połamali i nastawili na nowo większość kości w lewej nodze Pete'a, trwała osiem godzin. Nogę umieszczono następnie w sięgającym od biodra aż po kostkę grubym gipsie, z którego wystawały pręty i śruby, i zawieszono ją w bolesnej pozycji na wyciągu, wspomaganym przez cały system pasów, bloczków

i łańcuchów. Równie bolesne były obrażenia na obandażowanej prawej nodze. Pielęgniarki nafaszerowały Pete'a środkami przeciwbólowymi i przez dwa dni po operacji prawie się nie budził.

I było to dla niego błogosławieństwem. W ciągu spędzonego na statku szpitalnym miesiąca miał koszmary i prawie nie spał. Straszliwe wspomnienia z minionych trzech lat prześladowały go we dnie i w nocy. Psychiatra, który spędził z nim trochę czasu, skłonił go do mówienia, ale przeżywanie na nowo całej udręki tylko pogorszyło sytuację. A leki mąciły mu w głowie. W jednym momencie wpadał w euforię i głośno się śmiał, w następnym pogrążał się w skrajnej depresji. W dzień często drzemał, a w nocy budził się z krzykiem.

Dowiedziawszy się o przyjeździe żony, pielęgniarki w szpitalu zmniejszyły nieco dawki leków. Pete Banning musiał być w miarę przytomny.

Liza weszła w ślad za pielęgniarką na oddział i zobaczyła dwa długie rzędy łóżek oddzielonych cienkimi zasłonami. Idąc, nie mogła się powstrzymać, by nie zerkać na pacjentów, w większości młodych chłopców, którzy całkiem niedawno skończyli szkołę średnią. Kiedy pielęgniarka przystanęła, Liza wzięła głęboki oddech i odsunęła zasłonę. Uważając, by nie dotknąć łańcuchów, bloczków i rannych nóg Pete'a, przywarła do jego piersi i znalazła się w jego mocnych objęciach, których już nigdy nie spodziewała się poczuć. On zaś marzył o tej chwili przez długie lata.

Była jak zwykle prześliczna. Elegancko ubrana i skropiona perfumami, których zapachu nigdy nie zapomniał, ucałowała go, a potem szeptała do siebie, płakali i śmiali się. Czas stanął w miejscu. Nie zważając na leżących obok pacjentów, gładził ją po pupie, a ona wcale się tym nie przejmowała. Przytuliła się do jego piersi i cały świat wrócił na właściwe miejsce.

Starając się mówić jak najciszej, bardzo długo ze sobą rozmawiali. O Joelu, Stelli, Florry, o plantacji, ich przyjacielach, o wszystkim, co działo się w domu. Mówiła

głównie ona, bo Pete nie miał ochoty opowiadać o tym, przez co przeszedł. Kiedy zaczął się obchód, lekarze wyjaśnili jej pokrótce, w jakim stanie jest pacjent i czego można oczekiwać. Przewidywali kilka kolejnych zabiegów i długą rekonwalescencję, ale z czasem powinien całkowicie wrócić do zdrowia.

Salowa przyniosła jej wygodny fotel oraz poduszkę i koc i Liza rozgościła się na oddziale. Wzięła ze sobą książki i czasopisma i czytała je na głos, a poza tym mówiła i mówiła. Odeszła od boku Pete'a dopiero po zmierzchu, żeby wrócić do hotelu.

Już wkrótce знаła imiona innych pacjentów i bezwstydnie z nimi flirtowała. Kiedy przychodziła, wyraźnie się ożywiali, uradowani, że mają u siebie taką piękną, pełną wigoru kobietę i że poświęca im ona tyle uwagi. Praktycznie zawojowała cały oddział. Pisała listy do ich sympatii, dzwoniła do ich matek i zawsze, bez względu na to, jak bardzo byli poharatani, przekazywała pogodne, optymistyczne wiadomości. Przynosiła na oddział czekoladki i słodycze, kiedy tylko zdołała je gdzieś kupić.

Pete należał do tych, którym się poszczęściło. Nie był sparaliżowany ani oszpecony i nie miał amputowanych kończyn. Niektórzy z chłopców byli naprawdę w żalonym stanie i tym Liza poświęcała najwięcej troski. Pete z radością dzielił się nią z innymi, zachwycony tym, że żona potrafiła podnieść na duchu cały szpitalny oddział.

Siedziała u niego dwa tygodnie i wyjechała tylko dlatego, że Stella została w domu z Florry i Ninevą. Po jej wyjeździe na oddziale znów zapanował smętny nastrój. Pacjenci codziennie pytali Pete'a, kiedy wróci tu jego żona.

Wróciła w połowie marca i przywiozła ze sobą dzieci. Joel i Stella mieli ferie wiosenne i nie mogli się doczekać, by zobaczyć ojca. Przez trzy dni rzadko odchodzili od jego łóżka i życie na oddziale generalnie stanęło na głowie. Kiedy wyjechali, Pete spał dwa dni bez przerwy, faszzerowany lekami.

Czwartego maja przewieziono go ambulansiem na dworzec i załadowano do przemierzającego cały kraj wojskowego pociągu szpitalnego. Zatrzymywali się po drodze wiele razy, by przekazać rannych do szpitali położonych bliżej ich domów. Dziesiątego maja pociąg przybył do Jackson w stanie Missisipi, gdzie Liza, Stella i Florry już czekały i w ślad za ambulansiem ruszyły do miejscowego szpitala. Pete spędził w nim na rekonwalescencji następane trzy miesiące.

Część trzecia

ZDRADA

Rozdział 36

Dwa tygodnie po egzekucji Pete'a Banninga w Sądzie kanclerskim hrabstwa Ford uwierzytelniono jego testament. John Wilbanks przygotował go zaraz po procesie. Był dość prosty: cały majątek Pete'a miał przypaść Lizie i zostać oddany w zarząd powierniczy, z Wilbanksem jako powiernikiem. Najbardziej wartościowe składniki majątku Pete'a, to znaczy ziemia wraz z domem, zostały już wcześniej przekazane w równych częściach Joelowi i Stelli. Pete zastrzegł w testamencie, że Liza będzie miała prawo mieszkać do końca życia w rodzinnym domu, pod warunkiem że nie wyjdzie ponownie za mąż i że wypuszczą ją kiedyś z Whitfield. John Wilbanks ostrzegł go, że trudno będzie wyegzekwować ten wymóg, gdyby dzieci z jakiegoś powodu nie chciały pozwolić tam mieszkać matce. Testament nastroczał i inne problemy, wszystkie starannie wyłuszczone przez adwokata i wszystkie uparcie zignorowane przez klienta.

W chwili śmierci do Pete'a należało wyposażenie farmy, pojazdy oraz rachunki bankowe, z których nazwisko Lizy zostało wykreślone po tym, jak trafiła do szpitala psychiatrycznego. Wcześniej rachunki były wspólne, ale Pete nie chciał, by miała dostęp do pieniędzy. Na jego koncie osobistym było 1800 dolarów. Na koncie farmy 5300. Miał również 7100 dolarów na koncie oszczędnościowym. Tydzień przed egzekucją przelał 2200 dolarów na konto Florry, na

wydatki związane z edukacją Joela i Stelli. Przekazał jej również mały metalowy sejf, w którym było 6000 dolarów w banknotach i złotych monetach – pieniądze, których nikt nie zdołałby wytropić. Nie miał żadnych długów ani kredytów, nie licząc tych związanych z bieżącym prowadzeniem farmy.

Pete poinstruował Johna Wilbanka, żeby jak najszybciej zatwierdził testament i złożył zeznania podatkowe. Na swoją egzekutorkę wyznaczył Florry i w pisemnym oświadczeniu, oprócz innych spraw, którymi miała się zająć, prosił, by zapłaciła kancelarii Wilbanka wszystko, co jest jej winien.

W 1947 roku hektar dobrej ziemi uprawnej w hrabstwie Ford wart był około 250 dolarów. W dużym zaokrągleniu Pete zostawił dzieciom ziemię i dom o łącznej wartości 100 000 dolarów, a żonie aktywa w wysokości mniej więcej jednej czwartej tej sumy. Wszystkie pozostawały w zarządzie powierniczym i jak podkreślał wielokrotnie John Wilbanks, mogły zostać zablokowane, gdyby Liza zdecydowała się podważyć testament.

Pete był pewien, że tego nie zrobi.

Przed zatwierdzeniem testamentu Wilbanks, wypełniając ustawowy obowiązek, przez trzy kolejne tygodnie zamieszczał w miejscowej gazecie ogłoszenie wzywające wszelkich potencjalnych wierzycieli do zgłoszenia ewentualnych roszczeń w ciągu dziewięćdziesięciu dni. Nie podał żadnych dodatkowych informacji na temat spadku, bo nie było to wymagane.

W Rome w stanie Georgia Errol McLeish co tydzień dostawał pocztą egzemplarz „The Ford County Times” i co tydzień dokładnie go wertował, wypatrując wezwania do wierzycieli.

* * *

Wkrótce po pogrzebie Joel i Stella wyprowadzili się z różowego domku. Miło było tam przyjechać z uczelni na

kilka dni, pojeść gorącego gulaszu z garnka na kuchni, posłuchać muzyki z gramofonu, pogapić się na płonący w zimie ogień w kominku i na Florry ze wszystkimi jej dziwactwami i zwierzakami, ale teraz jej obecność była tak przytłaczająca, że nie mogli sobie tam znaleźć miejsca.

Wrócili do swoich dawnych sypialni w rodzinnym domu i starali się, choć było to niemożliwe, tchnąć w niego trochę życia. Otworzyli wszędzie drzwi i okna, by go przewietrzyć; był środek lata i wszystkim dawały się we znaki wysokie temperatury i wilgotność. Bez przerwy ktoś telefonował: najróżniejsi znajomi i nieznajomi dzwonili ze słowami pociechy, dziwnymi pytaniami albo krępującymi prośbami. Joel i Stella przestali w końcu podnosić słuchawkę. W holu leżało mnóstwo poczty i zaczęli otwierać i czytać listy. Większość była od weteranów, którzy pisali miłe rzeczy o ich ojcu, choć niewielu znało go osobiście. Przez kilka dni Joel i Stella starali się odpowiedzieć krótko na każdy list, ale szybko zdali sobie sprawę, że to nie ma sensu. Ojca już z nimi nie było. Po co odpowiadać zupełnie obcym ludziom? W jego pustym gabinecie rosły sterty listów. Zgodnie z pogrzebowym rytuałem, życzliwi ludzie z miasta przywozili różne dania i desery, ale kiedy Joel i Stella uświadomili sobie, że sprowadza ich tu wyłącznie ciekawość, przestali podchodzić do drzwi.

Reporterzy przyjeżdżali i odjeżdżali, szukając jakiegoś nowego punktu zaczepienia albo dającej się zacytować wypowiedzi, ale nie uzyskali niczego. Jeden, z jakiegoś czasopisma, kręcił się wokół domu tak długo, że Joel postraszył go strzelbą.

Z Ninevy nie mieli większego pożytku. Zdruzgotana śmiercią chlebowdawcy, bez przerwy pochlipywała. Rano starała się posprzątać i coś ugotować, ale koło południa była zbyt zmęczona, by cokolwiek zrobić. Stella zwalniała ją na ogół w połowie dnia, zadowolona, że pozbyła się jej z domu.

Codziennie po kolacji, tuż przed zapadnięciem zmroku, kiedy upał odpuszczał, Joel i Stella szli polną drogą do Starej

Sykomory i wadzili się z ojcem. Dotykali jego nagrobka, płakali, modlili się, a potem wracali ramię w ramię do domu, cicho rozmawiając i próbując odpowiedzieć sobie na pytanie, co, u licha, stało się z ich rodziną. W miarę jak dni stawały się coraz krótsze, pogodzili się z faktem, że nigdy się nie dowiedzą, dlaczego ojciec zabił Dextera Bella i dlaczego matka przeszła tak ciężkie załamanie nerwowe.

Powtarzali sobie, że nie chcą tego wiedzieć. Chcieli zostawić za sobą cały ten koszmar i żyć dalej gdzieś daleko stąd.

* * *

Joel zadzwonił po raz trzeci do dyrektora szpitala w Whitfield, żeby uzyskać zgodę na widzenie się z matką. Dyrektor odparł, że musi zasięgnąć opinii lekarzy, i oddzwonił nazajutrz z wiadomością, że odwiedziny nie są możliwe. Była to trzecia odmowa i podobnie jak w przypadku poprzednich, dyrektor uzasadniał ją tym, że Liza nie może przyjmować gości. Nie powiedział nic więcej. Rodzina spekulowała, że poinformowano ją o śmierci męża i wpadła w jeszcze głębszą depresję.

Przed egzekucją Pete nie podjął żadnych kroków, żeby wyznaczyć nowego opiekuna prawnego żony. Joel spotkał się z Johnem Wilbanksem i nalegał, by poprosił on sędziego o powołanie na to stanowisko jego albo Stelli, ale adwokat chciał z tym jeszcze trochę poczekać.

To zdenerwowało Joela i zagroził, że zatrudni innego prawnika, który będzie reprezentował jego i interesy jego matki. Przyparty do muru, okazał się całkiem skutecznym adwokatem, wygadany i umiejącym znaleźć właściwe argumenty. Na Johnie Wilbanksie zrobiło to takie wrażenie, że w rozmowie ze swoim bratem Russellem wspomniał, że dzieciak może jeszcze zabłysnąć na sali sądowej. Po dwóch dniach bezustannych nacisków John w końcu się ugiął i razem

z Joelem przeszedł na drugą stronę ulicy, by spotkać się z sędzią Abbottem Rumboldem, leciwym władcą sądu kanclerskiego. Rumbold od wielu lat robił wszystko, o co poprosił go John Wilbanks, więc godzinę później Joel był już nowym opiekunem prawnym matki. Mając w ręku poświadczony odpis nowego orzeczenia sądu, natychmiast zadzwonił do Whitfield.

Siódmego sierpnia 1947 roku, cztery tygodnie po śmierci Pete'a, Joel i Stella wyruszyli na południe, by po raz pierwszy od ponad roku odwiedzić matkę. Florry wahała się, czy z nimi jechać; Joel, który stał się nową głową rodziny, sugerował, by poczekała z tym do następnej wizyty, i w końcu dała się przekonać.

Przy bramie czekał na nich z podkładką w ręce ten sam strażnik, z którym mieli do czynienia kilka miesięcy wcześniej, lecz tym razem papierkowa robota okazała się mniej uciążliwa. Joel podjechał prosto pod budynek numer 41 i uzbrojony w orzeczenie sądu wmaszerował do gabinetu doktora Hilsabecka. Dzień wcześniej rozmawiali przez telefon i wszystko było w porządku. Doktor tym razem był nawet uprzejmy i przeczytawszy edykt starego Rumbolda, splótł palce i zapytał, w czym może pomóc.

– Chcemy wiedzieć, co jest nie tak z naszą matką – odezwała się jako pierwsza Stella. – Jaka jest diagnoza? Przebywa tu od ponad roku, więc na pewno może pan powiedzieć, co jej dolega.

Doktor Hilsabeck cierpko się uśmiechnął.

– Oczywiście. Pani Banning cierpi na ciężki rozstrój psychiczny. Określenie „załamanie nerwowe” nie stanowi tak naprawdę diagnozy medycznej, ale używa się go dość często, żeby opisać pacjentów pozostających w stanie podobnym do tego, w jakim jest państwa matka. Pani Banning cierpi na depresję, stany lękowe i ostry stres. Depresja powoduje poczucie beznadziejności, myśli samobójcze i samookaleczenia. O stanach lękowych świadczą wysokie ciśnienie krwi, napięcie mięśniowe, zawroty głowy i drgawki.

Czasem przez tydzień cierpi na bezsenność, a w następnym tygodniu przesypia całe dni. Ma omamy, widzi urojone rzeczy i często w nocy budzi się z krzykiem, bo dręczą ją koszmary. Doznaje skrajnych zmian nastroju, zawsze w negatywnym kierunku. Jeśli ma dobry dzień, taki, w którym czuje się nie najgorzej, zawsze następują po nim dwa lub trzy mroczne. Czasami wpada w stan bliski katatonii. Kiedy indziej w paranoję: wydaje jej się wtedy, że ktoś ją śledzi albo że ktoś jest w jej pokoju. To prowadzi często do ataków paniki, podczas których jest skrajnie przerażona i ma kłopoty z oddychaniem. Po godzinie albo dwóch ataki na ogół ustępują. Pani Banning bardzo mało je i w ogóle o sobie nie dba. Nie przestrzega higieny osobistej, nie chce współpracować z personelem medycznym, a podczas terapii grupowej całkowicie się izoluje. Obserwowaliśmy niewielkie symptomy poprawy jeszcze przed zamordowaniem Dextera Bella, ale niestety, to wydarzenie wywarło na nią katastrofalny wpływ. W kolejnych miesiącach jej stan nieco się poprawił, lecz potem stracono państwa ojca i nastąpił znaczący regres.

– To wszystko? – zapytała Stella, ocierając łzy.

– Obawiam się, że tak.

– Czy matka cierpi na schizofrenię? – zapytał Joel.

– Nie sądzę. Generalnie rozumie, co się wokół niej dzieje, i poza atakami paranoi nie ma żadnych fałszywych wyobrażeń. Nie słyszy żadnych głosów. Trudno przewidzieć, jak zachowywałaby się w relacjach społecznych, ponieważ przebywa na oddziale zamkniętym. Ale nie, nie zdiagnozowałbym państwa matki jako schizofreniczki. Bardziej jako osobę w ciężkiej depresji.

– Półtora roku temu czuła się świetnie, albo przynajmniej tak się wszystkim zdawało – powiedziała Stella. – Teraz cierpi na coś, co można określić jako ciężkie załamanie nerwowe. Co się stało, doktorze? Co ją do tego doprowadziło?

Hilsabeck pokręcił głową.

– Nie mam pojęcia – odparł. – Ale zgadzam się z panią, że to musiało być coś traumatycznego. Z tego, co wiem, w przeszłości pogodziła się jakoś z faktem, że państwa ojciec zaginął i prawdopodobnie nie żyje. Jego powrót był pozytywnym wydarzeniem, które, jestem o tym przekonany, mogło być źródłem wielkiej radości, a nie ciężkiej depresji. Potem coś się wydarzyło. Ale jak już powiedziałem, pani Banning raczej z nami nie współpracuje i nie chce wracać do wydarzeń z przeszłości. Jest to dość frustrujące i obawiam się, że dopóki nie zacznie mówić, nie będziemy w stanie jej pomóc.

– Więc jak jest leczona? – zapytał Joel.

– Poprzez poradnictwo, farmakoterapię, lepszą dietę, światło słoneczne. Staramy się wyprowadzać ją na dwór, jednak na ogół odmawia. Ale nie mam dla państwa wyłącznie złych wiadomości. Moim zdaniem jej stan będzie się powoli poprawiał. Bardzo ważne jest to, że się z państwem spotka.

– Jakie bierze leki? – zapytała Stella.

– W naszej branży stale słyszymy o lekach neuroleptycznych będących w stadium badań, jednak od stosowania ich nadal dzielą nas długie lata. Kiedy nie może zasnąć albo jest bardzo ożywiona, dajemy jej barbituraty. A także co jakiś czas tabletkę na nadciśnienie.

Zapadła długa cisza. Joel i Stella starali się przyjąć do wiadomości to, co usłyszeli. Wieści nie były zbyt krzepiące, ale być może nastąpi jakaś zmiana na lepsze. Albo na gorsze.

– Czy zdoła pan ją wyleczyć, doktorze? – zapytał Joel. – Czy jest jakaś szansa, że pewnego dnia będzie mogła wrócić do domu?

– Nie mam pewności, czy dom jest dla niej odpowiednim miejscem, panie Banning. Z tego, co słyszałem, ostatnio panuje tam raczej mroczna i ponura atmosfera.

– Żeby pan wiedział – mruknęła Stella.

– Nie wiem, czy państwa matka zdoła znieść kolejne ciosy.

– Nie wiem, czy my je zniesiemy – odparła Stella.

Doktor Hilsabeck nagle wstał z fotela.

– Chodźmy się z nią zobaczyć. Proszę za mną – powiedział.

Ruszyli długim korytarzem i po chwili zatrzymali się przy oknie. Widać było przez nie zagajnik i szerokie ścieżki biegnące wokół małego stawu. Przy altance siedziała na wózku inwalidzkim kobieta, której towarzyszyła pielęgniarka. Chyba rozmawiały.

– To państwa matka – powiedział doktor Hilsabeck. – Wie, że przyjeżdżacie, i bardzo chce się z wami zobaczyć. Możecie wyjść tymi drzwiami.

Skinął im głową na pożegnanie, a oni wyszli na zewnątrz.

Liza uśmiechnęła się na ich widok. Najpierw wyciągnęła dłoń do Stelli i przyciągnęła ją do siebie, a potem zrobiła to samo z Joelem. Pielęgniarka uprzejmie się uśmiechnęła i zniknęła za rogiem altanki.

Ustawili wózek inwalidzki przy ławce i usiedli naprzeciwko matki. Joel wziął ją za jedną rękę, Stella za drugą. Byli przygotowani na to, że może wyglądać strasznie, i starali się nie okazywać zaskoczenia. Błada, skrajnie wychudzona i mizerna, bez śladu makijażu, bez biżuterii, w niczym nie przypominała pięknej i pełnej werwy kobiety, którą znali i kochali. Jej piaskowego koloru włosy posiwiały i były ściągnięte w kok. Miała na sobie cienką szpitalną koszulę i widzieli jej bosc stopy.

– Moje dziecińki, moje dziecińki, moje dziecińki – powtarzała, ściskając ich ręce i próbując się uśmiechnąć.

Przerażały ich jej oczy. Zniknęło dawne radosne i żywe spojrzenie: jej wzrok był teraz pusty i nieruchomy. Nie patrzyła im w twarz, tylko spoglądała gdzieś niżej.

Mijały minuty. Liza mamrotała coś dalej o swoich dziecińkach, a Joel i Stella klepali ją delikatnie po ramionach i dłoniach i zastanawiali się, o czym z nią rozmawiać.

– Doktor Hilsabeck mówi, że robisz duże postępy, mamó – powiedział w końcu Joel, dochodząc do wniosku, że każdy temat jest dobry.

Liza pokiwała głową.

– Chyba tak – mruknęła. – Są dni, kiedy czuję się dobrze. Chcę po prostu wrócić do domu.

– Zabierzemy cię do domu, mamó, ale nie dzisiaj. Najpierw musisz się lepiej poczuć, więcej jeść, wychodzić na słońce, robić wszystko, o co proszą cię lekarze i pielęgniarki. I wtedy już wkrótce zabierzemy cię do domu.

– Pete będzie tam na mnie czekał?

– Nie, mamó. Taty tam nie będzie. On odszedł, mamó. Lekarze chyba ci o tym powiedzieli.

– Tak, ale im nie wierzę.

– Cóż, powinnaś im uwierzyć, bo taty już nie ma.

Stella ostrożnie wstała, pocałowała matkę w czubek głowy, po czym obeszła altankę, usiadła na jej stopniach i ukryła twarz w dłoniach.

Dzięki, siostrzyczko, jesteś naprawdę bardzo pomocna, pomyślał Joel i zaczął żywo opowiadać o rzeczach, które nie miały nic wspólnego z tym, że siedział w domu wariatów ze swoją psychicznie chorą matką. Mówił o Stelli: o tym, że ma wkrótce podjąć studia na trzecim roku College’u Hollinsa i że chce znaleźć sobie jakąś pracę w Nowym Jorku. Mówił, że on zastanawia się, czy studiować na wydziale prawa. Przyjęto go na Uniwersytet Vanderbilta i na Ole Miss, ale myślał o zrobieniu sobie rocznej przerwy, może na jakieś podróże. Gdy tak trajkotał, Liza uniosła wzrok, jakby słuchanie go było dla niej czymś kojącym. Z uśmiechem kiwała lekko głową.

Tak naprawdę nie był pewien co do studiów prawniczych i może dlatego powinien zrobić sobie przerwę. Razem ze Stellą spędził trochę czasu w Waszyngtonie i świetnie się tam czuli, a on zaprzyjaźnił się z właścicielem restauracji, który zaproponował mu pracę.

Wypłakawszy się, Stella dołączyła do nich z powrotem. Opowiedziała o swojej wakacyjnej pracy niani w Georgetown, o tym, co będzie studiowała na trzecim roku, i o planach na przyszłość. Liza chwilami przymykała oczy, jakby ich głosy były czymś w rodzaju narkotyku.

Niebo się roz pogodziło i kiedy zaczęły im dokuczać ostre promienie południowego słońca, przesunęli wózek w zacienione miejsce pod drzewami. Pielęgniarka cały czas z daleka ich obserwowowała.

– Mówcie dalej – szepnęła Liza, gdy na chwilę umilkli, i natychmiast spełnili jej życzenie.

Sanitariusz przyniósł kanapki i szklanki z mrożoną herbatą. Joel i Stella postawili je na piknikowym stole i zachęcali matkę, by się poczęstowała. Zjadła kilka kęsów, wyraźnie na siłę. Chciała nadal słuchać ich uroczych młodych głosów, mówili więc dalej, na zmianę, pamiętając, by nie wspomnieć ani jednym słowem o Clanton.

Długo po lunchu pojawił się doktor Hilsabeck i oznajmił, że pacjentka powinna odpocząć. Był bardzo zadowolony z ich wizyty i zapytał, czy Joel i Stella mogliby wrócić do szpitala nazajutrz. Oczywiście przytaknęli.

Ucałowali matkę na pożegnanie, obiecali, że wkrótce znów się zobaczą, i pojechali do Jackson, gdzie wynajęli pokoje w okazałym hotelu Heidelberg w śródmieściu. Po zameldowaniu się wyruszyli w stronę stanowego Kapitolu, ale było zbyt gorąco i parno na spacer. Wrócili do hotelowej kawiarni i zapytali kelnera, gdzie można napić się czegoś mocniejszego. Skierował ich do speluny za hotelem. Tam zamówili drinki i starali się nie mówić o matce. Nagadali się już dosyć.

Rozdział 37

Errol McLeish nie miał licencji na prowadzenie praktyki prawnej w stanie Missisipi i żeby zrealizować swój starannie obmyślony plan, musiał się zwrócić do miejscowego adwokata. Nigdy nie brał pod uwagę zatrudnienia kogoś z Clanton. Wszyscy tamtejsi dobrzy prawnicy byli w jakiś sposób spokrewnieni z Wilbanksami. McLeishowi potrzebny był adwokat dobrze znany w północnym Missisipi, cieszący się opinią agresywnego i zupełnie niezwiązany z hrabstwem Ford. Nie spiesząc się, zebrał informacje, zasięgnął języka i wybrał w końcu prawnika z Tupelo, Burcha Dunlapa. Spotkał się z nim miesiąc przed egzekucją Pete'a i zaczęli wspólnie przygotowywać grunt. Dunlapowi sprawa się spodobała, bo mogła przyciągnąć prasę i była łatwa do wygrania, przynajmniej w jego opinii.

Dwunastego sierpnia 1947 roku złożył w imieniu swojej klientki, Jackie Bell, pozew o odszkodowanie z majątku Pete'a Banninga za zabicie jej męża. Wyłuszczył powszechnie znane okoliczności zabójstwa i określił wysokość odszkodowania na pół miliona dolarów. Niespodzianką było to, że złożył pozew w sądzie federalnym w Oxfordzie, a nie w stanowym w Clanton. Jackie Bell oświadczyła, że mieszka obecnie w Georgii, dlatego ma prawo ubiegać się o odszkodowanie w sądzie federalnym, gdzie przysięgli

zostaną powołani z trzydziestu różnych hrabstw i gdzie trudno będzie o sympatię do skazanego mordercy.

Ponieważ wykonawczynią testamentu była Florry, to do niej musiały trafić papiery. Karmiła akurat swoje ptaki na tylnym podwórku, gdy nagle pojawił się tam Roy Lester, z wyraźnie zatroskaną miną.

– Mam złe wieści, Florry – powiedział, uchylając kapelusza i wręczając jej grubą kopertę. – Wygląda na to, że czekają was kolejne prawnicze kłopoty.

– Co to jest? – zapytała, wiedząc dobrze, że on, Nix Gridley i prawdopodobnie wszyscy inni w biurze szeryfa przeczytali to, co znajdowało się w kopercie.

– Pozew, który Jackie Bell złożyła w sądzie federalnym.

– Wielkie dzięki.

– Możesz mi tu podpisać? – Podał jej kartkę i pióro.

– Po co?

– Żeby potwierdzić, że ci go przekazałem i masz go w swoim posiadaniu.

Florry podpisała, podziękowała mu i zabrała papiery do domu. Godzinę później wpadła do kancelarii Johna Wilbanka, rzuciła mu na biurko pozew i z płaczem padła na sofę. John zapalił cygaro i spokojnie przeczytał liczący trzy strony dokument.

– To żadna niespodzianka – powiedział, siadając w fotelu naprzeciwko sofy. – Rozmawialiśmy chyba, że to całkiem możliwe.

– Pół miliona dolarów?

– Oczekiwania są zawyżone, jak zawsze w tego rodzaju sprawach. Adwokaci domagają się na ogół o wiele więcej, niż spodziewają się dostać.

– Ale ty się tym zajmiesz, prawda, John? Powiedz, że nie ma się czego obawiać.

– Och, oczywiście, że mogę się tym zająć, to znaczy odpowiem na pozew, ale zdecydowanie jest się czego obawiać. Po pierwsze, mamy do czynienia z faktami, którym trudno zaprzeczyć. Po drugie, Burch Dunlap to świetny adwokat i zna

się na swojej robocie. Złożenie pozwu w sądzie federalnym jest sprytnym posunięciem, którego, szczerze mówiąc, nie oczekiwałem.

– Czyli wiedziałeś, co nam grozi?

– Rozmawialiśmy o tym przed kilkoma miesiącami, Florry. Mąż Jackie Bell został zamordowany i tak się składa, że zabójca miał duży majątek, co nie zdarza się zbyt często.

– Cóż, tak naprawdę nie pamiętam, o czym rozmawialiśmy, John. Ostatnio jestem kłębkim nerwów i mój biedny umysł nie przyjmuje wielu rzeczy do wiadomości. Co mamy teraz robić?

– Ty nie musisz nic robić. Ja postaram się odeprzeć pozew. I będziemy czekać na następny.

– Następny?

– Wcale bym się nie zdziwił.

Czekali dwa dni. Drugi pozew Burch Dunlap złożył w sądzie kanclerskim hrabstwa Ford i jako pozwanych wymienił w nim Joela i Stellę Banningów. Errol McLeish domyślał się, że oboje wyjadą wkrótce na swoje uczelnie, i uznał, że dobrze będzie doręczyć im pozew jeszcze przed końcem wakacji. Roy Lester znów pojechał na farmę i przekazał dokumenty Joelowi, Stelli i Florry.

Już samo otrzymanie pozwu napisanego przez dobrego adwokata nie jest czymś miłym. Dwa pozwy w sytuacji, gdy ma się niewiele na swoją obronę, mogą wprowadzić w przerażenie. Trójka pozwanych spotkała się z Johnem i Russellem Wilbanksami i choć pokrzepił ich nieco fakt, że mają po swojej stronie lojalnych przyjaciół, którzy są w dodatku świetnymi prawnikami, atmosfera w kancelarii nie była zbyt wesoła.

Czy Banningowie naprawdę mogli stracić ziemię? Część należąca do Florry była oczywiście bezpieczna, ale akt darowizny na rzecz Joela i Stelli został podważony przez adwokata, który dobrze wiedział, co robi. Nie ulegało wątpliwości, że Pete zaplanował morderstwo i chcąc uniknąć

roszczeń ze strony wierzycieli, przekazał dzieciom najwartościowszą część majątku.

Bracia Wilbanksowie rozważali, co może się zdarzyć w najbliższych miesiącach. Stwierdzili, że Dunlap będzie prawdopodobnie nalegał na jak najszybsze rozpoczęcie procesu o odszkodowanie, a kiedy go wygra, przedłoży wyrok w sądzie notarialnym hrabstwa Ford i będzie chciał odebrać Banningom ziemię. W zależności od tego, kto wygra, a kto przegra, poszczególne etapy procedury sądowej, proces i apelacje mogły trwać całe lata. Honoraria prawników mogły okazać się bardzo pokaźne.

John Wilbanks obiecał, że będzie walczył ostro na wszystkich frontach, ale jego zapewnienia nie brzmiały zbyt przekonująco.

Joel, Stella i Florry wyszli z kancelarii w paskudnych nastrojach i pod wpływem nagłego impulsu postanowili jechać do Memphis, do hotelu Peabody, gdzie mogli utopić smutki w eleganckim barze, zjeść dobry posiłek, spędzić beztruską noc i zapomnieć o hrabstwie Ford. Lepiej przepuścić trochę kasy, póki ją jeszcze mają.

Joel siedział sam z przodu niczym rasowy szofer i przez kilka pierwszych kilometrów nikt się nie odzywał.

– Naprawdę nie mam ochoty wracać do Hollins – oświadczyła nagle Stella, kiedy przekroczyli granicę hrabstwa Van Buren. – Zajęcia zaczynają się za trzy tygodnie i nie wyobrażam sobie, że wchodzę na salę i słucham wykładu na temat czegoś tak mało ważnego jak dramaty Szekspira, kiedy mojego ojca właśnie stracono, a biedna matka jest w szpitalu psychiatrycznym. Serio? Jak można ode mnie oczekiwać, że będę się uczyć i studiować?

– Więc chcesz rzucić studia? – zapytała Florry.

– Nie rzucić, ale zrobić sobie przerwę.

– A ty, Joel?

– Chodzą mi po głowie podobne myśli. Pierwszy rok prawa to katorga i po prostu nie jestem na to gotowy. Skłaniałem się raczej ku Uniwersytetowi Vanderbilta, ale teraz, kiedy

pieniądze mogą się stać problemem, myślę o Ole Miss. Choć prawdę mówiąc, nie bardzo się widzę w roli studenta, któremu upierdliwi profesorowie wbijają do głowy prawnicze formułki.

– To ciekawe – rzuciła Florry. – Skoro nie chcecie studiować i nie macie pracy, co zamierzacie oboje robić w najbliższych miesiącach? Siedzieć w domu i doprowadzać Ninewę do szaleństwa? Czy może pomóc na polu i zbierać bawełnę razem z czarnymi? Bufordowi przyda się każda para rąk. A jeśli znudzi was praca na polu, możecie zawsze pielnić grządki i uprawiać warzywa w ogrodzie, żebyście mieli co jeść w zimie. Amos z chęcią nauczy was doić krowy, żebyście robili to codziennie o szóstej rano. Nineva weźmie was pod obcas w kuchni i będziecie razem z nią gotować i szykować przetwory. A kiedy znudzi wam się farma, możecie zawsze wyskoczyć do miasta, gdzie każdy, na kogo wpadniecie, będzie pytał, co porabiacie, i udawał, że jest mu bardzo przykro z powodu waszego ojca. Tego właśnie chcecie?

Ani Joel, ani Stella nic na to nie odpowiedzieli.

– Mam dla was lepszy plan – podjęła Florry. – Za trzy tygodnie wyniesiecie się stąd w podskokach, bo musicie skończyć studia, nim skończą się pieniądze. Wasz ojciec powierzył mi odpowiedzialność za waszą edukację i to ja wypisuję czeki. Jeżeli nie pójdiesz teraz na prawo, Joel, już nigdy tego nie zrobisz, więc nie masz wyboru. Ty wracasz do Hollins, Stello, a on będzie studiował prawo. Wszystko mi jedno gdzie, ale macie po prostu stąd wyjechać.

Kilka kilometrów minęło w ciszy. Młodzi uświadomili sobie nieodwołalność tego, co usłyszeli od Florry.

– Cóż, po zastanowieniu wydaje mi się, że Hollins nie jest takim złym miejscem na przeczekanie – odezwała się w końcu Stella.

– Jeśli mam studiować prawo – powiedział Joel – wybiorę prawdopodobnie Ole Miss. Dzięki temu będę mógł w weekendy odwiedzać mamę i pomagać Wilbanksom w sprawie pozwów.

- John na pewno panuje nad sytuacją – odparła Florry. – Jeśli zdecydowałbyś się na Vanderbilta, będzie nas na to stać.
- Nie. Cztery lata, które tam spędziłem, to zdecydowanie dosyć. Muszę poszerzyć horyzonty. Poza tym na Ole Miss jest więcej dziewcząt.
- Od kiedy stało się to dla ciebie takie ważne?
- Zawsze było.
- Moim zdaniem pora, żebyś poważnie się zainteresował jakąś dziewczyną. Masz w końcu dwadzieścia jeden lat i jesteś absolwentem college’u.
- Czy zamierzasz nieproszona doradzać mi w sprawach miłosnych, ciociu Florry?
- Niekoniecznie.
- To dobrze. Zachowaj swoje rady dla siebie.

* * *

Przed wyjazdem na studia Joel i Stella wybrali się jeszcze trzy razy do Whitfield, by spędzić trochę czasu z matką. Doktor Hilsabeck bardzo ich do tego zachęcał, mówiąc, że ich wizyty mają zbawienny wpływ, choć oni sami nie widzieli żadnej poprawy. Pod względem fizycznym Liza w ogóle się nie zmieniła. W trakcie jednej z wizyt nie chciała w ogóle opuścić swojego ciemnego pokoju i praktycznie się nie odzywała. W trakcie innych pozwalała, by wozili ją po parku, chroniąc się w cieniu drzew przed sierpniowym upałem. Czasami, niezbyt często, uśmiechała się, mówiła bardzo mało i ani razu nie wypowiedziała pełnego zdania. Przeważnie słuchała, a jej dzieci na zmianę powtarzały wciąż te same długie opowieści. Dla urozmaicenia Joel czytał jej artykuły z „Time’a”, a Stella z „The Saturday Evening Post”.

Odwiedziny wyczerpywały ich emocjonalnie i podczas długiej jazdy do domu prawie ze sobą nie rozmawiali. Po czterech wizytach w Whitfield byli przekonani, że matka nigdy nie opuści szpitala.

* * *

Wczesnym rankiem trzeciego września Joel załadował rzeczy siostry do rodzinnego pontiaca rocznik 1939 i razem pojechali do różowego domku, by zjeść pożegnalne śniadanie z ciotką Florry. Marietta nakarmiła ich omletami i bułeczkami i zapakowała drugie śniadanie na drogę. Ze łzami w oczach pożegnali się z Florry na werandzie, wstąpili na cmentarz, by pomodlić się przy grobie ojca, a potem popędzili na stację, gdzie Stella o mało nie spóźniła się na odjeżdżający o 9.40 pociąg do Memphis. Powstrzymując łzy, uściskali się i obiecali sobie, że będą w kontakcie.

Kiedy pociąg zniknął w oddali, Joel wsiadł do pontiaca, objechał główny plac, skręcił w boczną uliczkę, by przejechać obok kościoła metodystów, i w końcu wrócił do domu. Spakował swoje rzeczy, pożegnał się z Ninewą i Amosem i ruszył do odległego o godzinę jazdy Oxfordu, gdzie miał rozpocząć studia prawnicze. Znajomy znajomego dał mu namiar na mieszkanie w pobliżu placu, nad garażem pewnej wdowy, tanie lokum wynajmowane starszym studentom. Wdowa pokazała mu małe dwupokojowe mieszkanie i przedstawiła obowiązujące tu zasady – żadnego alkoholu, żadnych przyjęć, żadnego hazardu i oczywiście żadnych kobiet. Czynsz wynosił sto dolarów za cztery miesiące, od września do grudnia. Joel zaakceptował regulamin, choć wcale nie zamierzał go przestrzegać, i dał jej pieniądze. Kiedy wyszła, rozpakował torby i pudła i powiesił ubrania w szafie.

Po zmroku ruszył wzdłuż North Lamar w stronę wznoszącego się w oddali budynku sądu. Mijając stojące w cieniu drzew stare rezydencje, zapalił papierosa. Na werandach siedzieli miejscowi, którzy wyszli po kolacji z domu, żeby poplotkować i poczekać, aż zelżeje panujący w ciągu dnia upał. Choć na uniwersytecie zaczynały się już zajęcia, plac był pusty. Bo dlaczego miałyby być inaczej? Nie było tu żadnych barów, klubów, dansingów ani nawet

porządnych restauracji. Oxford był małym prowincjonalnym miasteczkiem, z zakazem sprzedaży alkoholu, i w niczym nie przypominał wielkomiejskiego Nashville.

Joel Banning miał wrażenie, że trafił na koniec świata.

Rozdział 38

Pozew dotyczył śmiertelnego wypadku, do którego doszło, gdy samochód z czworgiem pasażerów – młodymi rodzicami i dwójką dzieci – wpadł pod załadowany dłużycami wagon towarowy. Stało się to późnym wieczorem na głównej drodze między Tupelo a Memphis, na przejeździe kolejowym, który z niewiadomych przyczyn umiejscowiono u podnóża długiego wzniesienia, wskutek czego nocą zjeżdżający z góry kierowcy aż do ostatniej chwili nie widzieli pociągu. By uniknąć wypadków, a było ich już wcześniej kilka, kolejarze zainstalowali po obu stronach przejazdu czerwone pulsujące światła, ale pożałowali pieniędzy na szlaban, który można by opuścić i skutecznie zablokować drogę. Wagon z dłużycami był jedenasty z sześćdziesięciu w całym składzie długiego pociągu z dwiema lokomotywami i starym czerwonym wagonem mieszkalnym.

Broniący linii kolejowej prawnicy podkreślali fakt, że każdy kierowca, który zachowuje właściwą ostrożność, powinien zobaczyć długi na piętnaście metrów wagon towarowy, załadowany do wysokości czterech metrów kłodami drewna. Rozdali przysięgłym powiększone zdjęcia wagonu i sądzili, że mają wygraną w kieszeni.

Byli jednak bezradni w starciu z mecenasem Burchem Dunlapem, który reprezentował rodzinę zmarłych. Podczas trwającego dwa dni procesu Dunlap zaatakował inżynierów,

którzy zaprojektowali przejazd, ujawnił dane na temat fatalnego stanu bezpieczeństwa tej linii kolejowej, udowodnił, że już wcześniej ostrzegano, że przejazd jest niebezpieczny, zdyskredytował dwóch innych kierowców, twierdzących, że byli naocznymi świadkami zdarzenia, i przedstawił przysięgłym własny zestaw powiększonych zdjęć, świadczących niezbicie o poważnych zaniedbaniach ze strony kolei.

Ława przysięgłych zgodziła się z jego argumentami i przyznała rodzinie odszkodowanie w kwocie sześćdziesięciu tysięcy dolarów, rekordowej jak na sąd federalny północnego Missisipi.

Joel Banning, siedząc w tylnym rzędzie, śledził proces od początku do końca i robiło mu się niedobrze. Burch Dunlap był mistrzem sądowych potyczek i przysięgli jedli mu z ręki. Sprawiał wrażenie spokojnego, zrelaksowanego i absolutnie wiarygodnego. Był doskonale przygotowany, pewny siebie i zawsze wyprzedzał o dwa kroki prawników linii kolejowej.

A teraz miał dobrać się do Banningów i zagarnąć ich ziemię.

Joel pilnie śledził wokandę sądu w Oxfordzie i udało mu się wypatrzyć proces dotyczący wypadku na przejeździe. Z czystej ciekawości postanowił opuścić zajęcia i obejrzyć proces. Teraz żałował swojej ciekawości.

Po usłyszeniu werdyktu zastanawiał się, czy nie zadzwonić do Stelli, ale po co miał jej psuć dzień? Mógł zadzwonić do Florry, lecz jej linia była notorycznie podsłuchiwana. Poza tym nic by przez to nie osiągnął. Miał ochotę z kimś pogadać, ale przez pierwsze tygodnie studiów na wydziale prawa nie szukał nowych znajomości i rzadko się z kimś spotykał. Był zamknięty w sobie, małomówny, chwilami aż niegrzeczny, i zawsze spięty, bo w każdej chwili spodziewał się, że jakiś pyskaty student zapyta go o ojca. Słyszał niemal, jak szepczą za jego plecami.

Trzy miesiące po egzekucji rana wciąż pozostawała niezagojona i świeża. Joel był przekonany, że w historii Ole

Miss jest jedynym studentem, którego rodzina przeszła przez coś podobnego i najadła się tyle wstydu.

Dziwiącego października opuścił zajęcia, pojechał nad jezioro, usiadł tam i przez dłuższy czas popijał burbona z butelki. Dokładnie rok wcześniej jego ojciec zamordował Dextera Bella.

Joel starał się być pilnym studentem, ale zajęcia go nudziły. W soboty, kiedy jego koledzy rozprawiali wyłącznie o futbolu, jechał do Whitfield i przesiadywał z matką albo wracał do domu, żeby odwiedzić Florry i przyjrzeć się uprawom bawełny. Ich dom zmienił się w okropne, puste miejsce, w którym można było pogadać tylko z Ninewą. Choć właściwie i ona była w depresji i siedziała smętnie w kuchni, nie mając prawie nic do roboty. Do diabła, chyba wszyscy byli w depresji. W piątkowe popołudnia Joel zaglądał do kancelarii Wilbanka, by omówić problemy rodziny albo przekazać mu jakieś pismo procesowe, które wysmażył na wydziale prawa. John Wilbanks był pod wrażeniem jego umiejętności i często wspominał, że w nadchodzących latach firma mogłaby zatrudnić kogoś nowego. Joel odpowiadał grzecznie, że nie wie jeszcze, gdzie zamieszka i będzie praktykował.

Ale na pewno nie w Clanton, dodawał w duchu.

* * *

Przed świętami Bożego Narodzenia Florry zaczęła napomykać o kolejnej wycieczce do Nowego Orleanu. Jej plany spełzły jednak na niczym, nim zdążyły przybrać realny kształt. Joel i Stella podejrzewali, że powodem były pieniądze. Finanse rodziny stały pod znakiem zapytania i zauważyli tu i tam pewne cięcia. Bawełna w 1947 roku obrodziła całkiem nieźle, lecz bez Pete'a zbiory nie były już prowadzone z taką energią i determinacją.

Stella wróciła do domu dwudziestego pierwszego grudnia i wieczorem tego samego dnia ubrali choinkę, słuchając kolęd

z gramofonu. A także popijając alkohol, trochę więcej niż zwykle – Joel i Stella burbona, Florry gin. Marietta nie wypła nawet kropelki, tylko schowała się w piwnicy, przekonana, że wszyscy zaleją się w trupa i pójdą prosto do piekła.

Mimo że sytuacja nie wyglądała różowo, starali się stworzyć świąteczną atmosferę, wręczając sobie drobne prezenty, objadając się i puszczając głośno muzykę. Nie wspomnieli ani słowem o dwóch pozwach, którym musieli stawić czoło i które zagrażały ich przyszłości.

W pierwszy dzień świąt wsiedli wszyscy do lincolna Florry i pojechali do Whitfield. Rok wcześniej odbyli tę samą podróż i odmówiono im dostępu do Lizy. Te czasy odeszły już w przeszłość, bo Pete nie mógł im przeszkodzić, a opiekunem prawnym matki był teraz Joel. Usiedli wraz z nią w rogu dużej świetlicy i dali jej prezenty oraz czekoladki od Ninevy i Marietty. Liza dużo się uśmiechała, mówiła więcej i chyba cieszyła ją ich obecność.

Wszędzie dokoła widzieli rodziny hołubiące swoich bliskich, pacjentów o bladych twarzach i zapadłych policzkach. Niektórzy z nich byli sędziwi i stali jedną nogą w grobie. Inni, jak Liza, o wiele młodszy, ale chyba też donikąd już nie zmierzali. Czy rzeczywiście tak miała wyglądać jej przyszłość? Czy jej stan kiedykolwiek polepszy się na tyle, by mogła wrócić do domu? Czy też przez dziesięciolecia będą skazani na te żałosne wizyty?

Choć doktor Hilsabeck nadal utrzymywał, że jest zadowolony z jej postępów, w ciągu minionych czterech miesięcy nie zauważyli znaczącej poprawy. Matka ani trochę nie przybrała na wadze, a pielęgniarki nadal wozily ją na wózku, więc nie mogła spalić kalorii podczas spaceru. Często popadała w przeciągającą się apatię. Co jakiś czas w jej oczach pojawiał się błysk, ale to nigdy nie trwało długo.

W drodze powrotnej zastanawiali się, czy wyjazdy do Whitfield są w ogóle warte zachodu.

* * *

Po Bożym Narodzeniu przestała grać muzyka i zaczęły padać zimne deszcze. Trudno było dalej robić dobrą minę do złej gry i nawet w różowym domku, ze wszystkimi jego ekstrawagancjami, zapanował ponury nastrój. Stella musiała nagle wrócić do Hollins, by ukończyć bliżej nieokreślony projekt. Florry spędzała coraz więcej czasu w swoim pokoju, czytając i słuchając oper.

Uciekając przed chandrą, Joel wyjechał dzień wcześniej do Oxfordu. Kiedy tylko otwarto dziekanat, pobiegł sprawdzić swoje wyniki egzaminów po pierwszym semestrze i był z nich dość zadowolony.

Pod koniec stycznia znów znalazł się w sali sądu federalnego, tym razem jako przedstawiciel swojej rodziny. Sędzia zarządził posiedzenie przedprocesowe i obecni byli na nim wszyscy adwokaci. Powinna tu być również Florry, jako wykonawczynie testamentu, ale jak to ona, wymówiła się grypą. Poza tym Joel i tak był już w Oxfordzie i mógł się wszystkim zająć.

Siedział podenerwowany razem z Johnem i Russellem Wilbanksami przy jednym stole, nie spuszczać wzroku z Burcha Dunlapa i jego asystenta, siedzących przy drugim. Już sam fakt, że miał stawić czoło Dunlapowi, przyprawiał go o dreszcze.

Sędzia przejrzał listę wszystkich potencjalnych świadków i zażyczył sobie streszczenia ich zeznań. Adwokaci uprzejmie omówili dowody, listy przysięgłych i inne przedprocesowe szczegóły. Sędzia zajrzał do kalendarza i ogłosił, że proces rozpocznie się dwudziestego czwartego lutego, czyli za niecały miesiąc. Następnie zapytał, czy istnieje jakakolwiek szansa, by między stronami doszło do ugody. Adwokaci popatrzyli na siebie i było jasne, że jest na to za wcześnie.

– Zawsze gotów jestem zawrzeć ugody i zawsze chętnie to robię, Wysoki Sądzie – oświadczył Burch Dunlap, wstając. –

Oczywiście na korzystnych warunkach. Jak Wysoki Sąd zapewne wie, w kolejnym pozwie, który złożyliśmy w sądzie kanclerskim hrabstwa Ford, staramy się unieważnić akt darowizny, którym zmarły przekazał swoją część plantacji dzieciom. Miało to miejsce trzy tygodnie przed morderstwem. Dokonałiśmy wyceny tej ziemi. – Dunlap wziął do ręki segregator i pomachał nim sędziemu przed nosem. – Jest warta około dwustu pięćdziesięciu dolarów za hektar, czyli łącznie sześćdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Naszym zdaniem należy do majątku pozostawionego przez Pete'a Banninga i dlatego podlega roszczeniom ze strony mojej klientki, pani Jackie Bell. Dom jest wart mniej więcej trzydzieści tysięcy dolarów i są też inne aktywa.

John Wilbanks wstał, uśmiechnął się i pokręcił głową, jakby Dunlap był kompletnym idiotą.

– Te szacunki są zdecydowanie zawyżone, Wysoki Sądzie – powiedział – i nie jestem przygotowany, żeby je prostować. Poza tym wszelkie rozważania na temat ugody są przedwczesne. Spodziewamy się wygrać sprawę przed sądem kanclerskim i zachować areał plantacji. I kto wie, co orzeknie w tej sprawie ława przysięgłych. Niech proces toczy się swoim torem; być może później podejmiemy tę dyskusję.

– Później może być na to za późno – odparł sędzia.

Słuchając Burcha Dunlapa, tak beztrosko wypowiadającego się na temat ziemi, którą kupili, wykarczowali i przez długie dziesięciolecia uprawiali Banningowie, Joel czuł, jak gotuje się w nim krew. Jak ten wyszczekany kauzyperda śmiał tak od niechcienia, jakby siedział przy karcianym stoliku, rzucać sumami należących do kogoś innego i zarobionych w pocie czoła pieniędzy? Czy naprawdę zamierzał w jakiś podstępny sposób pozbawić ich wszystkiego, co posiadali? I jaka część tego łupu miała przykleić się do jego lepkich palców?

Adwokaci wymienili jeszcze kilka uwag, ale nie doszli do żadnej konkluzji. Sędzia wywołał następną sprawę. Po wyjściu z budynku sądu Russell Wilbanks od razu dał nura do restauracji, a Joel i John przeszli się dokoła placu.

– Powinniśmy przynajmniej omówić możliwość ugody – odezwał się John.

– W porządku. Zamieniam się w słuch – odparł Joel.

– Dunlap przesadził w swojej wycenie, ale nie w jakiś wyjątkowo bezczelny sposób. Moglibyśmy im zaproponować dwadzieścia tysięcy w gotówce i zobaczyć, jak zareagują. To masa szmalu, Joel.

– Z całą pewnością. Skąd tyle weźmiemy?

– W skład majątku wchodzi piętnaście tysięcy w gotówce. Ty i Stella moglibyście wziąć małą pożyczkę pod zastaw ziemi. Wiesz chyba, że moja rodzina ma bank? Na pewno udałoby mi się to załatwić.

– Więc chcesz im zaproponować dwadzieścia tysięcy?

– Przedyskutuj to z Florry. Nie muszę ci przypominać, że w tej sprawie fakty przemawiają przeciwko nam. Wasz ojciec zrobił to, co zrobił, i nie ma na to żadnego usprawiedliwienia. Ława przysięgłych będzie współczuć rodzinie Bella, a współczucie jest naszym wrogiem.

Rozdział 39

Na sugestię, że Jackie Bell miałyby się zadowolić sumą dwudziestu tysięcy dolarów, Errol McLeish tylko się roześmiał. Odrzucili również ofertę dwudziestu pięciu tysięcy. McLeish chciał odebrać Banningom wszystko – ziemię, dom, żywy inwentarz, ludzi, którzy tam pracowali – i wiedział, jak to zrobić.

Pod koniec lutego on i Jackie przyjechali do Oxfordu i zamieszkali w hotelu przy placu. W jednym pokoju, choć nie byli jeszcze małżeństwem.

Proces zaczął się rankiem dwudziestego czwartego lutego 1948 roku. Powódka, Jackie Bell, zajęła miejsce obok Dunlapa i jego asystentów i wyglądała bardzo atrakcyjnie, cała w czerni. Florry, na środkach uspokajających, siedziała między Johnem a Russellem Wilbanksami, a Joel tuż za nią.

Przy pierwszej nadarżającej się okazji Joel podszedł do Jackie, uścisnął jej dłoń i starał się być grzeczny. Ona miała to w nosie. Była pogrążoną w żałobie wdową, szukającą sprawiedliwości i pomsty. Florry gardziła nią i udawała, że jej nie widzi.

Kiedy sędzia Stratton zaczął czynności wstępne z około pięćdziesięcioma kandydatami na przysięgłych, Joel obrócił się i popatrzył na nich i na publiczność. W pierwszym rzędzie siedziało kilku reporterów. W pewnym momencie drzwi się otworzyły i ku rozpaczy Joela, do środka wmaszerowała cała

grupa studentów trzeciego roku prawa wraz ze swoim profesorem. Mieli zajęcia z procedury federalnej, a ponieważ proces cieszył się dużym zainteresowaniem, warto go było przestudiować. Wśród widzów zauważył też innych studentów prawa i żałował teraz, że nie studiuje na innej uczelni, w zupełnie innym stanie.

Wybór przysięgłych zajął cały ranek; w południe zaprzysiężono sześciu. Siódmy pozostawał w rezerwie. Ponieważ była to sprawa cywilna, do wydania werdyktu wystarczały cztery głosy. Wynik głosowania trzy do trzech oznaczał wznowienie procesu.

Po lunchu Burch Dunlap zbliżył się do ławy przysięgłych, poprawił swój piękny jedwabny krawat, przywołał na twarz szeroki uśmiech i powitał ich w świątyni sprawiedliwości. Joel śledził każdy jego gest i analizował każde słowo. W jego subiektywnej opinii Dunlap zbyt wylewnie dziękował przysięgłym za to, że zgodzili się poświęcić swój czas. Wkrótce jednak przystąpił do rzeczy. Przedstawił fakty i stwierdził, że odpowiedzialność w tej sprawie nie ulega kwestii. Sprawca popełnionego z zimną krwią zabójstwa został sprawiedliwie stracony i przysięgli nie będą mieli okazji go poznać. Morderca już nie żyje; dlatego też powódka, z mocy prawa, zmuszona jest wystąpić o odszkodowanie z jego majątku. Większa część tego procesu będzie dotyczyła wartości życia Dextera Bella, wartości, której nikt tak naprawdę nie zdoła oszacować. Dunlap nie zasugerował żadnej sumy; na to z pewnością przyjdzie czas później. Nie pozostawił jednak żadnych wątpliwości, że Dexter Bell był niezwykłym człowiekiem, wspaniałym ojcem, oddanym sługą Bożym i tak dalej, i tak dalej. Choć jako pastor zarabiał niewiele, jego życie warte było dużo pieniędzy.

Słuchając przemawiającego z wielką swadą Dunlapa, Joel niemal namacalnie czuł, jak topnieje majątek jego rodziny. Kilka razy w trakcie mowy wstępnej Dunlap określił Pete'a Banninga jako „zamożnego plantatora” oraz „bogatego posiadacza ziemskiego”. Słyszając to, Joel za każdym razem

krzywił się i spoglądał na przysięgłych. On i Stella nie dorastali bynajmniej w przekonaniu, że ich rodzina jest „bogata”, i fakt, że była tak określana przez złotoustego mówcę, wprawiał go w konsternację. Niestety, przysięgli, wszyscy co najwyżej z klasy średniej, chyba to łyknęli. Bogaty plantator zamordował biednego kaznodzieję. Ten lejtmotyw pojawił się na samym początku procesu i przysięgli chyba go zapamiętali.

John Wilbanks w krótkiej mowie wstępnej zapytał przysięgłych, czy to naprawdę słuszne, by rodzina mężczyzny skazanego za zabójstwo płaciła za jego grzechy. Rodzina Pete’a Banninga nie zrobiła nic złego, absolutnie nic. Jego dzieci, zupełnie bez swojej winy, również straciły ojca. Czy Banningowie nie zostali już w wystarczającym stopniu ukarani? Pozew nie jest niczym innym jak próbą odebrania zgromadzonego w pocie czoła majątku rodzinie, która uprawiała w znoju tę ziemię od dziesięcioleci, próbą ograbienia porządnych, uczciwych, ciężko pracujących ludzi, którzy nie są zamożni ani bogaci i nie powinni być w ten sposób określani. W subiektywnej opinii Joela John Wilbanks niezwykle trafnie sportretował powódkę jako osobę, która korzystając z okazji, chce się nadmiernie wzbogacić. Kiedy adwokat usiadł, Joel czuł, jak wzbiera w nim niemal święte oburzenie.

Pierwszym świadkiem była Jackie Bell. Podobnie jak to miało miejsce trzynaście miesięcy wcześniej w Clanton, stanęła za barierką ubrana w obcisłą sukienkę i już wkrótce popłynęły jej z oczu łzy. Kiedy opisywała moment, gdy znalazła martwego męża, przysięgli, wyłącznie płci męskiej, słuchali z przejęciem każdego słowa i chyba głęboko jej współczuli. John Wilbanks zrezygnował z prawa do zadawania pytań.

Następny był Nix Gridley. Opisał miejsce zbrodni, tak jak je zastał, zaprezentował zdjęcia biednego wykrwawiającego się na śmierć Dextera, pokazał przysięgłym należącego do sprawcy colta kalibru .45 i potwierdził ponad wszelką

wątpliwość, że Pete Banning, człowiek, którego dobrze znał, został rzeczywiście stracony na krześle elektrycznym. Gridley był świadkiem egzekucji i był obecny, gdy koroner stwierdził zgon Pete'a.

Kiedy skończył zeznawać, Burch Dunlap, bez sprzeciwu obrony, dołączył do akt sprawy poświadczony kopie wyroku sądowego, w którym uznano Pete'a za winnego zabójstwa pierwszego stopnia, oraz orzeczenia Sądu Najwyższego zatwierdzającego ten wyrok.

W tym pierwszym, długim dniu procesu zostało jasno ustalone, że Pete Banning zamordował Dextera Bella i zapłacił za to życiem. Nareszcie, pomyślał Joel. Choć dla niego nie było to nic nowego, przysięgli wydawali się poruszeni.

Kiedy już to stwierdzono, nadeszła pora na oszacowanie szkód. O dziewiątej rano w czwartek Jackie Bell wróciła na miejsce dla świadków i pokazała zeznania podatkowe swojej rodziny od roku 1940 do 1945. W ostatnim roku życia Dexter otrzymywał od kościoła metodystów w Clanton wynagrodzenie w wysokości dwóch tysięcy czterystu dolarów rocznie i nie było ono podwyższane od roku 1942. Zarówno on, jak i ona nie mieli żadnych innych dochodów. Rodzina mieszkała w należącej do kościoła plebanii, nie płacąc za czynsz ani za prąd czy wodę. Nie ulegało wątpliwości, że nie opływali w dostatki, ale takie właśnie życie wybrali i byli z niego zadowoleni.

Gdy skończyła zeznawać, Dunlap wezwał w charakterze biegłego wykładowcę ekonomii z Ole Miss, niejakiego doktora Pottera. Biegły miał różne tytuły naukowe, napisał parę książek i dość szybko stało się jasne, że zna się na pieniądzu i finansach o wiele lepiej niż ktokolwiek inny na sali. John Wilbanks zadał mu kilka pytań, chcąc zweryfikować jego kompetencje, ale nie chciał cisnąć go zbyt mocno, żeby się nie skompromitować.

Poproszony o to przez Burcha Dunlapa, doktor Potter przedstawił historię zarobków Dextera Bella, porównał ją z zarobkami pastorów w podobnych parafiach i zaczął

zonglować liczbami. Według Pottera, trzydziestodziewięcioletni Dexter osiągał przed śmiercią łączny dochód w wysokości trzech tysięcy trzystu dolarów rocznie. Zakładając ostrożnie, że inflacja w ujęciu rocznym nie przekraczała dwóch procent i że Dexter pracowałby do siedemdziesiątego roku życia, co w 1948 roku było normą w przypadku osób duchownych, jego spodziewane zarobki mogłyby łącznie wynieść sto sześć tysięcy dolarów.

Wypytyując doktora Pottera o to wszystko, Dunlap prezentował kolorowe wykresy i diagramy i udało mu się przekonać przysięgłych, że pieniądze, o których mowa, to konkretna twarda gotówka, której rodzina Bella została pozbawiona wskutek jego przedwczesnej śmierci.

Kiedy pytania do biegłego mogła zadać obrona, John Wilbanks mocno podważył niektóre z założeń doktora Pottera. Skąd wiadomo, że Dexter pracowałby do siedemdziesiątego roku życia? Skąd wiadomo, że zawsze byłby zatrudniony? Że utrzymywałby się taki a nie inny wskaźnik inflacji? I że Dexter stale dostawałby podwyżki? Wilbanks zasiał trochę wątpliwości i zyskał kilka punktów, ale zdaniem Joela, podważał wyliczenia, które od samego początku były dość skromne. Pastorzy zarabiali niewiele. Po co udowodniać, że ich niewielkie wynagrodzenie jest jeszcze mniej warte?

Następnym świadkiem był rzeczoznawca nieruchomości z Tupelo. Kiedy jego kompetencje zostały potwierdzone, Dunlap zapytał go, czy oszacował wartość farmy Banningów. Rzeczoznawca przytaknął i podał papiery z wyliczeniami. W tym momencie John Wilbanks praktycznie eksplodował i zgłosił sprzeciw wobec dalszego przesłuchiwanie tego świadka. Tej sprawy nie ustalono przed procesem i można się było spodziewać utarczki.

Wilbanks dowodził z całą mocą, że farma nie należała do Pete'a Banninga i nie można jej włączać do majątku spadkowego. Przedstawił akty darowizny na rzecz Joela i Stelli i dodał, że Pete przekazał ją swoim dzieciom w zasadzie tak samo, jak robili to jego rodzice, dziadowie i pradziadowie.

Dunlap ryknął na to, że darowizna Pete'a na rzecz dzieci była szalbierstwem, i to zdenerwowało sędziego Strattona; pouczył adwokata, że nie wolno używać takich nacechowanych negatywnie słów jak „szalbierstwo”, kiedy nic jeszcze nie zostało udowodnione. Wilbanks przypomniał sędziemu oraz Dunlapowi, że w sądzie kanclerskim hrabstwa Ford złożono kolejny pozew dotyczący przekazania ziemi. Stratton uwzględnił to i pouczył Dunlapa, że nie może on twierdzić, iż ziemia należała do Pete'a Banninga w chwili jego śmierci. Ta sprawa nie została jeszcze rozstrzygnięta.

Było to ważne zwycięstwo obrony: Dunlap najwyraźniej się zagalopował. Będąc jednak dobrym aktorem, szybko odzyskał rezon i wezwał na miejsce dla świadków Florry Banning. Wilbanks przewidział to i próbował ją przygotować na tę ciężką próbę. Zapewnił ją, że składanie zeznań nie potrwa długo, lecz i tak była kłębkim nerwów.

Po kilku wstępnych formalnościach Dunlap zapytał Florry, czy jest wykonawczynią testamentu brata. Tak. Kiedy została wyznaczona? Starając się patrzeć nie na przysięgłych, lecz na przyjazną twarz bratanka, Florry odparła, że jej brat Pete spisał nowy testament po tym, jak skazano go na śmierć. Dunlap wyciągnął poświadczoną kopię testamentu i poprosił, żeby go zidentyfikowała, co też uczyniła.

– Dziękuję – powiedział adwokat. – A zatem czy zgodnie z prawem i za radą tu obecnego pana Wilbanka, sporządziła pani inwentarz wszystkich aktywów i pasywów majątku Pete'a Banninga?

– Tak. – Wilbanks chciał, żeby odpowiadała bardzo krótko.

Dunlap wyciągnął kolejne papiery i podał je Florry.

– Czy to jest inwentarz jego majątku, który spisała pani w listopadzie zeszłego roku?

– Tak.

– Ten spis jest dokumentem urzędowym, tak?

– Chyba tak. To pan jest adwokatem.

– To prawda. A teraz, pani Banning, czy zechciałaby pani spojrzeć na spis aktywów, które ujęła pani w tym inwentarzu

w paragrafie C, na drugiej stronie, i przeczytać ten fragment przysięgłym?

– Dlaczego nie mogą go sobie sami przeczytać?

– Bardzo proszę, pani Banning.

Florry długo zakładała na nos okulary, przewracała kartkę i szukała paragrafu C, wykonując te wszystkie czynności z oczywistą irytacją.

– Pod numerem pierwszym wpisane jest tutaj saldo osobistego rachunku bankowego Pete’a w banku First State, w wysokości tysiąca ośmiuset dolarów. Pod numerem drugim saldo rachunku farmy, w tym samym banku, w wysokości pięciu tysięcy trzystu dolarów. Pod numerem trzecim saldo jego rachunku oszczędnościowego, w tym samym banku, w wysokości siedmiu tysięcy stu dolarów. Wystarczy?

– Proszę czytać dalej, pani Banning – poprosił Dunlap.

– Pick-up marki Ford, rocznik tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć, kupiony przez Pete’a po tym, jak wrócił z wojny. Przybliżona wartość: siedemset pięćdziesiąt dolarów. Rozumiem, że chce go pan też zabrać.

– Proszę czytać dalej, pani Banning – powtórzył cierpliwie adwokat.

– Jego prywatny samochód, pontiac z tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego roku, o wartości sześciuset dolarów.

Joel poruszył się na krześle, stojąc przed perspektywą utraty samochodu, którym jeździł od ubiegłego lata.

Zeznając dalej, Florry przyznała, że w skład majątku wchodziły także dwa traktory, kilka przyczep i pługów oraz różne inne maszyny rolnicze, wszystko to wycenione na dziewięć tysięcy dolarów. Żywy inwentarz, jak to na farmie bywa, obejmował stado świń, kur, krów, kóz, mułów i koni. Rzecznik ustalił jego łączną wartość na trzy tysiące dolarów.

– Mogłam się oczywiście pomylić o kurczaka albo dwa – przyznała z przekąsem. – I to wszystko, chyba że chce pan jego buty i bieliznę.

Dodała, że umierając, Pete nie miał przy sobie żadnych pieniędzy, a majątek nie był obciążony żadnymi roszczeniami.

– Jaka jest wartość rezydencji Banningów? – zapytał głośno Dunlap.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie! – zawołał John Wilbanks, zrywając się na nogi. – Dom stanowi integralną część ziemi, a ziemia została przekazana dzieciom. Przed chwilą była już o tym mowa.

– W rzeczy samej – potwierdził sędzia Stratton, najwyraźniej poirytowany poczynaniami Dunlapa.

– Wycofuję to pytanie – mruknął adwokat.

Wycofane czy nie, słowo „rezydencja” wywołało odpowiedni efekt. Kiedy Florry wyszła zza barierki dla świadków, Joel zerknął na przysięgłych i nie spodobało mu się to, co zobaczył. Bogacz mieszkający w rezydencji zabił skromnego sługę Bożego i teraz trzeba było wymierzyć sprawiedliwość.

* * *

W typowym procesie o odszkodowanie z tytułu spowodowania śmierci obrona starałaby się podważyć zasadność roszczeń, powołując cały korowód świadków, którzy zeznaliby, że śmierć nie była winą oskarżonego albo że zmarły ponosi przynajmniej częściową odpowiedzialność za to, co się stało. W tej sprawie nie mogło być o tym mowy. John Wilbanks nie miał szans, by zasiać jakiegokolwiek wątpliwości co do przyczyny śmierci. Sama taka próba mogłaby pozbawić go resztek wiarygodności, jeśli w ogóle jakąś jeszcze posiadał.

Dlatego Wilbanks postanowił co najwyżej uszczknąć nieco z roszczeń i osłabić ewentualny skutek werdyktu. Powołał swojego jedyne go świadka, kolejnego eksperta od ekonomii, którego znalazł nie gdzie indziej jak w Kalifornii. Wilbanks wierzył w starą maksymę, że im dłuższą podróż odbył biegły,

tym ważniejsze, przynajmniej w postępowaniu procesowym, są jego zeznania.

Doktor Satterfield wykładał w Stanfordzie, napisał sporo książek i często występował w roli biegłego. W swoich zeznaniach dowodził, że bez względu na to, jaką kwotę ostatecznie zatwierdzą przysięgli, łączna suma domniemanych przyszłych zarobków Dextera Bella, jeśli ma odzwierciedlać ich obecną wartość, powinna zostać w znacznym stopniu zredukowana. Posługując się dużym kolorowym diagramem, starał się przekonać przysięgłych, że tysiąc dolarów wypłacanych co rok przez dziesięć lat z rzędu daje sumę dziesięciu tysięcy. Jasne jak słońce. Jeśli jednak te dziesięć tysięcy wypłaci się w całości od razu, otrzymujący je może zainwestować pieniądze i w rezultacie zarobić o wiele więcej. Dlatego sprawiedliwe będzie zredukowanie jednorazowej wypłaty – to znaczy kwoty określonej w werdykcie – do obecnej wartości.

Doktor Satterfield wyjaśnił, że metodę tę stosuje w podobnych sprawach wiele sądów w całym kraju. Zasugerował przez to, że tu, w Missisipi, są trochę zacofani, i przysięgłym nie bardzo się to spodobało. W podsumowaniu stwierdził, że jeśli „weźmie się pod uwagę bardziej realny wskaźnik inflacji”, rodzina Bellów utraciła w wyniku śmierci Dextera kwotę czterdziestu jeden tysięcy dolarów.

John Wilbanks uważał, że do przyjęcia jest każdy werdykt poniżej pięćdziesięciu tysięcy dolarów. Żeby wypłacić zasądzoną sumę, można było wziąć kredyt pod zastaw ziemi. Z mniejszymi lub większymi długami zmagają się praktycznie większość plantatorów i przy dobrej pogodzie oraz wysokich cenach bawełny – o co modlono się codziennie na każdej plantacji – Banningowie mogli, ciężko pracując, spłacić za jakiś czas hipotekę. Adwokat liczył także na tradycyjnie konserwatywne podejście wiejskich przysięgłych. Ludzie, którzy muszą liczyć się z każdym centem, niechętnie patrzą na wypłacanie komuś tak wielkich sum.

Przesłuchując biegłego, Burch Dunlap zaczął się z nim kłócić o każdą liczbę i po kilku minutach nikt już nie wiedział, czym różni się wartość bieżąca od wartości zdyskontowanej i jak się mają przewidywane wskaźniki inflacji do płatności strukturyzowanych. Szczególnie zdezorientowani byli przysięgli i obserwując ich miny, Joel zdał sobie sprawę, że Dunlap celowo mąci im w głowach.

Późnym popołudniem, gdy zakończyło się przesłuchanie biegłego, a adwokaci złożyli wszystkie wnioski i przestali się popisywać, Burch Dunlap wstał i zwrócił się do przysięgłych. Bez żadnych notatek, zdawałoby się prosto z głowy, mówił o okropności tej śmierci, śmierci, do której nie doszło przez czyjeś zaniedbanie. Każdy może się czasem dopuścić zaniedbania i rozumiemy, dlaczego zdarzają się wypadki. Jesteśmy tylko ludźmi. Ale to nie był wypadek. To było starannie zaplanowane, popełnione z pełną premedytacją i zimną krwią morderstwo. Napaść, której dopuścił się na bezbronnym mężczyźnie żołnierz wyszkolony w zadawaniu śmierci.

Joel nie mógł oderwać oczu od przysięgłych, którzy byli wprost urzeczeni mową Dunlapa.

Czyż w ogóle może być stosowne odszkodowanie za tak potworny czyn? Zapomnijmy o umarłych – o wielebnym Bellu i Peterze Banningu – i porozmawiajmy o tych, którzy nadal żyją. Jeśli o niego, Dunlapa, chodzi, nie spędza mu snu z powiek los rodziny Banningów. Dwójka dzieci Pete'a odebrała znakomite wykształcenie. Jego siostra, Florry, ma własną ziemię, wolną od wszelkich obciążeń. Prowadzą wszyscy uprzywilejowane życie. A jak wygląda życie Jackie Bell i jej trojga dzieci?

W tym momencie Dunlap pozwolił sobie na dłuższą dygresję, której nie powstydzilby się sam Cyceron. Ze łzami w oczach opowiedział przysięgłym o swoim ojcu, który zmarł, kiedy on, Dunlap, miał zaledwie sześć lat, i o tym, w jak straszny sposób odbiło się to na jego matce i rodzeństwie. Kiedy zaczął opisywać, jak trumna jego ojca powoli znikła

w grobie, John Wilbanks nie wytrzymał i wstał w końcu z miejsca.

– Proszę, Wysoki Sądzie, to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą – powiedział.

Sędzia Stratton wzruszył ramionami.

– To mowa końcowa, panie Wilbanks. Pozwalam na pewną swobodę.

Dunlap podziękował Wysokiemu Sądowi, po czym nagle zmienił ton na napastliwy i zaczął szydzić z „bogatych Banningów udających bankrutów”. Należą do nich „setki hektarów bogatej ziemi uprawnej”, podczas gdy jego klienci, Bellowie, nie mają nic. Nie dajcie się nabrać Banningom i ich adwokatom, panowie przysięgli.

Wyśmiał profesora Satterfielda ze Stanfordu i zapytał, kto lepiej wie, jak żyje się w wiejskich rejonach Missisipi – „jakiś jajogłowy liberalny profesor z Kalifornii czy raczej doktor Potter z Ole Miss”?

Wystąpienie Dunlapa było wspaniałe i kiedy usiadł, Joel poczuł, że robi mu się niedobrze.

John Wilbanks nawet nie próbował podważyć odpowiedzialności, kwestionował wyłącznie liczby. Desperacko starał się obniżyć każdą wycenę, ale przysięgli byli niewzruszeni.

Odpowiadając na to, Burch Dunlap porzucił wszelkie pozory i zażądał odszkodowania za straty moralne, nakładanego wyłącznie w najbardziej drastycznych przypadkach. Uzasadniał to okazanym przez Pete’a Banninga kompletnym brakiem szacunku dla ludzkiego życia i jego absolutnym brakiem odpowiedzialności.

* * *

Sędzia Stratton przewodniczył wielu rozprawom i miał przecucie, że tym razem wydanie werdyktu nie zajmie

przysięgłym dużo czasu. Odesłał ich z sali sądowej o szóstej wieczorem i zawiesił rozprawę. Godzinę później byli gotowi.

W jednomyślnym werdykcie uznali pozew o odszkodowanie z majątku Pete'a Banninga z tytułu spowodowania przez niego śmierci Dextera Bella za uzasadniony i zasądzili na rzecz rodziny Bellów pięćdziesiąt tysięcy dolarów odszkodowania za utracone dochody oraz pięćdziesiąt tysięcy odszkodowania za straty moralne. Po raz drugi w ciągu niecałego roku Burch Dunlap ustanowił rekord w wysokości odszkodowania w północnym dystrykcie stanu Missisipi.

Rozdział 40

Pod koniec studiów na pierwszym roku prawa Joel stał się prawdziwym odludkiem. Werdykt w sprawie odszkodowania, nie mówiąc już o niesławnej egzekucji, odbił się w kręgach prawniczych dość głośnym echem. Rodzina Banningów znalazła się na równi pochyłej i Joel podejrzewał, że wszyscy szepczą za jego plecami. Zazdrościł Stelli, która studiowała daleko od Missisipi.

Pojechał samochodem do Whitfield, by spędzić długi weekend z matką. Najpierw jednak chciał z nim porozmawiać doktor Hilsabeck i w ten wspaniały wiosenny dzień spacerowali długo po terenach szpitala, pośród zakwitających właśnie azalii i dereni. Hilsabeck zapalił fajkę, splótł dłonie za plecami i kroczył powoli, jakby coś go dręczyło.

– Pańska matka nie robi dużych postępów – oznajmił ze smutkiem. – Przebywa tutaj od dwóch lat i nie jestem zadowolony z jej stanu.

– Dzięki, że pan to przyznał – odrzekł Joel. – Nie zauważyłem u niej większej poprawy od ośmiu miesięcy.

– Do pewnego stopnia z nami współpracuje... a potem się zamyka. Przeżyła jakąś wielką traumę, Joel, traumę, której nie potrafi albo nie chce stawić czoła. Z tego, co wiemy, pańska matka była silną kobietą o dominującej osobowości, bez żadnych epizodów, które świadczyłyby o niestabilności umysłowej czy trwałej depresji. Miała kilka poronień, ale nie

jest to czymś rzadkim. Po każdym przeżywała krótkie załamanie, lecz zawsze brała się w garść. Wiadomość, że pański ojciec zaginął i prawdopodobnie nie żyje, była straszna i często o tym dyskutowaliśmy. Pańska matka, pan, Stella, Florry... wszyscy to przeżywaliście. To było w maju tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Minęły prawie trzy lata i jak pan powiedział, rodzina zrobiła to, co musiała zrobić: przetrwała. Jednak w tym okresie coś jej się przydarzyło, Joel. Coś traumatycznego, ale nie mogę tego z niej wyciągnąć.

– Sugeruje pan, że ja powinienem to zrobić?

– Nie. Było to coś tak okropnego, że nie wiem, czy kiedykolwiek będzie chciała o tym mówić. I dopóki to w sobie tłamsi, trudno oczekiwać jakiegokolwiek postępu.

– Sądzi pan, że był w to zamieszany Dexter Bell?

– Tak. Jeśli nie, dlaczego pański ojciec zrobił to, co zrobił?

– Otóż to. Zawsze podejrzewałem, że to był Bell, ale pytanie brzmi, jak ojciec odkrył ich tajemnicę. Teraz on i Bell nie żyją, a matka milczy. Wygląda na to, że znaleźliśmy się w ślepej uliczce, doktorze.

– W rzeczy samej. Wypytywał pan ludzi, którzy pracują dla rodziny?

– Niezupełnie. Nineva pracuje w domu i raczej nic jej nie umknie, ale jest aż do przesady lojalna i nic z niej nie wyciągnę. Praktycznie wychowała mnie i Stellę, więc dobrze ją znamy. Nie piśnie ani słowa.

– Nawet jeśli mogłaby nam pomóc?

– Pomóc w jaki sposób?

– Może coś wie, coś widziała albo coś słyszała. Gdyby zwierzyła się panu, a pan mnie, mielibyśmy sposobność porozmawiać z pana matką. Mogłoby to nią wstrząsnąć i dać jakiś pozytywny efekt. Utknęliśmy w martwym punkcie, Joel, i trzeba to zmienić.

– Myślę, że warto spróbować. Co mamy do stracenia?

Minęli siedzącego na wózku inwalidzkim w cieniu wiązu starszego dżentelmena, który zmierzył ich podejrzliwym spojrzeniem. Obaj skinęli mu głowami i uśmiechnęli się.

– Dzień dobry, Harry – przywitał go doktor Hilsabeck, lecz Harry nic na to nie odparł, bo od dziesięciu lat nie odzywał się do nikogo.

Joel też często pozdrawiał Harry’ego. Znał wielu stałych pacjentów budynku numer 41. Modlił się żarliwie, by matka nie dołączyła do tej grupy.

– Jest jeszcze jedna sprawa – powiedział Hilsabeck. – Na rynek wchodzi powoli nowy specyfik o nazwie Thorazine. To substancja antypsychotyczna, którą leczy się schizofrenię, depresję i kilka innych zaburzeń. Moim zdaniem pana matka dobrze się do niego kwalifikuje.

– Prosi mnie pan, żebym zaaprobował tę kurację?

– Nie, chcę tylko, żeby pan wiedział. Rozpoczniemy ją w przyszłym tygodniu.

– Są jakieś objawy uboczne?

– Jak na razie najczęstszym jest przyrost wagi, co w jej przypadku może być nawet korzystne.

– W takim razie całkowicie popieram.

Doszli do brzegu małego stawu, znaleźli ławkę w zacienionym chłodnym miejscu i usiadłszy na niej, przez jakiś czas obserwowali taplające się w wodzie kaczki.

– Jak często matka mówi o powrocie do domu? – zapytał Joel.

Hilsabeck przez chwilę się zastanawiał, pykając z fajki.

– Nie codziennie, ale na pewno wciąż o tym myśli – odparł.

– Jest zbyt młoda, byśmy traktowali ją jako naszego stałego pacjenta. Patrzymy na nią jak na kogoś, kto pewnego dnia będzie dość zdrowy, by móc wrócić do domu. Ona nie upiera się przy tym, ale podobnie jak my jest przekonana, że kiedyś ten dzień nadejdzie. Dlaczego pan pyta?

– Bo powrót do domu może się okazać problematyczny. Mówiłem już panu o pozwach, które wystosowała przeciwko nam rodzina Dextera Bella. Przegraliśmy właśnie pierwszy proces. Złożymy apelację, a potem znów się odwołamy i będziemy walczyć do samego końca. W perspektywie mamy kolejny proces, który też możemy przegrać. Musimy się liczyć

z zabezpieczeniami, wyrokami i nakazami sądowymi, nawet z bankructwem. Czeka nas wiele prawnych utarczek, ale jest duże prawdopodobieństwo, że kiedy kurz opadnie, nie będziemy mieli ani ziemi, ani domu.

– A kiedy ten kurz opadnie?

– Trudno powiedzieć. Nie w tym roku i chyba nie w przyszłym. Ale w ciągu dwóch lat wszystkie apelacje powinny zostać rozstrzygnięte.

Hilsabeck postukał cybuchem fajki o kant ławki, wyskrobał wypalony tytoń, zgrabnie napełnił ją nowym, zapalił i zaciągnął się głęboko.

– To byłaby dla niej katastrofa – powiedział w końcu. – Marzy o tym, żeby wrócić do domu, być z panem i Stellą. Mówi o pracy w ogrodzie razem z Amosem, o konnych przejażdżkach, składaniu kwiatów na grobie pańskiego ojca, o gotowaniu i robieniu przetworów z Ninewą. – Doktor znów się zaciągnął. – Gdzie się podzieje, jeśli straciecie dom?

– Nie mam pojęcia, doktorze. Jeszcze na ten temat nie rozmawialiśmy. Wybiegam po prostu myślą naprzód. Mamy dobrych adwokatów, ale ci reprezentujący rodzinę Dextera Bella nie są wcale gorsi. A w dodatku fakty przemawiają na ich korzyść i mają po swojej stronie prawo.

– To byłby dla niej zabójczy cios, naprawdę zabójczy. Nie wyobrażam sobie, jak mielibyśmy leczyć pana matkę, gdyby dowiedziała się, że straciła dom.

– Na razie niech pan jej nic nie mówi. A my będziemy walczyć w sądzie.

* * *

W piątek rano Joel, który tego dnia powinien być właściwie w Oxfordzie, obudził się wczesnym rankiem we własnym łóżku, zajrzał do kuchni, nastawił kawę, szybko umył się i ubrał i kiedy w domu punktualnie o siódmej zjawiała się

Nineva, czekał już na nią z filiżanką kawy, siedząc przy kuchennym stole.

– Napijmy się kawy, Ninevo – rzucił, gdy już powiedzieli sobie „Dzień dobry”. – Musimy pogadać.

– Nie chce pan zjeść śniadania? – zapytała, wkładając fartuch.

– Nie, zjem coś później na mieście. Nie mam apetytu.

– Nigdy pan nie miał, nawet jako dziecko. Wystarczała panu kromka chleba i dwa jajka. Co panu chodzi po głowie?

– Weź sobie kawy.

Nineva, nie spiesząc się, nalała sobie kawy, dodała do niej sporo śmietanki i jeszcze więcej cukru i w końcu usiadła czujnie po drugiej stronie stołu.

– Musimy porozmawiać o mojej matce – powiedział Joel. – Doktor w Whitfield nie widzi u niej znaczącej poprawy. Jej świat jest pełen sekretów, Ninevo, sekretów i tajemnic, które wytrącają ją z równowagi. Jeśli nie dowiemy się, co ją spotkało, jest całkiem możliwe, że nigdy już nie wróci do domu.

Nineva zaczęła energicznie kręcić głową, zanim jeszcze skończył mówić.

– Mojego ojca nie ma już wśród nas, Ninevo – podjął. – Matki też wkrótce może nie być. Lekarze mogliby jej pomóc, pod warunkiem że dowiemy się prawdy. Ile czasu spędzała z Dexterem Bellem, kiedy myśleliśmy, że tato nie żyje?

Trzymając filiżankę w palcach obu dłoni, Nineva wypiała mały łyk, po czym odstawiła ją na spodeczek.

– Wielebny Bell często nas odwiedzał – odparła po chwili. – To nie było żadną tajemnicą. Zawsze kręciłam się gdzieś w pobliżu, podobnie jak Amos i nawet Jupe. Czasami z wielebnym przyjeżdżała pani Bell. Siadali w gabinecie pana Banninga, czytali tam Biblię i odmawiali modlitwę. Nigdy nie zostawał na dłużej.

– Byli ze sobą sami?

– Czasami chyba tak, ale jak już mówiłam, zawsze kręciłam się w pobliżu. Nic między nimi nie zaszło, nie w tym domu.

– Jesteś pewna, Ninevo?

– Posłuchaj, Joel, nie mówię, że wiem wszystko. Nie byłam tam razem z nimi. Myślisz, że zabawiała się z wielebny?

– Dexter Bell zapłacił za coś życiem, prawda, Ninevo? Daj mi jakiś inny powód, dla którego tato miałby go zabić. Czy Bell i mama spotykali się, kiedy nie było cię w pobliżu?

– Skąd mam wiedzieć, skoro nie było mnie w pobliżu?

Jej logika była jak zwykle nie do podważenia.

– Więc nie rzuciło ci się w oczy nic podejrzanego? W ogóle nic?

Nineva skrzywiła się i pomasowała skronie, jakby przywoływała z pamięci coś bolesnego.

– Zdarzyła się jedna rzecz – mruknęła w końcu.

– Wyduś to z siebie, Ninevo. – Joel starał się zachować spokój.

– Powiedziała, że musi jechać do Memphis, że jej matka leży tam w szpitalu i jest w naprawdę fatalnym stanie. Powiedziała, że ma raka. Tak czy owak, chciała, żeby pastor pojechał razem z nią i odwiedził panią Sweeney u schyłku jej życia. Powiedziała, że jej matka oddaliła się od kościoła i teraz, kiedy jest jedną nogą w grobie, chce porozmawiać z jakimś pastorem, żeby, no wiesz, pogodzić się z Bogiem. A ponieważ twoja matka tak bardzo szanowała Dextera Bella, chciała, żeby to on pomógł jej matce w tym Bożym dziele. Twoja mama, jak wiesz, nie lubiła prowadzić auta i któregoś dnia uprzedziła mnie, że nazajutrz z samego rana, zaraz po tym, jak ty i Stella pójdziecie do szkoły, ona i pastor pojedą do Memphis. Tylko we dwoje. I pojechali. Nie przywiązywałam do tego większej wagi. Wielebny Bell przyjechał do nas tamtego ranka, sam jeden, zrobiłam mu kawy, usiedliśmy tu w trójkę i wielebny odmówił nawet krótką modlitwę, prosząc Boga o bezpieczną jazdę tam i z powrotem i o uzdrowienie pani Sweeney. Pamiętam, że było to bardzo wzruszające. Nie widziałam w tym nic złego. Twoja mama poprosiła, żebym nie mówiła nic dzieciom, bo nie chciała, żebyście się martwili o babcię, więc nic nie powiedziałam. Wyjechali, nie było ich

cały dzień i wrócili po zmroku. Twoja mama powiedziała, że od jazdy samochodem zrobiło jej się niedobrze, ma rozstrój żołądka, i poszła od razu do łóżka. Potem przez kilka dni niedomagała. Mówiła, że musiała się czymś zarazić w szpitalu w Memphis.

– W ogóle tego nie pamiętam.

– Miałaś wtedy dużo zajęć w szkole.

– Kiedy to było?

– Kiedy? Ja nie robię notatek, Joel.

– No dobrze, jak długo po tym, gdy dostaliśmy wiadomość o tacie? Miesiąc, pół roku, rok?

– Długo po tym. Kiedy dowiedzieliśmy się o panu Banningu?

– W maju czterdziestego drugiego roku.

– Tak, zgadza się, potem przyszła zima, a potem zebraliśmy bawełnę. To było co najmniej rok po tym, jak dostaliśmy wiadomość.

– To znaczy jesienią czterdziestego trzeciego?

– Chyba tak. Nie jestem zbyt dobra w datach.

– To wszystko jest dość dziwne, bo moja babcia wcale nie umarła. Mieszka w Kansas City i cieszy się dobrym zdrowiem. Dostałem od niej list w zeszłym tygodniu.

– No właśnie. Pytałam twoją mamę, jak się czuje jej matka i w ogóle, ale ona nie chciała o niej mówić. Później przyznała, że te odwiedziny razem z wielebnym Bellem musiały sprawić cud, bo Pan zstąpił i ją uzdrowił.

– Więc spędzili ze sobą cały dzień i matka wróciła do domu chora. Nie wzbudziło to w tobie żadnych podejrzeń?

– Nie zastanawiałam się nad tym.

– Bardzo w to wątpię, Ninevo. Nic tutaj nie umyka raczej twojej uwadze.

– Pilnuję własnego nosa.

– I wszystkich innych też. Gdzie była tamtego dnia Jackie Bell?

– Nie jestem strażniczką Jackie Bell.

– Ale nie było o niej w ogóle mowy?

– Ja o nic nie pytałam. Oni nic nie powiedzieli.

– No dobrze, ale czy nie wracałaś nigdy myślami do tamtego dnia i nie zastanawiałaś się, że coś tu nie pasuje?

– Na przykład co?

– Na przykład to, że w Memphis jest wielu pastorów i jest ich wielu po drodze. Dlaczego mojej babce tak bardzo był potrzebny pastor z Clanton? Należała do kościoła episkopalnego w Memphis... ja i Stella byliśmy tam kilka razy, zanim babcia i dziadek się stamtąd wynieśli. Dlaczego mama nie powiedziała mnie i Stelli, że jej matka, nasza babcia, umiera w szpitalu w Memphis? Spotykaliśmy się z nią od czasu do czasu. Nikt nam nigdy nie powiedział, że ma raka, i to chyba jasne, że na niego nie zmarła. Cała ta historia śmierdzi, Ninevo, a ty nigdy nic nie podejrzewałaś?

– Pewnie tak.

– Pewnie tak co?

– Już ci mówię. Nigdy nie zrozumiałam, dlaczego to ma być taki wielki sekret, ta ich jazda do Memphis. Pamiętam, jak pomyślałam sobie, że jeśli jej matka jest naprawdę ciężko chora, to powinna zabrać ze sobą dzieci. Ale nie, ona nie chciała, żebyście się o tym dowiedzieli. To było dziwne. Tak jakby ona i pastor chcieli wyjechać razem na cały dzień i musieli podać mi jakiś powód. No pewnie, że później zaczęłam coś podejrzewać, ale komu miałam o tym powiedzieć? Amosowi? Swoją drogą, mówię mu wszystko, a on puszcza to mimo uszu. Co za człowiek!

– Nie powiedziałaś nic mojemu tacie?

– Nigdy o to nie pytał.

– Nie powiedziałaś mu?

– Nie. Nie powiedziałam o tym nikomu poza Amosem.

Joel zostawił Ninewę przy stole i wybrał się na długą przejażdżkę bocznymi drogami hrabstwa Ford. Kręciło mu się w głowie, kiedy próbował połączyć ze sobą wszystkie fakty. Czuł się jak prywatny detektyw, któremu udało się właśnie odkryć klucz do nierozwiązanej do tej pory tajemnicy.

Mocno zdezorientowany, był jednocześnie pewien, że Nineva nie powiedziała mu wszystkiego.

Rozdział 41

Ucząc się pilnie do egzaminów, Joel pisał poza tym pisma sądowe i szlifował apelację do sądu federalnego. Ponieważ przewlekanie procesu stało się integralną częścią ich strategii, on i John Wilbanks złożyli te dokumenty w Sądzie Apelacyjnym Piątego Dystryktu w ostatnim przewidzianym przez prawo terminie, to jest pierwszego czerwca 1948 roku.

Dwa dni później, trzeciego czerwca, przewodniczący sądu kanclerskiego Abbott Rumbold zajął się wreszcie drugim pozwem Jackie Bell, w którym występowała o unieważnienie oszukańczej, jej zdaniem, darowizny Pete'a Banninga na rzecz dzieci.

Burch Dunlap domagał się procesu już od trzech miesięcy, a Rumbold nie miał na wokandzie zbyt wielu innych spraw. Niemniej jednak ustalenie terminu posiedzenia leżało wyłącznie w gestii przewodniczącego, który od dziesiątek lat tego nadużywał. Rumbold robił w zasadzie wszystko, czego oczekiwał od niego John Wilbanks, a poza tym głęboko współczuł Banningom. Jeżeli Wilbanks chciał przewlekać postępowanie, to sprawa z pewnością znalazła się we właściwym sądzie.

Dunlap wiedział dobrze, że sędzia nie będzie mu sprzyjał. Chciał uzyskać jakiegokolwiek, choćby niekorzystne, rozstrzygnięcie i złożyć apelację do stanowego Sądu

Najwyższego, gdzie prawo znaczyło więcej od starych przyjaźni.

W sądach kanclerskich nie było ławy przysięgłych. Ich przewodniczący zarządzili niczym królowie i z reguły, im dłużej pełnili swoją funkcję, tym bardziej stawali się dogmatyczni. Procedury różniły się w zależności od dystryktu i były często ad hoc zmieniane.

Rumbold zasiadł bez wielkich fanfar za stołem sędziowskim i mruknął coś pod nosem. Jodłowanie Waltera Willy'ego było zarezerwowane wyłącznie dla sądu okręgowego. Rumbold nie zniósłby czegoś takiego.

Widząc licznie zebraną publiczność, przywitał wszystkich uczestników imprezy. Obecni byli starzy sądowi bywalcy – przesiadujący zwykle na zacienionym placu przed sądem znużeni emeryci, sekretarki z drugiej strony korytarza, pracownicy hrabstwa, którzy mieli akurat przerwę, a także, na balkonie, Ernie Dowdle, Hop Purdue i Penrod oraz kilku innych czarnych. Razem liczba widzów zbliżała się do setki.

Wiadomość o stutysięcznym odszkodowaniu, zasądzonym trzy miesiące wcześniej przez sąd federalny, nie została w mieście dobrze przyjęta i ludzie byli ciekawi. W hrabstwie Ford rosła legenda Pete'a Banninga i większości miejscowych nie podobało się, że Jackie Bell próbuje zwędzić ziemię, która od ponad stu lat była w posiadaniu jednej rodziny.

Joel i Stella musieli jako pozwani wziąć udział w posiedzeniu. Usiedli przy stole strony pozwanej razem z Wilbanksami i próbowali ignorować siedzącą przy drugim stole Jackie Bell. Próbowali ignorować wiele rzeczy – tłoczący się za nimi tłum, ciekawskie spojrzenia urzędniczek i prawników, obawę przed niekorzystnym rozstrzygnięciem – najgorsze było jednak to, że siedzieli niespełna pięć metrów od miejsca, w którym jedenaście miesięcy wcześniej zginął na krześle elektrycznym ich ojciec. Ta sala i właściwie cały budynek sądu były mrocznym, przeklętym miejscem, którego nigdy nie chcieli już oglądać.

– Dopuszczam tylko bardzo krótkie mowy wstępne – zaznaczył Rumbold, mierząc srogim spojrzeniem Burcha Dunlapa. – Proszę o zabranie głosu przedstawiciela powódki.

Burch wstał i wziął do ręki notatnik.

– Tak, dziękuję, Wysoki Sądzie. Większość faktów została już ustalona, dlatego nie mam wielu świadków. Szesnastego września tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku, mniej więcej na trzy tygodnie przed tragiczną śmiercią wielebnego Dextera Bella, męża mojej klientki, pan Pete Banning dokonał aktu darowizny swojej ziemi, całych dwustu sześćdziesięciu hektarów, w dwóch równych częściach, na rzecz swoich dzieci, pozwanych Joela i Stelli Banningów. Kopia tego aktu została dołączona do akt sprawy.

– Czytałem go – zahuczał Rumbold.

– Tak, Wysoki Sądzie. Udowodnimy tutaj, że od roku tysiąc osiemset osiemnastego Banningowie nigdy nie przekazywali swojej ziemi następnemu pokoleniu w drodze darowizny. Wcześniej odbywało się to zawsze z mocy testamentu, nigdy nie poprzez darowiznę. Przepisując ziemię dzieciom, Pete Banning chciał po prostu ją chronić, ponieważ nosił się z zamiarem zamordowania Dextera Bella. To jasne jak słońce.

John Wilbanks zerwał się na nogi, zanim jeszcze Dunlap zdążył usiąść.

– Jeśli Wysoki Sąd pozwoli, nie jestem pewien, czy pan Dunlap jest do tego stopnia wszytkowiedzący, by oświecić nas w kwestii, z jakim zamiarem nosił się Pete Banning, podpisując akt darowizny. Ma jednak rację w jednym: ta ziemia należy do rodziny od roku tysiąc osiemset osiemnastego, kiedy to prapradziadek Pete’a Banninga, Jonas Banning, zaczął tworzyć swoją farmę. Banningowie nigdy nie pozbyli się ani piędzi ziemi i powiększali jej areał, kiedy tylko było to możliwe. Szczerze mówiąc, to oburzające, że osoba, która nie mieszka w stanie Missisipi, czy w ogóle ktokolwiek próbuje ją teraz odebrać tej rodzinie. Dziękuję, Wysoki Sądzie.

– Proszę wezwać pańskiego pierwszego świadka – zwrócił się Rumbold do Dunlapa. – To na panu spoczywa ciężar

dostarczenia dowodu.

– Wzywam na świadka mecenasa Claude’a Skinnera.

Siedzący na widowni Skinner wstał, przeszedł na drugą stronę barierki, przysiągł, że będzie mówił prawdę i tylko prawdę, i zajął miejsce dla świadka.

– Proszę podać swoje nazwisko i zawód – poprosił Dunlap.

– Claude Skinner, adwokat. Mam kancelarię w Tupelo i zajmuję się przede wszystkim nieruchomościami.

– Kiedy spotkał się pan z Pete’em Banningiem?

– Banning przyszedł do mojej kancelarii we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku i poprosił, żebym przygotował dla niego akt darowizny. Miał ziemię tu, w hrabstwie Ford, i chciał ją przepisać na dwójkę swoich dzieci.

– Czy znał go pan wcześniej?

– Nie, panie mecenasie, nie znałem. Przyniósł ze sobą plan i pełny opis posiadłości oraz domu, a ja zapytałem go, kto jest jego prawnikiem w tym hrabstwie. Odparł, że obsługuje go kancelaria Wilbanksów, ale w tej sprawie woli się do nich nie zwracać.

– Czy wyjaśnił, dlaczego się do nich nie zwrócił?

– Nie, a ja go nie naciskałem. Zorientowałem się, że pan Banning nie jest zbyt rozmowny.

– I przygotował pan akt darowizny zgodnie z jego życzeniem?

– Owszem. Tydzień później przyjechał ponownie i go podpisał. Moja sekretarka uwierzytelniła go, po czym wraz z należną opłatą wysłała pocztą do referendarza sądowego po drugiej stronie korytarza. Wystawiłem panu Banningowi rachunek na piętnaście dolarów i zapłacił mi gotówką.

– Czy w ogóle go pan pytał, dlaczego przepisał ziemię na dzieci?

– Tak jakby. Sprawdzając łańcuch własności, odkryłem, że w tej rodzinie nigdy nie przekazywano ziemi przez akt darowizny. Zawsze działało się to na mocy testamentu.

Skomentowałem to, a pan Banning odparł, cytując: „Chronię po prostu swoje aktywa”.

– Chronił je przed czym?

– Tego nie powiedział. A ja nie zapytałem.

– Nie mam więcej pytań.

Lekko zdenerwowany John Wilbanks wstał i spojrzał ostro na Skinnera.

– Czy dowiedziawszy się, że to moja kancelaria reprezentowała przez wiele lat pana Banninga, nie pomyślał pan, że być może powinien pan do mnie zatelefonować?

– Nie, mecenasie. Było dość oczywiste, że pan Banning nie chce korzystać z usług pańskiej kancelarii i żadnego innego adwokata w tym hrabstwie. Właśnie dlatego przyjechał do Tupelo i mnie zatrudnił.

– A zatem nie uznał pan, że wymaga tego zawodowa grzeczność?

– W mojej opinii nie było to potrzebne.

– Nie mam więcej pytań.

– Jest pan wolny – oświadczył Rumbold. – Proszę wezwać pańskiego następnego świadka – zwrócił się do Dunlapa.

– Wysoki Sądzie, chcielibyśmy wezwać do złożenia zeznań pana Joela Banninga, świadka strony przeciwnej.

– Obrona nie zgłasza sprzeciwu? – zapytał Rumbold, ale Wilbanks przewidział wcześniej to posunięcie Dunlapa i starannie przygotował Joela.

– Nie, Wysoki Sądzie – odparł.

Joel przysiągł mówić prawdę i tylko prawdę i usiadł na krześle dla świadka. Posłał uśmiech siostrze, zerknął z tego niepowtarzalnego miejsca na widownię, skinął głową siedzącej w pierwszym rzędzie Florry i czekał na pytania, które miał mu zadać jeden z najlepszych w tym stanie adwokatów.

– Gdzie pan był, panie Banning, kiedy dowiedział się pan, że pański ojciec został aresztowany za zamordowanie Dextera Bella? – zapytał na początek Dunlap.

– Jakie to ma znaczenie dla spraw, które rozpatrujemy w tym procesie? – odbił piłeczkę Joel.

– Proszę odpowiedzieć na moje pytanie – odparł lekko zbity z tropu Dunlap.

– Może najpierw pan odpowiedziałby na moje – odparował Joel.

John Wilbanks wstał.

– Wysoki Sądzie, świadek ma rację. Pytanie, które zadał pan Dunlap, nie ma żadnego związku z tą sprawą. Zgłaszam sprzeciw.

– Podtrzymuję – ogłosił tubalnym głosem Rumbold. – Nie widzę związku.

– To nie ma znaczenia – mruknął Dunlap.

Joel miał ochotę szeroko się uśmiechnąć, jakby chciał powiedzieć „Jeden zero dla mnie”, ale udało mu się nie zmienić wyrazu twarzy.

– Czy zanim we wrześniu tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego roku pański ojciec przepisał na pana tę ziemię, rozmawialiście na ten temat? – zadał kolejne pytanie Dunlap.

– Nie.

– Czy rozmawiał o tym z pańską siostrą?

– Proszę ją o to zapytać.

– Nie wie pan?

– Nie sądzę, żeby to zrobił, ale nie mam stuprocentowej pewności.

– Gdzie pan wtedy był?

– Na uczelni.

– A gdzie była ona?

– Na uczelni.

– A czy później pański ojciec kiedykolwiek rozmawiał z panem na temat tej darowizny?

– Zrobił to dopiero w przeddzień swojej śmierci.

– Kiedy to było?

Joel zawahał się i cicho odchrząknął.

– Mojego ojca stracono na tej sali dziesiątego lipca ubiegłego roku – powiedział głośno i wyraźnie.

Po tej nieco dramatycznej scenie Dunlap sięgnął do swojej teczki i zaczął z niej wyciągać dokumenty. Podawał Joelowi jedną po drugiej kopie podpisanych przez jego przodków testamentów i prosił o ich potwierdzenie. Wszystkie zostały dołączone wcześniej do akt, ale Dunlap chciał, by jego wywód wsparło ustne zeznanie. Jego intencje były jasne, raczej wyłożone wprost: Banningowie nieodmiennie przekazywali ziemię następnemu pokoleniu poprzez starannie spisana ostatnią wolę i testament. Pete przejął ziemię i dom w 1932 roku, kiedy zmarła jego matka. Ona przejęła ją trzy lata wcześniej, kiedy zmarł jej mąż. Powoli i skrupulatnie Joel prezentował łańcuch własności, razem ze sporą porcją historii swojej rodziny. Znał ją doskonale i dobrze pamiętał stare testamenty. W każdym pokoleniu mężczyźni umierali pierwsi – w niepokojąco młodym wieku – i przekazywali ziemię żonom, z których żadna nie wyszła ponownie za mąż.

– A zatem pański ojciec był pierwszym w historii tej rodziny mężczyzną, który omijając żonę, przekazał ziemię dzieciom? – zapytał Dunlap.

– To prawda.

– Nie wydaje się to panu czymś niezwykłym?

– Nie jest tajemnicą, mecenasie, że moja matka ma pewne problemy. Wolałbym w to nie wchodzić.

– Nie proszę pana o to.

Mijały kolejne godziny, a Dunlap wciąż powoli dowodził swoich racji. Darowizna Pete'a była z wielu względów podejrzana. W prywatnych rozmowach Joel, Stella i Florry, a nawet John Wilbanks przyznawali, że Pete podpisał akt darowizny, bo miał zamiar zabić Dextera Bella, i to nie ulegało kwestii.

Do południa przesłuchano wszystkich świadków. Adwokaci ogłosili krótkie podsumowania, a Rumbold oświadczył, że wyda orzeczenie „w przyszłości”.

– Kiedy możemy się go spodziewać, Wysoki Sądzie? – zapytał Dunlap.

– Nie jestem związany żadnymi terminami, panie Dunlap – odparł poirytowany Rumbold. – Przejrzę dokumenty i swoje notatki i wydam orzeczenie w stosownym czasie.

– Ale oczywiście, Wysoki Sądzie, chyba nie powinno to trwać zbyt długo – nie dawał za wygraną Dunlap, świadom, że mają liczną widownię. – Posiedzenie trwało niecałe cztery godziny. Fakty i konkluzje są niepodważalne. Dlaczego miałyby tu nastąpić jakaś zwłoka?

Rumbold poczerwieniał i wycelował zakrzywiony palec w adwokata.

– To ja prowadzę tę sprawę, panie Dunlap, i nie potrzebuję wskazówek, jak mam to robić. Powiedział pan już dosyć.

Dunlap dobrze znał opinię miejscowych adwokatów. Rumbold mógł odwlekać wydanie orzeczenia w nieskończoność. Żadne przepisy nie wymagały od sędziów kanclerskich wydania go w określonym czasie, a stanowy Sąd Najwyższy, w którym zawsze było kilku byłych sędziów sądu kanclerskiego, nigdy nie wyznaczał ostatecznych terminów.

– Zawieszam posiedzenie. – Rumbold uderzył młotkiem w podstawkę, nadal gniewnie spoglądając na Dunlapa.

* * *

Nie zamieniając z nikim ani słowa, Jackie Bell i Errol McLeish wyszli z budynku sądu, wsiedli do samochodu i pojechali za miasto, żeby zjeść lunch z Myrą, najbliższą przyjaciółką Jackie z czasów w Clanton. Myra była najlepszym źródłem informacji i plotek o tym, co kto mówi w kościele i na mieście, i nie polubiła nowego pastora, następcy Dextera. Właściwie mało kto go polubił i Myra miała do niego szereg zastrzeżeń. Prawdę mówiąc, nawet teraz, dwa lata po śmierci Dextera, wszystkim go brakowało.

Myra nie polubiła również Errola McLeisha. Miał rozbiegane oczka, miękki uścisk dłoni i w skryty sposób manipulował jej przyjaciółką. Choć posiadał kilka

nieruchomości i starał się robić wrażenie zamożnego, Myra podejrzewała, że prawdziwym celem tego adwokata jest omotanie Jackie i wyciągnięcie, ile się tylko da, z Banningów.

Miał o wiele za duży wpływ na Jackie, która, jej zdaniem, nie otrząsnęła się jeszcze po tragedii. Myra podzieliła się już wcześniej swoimi obawami, oczywiście w zaufaniu, z innymi paniami w kościele. Krążyły plotki, że Jackie ma chrapkę na ziemię i piękną rezydencję Banningów i że to McLeish będzie dyktował warunki.

Ktoś z hotelu Bedford puścił plotkę, że zameldowali się tam jako państwo McLeishowie, choć Jackie zapewniła Myrę, że na razie nie ma zamiaru wychodzić za mąż.

Dwie osoby stanu wolnego zajmowały wspólny pokój hotelowy w śródmieściu Clanton. A jedną z nich była wdowa po pastorze!

Rozdział 42

Jazda pociągiem z Memphis do Kansas City zajęła im siedem i pół godziny, a przystanków po drodze było więcej, niż potrafili zliczyć. Ale Joelowi i Stelli wcale to nie przeszkadzało. Było lato. Na uczelniach zaczęły się wakacje, byli daleko od domu i podróżowali pierwszą klasą; kelnerzy podawali na pierwsze skinienie schłodzone wino. Stella czytała wybór opowiadań Eudory Welty, a Joel przedzierał się przez Absalomie, Absalomie... W Oxfordzie widział dwa razy autora tej powieści, który nie cieszył się raczej większym zainteresowaniem miejscowych. Było publiczną tajemnicą, że pan Faulkner lubi zjeść późną kolację w restauracji Mansion, tuż przy placu, i Joel siedział raz niedaleko niego, kiedy pisarz samotnie się posilał. Przynurzał sobie, że przed ukończeniem studiów zbierze się na odwagę i mu się przedstawi. Wyobrażał sobie, że popija burbona na werandzie domu wielkiego pisarza i opowiada tragiczną historię swojego ojca. Może pan Faulkner słyszał tę historię. Może wykorzysta ją w jednej ze swoich powieści.

Z dworca w Kansas City pojechali taksówką do skromnego domu w centrum miasta. Dziadek i babcia Sweeneyowie przenieśli się tam z Memphis zaraz po wojnie i ani Joel, ani Stella nie złożyli im dotąd wizyty. Prawdę mówiąc, nie utrzymywali bliższych stosunków z rodzicami matki, bo dorastając, zdali sobie sprawę, że Pete nie ma o Sweeneyach

najlepszego mniemania, a oni odwzajemniają mu się tym samym.

Sweeneyowie nie byli zbyt zamożni, ale zawsze starali się ocierać o klasy wyższe. Dlatego między innymi Liza spędzała tyle czasu w hotelu Peabody, kiedy była jeszcze licealistką. Zależało na tym jej rodzicom. Zamiast jednak znaleźć sobie męża wśród bogatych chłopców z Memphis, zaszła w ciążę z farmerem, na domiar złego z Missisipi.

Jak większość obywateli Memphis Sweeneyowie patrzyli z góry na każdego, kto pochodził z Missisipi. Kiedy Liza zaprosiła do domu Pete'a, byli wobec niego grzeczni, ale mimo jego męskiej urody i dyplomu z West Point nie tracili nadziei, że córka znajdzie sobie kogoś innego. Zanim zdążyli na serio zaprotestować, Pete wziął z nią ślub, który spadł na nich jak grom z jasnego nieba. Nie byli pewni, czy uciekając z domu, córka była już w ciąży, ale mały Joel urodził się potem całkiem prędko. Przez lata musieli zapewniać znajomych, że przyszedł na świat „dziewięć miesięcy po ślubie”.

Kiedy Pete'a uznano za martwego, Sweeneyowie, przynajmniej w opinii Lizy, nie starali się jej jakoś specjalnie wspierać. Rzadko odwiedzali plantację, a kiedy zapuścili się już w te dzikie ostępy, chcieli stamtąd jak najszybciej uciekać. W gruncie rzeczy fakt, że ich córka zdecydowała się zamieszkać w takiej dziurze, wprawiał ich w zakłopotanie. Będąc mieszczuchami z krwi i kości, nie interesowali się ziemią, uprawą bawełny i żywym inwentarzem, nie doceniali smaku świeżych jaj i warzyw. Przerazało ich, że w domu i na plantacji Banningów pracują „kolorowi”. Kiedy Pete „powstał z martwych”, niewiele ich to obeszło i odwiedzili go dopiero kilka miesięcy po jego powrocie do domu.

Po wojnie pan Sweeney został przeniesiony do Kansas City, co miało być rzekomo wielkim awansem, a w rzeczywistości stanowiło rozpaczliwą próbę zachowania pracy. Ich nowy dom był jeszcze mniejszy od tego w Memphis, ale żadna z córek już z nimi nie mieszkała, więc nie potrzebowali dużo miejsca. A potem Liza doznała załamania nerwowego

i wylądowała w Whitfield. Sweeneyowie nie mówili nikomu, że ich młodszą córkę wysłano do domu wariatów gdzieś na Głębokim Południu. Odwiedzili ją tylko raz i przeraził ich jej stan i warunki, w jakich przebywała.

A potem aresztowano, osądzono i stracono Pete'a Banninga i Sweeneyowie dziękowali losowi, że mieszkają tak daleko od Clanton.

Kontakt z rodziną matki zachowywali Joel i Stella, wysyłając z rzadka listy do dziadków. Teraz nadeszła być może pora, by złożyć im wizytę. Państwo Sweeneyowie przywitali ich w swoim domu i wydawali się autentycznie zaskoczeni, że młodzi przybyli aż do Kansas City. Przy długim, wyjątkowo niesmacznym obiedzie – babcia nigdy nie lubiła gotować – rozmawiali o uczelni Stelli, o wydziale prawa Joela i o ich planach na przyszłość. Rozmawiali też o Lizie. Stella i Joel spędzili z nią właśnie dwa dni i twierdzili, że robi postępy. Jej lekarze byli pełni optymizmu i uważali, że nowe leki są całkiem skuteczne. Liza trochę przytyła. Sweeneyowie chętnie wybraliby się na Południe, by ją odwiedzić, ale dziadek miał tyle pracy, że trudno było mu się wyrwać.

Joel i Stella nie wspomnieli o prawnej hekatombie, z którą się zmagali, bo też dziadka i babcię chyba w ogóle to nie obchodziło. Woleli mówić o sobie i o wszystkich tych wspaniałych i bogatych ludziach, z którymi zawarli znajomość w Kansas City. W porównaniu z Memphis to był olbrzymi krok do przodu. Ich wnuki nie myślą chyba o zamieszkaniu w Missisipi.

Stella przespała się w gościnnym pokoju, a Joel w salonie na sofie. Po niespokojnej nocy obudziły go dochodzące z kuchni hałasy i zapach kawy. Dziadek siedział przy stole, jedząc grzankę i przerzucając pospiesznie strony gazety. Babcia robiła ciasto na naleśniki. Po kilku minutach pogawędki dziadek złapał teczkę i wybiegł, by dotrzeć na czas do biura i uratować ważną umowę.

– Haruje od rana do wieczora – powiedziała babcia, gdy tylko zamknęły się za nim drzwi. – Usiądźmy i pogadajmy.

Wkrótce dołączyła do nich Stella i razem zasiedli przy kiełbaskach i naleśnikach. Mniej więcej w połowie śniadania Stella wspomniała o zadaniu, które jesienią mieli przerabiać na zajęciach. Poproszono studentów o zebranie jak najwięcej informacji na temat zdrowia i sprawności fizycznej ich najbliższych krewnych. Te dane będą potem omawiali na zajęciach, by określić hipotetyczną długość życia każdego studenta. Jeśli chodzi o Banningów, nie wyglądało to zbyt różowo. Ojciec Pete'a zmarł na zawał serca w wieku czterdziestu dziewięciu lat; jego matka na zapalenie płuc w wieku pięćdziesięciu. Ciotka Florry miała pięćdziesiąt lat i cieszyła się chyba dobrym zdrowiem, ale w ciągu ostatnich stu lat żadne z Banningów, czy to mężczyzna, czy kobieta, nie dożyło siedemdziesiątki.

Joel wyjaśnił, że pomaga siostrze w projekcie i będzie robił notatki. Omówili krótko kwestie zdrowotne nieżyjących już rodziców babci, a także rodziców pana Sweeneya.

Pani Sweeney miała sześćdziesiąt sześć lat i twierdziła, że nic jej nie dolega. Nie była na nic chora i nie brała żadnych leków. Nie miała nigdy raka, nie chorowała na serce i w ogóle na nic poważnego. Dwa razy trafiła do szpitala w Memphis, kiedy rodziły się jej dwie córki. Nie znosiła szpitali i starała się ich unikać. Joel i Stella ucieszyli się, że mają bardziej obiecujące geny ze strony Sweeneyów.

* * *

Jeżeli Nineva mówiła prawdę, a niemal nigdy się z nią nie mijała, to dlaczego Liza Banning i Dexter Bell kłamali, opowiadając, że jadą do pani Sweeney, która umiera na raka w szpitalu w Memphis? I ukryli to przed dziećmi i przed wszystkimi?

To rodziło kolejne pytanie: co naprawdę robili tamtego dnia?

* * *

W Kansas City wytrzymali dwie noce. Babcia odwiozła ich na dworzec i wszyscy się uściskali. Padły obietnice, że będą w kontakcie i wkrótce znów się spotkają. W wagonie restauracyjnym Joel i Stella głęboko odetchnęli i poprosili o kieliszek wina.

W St. Louis wysiedli z pociągu i wynajęli pokój w hotelu w śródmieściu. Joel chciał koniecznie obejrzeć mecz Cardinals na stadionie Sportsman's Park i nalegał, by siostra mu towarzyszyła. Stella nie interesowała się baseballlem, ale tak naprawdę nie miała wyboru. Drużyna zajmowała drugie miejsce w lidze, Stan Musial był w życiowej formie i prowadził w klasyfikacji trafień i home runów, a Joel naprawdę bardzo to przeżywał. Mecz całkiem im się spodobał.

Z St. Louis ruszyli dalej na wschód, przesiedli się w Louisville i Pittsburghu i wieczorem siedemnastego czerwca dotarli w końcu na Union Station w Waszyngtonie. W poniedziałek Stella zaczynała dwumiesięczny staż w wydawnictwie i musiała znaleźć sobie jakiś tani pokój.

Po powrocie do Clanton Joela czekała dalsza bezpłatna praktyka prawnicza w kancelarii Wilbanksów. Zbyttno się z tego powodu nie cieszył. Miał powyżej dziurek w nosie prawa i zastanawiał, się czy nie zrobić sobie rocznej albo dwuletniej przerwy. Chciał wyjechać gdzieś daleko, poszukać szczęścia na zachodzie i zapomnieć o całym otaczającym go syfie. Dlaczego zamiast siedzieć na nudnych zajęciach na uczelni, składać kolejne przygnębiające wizyty u matki, zamartwiać się, jakim jeszcze prawniczym trikiem zaskoczy ich Burch Dunlap, i trzymać za rękę Florry w różowym domku, gdy puszczała mu swoje operowe płyty, nie miałby pojechać w góry i przez kilka miesięcy łowić tam pstrągi?

Ponieważ nie zostało mu zbyt wiele gotówki, darował sobie pierwszą klasę i kupił do Memphis zwykły bilet. Siedział na stołku w barze na Union Station i popijał piwo, kiedy weszła

tam ona. Krótkie czarne włosy, ciemne oczy, idealne rysy twarzy. Koło dwudziestki, prawdziwa piękność; spośród siedzących w barze mężczyzn nie tylko on zwrócił na nią uwagę. Wysoka, szczupła, proporcjonalnie zbudowana. Kiedy zniknęła mu z pola widzenia, wrócił do piwa i swoich kłopotów, nie mogąc uwierzyć, że zrezygnował z pierwszej klasy, bo martwił się o pieniądze.

Dopił piwo, ruszył na peron i znów ją tam zobaczył. Przystanął blisko niej w nadziei, że dziewczyna jedzie tym samym pociągiem. Okazało się, że tak, i zauważył kilku innych mężczyzn mierzących ją łakomym wzrokiem. Wszedł do wagonu tuż za nią i udało mu się zająć sąsiednie miejsce. Rozsiadł się wygodnie, wyciągnął z torby czasopismo i ignorując dziewczynę, zagłębił się w lekturze. Kiedy pociąg ruszył, zaryzykował kolejne krótkie zerknięcie. Dostrzegł w jej rysach jakąś egzotyczną mieszankę etniczną, której rezultat był oszałamiający. Nigdy w życiu nie widział tak pięknej twarzy. Dziewczyna czytała książkę, zachowując się tak, jakby była sama w pustym pociągu. To musi być jej mechanizm obronny, pomyślał. Faceci śledzą ją spojrzeniami, kiedy tylko wychodzi z domu.

Gdy wyjechali z Waszyngtonu i zrobiło się cieplej, wstał i zdjął marynarkę. Dziewczyna uniosła wzrok. Joel uśmiechnął się; ona nie.

– Dokąd pani jedzie? – zapytał, siadając z powrotem.

Uśmiech, od którego zrobiło mu się słabo.

– Do Jackson.

Tam, dokąd zmierzali, było kilka miast o tej nazwie; na szczęście wszystkie oddalone co najmniej o tysiąc kilometrów. A więc będą zapewne siedzieli łokieć w łokieć przez wiele godzin.

– W Missisipi? – zapytał.

– Tak.

– Dobrze znam to miasto. Mieszka tam pani?

– Nie, jestem z Biloxi, ale zatrzymam się w Jackson parę dni.

Cichy zmysłowy głos, akcent znad Zatoki Meksykańskiej. Dla reszty Missisipi wybrzeże było innym światem. Miejscem, gdzie dominowali katolicy i silne były wpływy francuskie, hiszpańskie, kreolskie, indiańskie i afrykańskie; prawdziwym tygłem z dużą liczbą Włochów, Jugosłowian, Libańczyków, Chińczyków i jak wszędzie, Irlandczyków.

– Lubię Jackson – rzucił Joel, choć było to tylko częściowo prawdą, ale nadeszła jego kolej, by coś powiedzieć.

– Jest w porządku – przyznała i odłożyła książkę na kolana, dając jasny sygnał, że ma ochotę na pogawędkę. – Gdzie pan bywa, kiedy odwiedza pan Jackson?

W Whitfield, bo moją matkę zamknęli tam w wariatkowie. Na wszelki wypadek przedstawi się tylko z imienia. To był jego mechanizm obronny.

– Jest taki mały bar za hotelem Heidelberg, który całkiem lubię. Mam na imię Joel.

– A ja Mary Ann. Malouf.

– Skąd pochodzą Maloufowie?

– Mój ojciec jest Libańczykiem, matka Irlandką.

– I dominujące geny wygrały. Jesteś naprawdę piękna.

Nie mógł uwierzyć, że to powiedział. Co za kretyn!

Mary Ann uśmiechnęła się i ponownie zatrzepotało mu serce.

– A ty dokąd jedziesz? – zapytała.

– Wsiadam w Memphis. – Albo jeśli chcesz, pojedę z tobą na Marsa i z powrotem. – Studiuję na Ole Miss. Na wydziale prawa.

Jedną z przyczyn, dla których nadal studiował prawo, było to, że młode dziewczęta lubiły pogawędzić z przyszłymi adwokatami. Na pierwszym roku dość szybko poznał tę prawidłowość i nauczył się z niej korzystać.

– Długo tam studiujesz? – zapytała.

– To będzie mój drugi rok.

– Jakoś cię nie spotkałam.

– Nie spotkałaś? Gdzie?

– Na kampusie. Jesienią ja też zaczynam studia na drugim roku.

Uniwersytet miał cztery tysiące studentów, z tego tylko piętnaście procent kobiet. Jak to się stało, że jej wcześniej nie zauważył?

– Świat jest mały – powiedział z uśmiechem. – Poza tym studenci prawa raczej trzymają się razem.

Nie mógł uwierzyć we własne szczęście. Nie tylko będzie ją miał dla siebie przez następne dziesięć godzin, ale za dwa miesiące będą studiować na tej samej uczelni. Była to jedna z nielicznych chwil, gdy widział powód, by się uśmiechnąć.

– Co sprowadziło cię do stolicy? – zapytała.

– Pomagałem przeprowadzić się tam siostrze. Dostała wakacyjną pracę. Pochodzimy z małego miasteczka niedaleko Oxfordu. A ciebie?

– Pojechałam z wizytą do narzeczonego. Pracuje dla jednej z komisji senackich.

I w tym momencie było po balu. Joel miał nadzieję, że się nie skrzywił ani nie wygląda, jakby zbierało mu się na płacz. Miał nadzieję, że jego mina nadal świadczy, iż ma dla swojej współpasażerki wiele sympatii i zrozumienia, choć w obliczu takiej katastrofy można w to było wątpić.

– To miło – udało mu się wyjąkać. – Kiedy będzie ten wielki dzień?

– Jeszcze nie wiemy. Jak skończę studia. Raczej się nam nie spieszy.

Skoro romans i wspólna przyszłość nie wchodziły już w grę, zaczęli rozmawiać o planach na resztę lata, o tym, co czeka ich na studiach i co chcieliby robić po ich ukończeniu. Choć Mary Ann była cudowną rozmówczynią, Joel wkrótce przestał się nią interesować i zasnął.

Rozdział 43

Kiedy minęły trzy miesiące i stary Rumbold nadal nie wydawał orzeczenia w sprawie darowizny, Burch Dunlap przystąpił do działania. Na początku września wystosował wniosek do stanowego Sądu Najwyższego, domagając się, by ten nakazał Rumboldowi wydać orzeczenie w ciągu trzydziestu dni. Manewr był nieskuteczny i miał tylko postawić sędziego w niezręcznej sytuacji. Tego rodzaju kroków prawnych nie przewidywano w żadnych kodeksach i Dunlap dobrze o tym wiedział. We wniosku dowodził, że Rumbold nie jest w tym postępowaniu obiektywny i powinien się z niego wyłączyć. Przedstawił w skrócie dowody i zeznania złożone podczas trwającego kilka godzin procesu, powołał się na odpowiednie paragrafy i stwierdził, że rzecz jest prosta i nieskomplikowana. „Na wokandzie sądu kanclerskiego Dwudziestego Szóstego Dystryktu Sądowego nie ma aż tak wielu spraw – napisał w podsumowaniu. – Nawet z pobieżnego przeglądu wynika, że sędzia się nie przepracowuje. Trudno uwierzyć, by tak mądry, szanowany i doświadczony prawnik jak czcigodny sędzia Abbott Rumbold nie był w stanie osądzić tej sprawy i wydać orzeczenia w ciągu kilku dni. Trwająca trzy miesiące i wciąż przedłużająca się zwłoka krzywdzi obie strony. Spóźniona sprawiedliwość to żadna sprawiedliwość”.

John Wilbanks podziwiał tupet Dunlapa i uważał jego posunięcie za bardzo pomysłowe. Stanowy Sąd Najwyższy oddali zapewne wniosek bez komentarza, ale zostanie w niekonwencjonalny sposób powiadomiony, że toczy się ważna sprawa, w której być może dochodzi do nadużyć. W odpowiedzi John wysmażył jednostronicowe pismo, w którym przypomniał sądowi, że przepisy nie przewidują przyjmowania tego rodzaju wniosków i nie pozwalają adwokatom ustanawiać własnych reguł postępowania.

Sąd Najwyższy zignorował wniosek Dunlapa i nie raczył na niego w ogóle odpowiedzieć.

Miesiąc później, nie doczekawszy się reakcji ze strony Rumbolda, Dunlap złożył kolejny, identycznie brzmiący wniosek. John Wilbanks zwrócił sądowi uwagę, że składając swoje niepoważne wnioski, Dunlap zmusza strony do uiszczania niepotrzebnych opłat prawnych. Dunlap ostro na to odpowiedział. John nie pozostał mu dłużny. Stanowemu Sądowi Najwyższemu niezbyt się to podobało. Rumbold nie budził się z drzemki.

* * *

W każdą środę Joel kończył zajęcia w południe i jechał do domu na lunch. Marietta przygotowywała zawsze jakieś pyszne danie i razem z ciotką Florry zjadał je na tylnej werandzie, słuchając dobiegającego z oddali ćwierkania ptaków. Za ptaszarnią ciągnęły się pola z dojrzałą bawełną; zbiory miały się zacząć, kiedy tylko trochę się ochłodzi. Rozmawiali jak zwykle o Stelli, Lizie i studiach Joela, ani jednym słowem nie wspominali o pozwach i groźbie utraty ziemi.

Po długim lunchu Joel podjeżdżał do domu, by spotkać się z Ninewą i Amosem i upewnić się, czy wszystko jest w porządku. Było w porządku. Spotykał się także z Bufordem i omawiał z nim zbiory. A potem jechał do miasta, parkował

przy placu i szedł do kancelarii Wilbanksów, by przez kilka godzin u nich popracować. John i Russell chcieli, by w wolnym czasie sprawdzał i pisał pisma procesowe. Wieczorem wypijał z nimi burbona na tarasie, brał akta i wracał do Oxfordu.

Po kilku próbach zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie nocować we własnym domu, który wydawał się zbyt cichy, opuszczony i przygnębiający. Za dużo było w nim zdjęć rodziny ze szczęśliwych czasów, za dużo pamiątek. W gabinecie ojca, na ścianie za biurkiem, wisiała fotografia Pete'a zrobiona w dniu, gdy ukończył West Point. Joel od najmłodszych lat wpatrywał się w nią z podziwem. Teraz nie mógł na nią nawet spojrzeć.

Zastanawiali się ze Stellą, czy nie spakować wszystkich fotografii, książek i medali i nie oddać ich gdzieś na przechowanie, ale nie mogli się na to zdobyć. Poza tym matka mogła pewnego dnia wrócić do domu i zapragnąć odbudować swoje życie – wszystkie te pamiątki mogą się dla niej okazać ważne.

Dlatego ich piękny dom nadal był mroczny, ponury i opuszczony i tylko Nineva przychodziła tu codziennie; odkurzała to i owo, zbytnio się nie przemęczając.

Po każdej wizycie w Clanton Joel coraz mocniej nosił się z zamiarem, by stąd na dobre wyjechać. Jego życie tutaj nigdy już nie mogło być takie samo. Ojciec nie żył. Przyszłość matki stała pod znakiem zapytania. Stellę przyciągały światła wielkich miast na północy, gdzieś daleko od hrabstwa Ford. Bracia Wilbanksowie coraz częściej napomykali, że chętnie zatrudniliby go po studiach, ale Joel wiedział, że nigdy do tego nie dojdzie. W Clanton zawsze byłby „synem Pete'a Banninga”, faceta, którego usmażyli na krześle elektrycznym w głównej sali budynku sądu.

Czy naprawdę myśleli, że Joel będzie praktykował prawo w miejscu, w którym zabili jego ojca? Naprawdę spodziewali się, że będzie wiódł normalne szczęśliwe życie w mieście, gdzie połowa mieszkańców uważała jego ojca za mordercę,

a druga połowa podejrzewała, że jego matka puściła się z pastorem?

Clanton było ostatnim miejscem, w którym chciałby mieszkać.

Za to Biloxi wydawało się obiecujące. Nie naprzykrzał się zbyttnio Mary Ann Malouf, ale wiedział, w jakim mieszka akademiku, i znał jej rozkład zajęć. Wyposażony w tę wiedzę, mógł spotykać się z nią często na kampusie. Kilka razy obserwował ją z daleka i zirytowała go liczba chłopców, którzy robili to samo. Kiedy pierwszego października 1948 roku do miasta zjechali na mecz futbolu kibice z Kentucky, Joel zaprosił ją na randkę. Mary Ann odmówiła i przypomniała mu, że jest zaręczona. Jej narzeczony studiował wcześniej na Ole Miss i miał tu nadal znajomych. Nie mogła się pokazywać z nikim innym.

Nie powiedziała, że nie chce chodzić z nikim innym, tylko że nie może się z nikim pokazywać. Joel zauważył tę istotną różnicę. Odparł na to, że jego zdaniem jest czymś głęboko niesprawiedliwym, że taka piękna dziewczyna musi tak bardzo ograniczać swoje życie towarzyskie, podczas gdy jej narzeczony bez wątpienia dobrze się bawi w Waszyngtonie. Zapytał też, dlaczego Mary Ann nie nosi pierścionka zaręczynowego. Nie nosiła, bo go nie miała.

Joel nie dawał za wygraną i Mary Ann zgodziła się w końcu na późną kolację. Nie na randkę, tylko na wspólne spożycie posiłku. Spotkał się z nią po zmroku przed budynkiem Lyceum i pojechali do śródmieścia. Zaparkowali przy domu towarowym Neilsona i przeszli spacerem wzdłuż South Lamar do Mansion, jedynej tak późno otwartej restauracji. Kiedy tam weszli, Joel zobaczył siedzącego przy swoim stoliku Williama Faulknera. Jedząc samotnie kolację, czytał jakieś czasopismo.

Faulkner wydał właśnie swoją czternastą powieść, pod tytułem Intruz. Pisujący do „Memphis Press-Scimitar” krytyk ocenił ją raczej średnio, co ważniejsze jednak, w tym samym numerze gazety poinformowano, że Faulkner sprzedał prawa do sfilmowania powieści wytwórni MGM. Joel kupił

egzemplarz w małej księgarni w Jackson, kiedy odwiedzał matkę. W tamtym czasie w Oxfordzie nie było żadnej księgarni i miejscowych raczej nie interesowało, co pisze i wydaje najślynniejszy syn ich ziemi. Generalnie oni ignorowali jego, a on ich.

W papierowej torbie Joel miał dwie książki: dopiero co kupionego i jeszcze nieprzeczytanego Intruza oraz należący do jego ojca sfatygowany egzemplarz Kiedy umieram.

O tej godzinie restauracja była prawie pusta i Joel z Mary Ann usiedli tak blisko pana Faulknera, jak można to było zrobić bez naruszania jego prywatności. Joel miał nadzieję, że pisarz może zauważy piękną studentkę i zechce z nią poflirtować, co podobno lubił robić, lecz on był zbyt zaabsorbowany lekturą i nie zwracał uwagi na otoczenie.

Zamówili mrożoną herbatę oraz półmisek warzyw i rozmawiając półgłosem, czekali na sposobny moment. Joel był w siódmym niebie, mogąc jednocześnie spoglądać w oczy dziewczynie, o której marzył, i przebywać tak blisko pisarza, którego chciał poznać.

Faulkner odsunął talerz z niedojedzonym pieczonym kurczakiem, spróbował ciasta brzoskwiniowego i wyciągnął z kieszeni fajkę. Rozejrzał się i zauważył w końcu Mary Ann. Joela rozbawiło to, jak drgnął i natychmiast się zainteresował. Majstrując przy fajce, pisarz zmierzył dziewczynę bacnym wzrokiem. Joel wstał, podszedł do jego stolika, przeprosił, że przeszkadza, i zapytał wielkiego człowieka, czy byłby tak miły i podpisał się na egzemplarzu należące do jego ojca powieści Kiedy umieram, książki, którą Joel uwielbia, a także na jego własnym wydaniu Intruza.

– Oczywiście – odrzekł grzecznie pan Faulkner swoim piskliwym głosem, po czym wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki pióro i wziął od chłopaka obie książki.

– Nazywam się Joel Banning, studiuje tutaj prawo.

– Miło cię poznać, synu. A twoja przyjaciółka? – zapytał Faulkner, uśmiechając się do Mary Ann.

– Mary Ann Malouf, też tu studiuje.

– Z każdym rokiem wyglądają młodziej – stwierdził pisarz, po czym otworzył pierwszą książkę, wpisał małymi literami swoje nazwisko, oddał ją i podpisał drugą.

– Dziękuję, panie Faulkner – powiedział Joel i ponieważ nie przychodziło mu do głowy nic więcej, a pisarz najwyraźniej nie miał ochoty z nim dalej gadać, ukłonił się i wrócił do swojego stolika.

Nie udało mu się uścisnąć jego dłoni i był pewien, że Faulkner nie zapamięta jego nazwiska.

Niemniej jednak zamienił z nim kilka słów i wiedział, że będzie miał o czym opowiadać do końca życia.

* * *

W listopadzie Burch złożył swój trzeci wniosek, a w grudniu czwarty. Po sześciomiesięcznej zwłoce w rozpatrywaniu sprawy sędzieja Rumbold doszedł do wniosku, że czas wydać orzeczenie. W dwustronicowej decyzji uznał, że przepisanie przez Pete'a Banninga ziemi jego dwojgu dzieciom było prawidłowe i nie można go podważyć. Nie uwzględnił żadnych roszczeń Jackie Bell.

Spodziewając się takiego wyroku, Burch Dunlap napisał apelację prawie z dnia na dzień i złożył ją w Jackson, w stanowym Sądzie Najwyższym, gdzie znano już całkiem nieźle całą sprawę.

W ferie Bożego Narodzenia Joel zatrzymał się u Florry i spędzał całe dni w kancelarii Wilbanksów, pisząc odpowiedź na apelację. Kwerenda, jaką przeprowadził już wcześniej, była wyczerpująca, skrupulatna i nie napawała optymizmem. Generalnie rzecz biorąc, orzecznictwo sprzyjało transferom ziemi odbywającym się między pokoleniami tej samej rodziny. Ale jednocześnie prawo patrzyło surowym okiem na kryminalistów, którzy przekazywali majątek bliskim, by ofiary ich przestępstw nie mogły uzyskać

odszkodowania. Nie ulegało raczej wątpliwości, że Pete próbował pozbyć się ziemi przed zabiciem Dextera Bella.

Przeglądając akta i ślęcząc nad pismem procesowym, Joel miał chwilami wrażenie, że razem z nim w pokoju są pokolenia jego przodków. To oni wykarczowali ziemię i wydarli ją puszczy, orali zaprzęgami wołów i mułów, tracili zbiory wskutek powodzi albo zarazy, dokupywali, gdy było ich na to stać, kolejne hektary, zaciągali kredyty, biedowali w chude lata i spłacali długi po obfitych zbiorach. Urodzili się na tej ziemi i w niej zostali pochowani, a teraz, po ponad stuleciu, wszystko zależało od ich młodego potomka i jego prawniczych talentów.

Spoczywali na Starej Sykomorze, pod równymi rzędami nagrobków. Czy ich duchy obserwowały teraz Joela i modliły się o jego wygraną?

Czuł ciężar spoczywającej na nim odpowiedzialności i często aż ścisnęło go w żołądku. Rodzina została już wystarczająco upokorzona. Utraty ziemi nie odżałowałiby do końca życia.

Zdawał sobie również sprawę z dość oczywistego faktu, że on i Stella liczą na wieloletnie dochody z farmy. Każde z nich robi z pewnością udaną karierę, ale wychowano ich w przekonaniu, że rodzinna plantacja będzie zawsze oferowała jakiś rodzaj wsparcia. Wiedzieli, że są dobre i złe lata, rekordowe zbiory i powodzie, zwwyżki i zniżki cen i że nic nie jest dane raz na zawsze. Ale ziemia była niezadłużona i nieobciążona, więc mogli przetrwać lata gorszych zbiorów. Utrata farmy byłaby trudna do zaakceptowania.

No i była jeszcze matka. Liza coraz częściej wspominała o powrocie do domu i do wiejskiego życia. Twierdziła, że tęskni za Ninewą, w co Joel raczej wątpił. Ale brakowało jej tych rytuałów, pracy w ogrodzie, przejażdżek konnych, rozmów z przyjaciółkami. Gdyby to wszystko miało przepaść, szkoda byłaby niepowetowana. Przy każdej wizycie Joela doktor Hilsabeck pytał o pozwy i apelacje, całą tę prawniczą kuchnię, która była dla niego czarną magią.

Dlatego Joel wertował akta i pisał. John Wilbanks przeglądał jego kolejne szkice, redagował je i komentował. Odpowiedź na apelację złożyli osiemnastego stycznia i zaczęło się oczekiwanie. Sąd Najwyższy mógł rozpatrzyć sprawę równie dobrze w ciągu trzech, jak i dwunastu miesięcy.

Tego popołudnia Joel spakował swoje papiery i zrobił porządek na biurku i w małym pokoiku, w którym spędził ostatnio tyle godzin. Pożegnał się już wcześniej z Florry i wieczorem miał zamiar wyjechać do Oxfordu, gdzie zaczynał czwarty semestr na wydziale prawa. Tymczasem usiadł na tarasie, by wypić z Johnem Wilbanksem drinka. Jak na tę porę roku było niezwykle ciepło, w powietrzu czuło się powiew wiosny.

John zapalił cygaro i zaproponował też Joelowi, ale ten grzecznie odmówił. Popijając jacka danielsa, przez chwilę gawędzili o pogodzie.

– Żałujemy, że nas opuszczasz, Joel – powiedział w końcu Wilbanks. – Miło było pracować z tobą w kancelarii.

– Mnie też było miło – odparł niezbyt szczerze Joel.

– Chcielibyśmy, żebyś w lecie przyjechał do nas na kolejny staż.

– Dziękuję. Bardzo to doceniam. – Nie zamierzał tu wracać ani tego lata, ani żadnego następnego, ale za wcześnie było, by o tym mówić. – Być może będę musiał zostać latem na uczelni – dodał. – Zrobiłbym wtedy dyplom w grudniu.

– Po co ten pośpiech? Naciesz się trochę dłużej studenckim życiem, synu.

– Mam go powyżej dziurek w nosie. Chcę skończyć studia i zacząć pracować.

– Cóż, mam nadzieję, że rozważysz naszą ofertę. Mamy zamiar zaproponować ci stanowisko młodszego wspólnika.

Po co owijać w bawełnę? Jego ojciec zawsze mówił to, co myślał, i podziwiano go za szczerść. Joel pociągnął długi łyk whisky.

– Nie wiem, czy mogę prowadzić praktykę prawną w tym mieście, panie Wilbanks – powiedział. – Kiedy widzę budynek

tego sądu, a trudno go raczej nie zauważyć, myślę o ostatnich chwilach ojca. Myślę o tym, jak szedł dzielnie ulicą, na oczach wszystkich tych ludzi, weteranów, którzy przyjechali, by oddać mu cześć, i widzę, jak wchodzi do tego budynku i wspina się po schodach na spotkanie śmierci. Widzę jego długi marsz do grobu. I kiedy sam wchodzę do tej sali, mam przed oczami tylko jeden obraz. To, jak przywiązują mojego ojca do krzesła.

– Rozumiem, Joel.

– Chyba nigdy nie będę w stanie o tym zapomnieć. Jak mógłbym reprezentować klientów w takim miejscu?

– Rozumiem.

Rozdział 44

Dwudziestego ósmego marca 1949 roku, trzynaście miesięcy po zakończeniu procesu w Oxfordzie, Sąd Apelacyjny Piątego Dystryktu Sądowego w Nowym Orleanie zatwierdził werdykt przyznający Jackie Bell łączne odszkodowanie w wysokości stu tysięcy dolarów. Orzeczenie było krótkie i jednomyślne. Choć wysokość odszkodowania mogła budzić pewien niepokój, sędziowie nie widzieli powodu, by bronić interesów zamożnego mężczyzny, który z taką bezwzględnością zamordował swojego pastora. Rodzina ofiary poniosła wielką stratę. Przysięgli wysłuchali świadków, zapoznali się z dokumentami i po gruntownym namyśle podjęli decyzję. Sędziowie zgodzili się w każdym punkcie z opiniami przysięgłych.

Dla Banningów była to katastrofa. Wilbanksowie i Joel łudzili się wcześniej, że choć apelacja zostanie w zasadzie odrzucona, suma odszkodowania ulegnie znacznemu obniżeniu. Ustalenie wysokości samego odszkodowania za straty moralne na pięćdziesiąt tysięcy dolarów było czymś niebywałym. Uwzględniając wartość ziemi Pete'a i jego innych aktywów, można było przyjąć, że z całego majątku uda się wyciągnąć około pięćdziesięciu tysięcy. Ewentualni nowi właściciele mogliby pożyczyć tyle pod hipotekę i wykonać postanowienie sądu. Ale sto tysięcy było nie do pomyślenia.

Los ziemi zależał teraz wyłącznie od rozstrzygnięcia w Sądzie Najwyższym stanu Missisipi. Gdyby podtrzymał on postanowienie sędziego Rumbolda, który orzekł, że darowizna była prawidłowa, Joel i Stella zachowaliby farmę. Burch Dunlap i jego obecnie stały pomocnik, Errol McLeish, musieliby zaatakować inne aktywa Pete'a – jego konta w banku, sprzęt rolniczy, żywy inwentarz, samochody – i wycisnąć z nich wszystko, co się da. Gdyby jednak sąd podważył wyrok Rumbolda, ziemia weszłaby z powrotem w skład masy spadkowej i można by z niej ściągnąć odszkodowanie. Wszystko, łącznie z domem i meblami, byłoby stracone.

Z pomocą Joela John Wilbanks zaskarżył decyzję Sądu Apelacyjnego Piątego Dystryktu Sądowego do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, co było kompletną stratą czasu, ale dało zajęcie Dunlapowi i pozwoliło zyskać kilka miesięcy zwłoki. Dunlap udał się do okręgowego urzędnika sądowego i zgłosił do egzekucji roszczenie w kwocie stu tysięcy dolarów, wraz z naliczonymi odsetkami. Wilbanks pobiegł do sądu kanclerskiego, zbudził starego Rumbolda ze snu i złożył wniosek o zakaz sądowy, by uniemożliwić Dunlapowi naruszanie aktywów w trakcie apelacji. Po krótkim i kontrowersyjnym wysłuchaniu Rumbold po raz kolejny wydał werdykt na korzyść Banningów. Dunlap złożył do Sądu Najwyższego Missisipi wniosek o przyspieszone wysłuchanie. Wilbanks zgłosił sprzeciw.

Joel śledził te posunięcia i kontrposunięcia ze swojego bezpiecznego mieszkania w Oxfordzie. Za dziesięć dolarów miesięcznie wynajął pod nim garaż i używając pick-upa ojca, zaczął po cichu przewozić tu z domu meble i różne sprzęty. Ninevie niezbyt się to podobało, ale nie miała w tej kwestii nic do gadania.

W połowie maja Joel wsiadł wraz z Florry do jej lincolna rocznik 1939 i wyruszyli w długą podróż do Wirginii. Zameldowali się w hotelu Roanoke i wyprawili tam koktajlowe przyjęcie dla Stelli i jej koleżanek z Hollins.

A potem w cudowny wiosenny dzień wraz z innymi dumnymi rodzicami i członkami rodzin patrzyli, jak Stella odbiera dyplom z literatury angielskiej. Następnego dnia panie usiadły w cieniu i popijały herbatę, a Joel zatargał z akademika do samochodu wszystkie torby i kartony siostry. Kiedy samochód wypełnił się pod sufit, a on padał z nóg, Stella pożegnała się z przyjaciółkami i uczelnią, którą pokochała. Joel nigdy nie widział tyłu łez, nawet na porządnym pogrzebie.

Z siedzącymi na tylnej kanapie, wydającymi mu instrukcje kobietami i ze stertą pudeł i pakunków, które zasłaniały widok we wszystkich lusterkach, Joel ruszył na północ. Trzy godziny później zabłądzili w Richmond, ale i tak zatrzymali się przy knajpie w gorszej części miasta. Ktoś miejscowy pokazał im, jak jechać dalej, i po szybkim lunchu ruszyli do Waszyngtonu.

Stella wymyśliła sobie, że zamieszka w Nowym Jorku, znajdzie pracę w jakimś czasopiśmie, a na boku będzie pisała poważną prozę. Okazało się jednak, że realizacja tego planu wymaga więcej czasu, niż myślała. W redakcjach czasopism było niewiele wolnych etatów, za to każda szkoła potrzebowała młodych nauczycielek. Episkopalna żeńska szkoła St. Agnes w Alexandrii pod Waszyngtonem zaproponowała jej etat nauczycielki angielskiego w dziewiątej klasie i funkcję wychowawczynie w internacie. Podczas gdy Stella i Florry popijały herbatę z dyrektorką szkoły, Joel po raz kolejny prznosił bagaże siostry do dusznej sypialni, jeszcze mniejszej od tej w Hollins.

Pozwolono mu zaparkować bezpiecznie samochód na terenie szkoły, a woźny zgodził się za dziesięć dolarów podpompowywać opony i raz dziennie odpalać silnik. Florry, Stella i Joel wzięli taksówkę, przejechali przez Potomak i na Union Station w Waszyngtonie wsiedli w pociąg do Nowego Jorku.

* * *

Zanim Burch Dunlap i jego chciwi klienci wyszarpią od nich całą forszę, postanowili wydać jakąś część tego, co jeszcze mają. Stella nie płaciła już chesnego i miała etat. Joelowi został tylko jeden rok prawa i też zamierzał znaleźć sobie jakąś pracę. Florry miała trochę odłożonych pieniędzy, a jej część ziemi była poza zasięgiem sędów. Wakacje 1949 roku mogły okazać się ostatnimi, które spędzają razem, dlaczego więc nie mieliby raz w życiu zaszaleć?

W porcie na dolnym Manhattanie zaokrętowali się na płynący do Londynu liniowiec i spędzili na jego pokładzie cudowne dwa tygodnie, odpoczywając, czytając i próbując zapomnieć o wszystkich domowych problemach. Mając wreszcie trochę wolnego czasu, Joel i Stella zauważyli po raz pierwszy, jak powolna zrobiła się Florry. Zawsze miała lekką nadwagę, ale wcześniej była aktywna i pełna wigoru. Teraz często brakowało jej tchu i męczyła się już po przejściu kilkudziesięciu kroków.

W Londynie spędzili tydzień w hotelu St. Regis, zobaczyli wszystko, co było do zobaczenia, po czym pojechali do Edynburga, skąd wybrali się pociągiem Royal Scotsman w objazd Szkocji. Kiedy znudziły im się zamki, rezydencje, zabytkowe miejsca i destylarnie, wrócili na dwa dni do Londynu, a stamtąd ruszyli do Paryża.

Wiadomość dotarła do Joela i Stelli, gdy popijali kawę w foyer luksusowego Hôtel Lutetia. Florry nie czuła się najlepiej i zamiast biegać z nimi przez cały dzień po mieście, postanowiła odpocząć w pokoju. Do ich stolika podszedł portier i wręczył Joelowi telegram. Był od Johna Wilbanksa. Sąd Najwyższy stanu Missisipi uchylił stosunkiem głosów 7:2 orzeczenie Rumbolda. Przekazanie ziemi Joelowi i Stelli uznane zostało za niebyłe i nieważne. Ziemia wchodziła nadal w skład majątku ich ojca, a co za tym idzie, podlegała wszelkim roszczeniom i wyrokom.

– Uchylenie wyroku i wydanie rozstrzygającego orzeczenia
– mruknął z niedowierzaniem Joel.

– Co to oznacza? – zapytała Stella.

– To oznacza, że jest już po wszystkim. Oznacza, że Sąd Najwyższy uznał ponad wszelką wątpliwość, że orzeczenie Rumbolda było niesłuszne, i postanowił rozstrzygnąć sprawę bez dalszego rozpatrywania.

– Czy możemy się od tego odwołać?

– Owszem, żeby zyskać trochę czasu, złożymy kolejną apelację w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych. Porozmawiam z Wilbanksem, czy nie złożyć wniosku o upadłość.

Popijając kawę, obserwowali z foyer idących chodnikiem ludzi.

– Mam do ciebie pytanie i chciałabym, żebyś na nie szczerze odpowiedział – odezwała się Stella. – Czy to znaczy, że pewnego dnia Jackie Bell i jej dzieci zamieszkają w naszym domu?

– To możliwe, ale nadal w to nie wierzę. W którymś momencie Wilbanks siądzie do stołu z jej adwokatem i będzie starał się to wszystko załatwić.

– W jaki sposób?

– Zaproponujemy im gotówkę.

– Chyba już tego próbowaliśmy.

– Owszem, i odrzucili ofertę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Teraz będzie to nas kosztować więcej.

– O ile więcej?

– Nie wiem. To będzie zależało od tego, ile pieniędzy zostało jeszcze na kontach i ile możemy pożyczyć pod zastaw ziemi.

– Naprawdę chcesz wziąć kredyt, Joel? Wiesz, jak bardzo tato nienawidził banków.

– Może się okazać, że nie mamy wyboru.

* * *

W swoim wyroku Sąd Najwyższy stanu Missisipi stwierdził, że postępowanie Pete'a można uznać za oszukańcze z kilku

względów. Po pierwsze, nadal korzystał ze swojej ziemi, mieszkając na niej, uprawiając ją i czerpiąc z niej zyski. Po drugie, nie otrzymał od dzieci żadnego ekwiwalentu za jej przekazanie. Po trzecie, przepisał własność na członków swojej rodziny, co zawsze jest podejrzane. I po czwarte, podpisując akt darowizny, miał powody przypuszczać, że w wyniku swoich działań zostanie pewnego dnia pozwany o odszkodowanie.

John Wilbanks przeczytał uzasadnienie orzeczenia kilkanaście razy i musiał uznać, że logicznie rzecz biorąc, jest bez zarzutu. Złożył oczywiście apelację do Sądu Najwyższego Stanów Zjednoczonych, ale wiedział, że nie ma szansy, by sprawa została rozpatrzona ponownie. Zasięgnął opinii bliskiego znajomego z Memphis, specjalizującego się w bankructwach, i to, co od niego usłyszał, niezbyt mu się spodobało. Postawienie farmy Pete'a w stan upadłości mogłoby opóźnić nieco bieg spraw, ale generalnie nic by nie dało.

John Wilbanks znów przespacerował się do sądu kanclerskiego, po kolejny zakaz sądowy, uniemożliwiający Dunlapowi naruszanie aktywów w trakcie apelacji, i Rumbold oczywiście mu go wydał. Dunlap złożył kolejne odwołanie. Już wkrótce jednak stało się jasne, że nawet tak skrajnie nieobiektywny sędzia jak Rumbold nie powstrzyma tego, co nieuniknione.

Po wysłuchaniu Dunlap, zrelaksowany i bardzo pewny siebie, podszedł do Wilbanksa i złożył mu propozycję. Jak długo jeszcze strony mają płacić prawnikom? Pora pogodzić się z tym, co oczywiste. Apelacja nic nie da, podobnie jak wnioski o upadłość. Dlaczego Banningowie nie przekażą po prostu Jackie Brown całej ziemi, dwustu sześćdziesięciu hektarów wraz z domem i jego wyposażeniem? Jeśli na to pójdą, Jackie nie będzie zgłaszała roszczeń do ich rachunków bankowych.

Wilbanks nie chciał o tym słyszeć.

– Banningowie prędzej spalą dom i zbiory, niż podpiszą się pod czymś takim – powiedział.

– Bardzo dobrze, tylko niech pan przypomni swoim klientom, że podpalenie jest przestępstwem zagrożonym wieloletnią karą więzienia – odparł Dunlap.

* * *

Przekraczając pod koniec lipca granicę stanu Missisipi, Joel i Florry zaczęli jak zwykle zwracać uwagę na pola bawełny i ich widok nie był zachęcający. Ulewne wiosenne deszcze opóźniły sadzenie i przez te dwa miesiące, które spędzili w Europie, pogoda nie była łaskawa. W dobrym roku bawełna kwitła czwartego lipca, a na początku września krzaki sięgały piersi.

Mieli wrażenie, że te zbiory będą najgorsze, jakie pamiętają. W miarę jak mijali kolejne plantacje północnego Missisipi, bawełna wyglądała coraz gorzej. W ogóle nie kwitła, a łodygi sięgały ledwie kolan. W niższych miejscach zalane były całe hektary.

Nineva zrobiła kawę i zapytała, jak minęła im podróż. Oni zapytali o zbiory i uzyskali pełną odpowiedź. Po ich wyjeździe padało prawie codziennie, a kiedy nie padało, niebo i tak było zasnuwane chmurami. Bawełna potrzebuje długich upałów i suchej pogody i było oczywiste, że zbiory będą marne. Amos robił w ogrodzie, co mógł, ale tam też zebrał niewiele plonów.

Tak jakby samo życie na farmie Banningów nie było dość przygnębiające.

Joel odwiózł ciotkę do różowego domku i rozładował jej bagaż. Pijąc drinka na werandzie, patrzyli na żalosne krzaki bawełny i żalowali, że nie zostali w Szkocji.

* * *

John Wilbanks chciał się z nim zobaczyć i Joel, choć najchętniej nie zbliżałby się do budynku sądu, kancelarii adwokackiej i w ogóle do śródmieścia Clanton, nie miał niestety wyboru. Spotkali się w dużej sali konferencyjnej na parterze, co samo w sobie oznaczało, że sprawa jest niezmiernie ważna. Świadczyła o tym również obecność Russella.

Bracia jednocześnie zapalili – John krótkie czarne cygaro, Russell papierosa. Joel grzecznie podziękował, kiedy go poczęstowali, i dodał, że dołączy do nich, po prostu wdychając dym.

John zreferował krótko sytuację. Złożyli w Sądzie Najwyższym Stanów Zjednoczonych dwie mało poważne apelacje i oczekiwali, że kiedy tylko urzędnik sądowy znajdzie czas na wypełnienie papierów, obie zostaną w ciągu najbliższych miesięcy odrzucone. Nie było żadnego powodu, żeby Sąd Najwyższy orzekł w tych sprawach na ich korzyść. Burch Dunlap zgłosił do egzekucji należność stu tysięcy dolarów i będzie cierpliwie czekał, aż Banningowie i ich adwokaci zmęczą się wyszukiwaniem prawniczych kruczków i rzucą ręcznik.

– A co myślicie o ogłoszeniu upadłości? – zapytał Joel.

– To nic nie da, bo farma jest w dobrym stanie. Moglibyśmy to zrobić i przeciągnąć nieco sprawę, ale Dunlap natychmiast złoży wniosek o przesłuchanie w sądzie upadłościowym. I pamiętaj, że jeśli farma znajdzie się w stanie upadłości, przejmie nad nią kontrolę syndyk. A to nie my go wyznaczamy. Robi to sąd.

Russell wypuścił w powietrze chmurę dymu.

– Istnieje duże ryzyko, że syndyk nakaże Florry, czyli wykonawczynie testamentu, wydać wszystkie aktywa wierzycielce, czyli Jackie Bell – powiedział.

– To już chyba wiemy – rzucił Joel.

– Jest coś jeszcze – dodał Russell. – Musimy dostać swoje honorarium. Nasz rachunek opiewa teraz na ponad siedem tysięcy dolarów i nie wiem, czy w skład majątku wchodzi tyle

gotówki. Składaliśmy wnioski na lewo i prawo, licząc na cud, i zajmowało to sporo czasu. Ogłoszenie bankructwa w celu przeciągnięcia sprawy tylko podwyższy rachunek.

– Rozumiem – mruknął Joel.

– Dotarliśmy do kresu drogi, Joel – przejął pałeczkę John. – Możemy co najwyżej spróbować dogadać się po dobremu z tymi ludźmi. Został nam jeden pomysł, dzięki któremu być może udałoby się uratować ziemię. Trzeba by zaciągnąć pożyczkę pod zastaw obu części ziemi, Pete’a i Florry. Całych pięciuset dwudziestu hektarów. Pożyczylibyście tyle, ile się da, i zaproponowalibyście tę sumę Dunlapowi w ramach ugody.

– Ile by to było? – zapytał ostrożnie Joel.

– Dom jest wart jakieś trzydzieści tysięcy. Cena ziemi wynosi nie więcej niż dwieście pięćdziesiąt za hektar, ale trudno byłoby znaleźć kupca za taką sumę. Jak wiesz, pod uprawą jest tylko około czterystu hektarów. Ze względu na ryzyko żaden bank nie pożyczycy tyle, ile wynosi całkowita wartość. Pete wychodził na swoje, a nawet osiągał pewne zyski, bo ziemia nie była obciążona długami, a poza tym harował jak wół, gonił ludzi do roboty i pilnował każdego centa. Kiedy obciążysz grunt hipoteką, zaczynasz robić interesy z bankiem. Kilka lat złych zbiorów, tak jak w tym roku, i zalegasz z płatnościami. Zanim się spostrzeżesz, bank już mówi o zajęciu nieruchomości. To dzieje się często, nawet przy urodzaju.

– Rozmawialiśmy z naszym bratem w banku – wtrącił Russell – i wcale się nie pali do udzielenia pożyczki. Gdyby Pete żył i czuwał nad wszystkim, plantacja byłaby bardziej atrakcyjna. Ale już nie żyje, ty nie jesteś plantatorem, a Florry ma nie po kolei w głowie. Przewiduję, że banki nie będą się garnęły do tego interesu.

– Ile pożyczyliby wasz brat? – zapytał Joel.

– Najwyżej siedemdziesiąt pięć tysięcy – odparł John.

– I wcale nie jesteśmy tego tacy pewni – dodał Russell. – Poza tym wyłania się kolejny, dość oczywisty problem. Reprezentujemy twoją rodzinę i będziemy reprezentować

bank. A co, jeśli nie dojdzie do uiszczenia płatności? Mielibyśmy tu, w kancelarii, kolosalną sprzeczność interesów, która mogłaby ściągnąć na nas poważne kłopoty.

– Poza tym nie przedyskutowaliśmy tego z drugim działającym w mieście bankiem. Jak wiesz, między rodzinami istnieje coś w rodzaju rywalizacji. Wątpię, żeby się na to zdecydowali, ale moglibyśmy zwrócić się do większego banku w Tupelo.

Joel wstał i przeszedł się po sali.

– Nie mogę prosić Florry, żeby zastawiła ziemię – powiedział. – Wymagałbym od niej zbyt wiele. Ta ziemia jest wszystkim, co ma, i gdyby ją straciła, nie wiem, gdzie by się podziela. Nie mogę tego zrobić. Nie poproszę jej.

John strząsnął popiół na spodeczek.

– Powiem ci, jaki mam plan – oświadczył – a ty się zastanów. Usiądę z Dunlapem do negocjacji. Prawdopodobnie umówił się z klientką na procent od wygranej i nie dostał dotąd ani centa, więc może być zainteresowany rozliczeniem w gotówce. Zacznę od pięćdziesięciu tysięcy i zobaczymy, co powie. Dasz radę zebrać pięćdziesiąt?

– Chyba tak – odrzekł Joel. – Choć robi mi się niedobrze na myśl, że miałbym się tak zadłużyć.

– I słusznie, że robi ci się niedobrze, ale tylko w ten sposób ty i Stella zachowacie ziemię i dom.

– A co, jeśli będą chcieli więcej?

– Zobaczymy. Przystąpimy do pierwszej rundy negocjacji. Będę dawał do zrozumienia, że nie śmierdzicie groszem.

Rozdział 45

W dusznym sierpniowym upale trudno było długo wytrzymać w małym, pozbawionym okna pokoiku Lizy. Oprócz skrzynkowego wentylatora, który Joel przywiózł matce jeszcze w zeszłe wakacje, nie było tu niczego, co odświeżyłoby powietrze. Po kilku minutach Joel i Liza ociekali potem, więc postanowili wyjść na dwór i poszukać cienia.

Od pewnego czasu Liza chodziła o własnych siłach; jej stan, przynajmniej pod względem fizycznym, poprawił się i przybrała kilka kilogramów na wadze. Nadal jednak niewiele jadła. Thorazine poprawiał jej czasami apetyt. Z całą pewnością ją uspokajał i nie wierciła się już, nie skubała włosów tak jak przedtem. Przycięła je krótko, częściej myła, a zamiast poplamionych szpitalnych koszul nosiła proste bawełniane sukienki, które przysłała jej córka. Kamień milowy został przekroczony miesiąc wcześniej, kiedy Stella przywiozła jej trzy szminki i Liza wpadła w zachwyty. Teraz witała każdego gościa lśniącem karminowym uśmiechem.

Doktor Hilsabeck powtarzał, że cieszą go jej postępy, ale Joel stracił już nadzieję, że matka poczuje się kiedyś na tyle dobrze, by opuścić szpital. Po spędzonych tam trzech latach stał się jej drugim domem. Czuła się trochę lepiej, ale miała przed sobą jeszcze długą drogę.

Wyszli z budynku, podeszli do stawu i usiedli przy stole piknikowym pod dębem. Skwar był nieznośny nawet w cieniu,

a powietrze nieruchome, bez śladu wiatru. W przeciwieństwie do większości wizyt w Whitfield, tej Joel wyczekiwał z niecierpliwością, bo miał matce tyle do opowiedzenia. W barwnych szczegółach zrelacjonował jej ich podróże do Nowego Jorku, Londynu, Szkocji i Paryża.

Liza słuchała go z miłym uśmiechem, od którego łamało mu się serce, bo było to wszystko, na co mógł liczyć. Jego matka nie mogła wrócić do domu i był to temat, którego wolał nie poruszać.

* * *

W Biloxi znalazł sobie obskurny pokój w tanim motelu niedaleko plaży i ruszył na poszukiwanie Mary Ann Malouf, która nie była już zaręczona z facetem z Waszyngtonu. W minionym roku często widywała się z Joelem, głównie dlatego, że po prostu nie chciał się od niej odczepić. W Oxfordzie mieli zwyczaj wybierać się na późne kolacje. Pojechali również dwa razy do Memphis, gdzie nie bali się, że ktoś ich zobaczy. Joel nalegał, by zerwała z tym gogusem z Waszyngtonu i związała się z prawdziwym mężczyzną.

W lecie Mary Ann pracowała przez kilka godzin tygodniowo w sklepie odzieżowym na Main Street i kiedy się tam pojawił, była mile zaskoczona. Został dość długo i wyszedł, dopiero gdy zauważył, że jej szef popatruje na niego kosym okiem. Po jej pracy spotkali się w cukierni i zaczęli omawiać jego ewentualną wizytę u jej rodziców. On na to nalegał, ona się wahała. Rodzice zaaprobowali narzeczonego z Waszyngtonu i nie rozumieją, dlaczego kręci się wokół niej ktoś nowy.

Czując się nieco odtrącony, Joel włóczył się przez kilka dni po mieście i wciąż odwlekał powrót do domu oraz próbę zdobycia jakiejś sensownej pracy. Zapukał do drzwi kilku kancelarii, odbył dwie szybkie rozmowy, ale nikt nie zaproponował mu zatrudnienia. Im więcej spędzał tutaj czasu,

tym bardziej podobało mu się Biloxi ze swoją etniczną mieszanką, kafejkami oferującymi świeże owoce morza, barami, gdzie serwowano alkohol bez obawy przed wpadką, kołyszącymi się w porcie łodziami i swobodną atmosferą, która panuje zwykle na wybrzeżu. I im dłużej uganiał się za Mary Ann Malouf, tym bardziej mu na niej zależało.

* * *

Burch Dunlap spędził sierpień w Montanie, z dala od upałów. Wakacje najwyraźniej dobrze mu zrobiły. Po Dniu Pracy wrócił do kancelarii z nową energią, zdeterminowany, by zarobić więcej pieniędzy. Jego najbliższym celem byli Banningowie.

W sądzie kanclerskim, w którym nadal niepodzielnie rządził sędzia Abbott Rumbold, złożył wniosek o zajęcie ziemi Banningów. Musiał go złożyć w hrabstwie Ford. Prawo było w tej kwestii jednoznaczne. Tak jednoznaczne, że Dunlapa bardzo ciekawiło, jak stary sędzia zdoła je nagiąć, by orzec na korzyść Banningów.

Tydzień później zasiadł u siebie w sali konferencyjnej razem ze swoim starym znajomym Johnem Wilbanksem, który przyjechał do Tupelo, by zacząć negocjacje w sprawie ugody. Albo, jak zwierzył się Dunlap Errolowi McLeishowi, by błagać o zmiłowanie.

Na które nie mógł liczyć.

Johnowi podano kawę i zaproszono go do eleganckiego stołu. Naprzeciwko niego usiadł Dunlap, a przy jego boku McLeish, człowiek, którym adwokat Banningów szybko zaczął gardzić.

Dunlap zapalił cygaro i przez chwilę rozmawiali o niczym.

– Rozumiem, że masz pieniądze, John – odezwał się w końcu. – Może powiesz nam, co cię do nas sprowadza.

– Naturalnie. Moi klienci chcieliby, co oczywiste, zachować rodzinną farmę. I w końcu przestać mi płacić.

– Wykonałeś mnóstwo niepotrzebnej roboty – odparł niezbyt grzecznie Dunlap. – Szczerze mówiąc, martwiliśmy się o twoje należności. Pieniądze idą z zaskarżonego majątku.

– Wiesz co, Burch? Może ty będziesz się martwić o swoje należności, a ja o swoje. Zgoda?

Skarcony Dunlap roześmiał się głośno, jakby jego stary kumpel naprawdę powiedział coś śmiesznego.

– Zgoda. Kontynuuj.

– W skład majątku wchodzi niewiele gotówki, więc to, co możemy wam zaproponować, będzie pochodziło z pożyczki zaciągniętej pod zastaw ziemi i domu.

– Ile konkretnie, John?

– To zależy od tego, jaki dochód można osiągnąć rocznie z farmy, żeby spłacić odsetki. W tym roku czeka nas katastrofa. Jak wiesz, to ryzykowny biznes. Moja rodzina przez kilkadziesiąt lat uprawiała bawełnę i często się zastanawiam, czy było warto.

– Twoja rodzina ma się całkiem nieźle, John.

– W pewnych dziedzinach rzeczywiście nieźle sobie radzą. Banningowie sądzą, że uda im się pożyczyć pod zastaw ziemi pięćdziesiąt tysięcy i później je spłacić. Na więcej ich nie stać.

Dunlap uśmiechnął się szeroko, jakby naprawdę spodobała mu się ta pierwsza runda.

– Daj spokój, John. Mają pięćset dwadzieścia hektarów nieobciążonej żadnymi należnościami ziemi, w tym czterysta pod uprawą. Do tego sześć solidnych budynków gospodarskich, maszyny rolnicze, żywy inwentarz i... ilu Murzynów?

– Proszę cię, Burch, ci ludzie do nich nie należą.

– Z praktycznego punktu widzenia należą. Pięćdziesiąt tysięcy to naprawdę żadna oferta, John. Myślałem, że spotkaliśmy się, żeby rozmawiać poważnie.

– Jeśli masz na myśli ziemię należącą do Florry Banning, chyba nie mówisz serio. To połowa całego areału, a Florry w ogóle nie uczestniczy w tym postępowaniu. Ta sprawa jej nie dotyczy.

– Nie tak szybko, John. Pete Banning uprawiał ziemię siostry tak samo jak swoją i oddawał jej połowę zysków. Obie części pochodzą z tego samego źródła: od ich rodziców, dziadów i tak dalej.

– To absurd, Burch. Florry nie ma nic wspólnego z zabójstwem Dextera Bella i dobrze o tym wiesz. Sugerowanie, że jej ziemia jest w grze, to jakiś żart. Jeśli uważasz inaczej, spróbuj ją zająć.

– Nie możemy niczego zająć, dopóki stary Rumbold je ci z ręki.

John uśmiechnął się.

– To wybitny prawnik. Jeden z najlepszych.

– Może i tak, ale ci w Sądzie Najwyższym w Jackson chyba nie są nim tak zachwyceni. Pięćdziesiąt tysięcy nie przejdzie, John.

– Przedstawiłem swoją ofertę. Teraz wasza kolej.

– Co najmniej sto tysięcy – odezwał się chłodno McLeish. – Szczerze mówiąc, Jackie zasługuje na więcej, bo musimy jeszcze zapłacić panu Dunlapowi.

– Sto dwadzieścia, John – powiedział Dunlap. – Prowadząc tę sprawę, umówiłem się na procent od wygranej, i wygrałem ją w cuglach. Wykonałem dla mojej klientki sporo pracy i nie chcę, by moje honorarium pomniejszyło sumę, którą otrzyma w ramach ugody.

– Odwaliłeś kawał dobrej roboty, Burch, nie ma co do tego dwóch zdań. Ale liczby, które wymieniłeś, są grubo powyżej naszych możliwości. Żaden bank nie zaoferuje za ziemię i dom Pete'a więcej niż siedemdziesiąt pięć tysięcy.

– Proponujesz siedemdziesiąt pięć tysięcy? – zapytał Dunlap.

– Jeszcze nie, ale czy zgodzilibyście się na siedemdziesiąt pięć tysięcy, gdybym położył je na stole?

– Nie. – McLeish pokręcił głową.

Obaj adwokaci byli dobrymi negocjatorami i nie ulegało wątpliwości, który z nich ma lepsze karty w ręku. John

wiedział, że kiedy płynie się pod prąd, dobrze jest czasem zmącić wodę.

– Posłuchaj, Burch, tak naprawdę dzieciaki chcą przede wszystkim zachować dom, jedyny dom, jaki w życiu mieli. Wiecie o problemach, jakie ma ich matka. Być może pewnego dnia wypiszą ją ze szpitala, a wtedy najważniejsze będzie, żeby miała dokąd wrócić. Czy możemy omówić wydzielenie domu i budynków gospodarskich z całości farmy? Pracuję nad planem, żeby wykroić z ziemi tylko półtora hektara, obejmujące dom, ogród, stodołę i tak dalej. Twój klient wzięłby resztę.

– Akt przekazania farmy pomniejszonej o te półtora hektara? – upewnił się Dunlap.

– Coś w tym rodzaju. Po prostu zastanawiam się nad różnymi wariantami.

– Ile gotowi byliby zapłacić za te półtora hektara?

– Dom wyceniono na trzydzieści tysięcy, moim zdaniem o wiele za wysoko. To dwójka wspaniałych dzieciaków, które próbują coś uratować.

– Z czego mają zamiar spłacić hipotekę?

– To trafne pytanie. Coś wymyślimy. Mogłaby im pomóc Florry.

Główną przeszkodą w zawarciu takiego porozumienia było to, o czym żaden z nich nie wspomniał. Jackie Bell chciała mieć ten dom. W gruncie rzeczy zależało jej na nim o wiele bardziej niż na reszcie ziemi. Jej chłopak widział się już w roli wielkiego plantatora i liczył przyszłe zyski, ale Jackie pragnęła po prostu zamieszkać w pięknej rezydencji.

McLeish pokręcił głową.

– Nie ma mowy – powiedział. – Te półtora hektara jest warte prawie tyle samo co reszta farmy. Nie możemy się na to zgodzić.

Mówił jak człowiek mający poczucie, że mu się to słusznie należy: w tym wypadku bezcenna scheda po jednych z najwspanialszych ludzi, jakich znał w swoim życiu John

Wilbanks. Arogancja i roszczeniowa postawa McLeisha po prostu go mierzyła.

– Wygląda na to, że nie mamy już o czym mówić – stwierdził.

* * *

Pod koniec września, praktycznie dzień po dniu, Sąd Najwyższy Stanów Zjednoczonych zajął się oddaleniem kilku niepoważnych apelacji. Jednego dnia wbił ostatni gwóźdź w trumnę, odrzucając odwołanie Banningów od werdyktu w sądzie federalnym, a już nazajutrz oddalił ich apelację od wyroku Sądu Najwyższego Missisipi, który podważył orzeczenie Rumbolda.

Otworzyło to Dunlapowi drogę do wysłuchania w sprawie wniosku o zajęcie ziemi, a raczej powinno mu to otworzyć drogę. W dalszym ciągu blokował ją Wysoki Sąd we własnej osobie. Stary Rumbold z miesiąca na miesiąc tetryczał coraz bardziej. Dunlap domagał się i żądał wyznaczenia terminu. Głuchy jak pień Rumbold niczego nie słyszał.

A potem nagle zmarł. Dziewiątego października 1949 roku Abbott Rumbold odszedł z tego świata w wieku osiemdziesięciu jeden lat. Zmarł we śnie, albo jak mówili kolorowi, „zbudził się martwy”. Po trzydziestu siedmiu latach pełnienia urzędu był jednym z czołowych sędziów kanclerskich w stanie. Joel przyjechał do Clanton z Ole Miss i razem z Johnem i Russellem Wilbanksami wziął udział w jego pogrzebie.

Nabożeństwo żałobne w Pierwszym Kościele Baptistów było hołdem złożonym człowiekowi, który przeżył długie, szczęśliwe i aktywne życie. Było trochę łez, dużo żartów i ogólne poczucie, że Bóg powołał do siebie jednego ze swoich świętych.

Następny pogrzeb, w którym miał wziąć udział Joel, był zupełnie inny.

Rozdział 46

Żeby uciec przed monotonią i pomóc niektórym spośród lżej chorych pacjentów wrócić do normalności, lekarze i administratorzy szpitala w Whitfield organizowali cotygodniowe wycieczki do kina Paramount przy East Capitol Street w samym centrum Jackson. Przed popołudniowym seansem nieoznakowany autobus zatrzymywał się w bocznej uliczce, kawałek od kina, i wysiadało z niego około dwudziestu pacjentów. Towarzyszyli im pielęgniarze i pielęgniarki i po odjeździe autobusu wszyscy starali się wyglądać tak, jakby byli zwykłymi widzami. Mieli na sobie cywilne ubrania i zlewali się z tłumem. Komuś z boku nigdy nie przyszłoby do głowy, że cierpią na najrozmaitsze rodzaje poważnych chorób psychicznych.

Liza uwielbiała chodzić do kina i zgłaszała się do wyjazdu przy każdej sposobności. Układała sobie włosy, malowała się i wkładała jedną z sukienek przysłanych przez Stellę.

W Paramount puszczała Żebro Adama, komedię ze Spencerem Tracym i Katharine Hepburn, i o godzinie pierwszej foyer było pełne. Siostra oddziałowa kupiła bilety i zaprowadziła pacjentów do ich rzędu. Po lewej stronie Lizy siedziała starsza pani o imieniu Beverly, znajoma, którą leczono w Whitfield od wielu lat, po prawej Karen, smutna młoda kobieta, która przesyiała na ogół cały seans.

Kwadrans po rozpoczęciu filmu Liza szepnęła Beverly, że musi iść do toalety. Przeszła wzdłuż rzędu, dotarła do wyjścia, szepnęła to samo pielęgniarce i opuściła widownię. A chwilę później kino.

Ruszyła East Capitol, minęła dwie przecznice i weszła na dworzec kolejowy przy Mill Street, gdzie nabyła bilet drugiej klasy na pociąg o 13.50 do Memphis. Kiedy odbierała bilet, trzęsła jej się ręka i musiała usiąść. Stacja była praktycznie pusta i Liza znalazła miejsce na uboczu. Wzięła kilka głębokich wdechów i uspokoiwszy się, wyjęła z małej kieszonki złożoną kartkę. Była to lista „Rzeczy, które trzeba zrobić”, układana przez nią w ciągu kilku ostatnich tygodni. Przeczytała ją, złożyła i schowała z powrotem do kieszeni. Opuściła dworzec, przeszła po Mill Street, minęła jedną przecznicę i kupiła sobie w domu towarowym tanią torebkę, jeszcze tańszy słomkowy kapelusz i jakieś czasopismo. Schowała do torebki resztę gotówki, mały słoiczek z tabletkami i szminkę, po czym ruszyła z powrotem na dworzec. Czekaając na pociąg, przejrzała ponownie listę, uśmiechnęła się, stwierdziwszy, że na razie wszystko idzie jak po maśle, i obserwowała wejście, na wypadek gdyby pojawił się tam ktoś ze szpitala. Nikt się nie pojawił.

Komedia tak bardzo wciągnęła pielęgniarkę, że zapomniała o Lizie i o jej wyjściu do toalety. Kiedy w końcu sobie przypomniała, natychmiast tam pobiegła. Nie znalazłszy jej, wezwała do pomocy dwóch pielęgniarzy i zaczęli razem przeszukiwać kino, które było prawie pełne. W foyer nikt nie widział wychodzącej na zewnątrz szczupłej kobiety w żółtej sukience. Szukali jej dalej, ale wkrótce skończyły się miejsca, w których mogłaby się schować. Dwaj pielęgniarze zaczęli przeczesywać pobliskie ulice i jeden z nich zajrzał w końcu na dworzec. W tym momencie Liza była już godzinę drogi od Jackson i siedziała sama przy oknie, ściskając w dłoni listę, śledząc martwym wzrokiem przesuwaną za szybą wiejski krajobraz i broniąc się przed zalewem dźwięków i obrazów realnego świata. Spędziła w zamknięciu trzy i pół roku.

Wezwano policję i zawiadomiono doktora Hilsabecka. Personel szpitala był zaniepokojony, ale nie widziano powodów do paniki. Liza nie stwarzała zagrożenia dla innych i była wystarczająco stabilna, by o siebie zadbać, w każdym razie przez kilka godzin. Doktor Hilsabeck, który nie chciał denerwować rodziny, a także stawiać w niekorzystnym świetle swoich podwładnych, nie spieszył się z powiadomieniem Joela, Florry i szeryfa Nixa Gridleya.

Liza kupiła bilet za gotówkę i nie sposób było ustalić tożsamość pasażerów. Kasjerka na dworcu zapamiętała jednak kobietę pasującą do jej rysopisu, która wybierała się na północ, do Memphis. Przekazała tę informację około godziny piętnastej. Seans dobiegł tymczasem końca i autobus musiał wrócić do Whitfield.

Kiedy o 16.15 pociąg zatrzymał się w Batesville – był to szósty przystanek w drodze do Memphis – Liza zdecydowała się wysiąść. Zakładała, że ktoś już jej szuka i że mogą obserwować pociągi i autobusy. Przed dworcem czekały dwie taksówki, przedwojenne sedany, wzbudzające jeszcze mniej zaufania niż opierający się o ich zderzaki kierowcy. Liza zapytała pierwszego, czy podwiezie ją do odległego o półtorej godziny drogi Clanton. Zaproponowała dziesięć dolarów, lecz taksówkarz obawiał się o opony. Drugi zgodził się ją zawieźć za piętnaście dolarów. Opony jego pojazdu były jeszcze bardziej łyse, ale Liza nie miała wielkiego wyboru.

– Nie ma pani żadnych walizek? – zapytał, kiedy usiadła z tyłu.

– Nie, podróżuję bez zbędnego bagażu.

Facet usadowił się za kierownicą i odjechali spod dworca.

– Ma pani niesamowitą sukienkę – powiedział, zerkając w lusterko wsteczne.

Liza uniosła torebkę.

– Zabieram ze sobą wszędzie colta i wiem, jak się nim posługiwać – oznajmiła. – Jeśli spróbujesz jakichś numerów, gorzko tego pożałujesz.

– Najmocniej panią przepraszam. – Speszony taksówkarz odważył się ponownie odezwać, dopiero kiedy wyjechali z miasta. – Mogę włączyć radio, proszę pani?

– Jasne, niech pan puści, co chce.

Facet włączył radio, wędrował przez chwilę po skali, aż w końcu znalazł nadającą z Memphis stację z muzyką country.

* * *

Hilsabeck skontaktował się z Joelem dopiero po zapadnięciu zmroku. Poinformował go o tym, co się stało, i przyznał, że poszukiwania nie dały dotąd żadnego rezultatu. Joel z osłupieniem zdał sobie sprawę, że matka jest na wolności i robi coś, co najwyraźniej wcześniej zaplanowała. Czy powinien pojechać do Jackson i pomóc w poszukiwaniach? A może do Memphis, dokąd podobno zmierzała? Czy też nie ruszać się z miejsca i czekać na rozwój wypadków? Zadzwoił do Stelli i zapewnił ją, że wszystko będzie dobrze. Powinien też zadzwonić do Florry, ale postanowił z tym poczekać. Jej telefon nadal był podłączony do wspólnej wiejskiej linii, z której korzystało kilkanaście innych osób, i słysząc, że Liza Banning dała nogę z Whitfield, podsłuchiwaliby dostaliby rozwolnienia.

Przez godzinę przemierzał tam i z powrotem swój pokój, nie wiedząc, co robić, i czekając na wiadomość, że matkę odnaleziono i nic jej nie jest. Zadzwoił do biura szeryfa w Clanton, ale nikt nie odbierał. Domyślił się, że Tick Poley uciął sobie drzemkę. Z aresztu mogliby uciec wszyscy osadzeni, a Tick i tak by się nie zorientował.

W końcu dodzwonił się do domu Nixa Gridleya, na prywatną linię, i powiedział mu, co się stało. Nix złożył mu wyrazy współczucia i oznajmił, że jedzie zawiadomić Florry.

* * *

Kiedy taksówka skręciła z drogi na prowadzący do domu Banningów długi podjazd, Liza kazała kierowcy się zatrzymać. Zapłaciła mu piętnaście dolarów, podziękowała i wysiadła. Samochód zniknął w mroku, a ona ruszyła powoli przed siebie, ledwo widząc pod stopami zwirowaną alejkę. W domu, stodole i innych budynkach nie paliło się ani jedno światło. W oddali dostrzegła niewyraźny blask bijący z okna małego domku, w którym od zawsze mieszkali Nineva i Amos. Stąpając niepewnie po żwirze, zobaczyła przed sobą zarys domu. Przecięła trawnik, wspięła się na werandę i nacisnęła klamkę. Drzwi okazały się zamknięte, co było czymś niezwykłym. Na wsi nikt nie zamykał drzwi.

Chciała obejrzeć grządki z kwiatami i żywopłoty, sprawdzić, co się zmieniło przez ostatnie lata, ale na dworze było zupełnie ciemno, księżyc schował się za chmurami. Obeszła werandę i zobaczyła pick-upa Pete'a zaparkowanego dokładnie tam, gdzie go zostawił. Na tylnym podwórku przeszła powoli po zeschłej trawie. Kiedy z zachodu powiał wiatr, zadrżała z zimna i objęła się ramionami. Drzwi do kuchni nie były zamknięte. Weszła do swojego domu i stanęła jak wryta, gdy wpadły jej w nozdrza znajome zapachy: papierosowego dymu i kawy, smażonego bekonu, owocowych placków i ciast, wołowego i sarniego gulaszu, które Nineva całymi dniami podgrzewała na kuchni, przetworów pomidorowych i z tuzina innych warzyw, skórzanych butów Pete'a, które stały w kącie, a także słodkiej mydlanej woni Ninevy. Oszołomiona ich intensywnością, oparła się o blat.

W ciemności wydawało się jej, że słyszy głosy dzieci, chichoczących przy śniadaniu i przeganianych z kuchni przez Ninewę. Wydawało jej się, że widzi Pete'a, siedzącego tam z kawą i papierosem w ustach, czytającego gazetę z Tupelo. W pewnym momencie księżyc wyjrzał zza chmury i do kuchni wpadła przez okno jego poświata. Liza znieruchomiała i wciągając powoli powietrze, wdychała zapachy swojego byłego życia.

Otarła łzy i postanowiła nie zapalać świateł. Nikt nie wiedział, że ona tu jest, a światła mogły tylko wzbudzić podejrzenia. Ale jednocześnie chciała przeprowadzić dokładną inspekcję domu, sprawdzić, czy Nineva dobrze sobie radzi. Czy wszystkie naczynia są pozmywane i odłożone na miejsce? Czy na stolikach nie ma warstwy kurzu? Co się stało z rzeczami Pete'a: jego ubraniami, książkami i papierami w gabinecie? Przypominała sobie mgliście, że rozmawiała o tym z Joelem, ale umknęły jej szczegóły.

Weszła do gabinetu i usiadła na skórzanej sofie, która była tak samo miękka i pachniała tak samo, jak Liza to zapamiętała. Pierwsze wspomnienie, które się z nią wiązało, było prawdopodobnie najgorsze. Joel siedział po jej prawej stronie, Stella po lewej, i wszyscy troje wpatrywali się z przerażeniem w kapitana, który oświadczył, że Pete zaginął i prawdopodobnie nie żyje. To było dziewiętnastego maja 1942 roku. W innym życiu.

Wzdrygnęła się, gdy okno omiotły światła przednich reflektorów. Zerkając zza zasłony, patrzyła, jak samochód szeryfa mija dom i skręca w prowadzącą do Florry boczną drogę. A zatem jej szukali. Dwadzieścia minut później samochód znów się pojawił, minął dom i skierował się w stronę szosy.

Przypominała sobie, że siedzi we własnym domu i nie popełniła żadnej zbrodni. Jeśli ją znajdą, w najgorszym razie odeślą ją z powrotem do Whitfield. A na pewno im się to nie uda.

Zaczęła się kołysać, pochylając i odchylając ramiona, co zdarzało jej się dość często i czego nie potrafiła opanować. Kiedy coś ją martwiło albo czegoś się bała, kołysała się, mruzczała do siebie i skubała włosy. Wielu wariatów w Whitfield w najróżniejszy sposób kołysało się, podrygiwało i jęczało, siedząc samotnie w kafeterii albo przy stawie, ale ona zawsze wiedziała, że nie jest do nich podobna. Wiedziała, że wkrótce wyzdrowieje i uporządkuje swoje życie.

Po godzinie albo dwóch – straciła kompletnie poczucie czasu – zdała sobie sprawę, że już się nie kołysze. Przestała też płakać. Musiała zrzucić z ramion tyle ciężarów.

Weszła do kuchni, podniosła słuchawkę jedyne w domu telefonu i zadzwoniła do Florry.

– Jestem tu, Florry – powiedziała krótko, żeby podsłuchujący nie zgadli, o co chodzi.

– Kto mówi? Że co? – Florry, co oczywiste, była kompletnie zaskoczona.

– Czekam w domu – odparła Liza, po czym odłożyła słuchawkę i wyszła na tylną werandę.

Już po kilku minutach zobaczyła podskakujące światła samochodu. Florry zaparkowała tuż obok domu.

– Tutaj, Florry – odezwała się Liza. – Jestem na werandzie.

Potykając się po ciemku, Florry podeszła do schodków.

– Dlaczego nie zapalisz jakiegoś cholernego światła? – Spojrzała z dołu na Lizę. – Co ty tu, do diabła, robisz, Lizo?

– Chciałam po prostu wrócić do domu. Doktor powiedział, że nie widzi przeszkód.

– To kłamstwo i dobrze o tym wiesz. Lekarze w Whitfield zamartwiają się o ciebie. Dzieci odchodzą od zmysłów. Szuka cię policja. Dlaczego wycięłaś taki numer?

– Miałam już dosyć Whitfield. Chodźmy do środka.

– Możesz włączyć światło? – zapytała Florry, kiedy weszły do kuchni. – Nic tu nie widzę.

– Lubię siedzieć po ciemku. Poza tym nie chcę, żeby Nineva wiedziała, że tu jestem.

Florry znalazła kontakt i zapaliła światło. Odwiedziła kilka razy Lizę w Whitfield i podobnie jak Stellę i Joela, zawsze ją martwił jej stan. Teraz wyglądała trochę lepiej, ale nadal była potwornie chuda i wymizerowana.

– Świetnie wyglądasz, Lizo. Miło cię widzieć.

– Miło jest znaleźć się z powrotem w domu.

– Musimy teraz zadzwonić do Joela i zawiadomić go, że jesteś bezpieczna. Dobrze?

– Właśnie z nim rozmawiałam. Będzie tu za godzinę.

Florry odetchnęła z ulgą.

– To dobrze. Jadłaś coś? Na pewno jesteś głodna.

– Ostatnio mało jem, Florry. Usiądźmy w gabinecie i pogadajmy.

Jak sobie życzysz, kochanie, pomyślała Florry. Zajmie ją czymś aż do przyjazdu Joela, a potem oboje wspólnie postanowią, co robić.

– Czy nie należałoby zadzwonić do twoich lekarzy? – zapytała. – Powinni wiedzieć, że nic ci nie jest.

– Poprosiłam Joela, żeby do nich zadzwonił. Zajmie się tym. Wszystko jest w porządku, Florry.

Weszły do gabinetu i Liza zapaliła małą lampę. W słabym świetle pokój wydawał się jakiś nierealny. Florry chętnie zapaliłaby lampę pod sufitem, ale nic nie powiedziała. Przycupnęła w jednym rogu sofy, a Liza poprawiła poduszki i opierając się o nie, usiadła w drugim. Przez chwilę przyglądały się sobie w półmroku.

– Napijesz się kawy? – zapytała Liza.

– Niekoniecznie.

– Ja też nie mam ochoty. W szpitalu prawie przestałam ją pić. Kofeina kłóci się z tymi wszystkimi tabletkami, które biorę, i boli mnie od niej głowa. Nie uwierzysz, ile wpychają we mnie leków. Czasami je łykam, a kiedy indziej nie i później je wypluwam. Dlaczego częściej mnie nie odwiedzałaś, Florry?

– Nie wiem. Długo się tam jedzie i to miejsce nie podnosi specjalnie na duchu.

– Nie podnosi na duchu? Chciałabyś poprawić sobie nastrój, odwiedzając dom wariatów? Tu chodzi nie o ciebie, Florry, ale o mnie, o pacjentkę. O wariatkę. To ja jestem chora, a ty powinnaś mnie odwiedzać i udzielać mi wsparcia.

Nigdy nie były w bliskich stosunkach i Florry przypomniawszy sobie dlaczego. W tym momencie jednak, jeśli miałyby to pomóc, gotowa była wysłuchać pretensji Lizy. Miała nadzieję, że nazajutrz przyjadą po nią i zabiorą ją z powrotem.

– Czy będziemy się kłócić, Lizo?

– Czyż nie kłóciłyśmy się zawsze?

– Nie. Może z początku się kłóciłyśmy, ale potem zdałyśmy sobie sprawę, że lepiej będzie dać sobie nawzajem jak najwięcej przestrzeni. Tak to zapamiętałam. Ze względu na rodzinę zawsze darzyłyśmy się ostrożną przyjaźnią.

– Skoro tak twierdzisz... Chcę, Florry, żebyś opowiedziała mi o tym, o czym nikt dotąd mi nie mówił.

– To znaczy?

– Chcę usłyszeć twoją wersję tego, co wydarzyło się w tamtym dniu, kiedy Pete zabił Dextera Bella. Wiem, że pewnie wolałabyś do tego nie wracać, ale wszyscy znają tę historię, a ja nie. Przez dłuższy czas nie chcieli mi o tym mówić tam, na południu. Uznali chyba, że mój stan się przez to pogorszy, i mieli rację, bo kiedy w końcu mi powiedzieli, zapadłam na tydzień w śpiączkę i o mało nie umarłam. Ale tak czy owak, chcę usłyszeć twoją relację.

– Po co, Lizo? To nie jest miła historia.

– Po co? Bo to cholernie ważna część mojego życia. Nie sądzisz, Florry? Mój mąż zabija naszego pastora i zostaje za to skazany na śmierć, a ja nie znam szczegółów. Naprawdę, Florry, mam prawo wiedzieć. Opowiedz mi o tym.

Florry wzruszyła ramionami i zaczęła mówić.

* * *

Jedna rzecz pociągała za sobą następną. Florry opowiedziała o życiu Pete'a w więzieniu, o przesłuchaniach, reakcjach na mieście, artykułach w prasie, procesie i egzekucji. Wspomniała o weteranach, którzy nadal odwiedzali jego grób.

Chwilami Liza płakała i ocierała łzy wierzchem dłoni. Chwilami słuchała z zamkniętymi oczami, jakby Florry opowiadała jej jakiś horror. Kilka razy jęknęła i zaczęła się kołysać. Zadała parę pytań, ale z rzadka coś komentowała.

– Wiesz, że przyjechał do mnie na dzień przed egzekucją? – zapytała.

– Tak, pamiętam.

– Powiedział, że wciąż mnie kocha, ale nigdy mi nie wybaczy. Co ty na to, Florry? Taka wielka miłość, ale jak widać, niewystarczająca, by się na to zdobył. Czekala go pewna śmierć, lecz mimo to nie mógł mi wybaczyć.

– Co takiego miał ci wybaczyć? – Florry wreszcie zadała to najważniejsze pytanie.

Liza zamknęła oczy i oparła głowę o poduszkę. Jej usta poruszały się, jakby mamrotała pod nosem coś, co tylko ona mogła zrozumieć. Po chwili zupełnie znieruchomiała.

– Co takiego miał ci wybaczyć, Lizo? – powtórzyła cicho Florry.

– Mam ci tyle do powiedzenia, Florry, i chcę to zrobić teraz, bo długo już nie pożyję. Coś jest ze mną nie tak i nie chodzi tylko o problemy z nerwami. Toczy mnie jakaś choroba i jest coraz gorzej. Może to rak, może coś innego, ale wiem, że to we mnie tkwi i rośnie. Lekarze nie potrafią tego znaleźć, a ja wiem, że to mnie toczy. Mogą dawać mi leki na załamanie nerwowe, ale nie mają nic na moją chorobę.

– Nie wiem, co powiedzieć, Lizo.

– Nic nie mów. Po prostu słuchaj.

Mijały godziny, a Joela wciąż nie było. Liza chyba o nim zapomniała, lecz Florry zdawała sobie świetnie sprawę, że powinien tu już być.

Liza podniosła się nagle z sofy.

– Chyba się przebiorę – powiedziała. – Pomyślałam, że włożę lnianą piżamę i jedwabny szlafrok. Pete zawsze je uwielbiał. – Ruszyła do sypialni.

Florry wstała, by rozprostować nogi, i poszła do kuchni wziąć sobie wody. Ścienny zegar wskazywał 23.40. Podniosła słuchawkę, żeby zadzwonić do Joela, i zobaczyła, że to niemożliwe. Kabel biegnący spod listwy przypodłogowej do telefonu został równiutko przecięty nożyczkami. Z telefonu

nie można było skorzystać i Liza prawdopodobnie w ogóle nie dzwoniła do Joela.

Florry wróciła do gabinetu. Liza nie zamknęła za sobą drzwi sypialni i słysząc było, jak zanosi się coraz głośniejszym płaczem. W białej lnianej piżamie i kremowym jedwabnym szlafroku leżała na łóżku, które dzieliła niegdyś z Pete'em. Miała bosc stopy.

Florry weszła tam i pochyliła się nad nią.

– Już dobrze, Lizo – szepnęła. – Jestem z tobą. Co się stało, kochanie?

– Usiądź, proszę – powiedziała Liza, wskazując jej krzesło.

Otarła łzy chusteczką i próbowała się opanować. Florry usiadła. Liza nie zawiadomiła Joela, a on nie zadzwonił do szpitala i do Stelli. Wszyscy gorączkowo czekali na jakąś wiadomość, a ona leżała tutaj na łóżku, w swoim domu.

Florry miała ochotę zapytać, dlaczego przecięła kabel, ale pewnie nic by to nie dało. Liza chciała jej się zwierzyć, być może wyjawic sekrety, których nigdy nie spodziewali się poznać. Lepiej jej nie rozpraszać. Wolala, żeby w tym momencie nie było przy niej Joela.

– Czy Pete rozmawiał z tobą przed egzekucją? – zapytała w końcu Liza.

– Oczywiście. Rozmawialiśmy o wielu rzeczach... o dzieciach, farmie, normalnych sprawach, które chce uporządkować ktoś, kto ma umrzeć.

– Mówił ci o nas i naszych problemach?

Tak, mówił, ale Florry wolala się do tego nie przyznawać. Chciała usłyszeć wszystko z pierwszego źródła.

– Oczywiście, że nie – odparła. – Wiesz, jaki był skryty. O jakiego rodzaju problemach?

– Och, Florry, tyle było sekretów i tyle grzechów. Naprawdę nie mogę winić Pete'a, że mi nie wybaczył.

Liza znów zaczęła płakać i nagle zanosła się szlochcm. A potem szloch przeszedł w zawodzenie, głośny, bolesny, żaloszny jęk, który wprawił Florry w popłoch. Nigdy w życiu jeszcze czegoś takiego nie słyszała. Ciałem Lizy wstrząsały

gwałtowne, niekontrolowane konwulsje, jakby miała zaraz wymiotować. Trwało to bardzo długo i w końcu Florry nie mogła na to dłużej patrzeć. Położyła się obok niej i mocno ją objęła.

– Już dobrze, Lizo, Już dobrze, kochanie. Nic ci nie będzie – powiedziała.

Ścisnęła ją, szeptała, tuliła, pocieszała i gładziła, kołysała się wraz z nią i znów szeptała, aż wreszcie Liza zaczęła się odprężyć. Uspokoił jej się oddech i nie miały już nią te straszne dreszcze.

– Są pewne rzeczy, które powinnaś wiedzieć – powiedziała szeptem.

– Słucham cię, Lizo. Jestem przy tobie.

* * *

Liza zbudziła się w ciemnej sypialni, przykryta kołdrą. Drzwi na korytarz były otwarte. W całym domu paliła się tylko jedna mała lampa w gabinecie. Po cichu ściągnęła z siebie kołdrę, wstała z łóżka i wyszła z sypialni. Florry spała jak zabita na sofie, pod kocem. Liza bezszelestnie ją minęła i ruszyła dalej, do kuchni, a potem na werandę i w dół po schodkach. Na dworze było zimno; bosa stopy wkrótce miała całe mokre. Skręciła w ścieżkę prowadzącą do budynków gospodarskich i sunęła po trawie w powiewającym za nią jedwabnym szlafroku.

Księżyc wyglądał co jakiś czas zza chmur, obmywając sinym blaskiem pola i stodoły, a potem na powrót znikając. Liza wiedziała, dokąd zmierza, i nie potrzebowała światła. Mijając stajnię, dostrzegła sylwetki stojących na wybiegu koni. Przechodząc obok, zawsze coś do nich mówiła, lecz tym razem nie miała nic do powiedzenia.

Jej stopy były ubłocone i zmarznięte, ale nie zwracała na to uwagi. Ból nie miał już znaczenia. Trzęsąc się z zimna, szła zdecydowanym krokiem. Wspięła się po łagodnym stoku do

Starej Sykomory i znalazła się pośród zmarłych – wszystkich tych nieżyjących Banningów, o których tyle się nasłuchiwała. Księżyc akurat się schował i nie mogła odczytać nazwisk na nagrobkach, ale wiedziała, gdzie został pogrzebany, bo знаła miejsce pochówku innych. Wodząc palcami po kamieniu, rozpoznała jego imię.

Odnalazła męża.

Choć przytłaczały ją żal, wstyd i poczucie winy, nie miała już siły płakać. Była skostniała z zimna i modliła się o szybki koniec.

Powiadają, że kiedy ludzie docierają do tego punktu, są ze sobą pogodzeni. To nieprawda. Nie odnajdywała w sobie ani krztyny spokoju, pociechy i wiary, że to, co robi, ludzie kiedykolwiek uznają za coś więcej niż desperacki akt wariatki.

Usiadła, opierając się plecami o jego nagrobek, tak blisko jak to było możliwe. Jego ciało leżało zaledwie metr pod nią. Powiedziała mu, że go kocha i wkrótce się z nim spotka, i modliła się, by znowu byli razem, by mógł jej w końcu wybaczyć.

A potem wyjęła z kieszeni szlafroka słoiczek z tabletkami.

Rozdział 47

Amos odnalazł ją o brzasku i kiedy podszedł do grobów dość blisko, by upewnić się, że naprawdę widzi to, co widzi, coś w nim pękło i krzycząc głośno, pobiegł do domu tak szybko, jak nie zdarzyło mu się biegać od kilku dziesięcioleci. Dowiedziawszy się, że Liza nie żyje, Florry zemdląła na werandzie. Kiedy odzyskała przytomność, Nineva pomogła jej wrócić na sofę i próbowała ją pocieszać.

Nix Gridley i Roy Lester przyjechali, by pomóc w poszukiwaniach, i kiedy Amos opowiedział im, co zobaczył na cmentarzu, zostawili go i pojechali tam sami. Pusty słoiczek po lekach był wystarczającym dowodem. W tym miejscu nie popełniono zbrodni. Padała gęsta mżawka i Nix uznał, że Liza nie powinna dalej moknąć. Razem z Lesterem załadowali ją na tylne siedzenie i wrócili do domu Banningów. Nix wysiadł, by porozmawiać z rodziną, a Lester odwiózł ją do domu pogrzebowego.

Florry obudziła się o piątej rano i zdała sobie sprawę, że Liza zniknęła. Spanikowana, pobiegła do domku Ninevy, w którym Amos jadł właśnie śniadanie. On i Nineva zaczęli gorączkowo przeszukiwać posesję, a Florry pojechała do siebie, by skorzystać z telefonu. Zadzwoiła do Joela i doktora Hilsabecka i krótko przedstawiła sytuację.

Jadąc prosto z Oxfordu, Joel minął wyjeżdżającego z ich domu szeryfa. W środku dowiedział się reszty. Florry była

w fatalnym stanie: bez przerwy o wszystko się obwiniała i z trudem łapała oddech. Joel zdołał skontaktować się telefonicznie ze Stellą, a potem odwiózł ciotkę do szpitala. Przyjęto ją tam z bólem w klatce piersiowej i podano środki uspokajające. Zostawiwszy ją w szpitalu, pojechał do biura szeryfa, by skorzystać z prywatnej linii telefonicznej. Odbył rozmowę z doktorem Hilsabeckiem, który był kompletnie załamany, a potem Joel zmusił się, by zadzwonić do państwa Sweeneyów w Kansas City z wiadomością, że ich córka nie żyje. Następnie znów zatelefonował do Stelli i starali się wspólnie zastanowić, jak zorganizować następne dni.

Po wyjściu z biura szeryfa pojechał do domu pogrzebowego Magargela. W ciemnym chłodnym pomieszczeniu gdzieś na tyłach budynku po raz ostatni spojrzął na piękną twarz matki i wybrał dla niej trumnę.

Zdołał dojść do samochodu i dopiero wtedy całkiem się rozkleił. Siedząc na parkingu, wpatrzony w przesuwające się po szybie wycieraczki, poczuł, jak ogarnia go czarna rozpacz. Długo nie mógł przestać płakać.

* * *

Nabożeństwo odprawiono w kościele metodystów, tym samym, który zbudował dziadek Pete'a i w którym zostali ochrzczeni jako dzieci Joel i Stella. Pastor był nowy, przysłany niedawno do Clanton przez zwierzchników. Znał całą historię, ale jej nie przeżył i bardzo mu zależało, by zakopać podziały i uzdrowić swoją wspólnotę.

Joel i Stella mieli z początku zamiar wyprawić prywatny pogrzeb, podobny do tego, jaki zaplanował sobie Pete na Starej Sykomorze, ale przyjaciele przekonywali ich, że Liza zasłużyła na porządną uroczystość. W końcu ulegli i spotkali się z pastorem.

Obecnych było wiele osób, dwa razy więcej niż miejsc siedzących w kościele. Ludzie czekali w samochodach na

parkingu, by móc spojrzeć na trumnę. Znajomi i przyjaciele, którzy nie mieli wcześniej możliwości pożegnać się z Pete'em, pamiętali, by przybyć odpowiednio wcześniej na pogrzeb Lizy.

Państwo Sweeneyowie siedzieli między Joelem a Stellą, wpatrując się w stojącą dwa metry dalej trumnę. Pani Sweeney była niepokieszona i bez przerwy ocierała łzy. Jej mąż siedział z obojętną, prawie zagniewaną miną, jakby winił cały ten zacofany stan za śmierć córki. Joel i Stella wypłakali już wcześniej dość łez i siedzieli oszołomieni, rozpaczliwie pragnąc, by ta godzina dobiegła końca. Okazja była zbyt smutna, by pozwolić sobie na lżejszy ton. Nie było serdecznych eulogii i wspomnienia miłych chwil spędzonych ze zmarłą. Ani jednej wzmianki o jej mężu, nie w tym kościele. Koszmar Banningów trwał i ci, którzy to widzieli, nie mogli nic na to poradzić.

Kilka hymnów, kazanie, krótkie czytanie Pisma – po niespełna godzinie, zgodnie z obietnicą pastora, było już po wszystkim. Kiedy panna Emma Faye Riddle zaintonowała ostatnią żałobną pieśń, wszyscy wstali i Joel i Stella ruszyli główną nawą w ślad za zamkniętą trumną. Za nimi szli państwo Sweeneyowie, wsparci o siebie, próbując jakoś się trzymać. Dalej inni członkowie rodziny Sweeneyów, lecz ani jednego Banninga. Florry leżała w łóżku, u siebie w domu. Niewielka rodzina coraz bardziej się kurczyła. Do środka kościoła nie wpuszczono oczywiście żadnego z kolorowych.

Stąpając za trumną i słuchając dźwięku organów i płaczu pań, Joel czuł na sobie wiele spojrzeń. Blisko wyjścia zerknął na prawo i w jednym z ostatnich rzędów zobaczył najładniejszą buzię, jaką w życiu widział. Mary Ann Malouf wraz z koleżanką z korporacji studentek przyjechała specjalnie z Oxfordu, by złożyć uszanowanie zmarłej. Wchodząc do przedsionka kościoła, Joel powiedział sobie, że pewnego dnia poślubi tę dziewczynę.

Godzinę później niewielki tłumek zebrał się na Starej Sykomorze, by asystować przy złożeniu trumny do grobu. Tylko rodzina, kilkoro przyjaciół, Amos i Nineva, Marietta

i kilkunastu innych czarnych, którzy mieszkali na terenie posiadłości. Florry chciała uczestniczyć w ceremonii, ale Joel nalegał, by została w różowym domku. Był teraz kimś w rodzaju głowy rodziny i podejmował decyzje, których wcale nie chciał podejmować. Po odmówieniu modlitwy, odczytaniu fragmentu Pisma i ściskającej za serce wersji Amazing Grace w wykonaniu Marietty czterej mężczyźni opuścili trumnę Lizy do grobu, niecałe pół metra od tej, w której znajdowały się szczątki jej męża. Ramię przy ramieniu mogli tam teraz spoczywać przez całą wieczność.

Ona była tak samo odpowiedzialna za jego śmierć, jak on był za jej. Zostawili po sobie dwójkę cudownych dzieci, które nie zasłużyły na to, by karano je za grzechy rodziców.

* * *

Tydzień po pogrzebie było Święto Dziękczynienia. Na trzecim roku prawa Joel miał już niewiele zajęć, ale musiał pilnie wrócić na uczelnię i zacząć wkuwać przed końcowymi egzaminami. W poniedziałek pojechał ze Stellą do Oxfordu, spotkał się tam z dziekanem i wyłożył karty na stół. Wyłoniły się dość skomplikowane problemy rodzinne i musi wziąć kilka dodatkowych dni wolnego. Dziekan wiedział, co się wydarzyło, wyraził współczucie i obiecał, że uczyni wszystko, co w jego mocy. Joel należał do najlepszych dziesięciu procent studentów na swoim roku i w maju miał dostać dyplom ukończenia prawa.

Korzystając z tego, że jest w Oxfordzie, zaprosił Mary Ann na lunch do Mansion. Chciał, by poznała jego siostrę. Kiedy tam jechali, wyjawił Stelli, co czuje do tej dziewczyny, a ona była zachwycona, że nawiązał w końcu poważny związek. Od załamania nerwowego matki i śmierci ojca znacznie częściej ze sobą rozmawiali i byli wobec siebie bardziej otwarci. Starali się wzajemnie wspierać i niewiele przed sobą ukrywali. Wychowali się w domu, w którym prawie się nie

zwierzano, ale te czasy odeszły już w przeszłość. W tej rodzinie zawsze było zbyt wiele sekretów.

Dwie młode damy natychmiast przypadły sobie do gustu. W gruncie rzeczy zaprzyjaźniły się tak szybko i podczas lunchu tyle mówiły i tyle się śmiały, że Joel nie mógł wyjść ze zdziwienia. On sam niewiele się odzywał, bo nie dały mu szansy. W drodze do domu Stella poradziła mu, żeby lepiej szybko się oświadczył, bo inaczej ktoś sprzątnie mu Mary Ann spod nosa. Spotkanie podniosło ich na duchu, ale kiedy przekroczyli granicę hrabstwa Ford, myśli obojga pobiegły z powrotem ku matce i rozmowa przestała się kleić. Skręciwszy na podjazd prowadzący do ich domu, Joel zwolnił i zatrzymał się w połowie drogi. Po chwili zgasił silnik i oboje popatrzyli na swój dom.

– Myślałam, że nigdy tego nie powiem – odezwała się w końcu Stella – ale naprawdę nie lubię teraz tego miejsca. Przez to, co się stało, wspomnienia wszystkich szczęśliwych chwil legły w gruzach. Nigdy już nie postawię stopy w tym domu.

– Powinniśmy go chyba spalić – rzucił Joel.

– Nie opowiadaj głupstw. Mówisz serio?

– Tak jakby. Nie mogę znieść myśli, że zamieszkają tu Jackie Bell, jej dzieci i ta kanalia McLeish. Roi mu się, że zostanie wielkim plantatorem, grubą rybą. Trudno się z tym pogodzić.

– Ale ty przecież nigdy tu nie zamieszkasz, prawda, Joel?

– Prawda.

– Ja też nie. Więc jakie to ma znaczenie? Będziemy od czasu do czasu odwiedzać Florry, ale po jej śmierci moja noga już tutaj nie postanie.

– A co z naszym cmentarzem?

– A co ma być? Co nam da przychodzenie na stare groby i wylewanie morza łez? Oboje odeszli i to boli, bo powinni żyć dalej, ale nic już tego nie zmieni, Joel. Próbuję zapomnieć, jak umarli, i pamiętać, jak żyli. Jeśli to możliwe, pamiętajmy tylko dobre chwile.

- Teraz wydaje się to niemożliwe.
- Owszem.
- To wszystko nie ma już znaczenia, Stello. I tak stracimy tę ziemię.
- Wiem. Po prostu podpisz akt przekazania własności i miejmy to za sobą. Ja wracam do wielkiego miasta.

* * *

Dyrektorka St. Agnes również odniosła się z pełnym zrozumieniem do sytuacji i dała Stelli tydzień wolnego. Miała stawić się z powrotem w szkole w niedzielę po Święcie Dziękczynienia.

Młodzi zaszyli się w różowym domku i nie zbliżali do rezydencji. Marietta upiekła kurczaka i placek, przygotowała przystawki i wszyscy dokładali starań, by spędzić święto w pogodnym nastroju. Florry wracała do zdrowia i usiłowała dotrzymać im kroku.

Wczesnym rankiem w piątek Joel załadował rzeczy Stelli do pontiaca i uściskali ciotkę na pożegnanie. Zatrzymali się przy Starej Sykomorze, gdzie uronili kilka łez, a potem zajechali pod swój dom. Stella wbiegła do środka, żeby pożegnać się z Ninewą, i ruszyli dalej.

Upierała się, że pojedzie do Waszyngtonu pociągiem, ale Joel nie chciał o tym słyszeć. Była kompletnie rozbita – czyż nie byli rozbici wszyscy? – i nie zamierzał pozwolić, by siedziała sama przez długie godziny w przedziale. Musieli spędzić ze sobą trochę czasu, dlatego dobrze było jechać samochodem. Kiedy skręcili z podjazdu na drogę, Stella spojrzała na dom i otaczające ich pola. Miała nadzieję, że nigdy tu nie wróci.

I nigdy nie wróciła.

* * *

Przed następną rundą wyborów wakaty po zmarłych sędziach były obsadzane przez gubernatora stanu. Po śmierci sędziego Rumbolda gubernator Fielding Wright, który dwa i pół roku wcześniej był świadkiem egzekucji Pete'a, otrzymał jak zwykle wiele nieoficjalnych rekomendacji. Jednym z największych zwolenników Wrighta w północnym Missisipi był nie kto inny jak Burch Dunlap, który wspierał mocno kandydaturę swojego kumpla z Tupelo, niejakiego Jacka Shenaulta. Dunlap liczył na szybkie i wysokie honorarium w sprawie Banningów i chciał mieć Shenaulta za stołem sędziowskim.

Na początku grudnia, kiedy Joel zaliczał końcowe egzaminy na Ole Miss, gubernator Wright, obsadzając wakat po Rumboldzie, mianował Shenaulta tymczasowym sędzią sądu kanclerskiego. Johnowi Wilbanksowi i większości innych adwokatów niezbyt spodobała się ta nominacja, przede wszystkim dlatego, że Shenault nie mieszkał na terenie dystryktu. Obiecywał, że się tutaj przenieś.

Wilbanks popierał innego kandydata, ale nigdy nie grał w jednej drużynie z gubernatorem Wrightem.

Z szacunku dla rodziny Dunlap dopiero miesiąc po pogrzebie Lizy przystąpił do dalszej akcji. Namówił Shenaulta, by wezwał do siebie Johna Wilbanka oraz Joela, który wrócił właśnie do domu na ferie i którego mianowano zastępczym powiernikiem majątku ojca. Spotkali się w pokoju sędziego za salą posiedzeń, która już zawsze miała budzić w Joelu dreszcz grozy.

Przedmiotem dyskusji był wniosek Dunlapa o przejęcie ziemi wchodzącej w skład majątku Pete'a, ostatnia salwa w długiej wojnie o farmę Banningów, i z miejsca stało się jasne, że nowy sędzia zamierza sprawę zakończyć jak najszybciej.

Shenault miał reputację raczej gabinetowego niż procesowego prawnika i generalnie cieszył się dobrą opinią. Był z pewnością nieźle przygotowany do spotkania i Wilbanks podejrzewał, że miał w tym duży udział Burch Dunlap.

Zdaniem Wysokiego Sądu – a Shenault włożył nawet na tę okazję czarną togę – scenariusz był prosty. Wysłuchanie w sprawie zajęcia ziemi nie powinno potrwać dłużej niż godzinę. Obie strony przedstawią dokumenty, nakazy sądowe i być może jednego lub dwóch świadków, nie przewiduje się jednak czasu na dłuższą debatę. On, Shenault, najprawdopodobniej wyda nakaz sądowej sprzedaży ziemi, co pociągnie za sobą przetarg, który odbędzie się przed budynkiem sądu. Tytuł własności przypadnie temu, kto zaproponuje najwyższą cenę, a wylicytowana kwota zostanie natychmiast przekazana Jackie Bell, która ma zasądzone sto tysięcy dolarów odszkodowania. Nikt nie spodziewał się tak wysokiej oferty, w związku z czym różnica zostanie wpisana do hipoteki posiadłości.

Jednak według pana Dunlapa, powódka, Jackie Bell, skłonna jest przyjąć po prostu w poczet odszkodowania akt własności ziemi, domu oraz innych aktywów.

Jeżeli Shenault, co nie ulegało raczej wątpliwości, wyda wyrok na korzyść Jackie Bell, Banningom przysługiwało oczywiście prawo odwołania do Sądu Najwyższego stanu Missisipi – tego rodzaju taktykę grania na zwłokę stosowali już wcześniej. Zdaniem Wysokiego Sądu, apelacja zostanie jednak oddalona.

Joel, a także John Wilbanks również byli o tym przekonani. Dotarli do kresu długiej drogi. Kolejne prawnicze wybiegi mogły tylko opóźnić to, co było nieuniknione, i podnieść honoraria adwokatów.

Mając wstępną zgodę stron, Shenault zostawił prawnikom trzydzieści dni na dopracowanie szczegółów i wyznaczył termin następnego spotkania na dwudziestego szóstego stycznia 1950 roku.

* * *

W świątecznym nastroju i z nadzieją na lepsze jutro, na dwa dni przed Bożym Narodzeniem Jackie Bell i Errol McLeish zawarli związek małżeński w małej kaplicy za kościołem episkopalnym. W skromnej ceremonii wzięło udział kilkoro znajomych, a także trójka wystrojonych i dumnych dzieci Jackie.

Jej rodzice nie zostali zaproszeni. Nie zaaprobowali tego małżeństwa, bo nie ufali Errolowi McLeishowi i nie podobały im się jego motywy. Ojciec nalegał, by przed ślubem skonsultowała się z prawnikiem, lecz ona nie chciała o tym słyszeć. McLeish za bardzo się interesował jej pozwami i pieniędzmi i według ojca Jackie, groziła jej finansowa katastrofa.

Poza tym nie uczestniczyła w życiu kościoła, co wielce niepokoiło jej rodziców. Próbowwała im wyjaśniać swój kryzys wiary, ale w ogóle jej nie słuchali. Człowiek albo jest członkiem kościoła, albo nie, i tych, którzy od niego odchodzą, czeka potępienie.

Jackie była zachwycona, że opuszcza Rome i wraca do Clanton. Musiała trochę odpocząć od rodziców, a co ważniejsze, pragnęła już przejąć dom Banningów. Odwiedzała go wiele razy i nigdy nie przyszło jej do głowy, że któregoś dnia będzie należał do niej. Po długich latach, które spędziła w ciasnych, zagraconych plebaniach i wynajmowanych mieszkaniach, ona, Jackie Bell, miała zostać właścicielką jednej z najwspanialszych rezydencji w hrabstwie Ford.

Rozdział 48

Dwa dni po Bożym Narodzeniu, wracając rano przez pole ze Starej Sykomory, Joel poczuł na twarzy zimne krople. Zaczął padać deszcz ze śniegiem, a po południu zanosiło się na śnieżycę. Szybko wrócił do różowego domku i chciał właśnie zaproponować podróż samochodem gdzieś na południe, gdy Florry oznajmiła, że ma zamiar przyjąć zaproszenie panny Twyli i spędzić dwa miesiące w jej domu w Nowym Orleanie. Napomykała o tym wyjeździe już wcześniej. Tutaj wszystko wpędzało ją w depresję – śmierć Lizy i rola, jaką ona w niej odegrała, zimowe chłody, ponury krajobraz i oczywiście konieczność oddania ziemi Pete’u, przez którą prowadziła jedyna droga do jej domu. Wszędzie zbierały się ciemne chmury i chciała się po prostu gdzieś wyrwać.

Wyjechali po godzinie, w pogarszających się z minuty na minutę warunkach drogowych, ale już w połowie hrabstwa Polk deszcz i śnieg przestały padać. W pobliżu Jackson pogoda i warunki na drodze znacznie się poprawiły.

W drodze poruszyli wiele ważnych tematów. Na wiosnę Joel zamierzał oświadczyć się Mary Ann. Kupił już w Memphis pierścioneł zaręczynowy i nie mógł się doczekać, by go wręczyć. Zdecydował się zamieszkać w Biloxi i sądził, że dostanie tam pracę w małej kancelarii. Nie było to jeszcze pewne, ale nie tracił nadziei. Martwili się o Stellę i o jej depresję. Święta spędziła u przyjaciół w Waszyngtonie i nie

mogła się zmusić, żeby wrócić do domu. Czyż cała rodzina nie była w depresji? Najpilniejszą sprawą pozostawała decyzja, co zrobić z ziemią Florry na wiosnę. Żadne z nich nie miało ochoty zwracać się do McLeisha z propozycją jakiejś ugody. Florry chciała zniknąć na kilka miesięcy głównie po to, by nie mieć do czynienia z tym człowiekiem. Zdecydowali w końcu, że Joel wynegocjuje warunki dzierżawy z Dougiem Wilbanksem, kuzynem Johna. Doug uprawiał tysiące hektarów w kilku hrabstwach i z pewnością nie da się zastraszyć komuś takiemu jak McLeish. Nie wiedzieli, co się stanie z mieszkającymi na farmie czarnymi, ale tym biedakom zawsze udawało się jakoś przetrwać. McLeish będzie ich potrzebował do pracy na polach. Nikt nie będzie głodował.

Poza tym nie mogli się przecież martwić o wszystkich. Po zabójstwie Dextera Bella ich życie zmieniło się w diametralny sposób i wiedzieli, że nie ma dla nich powrotu do przeszłości. Musieli zadbać o siebie. Florry przyznała, że od dwóch lat rozmawia z panną Twylą, swoją najlepszą przyjaciółką z Memphis, o tym, żeby zamieszkać u niej w Nowym Orleanie. Twyla była coraz starsza i bardziej samotna, a w jej rozległym domu w Dzielnicy Francuskiej było mnóstwo miejsca.

Rozmawiali przez kilka godzin, cały czas o teraźniejszości i przyszłości, ale nie o przeszłości.

– Stella i ja uważamy, że wiesz o wiele więcej, niż nam powiedziałaś – odezwał się w końcu Joel, kiedy byli już na południe od Jackson.

– O czym?

– O tacie, mamie i Dexterze. O tym, co się wydarzyło. Ty coś wiesz, prawda, ciociu Florry?

– Czy to ma teraz jakieś znaczenie? Wszyscy i tak nie żyją.

– Wieczorem przed egzekucją pojechałaś do taty do więzienia. O czym tam rozmawialiście?

– Musimy do tego wracać? To była jedna z najgorszych nocy w moim życiu.

– Typowy unik Banningów, ciociu Florry. Odeprzeć pytanie pytaniem i wymigać się od odpowiedzi. Gdzie ty i ojciec tak

dobrze się tego nauczyliście?

– Nie bądź napastliwy, Joel.

– Wcale nie jestem napastliwy. Odpowiedz po prostu na pytanie.

– Co takiego chcesz wiedzieć?

– Dlaczego tato zabił Dextera Bella?

– Nigdy mi tego nie zdradził, a możesz mi wierzyć, że mocno go naciskałam. Był bardzo upartym człowiekiem.

– Nie mów. Domyślam się, że mama miała romans z Dexterem Bellem i kiedy tato wrócił po wojnie do domu, jakoś się o tym dowiedział. Rzucił jej w twarz oskarżenie, a ją ogarnęło poczucie winy i wstyd. Załamano się czy coś w tym stylu, a on nie chciał z nią żyć pod jednym dachem. Wilbanks przekonał sędziego Rumbolda, że mama musi spędzić trochę czasu w zakładzie, i tato odwiózł ją do Whitfield. Ale fakt, że zdradziła go żona, nie dawał mu spokoju, zwłaszcza że na wojnie przeżył taki koszmar. Tylko o tym pomyśl, ciociu Florry: o mało nie zagłodzili go na śmierć, o mało nie zmarł na malarię i dyzenterię, był torturowany i bity, potem walczył w dżungli, a w tym czasie jego żona zabawiała się z pastorem. Doprowadzało go to do szaleństwa i dlatego zabił Dextera Bella. Coś przestawiło mu się w głowie. I co ty na to, ciociu Florry?

– Uważasz, że twojemu ojcu pomieszało się w głowie?

– A ty jesteś innego zdania?

– Owszem. Moim zdaniem Pete dobrze wiedział, co robi. Nie był wariatem. Mogę się zgodzić z resztą twojej historii, ale Pete rozumował racjonalnie.

– I nigdy nie opowiedział ci tej historii?

Florry wzięła głęboki oddech i wyjrzała przez boczną szybę. Już to samo stanowiło odpowiedź, ale ona nie zamierzała jej udzielić.

– Nie, nigdy – mruknęła.

Joel wiedział, że kłamie.

* * *

W Nowym Orleanie mogli tylko pomarzyć o śniegu. Temperatura wynosiła kilkanaście stopni, powietrze było czyste i rześkie. Panna Twyla uściskała ich mocno na powitanie, kazała pokojówce rozładować samochód i podała im drinki na patio. Florry przywiozła ze sobą wystarczającą ilość pospiesznie spakowanych rzeczy, by zostać tu przez rok. Joel bąknął, że wynajmie sobie pokój w hotelu Monteleone przy Royal Street, ale Twyla nie chciała o tym słyszeć. W jej eleganckim domu było wiele sypialni, a ona lubiła towarzystwo. Siedząc obok starej fontanny, z wodą tryskającą z pyska cementowego tygrysa, rozmawiali o tym i owym.

– Wygląda okropnie – szepnęła Twyla do Joela, kiedy Florry na chwilę wyszła.

– To był dla nas trudny okres. Ciocia wini się za śmierć mojej mamy.

– Przykro mi to słyszeć, Joel. Trafiła podobno do szpitala?

– Owszem, spędziła tam parę dni. Bóle w klatce piersiowej. Martwię się o nią.

– Schudła i jest taka blada.

– Sądzę, że nie zaszkodzi jej trochę pieczonych ostryg, jambalaya i zupa dyniowa. Ja ją tu przywiozłem; pani niech ją teraz podkarmi.

– To da się zrobić. I mamy tu lepszych lekarzy. Sprowadzę któregoś, żeby ją zbadał. Rodzinne geny są, że tak powiem, niezbyt obiecujące.

– Dziękuję. Owszem, umieramy młodo.

– A jak się miewa uroczą Stella?

– Dobrze. Nie chciała na razie wracać do domu i została w Waszyngtonie. To był dla nas trudny okres.

– Rozumiem. Przydałaby się wam jakaś odmiana losu.

Tymczasem wróciła Florry, drepcząc powoli w powiewającej za nią obszernej sukni. W towarzystwie Twyli, w wielkim mieście, szybko odzyskiwała dobry nastrój.

Pokojówka naląa im schłodzonego wina i postawiła półmisek z surowymi ostrygami na starym drewnianym stole, który pochodził podobno z jakiejś farmy na południu Francji.

Wszyscy troje jedli, pili i zaśmiewali się aż do późnej nocy. Po raz kolejny hrabstwo Ford wydawało się należeć do innego świata.

* * *

Nazajutrz późnym rankiem Joel wytoczył się z sypialni z bólem głowy i spieczonymi ustami. Znalazł wodę, zaspokoił pierwsze pragnienie i stwierdził, że musi napić się kawy. Pokojówka dyskretnie pokazała mu frontowe drzwi i chwilę później znalazł się w jasnym blasku kolejnego pięknego dnia w Nowym Orleanie. Odzyskawszy równowagę i zebrawszy siły, pomaszerował Chartres Street do Jackson Square i swojej ulubionej małej kawiarenki, gdzie kawa była mocna i doprawiona cykorią. Wypił jedną, zapłacił za drugą na wynos, po czym przeszedł na drugą stronę Decatur Street, wspiął się na groblę i usiadł na ławce. To było jego ulubione miejsce w tym mieście i uwielbiał siedzieć tu godzinami i obserwować ruch na rzece.

W domu, w bibliotece ojca, był album ze zdjęciami Nowego Orleanu. Jedno z nich, pochodzące z lat siedemdziesiątych dziewiętnastego wieku, przedstawiało kilkanaście przycumowanych obok siebie parowców, wszystkie wyładowane belami bawełny z plantacji w Arkansas, Missisipi i Luizjanie. Joel, który w dzieciństwie często puszczał wodze fantazji, wyobrażał sobie, że na jednym z tych statków jest bawełna z farmy Banningów i że z Nowego Orleanu wyeksportują ją za granicę. Ich bawełna była ważna; świat nie mógł się bez niej obejść. Pracujący na statkach i przy rozładunku ludzie zarabiali dzięki niej na życie.

W tamtych czasach w porcie panował wieczny harmider i zamęt: do nabrzeży przybijały wciąż nowe parowce i setki

dokerów spieszyły, by je rozładować. To wszystko odeszło już w przeszłość. Na wielkiej rzece nadal trwał ruch, ale parowce zostały zastąpione płaskodennymi niskimi barkami, które przewoziły zboże i węgiel. W oddali widać było rdzewiejące w porcie okręty wojenne.

Urzeczony rzeką Joel zastanawiał się, dokąd zmierza każdy z tych statków. Niektóre płynęły dalej na południe, w stronę Zatoki Meksykańskiej, inne stamtąd wracały. Nie miał ochoty jechać do domu. Powrót tam oznaczał ostatni semestr nużących studiów na wydziale prawa, nasiadówki z adwokatami i zamknięcie całego bałaganu, którego narobił jego ojciec. Powrót oznaczał pożegnanie z ziemią i domem, a także z Ninewą, Amosem i innymi, których znał od dzieciństwa.

Przez trzy dni włóczył się po Nowym Orleanie, a kiedy mu się to w końcu znudziło, uściskał Florry, która najwyraźniej świetnie się tam zadomowiła, i opuścił miasto.

Pojechał do Biloxi, gdzie udało mu się zastać ojca Mary Ann w jego biurze. Przeprószył za najście, wyjaśnił, że nie chciał, by wiedziała, że jest w mieście, i nie mógł tego inaczej załatwić, po czym poprosił pana Maloufa o rękę córki. Zaskoczony dżentelmen nie miał innego wyjścia, jak tylko się zgodzić.

Tamtego wieczoru Joel zjadł kolację ze swoją przyszłą narzeczoną i spędził noc na sofie w salonie Maloufów.

Rozdział 49

Rok 1950 zaczął się tak fatalnie, jak można się było tego spodziewać. Dwudziestego szóstego stycznia we wspaniałej sali konferencyjnej Johna Wilbanksa zasiedli po jednej stronie stołu on i Joel, a po drugiej Burch Dunlap i Errol McLeish. Sędzia Shenault, tym razem bez togi, zajął miejsce u szczytu stołu i poprowadził negocjacje.

Joel, jako zastępczy wykonawca testamentu, podpisał akt przekazania dwustu sześćdziesięciu hektarów ziemi wraz z domem na rzecz Jackie Bell, obecnie Jackie Bell McLeish. Żeby uniknąć wszelkich nieporozumień z Florry, teren został dokładnie obmierzony, a jego granica naniesiona na mapę. Opisano i umieszczono na osobnej liście wszystkie stojące na nim budynki: stajnie, kurniki, szopy z ciągnikami, obory, chlewy, domek Ninevy i Amosa, dom brygadzysty, zajmowany przez Buforda Provine'a, oraz czternaście szałasów w lesie, w których mieszkali obecnie robotnicy rolni. Na kolejnej liście znalazły się ruchomości: należący do Pete'a pick-up Forda z 1946 roku, ciągniki, przyczepy, pługi, siewniki, wszystkie narzędzia rolnicze, łącznie z grabiami i łopatami, a także konie i żywy inwentarz. McLeish miał to wszystko dostać. Za trzysta dolarów pozwolił Joelowi odkupić pontiaca z 1939 roku.

Kolejny dokument zawierał spis wyposażenia domu, a w każdym razie to, co z niego zostało. Joel zdołał już

wcześniej zabrać książki, rodzinne pamiątki, broń, ubrania, biżuterię, bieliznę pościelową i co lepsze meble.

Co do gotówki McLeish nie był zbyt zachłanny. Domyślał się, całkiem słusznie, że w większości została wydana lub ukryta. Na podstawie inwentarza, który Wilbanks sporządził jesienią 1947 roku, po zatwierdzeniu testamentu, McLeish zgodził się przyjąć, oczywiście w imieniu żony, dwa i pół tysiąca dolarów.

Joel pogardzał tym człowiekiem tak mocno i od tak dawna, że trudno mu było wykrzesać dla niego jeszcze więcej pogardy. Rozpatrując sumy i aktywa zgromadzone w pocie czoła przez innych, McLeish wydawał się jednocześnie pompatyczny i żaloszny. Zupełnie jakby wierzył, że ziemia Banningów naprawdę należy się jemu i jego żonie.

Całe spotkanie było koszmarne i Joelowi robiło się chwilami niedobrze. Kiedy tylko stało się to możliwe, bez słowa wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi i uciekł z kancelarii. Pojechał na farmę i ze łzami w oczach zaparkował przed domem.

Nineva i Amos czekali na tylnej werandzie – nigdy nie siadali od frontu – i wyglądali jak ludzie, którzy mogą stracić wszystko. Oboje urodzili się na ziemi Banningów i nigdy stamtąd nie wyjeżdżali. Widząc łzy w oczach Joela, sami też zaczęli płakać. Całej trójce z wielkim trudem udało się opanować emocje, pożegnać się i jakoś rozstać. Kiedy zostawił ich na werandzie, Nineva wybuchła niepowstrzymanym szlochem i Amos wziął ją w objęcia. Joel ruszył tymczasem do stodoły, gdzie czekał na niego Buford, i przekazał mu, że po południu będzie chciał z nim porozmawiać nowy właściciel, McLeish. Wszystko wskazywało na to, że brygadzysta zachowa swoją pracę. Joel bardzo chwalił Buforda, podkreślając, że błędem byłoby zastąpienie go kimś innym. Ten podziękował, uścisnął mu dłoń i też uronił kilka łez.

Mrużąc oczy przed przenikliwym wiatrem, Joel pokonał niecały kilometr, który dzielił go od Starej Sykomory, i pożegnał się z rodzicami. Szczęśliwym trafem rodzinny

cmentarz znajdował się na części ziemi należącej do Florry i dzięki temu zawsze mogli mieć do niego dostęp. Zawsze, a w każdym razie w najbliższej przyszłości. Czy słowo „zawsze” miało jeszcze jakikolwiek sens? Dorastał w przekonaniu, że zawsze będzie właścicielem tej ziemi.

Przez dłuższy czas wpatrywał się w oba nagrobki i po raz tysięczny zadawał sobie pytanie, dlaczego życie jego rodziców przybrało tak dramatyczny obrót. Byli o wiele za młodzi, by umrzeć, zostawiając po sobie sekrety i brzemię, które miały ciążyć ich bliskim. Spoglądając na inne mogiły, zastanawiał się, ile jeszcze innych mrocznych tajemnic Banningowie zabrali ze sobą do grobu.

Przeszedł po raz ostatni wśród pól, po przecinających je drózkach i traktach, i kiedy wrócił do samochodu, miał skostniałe palce. Przemarzył do szpiku kości i był do szpiku kości obolały. Odjeżdżając stamtąd, nawet nie spojrzął na dom. Żałował, że go nie spalił.

* * *

Po południu Errol McLeish pojawił się w swoim nowym domu i przedstawił się Ninevie. Żadne z nich nie siliło się na grzeczność. McLeish nie ufał jej, bo całe życie pracowała dla Banningów, a ona uważała go za złodzieja i intruza.

– Chciałabyś tu dalej pracować? – zapytał.

– Niekoniecznie, proszę pana. Jestem za stara. W każdym razie na prace domowe. Ma pan, zdaje się, całą gromadkę dzieci?

– Trójkę.

– Sam pan widzi. Jestem za stara, żeby pracować, sprzątać, gotować i prasować dla trójki dzieci plus żony. Ja i Amos musimy po prostu przejść na emeryturę. Jesteśmy za starzy.

– I gdzie chcecie osiąść na tej emeryturze?

– Nie moglibyśmy zostać tutaj? Domek jest mały, ale to wszystko, co mamy. Mieszkamy w nim od ponad

pięćdziesięciu lat. Nikt inny nie będzie z niego miał żadnego pożytku.

– Zobaczymy. Powiedziano mi, że Amos doi krowy i zajmuje się ogrodem.

– To prawda, ale on też jest już stary.

– Ile ma lat?

– Chyba koło sześćdziesiątki.

– A ty?

– Mniej więcej tyle samo.

– Macie dzieci?

– Całą gromadkę, ale wszystkie wyjechały na północ. W naszym małym domku zostaliśmy tylko ja i Amos.

– Gdzie jest pan Provine?

– Buford? Czeka w szopie z ciągnikami.

McLeish wyszedł kuchennymi drzwiami na werandę, zawiązał ciasniej fular na szyi, zapalił cygaro i ruszył przez podwórko; minął stodoły i szopy, licząc żywy inwentarz, napawając się swoim bogactwem. Jackie z dziećmi przyjeżdżała w przyszłym tygodniu i już wkrótce mieli stać się ludźmi, z którymi trzeba będzie się liczyć w hrabstwie Ford.

* * *

Po tym, jak ciotka znalazła się w cieplejszym klimacie Nowego Orleanu, majątek po ojcu przepadł, a rodzinny dom zajęli obcy, Joel nie miał najmniejszego powodu wracać do hrabstwa Ford. I nie miał na to również najmniejszej ochoty. Większość zachowanej gotówki poszła na wynagrodzenie dla kancelarii Wilbanksów, która wytrwale i lojalnie ich reprezentowała. Skończyły się cotygodniowe telefoniczne rozmowy z Johnem Wilbanksem, ale wcześniej adwokat przekazał mu wiadomość, że McLeish zwolnił Ninewę i Amosa i eksmitował ich z zajmowanego domku. Dostali czterdzieści osiem godzin na wyprowadzkę i mieszkali obecnie u krewnych w Clanton. Według Buforda Provine'a, z którym

rozmawiał brygadzysta Wilbanksów pracujący na ziemi Florry, McLeish chciał zacząć pobierać czynsz od mieszkających w szałasach robotników rolnych i jednocześnie obciąć im płace.

Wiadomość o eksmisji wprawiła Joela we wściekłość. Nie wyobrażał sobie, żeby Nineva i Amos mogli zamieszkać gdzie indziej, żeby zmuszano ich do szukania w tym wieku nowego domu. Przysiągł sobie, że pojedzie do Clanton, odszuka ich i da im trochę pieniędzy. Skrzywdzono też innych robotników rolnych, choć nie zrobili nic złego. Przywykli do porządnego traktowania ze strony jego ojca i dziadka, lecz teraz rządził tam idiota. Za podłość nie odpłaca się lojalnością. Na myśl o tym robiło mu się niedobrze i był to kolejny powód, żeby zapomnieć o farmie.

Gdyby nie Mary Ann i jej magia, byłby ponurym, pogrążonym w depresji dwudziestoczteroletnim studentem prawa bez przyszłości. Dziewczyna przyjęła jego oświadczenia i w maju, po odebraniu dyplomów, planowali skromny ślub w Nowym Orleanie. Kiedy nadeszła w pełnej krasie wiosna, Joel otrząsnął się z chandry i starał się nacieszyć ostatnimi tygodniami studenckiego życia. On i Mary Ann byli nierozłączni. Na ferie wiosenne pojechali pociągiem do Waszyngtonu i spędzili cały tydzień ze Stellą.

W drodze do stolicy i z powrotem godzinami rozmawiali o nowym życiu gdzieś daleko od Missisipi. Joel, podobnie jak jego siostra, chciał się stamtąd wynieść i zamieszkać w jednej z metropolii na północy, gdzie możliwości wydawały się nieograniczone, a przeszłość odległa. Mary Ann nie zależało aż tak bardzo na przenosinach, ale będąc wnuczką imigrantów, nie miała nic przeciwko rozpoczęciu wszystkiego od nowa. Byli młodzi i zakochani, wkrótce brali ślub, dlaczego więc nie mieliby poznać trochę świata?

* * *

Dziewiętnastego kwietnia Florry zbudziła się wcześnie rano z silnym bólem w klatce piersiowej. Trudno jej było oddychać i czuła, że zaraz zemdleje. Zdążyła jeszcze zbudzić Twylę i osunęła się na fotel. Ambulans zabrał ją do szpitala Mercy, gdzie udało się ją ustabilizować. Lekarze rozpoznali lekki atak serca i byli poważnie zaniepokojeni jej stanem ogólnym. Dzień później Twyla zadzwoniła na Ole Miss i nazajutrz, w piątek, Joel opuścił ostatnie zajęcia i jadąc non stop, przybył do Nowego Orleanu. Mary Ann czekały pilne egzaminy i nie mogła z nim jechać.

W szpitalu Florry ucieszyła się na jego widok – od ich ostatniego spotkania upłynęło trzy i pół miesiąca – i udawała poirytowaną tym, że wszyscy tak się nią przejmują. Twierdziła, że czuje się świetnie, ma dość szpitalnej rutyny i chce wracać do domu, żeby zacząć pisać nowe opowiadanie. Joela zaskoczył jej wygląd. Florry dramatycznie się postarzała – z posiwiałymi włosami i ziemistą cerą wyglądała co najmniej na dziesięć lat więcej, niż miała w rzeczywistości. Zawsze korpulentna, teraz wyraźnie schudła. Z trudem oddychała i często nie mogła złapać tchu.

Na korytarzu podzielił się swoimi obawami z Twylą.

– Wygląda okropnie – szepnął.

– Ma chorobę zwyrodnieniową serca, Joel, i raczej nie wyzdrowieje.

Myśl, że ciotka mogłaby wkrótce umrzeć, nigdy dotąd nie przyszła mu do głowy. Po utracie rodziców nie przyjmował tego po prostu do wiadomości.

– Nie mogą jej wyleczyć? – zapytał.

– Starają się. Podają jej mnóstwo leków i tak dalej, ale tego procesu nie można zatrzymać ani odwrócić.

– Ma przecież dopiero pięćdziesiąt dwa lata.

– Jak na Banningów to dużo.

Dzięki za szczerść, pomyślał.

– Jestem wstrząśnięty tym, jak bardzo się postarzała – mruknął.

– Jest bardzo słaba i krucha, niewiele je, choć chętnie zjadłaby więcej. Myślę, że jej serce jest z dnia na dzień coraz słabsze. Jutro może wrócić do domu i byłoby miło, gdybyś został na weekend.

– Jasne, nie ma sprawy. Taki miałem zamiar.

– I musisz odbyć szczerą rozmowę ze Stellą.

– Niech mi pani wierzy, panno Twylo, ja i Stella jesteśmy jedynymi członkami naszej rodziny, których stać na szczerą rozmowę.

W sobotę rano Florry poczuła się znacznie lepiej i ambulans odwiózł ją do domu Twyli. Na patio podano elegancki lunch. Był piękny wiosenny dzień, temperatura przekraczała dwadzieścia pięć stopni i Florry cieszyła się, że może znów odetchnąć pełną piersią. Wbrew zaleceniom lekarzy popijała wino i zjadła cały talerz czerwonej fasoli z ryżem. Im więcej mówiła, jadła i piła, tym bardziej nabierała sił. Rozprawiała ze swadą i wzmocnił jej się głos. Był to zaiste cudowny powrót do zdrowia i Joel przestał myśleć o kolejnym pogrzebie.

Po długiej popołudniowej drzemce wybrał się na spacer po Dzielnicy Francuskiej, co zawsze lubił, choć tym razem doskwierał mu brak Mary Ann. Na Jackson Square roiło się od turystów i przy każdym rogu stał jakiś uliczny grajek. Joel wypił kawę w swojej ulubionej kawiarni z ogródkiem, zamówił sobie za dolara marną karykaturę, kupił tanią bransoletkę dla Mary Ann, posłuchał grającego przed jarmarkiem big bandu i w końcu zawędrował na groblę, gdzie usiadł na ławce z kutego żelaza i patrzył na płynące w górę i w dół rzeki statki.

W wysyłanych sobie co tydzień listach Joel i Florry spierali się o to, czy powinna wziąć udział w ceremonii wręczania dyplomów na jego uczelni pod koniec maja. Trzy lata wcześniej, gdy zbliżał się termin egzekucji ojca i cała rodzina była zdruzgotana, Joel nie wziął udziału w podobnej ceremonii na Uniwersytecie Vanderbilta. Zamierzał darować sobie i tę na Ole Miss, ale ciotka była odmiennego zdania.

Spędzili piękne chwile w Hollins, kiedy kończyła tam studia Stella, i Florry miała nadzieję, że w Oxfordzie będzie tak samo.

Spór rozgorzał na nowo w niedzielę rano, przy śniadaniu na patio. Florry upierała się, że pojedzie do Oxfordu na wręczenie dyplomów, a Joel zapewniał ją, że straci tylko czas, bo jego tam nie będzie. Przekomarzali się ze sobą w pogodnym nastroju. Twyla kilka razy przewróciła oczami. Wiedziała, że Florry nigdzie nie pojedzie, co najwyżej z powrotem do szpitala.

Florry niewiele spała poprzedniej nocy i wkrótce osłabła. Wynajęta przez Twylę pielęgniarka odprowadziła ją do sypialni.

– Nie zostanie tu długo, Joel – szepnęła Twyla. – Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie.

– Musisz być przygotowany na najgorsze.

– Ile to potrwa? Miesiąc? Rok?

– Nikt tego nie wie. Kiedy kończysz zajęcia?

– Dwunastego maja. Wręczenie dyplomów jest tydzień później, ale mam zamiar je sobie darować.

– A co ze Stellą?

– Kończy pracę mniej więcej w tym samym czasie.

– Sugeruję, żebyście oboje czym prędzej tu przyjechali i postarali się spędzić z Florry jak najwięcej czasu. Możecie się u mnie zatrzymać.

– Dziękuję.

– Właściwie możecie tu spędzić całe lato, przed ślubem i po ślubie. Florry mówi tylko o tobie i Stelli. Wasza obecność tutaj jest bardzo ważna.

– To niezwykle szlachetnie z pani strony, Twylo. Dziękuję. Ciocia nigdy już nie wróci do domu, prawda?

Twyla wzruszyła ramionami i odwróciła wzrok.

– Wątpię. Wątpię, by zgodzili się na to jej lekarze. Szczerze mówiąc, Joel, ona wcale nie ma ochoty tam wracać. W każdym razie nie w najbliższym czasie.

– Rozumiem to.

Rozdział 50

Ekspres Crescent Limited kursował z Nowego Jorku do Nowego Orleanu dwa razy dziennie. Odległość między miastami wynosiła dwa tysiące dwieście kilometrów, podróż trwała trzydzieści godzin. Czwartego maja o drugiej po południu Stella wsiadła do ekspresu na Union Station w Waszyngtonie i zajęła miejsce w miłym przedziale, szykując się do podróży, o której można było powiedzieć wszystko, tylko nie to, że będzie miła. Zdjęła z ręki zegarek i żeby zabić jakoś czas, próbowała się zdrzemnąć, czytała czasopisma i książkę, jadła kanapki, które ze sobą zabrała, i w myślach usprawiedliwiała swoją podróż. Dyrektorka St. Agnes nie przyjęła zbyt dobrze jej prośby o urlop. Z powodu skomplikowanych problemów rodzinnych już wcześniej wzięła sporo wolnych dni, a przecież zajęcia i tak kończą się za tydzień. Nie mogłaby z tym zaczekać?

Zdaniem panny Twyli, nie. Nie było czasu do stracenia. Florry zbliżała się do kresu swej drogi. Spędzenie ostatnich chwil z ciotką było dla Stelli o wiele ważniejsze od jakiejkolwiek pracy. Dyrektorka trochę jej współczuła i zdecydowała, że później porozmawiają o nowym kontrakcie. Stella była lubianą nauczycielką i w St. Agnes nie chcieli jej stracić.

Z relacji Twyli wynikało, że Florry trafiła do szpitala Mercy po raz drugi, potem trzeci, a lekarze tylko podawali jej leki

i kręcili głowami. Teraz znów była w domu. Przykuta do łóżka, powoli gasła i chciała zobaczyć dzieci. Joel już tam był. Nie przystąpił do kilku egzaminów, ale się tym nie przejmował.

Pociąg był opóźniony i Stella przybyła do Nowego Orleanu dopiero w piątek późnym popołudniem. Joel czekał na peronie i pojechali razem taksówką do domu panny Twyli przy Chartres Street. Ta przywitała się z nimi w progu i od razu zaprowadziła ich na patio, gdzie na stole przygotowano już dla nich ser, oliwki, chleb i wino. Kiedy zaspokajali pierwszy głód, poinformowała ich, że Florry śpi, ale wkrótce się obudzi.

– Chce z wami porozmawiać, póki jeszcze może – dodała półgłosem, odprawivszy pokojówkę. – Ma z wami ważne rzeczy do omówienia, chce wam zdradzić pewne sekrety. Przekonałam ją, że to najwyższy czas. Jutro mogłoby być za późno.

Joel wziął głęboki oddech i zerknął z przerażeniem na siostrę.

– Wie pani, o co chodzi? – zapytała Stella.

– Tak, powiedziała mi wszystko.

– I te tajemnice dotyczą naszych rodziców? – zapytał Joel.

Twyla wzięła głęboki oddech i upiła łyk wina.

– Wieczorem w przeddzień egzekucji, na kilka godzin przed śmiercią, wasz ojciec spotkał się z Florry w areszcie i po raz pierwszy ujawnił jej swoje motywy. Kazał jej przysiąc na Biblię, że nigdy nikomu tego nie powie, zwłaszcza wam dwojgu. Pół roku temu, tej nocy, gdy umarła wasza matka, ona i Florry były same w waszym domu, w sypialni. Wasza matka odstawiła wtedy tabletki i nie była w pełni władz umysłowych. Ale opowiedziała zupełnie inną historię, ujawniła rzeczy, o których wasz ojciec nie miał pojęcia. Ona też kazała Florry obiecać, że nikomu nie powie. I Florry dotrzymywała obietnicy aż do chwili, gdy tydzień temu znów trafiła do szpitala. Myśleliśmy, że już po niej. Lekarze nie dawali żadnej nadziei. I wtedy zapragnęła wreszcie mówić, stwierdziła, że nie może zabrać ze sobą prawdy do grobu.

– W naszej rodzinie łatwiej jest złapać gołymi rękami dym, niż poznać prawdę.

– No cóż, wkrótce ją poznacie i nie będzie to dla was łatwe. Przekonałam ją, że musi wam wszystko opowiedzieć. Ta historia was rozczaruje. Wstrząśnie wami. Ale tylko prawda pozwoli wam w pełni zrozumieć, co się stało, i żyć dalej. Bez niej będziecie już zawsze nieść brzemień wątpliwości i podejrzeń. Poznawszy ją, będziecie mogli rozliczyć się w końcu z przeszłością, pozbierać jej szczątki i stawić czoło przyszłości. Musicie być silni.

– Mam powyżej dziurek w nosie bycia silną – rzuciła Stella. Joel upił trochę wina.

– Dlaczego nagle zaczynam się denerwować? – mruknął.

– Nie daliśmy jej dziś wszystkich tabletek, więc będzie miała jaśniejszy umysł, ale i tak szybko się męczy.

– Bardzo ją boli? – zapytała Stella.

– Niekoniecznie. Jej serce po prostu daje powoli za wygraną. To takie smutne.

Po drugiej stronie patio pielęgniarka wyszła z sypialni Florry i skinęła głową do Twyli, a ta zmierzyła wzrokiem rodzeństwo.

– Właśnie się obudziła. Możecie do niej zajrzeć – powiedziała.

Florry siedziała na łóżku, podparta poduszkami, i uśmiechnęła się, kiedy tam weszli i ją uściskali. Chcąc zapewne ukryć fakt, że straciła tyle na wadze, włożyła jeden ze swoich licznych kolorowych szlafroków. Nogi miała okryte kocem. Przez kilka minut trajkotała jak najęta o zbliżającym się ślubie Joela i o tym, w jakim stroju zamierza wystąpić. Najwyraźniej zapomniała o uroczystości rozdania dyplomów, która miała się odbyć na jego uczelni za dwa tygodnie.

Nagle ogarnęło ją zmęczenie i przymknęła powieki. Stella usiadła na skraju łóżka i pogładziła ją po stopach. Joel zajął miejsce w stojącym obok fotelu.

Florry otworzyła oczy.

– Są pewne rzeczy, o których powinniście wiedzieć – oznajmiła.

* * *

– Kiedy Pete wrócił z wojny, był cały poobijany, z obiema nogami w gipsie, pamiętacie. Przez trzy miesiące leżał w szpitalu w Jackson, nabierając sił. Po powrocie do domu chodził o lasce, wykonywał różne ćwiczenia i z dnia na dzień coraz zwawiej się poruszał. To było wczesną jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego piątego roku. Wojna dobiegła końca i cały kraj starał się wrócić do normalności. Pete przeżył piekło, ale nigdy o tym nie mówił. Można powiedzieć, że wasi rodzice byli ze sobą bardzo blisko związani. Nineva powiedziała kiedyś Marietcie, na długo przed wojną, że kiedy tylko odwróci się plecami, oni próbują przemknąć do sypialni.

– Rodzice musieli wziąć ślub, Florry – wtrącił Joel. – Wiemy o tym. Widziałem swoje świadectwo urodzenia i widziałem ich akt ślubu. Nie jesteśmy głupi.

– Wcale tego nie sugeruję. Podejrzewałam, że tak było, ale nie miałam pewności.

– Tato załatwił sobie odpowiedni przydział i wysłali go z mamą do Niemiec. Urodziłem się daleko od domu i nie było komu rozpuszczać plotek.

– W takim razie to już wyjaśnione.

Florry zamknęła oczy i głęboko odetchnęła, jakby zmogło ją zmęczenie. Joel i Stella wymienili zaniepokojone spojrzenia.

Po chwili Florry otworzyła oczy, zamrugowała i uśmiechnęła się.

– Na czym stanęliśmy? – zapytała.

– Na wyjeździe do Niemiec, dawno temu. Naszych rodziców łączyły dość namiętne stosunki.

– Można to tak określić. Kochali się i kiedy tylko Pete wrócił do domu i odzyskał siły, był gotów wypełniać swoje obowiązki. Wyłonił się jednak pewien problem. Liza nie była

nim zainteresowana. Z początku myślał, że chodzi o jego ciało, wyniszczone i pokryte bliznami, a nie takie, jakie było przed wojną. Jednak ona w ogóle na niego nie reagowała. W końcu doszło między nimi do wielkiej kłótni i opowiedziała mu bajeczkę, pierwszą z wielu. Że wkrótce po tym, jak w czterdziestym pierwszym roku wyjechał na wojnę, poroniła. Jak wiecie, miała trzy poronienia.

– Cztery – poprawiła ją Stella.

– Dobrze, niech będzie cztery. I kiedy Pete’a zmobilizowano, byli przekonani, że nie mogą mieć więcej dzieci. Tymczasem jednak zaszła w ciążę, choć wtedy jeszcze o tym nie wiedzieli. Kiedy zdała sobie z tego sprawę, nikomu nie powiedziała ani słowa. Bała się, że straci kolejne dziecko, i nie chciała go martwić. Był wtedy w Fort Riley i czekał na zaokrętowanie. A potem poroniła, tak w każdym razie utrzymywała, i z tego powodu zaczęły się u niej przewlekłe kobiece problemy. Miała nieprzyjemne upławy. Zbadali ją lekarze. Brała leki. Nie była w stanie kontrolować swojej fizjologii i straciła ochotę na seks. Krępuje mnie używanie tego słowa w waszej obecności.

– Daj spokój, ciociu Florry. Wiemy wszystko, co trzeba wiedzieć o seksie – zapewnił ją Joel.

– Oboje? – Spojrzała na Stellę.

– Tak, oboje.

– O Boże.

– Naprawdę, ciociu Florry. Jesteśmy tu wszyscy dorośli.

– No dobrze. Seks, seks, seks. Widzicie, w końcu to powiedziałam. Więc wasza mama nigdy nie miała ochoty i zaczęło go to dręczyć. Tylko pomyślcie. Biedak spędził trzy lata w dżungli, marząc o tym, by zaspokoić głód i pragnienie, a poza tym stale rozmyślając o pięknej żonie, którą zostawił w domu. W końcu zaczął coś podejrzewać. Z tego, co mówiła, musiała zajść w ciążę tuż przed tym, jak wyjechał do Fort Riley, na początku października czterdziestego pierwszego. Ale pamiętał, że pod koniec sierpnia tamtego roku nadwyreżył

sobie kręgosłup, wyciągając z ziemi korzeń, i bardzo cierpiał. Seks był wtedy wykluczony.

– Zgadza się – potwierdziła Stella. – Przed wyjazdem do Fort Riley ledwo chodził.

– Prawdę mówiąc, jego kręgosłup był w tak złym stanie, że lekarze w Fort Riley chcieli go odesłać do domu. Był pewien, że nie uprawiał seksu we wrześniu, bo kiedy wzięli go do niewoli, bez przerwy o tym myślał. Liza mówiła, że zaszła w ciążę na początku października, trzymała to przez jakiś czas w tajemnicy i miała zamiar napisać mu o tym w liście, jeśli utrzyma ciążę do trzeciego miesiąca. Nie utrzymała. Poroniła w grudniu, w drugim miesiącu, i nikomu tego nie wyjawiała. Pete wiedział, że to nieprawda. Gdyby rzeczywiście zaszła w ciążę, stałoby się to pod koniec sierpnia. Stwierdził, że kiedy doszło do poronienia, musiała być w czwartym albo piątym miesiącu. Zaczął sprawdzać kalendarz i ustalił całą chronologię. A potem któregoś dnia zdybał w kuchni Ninewę i zapytał ją o poronienie. Nie miała o niczym pojęcia, co, jak rozumiecie, było czystą niemożliwością. Pete wiedział, że gdyby Liza była w trzecim miesiącu, Nineva na pewno by to zauważyła. Przyjęła na świat setki dzieci, w tym mnie i Pete'a. Widząc, że Liza kłamie w kwestii poronienia, którego konsekwencją miały być upławy i brak zainteresowania seksem, nabrał poważnych podejrzeń. Liza sama prała swoją bieliznę i nie pozwalała tego robić nikomu innemu. Nineva to potwierdziła. Pete czekał na odpowiednią okazję i okazało się, że tak, ma upławy. Na delikatnej tkaninie były niewielkie plamki. Poza tym brała dużo tabletek i starała się to ukryć. Pete chciał porozmawiać z jej lekarzami, ale kategorycznie zaprotestowała. Tak czy inaczej, coraz więcej rzeczy się nie zgadzało, kłamstwa zaczęły wychodzić na jaw. Coś dolegało jego żonie i przyczyną wcale nie było poronienie. Miała już wcześniej trzy, pamiętacie?

– Cztery – znów poprawiła ją Stella.

– Racja. Nineva opowiedziała mu o Dexterze Bellu i o tym, ile czasu spędzał z Lizą, kiedy dowiedzieli się, że Pete zaginął

i jest prawdopodobnie martwy. Wszyscy pamiętamy, jakie to było straszne, a Dexter często odwiedzał wtedy Lizę. Okazało się, że Pete nigdy mu nie ufał, uważał, że ogląda się za spódniczkami. W kościele opowiadano, choć ja nigdy tego nie słyszałam, że Dexter zbytnio się spoufalił z pewną młodą kobietą. Miała chyba dwadzieścia lat. To była tylko plotka, ale Pete nabrał podejrzeń.

Florry wypuściła powietrze z płuc, poprosiła o szklanekę wody, otarła usta wierzchem dłoni i przez dłuższą chwilę ciężko oddychała.

– Tak czy inaczej, Pete coraz bardziej ją podejrzewał – podjęła, zamykając oczy. – Pojechał do Memphis, wynajął prywatnego detektywa, zapłacił mu furę pieniędzy i dał fotografie Lizy i Dextera Bella. W tamtym czasie było trzech lekarzy, jeśli można nazwać ich lekarzami... właściwie nie wiem, kim byli, ale wykonywali... no wiecie... eee... aborcje.

Stella spokojnie pokiwała głową. Joel wziął głęboki oddech.

– No i oczywiście – mówiła dalej Florry, nie otwierając oczu – prywatny detektyw odnalazł lekarza, który rozpoznał ich ze zdjęć, ale domagał się wielkiej łapówki. Pete nie miał wyboru. Zapłacił facetowi dwa tysiące dolarów, a ten potwierdził, że dwudziestego dziewiątego września tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku dokonał u Lizy aborcji.

– Dobry Boże – jęknął Joel.

– To by się zgadzało z opowieścią Ninevy o tym, że mama i Dexter wyjechali do Memphis – zauważyła Stella.

– Dokładnie – mruknął Joel.

– Przykro mi, ale nie znam tej historii – powiedziała Florry.

– Tyle ich jest – odparła Stella. – Opowiadaj dalej, potem do tego wrócimy.

– Dobrze. Nie muszę chyba mówić, że Pete był zdruzgotany. Miał dowód jej zdrady i chodziło nie o drobny flirt, ale o ciążę, która została przerwana w jakiejś pokątnej klinice w Memphis. Był zdruzgotany, wściekły i czuł się okrutnie zdradzony przez kobietę, którą zawsze wielbił.

Florry na chwilę przerwała i otarła łzę z oka.

– To wszystko jest takie okropne. Nigdy nie chciałam wam opowiadać tej historii, nigdy.

– Postępujesz słusznie, ciociu Florry – zapewniła ją Stella. – Potrafimy stawić czoło prawdzie.

– Więc wyłożył karty na stół? – zapytał Joel.

– Tak. Wybrał odpowiedni moment i przedstawił jej wszystkie dowody. Skutkiem było całkowite i totalne załamanie. Nerwowe, emocjonalne, możecie to nazywać, jak chcecie. Liza przyznała się do wszystkiego: do romansu, do aborcji, do infekcji, której nie mogła się pozbyć. Błagała go wiele razy o wybaczenie. Właściwie nigdy nie przestała go o nie błagać, a on nigdy jej nie wybaczył. Nigdy się z tym nie pogodził. Tyle razy ocierał się o śmierć, ale udało mu się przetrwać, bo myślał o niej i o was. Tymczasem ona zabawiała się z Dexterem Bellem. Nie mógł tego znieść. Odwiedził Johna Wilbanka. Razem poszli do sędziego. Skierowali ją na przymusowe leczenie w Whitfield, a ona w ogóle nie protestowała. Zdawała sobie sprawę, że potrzebuje pomocy, i musiała od niego odejść. Po jej wyjeździe próbował zająć się swoimi sprawami, ale dotarł do punktu, w którym było to niemożliwe.

– I dlatego zabił Dextera – dopowiedziała Stella.

– Całkiem niezły motyw zbrodni – stwierdził Joel.

Zapadło długie ciężkie milczenie. Wszyscy troje starali się zebrać myśli. W pewnym momencie Joel wstał, otworzył drzwi, wyszedł na patio, nalał sobie kieliszek wina i przyniósł butelkę do sypialni.

– Któraś z was ma ochotę? – zapytał.

Stella pokręciła głową. Florry wyglądała, jakby zasnęła.

Joel usiadł i pociągnął jeden łyk wina, potem drugi.

– Domyślam się, że to nie koniec tej historii – mruknął.

– Nie, jest jeszcze dużo do opowiedzenia – szepnęła Florry, nie otwierając oczu. Zakaszła, odchrząknęła i ponownie usiadła na łóżku. – Wszyscy znaliście Jupe’a, wnuka Ninevy. Pracował w domu i w ogrodzie.

– Razem dorastaliśmy, ciociu, i razem się bawiliśmy – powiedział Joel.

– Zgadza się. Opuścił dom w wieku kilkunastu lat, pojechał do Chicago, a potem wrócił. Pete nauczył go prowadzić samochód, zlecał mu do załatwienia różne sprawy na mieście i traktował go jak kogoś bliskiego. Bardzo lubił Jupe’a. – Florry przełknęła z trudem ślinę i kolejny raz głęboko odetchnęła. – Wasza matka też go bardzo polubiła.

– Nie! – jęknął Joel, zbyt zaskoczony, by powiedzieć coś więcej.

– To niemożliwe – szepnęła Stella.

– A jednak. Kiedy Pete przedstawił Lizie dowody świadczące o aborcji, chciał wiedzieć, czy ojcem dziecka był Dexter Bell. W tej strasznej chwili musiała podjąć decyzję. Dokonać wyboru. Powiedzieć prawdę czy skłamać. I wasza matka skłamała. Nie była w stanie się przyznać, że zaszła w ciążę z Jupe’em. To było coś nie do pomyślenia, coś niewyobrażalnego.

– Jak do tego doszło? – zapytał Joel.

– Czy on ją zmusił? – zapytała Stella.

– Nie zmusił. Tamtej nocy, kiedy po raz ostatni rozmawialiśmy, wasza matka dobrze wiedziała, co ma zamiar zrobić. Ja nie. Siedziałam tam z nią, nie mając pojęcia, że dotarła do kresu drogi. Nie zamykały jej się usta i opowiedziała mi wszystko. Chwilami mówiła całkiem do rzeczy, chwilami nie, ale nie ukrywała niczego. Nineva na coś wtedy zachorowała i przez tydzień nie przychodziła do domu. Zastępował ją Jupe. Któregoś dnia byli w domu sami, tylko on i Liza, i to się po prostu stało. Minął już rok od dnia, kiedy dowiedziała się, że Pete nie żyje, i coś ją naszło. Nie planowała tego. Nikt nikogo nie uwiódł, nikt nikogo nie zmuszał, wszystko odbyło się za obopólną zgodą. Po prostu się stało. A potem stało się ponownie.

Joel zamknął oczy i wypuścił z ust powietrze. Stella wpatrywała się z otwartymi ustami w podłogę, kompletnie oszołomiona.

– Wasza matka nigdy nie lubiła prowadzić, więc Jupe został jej szoferem i żeby Nineva niczego nie spostrzegła, jeździli razem do miasta. Po drodze mieli swoje kryjówki. Stało się to rodzajem gry i Liza szczerze przyznała, że całkiem dobrze się bawiła. Takie rzeczy się zdarzają, moje dzieci, rasy mieszały się ze sobą od początku świata. Poza tym uważała się za wdowę, czuła się samotna i to była tylko nieszkodliwa zabawa, tak jej się w każdym razie wydawało.

– To niemożliwe – mruknął Joel.

– Nie wydaje się to nieszkodliwą zabawą – wtrąciła Stella.

– Po prostu do tego doszło i już tego nie zmienimy. Powtarzam wam tylko to, co usłyszałam od waszej matki. Tamtej ostatniej nocy nie była przy zdrowych zmysłach, to jasne, ale po co by miała wymyślać taką bajkę? Chciała, żeby ktoś poznał prawdę przed jej śmiercią. Dlatego mi o tym opowiedziała.

– Mieszkałaś tam i nigdy jej o nic nie podejrzewałaś? – zapytał Joel.

– Nigdy, ani przez chwilę. Nigdy nie podejrzewałam Dextera Bella, nigdy nie podejrzewałam nikogo. Wszyscy staraliśmy się ułożyć sobie jakoś życie bez Pete'a. Nigdy nie przyszło mi na myśl, że Liza się z kimś związała.

– Możemy usłyszeć resztę tej okropnej historii? – zapytała Stella.

– Zawsze chcieliście poznać prawdę – odparła Florry.

– Teraz nie jestem już pewien, czy to był dobry pomysł – mruknął Joel.

– Proszę, mów dalej, ciociu.

– Staram się, moje dzieci. To nie jest łatwe. Tak czy owak, zabawa dobiegła końca w momencie, gdy Liza zdała sobie sprawę, że jest w ciąży. Mniej więcej przez miesiąc nie przyjmowała tego do wiadomości, ale potem, kiedy rzecz stawała się coraz bardziej widoczna, uświadomiła sobie, że Nineva albo ktoś inny może się zorientować. Jak zapewne się domyślacie, wpadła w panikę. W pierwszej chwili chciała zrobić to, co zawsze robią białe kobiety w podobnych

sytuacjach: ogłosić, że została zgwałcona. Zwała się w ten sposób winę na kogoś innego i łatwiej jest zadbać o ciążę. W końcu, odchodząc od zmysłów, postanowiła zwierzyć się Dexterowi Bellowi, człowiekowi, któremu mogła ufać. Dexter nigdy nie dotknął jej w niewłaściwy sposób. Był miłym, współczującym pastorem, który dodawał jej zawsze otuchy. Przekonał ją, żeby nie oskarżała Jupe'a o gwałt, i w ten sposób uratował mu pewnie życie. Powiesiliby chłopaka w okamgnieniu. Mniej więcej w tym samym czasie Nineva i Amos dowiedzieli się, że ich wnuk i pani domu mają się ku sobie. Przerażeni, wyekspediowali go na północ.

Joel i Stella siedzieli oniemiałi. W pewnym momencie drzwi uchyliły się na kilka centymetrów i do środka zajrzała Twyla.

– Jak wam idzie? – zapytała.

– W porządku – szepnęła Florry, choć to, co przeżywali, w żadnym wypadku nie było w porządku.

Drzwi się zamknęły.

W końcu Joel wstał z fotela, z kieliszkiem w dłoni, i podszedł do wychodzącego na patio małego okna.

– Nineva wiedziała, że mama zaszła w ciążę? – zapytał.

– Liza była przekonana, że nie. Nikt o tym nie wiedział, nawet Jupe. Odesłali go do matki w tym samym czasie, kiedy Liza odkryła, że jest w ciąży.

– Jak Nineva dowiedziała się, że ze sobą kręca?

Florry znowu zamknęła oczy i oddychając, czekała, aż wróci jej siły.

– Kolorowy chłopak łowił ryby w strumieniu i coś zobaczył – odezwała się po dłuższej chwili. – Pobiegł do swojej mamy i opowiedział jej o tym. Ostatecznie wiadomość dotarła do Ninevy i Amosa, a oni rozumieli, czym to grozi. Jupe wylądował w najbliższym autobusie do Chicago i chyba wciąż tam mieszka.

W sypialni znów zapadło milczenie. Przez długie minuty nikt się nie odzywał. Florry otworzyła oczy, ale unikała kontaktu wzrokowego z Joelem i Stellą. Joel usiadł z powrotem

w fotelu, odstawił kieliszek na stół i przeczesał palcami swoje gęste włosy.

– Wychodzi na to, że ojciec zabił niewłaściwego mężczyznę, prawda, ciociu Florry? – rzucił w końcu.

Florry nie odpowiedziała na jego pytanie.

– Często myślę o Lizie w tamtej strasznej chwili, kiedy okazało się, że Pete wie o jej aborcji – szepnęła. – Musiała dokonać wyboru, a nie miała czasu się na to przygotować. Pete zakładał, że to Dexter Bell, i o wiele łatwiej było jej to potwierdzić, niż trochę pomyśleć. Podjęła tę decyzję w warunkach skrajnego stresu i zobaczcie, czym się to skończyło.

– Owszem – wtrąciła Stella. – Ale gdyby miała czas się przygotować, i tak nigdy nie powiedziała by prawdy. W jej sytuacji nie zrobiłaby tego żadna biała kobieta.

– Nie róbcie z waszej matki dziwki – zaprotestowała Florry. – Gdyby wierzyła, że jest choćby cień szansy, że wasz ojciec żyje, nigdy by tak nie postąpiła. Była wspaniałą kobietą i bezgranicznie kochała waszego ojca. Siedziałam z nią tamtej nocy, gdy odeszła, i widziałam, jak strasznie cierpi za swoje grzechy. Błagała o wybaczenie. Tęskniła za dawnym życiem, razem z rodziną. Była taka rozbita, taka żałosna. Musicie ją zapamiętać jako dobrą, serdeczną, kochającą matkę.

Joel wstał i bez słowa wyszedł z sypialni. Przeciął dziedziniec i nie odzywając się do siedzącej na bujanym fotelu panny Twyli, wyszedł na ulicę. Dotarł do Jackson Square, usiadł na stopniach katedry i obserwował ulicznych aktorów, grajków, naganiaczy, oszustów, kieszonkowców, alfonsów i turystów. Każdy czarny mężczyzna był nikczemnym Jupe'em, każda umalowana biała kobieta jego rozpustną matką. Wszystko zlewało się ze sobą, nic nie miało sensu. Oddychał z trudem i ćmiło mu się w oczach.

A potem znalazł się nagle na grobli, choć w ogóle nie pamiętał, jak tam dotarł. Barki płynęły rzeką, a on gapił się na nie, w ogóle ich nie widząc. Niech diabli wezmą prawdę. Był o wiele szczęśliwszy, kiedy jej nie znał. Przez ostatnie trzy

i pół roku codziennie zadręczał się pytaniem, dlaczego ojciec zrobił to, co zrobił, i niezliczoną ilość razy przyznawał, że nigdy się tego nie dowie. A teraz wiedział i żałował, że nie żyje już dalej w tej słodkiej niewiedzy.

Przez dłuższy czas siedział tam, pogrążony we własnym świecie, prawie się nie poruszając, i tylko od czasu do czasu z niedowierzaniem kręcił głową. W końcu zdał sobie sprawę, że oddycha wolniej i zaczyna się uspokajać. Przekonywał sam siebie, że poza nim, Stellą i panną Twylą nikt nigdy nie dowie się o niczym. Florry wkrótce umrze i jak wszyscy porządni Banningowie zabierze ze sobą do grobu swoje sekrety. On i Stella pójdą kiedyś w jej ślady. Rozbita i zhańbiona rodzina nie dozna już więcej upokorzeń.

Zresztą jakie to miało znaczenie? Ani on, ani Stella, ani z całą pewnością Florry nigdy już nie zetkną się z mieszkańcami hrabstwa Ford. Prawda pozostanie pogrzebana na Starej Sykomorze. Nie zamierzał tam wracać.

Jego ramienia dotknęła nagle czyjaś ręka i Stella usiadła przy nim na ławce. Objął ją i przyciągnął do siebie. Nie czuli żadnych emocji. Byli zbyt oszołomieni.

– Jak ona się czuje? – zapytał.

– To nie potrwa długo.

– Została nam tylko ona.

– Nie, Joel, mamy jeszcze siebie, więc proszę cię, nie umieraj młodo.

– Postaram się.

– Mam pytanie, mecenasie... Co zrobiłby ojciec, gdyby mama powiedziała mu prawdę?

– Nie myślę o niczym innym. Na pewno by się z nią rozwiódł i wygnał ją z hrabstwa. Poprzysiągłby zemstę Jupe'owi, ale on jest przecież bezpieczny w Chicago. Na północy mają inne prawa.

– Ale mama nadal by żyła, prawda?

– Chyba tak. Kto to może wiedzieć?

– Ojciec też na pewno by żył.

– On i Dexter Bell. I nie stracilibyśmy ziemi.

Stella pokręciła z niedowierzaniem głową.

– Co za kłamstwo – mruknęła.

– Myślisz, że naprawdę miała jakiś wybór?

– Nie wiem. Po prostu strasznie mi jej żal. I żal mi taty. I Dextera. Chyba nas wszystkich. Jak to się stało, że znaleźliśmy się w tym miejscu?

Zaczęła drżeć i Joel mocniej ją objął. A potem, kiedy się rozplakała, pocałował ją w czubek głowy.

– Co za rodzina – powiedział cicho.

Od autora

Przed wielu laty zasiadałem przez dwie kadencje w zgromadzeniu ustawodawczym stanu Missisipi. Służba publiczna nie przypadła mi zbytnio do gustu i musielibyście zebrać odciski palców na Kapitolu w Jackson, by odnaleźć tam ślady mojej obecności. Nie zostawiłem ich prawie wcale; odszedłem stamtąd w pośpiechu. Z samego charakteru mojej pracy wynikało, że dużo czasu spędzaliśmy bezproduktywnie, i żeby jakoś zabić te godziny, gromadziliśmy się przy kawie i poidełkach z wodą i słuchaliśmy długich, barwnych i często zabawnych historii, opowiadanych przez kolegów, którzy wszyscy byli doświadczonymi politykami naszego stanu i mieli w zwyczaju mocno ubarwiać to, o czym mówili. Wątpię, by prawda miała dla nich jakieś wielkie znaczenie.

W którymś momencie mojej krótkiej ustawodawczej kariery usłyszałem opowieść o dwóch szacownych obywatelach, którzy mieszkali w małym miasteczku w Missisipi w latach trzydziestych. Jeden zabił drugiego bez żadnego ewidentnego powodu i nigdy nie zdradził swoich motywów. Skazany na śmierć, odrzucił ofertę gubernatora, który gotów był go ułaskawić, pod warunkiem że je ujawni. Nie zrobił tego i nazajutrz powieszono go na trawniku przed sądem. Gubernator, który nigdy wcześniej nie widział wieszania, siedział w pierwszym rzędzie.

No i ukradłem tę historię. Wierzę, że jest prawdziwa, nie pamiętam jednak, kto ją opowiedział, a także gdzie i kiedy

dokładnie się wydarzyła. Nie można wykluczyć, że od początku do końca jest zmyślona, ale ponieważ zmyśliłem już w życiu tyle rzeczy, nie mam oporów, by opublikować ją w formie powieści.

Jeśli jednak któryś z czytelników rozpozna w niej prawdziwe wydarzenia, proszę, niech da mi znać. Chętnie je zweryfikuję.

Jak zwykle wiele zawdzięczam przyjaciołom, którzy pomogli mi ustalić fakty. Proszę, by moje szczerze podziękowania przyjęli: Bill Henry, Linda i Tim Pepperowie, Richard Howorth i Louisa Barrett, a także Bus Boys – Dan Jordan, Robert Khayat, Charles Overby i Robert Weems. Szczególnie dziękuję Johnowi Pittsowi za tytuł.

O bataańskim marszu śmierci napisano dziesiątki, jeśli nie setki książek. Te, które odszukałem i przeczytałem, są fascynujące. Trudno sobie wyobrazić heroizm i cierpienia tych żołnierzy, zarówno wówczas, jak i teraz, siedemdziesiąt pięć lat później.

Opisując je, opierałem się na następujących monografiach:

Larry Alexander, *Shadows in the Jungle*; ppłk William E. Dyess, *Bataan Death March*; Mike Guardia, *American Guerrilla: The Forgotten Heroics of Russell W. Volckmann*; Robert Lapham i Bernard Norling, *Lapham's Raiders*; Manny Lawton, *Some Survived*; John D. Lukacs, *Escape from Davao*; Edwin Price Ramsey i Stephen J. Rivele, *Lieutenant Ramsey's War*; Lester I. Tenney, *My Hitch in Hell*; Edgar D. Whitcomb, *Escape from Corregidor*.

Książka *Tears in the Darkness* Michaela i Elizabeth M. Normanów ukazuje w fascynujący sposób historię bataańskiego marszu śmierci, zarówno z amerykańskiej, jak i japońskiej perspektywy. *The Doomed Horse Soldiers of Bataan* Raymonda G. Woolfe'a juniora przedstawia dzieje Dwudziestego Szóstego Pułku Kawalerii i jego ostatnią szarżę. Polecam gorąco obie książki.

Przypisy

¹ Uniwersytet Stanu Missisipi z siedzibą w Oxfordzie.

² Delta – rolniczy obszar nad Missisipi, który mimo nazwy nie leży w delcie tej rzeki.